

# **Lennox Judith**

## **Florenckie lato**

Przełożyła Bożena Kucharuk

### **PROLOG**

Lato w Villa Millefiore, 1933

W willi oczekiwano, że będą wypoczywać. Mama i pani Hamilton twierdziły, że po lunchu dobrze jest się położyć dla zdrowia. Tessa uważała wylegiwanie się za stratę czasu, sięgnęła więc po kapelusz przeciwsłoneczny i wyszła na zewnątrz.

Villa Millefiore została zbudowana na początku dziewiętnastego wieku. Tynkowane ściany wyblakły i przybrały barwę delikatnej ochry, z tyłu domu pięła się wistaria i winna latorośl. Wykładany marmurem hol był ciemny i chłodny nawet w najcieplejsze dni. Drzwi prowadzące na zewnątrz, latem zawsze otwarte, umożliwiały dopływ powietrza.

Tessa miała siedemnaście lat. Ona, jej matka, Christina, i dwunastoletnia siostra, Frederica, mieszkały w Villa Millefiore od śmierci ojca, Geralda Nicolsona. Te cztery lata stanowiły najdłuższy okres, gdy Tessa i Freddie mieszkały w jednym domu. Gerald Nicolson był artystą i często zmieniał miejsca pobytu w pogoni za sukcesem i uznaniem. Po jego śmierci pani Hamilton, serdeczna przyjaciółka Christiny, zaprosiła ją i córki do willi, a potem wszystko jakoś tak się ułożyło, że tam zostały. Z początku Tessę i Freddie onieśmiały zwałiste ciemne szafy i małe zakratowane okienka, bały się sów pohukujących w pobliskim lesie. Poprosiły, by mogły zamieszkać razem w pokoju.

Pani Hamilton była Angielką po sześćdziesiątce. Stugębna plotka głosiła, że jej mąż został zmuszony do opuszczenia Anglii po tym, gdy wyszła na jaw jego zbytnia zażyłość z przystojnym lokajem. Hamiltonowie żyli w związku określanym jako białe małżeństwo, zawartym, by żyć w zgodzie z konwenansami. Nie mieli dzieci. Po śmierci pana Hamiltona wdowa została sama w przestronnej, rozległej willi na wzgórzu, z którego roztaczał się widok na Fiesole. Urządzała obiady dla Anglików mieszkających we Florencji. Najczęściej podawano ciekawą zupkę, a po niej bliżej nieokreślony gulasz.

Świętej pamięci pan Hamilton był kolekcjonerem, lecz, nad czym bolała zubożała wdowa, okazał się niezbyt roztropny. W willi roilo się od dziwacznych i nienadających się do sprzedaży skarbów, takich jak marmurowe popiersie mężczyzny nadnaturalnej wielkości, za to bez nosa, albo portret chłopca, grającego na przystrojonej kolorowymi wstążkami mandolinie, czy też fotografia w ramce, przedstawiająca papugę. Na zdjęciu ktoś napisał spiczastym pismem: „Kochany Bobo, przyjaciel w

nieszczęściu". W gościnnych pokojach willi można było podziwiać ich minioną świetność. Jedwabne obicia sof spłowiały, w oknach wisiały zasłony w wielu miejscach nadgryzione przez mole, na ścianach łuszczyły się alegoryczne freski. Z wysokich, spękanych sufitów czasami spadał na podłogę kawałek gipsu w obłoczku pyłu. W najdalej położonych zakamarkach domu rozpad całkowicie zapanował nad dawną wspaniałością. Nieużywane od wielu lat pokoje, ignorowane przez służącą, wyglądały na pogodzone z zalegającą je grubą warstwą kurzu.

Z tarasu za domem Tessa widziała terakotowe dachy i kopuły Florencji, mieniające się w mgiełce upału. Później, wieczorem, dźwięki kościelnych dzwonów będą się niosły na wzgórze aż do willi. Zbiegła z kamiennych schodków z tarasu i weszła na ścieżkę wśród szpalerów bukszpanu i cyprysów. W jednej części ogrodu były grządki warzywne i sad; w drugiej rozpościerały się ostrokrzewy otoczone drzewkami laurowymi. Za ogrodem rozciągały się winnice i gaje oliwne, należące niegdyś do majątku, lecz dawno temu sprzedane na opłacenie rachunków.

Tessa uwielbiała ogród Villa Millefiore. Wystarczyło skręcić za róg i przemknąć pod łukowato sklepionym przejściem, by zobaczyć coś naprawdę niezwykłego - aleję wysadzaną piwoniami i rabaty z ogromnymi białymi liliami, nad którymi grube brązowe ćmy unosiły się jak kolibry, albo staw, gdzie złościście mieniły się karpie, a fontanna w kształcie muszli wyrzucała strumienie wody wysoko w niebo. Wszędzie słychać było szum wody, opadającej kaskadą przed grotą syreny i spływającej wąskimi kanalikami do głębokiego, okrągłego zbiornika. Tam woda tryskała z otwartej paszczy kamiennego morskiego potwora ze zwiniętym łuskowatym ogonem.

Tessa zdjęła sandaalki i bosą przeszła po murku okalającym staw. Stały tu liczne posągi. Nie pamiętała, czy przedstawiały muzy czy nimfy. Marmurowe szaty spływały z białych piersi i zaokrąglonych pośladków. Palce posągów zdawały się bezskutecznie przytrzymywać opadające fałdy ubrań. Tessa pomyślała, że twarze muz są nijakie i gapowate.

Pod letnią sukienką miała kostium kąpielowy. Zdjęła ją teraz przez głowę i rzuciła na murek, po czym wskoczyła do wody.

Staw miał około sześciu metrów głębokości. Pani Hamilton mówiła, że w czasie suszy woda ze zbiornika służyła do picia. Tessa miała nadzieję, że najpierw ją przegotowywano, jako że staw był aż gęsty od zielska. Nurkując, jak zawsze pod wpływem impulsu, uświadomiła sobie, że za chwilę długie, miękkie i oślizłe łodygi oplotą palce jej rąk i nóg jak pajęczyny. Pod powierzchnią woda była ciemna, mętnozielona. Pośrodku znajdowała się kamienna kolumna, podtrzymująca statuetkę trytona. Kiedy ostatnio przyjechali tu Zanetti, urządzili sobie zawody, chcąc się przekonać, kto więcej razy opłynie kolumnę, zanim będzie musiał wynurzyć się z wody, by zaczerpnąć tchu. Wygrał Guido; Tessa pamiętała jego zwinne, smagłe ciało śmigające w głębinie.

Zanetti - dwudziestodwuletni Guido, jego osiemnastoletni brat Alessandro, w skrócie Sandro, i ich siostra, czternastoletnia Faustina - przyjaźnili się z siostrami Nicolson. Ojciec Guida, Domenico, był kochankiem matki Tessy. Guido powiedział o tym Tessie w owym ostatnim roku, a z kolei Tessa przekazała tę wiadomość Freddie. Ani Tessa, ani Freddie nie miały nic przeciwko związkowi mamy z Domenikiem. Domenico uszczęśliwiał Christinę w inny sposób niż ich ojciec, porywczy i

obdarzony ciętym językiem artysta. Tessa żywiła w stosunku do mamy uczucia opiekuńcze i bardzo ją kochała.

Domenico Zanetti był właścicielem tkalni jedwabiu w jednej z dzielnic Florencji, San Frediano. Jego żona, Olivia, miała długą twarz i płaski biust. Brązowe i kremowe suknie, choć pierwszorzędnej jakości, nie leżały dobrze na jej wysokiej, szczupłej sylwetce - kołnierz zawsze sterczał i unosił się na kanciastych ramionach, pomięte rękawy opadały na kościste palce. Gdyby Tessa została poproszona o radę, zaproponowałaby Olivii strój w delikatnym odcieniu koralowego różu albo morskiej zieleni, kolorach bardziej odpowiednich przy ziemistej cerze. Tessa podejrzewała, że Guido, opowiadając o jej matce i swoim ojcu, chciał ją zaszokować. Jeśli istotnie miał taki zamiar, to mu się nie udało. Niewiele mogło zaskoczyć dziewczynę wychowaną w beztroskim środowisku malarzy i poetów, którzy przybywali do Włoch z ponurych rodzinnych krajów Północy w poszukiwaniu swobody.

Mając wrażenie, że lada chwila pękną jej płuca, wypłynęła ku widocznemu nad nią szmaragdowemu światłu. Wychyliła głowę nad powierzchnię wody, gwałtownie zaczerpnęła tchu. Położyła się na plecach i unosiła na wodzie z zamkniętymi oczami. Tego wieczoru mieli zjeść kolację z Zanettimi. Tessa postanowiła włożyć nową jedwabną fioletową sukienkę. Freddie miała wystąpić w migdałowo-różowej. Domenico Zanetti ofiarował Christinie jedwabie ze swych warsztatów, a Tessa z mamą uszyły sukienki. Tessa uwielbiała ładne stroje, przeglądała wszystkie możliwe żurnale i była utalentowaną krawcową. Postanowiła zapytać mamę, czy tego wieczoru będzie mogła włożyć granaty Wakehamów. Granaty należały do babki ze strony mamy i jedne z nielicznych klejnotów przetrwały małżeństwo

Christiny z Geraldem Nicolsonem. Doskonale pasowałyby do nowej sukienki.

- Masz glony we włosach! - Usłyszała czyjś głos.

Otworzyła oczy. Na brzegu stawu stał Guido Zanetti, wspierając stopę na murku.

- Wasza gospodyni powiedziała mi, że wszyscy śpią

- wyjaśnił - więc pomyślałem, że przespaceruję się po ogrodzie. Chodź, Tesso.

- Dlaczego?

- Żebym mógł wyjąć ci wodorosty z włosów.

W jego oczach migotały wesołe iskierki. Sprawia wrażenie bardzo zadowolonego z siebie, pomyślała Tessa. Guido miał rzymski profil, czarne, kręcone włosy i ciemne brązowe oczy o uwodzicielskim wyrazie. Tego dnia włożył kremową płócienną marynarkę i jasnoniebieską koszulę. Był próżny i doskonale zdawał sobie sprawę ze swej urody

- Tessa bez trudu wyobrażała sobie, jak poprawia klapy ubrania przed wyjściem z pałacu Zanettich i przeczesuje włosy palcami. Guido lubił trzymać się na uboczu, dając do zrozumienia, że inne dzieci to zaledwie dziewczynki i chłopcy, podczas gdy on jest już mężczyzną.

Podpłynęła do brzegu. Guido usiadł na murku. Gdy dotknął palcami jej włosów, by wyplątać z nich wodorosty, przeniknął ją dreszcz. Zauważyła, że się zorientował, iż zrobił na niej wrażenie. Dostrzegła to po sposobie, w jaki

na nią patrzył. Znał swoje atuty wynikające z urody, wzrostu i wieku. Miała ochotę utrzyć mu nosa, strącić go z piedestału.

- Chodź, popływamy - zaproponowała.
- Niestety, nie mogę. Nie mam kostiumu.
- Wykąp się w tym, co masz.
- Moje ubranie...
- No dalej! Spróbuj!

Odplynęła od niego, przewróciła się na plecy i zaczęła rozpryskiwać wodę nogami.

- Spróbuj, Guido! - zawołała.

Uśmiechnął się, zdjął buty i marynarkę, a potem wskoczył do wody. Płynął szybkim, mocnym kraulem. Tessa roześmiała się, gdy ją dogonił.

- Widzisz? - wykrztusił, parszając wodą. - Wygrałem. - Mokra, ciemnoniebieska teraz koszula przywarła mu do ciała. - A więc należy mi się nagroda.

- Zaproszę cię na lody do Vivoli.
- Nie to miałem na myśli.
- A co byś wolał, Guido? - spytała. Podniecał ją blask jego oczu; dobrze wiedziała, co usłyszy.
- Chodzi mi o pocałunek - odparł.
- A jeśli się okaże, że nie chcę ci go dać? - Śmiała się, leżąc na wodzie.

- Wezmę go tak czy owak.

Odplynęła od niego najprędzej, jak potrafiła, lecz Guido był szybszy. Krzyknęła, gdy chwycił ją w pasie.

- Pocałunek - poprosił. - Pozwól, że cię pocałuję, moja piękna Tesso.

Delikatnie dotknął wargami jej policzka. Patrzyli sobie w oczy, starając się utrzymać nad powierzchnią stawu. Po chwili objął ją, a ich usta złączyły się w pocałunku. Gdy Tessa zamknęła oczy, przykryła ich woda.

Otaczało ich przyćmione światło, czuli delikatne muśnięcia wodorostów. Ciemne kształty w wodzie przypominały ruiny zatopionego miasta. Jej rozbawienie ustąpiło miejsca rozkoszy, gdy stopniowo pogłębiał pocałunek.

Zabrakło jej tchu. Guido powoli uniósł ją ku powierzchni. Łapczywie zaczerpnęli powietrza i usłyszeli odgłos trzaskających drzwi Villa Millefiore. Mieszkańcy willi najwyraźniej zakończyli już drzemkę.

- Chodź - powiedział. - Szybko.

- Spróbuj, Guido! - zawołała.

Uśmiechnął się, zdjął buty i marynarkę, a potem wskoczył do wody. Płynął szybkim, mocnym kraulem. Tessa roześmiała się, gdy ją dogonił.

- Widzisz? - wykrztusił, parszcząc wodą. - Wygrałem. - Mokra, ciemnoniebieska teraz koszula przywarła mu do ciała. - A więc należy mi się nagroda.

- Zaproszę cię na lody do Vivoli.

- Nie to miałem na myśli.



- A co byś wolał, Guido? - spytała. Podniecał ją blask jego oczu; dobrze wiedziała, co usłyszy.

- Chodzi mi o pocałunek - odparł.

- A jeśli się okaże, że nie chcę ci go dać? - Śmiała się, leżąc na wodzie.

- Wezmę go tak czy owak.

Odplynęła od niego najprędzej, jak potrafiła, lecz Guido był szybszy. Krzyknęła, gdy chwycił ją w pasie.

- Pocałunek - poprosił. - Pozwól, że cię pocałuję, moja piękna Tesso.

Delikatnie dotknął wargami jej policzka. Patrzyli sobie w oczy, starając się utrzymać nad powierzchnią stawu. Po chwili objął ją, a ich usta złączyły się w pocałunku. Gdy Tessa zamknęła oczy, przykryła ich woda.

Otaczało ich przyćmione światło, czuli delikatne muśnięcia wodorostów. Ciemne kształty w wodzie przypominały ruiny zatopionego miasta. Jej rozbawienie ustąpiło miejsca rozkoszy, gdy stopniowo pogłębiał pocałunek.

Zabrakło jej tchu. Guido powoli uniósł ją ku powierzchni. Łapczywie zaczerpnęli powietrza i usłyszeli odgłos trzaskających drzwi Villa Millefiore. Mieszkańcy willi najwyraźniej zakończyli już drzemkę.

- Chodź - powiedział. - Szybko.

Wspiął się na murek i podał Tessie rękę, pomagając jej wyjść ze stawu. Błyskawicznie włożyli buty; Guido podniósł marynarkę i sukienkę. Gdy biegli, trzymając się za ręce, Tessa przykładła drugą dłoń do ust, by stłumić śmiech. Minęli zwirowaną ścieżkę i skierowali się ku gajowi drzewek laurowych z boku ogrodu. Pod gęstym zielonym baldachimem ich pocałunki

stały się gorętsze, mokre ciała przywarły do siebie. Promienie słońca lśniły pośród liści jak maleńkie diamenty.

Tamto lato miało smak pożądania i rozkoszy. Pamiętała ich splecione palce, gdy szli ścieżką, jego stopę, gładzącą pod stołem jej łydkę, nocne przemykanie się po willi na paluszkach, pomiędzy krzesłami i stołami, majaczącymi w ciemności jak rzeczne skały. Pod ścianą stała potężna, kwadratowa szafa, stanowiąca jakby czarną bramę strzegącą wejścia do innego świata. Wystarczył najmniejszy szelest, by Tessa zastygała w bezruchu, nasłuchując, lecz najczęściej okazywało się, że to tylko mała myszka zmierzała do kryjówki w boazerii. Kiedy, bardzo cicho, Tessa otwierała drzwi na taras, owiewał ją ciepły zapach nocy. Lekko jak we śnie przemykała przez taras i zbiegała ze schodów na ścieżkę.

Czekał już tam na nią Guido: gdy się ku niej odwracał, jego buty skrzypiały na żwirze. Od domu oddzielała ich ściana cyprysów, stojących jak wartownicy po obu stronach ścieżki. Nic nie mówił, brał Tessę w ramiona i ją całował. Gładził jej włosy; czuła wtedy bijące od niego ciepło. Szli w gąszcz wawrzynów, gdzie kładli się na miękkich liściach, a on przesuwał palcami po jej łydce i udzie. Gładził jej brzuch, wzbudzając w niej ogień. Przyciągała wtedy Guida do siebie w niemym zaproszeniu.

Potem leżeli w ciemności, unosila się nad nimi chłodna bryza, a plusk fontanny był niczym odległa muzyka. Tessa miała siedemnaście lat i myślała, że już zawsze będą się kochali, a ich miłość nigdy się nie skończy.

## **Rozdział 1**

Za szkołą Freddie znajdował się staw. Czasami w mroźne zimowe dni pozwalano tam uczennicom jeździć na łyżwach. Tego popołudnia, siedząc w herbaciarni w Oksfordzie, Freddie powiedziała o tym Tessie.

- Dziewczęta z piątej i szóstej klasy mogą jeździć na łyżwach pół godziny przed odrabianiem pracy domowej. I godzinę w weekendy.

- Pamiętasz - spytała Tessa - jak mieszkaliśmy w Genewie i chodziłyśmy się ślizgać na jeziorze?

- Mama nam się przyglądała - odpowiedziała Freddie.

- Siedziała w kawiarni i piła gorącą czekoladę.

Często rozmawiały o matce. Bez słów, jednomyślnie postanowiły, że powinny o niej mówić. Trzy lata temu, wiosną, po wyjeździe z Włoch, zostały powiadomione o śmierci Christiny. Nie przeżyła ostrego ataku astmy. Wspominanie mamy sprawiało, że mogły poczuć jej obecność.

- Mieszkaliśmy w tym śmiesznym małym pensjonacie

- dodała Freddie. - Jak się nazywała właścicielka pensjonatu? Madame... madame...

- Madame Depaul - powiedziała z uśmiechem Tessa. - Co wieczór miałyśmy serowe zapiekanki na kolację. Madame Depaul myślała, że to

właśnie lubią jeść Anglicy. A rano, po śniadaniu, mama wkładała futro i szliśmy nad jezioro.

Tessa odziedziczyła płaszcz futrzany po matce. Kiedy przysłano go z Włoch, czuło się jeszcze woń perfum Christiny. Tessa włożyła go wtedy, zamknęła oczy, głęboko wciągnęła w nozdrza zapach Mitsouko i zapłakała. Łzy opuszczenia i smutku spływały w miękkie futro kołnierza. Zapach już dawno wywietrzał, lecz ilekroć Tessa zamykała oczy i zmuszała się do koncentracji, doskonale go sobie przypominała.

- Gorąca czekolada nigdzie nie smakowała tak wspaniale jak w Szwajcarii - powiedziała.

- Dają nam ją w szkole, ale jest wodnista. - Freddie, słynąca z doskonałego apetytu, spałaszowała jajka na grzance i sięgnęła po herbatniki.

Tessa uśmiechnęła się znowu.

- Nie musisz tak się spieszyć, kochanie, mamy mnóstwo czasu.

- Przepraszam. Ale jeśli nie jesz dostatecznie szybko, nie dostajesz repety. Nie pamiętasz?

Tessa pamiętała. W Westdown School, dokąd matka posłała ją wraz z Freddie jesienią 1933 roku, spędziła zaledwie sześć tygodni. Już pierwszego dnia wiedziała, że nie jest to miejsce dla niej, została tam jednak na tyle długo, by się przekonać, że Freddie da sobie radę sama. Teraz, niewiele ponad trzy lata później, pamiętała przede wszystkim to, że w szkole ciągle musiała się śpieszyć, wykonywać tysiące bezsensownych czynności w szybkim tempie.

Po opuszczeniu Westdown Tessa przeprowadziła się do Londynu i rozpoczęła karierę modelki. Na początek zamieszkała w pokoju w pensjonacie, lecz gdy jej kariera nabrała rozpędu, zaczęła wynajmować kolejne mieszkania, każde ładniejsze od poprzedniego. Jej obecne lokum przy Highbury było naprawdę wspaniałe. Miało ogromny salon i luksusową łazienkę. Tessa uwielbiała Londyn, ale od czasu do czasu jakieś wspomnienie sprawiało, że zaczynała tęsknić za dawnym życiem. Teraz oddała się rozmyślaniom o jeździe na łyżwach po zamrzniętym jeziorze w Genewie i popisowym numerze, arabesce - spirali znaczącej cieniutki ślad na lodzie.

Popatrzyła na talerz. Pozostały tam jedynie suche herbatniki, kawałek tarty z porzeczkami i biszkopt. Złożyła następne zamówienie. Gdy przyniesiono im kolejne ciastka i imbryczek świeżej herbaty, zapaliła papierosa.

Freddie patrzyła łakomie na czekoladową ekierkę.

- Śmiało, zjedz ją - zachęciła Tessa.

- Jest twoja.

Tessa pokręciła głową.

- Nie mogę jeść tak dużo. Muszę dbać o figurę. Nie mogę utyć.

- Mogę zapalić papierosa?

- Nie, kochanie. Dopiero kiedy skończysz siedemnaście lat.

- Będę mogła wtedy przejechać się twoim samochodem?

- Na wiejskich drogach... jeśli nie będą oblodzone.

Później, kiedy wracały z Oksfordu, Tessa pozwoliła Freddie poprowadzić swoje czerwone sportowe mg wąską, krętą drogą i podjazdem do Westdown School. Chociaż doskonale rozumiała pragnienie Freddie, by wszystkiego spróbować - jazdy autem, palenia papierosów, picia szampana, wyprawy do nocnego klubu - była bardzo opiekuńcza wobec siostry. W końcu miały na tym świecie tylko siebie. Kiedy Tessa wyjeżdżała do Anglii, ostatnie słowa matki brzmiały: „Bardzo cię proszę, zrób to dla mnie, opiekuj się Freddie”. Czasami Tessa myślała z goryczą, że ta prośba doskonale pasowałaby do ckliwej wiktoriańskiej powieści, traktowała jednak poważnie złożoną wtedy obietnicę i zamierzała jej dotrzymać.

W szkolnej szatni Freddie powiesiła na haczyku swój płaszcz i kapelusz.

- Jeśli czegoś potrzebujesz... - powiedziała Tessa.
- Dziękuję, nie, nie.
- Przyślę ci szampon i talk. Zostało mi całe mnóstwo z kampanii promocyjnej Coty.
- To wspaniale.
- I coś od Fortnuma.
- Proszę, bo inaczej umrę z głodu.

Rozległ się dźwięk dzwonka. Freddie w jednej chwili przeistoczyła się z powrotem w uczennicę Westdown School i wygładziła plisowaną spódniczkę mundurka.

- Muszę już lecieć. - Uścisnęła Tessę. - Dziękuję, że przyjechałaś. I za herbaciarnię.

Łyżwy Freddie znajdowały się w drucianym pojemniku pod wieszakiem.

- Mogę pożyczyć twoje łyżwy? - zapytała Tessa.

- Oczywiście, że możesz. Ale potem odnieś je na miejsce, bo będę miała krechę.

Ponownie się uścisnęły. Tessa odprowadziła wzrokiem młodszą siostrę wychodzącą z szatni na korytarz, ciemnowłosą i chudą w granatowo-niebieskim mundurku i masywnych sandałach, które dziewczęta nosiły w szkole. Podziwiała jej spokój i zorganizowanie.

Wyjęła łyżwy z pojemnika i obesła budynek. Niebo przybrało mglistą, fioletoworóżową barwę. Była pełnia. Błada poświata tworzyła aureolę wokół księżyca. Z tyłu, za boiskami i kortami tenisowymi, w porośniętej trawą dolince terenu znajdował się staw. Rosnące wokół drzewa sprawiały, że nie było stąd widać szkolnych budynków. Po drugiej stronie zbiornika kredowe wzgórza wznosiły się jak zamarznięta szarozielona fala.

Tessa usiadła na ławeczce i przymocowała łyżwy, po czym, stąpając jak na szrudłach, podeszła do stawu i ostrożnie wjechała na lód. Po chwili przypomniała sobie wszystkie ruchy i zasady utrzymania równowagi, przenoszenia ciężaru ciała z jednej nogi na drugą oraz płynnego poddawania się ślizgowi łyżew. Wykonawszy kilka okrążeń, zyskała pewność siebie.

Czuła się cudownie wolna, taka samotna w tej niezwyklej scenerii o zmierzchu. Miała na sobie dopasowany wełniany żakiet obsyty króliczym futerkiem i rozkloszowaną spódnicę, doskonałą do jazdy na łyżwach. Na głowę włożyła czarny aksamitny beret. Jej długie włosy powiewały w powietrzu przy wykonywaniu piruetów. Podczas jazdy na łyżwach

zapominała o wszystkim - o pracy, wieczornej kolacji z Paddym Collisonem, bez reszty skupiona na samotnym tańcu na lodzie.

Milo Rycroft wolał trzymać się z dala od domu, gdy jego żona, Rebecca, szykowała przyjęcie. Dawała mu wtedy do zrozumienia, że jej przeszkadza, i mówiła doń opryskliwym tonem. Poza tym nie cierpiał towarzyszącego przygotowaniom przestawiania mebli i unoszącego się kurzu.

Postanowił wybrać się z psem na wędrowkę przez pola. Dzień był pogodny, lecz zimny. Milo lubił spacerować, cieszył go ruch na świeżym powietrzu i zmieniające się krajobrazy. Często, gdy zdarzał mu się smutny, trudny poranek, przechadzka działała inspirująco, dostarczając nowych pomysłów. Niektórzy pisarze lubili pracę w ogródku; on wolał spacerować. Wspomniał kiedyś o tym w wywiadzie, a pozbawiony polotu dziennikarz, którego Milo wcześniej spotkał kilka razy w klubie, zaproponował zrobienie zdjęć podczas przechadzki. Fotograf stękał i narzekał, dźwigając trójnog i aparat wznoszącą się błotnistą ścieżką. Ilustracja zdobiąca wywiad w „Times Literary Supplement” okazała się jednak bardzo udana i od tamtej pory, biorąc psa na spacer po okolicznych wzgórzach, Milo czasami wyobrażał sobie, że wygląda tak jak podczas sesji zdjęciowej - w długim czarnym płaszczu, z jasnymi włosami potarganymi przez wiatr (mimo nalegań Rebekki, rzadko nosił kapelusz), szedł przez zagajnik, mając z przodu biegnącego spaniela.

Była połowa stycznia i panował przenikliwy ziąb. Milo szedł skrajem zaoranych pól, rozciągających się na łagodnym zboczu pagórka. Szron okrył grube fałdy ciemnobrązowej ziemi. W bruzdach utworzył się żółtoszary lód, a pojedyncze chude łodygi trzciny i traw mieniły się lodowymi kryształkami.



Spanielka, Julia, miała długą, jedwabistą, kasztanowo-białą sierść. Jej oddech tworzył w powietrzu małe kłęby pary.

Czując, że w jego wyobraźni dojrzewa mocny, soczysty wiersz o Oxfordshire w środku zimy, Milo usiłował sformułować pierwszy wers. Wspinając się ścieżką, miał po jednej stronie pole, a po drugiej srebrzysty brzoźowy gaj. Tomik poezji, nad którym obecnie pracował, stanowił nowe wyzwanie; do tej pory Milo wydawał jedynie powieści. Po pewnym czasie drzewa zostały w tyle i doszedł na wysokie kredowe wzgórze. Tam przystanął, zapalił papierosa i rozejrzał się dookoła. Ten widok zawsze przyprawiał go o szybsze bicie serca i poprawiał mu humor. Wzgórza wznosiły się nad niebieską mgiełką dolin, gdzie srebrzyście mieniły się wieże kościołów. Postanowił, że tego dnia przejdzie około dziesięciu kilometrów. Wyobraził sobie, jak tego wieczoru na przyjęciu rzuca jakby od niechcienia:

- Rano napisałem wiersz, a po południu udałem się na dziesięciokilometrowy spacer.

Lubił myśleć o tym, jak bardzo jest wszechstronny; prawdziwy człowiek renesansu. Niektórzy pisarze byli przygarbieni i pomarszczeni. Obiecał sobie, że nigdy nie doprowadzi się do takiego stanu.

Jedna z jego ulubionych tras prowadziła przez tereny szkoły Meriel. Milo zawsze bardzo uważał, by trzymać się ścieżki i starannie unikać miejsc, w których mógłby spotkać szwagierkę. Ta stara wiedźma nazbyt często pozwalała sobie na zgryźliwe uwagi. Czasami trudno było uwierzyć, że ona i Rebecca są siostrami. Milo zawsze starał się być miły dla Meriel, wiedząc, że nie została życzliwie potraktowana przez los - była tą pospolitą,

pozbawioną uroku siostrą. Narzeczoney Meriel poległ na wojnie i biedaczka straciła swą jedyną szansę na zamążpójście. Milo był zadowolony, że zajęcia w szkole uniemożliwiały szwagierce obecność na jego przyjęciu urodzinowym dziś wieczorem.

Najwyższym punktem w okolicy było Herne Hill. Niekiedy dmuchał tu gwałtowny wiatr, tworząc wiry. Milo miał wrażenie, że w tym miejscu zawsze jest chłodniej. Choć uwielbiał szperać w najprzeróżniejszych źródłach wiedzy o mitologii i nie znalazł niczego, co łączyłoby ten teren z jakimś celtyckim bóstwem, czuł, że całe to wzgórze otacza aura tajemnicy. Początek wiersza był już jakby na wyciągnięcie ręki - „Schronienie Herna: tu chowa się duch lasu, rogate bóstwo...”. Nie, za dużo aliteracji, to brzmiało jak w gorszej wersji Gerarda Manleya Hopkinsa. Milo miał już tytuł dla swego tomiku: „Odgłosy zimy”. Uśmiechnął się, lecz zaraz potem spochmurniał. Może powinien zaznaczyć w tytule, że chodzi o środek zimy? Poprzedniego dnia dał kilkanaście pierwszych wierszy do przepisania swej sekretarce, pannie Tyndall. Pięćdziesięciokilkuletnia panna Tyndall, o krzaczastych brwiach i porośniętym włosami znamieniu na twarzy, była niezwykle sumienna i zawsze spisywała się doskonale. To Rebecca wybrała ją spośród kilku kandydatek.

Kilka lat temu Milo zaproponował, by przenieśli się ze wsi do Oksfordu, Rebecca jednak nawet nie zamierzała się zastanawiać nad tą propozycją. Uwielbiała ich dom, przerobiony ze starego młyna. Podkreślała, że mieszkają w doskonałym punkcie, bardzo blisko Meriel i niezbyt daleko (wręcz za blisko) matki. Poza tym znajomi chętnie odwiedzali Mili House. Gdyby Milo i Rebecca przeprowadzili się do Oksfordu, nic już nie byłoby takie samo, a przede wszystkim oni, Rycroftowie, nie pozostaliby tymi

samymi ludźmi. Dom stanowił ich nieodłączną część: przyjaciele z rozrzewnieniem wspominali obiady i przyjęcia u Rycroftów. Milo usłyszał kiedyś przypadkiem, jak któryś student z dumą obwieszczał koledze: „Zostałem zaproszony do Mili House”. W końcu przyznał Rebecce rację. Przenosząc się do Oksfordu, straciliby swój znak rozpoznawczy. I tak oto wszystko zostało po staremu.

Cieszyła go praca w Oksfordzie raz lub dwa razy w tygodniu. Przyjaciel, który spędzał większą część roku za granicą, pozwalał mu korzystać ze swego gabinetu. W pewien sposób, myślał Milo z lekkim poczuciem winy, wygodniej było mieszkać z dala od miasta. Wyjeżdżając z Mili House, czuł się wolny. Obecna sytuacja dawała mu swobodę działania. Powędrował myślami ku niedokończonej powieści czekającej w domu, pozostawionej własnemu losowi. W ciągu ostatnich trzech tygodni nie napisał ani słowa, a przecież obiecał wydawcy, że odda ją za cztery miesiące. Być może, gdyby mieszkał w Oksfordzie, zdołałby wziąć się do pracy nad tą książką. Zmieniająca się sceneria miasta mogłaby podziałać na niego inspirująco.

Milo przeszedł długą drogę, zanim trafił do Mili House. Był jedynym dzieckiem starszych rodziców, a jego urok i rozmaite talenty, które ujawniły się w bardzo młodym wieku, zdumiewały i wprawiały w zachwyt matkę i ojca. Cały dom kręcił się wokół Mila oraz zaspokajania jego potrzeb i zachcianek. Rodzice odżywiali się bardzo skromnie i odmawiali sobie atrakcji towarzyskich, by łożyć na prywatną edukację syna. Jako dziecko mieszkał w niewielkim ceglany domku w jednej z martwych dzielnic na przedmieściach Reading. Ulubionym zajęciem chłopca było buszowanie w publicznej bibliotece położonej o kilka ulic od rodzinnego domu. Ilekroć dziennikarze pytali go o dzieciństwo, Milo przedstawiał jego mocno

ubarwioną wersję, wiedząc, że prawda jest za mało atrakcyjna, żeby pojawić się na łamach gazet i czasopism.

Po zakończeniu wojny otrzymał stypendium i znalazł się w Oksfordzie, gdzie zasłynął jako dusza towarzystwa, a także, niemal w tym samym stopniu, jako zdolny student. Zostawszy doktorantem, zajął się tematyką mrocznych

Cieszyła go praca w Oksfordzie raz lub dwa razy w tygodniu. Przyjaciel, który spędzał większą część roku za granicą, pozwalał mu korzystać ze swego gabinetu. W pewien sposób, myślał Milo z lekkim poczuciem winy, wygodniej było mieszkać z dala od miasta. Wyjeżdżając z Mili House, czuł się wolny. Obecna sytuacja dawała mu swobodę działania. Powędrował myślami ku niedokończonej powieści czekającej w domu, pozostawionej własnemu losowi. W ciągu ostatnich trzech tygodni nie napisał ani słowa, a przecież obiecał wydawcy, że odda ją za cztery miesiące. Być może, gdyby mieszkał w Oksfordzie, zdołałby wziąć się do pracy nad tą książką. Zmieniająca się sceneria miasta mogłaby podziałać na niego inspirująco.

Milo przeszedł długą drogę, zanim trafił do Mili House. Był jedynym dzieckiem starszych rodziców, a jego urok i rozmaite talenty, które ujawniły się w bardzo młodym wieku, zdumiewały i wprawiały w zachwyt matkę i ojca. Cały dom kręcił się wokół Mila oraz zaspokajania jego potrzeb i zachcianek. Rodzice odżywiali się bardzo skromnie i odmawiali sobie atrakcji towarzyskich, by łożyć na prywatną edukację syna. Jako dziecko mieszkał w niewielkim ceglany domku w jednej z martwych dzielnic na przedmieściach Reading. Ulubionym zajęciem chłopca było buszowanie w publicznej bibliotece położonej o kilka ulic od rodzinnego domu. Ilekroć

dziennikarze pytali go o dzieciństwo, Milo przedstawiał jego mocno ubarwioną wersję, wiedząc, że prawda jest za mało atrakcyjna, żeby pojawić się na łamach gazet i czasopism.

Po zakończeniu wojny otrzymał stypendium i znalazł się w Oksfordzie, gdzie zasłynął jako dusza towarzystwa, a także, niemal w tym samym stopniu, jako zdolny student. Zostawszy doktorantem, zajął się tematyką mrocznych aspektów egzystencji w twórczości poetów metafizycznych. To właśnie wtedy, kradnąc czas poświęcony na badania naukowe, napisał „Krosna Penelopy”. Opublikowana książka odniosła ogromny sukces. Recenzent „Timesa” wyraził opinię: „Powieść zręcznie przeplata mit z rzeczywistością - jest triumfem pisarza”. Niedługo potem ukazało się następne, równie udane dzieło. Milo mógł już wówczas porzucić zaniedbaną pracę naukową, by zająć się wykładami na temat poezji współczesnej w Towarzystwie Edukacyjnym w Oksfordzie. Wykłady cieszyły się wielką popularnością i dużą frekwencją. Wiedział, że jest dobrym nauczycielem - nigdy nie korzystał z notatek, za to w sprzyjających okolicznościach często się zdarzało, że godzinna prelekcja spontanicznie rozwijała się w zupełnie nieoczekiwanym kierunku.

Milo nadal dwa razy do roku prowadził cykle wykładów, na które przychodziło wielu zainteresowanych. Już na początku swej kariery wykładowcy zauważył, że większość jego słuchaczy stanowią kobiety. Z pewnością nie można było ich zaliczyć do grona biednych pomocnic sklepowych czy urzędniczek spragnionych wyższej kultury. Na jego gawędy literackie przychodzili ludzie reprezentujący wszystkie środowiska. Byli wśród nich żonaci mężczyźni i zamężne kobiety, a także kawalerowie oraz wdowy. On sam, rozpoczynając pierwszy cykl wykładów, miał już żonę.

Zdarzali się studenci z Somerville lub College'u Świętej Hildy; inni mieszkali w domach z rodzicami, czekając na pojawienie się tej jedynej właściwej osoby. Pod koniec każdego wykładu otaczał go tłum zadających pytania, a wybrana grupka szła z nim na drinka do pubu Orzeł i Dziecko na ulicę St Giles. Rebecca nazwała jego słuchaczki Menadami Mila, przyrównując je do szalonych bachantek, tworzących orszak greckiego boga Dionizosa. Kiedy po raz pierwszy tak je określiła, patrząc przy tym wymownie na Mila, roześmiał się i przyznał, że bardzo trafnie to ujęła, ponieważ są hałaśliwe, źle ubrane i z pewnością nie mogą uchodzić za wcielenie kobiecych cnót. Potem pocałował żonę, zanim zdążyła cokolwiek dodać.

Ścieżka prowadziła wierzchem wzgórz, po czym lekko opadała ku lasowi rosnącemu po jednej stronie szkoły Meriel. Przed powrotem do Mili House Milo lubił przejść się pomiędzy drzewami.

Obok lasu znajdował się niewielki, okrągły staw, często wysychający w lecie. Zauważywszy tam jakiś ruch, Milo podszedł na skraj lasu i wyjrzał spomiędzy nagich gałęzi.

Jakaś dziewczyna jeździła na łyżwach. Była ubrana na czarno. Jej jasne włosy wysuwały się spod małego beretu i powiewały jak chorągiew. Milo stał urzeczoną. Przemknęło mu przez myśl, że jest świadkiem sceny, której z pewnością nie można określić mianem angielskiej. Nie była to nawet scena współczesna. Dziewczyna wydawała się bez reszty pochłonięta swym samotnym tańcem na lodzie. Płynna jazda i arabeski wprawiały ją w zachwyty.

Myślał, że go nie widzi, lecz w pewnej chwili zawołała:

- To pański pies?
- Tak. - Milo podszedł do brzegu. - Wabi się Julia.
- Bardzo ładne imię.

Złączyła stopy i podjechała ku niemu. Dopiero wtedy zobaczył, że jest zdumiewająco piękna. Miała mleczną cerę, zaróżowioną od mrozu, oczy o długich, ciemnych rzęsach i proste brwi.

- Ma pani psa? - spytał.

- Niestety, nie. - Uśmiechnęła się. - Za dużo podróżuję, ale w przyszłości chciałabym mieć. - Zatrzymawszy się na krawędzi ślizgawki, poklepała Julię. - Ma pan szczęście. Jest wspaniała.

- Bardzo żywa. Potrzebuje dużo ruchu. Dobrze, że lubię spacerować. Często tędy przechodzę. Ta ścieżka prowadzi przez las. - Wyciągnął rękę w kierunku Mili House. - Mieszkam w Little Morton, jakieś pięć kilometrów stąd.

- W takim razie chyba powinien pan już iść do domu. Później trudno będzie odnaleźć drogę w ciemności.

- Ależ nic podobnego! Znam tę okolicę jak własną kieszeń.

Nie potrafił określić barwy jej oczu w zapadającym zmierzchu. Były szare, a może orzechowe?

- Kiedy panią zobaczyłem, wydawało mi się, że zostałem przeniesiony w czasie do Rosji albo Wiednia z przełomu wieków. Przez chwilę myślałem, że jest pani duchem.

Roześmiała się.

- Nie jestem duchem. Istnieję naprawdę i jestem aż do bólu współczesna.

Z upodobaniem przyglądał się dziewczynie, oszołomiony jej urodą.

- Podczas jazdy na łodzi - powiedział - sprawiała pani wrażenie, że przebywa w innym świecie.

- Uwielbiam jeździć na łyżwach.

Mając wrażenie, że dziewczyna zamierza wrócić na łód, dodał szybko:

- Obawiam się, że spędzam zbyt wiele czasu przy maszynie do pisania. Jestem pisarzem. Nazywam się Milo Rycroft.

Wyciągnął rękę, dotknęła jej przelotnym gestem.

- O. Słyszałam o panu - oznajmiła, po czym oddaliła się drobnymi, płynnymi kroczkami.

Jej wycofanie się było jak cios wymierzony prosto w jego serce. Czuł się tak, jakby ją tracił.

- Jak się pani nazywa? - zawołał.

- Tessa Nicolson. - Uśmiechnęła się. - Do widzenia, panie Rycroft. Muszę się zbierać. Za chwilę wracam do Londynu.

Firma zajmująca się organizowaniem przyjęć przysłała nieodpowiednie ciasto, keks zamiast zamówionego biszkoptu cytrynowego, a Milo nie cierpiał keksów. Na domiar złego zatkał się ten cholerny odkurzacz. A poza tym gdzie się podziewał Milo? Mógłby naprawić odkurzacz, a w tym czasie



ona zadzwoniłaby do firmy dostarczającej ciasta. Powinien też zająć się drinkami.

Rebecca Rycroft podniosła słuchawkę i zatelefonowała do firmy. Rozmowa była bardzo krótka.

- Zamawiałam biszkopt cytrynowy. Podkreślałam, że bardzo mi na nim zależy - A po chwili spytała: - To znaczy, że jest tylko keks?

Z trzaskiem odłożyła słuchawkę na widełki, a wynajęta na przyjęcie dziewczyna wycierająca do połysku kieliszki, popatrzyła na nią z niepokojem.

Rebecce cieszyły niektóre aspekty przygotowań, ale szczerze nie cierpiała innych. Najbardziej lubiła układanie listy gości. Rycroftowie mieli wielu przyjaciół, więc kiedy postanawiali urządzić przyjęcie, Rebecca spędzała mnóstwo czasu na przeglądaniu notesu z adresami. Odpowiedni dobór gości był niezmiernie istotny. Uwielbiała tworzyć w myślach różne grupy ludzi, zastanawiać się, czy ta lub inna osoba może odpowiednio uatrakcyjnić wieczór. Czasami zaproszeni przez nią ludzie zaprzyjaźniali się, a nawet nawiązywali romanse. Oczywiście należało mieć też spokojnych, cichych gości - zbyt wielka liczba „dusz towarzystwa” mogła doprowadzić do katastrofy. Potrzebowała też nowych ludzi spoza grona młodych głupiutkich dziewcząt uczęszczających na wykłady Mila, chociaż musiała uczciwie przyznać, że i te dżierlatki odgrywały pozyteczną rolę, ubarwiając przyjęcie.

O ile przygotowanie listy gości niezmiernie bawiło Rebecce, o tyle upływający czas wprawiał ją w przerażenie. Niezależnie od tego, ile dni pozostało jeszcze do wyznaczonej daty, miała wrażenie, że jest już za mało

czasu, by dopiąć całość na ostatni guzik. Gdyby każdą rzecz mogła zrobić sama, z pewnością udałoby jej się wszystko należycie rozplanować, musiała jednak znaleźć kogoś do pomocy i zamówić potrawy. Często pracownice przysłane przez agencję okazywały się leniwe albo niekompetentne. Obecna pomocnica zaś była płaczliwa. Wystarczyło nawet jak najłagodniej zwrócić uwagę, by w jej oczach pojawiły się łzy. Rebecca sama wypolerowała sztucce po tym, gdy wskazała dziewczynie okruszek zaschniętego jedzenia na widelcu i zauważyła, że warga tamtej drży.

Na szczęście miała też do pomocy panią Hobbs. Pani Hobbs była regularną służącą Rycroftów. W tej chwili, po awarii odkurzacza, dziarsko czyściła szczotką dywan w holu. Po przyjęciach Rebecca i pani Hobbs zawsze razem paliły papierosy i piły herbatę w kuchni. Zazwyczaj były zbyt zmęczone, by prowadzić jakąkolwiek rozmowę, lecz łączyło je poczucie głębokiej ulgi, że już koniec i wszystko wypadło znakomicie.

Rebecca przypomniawszy sobie, że zawsze się denerwowała, a przyjęcia niezmiennie okazywały się niezwykle udane. Tym razem jednak mogło stać się inaczej. Miała powody do obaw. Milo mógł wpaść w zły humor z powodu keksu, służąca mogła dostać histerii w połowie wieczoru, a na dodatek Rebecca nie była całkiem zadowolona z nowej sukni w ulubionym, intensywnie czerwonym - broń Boże szkarłatnym! - kolorze. Kupiła ją w ulubionej pracowni krawieckiej w Oksfordzie, Chez Zelig. Dopasowana kreacja z miękkiej wełny podkreślała figurę. Czy w wieku trzydziestu ośmiu lat wypadało jeszcze nosić czerwone obcisłe sukienki?

Rebecca usiadła na podłodze i rozłożyła odkurzacza na części, powtarzając w myślach różne punkty z listy zadań do wykonania, zapisane

w pamięci. Koktajle, szampan, potem panowie mogą mieć ochotę na whisky. Zaplanowała zimny bufet, znacznie prostszy do przygotowania niż gorące posiłki, a poza tym goście lubili sami wybierać potrawy. Kurczak na zimno, szynka, paszteciki, rozmaite kanapki, sałatka jarzynowa, oliwki, chipsy ziemniaczane, solone migdały. Muzyka - trzeba pomyśleć o muzyce. Zazwyczaj to Milo wybierał płyty. Rebecca wstała, odchyliła zasłonę i popatrzyła przez okno. Było już prawie ciemno - gdzie też, do diabła, podziewał się Milo? Westchnęła z irytacją i wróciła do odkurzacza. Zajrzała do rury. Wydawało jej się, że coś w niej tkwi; znajdowało się jednak zbyt daleko, by dosięgnęła tego palcami. Zastanowiła się, czy nie udałoby się wyjąć tego widelcem do opiekania grzanek, okazał się jednak za krótki.

Wyszła z domu. Był mroźny, lecz piękny wieczór, z czystym niebem usianym gwiazdami. Oszroniona trawa chrzęściła pod stopami. Rebecca głęboko wciągnęła lodowate powietrze w płuca i poczuła, że opuszcza ją napięcie. Otworzyła szopę ogrodową, aby znaleźć tyczkę, na której latem piął się groszek. Po chwili ogarnęło ją jednak kolejne złe przeczucie. Styczeń to nie najlepszy miesiąc na przyjęcia - goście mogli odwołać przybycie z powodu śliskich dróg. Łatwo też było wtedy dostać przeziębienia lub grypy. Wprawdzie dotąd nikt nie zadzwonił, by powiadomić, że nie może przyjechać, niektórzy ludzie jednak, a zwłaszcza przyjaciele Mila, nie zaprzęтали sobie głowy takimi sprawami.

Rebecca sięgnęła po stojącą w rogu szopy tyczkę i wróciła do domu. Włożyła palik w rurę odkurzacza, wyciągnęła z niej swoją pończochę, otoczoną szarą powłoką kurzu i psią sierścią. Zniosła pończochę do prania, po czym złożyła odkurzacza i zawołała do pani Hobbs, że jest już sprawny. Potem zaczęła się przechadzać po pokojach, sprawdzając, czy wszystko

znajduje się na miejscu. Czasami nieznacznie poprawiała ułożenie abażuru, przesuwała świecę. Cmoknęła z niezadowoleniem, znalazłszy opakowanie od cukierka za jednym z krzeseł w holu. Szybko obrzuciła wzrokiem gabinet Mila, chcąc się upewnić, czy został posprzątaný albo czy panujący w nim nieład można przynajmniej uznać za atrakcyjny. Wyrównując linie grzbietów książek i układając papiery na biurku męża - dokonała jedynie bardzo niewielkich poprawek, wiedząc, że nie życzył sobie, by ktokolwiek dotykał jego rzeczy - zauważyła, że ostatnia strona maszynopisu nowej powieści wciąż ma numer sto siedemdziesiąt dziewięć. Biedny Milo, zawsze taki przygnębiony, gdy praca nie szła mu dobrze. Rebecca zasunęła roletę, wyszła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

W jadalni talerze i sztućce były już ułożone po jednej stronie stołu. Szkice wykonane tego ranka wciąż leżały na sekreterze, zebrała je więc pospiesznie. Ostatnio rzadko rysowała, ale dziś, gdy wspaniałe zimowe słońce zajrzało do pokoju, a Milo pracował w gabinecie, poczuła przemożną chęć uwiecznienia na papierze bukietów przebi-śniegów, które zerwała poprzedniego dnia. Przekartkowała szkice. Większość nadawała się do wyrzucenia, lecz jeden uznała za całkiem udany. Włożyła go do sekretery, po czym zgmiotła pozostałe. Nie powinna była marnować na nie czasu.

Popatrzyła na zegarek. Już po szóstej, goście powinni się zjawić za niecałą godzinę. Rebecca naląa sobie dzinu z cytryną i szybko pobiegła na górę do łazienki. Leżąc w gorącej wodzie i popijając dzin, czuła miłe odprężenie. Pomału zaczynała się cieszyć na myśl o przyjęciu. Z trudem zmusiła się do wyjścia z wanny - wolałaby dłużej poleżeć w wodzie - i energicznie wytarła się ręcznikiem. Już w szlafroku, przeszła do sypialni. Czerwona kreacja na wyściełanym wieszaku pyszniła się na tle drzwi szafy.

Rebecca krytycznie przyjrzała się sukni, przesuając dłońmi wzdłuż bioder. Na przyjęciu miało się pojawić kilka Menad Mila. Mąż bardzo na to nalegał. „Przychodzą sumiennie co tydzień na mój wykład i słuchają cierpliwie, jak plotę bzdury”, uzasadniał swój upór. Rebecca nie знаła jeszcze akurat tych Menad, lecz ich poprzedniczki najczęściej miały szczupłe, chłopięce sylwetki. Rebecca po raz ostatni prezentowała taką figurę w wieku czternastu lat.

Usiadła na stołku przy toaletce i popatrzyła w lustro. Z włosami dla ochrony związanymi chustką, bez makijażu, wyglądała jak bezbronna, zmokła kura. Uszczypnęła kąciki oczu, zastanawiając się, czy jej skóra zaczyna już wiotczeć. Potem uniosła głowę, by dokładnie przyjrzeć się twarzy. Zarówno Rebecca, jak i jej siostra Meriel panicznie się bały, że na starość będą miały szyję taką jak ich matka. Ściągną na szyi pani Fainlight wyglądały jak napięte sprężyny pod pomarszczoną skórą.

Sposepniała i pociągnęła spory łyk dzinu. Nazajutrz wraz z Meriel wybierały się do matki. Comiesięczne wizyty o boleśnie przewidywalnym przebiegu - czekanie w słabo oświetlonym, wolno stojącym domu w stylu edwardiańskim, aż matka będzie gotowa do wyjścia, krytyczne uwagi pani Fainlight na temat sposobu prowadzenia samochodu przez córkę, niezależnie od tego, która siedziała za kierownicą - działały potwornie przygnębiająco. Rebecca powiedziała kiedyś Meriel, że chociaż są zupełnie różne i niewiele je łączy; obie, każda na swój sposób, stanowią rozczarowanie dla matki. Można było iść o zakład, że pani Fainlight będzie niezadowolona z wybranej przez córki restauracji. Potem wracały do domu w Abingdon, gdzie panowała pełna napięcia cisza, przerywana skrzypieniem podłóg pod krokami starej służącej, a herbata, choć pochodziła z Cejlonu, miała dziwny

smak. Wizyty okazywały się wyjątkowo męczące. W pewnym momencie pani Fainlight zawsze mówiła: „Skoro żadna z moich córek nie uznała za stosowne obdarzyć mnie wnukiem...”. Owa kwestia, ze względu na swą powtarzalność, czasami przyprawiała Rebeccę i Meriel o wybuch szybko tłumionego, histerycznego śmiechu, niemniej jednak niezmiennie je raniła.

Te słowa były niezwykle okrutne zwłaszcza dla biednej Meriel. Meriel, dwa lata starsza od Rebekki, straciła szanse na macierzyństwo w 1916 roku, gdy jej narzeczony, David Rutherford, zginął w bitwie pod Sommą. Meriel należała do pokolenia kobiet, dla których po prostu nie starczyło mężczyzn. Po śmierci Davida kochała tylko jednego przedstawiciela płci męskiej, doktora Hughesa, dbającego o zdrowie dziewcząt w szkole. Doktor Hughes był żonaty i, jeśli Rebecca się nie myliła, nie miał pojęcia o uczuciu Meriel. Spotkała go tylko raz. Był to spokojny, czterdziestokilkuletni mężczyzna, łysiejący, o rumianej twarzy. Rebecce trudno było zrozumieć starannie skrywaną miłość siostry. Pewnego razu, wypiwszy zbyt wiele martini, powiedziała Milowi o Meriel i doktorze Hughesie, lecz zaraz srodze tego pożałowała. Milo uznał całą sytuację za niezwykle zabawną, a Rebecca, bardzo przywiązana do siostry, zawstydziała się tego, że wyjawiała jej tajemnicę. Od tamtej pory stale towarzyszyła jej obawa, że Milo opíše tę historię w jednej ze swych powieści, nie troszcząc się zbytnio o ukrycie szczegółów.

Ona i Milo nigdy nie chcieli mieć dzieci. No, nie całkiem było to prawdą. To Milo nigdy nie chciał mieć dzieci i w ogóle się nimi nie interesował, choć gdyby tuż po ślubie, kiedy Rebecca ledwie przekroczyła dwudziestkę, oznajmił: „Chciałbym mieć sześciuosobową rodzinę”, zapewne by się na to zgodziła. Była w nim zakochana bez pamięci -

cokolwiek powiedział, wydawało jej się mądre, i zawsze dbała, by we wszystkim doskonale się zgadzali.

Prawdę jednak mówiąc, podjęli dobrą decyzję. Z początku cierpieli niedostatek i dziecko oznaczałoby walkę o przetrwanie, a potem, kiedy Milo odniósł sukces, nie znajdowali już w swoim życiu miejsca na dzieci. Bycie Milem i Rebeccą Rycroftami, niezwykle parą, budzącą powszechną zazdrość, pochłaniało wiele czasu i energii. Wprawdzie z upływem lat przestali uważać, mimo to jednak Rebecca nie zaszła w ciążę.

Ostatnio czasami żałowała, że nie postarali się choćby o jedno dziecko. Wyobrażała sobie syna, inteligentnego, błyskotliwego i przystojnego jak Milo. Miałby po niej zielone oczy, które przed laty tak oczarowały Mila na balu w Klubie Artystów w Chelsea. Daliby mu na imię Oscar lub Archie i z pewnością byłby samodzielnym chłopcem, zadowolonym z wyjazdu do internatu na początku semestru, lecz z równą radością powracającym do domu do rodziców.

Gdzie się podziewał Milo? Rebecca kolejny raz spojrzała na zegarek, poirytowana i zaniepokojona. Ostatnio zawsze się zamartwiała, nie wiedząc, gdzie w danej chwili jest jej mąż. We wczesnych latach małżeństwa, kiedy przyłapywała go na tym, że poświęcał zbyt wiele czasu jakiejś kobiecie, dochodziło do potężnych kłótni. Krzyczeli, przeklinali, a kiedyś nawet Rebecca rzuciła w Mila masel-niczka, trafiając go w skroń. Został mu po tym ogromny siniak, a ona czuła się potwornie winna. Było jednak coś zabawnego i podniecającego w tak wielkiej intensywności uczuć. Pojednaniom i przeprosinom za wybuchy zazdrości towarzyszyła niezwykle namiętna miłość fizyczna, coraz mocniej ich wiążąca.

To wszystko należało już jednak do przeszłości. Od pewnego czasu ich kłótnie przestały działać oczyszczająco i pozostawała po nich jedynie gorycz. Rebecca obawiała się, że Milo nie pragnie jej już tak jak dawniej. We wczesnych latach małżeństwa zrobiłby dla niej wszystko. Podczas ich pierwszego wspólnego lata każdego dnia wręczał jej czerwoną różę. Nie mieli wtedy pieniędzy, a niektóre z róż wyglądały tak, jakby pochodziły z czyjegoes ogródka, nie z kwiaciarni, lecz doceniała te romantyczne gesty.

Ich życie zmieniało się z upływem lat. Sukces „Krosien Penelopy” i kolejnych powieści umożliwił im kupno Mili House. Na początku wspólnie planowali wszystkie przeróbki w domu, a nawet samodzielnie wykonali niektóre prace. Wiele najpiękniejszych wspomnień Rebekki pochodziło z okresu, gdy razem malowali listwy przypodłogowe i kładli tapety.

W miarę jak kariera Mila nabierała tempa, pozostawało mu coraz mniej czasu na sprawy domowe, tak więc to Rebecca wybierała tapety i wzywała hydraulika, gdy przeciekała rura. W Mili House był duży ogród, który stał się jej królestwem. Coraz większa część życia Mila przebiegała bez udziału żony. Jeździł do Londynu na lunchy i przyjęcia, na które nie była zapraszana. Pisano o nim w gazetach, a od czasu do czasu proszono o rozmowę w radiu. Czasami Rebecca miała wrażenie, że nie nadąża za mężem.

Owszem, wiedziała, że na pierwszy rzut oka jej życie mogło budzić zazdrość. Cztery lata temu wszakże Milo miał romans z jedną ze studentek. Zakończył go, gdy tylko Rebecca się o tym dowiedziała, zapewniał ją, że to nie miało żadnego znaczenia i uległ jedynie chwili słabości - dziewczyna rzuciła się na niego, a tego dnia trochę za dużo wypił, to wszystko.



Wszystko? Niewierność Mila wywróciła jej świat do góry nogami. Ich kłótnia była okropna; nie szczędzili sobie złościwości i wymysłów, dotkliwie raniąc się nawzajem. Przez miesiąc Rebecca prawie się nie odzywała do męża, a jeszcze długo potem bała się spuścić go z oka. Poważnie zwątpiła w swą atrakcyjność. Chociaż z czasem męskie spojrzenia i komplementy przywróciły jej wiarę w to, że wciąż może się podobać (chodziło jej tylko o uznanie i podziw, nigdy o coś więcej, jako że pragnęła jedynie Mila), przybył jej kolejny czuły punkt. Jeśli coś podobnego znów by się zdarzyło, mogła się załamać. Nie rozmawiali o rozwodzie, lecz truchlała na samą myśl o tym, że Milo mógłby ją zostawić. Kochała go i podziwiała, był jej potrzebny. Kim byłaby bez niego? Wiedziała, że nie jest tak mądra i zdolna jak mąż ani, oczywiście, tak sławna; jeśli więc jej jedyne zalety, czyli uroda i atrakcyjność seksualna, znikną wraz z wiekiem, z jakiego powodu miałby przy niej zostać?

Udało im się przetrwać kryzys. Milo okazał skruchę, a Rebecca uznała w końcu, że jego żal za grzechy jest szczery. Sześć miesięcy po odkryciu zdrady spędzili długie wakacje we Francji, w Lot, i tam, ciesząc się cudownym spokojem oraz blaskiem słońca, odnaleźli część dawnej namiętności. Na pozór znów stali się dawnymi Rycroftami - zakochaną parą odnoszącą sukcesy i budzącą zazdrość. Rebecca wiedziała jednak, że coś się zmieniło. Podświadomie zaczęła pilnować męża, choć wiedziała, że tego nienawidził. Zachowywała niezwykłą czujność, bo nie potrafiła się pozbyć wrażenia, że bezpowrotnie utracili dawną równowagę. Z czasem skrucha Mila przeszła w pozornie skrywane, nieokreślone pretensje.

Przerwała te rozmyślenia i postanowiła skoncentrować się na makijażu. W wieku dwudziestu paru lat nie zawracała sobie głowy stosowaniem

podkładów i pudru, teraz jednak doszła do wniosku, że powinna ich używać. Nigdy nie malowała oczu, wiedząc, że jej podwinięte, smolście czarne rzęsy nie potrzebują upiększeń. Zdjęła z wieszaka czerwoną suknię, włożyła ją przez głowę, wygładziła tkaninę na biodrach i poprawiła ramiączka. Delikatnie obwiodła wargi szminką, po czym odwiązała chustkę i gęste ciemne włosy spłynęły kaskadą na ramiona.

Na dole trzasnęły drzwi.

- Hej, kochanie! Gdzie jesteś?

Przygotowuję się do przyjęcia, które zacznie się za piętnaście minut, pomyślała ze złością.

Słyszała, jak Milo wbiega na piętro. Drzwi sypialni otworzyły się i stanął w progu. Popatrzył na Rebeccę, nie kryjąc zaskoczenia.

„Gdzie byłeś?“, miała ochotę zapytać, lecz ją uprzedził, mówiąc:

- Boże, wyglądasz wspaniale.

- Naprawdę? Podoba ci się?

- Bardzo.

Jej wątpliwości dotyczące stroju na wieczór natychmiast się rozwiały. Kiedy ją pocałował, drgnęła.

- Milo, jesteś zimny jak lód!

- Jest piekielnie zimno.

- A co ty tak długo robiłeś na dworze?

- Spacerowałem. - Uśmiechnął się szelmowsko. - Doszedłem do wniosku, że po spacerze będę miał lepszy apetyt.

Delikatnie musnął jej szyję chłodnymi wargami. Rebecca wydała odgłos, wyrażający zadowolenie.

-Moja suknia... - zaprotestowała nieśmiało, lecz zdążył już chwycić ją w ramiona. Pachniał mroźnym zimowym powietrzem. Wsunął ręce pod suknię. Rebecca westchnęła rozmarzona.

Rozległ się dźwięk dzwonka u drzwi, ale Milo nie przestawał jej całować, dopóki nie upomniała go szeptem:

- Kochanie...

- Do diabła - powiedział. - To na pewno Charlie i Glyn. Zawsze zjawiają się za wcześnie.

Rozbawieni, wymienili porozumiewawcze spojrzenia; Rycroftowie kontra reszta świata.

Charlie i Glyn Masonowie zawsze przychodzili pierwsi, a wychodzili ostatni. Milo poznał Charliego podczas wojny Służyli w tym samym pułku i na początku obaj szczęśliwie stacjonowali daleko za linią frontu, gdy toczyła się krwawa bitwa pod Passchendaele. Dzień przed skierowaniem ich regimentu na linię frontu, Milo uległ wypadkowi samochodowemu. Odniesione obrażenia sprawiły, że został odesłany do szpitala w Anglii, a potem jeszcze spędził sporo czasu w domu dla rekonwalescentów. Wciąż miał białą bliznę na czole. „Zostałem ranny na wojnie”, mówił, ilekroć ktoś o nią pytał. Tak więc tylko Charlie doświadczył wojny na polu bitwy i w okopach. Milo czasami, choć niezbyt często, zazdrościł mu tych przeżyć.

Obecnie Charlie był właścicielem trzech przedstawicielstw handlu samochodami, jednego w Oksfordzie i dwóch w Londynie. Chociaż ich życiowe ścieżki się rozeszły, Milo i Charlie pozostali przyjaciółmi. Charlie poślubił Glyn kilka lat przed tym, jak Milo ożenił się z Rebeccą. Byli друзbami na swoich ślubach. Milo uważał, że Glyn Mason ma w sobie coś z mężczyzny. Jej imię było skrótem od bardziej kobiecego imienia Glynis, miała krótko przycięte kręcone, popielatoblond włosy, opaloną twarz i sprężyste, żyłaste ciało ze śladowym biustem i ledwie zaznaczoną linią bioder. Gdy włożyła spodnie albo tenisowe szorty (był z niej prawdziwy szatan na korce), do złudzenia przypominała wyglądem nastoletniego chłopca. Milo często się zastanawiał, jak czułby się w łóżku z Glyn. Spodziewał się sporej dawki przyjemności, choć z pewnością żona Charliego nie byłaby tak miękka i kojąca jak Rebecca. Oczywiście nigdy nie próbował uwieść Glyn - nie mógłby tego zrobić staremu koledze. Rycroftowie i Masonowie często spotykali się na kolacjach, panie również uchodziły za przyjaciółki, chociaż Milo wyczuwał, że Rebecca i Glyn bardzo się różnią i utrzymują pozornie serdeczne stosunki głównie dla wygody. Poza tym Rebecca nie przepadała za kobiecymi przyjaźniami.

Milo zaczął żałować, że napił się z Charliem whisky po wyjściu pozostałych gości. Whisky najczęściej przyprawiała go o ból głowy. Poza tym zaniepokoiło go to, co powiedział mu przyjaciel. W pewnej chwili zapytał Mila, czy razem z żoną przyjdzie na sobotni lunch z okazji urodzin starszej córki, Margaret.

- Wygląda na to, że będziemy musieli też zaprosić jej chłopaka - dodał Charlie.

- Chłopaka - powtórzył machinalnie Milo, zanim zdążył ugryźć się w język.

- Trudno jest wydusić z niego jakiegokolwiek słowo - ciągnął Charlie. - Siedzi i rozgląda się dookoła jak przerażony królik.

- Chłopak - powiedział znów bezmyślnie Milo.

Charlie popatrzył na niego, rozbawiony, i przypomniał,

że Margaret ma siedemnaście lat i że Glyn była jedynie o rok starsza, gdy się pobrali.

Milo zmusił się do opanowania, a nawet wygłosił kilka sensownych komentarzy. Przeżył jednak szok, dowiedziawszy się, że Margaret Mason, która wciąż wydawała mu się małą dziewczynką, ma już chłopaka. Być może za rok Charlie wyda córkę za mąż, a po upływie kolejnego roku zostanie dziadkiem. Byli rówieśnikami, więc to samo mogło dotyczyć także i jego, gdyby on i Rebecca mieli dzieci. Za dwa lata stuknie mu czterdziestka, wciąż jednak uważał, że jest młody.

Teraz, myjąc zęby w łazience o wpół do drugiej w nocy, dziękował w duchu Bogu za to, że nie mają dzieci.

Pojawienie się na świecie nowego pokolenia wyjątkowo boleśnie uświadamiało proces przemijania. Rodzicielstwo postarza - Milo uznał, że wygląda młodziej niż siwiejący Charlie.

Wypluł rozwodnioną pastę do umywalki i przepłukał usta, po czym odkręcił kran z zimną wodą i opryskał nią twarz. Rebecca lubiła kochać się po przyjęciach, a chociaż wolałby teraz być sam, by w spokoju przemyśleć

wydarzenia dnia, wiedział, że nie ma na to szans. Pozwoliła sobie na nieco uszczypliwą uwagę na temat jego rozmowy z Grace King, choć nie było powodu do obaw - Grace, zajmująca na jego wykładach miejsce w jednym z pierwszych rzędów, śmiała się jak idiotka, ukazując królicze zęby.

Wrócił do sypialni. Rebecca wciąż miała na sobie czerwoną sukienkę. Siedziała przy toaletce i wklepywała krem w policzki. Podeszedł do niej i ścisnął jej ramię. Przyłożyła policzek do jego ręki, zostawiając na dłoni odrobinę tłuszczu.

- Jesteś zmęczona? - spytał.
- Mmm. Wyczerpana. Ale przyjęcie się udało, prawda?
- Myślę, że to jedno z najlepszych.
- W końcu musiałam ich prawie wypchnąć za drzwi.
- To tylko zaostrza apetyt. Dzięki temu wciąż chcą tu wracać.

Rozpiął suwak z tyłu sukni. Rebecca przestała nakładać krem, westchnęła cichutko i zamknęła oczy. Przeżył chwilę niepokoju, zastanawiając się, czy będzie umiał wzbudzić w sobie odpowiednie emocje, jednak gdy wsunął ręce pod tkaninę i zaczął gładzić piersi żony, oczami wyobraźni ujrzał łyżwiarkę na stawie. Natychmiast ogarnęło go silne pożądanie.

Potem nastąpiło wspaniałe, cudowne zakończenie udanego wieczoru. Rebecca, jak zawsze, była namiętą, czułą kochanką. Kwadrans później leżeli obok siebie na pościeli, wyczerpani i spełnieni.

Kiedy odzyskał oddech, popatrzył na żonę. Miała zamknięte oczy; pomyślał, że śpi. Cicho, ostrożnie wstał i włożył szlafrok.

Gdy otwierał drzwi, zapytała:

- Gdzie idziesz?
- Mam pomysł do wykorzystania w książce.
- Chodzi o tomik poezji?
- Nie, o powieść.
- O, Boże. - Skuliła się i przymknęła powieki.

Milo zszedł na parter. W kuchni sięgnął po szklankę i nalał sobie wody, wspominając przy tym niektóre epizody z przyjęcia. Pokłócił się z Godfreyem Warburtonem, który uważał, że naród angielski degeneruje się i traci czystość rasy z powodu napływu uchodźców z Europy. Milo przypomniał Godfreyowi, że w ciągu wieków Anglia stała się drugim domem dla licznych fal imigrantów. Godfrey popatrzył wtedy na niego z wyższością i powiedział: „Ale to już historia, chłopie. Teraz mamy inną sytuację”. Zdegenerowaną rasą, którą miał na myśli Godfrey, byli, oczywiście, Żydzi. Milo wolałby nie zapraszać na przyjęcia Godfrey, zagorzałego nacjonalistę, często przybierającego protekcyjny ton; niestety, Warburton był niezwykle wpływowy. Pisywał artykuły do „Listenera” i często zapraszano go do BBC. To właśnie dzięki Godfreyowi Warburtonowi Milowi proponowano wywiady w radiu.

Wziął szklankę z wodą do gabinetu i usiadł przy biurku. Przez cały wieczór podświadomie czekał na tę chwilę, chcąc w spokoju zastanowić się

nad tym, co mu się przydarzyło. Gdyby mógł chwycić jakąś chwilę i zatrzymać ją w czasie, zamrozić jak lód, wybrałby tę, gdy wyrzął zza drzew i zobaczył dziewczynę, tańczącą samotnie na lodzie. Ogarnęła go dziwna tęsknota. Ta dziewczyna uzmysłowiła mu, że czegoś dotkliwie brakuje w jego życiu.

Kiedy już się z nim pożegnała, przejechała na drugą stronę ślizgawki i ostrożnie wyszła na trawę przy brzegu, gdzie obok ławki stała para ozdobionych futerkiem butów. Wsunąwszy ręce do kieszeni - zdążył już wtedy przemarznąć do szpiku kości - Milo okrążył staw i podszedł do ławeczki.

- Często bywam w Londynie - zwrócił się do panny Nicolson. - Może zechciałaby pani spotkać się ze mną na drinka?

Właśnie rozsznurowywała buty z łyżwami. Włosy opadły jej na twarz i nie potrafił niczego z niej wyczytać.

- Dobrze - odpowiedziała po chwili. - Z przyjemnością.

Ogarnęło go uczucie triumfu.

- Gdzie mogę panią znaleźć?

Wstała i wsunęła łyżwy pod pachę.

- Och, z pewnością mnie pan znajdzie. Czytuje pan „Vogue'a”, panie Rycroft?

- Niestety, nie.

- Być może pan powinien - powiedziała na odchodnym i ruszyła przed siebie po oszronionej trawie.



Milo odprowadzał ją wzrokiem, dopóki nie zniknęła mu z oczu, po czym zagwizdał na Julię i rozpoczął długi, uciążliwy marsz do Mili House. Tessa Nicolson miała rację: trudno było znaleźć ścieżkę w ciemności. Skręcił kostkę w jakimś zagłębieniu i wpadł w ciernistą gęstwinę. Ręce i stopy miał tak zimne, że bał się odmrożenia.

Przerażało go, że mógłby zgubić drogę. Poczul wielką ulgę, ujrawszy w dole oświetlone okna Mili House.

Wspomnienie dziewczyny na lodzie towarzyszyło mu przez cały wieczór. Miał przed oczami jej urodziwą twarz, na której malowało się tak wiele uczuć, jej zachwyty. W swym samotnym tańcu zapomniiała o całym świecie. Była tak piękna, tak pełna życia. Kilka lat temu, spędzając wakacje na zachodnim wybrzeżu Szkocji, obserwował orła, szybującego nad skałami. Tessa Nicolson przypominała mu tamtego majestatycznego ptaka.

A jednak, nawet w tej chwili, słowa zaczynały układać się w spójną całość w jego głowie, odpychając obraz dziewczyny.

Milo uniósł kilkanaście stron tekstu, przedarł je na pół i wrzucił do kosza. Potem, odkręcił skuwkę wiecznego pióra i zaczął pisać.

Tessa jechała ze szkoły Freddie do Londynu tak szybko, że spóźniła się tylko trzy kwadransy na kolację z Paddym Collisonem. Po posiłku zamówili drinki, a później zjawili się kilku przyjaciół i wszyscy razem poszli do nocnego klubu na Piccadilly.

Obecnie dochodziła trzecia nad ranem, a ponieważ w klubie było gorąco, Tessa wyszła na zewnątrz na papierosa. Niektórzy ludzie skłonni byliby uznać sytuację, jaka wytworzyła się tego wieczoru, za zbyt skomplikowaną -

w jednym miejscu zgromadziło się o tej samej porze kilku byłych kochanków Tessy i liczne grono wielbicieli, ona jednak uwielbiała podobne emocje. Chciała, by jej kochankowie, podobnie jak ona, uważali miłość za wspaniałą, radosną grę, której nie należy traktować zbyt serio.

To właśnie z tego powodu chodziła do łóżka z mężczyznami od niej starszymi. Na przykład taki Raymond Leavington miał trzydzieści trzy lata, o piętnaście więcej niż Tessa, kiedy zostali kochankami. Tessa poznała go kilka miesięcy po opuszczeniu Westdown School i przyjeździe do Londynu. W tym samym czasie rozpoczęła karierę modelki.

Romans Tessy i Raya trwał sześć miesięcy. Raymond był wtedy nieszczęśliwy w małżeństwie z drugą żoną, Dianą. Chociaż Tessa doskonale zdawała sobie sprawę, że wiele osób potępiłoby ją za sypianie z żonatym mężczyzną, uznała, że ma czyste sumienie. Prawdę mówiąc, nigdy nie próbowała nikogo uwieść. Nie uważała się za kusiciel-kę; po prostu była sobą. Nie zamierzała niczego udawać - dobrze wiedziała, że podoba się mężczyznom, a ich hołdy sprawiały jej radość, dbała jednak, by inicjatywa zawsze była po drugiej stronie. Od początku wyraźnie dawała do zrozumienia, że nie szuka trwałego związku. Nie potrafiła znieść myśli, że ktoś mógłby ją usidlić. Była świadoma tego, że sypianie z mężczyznami wiąże się z pewnym ryzykiem, starała się zachować ostrożność; mimo to kilka razy obawiała się, że jest w ciąży. Na szczęście lęki okazały się bezzasadne.

Ray był kochany i poczciwy. Po zakończeniu romansu pozostali przyjaciółmi. Tessa wolała takie rozwiązania. Trudno jej było poważnie traktować to, co nazywała scenami - protesty i zapewnienia o wiecznej

miłości, wyznania, że bez niej życie nie ma sensu. Starła się utrzymywać dobre stosunki z byłymi kochankami, uważała to za dowód kultury i klasy. Nie chciała nikogo ranić ani sama cierpieć. Bardzo bolało ją rozstanie z Guidem Zanettim. Cierpiała tym bardziej, że Guido nie odpowiadał na jej listy miłosne, pisane z Anglii. Po pewnym czasie, nie doczekawszy się odpowiedzi, przestała pisać i zaczęła postrzegać romans z Guidem w rzeczywistych barwach. Starszy syn Domenica Zanettiego nigdy, przenigdy, nie otrzymałby zgody na poślubienie córki kochanki swojego ojca.

Christina i Domenico musieli się zorientować, że młodzi są w sobie zakochani. Nie wymagało to zresztą wielkiej przenikliwości. Mama odesłała ją i Freddie do szkoły w Anglii właśnie z powodu Guida. Tego ostatniego lata we Włoszech zapomnieli o ostrożności, bez reszty zajęci sobą. Myśleli wyłącznie o tym, jak znaleźć się gdzieś tylko we dwoje. Każde pięć minut z dala od uważnego wzroku matek i przyzwoitek sprawiało im wielką radość. Pół godziny wprowadzało oboje w stan ekstazy. Podczas pikników i rodzinnych wycieczek oddalali się od reszty, by się całować i pieścić w jakiejś dolince lub w cieniu ruin etruskich murów.

W owym czasie astma pani Nicolson przeszła w stan chroniczny. Matka oddychała z widocznym trudem i Tessa nie zamierzała jej się przeciwstawiać. Poza tym nie mogła dopuścić, by Freddie sama wyruszyła w podróż do Anglii. Wyjeżdżając z Włoch, czuła dojmującą pustkę i gorycz. Towarzyszyło jej przekonanie, że traci wszystko, co jest jej drogie. Potem znalazła się w kraju mgieł, deszczu i opadających liści. Nienawidziła szkoły i tego, że jest traktowana jak dziecko. Nic jej nie łączyło z innymi dziewczętami. Nocami, w sali sypialnej, dzielonej z pięcioma innymi uczennicami, płakała z tęsknoty za ukochanym.

Tak więc znalazła się w Londynie. Bardzo brakowało jej Guida. Był to jeden z powodów, dla których poszła do łóżka z Raymondem Leavingtonem. Myślała wtedy, że ten romans pomoże jej zapomnieć o tamtym. Oczywiście były też i inne powody - dobroć Raymonda, jego hojność, żywiołowość i radość życia. Po Raymondzie w jej życiu pojawił się André, spotkany w Paryżu podczas sesji zdjęciowej. André był bardzo bogaty, przystojny i zabawny. Miał jacht w Cannes i samochód wyścigowy w Le Mans. To właśnie André sprezentował jej mg na dziewiętnaste urodziny. Oboje prowadzili aktywne życie, lecz André był żonaty i musieli dbać o zachowanie dyskrecji. Ich romans trwał z przerwami osiemnaście miesięcy.

Tessa potrafiła być dyskretna. Nie lubiła babskiej paplaniny. Wiedziała, że ludzie plotkują na jej temat, lecz wcale jej to nie obchodziło; natomiast nigdy nie rozmawiała z nikim, nawet z Freddie, o swoich przygodach. Uważała, że to, co się dzieje między kochankami, jest wyłącznie ich sprawą. Czasami pozwalała, by inni zabawiali się zgadywankami na jej temat i podsycala ciekawość znajomych.

Po rozstaniu z André pojawili się kolejni. Rok temu Tessa spotkała Maksa Fischera. Max był sławnym fotografem w Berlinie do czasu dojścia nazistów do władzy w 1933 roku. Był Żydem i nie krył swej niechęci do nowego reżimu. W 1935 roku musiał opuścić Niemcy, by uniknąć aresztowania lub jeszcze gorszego losu. Max szybko stał się ulubionym fotografem Tessy. Inteligentny, dowcipny, mógł służyć za wzór idealnego kochanka - był czuły, pomysłowy i zawsze dbał, by zachować część swego niezależności.

Tessa wkrótce odkryła, że Max starannie skrywa melancholijne usposobienie. Czasami za dużo pił, co zdarzało się wielu mężczyznom, niepokoiło ją jednak to, że pił sam w swym mieszkaniu i wychodził z niego dopiero po kilku dniach, blady i roztrzęsiony. Ironiczne uwagi Maksa tuszowały głębokie rozczarowanie rzeczywistością. Tym razem Tessa czuła się całkowicie bezradna. Wyczuwała rozpacz Maksa, lecz nie potrafiła go zrozumieć. Wciąż pozostawali przyjaciółmi i od czasu do czasu chodzili do łóżka ze względu na dawną zażyłość.

Kilka miesięcy po zerwaniu z Fischerem Tessa poznała Juliana Lawrence'a. Chociaż był zabójczo przystojny i nie krył uwielbienia dla niej, uznała tę znajomość za pomyłkę. Jules przysyłał jej pretensjonalne i absurdalnie kosztowne prezenty, na które - o czym wiedziała - nie było go stać. Niezmiennie je odsyłała. Bardzo szybko zamarzyły mu się zaręczyny, ślub, dzieci. Nawet nie próbował jej zrozumieć, kiedy odrzuciła jego oświadczyzny. Ich rozmowa przerodziła się w potok wzajemnych oskarżeń. Zbyt młody i nieznośnie poważny, urządził potworną scenę w dniu, w którym Tessa zerwała znajomość.

Mężczyźni tacy jak Julian Lawrence zapewne uznawali ją za podłą sukę, gdy mówiła im prawdę, i dochodzili do wniosku, że kariera jest dla niej ważniejsza niż związek z mężczyzną. I tak naprawdę rzecz się miała. Tessa uwielbiała swoją pracę i zdawała sobie sprawę, że jest dobra w tym, co robi. Zawsze interesowały ją stroje. Wiedziała, że są ważne, bo dają kobiecie pewność siebie, tak potrzebną, by znaleźć swe miejsce w życiu. Umiała odpowiednio zaprezentować sukienkę i sprawić, że fotografie przykuwały uwagę patrzących. Kochała w swoim zawodzie wszystko, a najbardziej cieszyła ją możliwość podróżowania. Trzy razy płynęła do Nowego Jorku

statkiem, a kilka miesięcy w roku spędzała w Paryżu. Ostatnio poleciała tam niewielkim samolotem, który wylądował na pasie aerodromu Le Bourget, podskakując jak puch ostu.

Kariera Tessy była jednym wielkim pasmem sukcesów od chwili podpisania pierwszej umowy z agencją. Zaczęła prezentować stroje w domach mody i na pokazach. Pracowała dla Chanel, Molyneux i Schiaparelli, a od niedawna była rozchwytywana jako modelka do sesji zdjęciowych. Wciąż pokazywała się na wybiegu, wołała jednak pozować do fotografii. Wtedy mogła się odwołać do swych zdolności aktorskich. Londyńskie, paryskie i nowojorskie wydania „Vogue'a” zamieszczały jej zdjęcia w artykułach o modzie. Podobał jej się sposób, w jaki zręczny i pomysłowy fotograf, taki jak Max Fischer, potrafił przeobrazić ją w zupełnie inną osobę.

Prowadziła barwne, ekscytujące i urozmaicone życie. Miała wysokie dochody, a w poprzednim roku zarobiła ponad tysiąc funtów. Projektanci dawali jej piękne stroje, a Coty obdarowywała ją perfumami i kosmetykami. Była twarzą tej firmy w kampanii reklamowej. Wydawała mnóstwo pieniędzy, nie zaprzatając sobie głowy oszczędzaniem. Pragnęła żyć chwilą. Mimo że otrzymywała liczne propozycje małżeństwa, nie miała zamiaru przyjmować oświadczeń któregośkolwiek ze starających się o jej rękę. Dlaczego miałyby myśleć o małżeństwie, skoro nie brakowało jej dóbr materialnych, a do tego mogła sobie pozwolić na niezależność? Życie we dwoje wymagało kompromisów i poświęceń, a te nigdy jej nie interesowały. Chciała być bogata i sławna, by pozwolić sobie na podróże i szykowne stroje, i uważała, że małżeństwo przeszkodziłoby jej w realizacji tych

planów. Mężowie lubili dyktować żonom, co mają robić. Nie zamierzała nikomu dać takiego prawa.

Jej obecnym kochankiem był Paddy Collison. Spotkali się na torze wyścigowym w Newmarket - Paddy kochał wyścigi konne. Był wysoki i dobrze zbudowany, miał rudawe włosy, czujne piwne oczy, mocno zarysowane szczęki i wargi o stanowczym wykroju. Paddy spędził większość życia za granicą, zarządzając plantacjami herbaty najpierw w Indiach, potem w Kenii. Cechowała go pewność siebie mieszkańca kolonii i miał skłonność do niekonwencjonalnych zachowań.

Tessa podziwiała w nim przede wszystkim odwagę. Paddy kusił los, śmiało stawiał czoło niebezpieczeństwu. To właśnie on zabrał ją samolotem do Paryża. Uwielbiał latać, jeździć konno, polować, pływać łodzią i kąpać się we wzburzonym morzu. Przyjmował wszystkie wyzwania.

Tessa dostrzegała podobne cechy u siebie. Podczas gdy inne modelki narzekały na łaskotanie w żołądku przed pokazem mody, ona nigdy nie była zdenerwowana. Cieszyła się, mogąc prowadzić wyścigowy samochód André na torze Le Mans, a lot do Paryża wspominała jako ekscytującą przygodę.

Uniosła wzrok ku rozgwieżdżonemu niebu. Niemal bez przerwy otaczali ją ludzie... może dlatego tak bardzo ceniła chwile samotności? Przypomniała sobie staw za szkołą Freddie. Tam mogła cieszyć się wolnością, kreśląc koła na lodzie. Wtedy także zapadał zmierzch i na niebie pojawiły się gwiazdy.

Pomyślała o Milu Rycrofcie. Był bez wątpienia przystojny, z tymi jasnymi potarganymi włosami i opadającymi powiekami. „Kiedy panią zobaczyłem, wydawało mi się, że zostałem przeniesiony w czasie do Rosji

albo do Wiednia z przełomu wieków. Przez chwilę myślałem, że jest pani duchem". Dziwne słowa, a jednak urzekł ją stworzony przez niego obraz.

Tessa rzuciła papierosa na niewielki dziedziniec i przycisnęła niedopałek podeszwą buta na wysokim obcasie. Wracając do klubu, zastanawiała się, czy spotka jeszcze kiedyś Mila Rycrofta. Miała nadzieję, że tak się stanie.

## **Rozdział 2**

W przypływie natchnienia, w ciągu zaledwie ośmiu tygodni Milo skończył swą powieść „Złamana tęcza”. Zawsze osobiście zanosił gotowe teksty wydawcy, Rogerowi Thodayowi. Milo i Roger od lat mieli swój utrwalony tradycją, sympatyczny rytuał. Milo wsiadał w pociąg w Oksfordzie i późnym rankiem zjawiał się w gabinecie Rogera przy Golden Square. Szli na lunch do Café Royal, pili szampana z okazji dostarczenia maszynopisu, zamawiali wino do posiłku i kończyli spotkanie kilkoma kieliszkami brandy.

Milo powiedział Rebecce, że zostanie na noc w Londynie. Chciał odwiedzić przyjaciela, który po operacji nie wychodził z domu, a poza tym zamierzał przeprowadzić kwerendę biblioteczną w British Museum.

Mówił prawdę, lecz chodziło mu także o Tessę Nicolson, która wciąż pojawiała się w jego myślach. Milo nie skontaktował się z nią od czasu tamtej rozmowy przy stawie. Następnego dnia, będąc w melancholijnym nastroju, często ogarniającym go po przyjęciach, doszedł do wniosku, że nie wolno mu się z nią zobaczyć. Scena na zamrzniętym stawie musi pozostać dlań cudownym wspomnieniem pięknej, ulotnej chwili. Ich spotkanie miało w sobie tyle poezji, że nie należało już niczego zmieniać. Próby ulepszenia doskonałości były z góry skazane na niepowodzenie. Nie poprawiał przecież



udanych strof swych wierszy. Poza tym, gdyby Rebecca się dowiedziała, to mimo że nic się nie zdarzyło, poniósłby tragiczne w skutkach konsekwencje. Dotąd jeszcze się trząsł na wspomnienie dzikiej furii żony po odkryciu jego romansu z Annette Lyle. Rebecca miała duży temperament i niełatwo było ją udobruchać. Milo bał się jej złości. Przyzwyczał się do podziwu, jakim go darzyła, i z trudem znosił chłód oraz pogardliwe spojrzenia żony. Rebecca była silną kobietą. Zraniona, przypominała upokorzoną, powaloną lwicę. Skonsternowany, musiał wtedy odwracać wzrok. Od czasu Annette stał się bardzo ostrożny, co nie znaczyło, że nie miał żadnych grzeszków na sumieniu.

„Czytuje pan «Vogue'a», panie Rycroft?“, zapytała go Tessa Nicolson. Podczas pierwszej bytności w Oksfordzie po spotkaniu przy stawie kupił egzemplarz tego czasopisma. Okładkę zdobiło zdjęcie Tessy Nicolson, a z jednego z artykułów dowiedział się, że panna Nicolson jest modelką i pozuje do fotografii. Na zdjęciu siedziała przy stoliku w kawiarni; szczupły nadgarstek zdobiły liczne złote i emaliowane bransolety. Prezentowała chłodne, surowe piękno.

W ciągu następnych tygodni Milo pracował jak oszalały, wynurzając się ze swego gabinetu jedynie na posiłki. Raz w tygodniu jechał do Oksfordu z wykładem, a poza tym czasami wybierał się na spacer po okolicznych wzgórzach, by przewietrzyć głowę przed następną eksplozją pisarskiej weny. Chociaż nieraz zapuścił się aż po staw, nie spotkał tam panny Nicolson. Czas płynął i jego mocne postanowienie zaczęło się kruszyć. Uzmysłowił sobie, że tak naprawdę decyzja, by nie nawiązywać kontaktu z Tessą Nicolson, oznaczała jedynie odroczenie. Podświadomie zawarł ze sobą układ: skończy tę książkę, a nagrodą będzie możliwość

zatelefonowania do Tessy. Znalazłszy się w stanie euforii po napisaniu powieści uznał, że zasługuje na odrobinę przyjemności.

Podczas lunchu Milo i Roger Thoday rozmawiali na temat literackiego środowiska Londynu, pogarszającej się sytuacji politycznej, o planowanych wakacjach Rogera i łowieniu łososi w szkockiej rzece Spey. Skończywszy doskonały posiłek, podali sobie ręce i Roger wrócił do biura. Milo zaś ruszył do budki telefonicznej i zapytał operatorkę o numer telefonu Tessy Nicolson. Musiał chwilę poczekać na połączenie. W końcu odezwała się służąca. Milo przedstawił się, a potem czekał jeszcze dłużej, słuchając dochodzących z tła odgłosów rozmów, śmiechu i muzyki, dziwnie brzękliwej z powodu złej jakości połączenia. Stojąc w budce, zastanawiał się, czy panna Nicolson będzie pamiętać ich krótkie spotkanie przy stawie.

Rozległ się trzask, ktoś uniósł słuchawkę.

- Panie Rycroft, myślałam, że pan o mnie zapomniał - powiedziała Tessa Nicolson.

Była wyraźnie rozbawiona. Słyszac jej cichy głos, Milo poczuł dreszcz podniecenia.

- Czyż mógłbym panią zapomnieć? - odparł. - Jak się pani miewa, panno Nicolson?

- Doskonale. A pan? Wciąż pan spaceruje po ciemku?

Zachichotał.

- Prawdę mówiąc, właśnie skończyłem pisać powieść. Dzisiaj zaniósłem ją do wydawcy.

- Gratuluję. Czy to znaczy, że jest pan w Londynie?

- Tak. - Czuł suchość w ustach. - Zastanawiam się, czy ma pani czas, żeby spotkać się na obiecane drinka.

Nastąpiła chwila ciszy. Serce Milo waliło jak młot.

- Tak, owszem. Gdzie się spotkamy?

Milo zaproponował Savoy. Jego znajomi nie bywali w podobnych miejscach. Odwiedzali raczej Café Royal, puby w Bloomsbury albo w owianej złą sławą Fitzrovii. Uważali, że Savoy jest zbyt snobistyczny jako ulubione miejsce spotkań zachowującej się z właściwą sobie de-zynwolturą arystokracji i chichoczących aktorek o ptasich mózdkach. Milo lubił jednak atmosferę luksusu i chętnie bywał w Amerykańskim Barze.

Złapał taksówkę, pojechał na Strand, zamówił sobie drinka i czekał. Euforyczny nastrój gdzieś się ulotnił. W ciągu spędzonej samotnie półtorej godziny Milo stopniowo posępniał, popijając kolejne martini. Kiedy wreszcie zjawi się panna Nicolson? Sądząc po numerze telefonu, mieszkała w dzielnicy Highbuiy - ileż mogła trwać jazda taksówką z Highbury na Strand? Może się rozmyśliła po odłożeniu słuchawki albo znalazła sobie ciekawsze zajęcie?

W końcu nadeszła. Miała na sobie zielono-białą sukienkę i zielony zakiet, a jej jasne włosy były upięte pod zielonym kapeluszem. Z wrażenia zabrakło mu tchu. Czekając, Milo zastanawiał się przez chwilę, czy nie przeżyje zawodu, widząc ją po raz drugi. Być może to tylko blask księżycy i lodowej tafli tak go oczarował przy pierwszym spotkaniu. Gdy wstał, by się

przywitać, opuściły go wszelkie wątpliwości. Czuł się wspaniale, wiedząc, że inni mężczyźni mu teraz zazdroszczą.

Od tego momentu było już jednak tylko gorzej. Panna Nicolson знаła chyba wszystkich obecnych w barze. Co chwila ktoś podchodził do ich stolika, mówiąc: „Tessa, kochanie”, i całował ją w policzek. Z początku Milo był zafascynowany tym, że może podziwiać Tessę Nicolson w akcji. Szczodrze obdzielała wszystkich swym wdziękiem i witalnością, pełna energii, ani na chwilę nie tracąc zapалу. Było w niej coś elektryzującego. Ale po niedługim czasie poczuł się zaledwie jednym z tłumu, ogarnęło go zmęczenie i zaczęła boleć głowa. Na dodatek o szóstej Tessa miała jakieś kolejne spotkanie. W końcu Milo zrezygnował z noclegu w Londynie i postanowił wrócić do Mili House. Siedział w pociągu, z głową pulsującą bólem i goryczą w ustach, obserwował przesuające się za oknem przedmieścia Londynu i musiał ze wstydem przyznać, że żywił nieuzasadnioną nadzieję, iż stanie się dla Tessy kimś szczególnym.

W ostatniej chwili udało jej się trochę osłodzić pożegnanie.

-Urządzam przyjęcie urodzinowe - powiedziała.

- Dwudziestego szóstego w klubie 400. Przyjdź, Milo, jeśli tylko będziesz miał ochotę.

- Czy to jakieś nowe zasłony? - spytała pani Fainlight.

- Myślałam, że w tym pokoju wiszą niebieskie.

- Kazałam je uszyć na powitanie wiosny, mamusiu

- odpowiedziała Rebecca. - Są śliczne, prawda?

Rebecca, Milo i Meriel spotkali się na przyjęciu z okazji przypadających dwudziestego pierwszego marca urodzin pani Fainlight. Po lunchu nastąpi rozpakowanie prezentów, potem zostanie wniesione ciasto i herbata, a później Meriel odwiezie matkę do domu. Rebecca zaprosiła kiedyś Masonów, mając nadzieję na ożywienie atmosfery, lecz okazało się to tragicznym niewypałem: pani Fainlight wyraźnie nie poczuła sympatii do Glyn i była dla niej bardzo nieuprzejma.

- Może ktoś ma ochotę na jeszcze jednego drinka?
- zapytał Milo.
- Nigdy nie piję wina w porze lunchu - oznajmiła pani Fainlight.

Napełnił kieliszek Rebekki.

- Meriel?
- Tak, proszę.
- Nigdy nie zapomnę młodego Tommy'ego Mackintyre'a
- powiedziała pani Fainlight. - To był zdolny chłopak z dobrej rodziny.

Zniszczył sobie życie przez alkohol.

- Jestem pewna, że nikt z nas nie zamierza skończyć w ryszotku, mamó - zaprotestowała Rebecca.

Pani Fainlight cmoknęła z dezaprobatą.

- Czy musisz używać slangu, Rebecco? Naprawdę...
- Posłała zięciowi wymowne spojrzenie, najwyraźniej uznając go za winnego.

- Mamo - powiedziała serdecznym tonem Meriel
- zobacz, pogoda sprawiła ci miłą niespodziankę w dniu urodzin.
- Czyżby? - Pani Fainlight spojrzała w okno. Był piękny, słoneczny dzień. Żonkile na trawniku miały już pączki.
- Nareszcie mamy wiosnę - ciągnęła wytrwale Meriel.
- Wszyscy czujemy się lepiej, kiedy świeci słońce.
- Czułabym się dużo lepiej, gdybym miała wnuka, który świętowałby teraz moje urodziny. Nie potrafię cieszyć się z byle czego, wiedząc, że nasza rodzina jest skazana na wymarcie.

Meriel wyjęła chustkę z rękawa i głośno wydmuchała nos. Rozmowa nagle się urwała i cała czwórka kontynuowała posiłek w milczeniu.

Meriel pierwsza doszła do siebie.

- Joanna Moore zachorowała na różyczkę. Jestem tego pewna - oznajmiła. - Dzisiaj rano miała wysypkę i gorączkę.
- O, Boże. - Rebecca westchnęła. - To dopiero kłopot.
- Ci okropni rodzice nie mówią nam prawdy. Podpisują formularz i odsyłają go. To nie ma sensu.
- Jaki formularz?
- Dotyczący kwarantanny. Joanna powiedziała mi, że jej brat zachorował na różyczkę w czasie świąt wielkanocnych. Rodzice w żadnym razie nie powinni byli odsyłać jej z powrotem do szkoły. Ale pani Moore nie

jest prawdziwą matką Joanny. Pamiętacie, jak wam mówiłam, że pierwsza pani Moore uciekła z piosenkarzem z baru hotelowego?

- Meriel - upomniała córkę pani Fainlight, dobitnie akcentując sylaby.
- Ależ, mamusiu, wszyscy o tym wiedzą. Pisano o tym w gazetach.

Meriel była okropną plotkarką. Rebecca bardzo uważała, by nie powiedzieć siostrze zbyt wiele na temat swojego życia osobistego. Nigdy nie wspomniała Meriel o romansie Milo z Annette Lyle. Pomyślawszy o tym, spojrzała na męża. Było aż nadto oczywiste, że nie zamierzał włączyć się do rozmowy. Milo i jej matka nigdy za sobą nie przepadali i Rebecca byłaby skłonna uznać, że jest znudzony, gdyby nie jego dziwnie rozmarzony wyraz twarzy. Widziała u niego tę minę już kilka razy w ciągu ostatnich kilku tygodni i zaczynała coś podejrzewać.

Meriel nie przestawała paplać.

- Najprawdopodobniej spędzają teraz wakacje na południu Francji.

-Kto?

- Moore'owie.

- Aha - powiedziała Rebecca.

- To wielki kłopot, zwłaszcza że zbliża się okres szkolnych rozgrywek.

Joanna jest jedną z naszych najlepszych atakujących.

- Ooo...

- Dziewczęta z Anne są w tym roku słabe, ale Victoria ma kilka dobrych zawodniczek. - Cztery szkolne internaty otrzymały imiona

angielskich królowych. - Będę chyba musiała wziąć do drużyny Imogen Carstairs, ale nie wiem, czy da sobie radę. Dzięki Bogu, że mamy Freddie Nicolson... w ostatnim meczu grała wyśmienicie.

Milo gwałtownie uniósł głowę.

- Nicolson?

- Tak, Freddie Nicolson - powiedziała Meriel. - Nie wiedziałam, że interesujesz się lacrosse, Milo - dodała ironicznym tonem.

- Chodziło mi o to, że wymieniłaś męskie imię. Nie wiedziałem, że chłopcy grają w lacrosse - tłumaczył się Milo.

Meriel roześmiała się.

- Nie, nie! Źle mnie zrozumiałeś! To pomyłka! Freddie jest dziewczynką. Ma na imię Frederica, ale mówimy na nią Freddie. A lacrosse rzeczywiście na początku był grą dla mężczyzn. Wymyślili go Indianie, ale od tamtych czasów oczywiście bardzo się zmienił...

Milo patrzył na Meriel, kontynuując swój monolog na temat pochodzenia lacrosse. Poczawszy na sobie wzrok Rebekki, uśmiechnął się do niej i przyznał:

- Nigdy nie rozumiałem sportu i obawiam się, że już nigdy nie zrozumiem. - Po tych słowach sięgnął po karafkę, wlał sobie resztkę wina do kieliszka i wypił. Jednym haustem, zauważyła Rebecca.

Po lunchu Milo wycofał się do gabinetu, a pani Fainlight przysnęła na sofie. Siostry wyszły do ogrodu.

- Jak tam twoje przeziębienie? - spytała Rebecca.



- To nic wielkiego. Czuję się już dużo lepiej. Myślałam, żeby się wymówić, ale... - Meriel wzruszyła ramionami.

Niższa i mocniej zbudowana od siostry, Meriel miała na sobie spódnicę i żakiet z szorstkiego, płowożółtego tweedu, a pod spodem robiony na drutach brązowy bez-rękawnik. Nigdy nie używała szminki ani pudru, a włosy obcinała jej dziewczyna przychodząca raz w miesiącu do szkoły, by ostrzyć uczennice. Oczy Meriel były niebieskie jak niezapominajki, miała też gładką cerę. Rebecca uważała, że siostra za mało dba o swój wygląd. Zaproponowała kiedyś, by razem pojechały do Londynu i sprawiły sobie ładne ubrania, Meriel jednak oznajmiła, że nienawidzi zakupów i nie zamierza marnować popołudnia na włóczenie się po Selfridge'u.

Tego dnia Meriel miała czerwony nos, łuszczyła jej się skóra na nim. Rebecca pomyślała, że siostra sprawia wrażenie zmęczonej.

- Bardzo się cieszę, że mogłaś przyjechać - wyznała i szybko uściśnęła Meriel. - Jak ci minął tydzień?

- Był koszmary. Wczoraj posprzeczałam się z panną Lawson.

Panna Lawson pełniła funkcję zastępczyni kierowniczkini internatu. Młodsza od Meriel, zaczęła pracować w szkole w ubiegłym roku.

- Co się stało?

Meriel opowiedziała jej całą historię. Zamierzała dać do renowacji kilka krzeseł ze świetlicy dla starszych dziewcząt, ale panna Lawson cofnęła zamówienie, by nie obciążać szkolnych funduszy w ramach oszczędności. Rebecca czuła, że gniew siostry wynikał głównie z pretensji o to, że panna Lawson rządzi się na terytorium, które Meriel uważała za swój dom.

Chcąc wprawić ją w lepszy nastrój, Rebecca zapytała o doktora Hughesa.

- Nie widziałam go dziś rano - odpowiedziała Meriel. - Wiem, że wybierał się do Joanny.

- O, to szkoda.

- Porozmawialiśmy sobie miło przez telefon. Deborah znów źle się czuje. Być może będzie musiał zrezygnować z chóru.

Biedna Meriel, pomyślała Rebecca. Jej romans, o ile w ogóle można tak było to określić, ograniczał się do cotygodniowych prób chóru kościelnego (Meriel miała mocny kontralt, a doktor Hughes śpiewał basem) i spotkań przy herbatce w mieszkaniu siostry, gdy doktor Hughes przychodził do szkoły do jakiejś chorej uczennicy. To straszne, myślała często Rebecca, że czasami kobiety muszą się zadowalać takimi namiastkami.

Siostry otrzymały surowe wychowanie. Chociaż rodzina nie należała do najuboższych, dziewczętom konsekwentnie wpajano cnotę oszczędności. Dostawały skromne, proste posiłki, a obszerny, pełen przeciągów dom Fainlightów był nader skąpo ogrzewany. Niezależnie od pogody Rebecca i Meriel musiały codziennie maszerować prawie pięć kilometrów do szkoły i z powrotem. Oczekiwano, że będą się dobrze uczyć; jakiegokolwiek zaniedbania na tym polu spotkałyby się z niezadowoleniem i poczuciem zawodu. Państwo Fainlightowie wierzyli, że ciągła krytyka korzystnie wpływa na charakter. Chociaż ojciec gardził religią, posłał córki do szkoły anglikańskiej. Rebecca i Meriel zapamiętały pierwsze tygodnie w szkole jako jedno wielkie pasmo upokorzeń - ich tanie mundurki, uszyte przez miejscową szwaczkę, różniły się od ubrań innych dziewcząt, powszechnie

też komentowano fakt, że nie znały Modlitwy Pańskiej. Z czasem nauczyły się sztuki przystosowania - Rebecca, która zawsze była ładną dziewczynką, nawet stała się popularna - wiedziały jednak, że są „inne”.

W wieku dwudziestu lat Rebecca została przyjęta na studia do college'u sztuk pięknych. Dwa lata później poznała Mila na balu Klubu Artystów w Chelsea. W kolejnym roku się pobraли. Ojciec sióstr zmarł w 1927 roku. Pani Fainlight sprzedała wówczas olbrzymi dom rodzinny i kupiła mniejszy w Abingdon, bliżej córek. Z początku Rebecca miała nadzieję, że po przeprowadzce mama stanie się łagodniejsza, wciąż jednak niezmiennie trudno było ją zadowolić. Rebecca i Meriel postępowały z nią bardzo ostrożnie. Wiedziały, że jeśli matka ma ochotę zaprezentować zły humor, z pewnością znajdzie tysiąc powodów, by uwiarygodnić swój nastrój. Mimo to zawsze starały się ją zadowolić w nadziei, że tym razem sprawy przybiorą pomyślny obrót. To wszystko było bardzo wyczerpujące.

Doszły do rzeki płynącej wzdłuż tylnej granicy ogrodu. Rebecca spojrzała w okno gabinetu Mila. Rozmawiał przez telefon - była tego niemal pewna. Zmrużyła oczy. Tak, trzymał słuchawkę. Do kogo dzwonił?

- Monica zaprosiła mnie do Cleethorpes na przerwę semestralną - powiedziała Meriel. - Nie zamierzałam się tam wybrać, bo bilet kolejowy jest dość drogi, ale potem pomyślałam, że kilka dni wakacji dobrze mi zrobi. Morskie powietrze zawsze działa orzeźwiająco, a...

Rebecca zobaczyła, że Milo odłożył słuchawkę. Przypomniała sobie, że po lunchu niemal pędem ruszył do gabinetu. Czy już wtedy nosił się z zamiarem odbycia tej rozmowy? Powróciła myślami do jego dziwnej reakcji

przy stole. Jakie słowa Meriel tak zainteresowały Mila? Wspomniała coś o lacrosse, o dziewczynce z internatu...

0 Freddie Nicolson. Milo był zdezorientowany, bo mu się wydawało, że Meriel mówi o chłopcu. Aha, więc nie ma powodów do zmartwień. Milowi po prostu wszystko się pomieszało.

Wciąż jednak czuła niepokój. Podczas gdy Meriel kontynuowała wątek Cleethorpes i bungalowu Moniki, Rebecca kilkakrotnie powtarzała w myślach rozmowę przy stole. To niemożliwe, by jej mąż zadurzył się w tej dziewczynce, Freddie Nicolson. Była jeszcze uczennicą, a Milo nigdy nie gustował w tak młodych osóbkach, a poza tym wydawało mu się przecież, że Freddie to chłopiec, więc nigdy nawet jej nie spotkał. Chyba że, przemknęło jej przez głowę, krył się za tym jakiś podstęp...

Rebecca patrzyła na Mila, kiedy Meriel wymówiła imię Freddie Nicolson. Nie sprawiał wtedy wrażenia zdezorientowanego. On przeżył szok. Był przerażony.

Klub 400 miał swą siedzibę przy Leicester Square, obok teatru Alhambra. Milo zszedł do piwnicy, w której mieścił się nocny lokal, i podał szatniarzowi płaszcz i kapelusz.

Przyjaciel Mila powiedział kiedyś, że wizyta w tym klubie jest jak powrót do łona matki. Przyjaciel był psychoterapeutą, freudystą. Milo podzielał teraz jego zdanie. Ściany lokalu obito ciemnoczerwonym jedwabiem, dywan i zasłony miały taki sami kolor. Jedynym źródłem światła były świece na stolikach i małe punktowe reflektory, przy których członkowie zespołu swingowego czytali nuty.

Panna Nicolson również była ubrana na czerwono. Milo stanął pod ścianą, by obserwować Tessę w tańcu. Jej wieczorowa suknia miała ciemny, fioletowawoszkarłatny odcień najlepszych win bordoskich, a szyję ozdobił naszyjnik z dużych ciemnoczerwonych kamieni. Partnerem Tessy był wysoki, mocno zbudowany rudowłosy mężczyzna. Kiedy umilkły dźwięki fokstrota i rozległy się oklaski, rudzielec wpił się w usta Tessy. Pocałunek trwałby chyba w nieskończoność, gdyby Tessa się nie cofnęła.

Milo przedarł się pomiędzy stolikami.

- Gratuluję, Tesso - powiedział. - Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. - Skłonił głowę i pocałował dłoń dziewczyny.

- Milo, widzę, że jesteś staroświecki. - Uśmiechnęła się do niego. - Tak się cieszę, że cię widzę. Zatańczysz ze mną?

Zespół zagrał „Night and Day”. Kilka par pojawiło się na parkiecie.

- Czy ci wszyscy ludzie są twoimi przyjaciółmi, Tesso?

- Owszem, większość.

- Dobrze się bawisz?

Zmarszczyła nos.

- Nie za bardzo. Paddy jest w złym humorze.

- Paddy?

- Paddy Collison. - Popatrzyła w stronę stolika, przy którym rudowłosy mężczyzna palił papierosa.

- Paddy pracuje u Liptona - wyjaśniła Tessa. - Powiedzieli mu, że chcą, żeby został w Londynie i nie wracał do Kenii. Jest wściekły. Wcześniej byliśmy na kolacji u przyjaciół i wszystkich poobrażał. - W orzechowo--zielonych oczach dziewczyny migotały wesołe iskierki.

- Większość gości stanowili intelektualiści z Cambridge. Jeden z nich miał długie włosy i muszkę w grochy. Paddy nienawidzi takich zniewieściałych typków. Chęłpi się swoją męską siłą.

Milo zastanawiał się, czy Paddy Collison jest kochankiem Tessy. W tańcu czuł każde drgnienie jej mięśni i ścięgien pod cienką jedwabną suknią.

- Chyba mamy wspólną znajomą.

- Kogo masz na myśli?

- Meriel Fainlight.

Oczy Tessy zrobiły się okrągłe jak spodki.

- Znasz pannę Fainlight?

- Meriel jest moją szwagierką.

- Wielkie nieba! - Roześmiała się. - Co za przypadek!

- Niezupełnie. Tego wieczoru, kiedy spotkaliśmy się przy stawie, odwiedzałaś swoją siostrę, prawda?

- Tak. Zabrałam Freddie do herbaciarni, a potem nie mogłam się oprzeć pokusie pożyczenia łyżew.

- Cieszę się, że to zrobiłaś, bo inaczej pewnie nigdy byśmy się nie spotkali.

- Lubię pannę Fainlight. Sprawia wrażenie miłej i mocno stąpającej po ziemi.

Przez te wszystkie lata Milo nigdy nie pomyślał o szwa-gierce jako o sympatycznej osobie.

- Wiesz, że była pielęgniarką na wojnie?

- Nie. Ale musiała być bardzo dobrą pielęgniarką.

- Przyjrzała mu się badawczo. - Chyba masz zamiar powiedzieć mi coś jeszcze?

- Meriel potrafi być bardzo szorstka.

- Szorstka, Milo... Czy to znaczy, że jest odporna na twoje wdzięki? - spytała rozbawiona.

- Myślę, że po prostu mnie nie lubi.

- Nie możesz myśleć, że jakaś kobieta cię nie lubi, tylko dlatego, że nie jest w tobie zakochana.

Uśmiechnął się do niej.

- Masz rację.

- A nawet jeśli rzeczywiście trochę cię nie lubi, to czy bardzo ci to przeszkadza?

- Lubię być lubiany, a ty nie?

- Oczywiście. Nieprzyjemnie jest nie być lubianym. Ale nigdy nie zabiegam o niczyje względy i nie szukam akceptacji.

Taniec dobiegł końca i zaklaskali w dłonie. Zespół zagrał „Let's Fall in Love”. Paddy Collison uniósł się z krzesła, ścisnął rękę Tessy i lekko szarpnął ją w stronę parkietu.

- Chodź - powiedział.

Milo poczuł gwałtowny przypływ złości. Miał ochotę wymierzyć rywalowi cios, Collison jednak był potężnie zbudowany, wyższy i należało się spodziewać, że walka zakończy się dla Mila upokorzeniem. Przeszedł więc w kąt sali i zapalił papierosa. Suknia Tessy powiewała w tańcu; mieniły się czerwone kamienie naszyjnika. Tessa się uśmiechała. Zapewne nie przeszkadzał jej sposób bycia tego osiłka.

Trzymając się na uboczu, Milo nie spuszczał wzroku z Tessy. Ogarnęła go tęsknota, zmieszana z zazdrością i rosnącą niechęcią do Collisona.

Zastanowił się nad jej słowami. Tak jak przypuszczał, Frederica Nicolson była siostrą Tessy, co oznaczało, że istnieje wązka więź pomiędzy Tessą a Rebeccą. To niebezpieczne. Przeżył szok, gdy w połowie spożywanego w ciężkiej atmosferze lunchu Meriel wymieniła to nazwisko.

Tessa wciąż tańczyła z Collisonem. Milo popatrzył na zegarek, po czym zgasił papierosa w popielniczce i wyszedł z sali. Podał numerkę szatniarzowi i wtedy usłyszał za sobą:

- Chyba nie zamierzasz już wyjść, Milo?

Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z Tessą Nicolson.



- Za pół godziny mam ostatni pociąg - odpowiedział. - W jej oczach kryło się jednak tak wyraźne oczekiwanie, że szybko dodał: - Chociaż zawsze mogę zatrzymać się na noc w klubie.

- To dobrze. - Otworzyła małą złocistą torebkę i wyjęła numerek do szatni.

- Co robisz?

- Pomyślałam, że możemy wybrać się razem na spacer.

- Doskonały pomysł. Ale co będzie z twoim przyjęciem?

Wzruszyła ramionami.

- Już się nim znudziłam.

- Nie możesz wyjść z własnego przyjęcia urodzinowego!

- Czyżby?

Milo się roześmiał.

- Masz rację. A Collison?

Ponownie wzruszyła ramionami i cichutko parsknęła, co Milo uznał za równoznaczne ze słowami: „Paddy może poczekać”.

Szatniarz podał im płaszcze: brzoskwiniowy, przymarsz-czony od ramion, i czarny, prosty, należący do Mila.

- Miałem ochotę go uderzyć - przyznał się Milo, gdy wstępowali na schody.

- Szkoda, że tego nie zrobiłeś, Milo! To natychmiast podniosłoby temperaturę przyjęcia. - Tessa wsunęła mu dłoń pod ramię i wyszli w chłodną noc. - Ale chyba dobrze, że jednak zdołałeś się opanować. Obawiam się, że wyszedłbyś z tej potyczki mocno poturbowany. Paddy w młodości był doskonałym bokserem.

Otworzył parasol, by osłonić Tessę i siebie przed mżawką.

- Dokąd chciałybyś pójść? - zapytał.

- Gdziekolwiek. Uwielbiam Londyn nocą, a ty?

Szli Charing Cross Road. Jakaś taksówka zatrzymała się przy krawężniku i wsiedli do niej mężczyzna w wieczorowym stroju oraz dziewczyna w powiewnej jasnozielonej tiulowej sukni. Kobieta, mająca na sobie liczne wystrzępione wełniane swetry i wytarty płaszcz, spała na progu jednego z domów. Milo wrzucił monetę do stojącej obok niej wyszczerbionej filiżanki.

Gdy doszli do Shaftesbury Avenue, Milo powiedział:

- Lubię Soho, ale pewnie wolałabyś teraz być gdzie indziej. Możemy zawołać taksówkę i pojechać do Savoya.

- Często robię zakupy w Soho - odparła Tessa. - Mają tam doskonałe włoskie jedzenie.

- W nocy jest tam zupełnie inaczej.

- Kocham noc.

Skręcili w Romilly Street. Oddalone od pełnej blichtru dzielnicy teatrów zaułki były ciemne, tajemnicze i panowała w nich atmosfera grozy. Chociaż

Milo znał Soho za dnia, w nocy krzyżujące się wąskie uliczki zdawały się należeć do innego świata. W niewielkim oknie wystawowym na półce znajdowały się ceramiczne chińskie słoje o cebulowatych kształtach, ozdobione wizerunkami ziejących ogniem smoków. Jakaś para, trzymająca się pod rękę, zniknęła w wąskich drzwiach, a po chwili rozszedł się echem dziwny odgłos, coś pośredniego pomiędzy śmiechem a krzykiem. Z górnego piętra dochodziły przenikliwe dźwięki saksofonu.

Idąc Greek Street, zobaczyli biegnących w ich stronę kilkunastu marynarzy, którzy krzyczeli coś do siebie w jakimś wschodnioeuropejskim języku, najprawdopodobniej po polsku. Milo pociągnął za sobą Tessę ku bramie domu. Marynarze minęli ich, rechocząc. Byli pijani. Woń perfum Tessy mieszała się z zapachem deszczu. Stał teraz tak blisko niej, że w migoczących światłach ulicznych widział najmniejsze szczegóły jej gładkiej skóry.

Pochylił się i delikatnie musnął wargami jej usta. Zarzuciła mu rękę na szyję i połączyli się w długim pocałunku. Wsunął dłonie pod brzoskwiniowy płaszcz i oparł je na biodrach Tessy. Czuł jej ciepło i napięte mięśnie.

Zadrzała.

- Jest ci zimno - powiedział. - Musimy już iść.

Pocałunek przyprawił go o ciarki wzdłuż kręgosłupa. Milo otoczył ją ramieniem, przyciągnął do siebie i tak przytuleni ruszyli pustą ulicą. Mokra jezdnia lśniła jak czarny atlas. Milo miał wrażenie, że Tessa doskonale do niego pasuje. Bliskość jej głowy, wtulonej w zagłębienie jego ramienia dawała mu tak wielką przyjemność, że mógłby tak spacerować bez końca.

Weszli do otwartej nocą kawiarni przy Soho Square. Tessa lekko potrząsnęła głową, jakby przeraziło ją ostrzejsze światło. Przy stolikach siedziało kilka osób. Milo przyniósł z baru herbatę i usiadł obok Tessy.

- Mam dla ciebie prezent urodzinowy - powiedział.

- Milo! Zaskoczyłeś mnie. - Uśmiechnęła się do niego promiennie.

Wyjął kopertę z kieszeni płaszcza i podał dziewczynie.

- Z najlepszymi życzeniami urodzinowymi, Tesso.

Otworzyła kopertę i wyjęła kilka złożonych arkuszy papieru. Przeczytała na głos napisany na maszynie tytuł u góry pierwszej strony.

- Milo Rycroft. „Odgłosy zimy”. To twoje, Milo? Cudownie!

- To są moje wiersze, przepisane na maszynie z oryginału. Zastanawiam się, czy aby nie jestem zbyt zarozumiała, pozwalając sobie wręczyć ci je. Zapewne nie cierpisz poezji.

- Nic podobnego.

- Jeśli nie spodobają ci się moje wiersze, użyj ich na podpałkę albo wrzuc do kosza. Wybór należy do ciebie.

-Jestem bardzo wzruszona. - Uścisnęła mu dłoń pod stołem.

- Będiesz pierwszą osobą, która je przeczyta. Nie pokazałem ich jeszcze nawet mojemu wydawcy. Dotąd pisałem jedynie powieści.

- Czy jestem nowym przedsięwzięciem, Milo?

- Co masz na myśli?

Popatrzyła na niego poważnym wzrokiem.

- Jesteś żonaty, prawda?

- Tak. - Zawstydział się i zmieszany opuścił głowę. - Powiniennem ci powiedzieć - wyjąkał cicho. - Ale jakoś nie było ku temu odpowiedniej okazji.

- Pamiętam, że kiedy po raz pierwszy spotkaliśmy się przy stawie, rozmawialiśmy o psach.

- Mam dla ciebie prezent urodzinowy - powiedział.

- Milo! Zaskoczyłeś mnie. - Uśmiechnęła się do niego promiennie.

Wyjął kopertę z kieszeni płaszcza i podał dziewczynie.

- Z najlepszymi życzeniami urodzinowymi, Tesso.

Otworzyła kopertę i wyjęła kilka złożonych arkuszy

papieru. Przeczytała na głos napisany na maszynie tytuł u góry pierwszej strony.

-Milo Rycroft. „Odgłosy zimy”. To twoje, Milo? Cudownie!

- To są moje wiersze, przepisane na maszynie z oryginału. Zastanawiam się, czy aby nie jestem zbyt zarozumiały, pozwalając sobie wręczyć ci je. Zapewne nie cierpisz poezji.

- Nic podobnego.

- Jeśli nie spodobają ci się moje wiersze, użyj ich na podpałkę albo wrzuć do kosza. Wybór należy do ciebie.

-Jestem bardzo wzruszona. - Uścisnęła mu dłoń pod stołem.

- Będiesz pierwszą osobą, która je przeczyta. Nie pokazałem ich jeszcze nawet mojemu wydawcy. Dotąd pisałem jedynie powieści.

- Czy jestem nowym przedsięwzięciem, Milo?

- Co masz na myśli?

Popatrzyła na niego poważnym wzrokiem.

- Jesteś żonaty, prawda?

- Tak. - Zawstydził się i zmieszany opuścił głowę. - Powinienem ci powiedzieć - wyjąkał cicho. - Ale jakoś nie było ku temu odpowiedniej okazji.

- Pamiętam, że kiedy po raz pierwszy spotkaliśmy się przy stawie, rozmawialiśmy o psach.

- Nie tylko o psach.

- A o czym jeszcze? - Jej oczy rozbłysły ożywieniem.

- Wiem! Przyznałeś się, że myślałeś, iż jestem duchem.

- Kiedy spytałem cię, jak masz na imię...

-Tak...?

- Spodziewałem się, że będzie to coś egzotycznego. Że usłyszę: „Natasza”, „Anastazja” albo „Tatiana”.

- Przeżyłeś rozczarowanie?

- Oczywiście, że nie. Co też ci przyszło do głowy?!

- Marzył, by znów wziąć ją w ramiona, tu i teraz, na oczach dwóch homoseksualistów, tulących się do siebie, oraz podstarzałej kokoty z uróżowanymi policzkami i obwiedzionymi czarnym ołówkiem oczami. Spoważniał. - Nie zamierzałem cię oszukiwać.

- Wcale cię o to nie podejrzewałam. Wiesz, kupiłam jedną z twoich książek.

Nie potrafił opanować ciekawości.

- Którą?

- „Ciemne, dalekie wzgórza”. Z powodu Toskanii. Tam się wychowałam.

- Naprawdę? To wspaniale. Pisałem tę książkę, kiedy spędzaliśmy tam lato. Chętnie zostałbym tam na zawsze, niestety, Rebecca chciała wracać do domu.

- Na obwolucie było napisane, że jesteś żonaty, ale i tak bym się tego domyśliła.

-Jak?!

- Wyglądasz na żonatego, Milo.

Zaskoczony, wybuchnął głośnym śmiechem, a dwaj homoseksualiści i kokota popatrzyli w jego stronę.

- Co masz na myśli?

- Sprawiasz wrażenie zadbanego. Kawalerowie mają wystrzępione rękawy i brudne kołnierzyki.

- Naprawdę?

- Być może nie dotyczy to tych najbogatszych, mających kamerdynerów.

- No cóż, nie zatrudniam kamerdynera. - Był zadowolony, że odchodzili od niebezpiecznego tematu.

- Bardzo mi się podobała twoja książka. Jest wspaniała, magiczna.

- Dziękuję. Urodziłaś się we Włoszech, Tesso?

- W pobliżu Sieny. Często zmienialiśmy miejsce zamieszkania. Ojciec lubił się, że w tym nowym dorobi się majątku. Był artystą. Nie powodziło nam się najlepiej, choć nie brakowało mu talentu. Za dużo pił i miał wybuchowy temperament. Podejrzewam, że pokłócił się ze zbyt wieloma właścicielami galerii i mecenasami sztuki. Mieszkaliśmy kiedyś na południu Francji, wśród wzgórz. Zapach lawendy zawsze mi przypomina tamten dom. Przyjechaliśmy raz do Anglii, bo ojciec spodziewał się spadku po kuzynie. Pamiętam, że było wtedy bardzo zimno i przez cały czas padało. Nasz dom stał nad brzegiem rzeki. W czasie zabaw Freddie ciągle wpadała do rzeki i musiałam ją wyciągać.

Słuchając jej opowieści, Milo czuł, że się zakochuje. Sposób, w jaki odgarniała z twarzy włosy o barwie miodu, zarys jej policzka - wszystko to okazało się dlań pułapką. Wpadał w nią coraz głębiej, patrząc, jak Tessa unosi filiżankę albo wyjmuje zapalniczkę ze złocistej torebki. Pewnego razu, podróżując po Sycylii, przeżył trzęsienie ziemi. W obecności tej dziewczyny



czuł się podobnie: tracił równowagę i trudno mu było uwierzyć, że gdzie indziej spokojnie toczy się życie.

- A co było potem? - spytał, nie mogąc się doczekać dalszego ciągu.

- Po śmierci ojca wróciliśmy do Florencji. Kiedy miałam siedemnaście lat, mama wysłała Freddie i mnie do szkoły w Anglii.

- Podobało ci się tutaj? Byłaś zadowolona z tej zmiany?

- Z początku nie. - Zamieszała łyżeczką herbatę.

- We Włoszech został ktoś, kogo lubiłam i bardzo mi go brakowało.

Lubiłam, powtórzyła w duchu. Kochała Guida Zanettiego. Musiało upłynąć dużo czasu, zanim zdołała go zapomnieć.

Zapytała Milo o jego rodzinę.

- Mój ojciec zmarł pół roku po przejściu na emeryturę

- powiedział. - Zawsze myślałem, że ma okropnie nudne życie. Pracował w miejscowej radzie. Nie robił niczego ważnego ani ciekawego. Po prostu wypełniał formularze. Każdego lata jeździliśmy w to samo miejsce nad morzem, do tego samego pensjonatu. Ojciec kupował sobie kapelusz raz na dwa lata, a płaszcz raz na pięć. Nie stać go było na samochód i ilekroć o nim myślę, widzę go na rowerze z klipsami przy nogawkach. To wprawia mnie w przygnębienie.

- Biedny Milo.

- Nie, biedny tata. Ja uniknąłem jego losu. Kiedy umarł, byłem w Oksfordzie. Matka przeżyła go o sześć lat. Wiedziała o sukcesie „Krosien Penelopy”. Była taka szczęśliwa.

-I dumna z ciebie. -Tak.

- Pewnie bardzo ci jej brak.

Nie potrafił się zdobyć na gorliwe potwierdzenie. Gdy był młody, ciągle zachwyty matki nad jego osiągnięciami - stypendium, studiami w Oksfordzie, publikacjami - irytowały go i wprawiały w zakłopotanie.

- Tak, oczywiście - potwierdził, a po chwili dodał: - To, o czym marzymy w wieku osiemnastu czy dwudziestu dwóch lat, bardzo się czasem różni od naszych pragnień, gdy mamy lat trzydzieści osiem. Kiedy jesteśmy młodzi, podejmujemy różne decyzje, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo są ważne.

Spochmurniał. Ostatnio nie radził sobie ze złymi nastrojami i poczuciem niezadowolenia. Miał wrażenie, że unoszą się nad nim jak czarny rój much.

- Zawsze starałam się nie dać się usidlić - wyznała Tessa. - Zobowiązania, odpowiedzialność... to nie dla mnie. Moja matka wpadła w takie sidła. Małżeństwo odebrało jej wolność.

- Uważasz, że małżeństwo zawsze jest pułapką?

- Dla kobiet na pewno jest rodzajem niewoli. A dla mężczyzn... nie wiem.

- A ja myślałem o małżeństwie jako o przygodzie.

-I to się sprawdziło?

- Myślę, że tak. Postanowiliśmy... Rebecca i ja, że będziemy prowadzić interesujące życie, niepodobne do tego, jakie mieli nasi rodzice. Myśleliśmy, że wyruszamy w fascynującą podróż, trzymając się za ręce.

- Macie dzieci?

- Nie chcieliśmy mieć dzieci. To by nas ograniczało. Zawsze uważałem, że pułapką są dzieci, a nie małżeństwo.

- Kobieta potrafi trwać w nieudanym małżeństwie dla dobra dzieci. W instytucji małżeństwa jest jakaś forma własności, posiadania, co bardzo mi się nie podoba. Poza tym widziałam zbyt wiele nieudanych małżeństw, i nawet nie mam tu na myśli swoich rodziców. Tu, w Londynie, znam wiele par małżeńskich, które są razem tylko z powodów majątkowych albo dla zachowania pozorów przyzwoitości. Obawiają się, że jako rozwodnicy zostaliby napiętnowani. To nie jest miłość, Milo, tylko kontrakt prawny, bardzo już zbutwiały. Myślę wręcz, że małżeństwo zabija miłość.

Czy przy Rebecce trzymała go miłość, czy tylko przywiązanie? Ostatnio jego żona była bardzo niespokojna. Wszystko dookoła musiało być doskonale. Dom, ogród - czasami Milo miał wrażenie, że pewnego dnia przyjrzy mu się uważnie, dojdzie do wniosku, że jest dziwnie nieuporządkowany i także go wysprząta. Kiedy to się zmieniło? Kiedy Rebecca z kochającej, obdarzonej bujną zmysłowością dziewczyny, w której się zakochał, przeistoczyła się w kobietę zagniewaną na widok leżącej nie na swoim miejscu poduszki albo śladu błota na posadzce w holu? Pomyślał, że stało się to po „Krosnach Penelopy”, ale przed Annette; w ciągu lat jego sukcesów literackich i - wspólnych - towarzyskich.

- Przepraszam, Milo. - Tessa obdarzyła go współczującym spojrzeniem i położyła mu rękę na ramieniu. - Nie chciałam cię wprawić w przygnębienie.

- Nie jestem przygnębiony. Mam wrażenie, że jeszcze nigdy nie byłem taki szczęśliwy.

Spojrzała w okno.

- Przestało padać. Pójdziemy?

Wyszli z kawiarni. Milo chciał zawołać taksówkę, ale Tessa powiedziała, że woli spacer.

- A co sądzisz o miłości? - spytał, gdy szli przez Charing Cross Road. - Czy miłość także jest pułapką?

- O, nie. - Wsunęła mu rękę pod ramię. - Miłość jest najważniejszą, najpiękniejszą rzeczą na świecie. Ale ten, kto chce jej nadać jakiś kształt, popełnia błąd. Wypacza wtedy cały sens i w końcu ją niszczy. Miłość trwa tak długo, jak chce, przynajmniej ja tak uważam. A kiedy umiera, należy się wycofać.

Czy starał się kurczowo trzymać miłości, mimo że jej najlepsza część dawno już wygasła? Czy właśnie dlatego ostatnio ciągle czuł niezadowolenie? Ulice opustoszały, z rzadka pojawiał się na nich jakiś przechodzień, minęło ich zaledwie kilka samochodów. Milo miał wrażenie, że wielkie miasto uciszyło się, robiąc im miejsce, by mogli spokojnie iść, rozmawiać i całować się co parę kroków.

- Nie chciałabym nikogo zranić - powiedziała Tessa.

- Rozumiem.
- Zrobisz to, co uważasz za właściwe. A ja postąpię tak samo.

Zagryzła wargę. Wydawała mu się teraz bardzo młoda. Ogarnęło go radosne podniecenie. Czuł, że lada chwila spotka go coś cudownego, coś, co odmieni mu życie. Uniósł dłoń Tessy i przycisnął do swojego policzka.

Doszli do nabrzeża i zapatrzyli się na Tamizę. W pewnej chwili Tessa spojrzała na zegarek.

- Już późno. Skończyły się moje urodziny.
- Dobrze się bawiłaś?

- To był jeden z moich najpiękniejszych dni. - Patrząc mu w oczy, wsunęła ręce pod jego płaszcz. - Powinieneś wracać do domu, Milo - powiedziała cicho.

- Nie chcę. A poza tym nie mogę. Uciekł mi ostatni pociąg. - Poglądził jej twarz kciukiem. - Nie jestem w stanie tam wrócić - dodał.

- W takim razie przenocuj w klubie...

- Nie to miałem na myśli. - Pocałował ją. - To, co jest między nami, wydaje mi się zbyt ważne. Czy ty też to czujesz, Tesso?

- Tak - odparła szeptem.

- Czasami śmieszy mnie to, jak bardzo ograniczają nas konwenanse, zasady dobrego wychowania. Cóż w tym złego, że mam ochotę z kimś porozmawiać, miło spędzić czas?

- Rozmowa... spędzanie czasu... Czy tylko o to ci chodzi?

- Jeśli to wszystko, co masz mi do zaproponowania, przyjmuję to chętnie, a nawet z zadowoleniem. Ale pragnę czegoś więcej, Tesso, i chciałbym, żebyś o tym wiedziała.

Wsunął dłonie w jej włosy i ponownie ją pocałował. Można by rozmawiać w nieskończoność, pomyślał, ale w pewnej chwili pojawia się dojmująca potrzeba, by się dotykać, trzymać w objęciach, sycić zmysły, zatracać się w ramionach tej drugiej osoby. Miał wrażenie, że całując się, zyskują dostęp do swych dusz. Gdy się obejmowali, rzeka niestrudzenie płynęła własnym odwiecznym rytmem.

I tak się zaczęło.

Wyszła z przyjęcia z Milem Rycroftem, by zrobić na złość Paddy'emu, lecz potem w jakiś tajemniczy sposób słowa, gesty i pocałunki roznieciły ogień. Lubiła mocny zarys szczęki Mila, zagłębienie nad górną wargą i to, jak jego oczy, jasnoszare jak lód na płytkich stawach, zazwyczaj chłodno patrzące na świat, ożywiały się na jej widok. Kochała go za jego umysł, bystrość i oryginalność. Potrafił wykreować magiczne chwile.

Spodobał jej się już przy pierwszym spotkaniu. Wyszedł z lasu przy zamrzniętym stawie jak człowiek lodu i ciemności. Zwróciła wtedy uwagę na jego umiejętność zauważania niedostępnych innym szczegółów, na talent do widzenia poezji w zgrzytaniu łyżwy o lód i widoku rąbka spódnicy unoszącego się w nocnym piruecie. „Kiedy panią zobaczyłem, wydawało mi się, że zostałem przeniesiony w czasie do Rosji albo do Wiednia z przełomu wieków. Przez chwilę myślałem, że jest pani duchem”. Malował obrazy za pomocą słów, tak jak Max utrzymywał je obiektywem aparatu, wprawiając ją w stan oczarowania.

Nie chciała się w nim zakochać. Myślała, że będą się spotykać co pewien czas, by pójść do łóżka. Milo miał być jej cinq a sept, zabawiającym ją wczesnymi wieczorami. Postanowiła zachować szczególną czujność. Nie mogła dopuścić, by ten romans wymknął jej się spod kontroli. Milo miał żonę, o czym dowiedziała się z okładki jego książki: „Milo Rycroft jest żonaty i mieszka w Oxfordshire”. Te osiem słów ostrzegało i nakazywało ostrożność. Pomyślała, że zapewne będą się kochać mniej więcej raz w miesiącu, kiedy Milo przyjedzie do Londynu. Potem będzie wracał na wieś do swojej pięknej żony. Pani Rycroft musiała być urodziwa, ponieważ on lubił otaczać się pięknymi przedmiotami. Miał pióro Mont Blanc, płaszcz firmy Burberry i wspaniałą żonę, wybraną wiele lat temu, kiedy jeszcze nic nie mąciło jego entuzjazmu. Tak więc pozostaną luźno związanymi ze sobą kochankami, Milo zawsze będzie wracał do Rebekki i nikomu nie stanie się krzywda.

W ten sposób to sobie tłumaczyła, starając się uspokoić sumienie. Jeśli nie ja, to w jego życiu z pewnością pojawi się inna. Lepiej, żeby trafił na mnie, bo nie chcę mieć go wyłącznie dla siebie. Przez jakiś czas chciałabym się nim dzielić i tyle. To wszystko. Z czasem okazało się, jak podłe i okrutne były to zamierzenia. Pragnęła wyłuskać ziarna i zostawić żonie plewy. Na miejscu Rebekki Rycroft nie zniosłaby takiej sytuacji. i widoku rąbka spódnicy unoszącego się w nocnym piruecie. „Kiedy panią zobaczyłem, wydawało mi się, że zostałem przeniesiony w czasie do Rosji albo do Wiednia z przełomu wieków. Przez chwilę myślałem, że jest pani duchem”. Malował obrazy za pomocą słów, tak jak Max utrwał je obiektywem aparatu, wprowadzając ją w stan oczarowania.

Nie chciała się w nim zakochać. Myślała, że będą się spotykać co pewien czas, by pójść do łóżka. Milo miał być jej cinq a sept, zabawiającym ją wczesnymi wieczorami. Postanowiła zachować szczególną czujność. Nie mogła dopuścić, by ten romans wymknął jej się spod kontroli. Milo miał żonę, o czym dowiedziała się z okładki jego książki: „Milo Rycroft jest żonaty i mieszka w Oxfordshire”. Te osiem słów ostrzegało i nakazywało ostrożność. Pomyślała, że zapewne będą się kochać mniej więcej raz w miesiącu, kiedy Milo przyjedzie do Londynu. Potem będzie wracał na wieś do swojej pięknej żony. Pani Rycroft musiała być urodziwa, ponieważ on lubił otaczać się pięknymi przedmiotami. Miał pióro Mont Blanc, płaszcz firmy Burberry i wspaniałą żonę, wybraną wiele lat temu, kiedy jeszcze nic nie mąciło jego entuzjazmu. Tak więc pozostaną luźno związanymi ze sobą kochankami, Milo zawsze będzie wracał do Rebekki i nikomu nie stanie się krzywda.

W ten sposób to sobie tłumaczyła, starając się uspokoić sumienie. Jeśli nie ja, to w jego życiu z pewnością pojawi się inna. Lepiej, żeby trafił na mnie, bo nie chcę mieć go wyłącznie dla siebie. Przez jakiś czas chciałabym się nim dzielić i tyle. To wszystko. Z czasem okazało się, jak podłe i okrutne były to zamierzenia. Pragnęła wyłuskać ziarna i zostawić żonie plewy. Na miejscu Rebekki Rycroft nie zniosłaby takiej sytuacji.

Ich romans wymagał inwencji. Starannie wybierali miejsca spotkań. Widywali się więc w British Museum, tradycyjnym miejscu schadzek kochanków. Trzymali się za ręce i splatali palce, by po chwili się rozłączyć na czas przejścia pomiędzy olbrzymią kamienną dłonią przywiezioną z pustyni i sarkofagiem egipskiej królowej. Pili kawę i jedli kolacje w zwykłych ulicznych kawiarenkach, z dala od lokali uczęszczanych przez



przyjaciół. Milo telefonował do niej z budek albo z gabinetu w Oksfordzie. Te rozmowy trwały godzinami; popołudnia przechodziły w wieczór, lecz żadne z nich nie chciało pierwsze odłożyć słuchawki. Kochali się na podmokłej łące w Oxfordshire, gdzie powietrze było przesycone zapachem kwitnących majowych kwiatów. Ów tak zwany dorywczy romans, który Tessa zamierzała ograniczyć do kilku wieczornych godzin raz w miesiącu, wdarł się w każdą chwilę jej dnia.

- Pamiętam ciasne, duszne pokoiki w gorących, małych włoskich miasteczkach - powiedziała mu pewnego popołudnia, gdy leżeli w łóżku w jej mieszkaniu. - Rodzice najczęściej kłócili się wieczorami. Matka kładła spać Freddie i mnie, szła na dół, by podać ojcu kolację, a potem zaczynała się awantura. Na początek ojciec robił ironiczne uwagi. Niekiedy słyszałam słowa, a czasem tylko ton jego głosu. Matka starała się go udobruchać. Kiedy teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że to tym bardziej go rozwścieczało. Krzyczał i obrzucał ją wyzwiskami. Matka płakała. Zdarzało się, że rozbijał talerze, szklanki, wszystko, co tylko miał pod ręką. Nie wiem, czy ją uderzył. Kiedyś przybiegłam, myśląc, że ojciec robi matce krzywdę, ale krzyknęła, żebym wracała do swojego pokoju. Żałuję, że byłam taka posłuszna.

- Moje biedactwo - powiedział.

Tessa wtuliła się w jego ramiona.

- Mama uciekła z domu z moim ojcem i rodzina się jej wyrzekła. Miała dwie małe córki i żadnych własnych pieniędzy. Nigdy nie popełnię takiego błędu. Nie chcę być zależna. Jedyne małżeństwo, któremu mogłam przyjrzeć się z bliska, było polem walki, a nie przyjaźnią. Ojciec omal nie wpędził

mojej matki do grobu, a na pewno zniszczył siebie. Rodzicom się wydaje, że dzieci zapominają o takich sprawach, ale to nieprawda.

Często tak bardzo koncentrujemy się na tym, by nie popełnić błędów innych, że nie zauważamy, jak wpadamy we własne sidła. Tessa powinna była to skończyć; napisać list, zatelefonować, flirtować z innym mężczyzną, mając świadomość, że Milo patrzy z boku. Powinna doprowadzić do tego, aby ją znienawidził. Powiedzieć mu prosto w oczy, że muszą się rozstać. Nie zrobiła tego jednak, bo w tym czasie była już w nim po uszy zakochana.

Potem zaczęła odczuwać zmęczenie. Nigdy dotąd tak szybko nie opadała z sił. Zaczynała dzień później i wykręcała się od wizyt w nocnych klubach. Miała nudności, co tłumaczyła nieregularnym trybem życia oraz spożywaniem w pośpiechu nieregularnych posiłków. Myślała, że to jakaś niegroźna choroba albo zmęczenie po wiosennych pokazach mody.

Okazała się bardzo naiwna. Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że może być w ciąży, gdy przyjechała na przyjęcie do pewnej posiadłości w Hertfordshire. Siedziała wtedy przed lustrem w sypialni dla pań i poprawiała makijaż. Jakaś dziewczyna, leżąca na łóżku, rozmawiała z koleżanką.

- Cholernie szybko się męczę i codziennie rano wymiotuję. Nie zdawałam sobie sprawy, że w ciąży można czuć się tak podle.

Tessa popatrzyła na swoje odbicie w lustrze i kawałki układanki zaczęły nagle tworzyć spójną całość.

Przyjaciółka, także modelka, Stella Bishop, zapisała jej na kartce nazwisko doktora Pomeroya i adres przy Harley Street.

- To menda - powiedziała Stella - ale skoro nie masz wyboru... -  
Rozłożyła ręce.

Doktor Pomeroy miał na sobie czarny frak. Zapinana na guziki szara pasiasta kamizelka rozchyłała się na wydatnym brzuchu. Arystokratycznie przeciągał samogłoski, a długa górna warga i wąsy w stylu Neville'a Chamberlaina nie wystarczały, by ukryć czarne dziury w przednich zębach. Włożył gumowe rękawiczki, zbadał Tessę i stwierdził, że to czternasty lub piętnasty tydzień. Powinna była przyjść do niego wcześniej; okazała się bardzo nierozsądna, doprowadzając się do takiego stanu. Podejrzewał, że nie zanoszą się na małżeństwo. Owszem, będzie mógł pomóc, ale za cenę pięćdziesięciu funtów. Nie można zwlekać. Musi zatelefonować pod ten numer, a sekretarka ustali termin wizyty w klinice. Mówił to wszystko, gdy Tessa leżała z rozłożonymi nogami na fotelu, a zimne skórzane obicie niemile drażniło skórę jej pleców.

Przez kilka najbliższych dni myślała o doktorze Pomeroyu, o błysku w jego oczach i dotyku jego grubych paluchów okrytych gumową rękawiczką. Nie należała do osób lękliwych, lecz szpitale przerażały ją i odstręczały. Czowała się jak sparaliżowana. Chciała wierzyć, że jeśli przestanie o tym myśleć, problem zniknie.

Kilka dni po wizycie u lekarza pojechała na dwa tygodnie do Paryża. Po powrocie do Londynu, kładąc się do łóżka, zauważyła, że ma nieco zaokrąglony brzuch. Zgubiła kartkę, na której doktor Pomeroy zapisał numer telefonu kliniki. Minęło kilka następnych tygodni, aż pewnego ranka poczuła w dole dziwne, delikatne trzepotanie, jakby skrzydeł motyla.

Przyłożyła dłoń do brzucha i pomyślała, że jeśli urodzi się dziewczynka, da jej na imię Christina.

Jej bierność okazała się sposobem na podjęcie decyzji. Zachowała się głupio, jak tchórz. Dziecko musiało zostać poczęte w czasie pierwszych, cudownych tygodni romansu z Milem Rycroftem. To właśnie wtedy prawdopodobnie zapomniała o tej cholernej rzeczy, jak nazywała krążek dopochwowy. Być może stało się to tego popołudnia, kiedy pojechała do Oksfordu i kochali się nad rzeką. Albo podczas jednego z wieczorów, spędzanych w jej mieszkaniu.

Tessa doszła do wniosku, że musi powiedzieć Milowi o dziecku. Ze smutkiem zdała sobie sprawę, że się tego boi.

### **Rozdział 3**

Ostatniego dnia letniego semestru Freddie wsiadła po południu do pociągu jadącego z Oksfordu do Londynu. Zapewniła pannę Fainlight, że Tessa wyjdzie po nią na dworzec Paddington, nie była jednak zaskoczona nie zobaczywszy siostry na peronie i samotnie udała się ku dusznym, ciemnym korytarzom metra.

Dotarła linią Hammersmith & City do Moorgate, a tam przesiadła się w Great Northern i ruszyła w dalszą drogę do Highbury, gdzie mieszkała Tessa. Siedząc z niewielką walizką u stóp, z przyjemnością wsłuchiwała się w stukot kół i skrzypienie wagonu. Cieszyło ją, że ma na sobie własne

ubranie, a nie mundurek, i że przez najbliższych sześć tygodni nie będzie musiała chodzić do szkoły.

Freddie lubiła Londyn. Stał się dla niej symbolem trwałości i solidności. Miała wrażenie, że za ponurymi fasadami budynków wartko toczy się życie. Podobało jej się, że w Londynie rytm dnia jest tak odmienny od szkolnego. W Westdown School starannie wyznaczano czas na różne zadania. Tutaj wszystko działo się bez żadnego planu, a życie często przynosiło zaskakujące niespodzianki. Te dwa całkowicie odmienne sposoby spędzania czasu odpowiadały różnym stronom jej natury.

Wysiadłszy z pociągu, Freddie przeszła Highbury Place do apartamentowca z czerwonej cegły, w którym mieszkała Tessa. Przy wejściu powitał ją portier i zaproponował, że zanieśe bagaż na piętro. Podziękowała mu z uśmiechem, zapewniając, że walizka nie jest ciężka. Portier otworzył drzwi windy i Freddie weszła do środka.

Mieszkanie Tessy znajdowało się na drugim piętrze. Freddie od razu zorientowała się, że siostry nie ma w domu. Gdy Tessa była w pobliżu, powietrze zdawało się wibrować, pulsowało energią. Zostawiła walizkę w holu i rozejrzała się dookoła. Wszędzie panował porządek, co oznaczało, że służąca sprzątała tego ranka. Pokój Freddie znajdował się w takim stanie, w jakim go zostawiła, wyjeżdżając do szkoły na początku semestru. Kiedy Tessa wynajęła to mieszkanie, obiecała siostrze, że nikomu nie pozwoli korzystać z jej pokoju.

W kuchni Freddie znalazła bochenek chleba oraz słoik dżemu truskawkowego i zrobiła sobie kanapkę. Tessa nie jadła zwyczajowych, regularnych posiłków, przez cały dzień żywiła się krakersami, winogronami

i okrawkami sera, w spizarce jednak zawsze trzymała jedzenie dla gości. Tessa miała niespełna pół metra w talii. Freddie była jedynie o trzy centymetry szersza w pasie, a to spore osiągnięcie, zważywszy, że jadła wszystko, co tylko wpadło jej w ręce. Ostatnio bardzo wyrosła i zastanawiała się, czy to te dodatkowe centymetry tak szybko wchłaniają podawany w szkole pudding z dodatkiem łożu.

Uważając, by dżem nie spadł na biały dywan, Freddie przeszła się po mieszkaniu, by ponownie się z nim oswoić. Zauważyła, że na ścianach salonu pojawiły się nowe fotografie, przedstawiające Tessę w najprzeróżniejszych eleganckich sukniach i fantazyjnych kapeluszach. Na jednym ze zdjęć siostra stała w stawie, na innym, ubrana w czarno-białą sukienkę, głaskała po szyi zebra. W lewym dolnym rogu fotografii z zebrawidniały słowa: „W hołdzie cudownej Tessie, Max Fischer”. Na kominku stały kartki pocztowe. Freddie odwracała je i czytała. „Paryż nie jest już taki sam bez Ciebie”. „To okropne miejsce, leje jak z cebra, a do tego mieszkam w podłym hotelu”. Oraz tajemnicze: „Znalazłem szachownicę”.

Tessa miała przestronną sypialnię z wykuszowym oknem, wychodzącym na ulicę wysadzaną platanami. Freddie rzuciła się na szerokie podwójne łóżko z wezłowiem wyrzeźbionym na kształt muszli i westchnęła z rozkoszą. Zdała sobie sprawę z tego, że sporą część jej życia wypełnia tęsknota za nieosiągalnym: wspaniałym jedzeniem, szykownymi strojami, szampanem, papierosami i przejażdżkami sportowym autem. Miała też inne marzenia, które trudno byłoby ubrać w słowa, lecz doskonale wyrażały je fragmenty niektórych piosenek lub powieści.

Uwagę dziewczyny przyciągnęła niewielka paczuszka na toalecie. Zsunęła się z łóżka. Obok zawiniątka, pod złotą puderniczką leżał banknot pięćofuntowy i złożona kartka z napisem „Freddie”. Freddie rozłożyła kartkę i przeczytała liścik od Tessy.

„Kochanie, czy mogłabyś coś dla mnie zrobić? Chciałabym, żebyś to doręczyła”. „To” zapewne oznaczało paczuszkę. „Masz tu pieniądze na taksówkę. Musisz oddać to Julianowi osobiście”. Ostatnie dwa wyrazy były kilkakrotnie podkreślone. „Potem przyjdź do nas na herbatę do Ritza. Nie mogę się doczekać” - znów liczne podkreślenia - „naszego spotkania”.

Paczuszka była zaadresowana do Juliana Lawrence'a. Kiedy Freddie nią potrząsnęła, usłyszała ciche grzechotanie.

Otworzyła szafę i przejrzała wspaniałe kreacje siostry. Tessa z pewnością nie będzie miała jej tego za złe - zawsze chętnie pożyczała stroje. Zdecydowała się na dopasowaną suknię i żakiet z czarnej bawełnianej satyny, ozdobiony jedwabną kremową wstążką. Zdjęła swoją sukienkę w żółto-białą kratę i włożyła suknię Tessy. Pod spodem miała biały stanik, halkę i granatowe majtki. Całości dopełniły jedwabne pończochy i piękne włoskie buty na wysokich obcasach. Freddie usiadła przy toalecie i zaczesła na jedną stronę proste, ciemne, równo obcięte włosy. Starannie się upudrowała, pomalowała usta czerwoną szminką i przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze. Miała ciemnobrązowe oczy i jasną cerę. Zazwyczaj wysuwała podbródek i marszczyła czoło, kiedy się nad czymś głęboko zastanawiała, i tak właśnie zrobiła w tej chwili. Przybrała pogodny wyraz twarzy, lekko wyduła wargi i przymknęła powieki. Tak było dużo lepiej. Wyglądała teraz na starszą, bardziej interesującą niż w rzeczywistości i

trudno się domyślić, że jest uczennicą. Czy była ładna? Uznała, że może za taką uchodzić.

Włożyła paczuszkę i pięciofuntowy banknot do torebki z lakierowanej skóry, a potem, zobaczywszy, że pada deszcz, znalazła parasolkę i wyszła z mieszkania.

Na dole portier zawołał dla niej taksówkę i podał kierowcy adres w Kensington, widniejący na przywieszce dołączonej do paczuski. Na miejscu Freddie poprosiła taksówkarza, by na nią zaczekał. Ogromny krzew budlei z purpurowymi kolbami kwiatów ociekającymi deszczem wypełniał niemal całą przestrzeń niewielkiego ogródka przed domem. Przy drzwiach znajdowały się cztery dzwonki; Freddie nacisnęła ten z napisem „Lawrence” z boku.

Drzwi się otworzyły. Julian Lawrence był młody, ciemnowłosy, przystojny i jakby śpiący. Miał na sobie szare spodnie i białą koszulę bez krawata. Czarne włosy sterczały potargane.

- Nazywam się Frederica Nicolson - powiedziała Freddie. - Spotkaliśmy się kiedyś w herbaciarni u Fortnuma i Masona. - Wyciągnęła ku niemu paczkę. - Tessa prosiła mnie, żebym to panu dała.

We wzroku Juliana pojawiła się podejrzliwość. Rozerwał brązowy papier i wyciągnął sznur pereł.

- Chryste! - syknął ze złością. - Nie chcę ich. - Proszę je zabrać. - Wyciągnął perły w stronę Freddie. Cofnęła się o krok.

- Musi je pan wziąć, panie Lawrence. To jest życzenie Tessy.



Z wściekłością cisnął perły i zmięty brązowy papier w budleję, po czym usiadł na progu, jęknął głucho i ukrył twarz w dłoniach.

- Jak ona może robić mi coś takiego? Wie pani może, gdzie ona jest? Od kilku dni próbuję się z nią skontaktować.

- Właśnie jadę do Ritza, żeby się z nią spotkać.

- To pani taksówka?

Freddie kiwnęła głową. Julian Lawrence wstał.

- W takim razie - oznajmił - jadę z panią. Proszę się nie ruszać, zaraz wracam.

Wpadł do domu, a po kilku minutach powrócił w marynarce i z krawatem w ręku.

- Perły... - powiedziała, gdy szli ścieżką.

- Do diabła z perłami! - Otworzył drzwiczki taksówki i odjechali, zostawiając naszyjnik, zwisający jak krople deszczu z gałęzi budlei.

W drodze do Mayfair Julian mówił o Tessie: o tym, gdzie i kiedy się spotkali, o ich związku. Wychwalał jej urok i ubolewał nad tym, że bywa okrutna. Freddie miała ochotę mu wyjaśnić, że siostra wcale nie chce być okrutna i że ukazuje światu jedynie maskę, pod którą skrywa swe prawdziwe oblicze; doszła jednak do wniosku, że nie powinna się wtrącać w życie Tessy, a poza tym, słuchając Juliana, utwierdziła się w przekonaniu, że żadne wyjaśnienia nie mają sensu. Spytała go więc o rodzinę i sprawy zawodowe. Pochodził z Kent i pracował jako osobisty sekretarz jakiegoś przemysłowca, a w wolnych chwilach uczył się latać.

- To największa przyjemność pod słońcem - powiedział rozpromieniony, a potem zapytał, czym ona się zajmuje. Przyznała się, że jest uczennicą.

- Boże, naprawdę? - wykrzyknął z niedowierzaniem. - A ja dałbym pani co najmniej dwadzieścia lat. - Potraktowała to jak komplement.

U Ritza Freddie i Julian zostali zaprowadzeni do stolika Tessy. Kelner zakomunikował, że panna Nicolson jeszcze nie przyjechała, natomiast są tu już jej przyjaciele. Przy stoliku siedzieli dwaj mężczyźni i kobieta. Freddie znała panów. Jednym z nich był Raymond Leavington, a drugim - hiszpański poeta, Antonio, który uciekł ze swego kraju po wybuchu wojny domowej. Freddie przywitała się z nimi.

- Witaj, dziewczyno. Wypuścili cię z tego twojego więzienia? - Raymond wstał i ją uścisnął. - Pięknie wyglądasz, Freddie.

Raymond był wysoki, mocno zbudowany, szeroki w barach. Miał rumianą twarz i rudawozłociste włosy, siwiejące przy skroniach. Kiedy całował Freddie, jego wąsy łaskotały ją w policzek. Raymond zajmował się handlem nieruchomościami. To właśnie on znalazł dla Tessy mieszkanie w Highbury. Był bardzo sympatyczny i wesoły, o ile rozmowa nie schodziła na temat jego dwóch ekszów. Pierwsza z nich nazywała się Harrie, druga - Diana.

Teraz przedstawił Freddie i Juliana młodej kobiecie, tancerce o imieniu Bee. Bee była drobnej budowy, miała ciemne włosy i twarz, którą Freddie określiłaby jako brzydką, gdyby nie malująca się na niej żywa inteligencja. Przywitała się z nowo przybyłymi.

- Gdzie jest Tessa? - spytał Julian.

- Powiedziała, że może się spóźnić. - Raymond podsunął talerz z kanapkami w stronę Freddie. - Proszę, poczęstuj się. Napijesz się szampana?

- Chętnie. - Za kilka dni, dwudziestego lipca, miała skończyć siedemnaście lat, ale nie było tu siostry, która mogłaby zaprotestować.

Freddie jadła więc kanapki, piła szampana i rozmawiała z Raymondem o jego sprawach zawodowych, Antonio i Bee flirtowali ze sobą, a Julian Lawrence gniewnie popatrywał w stronę wejścia do sali. Po pewnym czasie Raymond zamówił następną porcję kanapek, ciastka i kolejną butelkę szampana, by uczcić koniec semestru w szkole Freddie. Trunek był wyborny. Freddie wyobrażała sobie, że jest bogata jak Tessa i pije szampana wraz z popołudniową herbatą.

- Jak tam szkoła? - spytał Raymond.

- Jak zwykle. Najbardziej odpowiada mi właśnie to, że zawsze wszystko jest takie samo. - Popatrzyła na zegarek.

- Gdyby teraz trwał semestr, przed chwilą skończyłabym lekcje i jadłabym chleb z margaryną w jadalni w internacie.

Raymond się uśmiechnął.

-Chleb z margaryną... w mojej szkole dawali nam chleb z tłuszczem od pieczeni. Weź sobie ciastko, Freddie. -Jego twarz zmieniła się raptownie. - O, Boże! Diana.

Ubrana w szmaragdową spódnicę i żakiet, druga żona Raymonda zmierzała w ich stronę, złowrogo mrużąc oczy. Usiadła obok byłego męża i

zaczęli rozmawiać ściszymi głosami. Wyglądało to na nieprzyjemną rozmowę. Freddie zaczęła się pilnie wsłuchiwać w melodię „Let's Face the Music and Dance”, graną na fortepianie, i obserwowała siedzącą przy sąsiednim stoliku kobietę, która karmiła małego mopsa kawałkami kanapek.

W końcu Diana odeszła sztywnym krokiem, a Raymond otarł spocone czoło i się uśmiechnął.

- A oto i nasza dziewczyna - oznajmił.

Freddie zobaczyła idącą ku nim Tessę.

Siostra miała na sobie białą sukienkę i bolerko. Jej jasne włosy, uczesane z przedziałkiem na środku głowy, były upięte w coś, co kształtem przypominało Freddie rożki z kremem. Biały kapelusik Tessy, zalotnie przekrzywiony na bok, zdobiła orchidea.

- Kochani - powiedziała i uśmiechnęła się promiennie

- bardzo was przepraszam za spóźnienie. - W jej głosie nie wyczuwało się jednak skruchy; Tessie nigdy nie było przykro.

Julian wstał.

- Tesso, muszę z tobą pomówić.

Nieznacznie uniosła brwi i zerknęła w stronę Freddie, w ten sposób jednocześnie ją witając i czyniąc współwinną.

Julian zamachał rękami.

- Nie będę tego dłużej znosił - zaczął. - Chyba nie zdajesz sobie sprawy z tego, co mi robisz, Tesso!

Pod koniec rozmowy ochłonął. Tessa trzymała go za ręce, posyłając mu kojące uśmiechy. Freddie przyglądała się tej scenie zaintrygowana. Lubiła patrzeć, jak siostra rozwiązuje skomplikowane problemy uczuciowe.

Na stole pojawiły się kolejne dzbanki z herbatą i ciastka. Tessa zjadła plasterek ogórka. Pół godziny później obie szybko wróciły do mieszkania, by przebrać się w suknie wieczorowe. W taksówce Freddie opowiadała siostrze o meczach tenisowych i egzaminach, a Tessa zdała sprawozdanie ze swojego tygodniowego pobytu w Nowym Jorku. Znalazłszy się w mieszkaniu, kolejno wzięły kąpiel, nie przerywając rozmowy. Gdy Freddie myła zęby, Tessa bardzo śmiesznie przedstawiła scenkę pozwania dla wymagającej klientki u Selfridge'a, wcielając się w rolę modelki i tamtej kobiety. Freddie śmiała się tak gwałtownie, że musiała zasłonić usta dłonią, by nie rozpryskać pasty do zębów po całej łazience.

Co pewien czas w oczach Tessy pojawiał się jednakże wyraz zatroskania i było widać, że jest zmęczona i zatopiona we własnych myślach. Freddie odniosła wrażenie, że w ciągu sześciu tygodni, które upłynęły od ich ostatniego spotkania, coś się zmieniło. Postanowiła nie zadawać żadnych pytań, wiedząc, że siostra zwierza się ze swoich kłopotów tylko wtedy, gdy ma na to ochotę. Jakiegokolwiek próby nacisku były z góry skazane na niepowodzenie.

Żadna z wieczorowych sukien Freddie już na nią nie pasowała, więc Tessa pożyczyła jej wspianiałą kreację ze zwiewnego tiulu o barwie kawy na dopasowanym kremowym spodzie z satyny. Tessa włożyła suknię ze złotawobrazowego jedwabiu. Umalowane, w wieczorowych pelerynach, ponownie wyszły z domu.

Tego wieczoru spotykali się w dziesięcioosobowym gronie w restauracji Mirabelle. Do towarzystwa z Ritza dołączył Paddy Collison i jego przyjaciel, Desmond Fitzgerald. Desmond przyprowadził dwie młodsze siostry, jasnowłose jak on. W połowie kolacji przybył fotograf, Max Fischer. Był chudy i żylasty, miał ciemne włosy i interesującą twarz o zapadniętych policzkach.

- Max! - zawołał ze złością Julian Lawrence, wstając tak gwałtownie, że przewrócił krzesło.

Kelner pośpieszył, by je podnieść. Julian teatralnym gestem odrzucił serwetkę, podszedł do Maksa i wysyczał:

- A co ty tutaj robisz?

- Przyszedłem do moich przyjaciół. A cóż innego miałyby mnie tu sprowadzać?

Lawrence pogroził mu pięścią.

- Jules - upomniwała go łagodnie Tessa.

Po chwili Julian opuścił ręce.

- A niech was wszyscy diabli! - rzucił i wyszedł z restauracji.

- Mój Boże, co za uczucie... To wzruszające - mruknął Raymond.

Max witał się ze wszystkimi, obchodząc stół dookoła. Całował kobiety w rękę - najdłużej trzymał palce Tessy - i wymieniał uściski dłoni z mężczyznami. Kiedy doszedł do Freddie, wykrzyknął:

- Panna Nicolson! Enchante! - i pochylił się nad jej dłonią. Gdy uniósł głowę, Freddie zobaczyła, że jego małe czarne oczka błyszczą rozbawieniem. - Siostry Nicolson na kolacji w Mirabelle - powiedział. - To przywodzi na myśl obrazy Johna Singera Sargenta.

Freddie przypomniała sobie fotografie w mieszkaniu Tessy.

- Dlaczego zrobił pan zdjęcie Tessy z zebłą?

- Bo jestem surrealistą, a surrealiści lubią właśnie takie rzeczy. - Usiadł obok niej na krześle Juliana Lawrence'a.

Przez następne pół godziny Max i Freddie rozmawiali o kłopotach związanych z fotografowaniem zebry i pytona. Potem dyskutowali na temat sztuk wystawianych w teatrach West Endu.

- Wszystkie są głupie i banalne. Szkoda na nie czasu

- podsumował Max, machając ręką z lekceważeniem.

- Wyślę ci bilety na coś, co mój przyjaciel wystawia w pubie w Whitechapel. To jest naprawdę godne uwagi.

Gdy wypili kawę, Tessa powiedziała:

- Nie wiem, jak wy, ale ja marzę o tańcu.

Odebrali płaszcze oraz parasole i wyszli na ulicę.

Odźwierny zamówił im taksówki. Siedząc z tyłu pomiędzy Bee a Maksem, Freddie patrzyła w okienko. Było już ciemno, a krople deszczu na szybie dawały złudzenie, że lśniące światła Piccadilly się zwielokrotniają. Kilka dziewcząt w prochowcach i butach na wysokich obcasach ze

śmiechem biegło w stronę autobusu. Tej nocy wszystko wydawało się błyszczące i ulotne.

Nocny klub znajdował się przy Shaftesbury Avenue. Oddali szatniarzowi wilgotne okrycia; panie poprawiły makijaż. Muzyka - przenikliwe dźwięki trąbki i srebrzyste arpeggia fortepianu - była jak drogowskaz prowadzący do sali. Ściany pomalowano tu na lśniący czarny kolor, z sufitu zwisał wielki żyrandol z rurkowatymi kielichami z połączanego szkła. Zespół oświetlony był punktowym reflektorem. Na stolikach paliły się świece.

Wszystkie głowy obróciły się w stronę wchodzącej Tessy: bywalcy klubu byli jej świtą, a ona - ich królową.

Noc przebiegała pod znakiem jękliwego zawodzenia saksofonu, wirowania błyszczącego, złotobrazowego jedwabiu i pełnych uznania salw śmiechu po quick-stepie Tessy.

- Żałuję, że nie jestem starsza - powiedziała nad ranem Freddie do Maksa. - Chciałabym znajdować się w centrum tego wszystkiego, a nie trzymać się na uboczu. - Nie sprecyzowała, co oznacza „to wszystko”, lecz zapewne chodziło jej o krąg przyjaciół Tessy, Londyn, świat dorosłych. Była trochę oszołomiona alkoholem.

Później, tańcząc tango z Antoniem, poruszała się płynnie, w rytm muzyki. Zmysłowa melodia przeniknęła ją do głębi. Kiedy taniec dobiegł końca, Antonio uśmiechnął się do niej szelmowsko, pochylił się i ją pocałował. Jego wąsy niemile drażniły jej wargi, lecz mimo to Freddie poczuła triumf. Jednego wieczoru udało jej się napić szampana i przeżyć pierwszy pocałunek.



Wkrótce potem wszyscy wrócili do domów. Deszcz przestał padać. Szare światło poranka odbijało się w mokrych chodnikach. Przy krawężniku zatrzymał się wóz mleczarza, a po chwili ruszył dalej. W czasie jazdy taksówką pustymi ulicami w głowie Freddie odżywały obrazy tego dnia. Oczami wyobraźni widziała piosenkarza z nocnego klubu, czule ściskającego mikrofon, żebraka przed sklepem, sznur pereł zwisający z budle. Zastanawiała się, czy wciąż jeszcze tam są.

Taksówka zatrzymała się przed domem Tessy. W windzie ziewały i uśmiechały się do siebie blado. Jak na komendę westchnęły: „Moje stopy...”, i zsunęły buty.

Tessa otworzyła drzwi do mieszkania.

- Mam wrażenie, że dobrze się bawiłaś.
- Wspaniale. - Freddie ziewnęła.
- Napijesz się czegoś? Kakao... gorącego mleka?
- Nie, dziękuję.
- W takim razie powinnaś iść spać. -A ty?

Tessa wyjęła z torebki papierosa, zapaliła, zamknęła oczy i zaciągnęła się dymem.

- Ja jeszcze trochę posiedzę.
- Tesso, co się dzieje?
- Nic złego, naprawdę nic. - Siostra zapatrzyła się w okno.

Freddie usiadła na kanapie, podwijając pod siebie stopę.

- Nie jestem dzieckiem - powiedziała.
- Nie chciałam... - Tessa machnęła ręką w przeproszającym geście.
- Źle się czujesz? Co się dzieje? Boli cię głowa? Masz miesiączkę?
- Chciałabym ją mieć. - Tessa zaśmiała się gorzko. Freddie popatrzyła na nią uważnie.
- Och. - Jej oczy zrobiły się okrągłe ze zdumienia.
- Och, Tesso!
- Miałam nadzieję, że nic się nie stało. Już kiedyś tak się bałam, że dwa albo trzy razy, ale zawsze wszystko było w porządku.
- A tym razem jest inaczej? Tessa pokiwała głową.
- Obawiam się, że tak. - Spojrzała na papierosa.
- Paskudny nałóg. Cały czas chcę rzucić palenie. - Zgasiła niedopałek w popielniczce. - Myślałam, żeby coś z tym zrobić... to znaczy z dzieckiem. Przyjaciółka poleciła mi pewnego doktora... wiedziałam, że mój nigdy by mi w tym nie pomógł... ma zbyt ciasne poglądy... ale potem...

W pewnej chwili Freddie omal nie wykrzyknęła: „Coś z tym zrobić? O czym ty mówisz?!”. Zaraz potem zrozumiała. Doszła do wniosku, że tej nocy dowiedziała się bardzo wiele - może nawet zbyt wiele o życiu. Poznała smak szampana, czuła dotyk warg mężczyzny na swoich ustach, a na koniec usłyszała, że jej siostra chciała się pozbyć nienarodzonego dziecka.

- Biedna Tessa - powiedziała.

- Nie żałuj mnie. To kara za grzechy. Obiecywałam sobie, że będę uważać, ale najwyraźniej nie wykazałam należytej ostrożności.

- Co teraz zrobisz?

Tessa zaśmiała się skrzekliwie.

- Za pięć miesięcy urodzę dziecko. Oto, co zrobię.

- Zagryzła wargę. - Nie potrafię sobie tego wyobrazić.

- Spochmurniała. - To wszystko wydaje mi się nierealne.

- To dziecko Paddy'ego? - zapytała Freddie. Miała nadzieję, że nie.

Tessa nie odpowiedziała. Siedziała przygarbiona, zwrócona plecami do Freddie.

- Tesso.

Siostra popatrzyła na nią chłodno.

- Nie zamierzam nikomu mówić, kto jest ojcem dziecka. Nawet tobie, Freddie.

- Powiedziałaś mi?

- Ojcu dziecka? Nie.

- Tesso, musisz to zrobić.

- Nie chcę. Nie wiem, co mam powiedzieć.

Freddie czuła się zbita z tropu, widząc siostrę tak zagubioną.

- Masz zamiar wyjść za niego za mąż?

- Na pewno nie. Nie mogę za niego wyjść. Nie chcę nawet o tym myśleć. - Tessa najwyraźniej nie miała ochoty na dalsze zwierzenia. Odwróciła się. - Sama dam sobie radę. Nikogo nie potrzebuję.

- Nie jesteś sama, masz przecież mnie. Pomogę ci. Rzucę szkołę i pomogę ci przy dziecku.

- Nie - odparła ostrym tonem Tessa. - Nie życzę sobie tego. Ale dziękuję ci za tę propozycję, kochanie, to bardzo miłe z twojej strony. - Usiłowała mówić opanowanym tonem. - Wszystko będzie dobrze, czuję to. Może nawet się okaże, że będę z tego miała dużo radości.

Freddie czasami przerażał jej brak praktycyzmu.

- Tesso, nawet jeśli nie chcesz nikomu o tym mówić, powinnaś powiadomić ojca dziecka.

- Naprawdę tak uważasz? O, Boże. - Tessa westchnęła.

- Nie będzie zadowolony, wiem o tym. - Splotła dłonie.

- On nigdy nie chciał mieć dzieci, nie pragnął tego dziecka i nie będzie się ze mną o nie targował.

- Ty też nie chciałaś mieć dzieci.

- Dla kobiety to coś innego. Wiemy, jak wiele ryzykujemy. Jeśli nie zdecydujemy się zaryzykować, uchwamy się aż do ślubu. Ale dobrze wiesz, że nigdy nie byłam grzeczną dziewczynką.

Freddie czuła, że robi jej się niedobrze. Być może z powodu szampana... albo za dużo zjadła w Mirabelle. Ten wieczór był dla niej stanowczo nazbyt pełen wrażeń.

- Kochasz go? - spytała, nie kryjąc ciekawości.
- Bardzo - odpowiedziała zmęczonym głosem Tessa. -1 obawiam się...
- Czego?
- Że będą z tego jakieś kłopoty.
- Źle się czujesz?

- Teraz już lepiej. Najgorsze były poranki. - Tessa wstała i zaczęła wyjmować szpilki z włosów. Popielatoblond rożki z kremem rozwinęły się i opadły na ramiona.

Freddie niewiele wiedziała o ciąży. W szkole uczono je tylko o rozmnażaniu królików, a i ten temat traktowany był bardzo pobieżnie.

- Kiedy będzie widać?

Tessa popatrzyła na swój brzuch.

- Jesteś bardzo rzeczowa, kochanie. Rzeczywiście muszę o tym pomyśleć. Przyjaciółka powiedziała mi, że udawało jej się ukrywać ciążę aż do końca szóstego miesiąca. Będę nosiła bieliznę wyszczuplającą.

Przez chwilę siedziały w milczeniu. Freddie machinalnie rozglądała się po pokoju. Na chwilę zatrzymała wzrok na wykładanym czarno-białymi kafelkami kominku, fotografiach na ścianach i na zegarze. Wskazówki na kwadratowej, eleganckiej tarczy mówiły, że dochodzi siódma.

- Powinnaś położyć się do łóżka, kochanie. Jest już bardzo późno.

Znalazłszy się w swoim pokoju, Freddie zdjęła suknię i powiesiła ją na wieszaku. W łóżku usiłowała jeszcze coś czytać, ale nie mogła się skupić. Zgasiła lampę i położyła się na plecach. „Wszystko będzie dobrze, czuję to”.

Trudno jej było uwierzyć w słowa Tessy.

Lato toczyło się według ustalonego porządku. Na początku sierpnia Rycroftowie wyjeżdżali do Francji. Zawsze zatrzymywali się w tym samym miejscu, w niewielkim kamiennym domku w Lot, należącym do przyjaciela z Oksfordu. W tym roku Milo wydawał się dziwnie niespokojny. Pisał kolejną powieść i był w połowie pracy. Przed wyjazdem z Anglii często narzekał i martwił się, że wypadnie z rytmu. Swoim zachowaniem dawał do zrozumienia, że wyjeżdża na wakacje, by sprawić przyjemność Rebecce. Bardzo ją to irytowało. Zaproponowała, by pracował rano, a ona będzie wtedy wychodziła z domu, by mu nie przeszkadzać. Jego sekretarka, panna Tyndall, mogła wszystko przepisać na maszynie po ich powrocie do Anglii. Następnego dnia Rebecca zasiadła więc za kierownicą zardzewiałego Citroëna, zostawionego im przez przyjaciela Mila, i spędziła cudowną godzinę, kupując ser i wędliny na wiejskim targu. Było ciepło i parno. Zaparkowała samochód pod rozłożystymi drzewami, przebrała się w kostium i poszła popływać w leniwie toczącej swe zielone wody rzece Dordogne. Po powrocie do domu zastała Mila w ogrodzie z kieliszkiem wina w ręku. Powiedział, że jest zbyt gorąco na pracę i że nie może skupić myśli.

W końcu wrócili do Mili House o tydzień wcześniej, niż planowali. Rebecca nie miała nic przeciwko temu, bo na początku września zamierzali urządzić przyjęcie z okazji wydania najnowszej powieści Mila, „Złamana

tęcza", a poza tym niepokoiła się o stan ogrodu. Kiedy płynęli promem przez kanał i stali obok siebie, patrząc, jak białe skały wynurzają się niczym płócienne falbany z niebieskozielonego morza, wszystkie lęki Rebekki, dręczące ją przez kilka ostatnich miesięcy, nagle się skryształizowały. Podejrzenie. To słowo w żaden sposób nie oddawało bólu, jaki wiązał się z jej obawami. We wzroku męża było coś, co ją niepokoiło; jakiś błysk podniecenia i radosnego oczekiwania. Milo wydawał się bardzo z siebie zadowolony, a jednocześnie tajemniczy, jak paw mający za chwilę rozłożyć ogon. Gdy tylko jednak zdał sobie sprawę, że Rebecca na niego patrzy, przybrał maskę obojętności. W tej właśnie chwili wszystko zaczęło się układać w spójną całość - jego wcześniejsze wahania nastrojów, stany euforii i roztargnienie, niechęć do wyjazdu na wakacje i nerwowe oczekiwanie na powrót do domu. Rebecca była pewna, że Milo z kimś się spotyka.

Nie miała jednak na to żadnych dowodów, a te, którymi dysponowała, po dokładniejszej analizie okazywały się tak słabe, że w końcu znikwały jak poranna mgła. Rozdarta pomiędzy podejrzeniami a poczuciem ulgi, traciła opanowanie i coraz częściej czuła zmęczenie.

Przyjęcie ogrodowe z okazji wydania „Złamanej tęczy” odbyło się w drugim tygodniu września. Na szczęście nie padał deszcz i dźwięki kojącej muzyki granej przez kwartet smyczkowy płynęły na zewnątrz przez otwarte drzwi balkonowe. Goście zgromadzili się na trawnikach Mili House i na tarasie. Rebecca miała na sobie białą lnianą sukienkę w ogromne niebieskie maki, kupioną u Zelig w Oksfordzie. Jedynie wysokie kobiety mogą nosić suknie w takie wzory, powiedziała jej właścicielka pracowni.

Toby Meade, przyjaciel z college'u sztuk pięknych, jeden z niewielu, z którymi Rebecca wciąż utrzymywała kontakt, przyjechał późno. Ciemnowłosy Toby, niski i szeroki w ramionach, klepał biedę w wynajętej pracowni w Chelsea. Całując Rebeccę na powitanie, nie omieszkał pogłodzić jej po siedzeniu. Nie protestowała; jego frywolność nigdy nie robiła na niej wrażenia.

Powiedziała mu, że ostatnia książka Mila doskonale się sprzedaje, na co odparł opryskliwie:

- Milo to gnojek. To mnie, a nie jemu zawdzięczasz to, do czego doszłaś.

Przyjęła te słowa ze spokojem, a nawet z zadowoleniem. Potem rozmawiali o jego pracach i planowanej wystawie.

- To będzie wspólna wystawa z tym półgłówkiem, Michaeliem Turnerem - oznajmił Toby. - Ale lepiej mieć dla siebie połowę galerii niż nic. Przyjdiesz, Becky? Mam wrażenie, że odrobina rozrywki dobrze ci zrobi.

Rebecca przyłożyła dłonie do twarzy.

- Och, Toby... czy to znaczy, że wyglądam strasznie?

Zapewnił ją, że jest piękna jak zawsze, tylko wydaje

się... zaniepokojona. Albo czymś zmartwiona. Może chciałaby pogadać o swoich kłopotach z wujkiem Tobym?

Nie miała na to ochoty. Skierowała go na fałszywy trop, mówiąc, że przyjęcia wymagają zawsze wielu przygotowań, a nazajutrz wybiera się z



Meriel na lunch z matką i bardzo się tym denerwuje. Przed laty Toby poznał jej matkę, więc nie krył współczucia. Rebecca przedstawiła go kilku osobom, przeprosiła gości i pośpieszyła do domu. W drodze do kuchni przystanęła przed lustrem w holu i uważnie przyjrzała się swemu odbiciu. Czy na jej twarzy istotnie tak bardzo było widać obawę i niepokój?

Zaniosła muzykom napoje i wyszła na taras. Tam, w cieniu czerwolistnego buka, stał Milo z tą dziewczyną, Grace King. Panna King rozprawiała o czymś z pasją, żywo gestykułując. W pewnej chwili Milo wziął ją pod łokieć. Dziewczyna przestała wymachiwać rękami; wychyliła się ku niemu, a jasne włosy opadły jej na twarz. Któryś z gości ruszył przez trawnik, by do nich podejść. Milo i jego towarzyszka odsunęli się od siebie.

Wyobrażenia Rebekki podsuwała jej scenariusz: „Muszę się z tobą spotkać - przecież wiesz, jak bardzo cię kocham - uwaga, ktoś nadchodzi”. Odwróciła się i oddychała z trudem, jak gdyby Milo trzymał teraz jej serce w dłoni i mocno ścisnął, a spomiędzy jego palców kapała krew.

Milo był mistrzem drobnych gestów: czerwona róża, pierścionek zawinięty w bibułę i zostawiony na poduszce, delikatne, pieścizotliwe dotknięcie. Rebecca miała ochotę przejechać paznokciami po gładkim policzku Grace King i patrzeć, jak zadrapania nabierają czerwonej barwy.

Poniedziałek: późno przyjechał do domu z Oksfordu. Podobno jakiś znajomy, straszny nudziarz, zatrzymał go przy samochodzie i nie chciał się odczepić. Rebecca głośno postawiła na stole talerz z wystygłym obiadem i wyszła, by jadał sam.

Środa wieczór: Milo bardzo długo spacerował z psem. Rebecca zastanawiała się, czy aby nie rozmawiał z Grace King z budki telefonicznej. Kiedy mąż wrócił do domu, zapytała, gdzie się podziewał.

- Byłem na Herne Hill. - Popatrzył na nią i zapytał: - A ty myślałaś, że gdzie?

- Nie wiem. Skąd mam wiedzieć?

- Och, na litość boską! - Powiesił smycz Julii na kołku i poszedł na górę.

W sobotni wieczór jedli kolację u Charliego i Glyn, a potem grali w brydża. Milo był w doskonałym humorze - błyskotliwy, dowcipny, uroczy. Zastanawiała się, czy on wie, że ona wie; a może zauważył, że zaczęła go obserwować i stara się ją zwieść.

Tej nocy obudziła się, głęboko nieszczęśliwa, przepełniona nienawiścią do samej siebie. Oto, do czego doszła po latach małżeństwa z mężczyzną, bez wątpienia będącym miłością jej życia: dopatrywała się podstępów w przypadkowych wydarzeniach, dwuznaczności w każdym uśmiechu. y

Następnego dnia była w równie podłym nastroju. Bolała ją głowa i czuła ogromne zmęczenie. Za dużo wypła u Masonów. W niedzielę pani Hobbs miała wolne. Rebecca i Milo jedli wtedy skromną kolację w salonie, czytając gazety i słuchając płyt.

Telefon zadzwonił, kiedy Milo nakręcał gramofon. Usłyszawszy dzwonek, przeszedł do holu; Rebecca słyszała, jak podniósł słuchawkę, przedstawił się, a potem jego głos ucichł. Wstała i wyszła z pokoju. Słuchawka leżała na widełkach telefonu, stojącego na stoliku w holu.

Rebecca podeszła pod drzwi gabinetu. Milo mówił coś ściszym głosem. Przerzucił rozmowę na telefon wewnętrzny. Nie potrafiła rozróżnić słów.

Zastukała do drzwi.

- Napijesz się kawy, Milo?

Stała w progu. Zauważyła, że odłożył słuchawkę.

- Chętnie - powiedział.

- Kto dzwonił?

- Jedna z moich studentek. - Wrócił do gabinetu; widziała, jak pochylił się nad biurkiem i gryzł coś na kartce papieru.

Postawiła czajnik na kuchence i stanęła przy zlewie. Zmieniała się pogoda, ochłodziło się i zaczynało padać. Ciężkie krople deszczu tworzyły mokre plamy na ogrodowej ścieżce. A więc mąż odebrał telefon w holu, a potem poszedł do gabinetu, przełączył rozmowę na numer wewnętrzny i zamknął za sobą drzwi. Dobrze cię znam, mój kochany, pomyślała. Wiem, kiedy mnie okłamujesz.

Milo nie lubił poranków. Rebecca zawsze wstawiała pierwsza i przynosiła mu herbatę do łóżka. W ten poniedziałek, kiedy weszła na piętro z tacą, mąż był już w łazience. Słyszała szum wody.

Postawiła filiżankę na jego stoliku przy łóżku i nalała herbatę. Po chwili wrócił do pokoju.

- Wczesnie wstałeś - zauważyła.

- Muszę zdążyć na pociąg. - Wycierał włosy ręcznikiem.

- Dokąd się wybierasz?

- Do Londynu. Nie mówiłem ci? Idę na lunch z Rogerem. Mamy rozmawiać o moich wierszach.

Rebecca poczuła ciarki na plecach i stała się czujna jak pies myśliwski.

- Myślałam, że już wszystko uzgodniliście.

- Niezupełnie. - Zdjął szlafrok i zaczął przeglądać zawartość szafy. - Zostało jeszcze parę spraw do ustalenia. Układ graficzny... parę pytań o treść. To nudne, ale dobrze byłoby wreszcie wszystko dopiąć na ostatni guzik. Mogę wziąć samochód?

- Oczywiście. - Pomyślała, że jej głos zabrzmiał fałszywie. - Chciałam pojechać na tenisa, ale w tej sytuacji poproszę Glyn, żeby po mnie wpadła.

- To nie jest odpowiednia pogoda na tenisa.

- Może w ogóle zrezygnuję.

Rebecca piła herbatę, a Milo się ubierał. Włożył szary garnitur z Savile Row, białą koszulę od T.M. Lewina i niebieski jedwabny krawat. Nie sprawiał wrażenia zadowolonego ani pełnego oczekiwania; był nawet lekko rozdrażniony. Najprawdopodobniej mówił prawdę.

Popatrzył w lustro i przeczesał dłonią wilgotne jasne włosy.

- Ujdzie?

- Wyglądasz doskonale, Milo - zapewniła go słodkim głosem. ,

W końcu deszcz ustał, Glyn przyjechała po nią i rozegrały partię tenisa. Rebecca wróciła do domu w południe, wykąpała się i przebrała.

Pani Hobbs poszła przygotować mężowi lunch, więc Rebecca miała cały dom dla siebie. Weszła do gabinetu Mila. Obrzuciła uważnym wzrokiem blat biurka, zajrzała do szuflad, nigdzie jednak nie mogła znaleźć notesu z adresami. Zapewne mąż wziął go ze sobą.

Zacisnęła dłonie i wzięła głęboki oddech. Podnosząc słuchawkę, czuła niemal ulgę. Wkrótce nie będzie już miała żadnych wątpliwości. Wybrała numer centrali i poprosiła o połączenie z wydawcą Mila.

Dziesięć po czwartej Milo wszedł w pociąg powrotny do Oksfordu. W wagonie restauracyjnym zamówił whisky. Poczerniałe ceglane domki, stojące tyłem do linii kolejowej, rozmazywały się za mokrą od deszczu szybą. Zanim wypił pierwszą szklaneczkę i zamówił drugą, za oknem pojawiły się wioski i rozległe ścierniska o barwie musztardy.

Poprzedniego wieczoru Tessa zadzwoniła do niego - do domu! - by poprosić o rozmowę. Nie wyjawiała, co chce mu powiedzieć, lecz nalegała, by przyjechał do Londynu. W końcu musiał szybko odłożyć słuchawkę, obawiając się podejrzliwości Rebekki. Zaniepokojony, wyobrażał sobie rozmaite koszmarnie sytuacje, a w nocy ciągle się budził.

Podczas lunchu w małej restauracji w Soho Tessa wyznała mu, że spodziewa się dziecka. Mieli dla siebie tylko godzinę - pracowała przez cały dzień - a w kuchni toczyła się jakaś kłótnia, i pomyślał, że się przesłyszał.

- Dziecka? - powtórzył.
- Tak, Milo, będę miała dziecko. Twoje dziecko.
- Jesteś pewna? - spytał.

Rysy jej twarzy zastygły i dopiero po chwili odparła cicho:

- Pewna, że jestem w ciąży, czy tego, że to twoje dziecko? Jestem pewna jednego i drugiego.

Chwycił jej dłonie i trzymał, gdy kelner podawał im zupę.

- Nie to miałem na myśli. Naprawdę niczego nie sugerowałem.

- Wiem. Przepraszam. - W jej oczach zabłyśły łzy.

Zapalił papierosy dla niej i dla siebie.

- Od jak dawna o tym wiesz?

- Miesiąc, dwa.

Miesiąc lub dwa. Czy to oznaczało - nie znał się zbyt dobrze na tych sprawach - że już za późno, by coś z tym zrobić? Czując suchość w ustach, zapytał, kiedy dziecko ma się urodzić.

- W grudniu... albo w styczniu.

Dotąd uważał, że jej roztrzepanie jest urocze, lecz brak pewności w tak ważnej sprawie przyprawił go o wściekłość. Jednak gdy popatrzył w smutne oczy Tessy, powiedział tylko:

- Moje kochane biedactwo.

Nigdy dotąd nie widział jej tak przerażonej.

Oboje nie mieli apetytu. Po upływie godziny odprowadził ją do studia fotograficznego. Na pożegnanie, ściskając się kurczowo jak tonący, pocałowali się na ulicy.

Milo udał się do biblioteki British Museum w nadziei, że znajomy spokój, cichy szmer kroków i zapach książek jak zwykle podziałają na niego kojąco. Tymczasem w miarę jak coraz lepiej zdawał sobie sprawę z sytuacji, odczuwał coraz większy niepokój. Dziecko. Nigdy nie chciał mieć dzieci i nie przeszkadzało mu, że Rebecca nie zaszła w ciążę. Niepodziwianie poczuł dumę z tego, że jest zdolny do ojcostwa, lecz zaraz potem uzmysłowił sobie, że Rebecca już od pewnego czasu coś podejrzewa. Trudno jest ukryć fakt posiadania dziecka, a najprawdopodobniej będzie musiał to robić przez całe życie.

Niepokój spowodowany przewidywanymi komplikacjami sprawił, że Milo wyszedł z biblioteki i wziął taksówkę na Hatton Garden. Potem, już opanowany, był gotów udać się do domu. Prawdę mówiąc, tęsknił za Mili House. Nie chodziło o to, że nie kochał Tessy, bo za nią przepadał. W czasie ich spotkania w pewnej chwili pomyślał, że być może będzie sobie życzyła, by się rozwiódł i ożenił z nią. Ostrożnie dał wyraz swojej obawie.

Reakcją był perlisty śmiech.

- Mój Boże, Milo, nie musisz tego robić - oświadczyła.

Przyjął jej odpowiedź z mieszanymi uczuciami. Tessa

uraziła jego męską dumę, nie uznając małżeństwa z nim za wystarczająco atrakcyjną propozycję; jednocześnie poczuł ulgę, że nie będzie musiał o wszystkim mówić Rebecce.

- Pozwól więc chociaż sobie pomóc - zaproponował, ściskając jej dłoń.

Pokręciła głową.

- To nie jest twój problem, Milo, tylko mój. Z początku w ogóle nie chciałam ci o tym mówić. Bałam się, że będziesz na mnie zły. Dziękuję ci, kochanie, że nie zrobiłeś mi awantury.

Mimo że zachował się przyzwoicie i powiedział wszystko tak, jak należało - okazał zaskoczenie, a jednocześnie współczucie - nie był z siebie zadowolony. Nie znosił komplikacji. Oczywiście ktoś mógłby powiedzieć, że dla żonatego mężczyzny już sam romans oznacza kłopoty, nie pisał się jednak na takie dodatkowe atrakcje. I przecież to nie on zapomniał o antykoncepcji. Za pierwszym razem, kiedy się kochali, zapytał Tessę, czy nie będzie żadnych kłopotów, a wtedy zapewniła go, że czuwa nad wszystkim. Gdyby miał jakiegokolwiek wątpliwości, sam by się zabezpieczył, ale myślał całkiem logicznie, że Tessa, jako kobieta doświadczona, z pewnością należycie dba o te sprawy. „Musiałam zapomnieć”, powiedziała podczas lunchu, marszcząc nos, jakby chodziło o zostawioną w taksówce parasolkę.

Milo lubił intensywne przeżycia, ale bał się życiowych wstrząsów. Znał siebie dobrze i wiedział, że potrzebuje spokojnego zaplecza, by pisać. Nowa książka szła mu opornie i coraz częściej miał poczucie, że jego próba poetycka mogła być niewypałem. Związek z Tessą okazał się znacznie poważniejszy niż romans z Annette Lyle czy jakikolwiek inny, lecz po raz pierwszy Milo zaczął się zastanawiać nad swoim zaangażowaniem w tę znajomość. Czuł się bezradny, sytuacja go przerosła. Tracił kontrolę nad przebiegiem wydarzeń. Czy powinien wyznać Rebecce prawdę, chociaż na samą myśl o tym robiło mu się słabo? To byłoby wobec niej okrutne. A zresztą po co miał krzywdzić żonę, skoro Tessie zupełnie nie zależało na małżeństwie?



Ależ mam kłopot, myślał, gdy pociąg wjeżdżał na stację w Oksfordzie. W jakie potworne wpadłem tarapaty! Zateśnił do wygodnego, znajomego Mili House. Marzył, by nalać sobie szklaneczkę whisky, zaszyć się w gabinecie i zająć pisaniem. Jadąc w deszczu do domu, wymyślał rozmowę z wydawcą. Roger jak zwykle czepiał się jakichś szczegółów... dobrze chociaż, że układ graficzny przypadł mu do gustu... a ich lunch składał się z consommé, filetów z soli i omletu z dżemem.

Rebecca zeszła na parter, gdy Milo zdejmował prochowiec.

- Jak się udał lunch?
- Dobrze - odpowiedział.
- Co słyhać u Rogera?
- Wszystko w porządku.

Zaniepokojony tonem głosu żony, przyjrzał się jej uważnie. Stała nieruchomo u podnóża schodów. Krew odpłynęła jej z twarzy, skóra miała kolor surowego ciasta.

- Roger jest w Edynburgu - powiedziała.
- Co?! - Wybałuszył oczy. Zdażył już się przywiązać do wymyślonej historyjki o lunchu z wydawcą.
- Roger jest w Edynburgu - powtórzyła. - Zatelefonowałam do panny Gaskin i poinformowała mnie o tym.

Boże!

- Zadzwońiłaś do wydawnictwa?

- Tak. - Uśmiechnęła się niewyraźnie.

- Sprawdzalas mnie? - Wiedział, że nie powinien się gniewać, lecz był naprawdę wściekły.

Rebecca postąpiła krok w jego stronę. Milo cofnął się instynktownie.

- Gdzie ty byłeś? Gdzie byłeś?! W Oksfordzie? - Jej pytania raziły jak pociski. - Zapewne wybrałeś się na przejażdżkę z Grace King. To dlatego wziąłeś samochód, Milo?

Grace King?

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedział w osłupieniu.

- Kłamca! - krzyknęła podniesionym, skrzekliwym głosem przekupki. - Wiem, że się z nią spotykasz!

Dopiero teraz do niego dotarło, że Rebecca podejrzewa go o romans z nudną, obdarzoną wielkimi zębiskami Grace King.

- Na litość boską! - zawołał, mijając ją, i wszedł do salonu. - Nie mam zamiaru przechodzić przez to po raz drugi!

Był bardzo zmęczony, pulsowało mu w głowie. Otworzył kredens.

- Nie masz zamiaru przechodzić przez to po raz drugi!

- przedrzeźniała go. - Ty! A co ze mną? Jak myślisz... jak ja się czuję?!

Otwierając karafkę z whisky, usiłował zebrać myśli. Nieoczekiwanie dostrzegł dla siebie szansę. Rebecca nieroztropnie podsunęła mu pomysł na wyłanie się z sytuacji. Mimo poirytowania tym, że mogła go podejrzewać o

coś tak nedorzecznego, poczuł wielką ulgę. Mógł teraz wyznać jej część prawdy.

- Jeśli o to chodzi - powiedział, odwracając się ku niej
- to nie widziałem Grace King od kilku tygodni.
- Nie wierzę ci - warknęła.
- Możesz sobie wierzyć, w co chcesz.
- Widziałam was na przyjęciu, Milo. - Mówiła cicho, niemal sycząc. -

Widziałam ją z tobą.

Szybko poszperał w pamięci.

- Tak, rozmawiałem z panną King - przyznał. - To chyba oczywiste. Była przecież naszym gościem.

- Widziałam cię! - Jej ostry głos niemile kłuł go w uszy; aż się wzdrygnął. - Dotykałeś jej! Trzymałeś ją!

Czyżby? Nie przypomniał sobie tego. Wypił tęgi łyk whisky. Był wściekły, a jednocześnie czuł się winny.

Usiadł w fotelu.

- Matka panny King umiera na raka - oznajmił lodowatym tonem. - Panna King powiedziała mi o tym kilka miesięcy temu. Chciałem być dla niej miły. Pozwalałem, by wypłakiwała się na moim ramieniu. - Musiał przyznać, że Grace King potrafiła płakać jak mało kto. Wylała całe wiadra łez w Orle i Dziecku.

- Kłamiesz. - Wydęła wargi, w oczach miała nienawiść. Wzbudzała w nim niechęć.

- Niestety, Rebecca, ta dziewczyna ma zaledwie dziewiętnaście lat. Nie przyszłoby jej nawet do głowy, że mógłbym zostać jej kochankiem.

Ależ z niego hipokryta i łajdak! Tessa była zaledwie o kilka lat starsza od Grace King. Jednakże Tessa zawsze wydawała mu się dojrzała, niż wskazywałaby na to jej metryka urodzenia. Czuł, że Tessa Nicolson już dawno temu przestała być dzieckiem.

- Annette Lyle miała dwadzieścia trzy lata - przypomniała mu Rebecca.

- Błagam, nie zaczynaj - powiedział ostro. - Daj mi chwilę odetchnąć.

- Zdradziłeś mnie! - Jej wykrzywiona gniewem twarz zrobiła się wręcz brzydka. - Jak śmiesz mówić o tym tak, jakbyś popełnił jedynie drobną niezręczność? To nie był mały nietakt! Dobrze wiesz, że złamałeś mi serce!

- Czy rozdrapywanie starych ran sprawia ci jakąś szczególną przyjemność?

Rebecca nerwowo splatała i rozplatała dłonie.

- Nie o to chodzi! - zawołała.

- Doprawdy? - Opanowywał się z najwyższym trudem.

- Niczego nie osiągniesz, wałkując tamte sprawy. Mówiłem ci już tyle razy, jak bardzo tego żałuję. Myślałem, że mamy już za sobą tę historię. Wydawało mi się - wychylił się ku niej i popatrzył jej prosto w oczy - że ponownie nauczyliśmy się sobie ufać.

Rebecca zaszlochała i ukryła twarz w dłoniach.

- Jak mam ci ufać, kiedy mnie okłamujesz? - spytała zduszonym głosem.

Z tonu jej głosu wywnioskował, że zaczyna wątpić w słuszność wyciągniętych wniosków.

- Porozmawiajmy rozsądnie - zaproponował.

- Widziałas, jak pocieszałem pannę King na przyjęciu. Ojciec Grace zmarł, kiedy była dzieckiem. Myślę, że w pewien sposób widzi we mnie ojca. Teraz umiera matka, więc dziewczyna przeżywa trudne chwile. Nie okazałabyś jej w tej sytuacji zwykłej ludzkiej dobroci?

Umierająca matka - rak - chyba grubo przesadził. Powinien powiedzieć Rebecce prawdę. Chwycić byka za rogi, ponieść konsekwencje i mieć to z głowy. Co by było, gdyby zdobył się na wyznanie: „To nie Grace King, tylko inna kobieta. Zakochałem się w niej, a ona spodziewa się mojego dziecka”? Czy tak byłoby lepiej, uczciwiej?

Rebecca wymamrotała jednak:

- Sama już nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć. -1 chwila minęła.

- Panny King nie ma teraz w Oksfordzie - dodał, idąc za ciosem. - Nie przyszła na mój ostatni wykład. Jej przyjaciółka poinformowała mnie, że pani King jest bliska śmierci, więc Grace musiała jechać do domu.

- Och - westchnęła drżącym, niepewnym tonem. Uniosła wzrok. Jej twarz była mokra od łez i pokryta czerwonymi cętkami. - Ale ten telefon wczoraj wieczorem... i Roger. Okłamałeś mnie, Milo.

- Już ci mówiłem, że dzwoniła do mnie studentka. Poszedłem do gabinetu, bo musiałem sprawdzić notatki.

Rebecca usiadła w rogu kanapy.

-Ale... Roger.

- Nie mieści mi się w głowie, że mogłaś zadzwonić do wydawnictwa! - Nie musiał udawać gniewu. - Co tam sobie o mnie pomyśla? Zazdrosna żona sprawdza, co robię... stanę się pośmiewiskiem!

- Och, nie - zapewniła go pośpiesznie. - Wszystko w porządku. Jestem pewna, że nic sobie nie pomyśla. Zapytałam tylko pannę Gaskin, czy mogę rozmawiać z Rogerem, i powiedziała mi, że wyjechał. Będzie dobrze. - Wsunęła palce we włosy, by odgarnąć je z twarzy. Ciemne, kędzierzawe pasma wyglądały teraz jak u wiedźmy. - Ale wciąż mi nie wyjaśniłeś, gdzie się podziewałeś.

- To miała być niespodzianka.

Pociągnęła nosem i otarła oczy wierzchem dłoni.

- Nie rozumiem.

- Wiem, że ostatnio byłem trudny. - Milo usiadł obok na kanapie. - Zepsułem ci wakacje. To wszystko dlatego, że zupełnie mi nie idzie pisanie tej powieści.

Rebecca zmarszczyła czoło.

- Nic mi nie powiedziałeś.

- Nie chciałem się do tego przyznawać. - Mówił prawdę. Był przesądny, jeśli chodzi o ujawnianie problemów związanych z pracą. Bał się, że gdy raz przyzna się do swoich kłopotów, ulotne z natury natchnienie opuści go na zawsze.

- Szkoda, że mi nie powiedziałeś - podsumowała smutnym, zmęczonym tonem Rebecca. - Mogłabym ci pomóc. Przecież zawsze pozwalałeś sobie pomagać.

Milo wyjął małą paczuszkę z kieszeni marynarki.

- Pojechałem do Londynu, żeby to kupić.

Popatrzyła podejrzliwie na pudełeczko zawinięte w papier.

- Co to jest?

- To dla ciebie. Otwórz.

- Dla mnie?

- Chciałem ci zrobić niespodziankę i przeprosić za to, że ostatnio byłem takim starym zrzędą. Powiedziałem ci, że zamierzam zobaczyć się z Rogerem, bo nie chciałem, żebyś się zastanawiała, po co jadę do Londynu. Nie pomyślałem, że wszystko zrozumiesz opacznie. Proszę, otwórz.

Rebecca odwinęła bibułkę i uniosła wieczko białego skórzanego pudełeczka.

- Och! - Przycisnęła dłonie do twarzy. - Och, to straszne!

W pudełeczku znajdowały się rubinowe kolczyki w kształcie łezek, kupione u jubilera przy Hatton Garden.

- Podobają ci się? - spytał.

- Są piękne! Ale czuję się okropnie! Bardzo cię przepraszam! - Znów zaczęła płakać. - Wybacz mi, Milo!

- Zapomnij o tym - powiedział wspaniałomyślnie. -1 nie wracajmy już do tej sprawy.

Szlachetny Milo, hojny Milo. Gładził ją po plecach, gdy szlochała. Czuł do siebie lekkie obrzydzenie. Cóż innego mógł jednak zrobić w obecnej sytuacji?

Później, po kolacji, poszli do sypialni i się kochali. Gdy żona zasnęła, Milo poszedł do gabinetu, mając nadzieję, że znajdzie wytchnienie w pracy.

Nie mógł jednak pracować. Ciągle myślał o dziecku. Odłożył pióro i zapatrzył się w ciemność za oknem. Ogarnęło go złe przeczucie, połączone z nadzieją, że coś się stanie i tego dziecka nie będzie. Przerażony własną niegodziwością usiłował odsunąć od siebie podłe myśli.

## **Rozdział 4**

Robiąc zdjęcia na kamienistej plaży na wybrzeżu w Suffolk, Max Fischer musiał walczyć z wiatrem, by uwiecznić wiosenną kolekcję sukienek dla „Harper's Bazaar”. Skończywszy, odstawił aparat na trójnogu i zaproponował:



- Możesz wyjść za mnie, Tesso, jeśli to ci pomoże. Zapewne małżeństwo z czterdziestoletnim żydowskim uchodźcą z Niemiec nie jest twoim marzeniem, ale ja byłbym bardzo szczęśliwy.

Tessa nie powiedziała o ciąży nikomu oprócz Mila i Freddie. Myślała, że potrafi ukryć swój stan. Powiedziała to teraz Maksowi.

- Och, Tesso, wszyscy już wiedzą. Nie zauważyłaś? - odrzekł.

Udało jej się taktownie nie przyjąć jego oświadczyn, a zarazem wyrazić głęboką wdzięczność. Jednak gdy wsiedli do samochodu i odjechali z plaży, musiała starannie ukrywać poczucie upokorzenia.

Wkrótce potem zaczęła dosłownie puchnąć w oczach. Max dwoił się i troił, wymyślając rozmaite sposoby, by wciąż móc ją fotografować. Pojawiała się więc na sesjach w płaszczach i pelerynach, za sprytnie ustawionymi donicami na kwiaty; po niedługim czasie jednak zdała sobie sprawę, że do momentu rozwiązania będzie mogła liczyć jedynie na sporadyczne sesje portretowe. Nie najlepiej znosiła ciążę. Męczyła ją zgaga, ciągle odczuwała zmęczenie, bolały ją nogi i plecy. Wcześniej, widząc, jak wiele kobiet ma dzieci, myślała, że to nic trudnego. Tymczasem rzeczywistość okazała się zupełnie inna.

Niektóre koleżanki okazywały jej współczucie, inne raczyły ją opowieściami o fałszywych alarmach i nieudanych skrobankach. Kilka kobiet z cyganerii artystycznej szczerze ją podziwiała, postrzegając jej stan jako wyraz przekonań i dowód odrzucenia konwenansów. Inne, jak na przykład recepcjonistka u lekarza i kierowniczka działu mody w Selfridge'u, nie starały się nawet ukryć niesmaku.

Tessa zorientowała się, że w pewnych kręgach przestała być mile widziana. Nie odpowiadano na jej listy i telefony, nie przyjmowano zaproszeń. Pewnego ranka, idąc Regent Street, zauważyła znajomą damę, prowadzącą modny salon towarzyski. Uśmiechnęła się i rzuciła kilka słów powitania. Chłodne spojrzenie, z jakim tamta kobieta ją minęła, stanowiło dla Tessy jedyny dowód, że nie stała się nagle niewidzialna. Powtórzyła powitanie. Kobieta przystanęła. Mrużąc pokryte siecią niebieskich żyłek arystokratyczne powieki i nieznacznie rozciągając cienkie wargi w lodowatym uśmiechu, powiedziała:

- Musi pani zrozumieć, że już się nie znamy, panno Nicolson. Mam nadzieję, że nie zamierza pani wprowadzić nas w zakłopotanie.

Chociaż później Tessa śmiała się z tej sytuacji, czuła się jednak zraniona. Nie przerażał jej sam ostracyzm towarzyski, lecz odkrycie, że ogromnie jej zależało, by być akceptowaną. Zrozumiała, że jedynie tolerowano ją, dopóki jej zachowanie mieściło się w określonych granicach; ci ludzie zawsze wiedzieli, że jest inna niż oni.

Na szczęście w większości przypadków doświadczała ogromnej ludzkiej życzliwości.

- W takich chwilach okazuje się, kto jest prawdziwym przyjacielem - westchnęła sentencjonalnie do Freddie, żartobliwie imitując głos sprzątaczkę z East Endu.

Była to jednak najszczęśliwsza prawda. Paddy Collison stwierdził: „Chryste, Tesso, ależ się zaplątałaś!”, ale zaraz potem zaproponował pieniądze, by, jak się wyraził, „wszystko uporządkowała”. Julian Lawrence nawet był gotów się z nią ożenić.

O ile oświadczyny Maksa i Juliana wzbudziły jej serdeczną wdzięczność, o tyle propozycja Raya poruszyła ją do głębi. Pewnego wieczoru, po kolacji w Quaglino's wrócili do jej mieszkania. Tessa położyła płytę na gramofonie. Kiedy się odwróciła, zobaczyła, że zwalisty Ray powoli klęka na jedno kolano.

- Zastanawiałem się - powiedział - czy zechcesz uczynić mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną, Tesso.

- Och, Ray - odrzekła. - To byłoby cudowne, ale... - Ujęła jego dłonie i pomogła mu wstać.

- Rozumiem, że mi odmawiasz.

Uściskała go serdecznie.

- Chyba nie jesteś tym bardzo zmartwiony, kochanie? Byłabym okropną żoną.

- Nie gadaj bzdur. Byłabyś wspaniałą żoną. Każdy dzień spędzony z tobą to jedna wielka przygoda.

- Nie mogę uwierzyć, że naprawdę chcesz się ożenić po raz trzeci, Ray.

- Chciałbym, żebyś się zastanowiła nad moją propozycją. Wiem, że mnie nie kochasz, Tesso, ale wydaje mi się, że troszkę mnie lubisz. A ja cię kocham i zawsze cię kochałem. Nie... - Uniósł dłoń, dając znak, by Tessa mu nie przerywała. - Pozwól mi skończyć. Obawiam się, że nie wiesz, jak ograniczeni i małostkowi potrafią być ludzie. To kobiety ponoszą konsekwencje; mężczyzna zawsze jakoś się wywinie. Wiem, że to nieuczciwe, ale po prostu tak jest.

- Wszystko będzie dobrze, Ray. Moi przyjaciele, najlepsi przyjaciele, bardzo mnie wspierają i podnoszą na duchu.

- Staram się uświadomić ci, że wszystko się zmieni.

- Nie pozwolę na to. Za kilka miesięcy przestanę wyglądać jak słoń, a potem wrócę do pracy.

- Co zrobisz z dzieckiem? Oddasz je do adopcji?

- Nie wiem. Nie zastanawiałam się nad tym.

- Tesso... - Teraz sprawiał wrażenie poirytowanego.

Usiłowała mu wszystko wytłumaczyć.

- Chodzi mi o to, że nie mogę powiedzieć, co zrobię z dzieckiem, dopóki go nie zobaczę. Mogę go nie cierpieć, ale mogę pokochać. Nie wiem, nie potrafię już dziś powiedzieć, jak to będzie. Nie planowałam dziecka. Podejmę decyzję po porodzie.

- Dobrze jest decydować o takich sprawach wcześniej - odrzekł łagodnym tonem. - Kobiety najczęściej zakochują się w swoich dzieciach.

- Jeśli tak się stanie, zatrudnię niańkę, która się nim zaopiekuje, gdy będę w pracy. - Rzuciła Rayowi harde spojrzenie. - Nie dam się zamknąć w domu. Wiesz, że tego bym nie zniosła. A czy tobie naprawdę nie przeszkadzałoby udawanie, że dziecko innego mężczyzny jest twoje?

- Sądzę, że nie. Dziecko to dziecko. Człowiek instynktownie chce je chronić. Chyba nie za bardzo wierzę w te bzdury o więzach krwi. Zastanawiałem się już nad wszystkim. - Wyjął coś z kieszeni. - Dużo myślałem. Mówię bardzo poważnie, Tesso. Chcę, żebyś została moją żoną.

Otworzył dłoń i Tessa zobaczyła diamentowy pierścionek.

- Och, Ray... - Łzy nabiegły jej do oczu; nie potrafiła wykrztusić słowa.

Po pewnym czasie Ray schował pierścionek do kieszeni.

- No, dobrze. Pomyślałem, że spróbuję. Kto nie ryzykuje... i tak dalej. Jeśli zmienisz zdanie, daj mi znać. Propozycja wciąż jest aktualna.

- Kochany Ray. - Pocałowała go w policzek.

- A co z ojcem dziecka? Nie możesz za niego wyjść?

Tessa pokręciła przecząco głową.

- Dlaczego? Jest żonaty? Jeśli tak, to sukinsyn powinien się rozwieść. Jak chcesz, pošlę kogoś, żeby z nim pogadał. - W związku ze swoją pracą Raymond znał wielu robotników zatrudnionych na placach budowy.

- Nie, kochanie.

- Czemu nie chcesz powiedzieć kto to? Nie powinnaś przechodzić przez to wszystko sama.

- Nie jestem sama. Mam przecież ciebie, prawda, kochanie?

- A co z pieniędzmi? W porządku?

- Jak najbardziej.

Nie wyznała mu prawdy. Kilka tygodni temu kupiła u Rayne'a na Bond Street trzy pary butów, by poprawić sobie humor. List od dyrektora banku, otrzymany nieco później, uświadomił Tessie, że musi zacząć oszczędzać.

To była dla niej nowość; do tej pory nie musiała martwić się o pieniądze. Milo nalegał, że będzie płacił za wizyty u lekarza i, w odpowiednim czasie, za prywatną klinikę położniczą. „Pozwól sobie pomóc przynajmniej w ten sposób”, powiedział. Wtedy była już w szóstym miesiącu ciąży i przestała pracować, przyjęła więc jego propozycję. Chodząc w pasie wyszczuplającym, mogła zrobić już tylko tyle.

- Być może jutro będę musiał wskoczyć do Londynu - powiedział Milo, rozwiązując krawat. - Mam kilka spraw do załatwienia.

- Mogę pojechać z tobą. - Rebecca zdjęła sukienkę i powiesiła ją na wieszaku.

- Co? Czy to znaczy, że mi nie ufasz? - Zmrużył oczy.

- Milo!

- Wciąż mnie sprawdzasz?

Trzasnęły drzwi sypialni. Po chwili rozległ się szcęk zasuwki w łazience, a potem szum wody.

Po chwili Rebecca wróciła do sypialni i powiedziała cicho:

- Nie zamierzałam cię kontrolować, naprawdę, Milo. Pomyślałam tylko, że miło byłoby pojechać razem do Londynu, to wszystko. Już tak dawno tam nie byliśmy we dwoje... Pochodziłabym po sklepach, kiedy ty pracowałbyś w bibliotece. Moglibyśmy zostać na noc, a nawet pójść na jakieś przedstawienie. - Stała za nim i położyła mu głowę na ramieniu. - Będzie wspaniale...

Jej słowa, niestety, nie okazały się prorocze. Kiedyś zatrzymywali się w Savoyu, tym razem jednak Milo nie miał na to ochoty. Wszystkie dobre hotele były przepełnione, w końcu więc zdecydowali się przenocować w ponurym pensjonacie przy Marylebone Street. A chociaż Rebecca posłusznie udała się na Oxford Street, gdy Milo poszedł na spotkanie z Rogerem Thodayem, zakupy nie cieszyły jej tak jak dawniej. Przyzwyczała się do kupowania ubrań u Zsle i ogromny Selfridge z mnóstwem strojów do wyboru wydał jej się męczący. W porannym pociągu z Oksfordu do Londynu Milo nalegał, by koniecznie coś kupiła, więc w końcu sprawiła sobie dwa kostiumy, wiśniowy i z brązowego tweedu. Przymierzywszy je ponownie w hotelu, zauważyła, że wiśniowy jest zbyt opięty w biuście. Obawiała się też, że popełniła kolejny błąd, kupując ten z tweedu - brąz sprawiał, że jej jasna cera wydawała się jeszcze bledsza. Włożyła wiśniowy na lunch, lecz szybko tego pożałowała. Inne kobiety w restauracji miały stroje czarne, granatowe lub w odcieniu gołębiej szarości, z białymi akcentami. Rebecca czuła, że niekorzystnie wyróżnia się na ich tle. Zdała sobie sprawę, że wypadła z kursu. Inna moda była w Oksfordzie, inna w Londynie.

Wieczorem poszli na komedię „French Without Tears” do teatru Criterion. Rebecca bawiła się doskonale, dopóki nie spojrzała na Mila. Był najwyraźniej znudzony. „Nie podoba ci się, kochanie?”, spytała szeptem. Przestraszony, również szeptem odpowiedział: „Jest świetna”, a siedząca za nimi kobieta syknęła, by ich uciszyć. Rebecca przeprosiła i przeniosła wzrok na scenę. Doszła do wniosku, że mąż nie jest znudzony, tylko nieszczęśliwy.

Oczywiście to ona była winna. Przypomniała sobie ich kłótnię. Było jej wstyd, że tak pochopnie wyciągnęła niewłaściwe wnioski. Wciąż dzielił ich

jakiś dystans. Następnego ranka w pociągu powrotnym do Oksfordu, siedząc w wagonie pierwszej klasy z Milem, księdzem i damą w sukni w kolorową pepitkę, ze smutkiem stwierdziła, że bardzo się od siebie oddalili. Niemal niezauważalnie każde poszło w swoją stronę. Dawniej wymienialiby szeptem uwagi na temat współpasażerów. Choć było to dziecinne i nieuprzejme, a każdy w swoim czasie wyrastał z takich zabaw, w pewien sposób bardzo jej tego brakowało. Czuło się w tym jakąś bliskość, wspólnotę. Kiedy przestali tak naprawdę mieć wspólne życie i zaczęli chodzić dwiema równoległymi ścieżkami?

Tessa podziękowała portierowi za wniesienie zakupów i weszła do mieszkania. Padał zimny, listopadowy deszcz, a dla oszczędności pojechała autobusem, nie taksówką. Zdjęła płaszcz i powiesiła go na kołku na drzwiach łazienki, gdzie smętnie ociekał wodą. Przeszła do sypialni i ściągnęła mokre pończochy. To dziwne, pomyślała, jak cięża wszystko zmienia. W połowie ósmego miesiąca kostki u nóg nie przypominały już jej własnych; były spuchnięte, bezkształtne, jakby pożyczone od tęgiej, zmęczonej kobiety, obok której siedziała w autobusie.

Wróciła do kuchni, by wypakować torby. Milo bał się pokazać z nią w restauracji, zaproponowała więc, że przygotuje obiad sama, w swoim mieszkaniu. Starannie opracowała menu: zamierzała podać twarożek i sałatkę z ananasów, zrazy zawijane (pycha!) i placek drożdżowy z jabłkami. Nie widzieli się od prawie trzech tygodni i bardzo za nim tęskniła. Zawsze coś stawało na przeszkodzie jego wizycie w Londynie, a chociaż zaproponowała, że przyjedzie samochodem do Oksfordu, nie okazał entuzjazmu. Co będzie, jeśli coś się stanie, powiedział, jeżeli zacznie się poród?



Przeżyła okropny moment, gdy kucnąwszy, by wyjąć talerz, stojący nisko na półce, nie mogła wstać. W końcu podniosła się z trudem, chwytając się gałek kredensu. Postanowiła najpierw zrobić sałatkę. Należało wymieszać twarożek z sosem do sałatki, a potem, jak głosił przepis: „formować kulki na mokrej desce kuchennej zwilżonym nożem”. Tak przygotowaną kulkę umieszczano na koniec w środku krążka ananasa.

Tessa nie wiedziała, czy deska była zbyt mokra, czy też może niewystarczająco wilgotna, lecz twarożek przywarł do noża, deski i do jej rąk, aż w końcu musiała zdrapywać go łyżką i upychać palcami w krążkach ananasa. Następnie zajęła się plasterkami wołowiny. Telefon zadzwonił, gdy smażyła cebulę. Podbiegła, myśląc, że to Milo. Obiecał zadzwonić przed wyjazdem z Oksfordu. Nie był to jednak Milo, tylko Antonio. Pochwalił się, że Bee zgodziła się wyjść za niego za męża. Chciał też się dowiedzieć, czy Tessa przyjdzie do pubu Lamb przy Lamb's Conduit Street na przyjęcie z tej okazji. Pogratulowała mu, powiedziała, że ma już umówione spotkanie, a potem, poczuwszy swąd spalenizny, zakończyła rozmowę w pierwszej stosownej chwili.

Kuchnię wypełniał dym. Tessa była zbyt zmęczona, by jeszcze raz pokroić cebulę i poprzestała na wyciągnięciu najmniej zwęglonych plasterków. Ułożyła je na zrazach wołowych w brytfannie, zalała sosem sporządzonym z granulek i wstawiła do piekarnika. Potem zrobiła sobie filiżankę herbaty i usiadła na kanapie. Patrząc na porozrzucane na stoliku książki i czasopisma, a także na liczne nieumyte filiżanki, doszła do wniosku, że powinna posprzątać. Z oszczędności ograniczyła pracę służącej do dwóch dni w tygodniu i miała wrażenie, że od tej pory w mieszkaniu wiecznie panuje bałagan. Posprzątam za chwilę, pomyślała. Położyła się na

kanapie i zamknęła oczy. Dotknąwszy rękami wydatnego brzucha, poczuła powolne, rybie ruchy dziecka.

Kiedy się obudziła, była już za piętnaście siódma. Milo musiał śpieszyć się na pociąg i nie miał czasu zadzwonić. Rozespana, powlokła się do kuchni, otworzyła piekarnik i dźgnęła nożem zrazy. Wyglądały niezbyt apetycznie. Ze zwiniętych plasterków mięsa wyciekło nadzienie i liczne różowoszare skrawki unosiły się na powierzchni sosu.

Postanowiła przygotować ciasto. Gdy obierała i kroїła jabłka, bolały ją plecy i głowa. Jeszcze tylko sześć tygodni, pocieszała się w myślach. Za sześć tygodni będzie już po wszystkim. Nie zdecydowała się jeszcze, co zrobi potem. Wiedziała, że postąpiłaby rozsądnie, oddając dziecko do adopcji. Równie sensowne byłoby przyjęcie propozycji małżeńskiej Raya.

Włożyła pokrojone jabłka do rondelka, zalała wodą, postawiła na kuchence i włączyła gaz. Potem przeczytała kolejny fragment przepisu: „Gotuj cukier z wodą w ron-delku, aż ponownie się skryształizuje”. Zmarszczyła czoło zaintrygowana. Co to mogło oznaczać? Dlaczego miała zadać sobie tyle trudu po to, by cukier wrócił do poprzedniego stanu?

Czytała dalej. „Wlej masę jabłkową do formy i zostaw do ostygnięcia”. Jak długo stygną gotowane jabłka? Pół godziny... godzinę? Nie wiedziała. Popatrzyła na zegarek. Piętnaście po siódmej. O wpół do ósmej miał przyjść Milo, a ona nawet się nie przebrała.

Jabłka utworzyły spienioną masę; Tessa odcedziła je w durszlaku, wymieszała z cukrem, wlała mieszaninę do formy budyniowej i wstawiła do lodówki. Wszędzie walały się brudne naczynia i sztucce, a podeszwy butów lepiły się do ubrudzonej masą jabłkową podłogi.

Nie było czasu na kąpiel, napełniła więc wodą umywalkę w łazience. Z lustra spoglądała na nią blada, zmęczona twarz z podkrążonymi oczami i czarną smugą na policzku. Szybko się umyła i przeszła do sypialni. W szafie wisiały seksowne, szyte ze skosu kreacje, które w swym dawnym życiu wkładała na nocne eskapady. Patrząc teraz na nie, czuła się tak, jakby opłakiwała starych przyjaciół. Włożyła ciemnozieloną sukienkę z nakładanymi na siebie brzegami, wiązaną w pasie. Uszyła ją sama, ponieważ stroje w sklepach dla przyszłych mam wydawały jej się szkaradne, a poza tym zawsze lubiła szyć. Potem zrobiła makijaż, zamaskowała ciemne podkówki pod oczami i nałożyła odrobinę różu na policzki.

Za dziesięć ósma. Milo się spóźniał. Zapewne miał kłopot z dojazdem - w deszczowe dni często trudno było złapać taksówkę. Tessa szybko dotknęła palcem z odrobiną perfum Vega Guerlaina miejsca za uszami, sprawdziła szwy na pończochach i wróciła do salonu.

Porządkując czasopisma i odnosząc brudne filiżanki do zlewu, myślała, że być może Milo nie przyjdzie. Z początku było to tylko nieśmiałe przypuszczenie, jednak w miarę upływu czasu zyskiwała coraz większą pewność. Bez przekonania nakryła do stołu i zapaliła świece.

Wróciła na kanapę i usiadła z podwiniętymi nogami. Przyszło jej do głowy, że być może zdarzył się jakiś wypadek. Zaniepokojona, włączyła radio i pokój wypełnił się śpiewem chóru z jakiejś opery komicznej. Nie przerywano muzyki, by podać wiadomości o zderzeniu pociągów, nagłych sztormach czy powodziach. Po chwili Tessa zgasła radio.

Tęskniła za głosem Mila. Zapewne spóźnił się na pociąg i czekał teraz na następny w gabinecie przyjaciela w Oksfordzie. Często stamtąd do niej

dzwonił i rozmawiali wtedy całymi godzinami. Zatelefonowała do centrali i poprosiła o połączenie z numerem w Oksfordzie. Nikt nie odpowiadał. Tessa podziękowała telefonistce i odłożyła słuchawkę. Korciło ją, by zadzwonić do jego domu, choć wiedziała, że nie powinna tego robić. Milo wkrótce powinien się pojawić. W tej chwili najprawdopodobniej siedzi w taksówce z bukietem kwiatów w dłoni oraz butelką wina w kieszeni płaszcza i jedzie do Highbury. Kiedy tu dojedzie, zapłaci taksówkarzowi i podbiegnie do drzwi budynku. Nigdy nie korzystał z windy, zawsze gnał na piętro po dwa stopnie naraz. Kiedy otwierała drzwi, kładł kwiaty na krzesło albo gniotli bukiet, złączeni w uścisku i namiętym, gorącym pocałunku; Milo niecierpliwie wędrował wtedy rękami po jej ciele.

Podeszła do okna i odciągnęła zasłonę. Ulicą jechała jakaś taksówka. Tessa miała nadzieję, że samochód zatrzyma się przed jej domem, lecz tak się nie stało. Tylne światła zamigotały w deszczu, gdy auto skręcało za róg.

Przeszła do kuchni i wyjęła z lodówki masę jabłkową. Włożyła w nią palec. Masa wciąż była płynna. Wstawiła ją z powrotem, usiadła i zapaliła papierosa, lecz po chwili go zgasła. Pomyślała o robótce na drutach. Czekać w panującej wokół ciszy, czułaby się lepiej, gdyby się czymś zajęła.

Zadzwonił telefon. Podbiegła, by zdążyć go odebrać. Zdyszana, chwyciła słuchawkę.

- Milo?

- Tessa?

- Och, Milo! - Kamień spadł jej z serca. - Myślałam, że coś się stało!  
Gdzie jesteś?

- Niestety, wciąż w domu.

- Ale nasza kolacja...

- Wiem, wiem. Jestem wściekły.

- Co się stało, kochanie?

- Zepsuł nam się ten cholerny samochód. Gdy Rebecca wracała z Abingdon, zaczął wydawać dziwne dźwięki. Musiał iść do warsztatu. Pomyślałem, że wezmę taksówkę na dworzec, ale Fred Holland wioził kogoś ze szpitala. Pozostawał autobus... jednak ja nigdy nie jeżdżę autobusami, a Rebecca i tak zaczynała na mnie groźnie popatrywać, więc bałem się nawet o tym wspomnieć. To naprawdę strasznie trudne, obserwuje mnie jak jastrząb.

- Był wyraźnie rozdrażniony.

- Biedaku.

- Chciałem jak najszybciej zadzwonić, żebyś nie musiała się męczyć gotowaniem.

- Nie musisz się o to martwić. - Tessa roześmiała się.

- Cudem udało ci się uniknąć szoku. Jestem okropną kucharką.

- Nie, nie, jestem pewien, że wszystko smakowałoby wspaniale. Nie mogłem się doczekać naszej kolacji. Bardzo cię przepraszam, kochanie. Postaram ci się to jakoś wynagrodzić, obiecuję.

- Gdzie jesteś?

- W budce w Little Morton. Wziąłem Julię na spacer. Leje jak z cebra.

- Hitaj też. Chciałabym, żeby teraz było lato.

- Jak się czujesz, kochanie?

- Dobrze, tylko jestem trochę zmęczona. Bola mnie stopy. - Znów się roześmiała. - Mówię jak stara baba.

-Biedactwo... Tak chciałbym teraz być z tobą. Pomasowałbym ci te biedne stopy. -Jutro...

- Niestety, jutro nie mogę. Mamy gości. Ale będę w Londynie w przyszłym tygodniu. Mam coś do załatwienia w BBC.

- Tęsknię za tobą - powiedziała. - Kocham się.

- Ja ciebie też. Bardzo, bardzo.

Potem zakończył rozmowę, tłumacząc, że przed budką jest duża kolejka, a on nie chciałby przebywać zbyt długo poza domem.

Tessa przeszła do kuchni, wyjęła zrazy z piekarnika i sięgnęła do lodówki po sałatkę oraz formę z masą jabłkową. Wszystko wyglądało bardzo nieapetycznie. Wyrzucając jedzenie do kosza, myślała ze złością: A czego się spodziewałaś? Nie jesteś częścią jego życia, możesz tylko się pojawiać w wyznaczonym czasie. Nie masz do niego żadnych praw. Miło należy do swojej żony, Rebekki. I od początku o tym wiedziałaś.

Zdawała sobie sprawę z jego wad, z egoizmu i próżności, lecz mimo to go kochała. Pomyślała, że niezmiernie rzadko zdarzało jej się naprawdę

kogoś kochać. Przeważnie tylko tak jej się wydawało. W wieku siedemnastu lat kochała Guida Zanettiego, a teraz kochała Mila. Innych mężczyzn lubiła, imponowali jej albo jej się podobali, z pewnością jednak nie darzyła ich prawdziwym uczuciem.

Włożyła brudne naczynia do zlewu, odkręciła kran i pomyślała o Rebecce. Nigdy jej nie spotkała. Zastanawiała się, czy Milo kochał żonę. Wspomniał wprawdzie, że w ich małżeństwie nie układa się już tak jak dawniej, lecz nigdy nie rozwijał tego tematu. Czy kiedyś się kochali? Była o tym przekonana. Milo nie ożeniłby się bez uczucia. Potrzebował miłości jak powietrza. Obawiał się zazdrości Rebekki. Czy zazdrość wynikała z miłości czy też z poczucia zagrożenia praw posiadaczki? Kiedyś Tessa byłaby pewna własnej odpowiedzi. Miłość zaborcza, żądająca wyłączności, nie była jej zdaniem nic warta. Stanowiła wypaczoną wersję prawdziwego uczucia. Zależność, zazdrość, poczucie winy. Nienawidziła tych doznań i nigdy wcześniej nie łączyła ich z miłością.

Dokonała wyboru. Skoro nie zamierzała poddawać się ograniczeniom związanym z małżeństwem, nie miała też prawa nikomu niczego narzucać. „Miłość trwa tak długo, jak chce”. Powiedziała to Milowi w dniu swojego przyjęcia urodzinowego. „Kiedy umiera, należy się wycofać”.

Zostawiwszy talerze, żeby się odmoczyły, Tessa zgasiła światło w kuchni i zdmuchnęła świece na stole. Podeszła do okna, tak jak wtedy, gdy czekała na Mila. Deszcz ustał. Uzmysłowała sobie, że może wyjść z domu, wziąć taksówkę i pojechać na przyjęcie zaręczynowe Antonia, albo do kogoś zadzwonić.

Mając tak wiele możliwości, wróciła jednak do sypialni i się rozebrała. Naga wyglądała jak dojrzała gruszka. Usiadłszy na brzegu łóżka, ukryła twarz w dłoniach i mocno ucisnęła oczy, by powstrzymać łzy. „Miłość trwa tak długo, jak chce” - nie potrafiła jednak wycofać się z tej znajomości. Dzięki dziecku Milo Rycroft już zawsze będzie częścią jej życia. Tessa, pomyślała ze znużeniem, coś ty zrobiła?

Tessa zaczęła rodzić wczesnie rano dwudziestego siódmego grudnia. Był to okres wakacji szkolnych, więc Freddie odwozła ją taksówką do kliniki położniczej w Bayswater. Potem, nie bardzo wiedząc, co ma z sobą zrobić, pojechała metrem do Juliana Lawrence'a do South Kensington.

Kiedy otworzył drzwi, zakomunikowała:

- Tessa rodzi.

- Och. Jak myślisz, jak długo to może trwać? - zapytał.

- W klinice powiedzieli, że zapewne do jutra rana.

- O, Boże.

-Nie pozwolili mi z nią zostać. To miejsce budzi we mnie lęk, a pielęgniarki są okropne. Czułam się strasznie nieprzydatna. Nie wiedziałam, co robić.

- Jeśli mógłbym jakoś pomóc...

- Jak chcesz, to możesz mnie zaprosić na śniadanie, Jules. Nic nie jadłyśmy przed wyjściem z domu, bo Tessie było niedobrze.



Pobiegł na piętro po marynarke i portfel, a potem przeszli Pembroke Road do Earls Court Road. Było bardzo zimno, a drobny śnieg białł wierzchołki żywopłotów z ligustru i poczerniało od dymu mury.

W kawiarni robotnicy w granatowych kombinezonach pili herbatę z kubków i jedli grube pajdy chleba. Julian zapytał Freddie, na co by miała ochotę.

- Chyba na tosta. - Jej też robiło się niedobrze, gdy myślała o Tessie, samej w tym strasznym miejscu.

Podszedł do kontuaru, a potem wrócił do stolika, niosąc kubki z herbatą.

- Głowa do góry, staruszko.

- Staram się nie myśleć o rodzących kobietach, opisanych w różnych książkach. Na przykład matka Davida Copperfielda...

- Tessa nie jest wątłą bohaterką wiktoriańskich powieści. Da sobie radę.

- W klinice mówili na nią „pani Nicolson”, tak jakby to miało jej zapewnić większy szacunek. Może powinnam do kogoś zadzwonić? Czy też lepiej poczekać, aż ono się urodzi?

- Och. Jak myślisz, jak długo to może trwać? - zapytał.

- W klinice powiedzieli, że zapewne do jutra rana.

- O, Boże.

- Nie pozwolili mi z nią zostać. To miejsce budzi we mnie lęk, a pielęgniarki są okropne. Czułam się strasznie nieprzydatna. Nie wiedziałam, co robić.

- Jeśli mógłbym jakoś pomóc...

- Jak chcesz, to możesz mnie zaprosić na śniadanie, Jules. Nic nie jadłyśmy przed wyjściem z domu, bo Tessie było niedobrze.

Pobiegł na piętro po marynarkę i portfel, a potem przeszli Pembroke Road do Earls Court Road. Było bardzo zimno, a drobny śnieg białł wierzchołki żywopłotów z ligustru i poczerniałe od dymu mury.

W kawiarni robotnicy w granatowych kombinezonach pili herbatę z kubków i jedli grube pajdy chleba. Julian zapytał Freddie, na co by miała ochotę.

- Chyba na tosta. - Jej też robiło się niedobrze, gdy myślała o Tessie, samej w tym strasznym miejscu.

Podszedł do kontuaru, a potem wrócił do stolika, niosąc kubki z herbatą.

- Głowa do góry, staruszko.

- Staram się nie myśleć o rodzących kobietach, opisanych w różnych książkach. Na przykład matka Davida Copperfielda...

- Tessa nie jest wątłą bohaterką wiktoriańskich powieści. Da sobie radę.

- W klinice mówili na nią „pani Nicolson”, tak jakby to miało jej zapewnić większy szacunek. Może powinnam do kogoś zadzwonić? Czy też lepiej poczekać, aż ono się urodzi?

- Może powinnas zawiadomić ojca dziecka? - Julian zamieszał cukier w herbacie.

- Zrobiłabym to, gdybym mogła, ale Tessa nie powiedziała mi, kto to jest. Pytałam ją tysiące razy. - Freddie uważnie popatrzyła na Juliana. Miał ładne oczy z długimi rzęsami, ciemnobrązowe, tak jak jej własne. - To nie jest przypadkiem twoje dziecko, Jules?

Pokręcił głową.

- Nie ma na to szans, Tessa zerwała ze mną ponad rok temu.

- Jesteś jedynym mężczyzną, którego mogę bez ogródek o to zapytać. Wiem, że to bezczelność z mojej strony, ale pomyślałam, że się nie obrazisz.

- Ależ skąd. Podejrzewam, że to ten drań, Max Fischer.

- Dlaczego nie lubisz Maksa? - spytała, nie kryjąc zaciekawienia.

Spochmurniał.

- Pewnie dlatego, że Tessa lubi go bardziej niż mnie, a ja zupełnie nie rozumiem dlaczego. Max jest ode mnie starszy, biedniejszy i brzydszy. No, ale dobrze już, dajmy temu spokój.

Chociaż powiedział to lekkim tonem, Freddie nie dała się zwieść. Julian wciąż cierpiał z powodu rozstania z Tessą. x

- Jesteś bardzo przystojny, Jules - powiedziała z przekonaniem. - Zastanawiałam się nawet, czy się w tobie nie zakochać, ale postanowiłam tego nie robić.

- Dlaczego?

- W naszej szkole jest dziewczyna, która zakochała się w chłopaku ze swojej rodzinnej miejscowości i cały czas o nim mówi. To takie męczące.

Julian się roześmiał.

- Poczekaj tylko, aż ciebie to dopadnie, Freddie.

Kelnerka za ladą zawołała, że śniadanie jest już gotowe.

Julian poszedł po tosty. Wrócił i postawił talerz z grzanką przed Freddie.

- To mógł być Paddy Collison - burknął. - Byli ze sobą wtedy, kiedy to się mogło zdarzyć.

- Mam nadzieję, że to nie on. Kiedyś zachował się wobec mnie bardzo zuchwale. Zaniósłam mu wiadomość od Tessy, a on zrobił mi martini, a potem próbował mnie pocałować. Miałam wtedy szesnaście lat.

- Stary cap. - Julian sprawiał wrażenie wstrząśniętego. - Powiedziałaś o tym Tessie?

- Oczywiście, że nie. - Freddie przekroiła grzankę na cztery części. - Jest jeszcze Ray, chociaż jakoś nie podejrzewam, żeby to był on, no i ten mężczyzna w Paryżu...

- André.

- Tak. I ten okropny lord jakiś tam. Tessa poznała go na wyścigach w Ascot. Był wtedy żonaty. To może być on. Widziałam go tylko raz.

Starła się przypomnieć sobie wszystkich mężczyzn Tessy, poznanych na przyjęciach i w klubach: który z nich był ojcem dziecka? „Nie mogę za niego wyjść”, powiedziała Tessa tej nocy, kiedy przyznała się, że jest w ciąży. Freddie żałowała, że wtedy bardziej stanowczo nie domagała się odpowiedzi, nie zapytała, co siostra ma na myśli. „Nie mogę za niego

wyść" - to znaczyło, że ojciec dziecka jest już żonaty albo że, pomimo wszystko, Tessa naprawdę jest przeciwna instytucji małżeństwa.

- To mnie złości - powiedziała.

- Że on sobie gdzieś spokojnie żyje i umywa ręce, podczas gdy Tessa przeżywa ciężkie chwile?

- Tak. Ale ona chyba patrzy na to inaczej.

- Nie martw się, Freddie. Po pewnym czasie odkryłem, że Tessa, choć jest tak piękna, jakby była zrobiona z delikatnej porcelany, naprawdę jest bardzo silna.

Freddie rozsmarowała marmoladę na grzance.

- Może domyślę się, kto jest ojcem, kiedy zobaczę dziecko. Zakładam, że będzie podobne do ojca.

- Będzie miało rude wąsy, jeśli ojcem jest Ray?

Zachichotała.

- Co u ciebie, Jules? Jak ci minęło Boże Narodzenie?

- Było wspaniale. - Pochylił się ku niej. Jego oczy pałały. - Naprawdę mam doskonałe wiadomości. Zostałem przyjęty na szkolenie dla pilotów. Mam zamiar wstąpić do RAF-u.

- Och, Jules! - Rozpromieniła się. - Gratuluję. Doskonale się spisałeś.

- Kilka tygodni temu stanąłem przed komisją rekrutacyjną. Byłem pewien, że się skompromitowałem w czasie rozmowy, ale okazało się, że

przeszedłem. Potem przeszedłem badania lekarskie. Aż w końcu w Wigilię dostałem list. Pod koniec kwietnia mam się stawić na szkoleniu.

- Twoi rodzice są zadowoleni?

- Mój ojciec tak, ale mama nie jest szczęśliwa. Boi się, że będzie wojna.

- A ty?

- Ja też się tego obawiam. Ale przecież o to chodzi. Jeśli będzie wojna, to tym bardziej powinienem być w RAF-ie. A ty, Freddie? Kiedy kończysz szkołę?

- Mam jeszcze co najmniej rok.

- A co chcesz robić potem?

- Panna Fainlight, moja wychowawczyni w internacie, uważa, że powinnam iść na studia.

- Tak. Ale ona chyba patrzy na to inaczej.

- Nie martw się, Freddie. Po pewnym czasie odkryłem, że Tessa, choć jest tak piękna, jakby była zrobiona z delikatnej porcelany, naprawdę jest bardzo silna.

Freddie rozsmarowała marmoladę na grzance.

- Może domyślę się, kto jest ojcem, kiedy zobaczę dziecko. Zakładam, że będzie podobne do ojca.

- Będzie miało rude wąsy, jeśli ojcem jest Ray?

Zachichotała.

- Co u ciebie, Jules? Jak ci minęło Boże Narodzenie?

- Było wspaniale. - Pochylił się ku niej. Jego oczy pałały. - Naprawdę mam doskonałe wiadomości. Zostałem przyjęty na szkolenie dla pilotów. Mam zamiar wstąpić do RAF-u.

- Och, Jules! - Rozpromieniła się. - Gratuluję. Doskonale się spisałeś.

- Kilka tygodni temu stanąłem przed komisją rekrutacyjną. Byłem pewien, że się skompromitowałem w czasie rozmowy, ale okazało się, że przeszedłem. Potem przeszedłem badania lekarskie. Aż w końcu w Wigilię dostałem list. Pod koniec kwietnia mam się stawić na szkoleniu.

- Twoi rodzice są zadowoleni?

- Mój ojciec tak, ale mama nie jest szczęśliwa. Boi się, że będzie wojna.

-A ty?

- Ja też się tego obawiam. Ale przecież o to chodzi. Jeśli będzie wojna, to tym bardziej powinienem być w RAF-ie. A ty, Freddie? Kiedy kończysz szkołę?

- Mam jeszcze co najmniej rok.

- A co chcesz robić potem?

- Panna Fainlight, moja wychowawczyni w internacie, uważa, że powinnam iść na studia.

- A masz na to ochotę?

- Tak. - Już od dłuższego czasu myślała o studiach na uniwersytecie. - Chociaż zobaczymy, jak się to ułoży - dodała po chwili.

Przede wszystkim wiele zależało od pieniędzy. Po przyjeździe do domu na święta Freddie przeczytała listy z banku, które Tessa trzymała za zegarem na kominku. Jeszcze raz zaproponowała siostrze, że rzuci szkołę i pójdzie do pracy, ale Tessa nie chciała o tym słyszeć. Powtarzała, że przynajmniej jedna z nich musi być mądra, rozsądna i dobrze sobie radzić w życiu. Gdy Freddie z uporem twierdziła, że Tessa radzi sobie doskonale, siostra pstryknęła palcami i powiedziała: „Nie życzę ci kariery modelki, kochanie. To nie dla ciebie”. Ponieważ Tessa była wtedy bardzo zmęczona i blada, Freddie nie zaprotestowała.

Spojrzała na zegarek. Było wpół do dziesiątej. Od przyjęcia Tessy do kliniki położniczej minęło półtorej godziny. „Myślimy, że dziecko urodzi się dopiero jutro rano” - powiedziała opryskliwa pielęgniarka, choć Tessa krzywiła się z bólu przez całą drogę z domu.

Głowa do góry, staruszko. Już jakiś czas temu nauczyła się pokazywać światu spokojną, opanowaną twarz. Człowiek w końcu staje się tym, kim chce być.

- Opowiedz mi o RAF-ie. O samolotach - zwróciła się do Juliana. - Chcę wiedzieć wszystko.

Kazali Freddie wyjść, mimo że Tessa pytała, czy siostra może zostać.

- W żadnym razie, pani Nicolson - warknęła pielęgniarka, jakby chodziło o coś nieprzyzwoitego.

Potem, po tych wszystkich okropnych badaniach, którym została poddana, Tessa mogła się położyć do łóżka, a pielęgniarka opuściła pokój. Leżała w schludnej, przytulnej salce z oknem wychodzącym na niewielki,



zbrązowiały zimą ogród, lecz mimo to czuła się opuszczona, uwięziona pomiędzy wykrochmalonymi prześcieradłami i wełnianymi kocami. Miała silne bóle. Gdy spytała pielęgniarkę, czy dostanie jakieś środki przeciwbólowe, usłyszała, że jeszcze na to za wcześnie.

Godziny wlokły się w nieskończoność. Od czasu do czasu ktoś przychodził, by zmierzyć jej temperaturę i tętno, a potem wychodził, stukając płaskimi podeszwami butów o linoleum. O pierwszej pielęgniarka przyniosła tacę z jedzeniem, Tessa jednak nie mogła przełknąć ani kęsa. O piątej pojawiła się taca z herbatą. Pielęgniarka w ciemnoniebieskim uniformie powiedziała: „Musi pani wypić herbatę, pani Nicolson, żeby nie tracić sił”, więc Tessa zmusiła się do zjedzenia kanapki, po czym wymiotowała ją na wykrochmalone białe prześcieradła. Dwie pielęgniarki szybko zmieniły pościel, nie kryjąc zniecierpliwienia.

Mijały kolejne długie okresy samotności. Marzyła, by móc zobaczyć Miła i Freddie. Chciała umrzeć. Krzyknęła ile sił w płucach i trzy pielęgniarki natychmiast przybiegły pędem. Gdy jedna z nich zrugowała „trudną pacjentkę”, Tessa odpowiedziała siarczystym przekleństwem. Młoda pielęgniarka sprawiała wrażenie zszokowanej. Potem siostra w ciemnoniebieskim uniformie zbadała Tessę i kazała pozostałym zabrać ją do sali porodowej. Jazda na rozklekotanym wózku inwalidzkim przez wykładane linoleum korytarze była jednym wielkim koszmarem. W końcu, przy pomocy pielęgniarek, położyła się na wysokim stole w jasno oświetlonej sali. Podano jej środek przeciwbólowy w formie gazu i polecono, by parła. Miła pielęgniarka trzymała ją za rękę, co chwila zapewniając, że doskonale sobie radzi. Godzinę później, po gwałtownym, silnym skurczu, Tessa uniosła się, krzyknęła i jej synek przyszedł na świat.

Najpierw go zważono - ważył prawie trzy kilogramy - a potem siostra zawięła go w kocyk i podała Tessie. Inna pielęgniarka, wróciwszy do sali, syknęła: „Co ty wyprawiasz, Dawkins? Zabierz go. Dziecko ma być oddane do adopcji”.

- Nie - powiedziała Tessa. - Zostanie ze mną.

I tak oto, niezwykle łatwo, podjęła w końcu decyzję. Synek miał pomarszczone policzki, jakby tkwił w niej zwinięty niczym chusteczka, oraz kępkę jasnych włosów. Ciemne oczka otworzyły się na chwilę, jak gdyby nieco zdziwione, by popatrzeć na ten świat. Tessa czuła, że serce pękłoby jej z bólu, gdyby musiała oddać go komuś obcemu.

Następnego dnia, w godzinach wizyt, przyszli do niej przyjaciele i Freddie. Musieli wchodzić parami - tylko dwie osoby mogły jednocześnie przebywać w sali. Pokoik zapełnił się kwiatami, czekoladkami i czasopismami. Pielęgniarki zrobiły się dla niej miłsze, bo w gronie odwiedzających wypatrzyły słynną aktorkę z musicali komediowych oraz niezwykle przystojnego polarnika.

Tego wieczoru, gdy goście opuścili już klinikę, Tessa ostrożnie wyszła z łóżka, mimo że wciąż czuła ból pomiędzy nogami, i znalazłszy papier oraz kopertę, napisała do Mila. Życzliwa pielęgniarka, Dawkins, wysłała list.

Usłyszał stuknięcie skrzynki, gdy wrzucono do niej list. Rebecca akurat była w łazience. Milo szybko pobiegł do drzwi. W tych dniach starał się pierwszy odbierać pocztę i telefony.

Rozpoznał pismo Tessy, położył inne przesyłki na stoliku w holu i rozerwał kopertę.

- Co to jest?

Uniósł wzrok. U szczytu schodów stała Rebecca.

- Kolejny list od wielbicielki - powiedział, udając, że go czyta. - Spodobała jej się „Złamana tęcza”, lecz jej ulubioną książką pozostają „Krosna Penelopy”. To śmieszne, ale czytelnikom często się wydaje, że w ten sposób prawią mi komplementy.

- Aha. Chcesz jajecznicę czy wędzone śledzie?

- Śledzie - odpowiedział machinalnie.

Rebecca poszła do kuchni, a Milo udał się do gabinetu i usiadł przy biurku. Pot perlił mu czoło. Zaczął czytać list Tessy.

„Kochany Milu - pisała. - Mam ślicznego synka! Urodził się w czwartek o świcie i jest najpiękniejszym dzieckiem na świecie”.

Przeżywał sprzeczne emocje - szok, dumę i niepokój, a jednocześnie czuł ulgę, że Tessa szczęśliwie przeszła poród. Serce mocno waliło mu w piersi. Czytał dalej.

„Mam zamiar nazwać go Angelo Frederick. Angelo - dlatego że ma złociste włoski i niebieskie oczka i wygląda jak aniołek, a Frederick oczywiście po Freddie”.

Milo zmarszczył brwi. „Mam zamiar nazwać go Angelo Frederick...”.

Szybko przebiegł wzrokiem pozostałą część listu Tessy. Wcześniej rozważali możliwość oddania dziecka, a raczej to on kilka razy ostrożnie poruszył tę kwestię, czując się jak koń, który boi się wysokiej przeszkody. Chociaż było oczywiste, że adopcja jest najrozsądniejszym rozwiązaniem,

nie miał prawa narzucać swego zdania Tessie. Bezbłędnie wyczuwała, kiedy miał ochotę o tym porozmawiać i natychmiast zmieniała temat. Rzadko bywała poważna i między innymi za to tak ją kochał, tym razem jednak go to denerwowało. Kiedyś, gdy leżeli w łóżku, zdał sobie jasno sprawę, że niczego tak nie pragnie jak tego, by spędzić z Tessą resztę życia, nie zważając na kłopoty. Zaczął o tym mówić, ale przyłożyła palec do jego warg, by go uciszyć. „Nie, Milo”, powiedziała cicho. „Nic już nie mów. Jest wspaniale tak, jak jest”.

Miał jednak nadzieję, że Tessa odda dziecko do adopcji. Liczył na to. Było to absolutnie najlepsze, najmądrzejsze wyjście i dla niej, i dla dziecka. Chłopiec potrzebował ojca.

Milo zapatrzył się w okno. Śnieg padał dużymi, miękkimi płatkami, otulając świat bielą. Syn, pomyślał wzruszony, i wyobraził sobie, że go poznaje, a potem obaj wzajemnie wzbogacają sobie życie. Oczywiście chłopiec mówiłby do niego „wujku”, a on musiałby przekonać Tessę, żeby nie uszczęśliwiała małego imieniem Angelo, by dzieci nie dokuczały mu potem w szkole.

Wizja rozviała się, a on zdał sobie sprawę z trudności, czekających dziecko. Przypomnił sobie kolegę z klasy w prywatnej szkole podstawowej. Chłopiec był nieślubnym dzieckiem i często mu wytykano, że pochodzi z nieprawego łoża. Traktowano go jako kogoś innego, gorszego. Milo mu współczuł, a jednocześnie od niego stronił, czując odrazę. Ponownie przeczytał list Tessy. Ani słowem nie wspomniała o chęci oddania dziecka do adopcji; z listu wynikało wręcz, że pragnie je zatrzymać.

Gdyby istotnie podjęła taką decyzję, co by to oznaczało dla Mila? Wtedy już do końca życia będzie mu towarzyszył niepokój, taki jak przez ostatnie pół roku, oraz strach, że wszystko wyjdzie na jaw. Dotąd balansował na cienkiej linie, a myśl, że to się nie skończy, przerażała go nie na żarty. Zapewne Tessa sądziła, że pozostaną kochankami, nie ujawniając, kto jest ojcem dziecka, lecz mogło się to okazać niemożliwe. Prędzej czy później ktoś ich zobaczy razem i ludzie zaczną zadawać pytania. Oboje byli znani: twarz Tessy pojawiała się na okładkach czasopism, a jego zdjęcie było na obwolutach książek. Skandal zniszczyłby mu karierę i życie.

Sięgnął po pióro i zaczął pisać.

„Kochana Tesso, wiadomość od Ciebie sprawiła mi ogromną radość”. Przeczytał te słowa, podarł kartkę i sięgnął po następną. „Kochana Tesso, kiedy otrzymałem wiadomość od Ciebie, poczułem ogromną ulgę i radość...”.

Ku wielkiemu rozczarowaniu Freddie, dziecko nie było podobne do nikogo, nawet do Tessy. Angelo wyglądał jak stworzonko z innego świata. Siostra nie podzielała tej opinii. Uważała, że synek jest piękny, ale cóż, matki zawsze zachwycają się swoimi dziećmi. Chłopczyk miał zaskakująco duży nos, dłonie i stopy, ściągnięte szkarłatne usteczka i bardzo ciemnoniebieskie oczy, które czasami zdawały się żyć własnym życiem. Jedno pozostawało zamknięte, podczas gdy drugie przyglądało się światu, albo też oba pozostawały lekko uchylone i wyglądały jak granatowe szparki, chociaż malec bez wątpienia spał. Był bardzo pocieszny, miaukliwie płakał, gdy był głodny, i wprawiał swą mamę w zachwyt, gdy zasypiał, leżąc jak malutki tobołek na jej piersi.

Kiedy Tessa po dziesięciu dniach pobytu w klinice wróciła do domu, Freddie bacznie obserwowała reakcje znajomych płci męskiej na widok Angela. Przyglądała się gościom, szukając... no właśnie, czego? Malującego się na czyjejs twarzy poczucia winy? Ojcowskiego wzruszenia? Wiedziała, że nie powinna aż tak bardzo się interesować, kto jest ojcem małego, jednak nie umiała opanować ciekawości. Brała też pod uwagę możliwość, że Tessa nie wie, kto jest ojcem Angela, albo też nie jest tego pewna. Freddie w pewien sposób tęskniła za intensywnym życiem, takim, w którym można nawet się zagubić z powodu nadmiaru kochanków.

Na razie testowała przyjaciół siostry, pytając każdego, czy chciałby potrzymać Angela. Niektórzy nie kryli przerażenia, tłumacząc bełkotliwie, że mogliby go upuścić; inni wprawnie brali chłopczyka na ręce, leciutko huścili go w ramionach i poklepywali po pleckach. Jedni przychodzili z okazałymi wiązkami kwiatów i ogromnymi pudełkami szwajcarskich czekoladek, drudzy - z bukietami przebiśniegów owiniętych w gazetę albo z torebką słodkich bułeczek. W połowie stycznia, kiedy Freddie musiała wracać do szkoły, nie była nic a nic mądrzejsza w sprawie ojca Angela. Jak zwykle Tessa doskonale strzegła swoich tajemnic.

Kiedy płakał, w jego oczkach nie było łez. Za to Tessa wylewała ich mnóstwo z byle powodu - gdy ukłuła się w kciuk agrafką do zapinania pieluszki; z żalu, że matka zmarła, nie zobaczywszy wnuka, z bólu krocza, pozszywanego po porodzie, i obrzmiałych piersi. Widok synka w kąpielu i ciężar jego ciała, gdy zasypiał na jej piersi, przepelniał Tessę tak wielkim, drżącym, jedynym w swoim rodzaju szczęściem, że zastanawiała się, czy aby nie straciła jakiejś warstwy ochronnej podczas porodu.

Żyli z Angelem w swym własnym świecie. Słysząc w nim było jedynie oddechy synka i śpiewane mu przez

Tesę piosenki. W nocy, mając na sobie szlafrok, cichutko szła do kuchni, by podgrzać butelkę synka. Gdy go karmiła, poczuła, że opadają jej powieki. Zagryzła wargę i usiadła wyprostowana, by odegnać senność. W głowie zaroilo jej się od straszliwych wizji dziecka przygniecioneego przez śpiącą matkę albo zmarłego z powodu zachłyśnięcia, gdy matka się zdrzemnęła. Po paru tygodniach Tessa straciła pokarm; pomarszczony, wydęty brzuch się skurczył i zaczynała wracać do dawnej sylwetki. Wiedziała jednak, że poród ją zmienił. Bezpowrotnie straciła dawną niefrasobliwość, przekonanie, że wszystko będzie dobrze. Poczucie odpowiedzialności i obowiązki, których unikała jak ognia po przyjeździe do Londynu, wypełniały teraz jej myśli. Zachowywała niezwykłą czujność, chcąc zyskać pewność, że malcowi nie stanie się nic złego z powodu jej niewyspania czy nieuwagi - że nie zostawi śpiącego w koszyku dziecka na tylnym siedzeniu taksówki ani nie odkryje w środku nocy, że zapomniała kupić mu mleko. Zdarzały się dni, kiedy nie miała czasu się wykąpać i ubierała się dopiero po południu. Pierwszą wyprawę na zakupy z dużym, lśniącym wózkiem firmy Silver Cross, otrzymanym w prezencie od Raya, poprzedziły wielogodzinne przygotowania.

Milo po raz pierwszy zobaczył swojego syna, gdy Angelo miał trzy tygodnie. Na wszelki wypadek zczekał, aż Freddie wróci do szkoły. Obawiał się powiązań dziewczyny z panną Fainlight. Tessa żałowała, że stracił te pierwsze tygodnie i mu współczuła. Angelo zmieniał się z dnia na dzień jak rozwijający się kwiat. Milo przywiózł prezenty dla niej i dla dziecka, a także jedzenie, kupione u Fortnuma. Uparł się, że sam przygotowuje

lunch. Powiedział, że Tessa ma niczego nie dotykać, tylko odpoczywać, a on nakryje do stołu, wszystko poda i pozmywa. To było miłe z jego strony, jako że pod nieobecność służącej wszędzie wałały się brudne naczynia i butelki dziecka, pieluszki oraz suszące się ubranka. Milo posprzątał, umył naczynia, zaparzył herbatę. Delikatnie, nieśmiało kołysał Angela, a po lunchu, widząc, że Tessa jest zmęczona, położył się obok niej na łóżku, a dziecko zasnęło między nimi.

Czasami Rebecca miała wrażenie, że popada w obłąd. Zaczynała postrzegać swoje podejrzenia jako coś istniejącego naprawdę-jako szpetne, szare, bezkształtne stworzenie, łązące za nią wszędzie lub siedzące jej na ramieniu. Triumfalny uśmiech tego podłego gargulca przypominał jej, że Milo znów za późno wrócił do domu z Oksfordu, a złowrogi szept uzmysławiał, że mąż pędem zbiegł na dół, by odebrać pocztę.

Zastanawiała się już, czy nie iść do lekarza. „Ciągle o tym myślę i mam te wizje; codziennie staram się je wyprzeć z głowy, ale uporczywie powracają”, powiedziałaaby mu. Na samą myśl o wypełnionym wonią środka odkażającego gabinecie doktora Huntera i o słuchaniu jego wygłaszanych protekcyjnym tonem porad: „Powinna pani zapisać się na jakieś wieczorowe zajęcia albo pojechać na cały dzień do Londynu. Zmiana otoczenia, pani Rycroft, okazuje się czasem zbawienna”, robiło jej się jednak niedobrze.

Być może doktor Hunter z jej wyobraźni miał rację. Zapewne powinna znaleźć sobie jakieś zajęcia. Po Bożym Narodzeniu zawsze przychodziło kilka ponurych zimowych miesięcy. Rebecca nie mogła pracować w ogrodzie, a myśl o przejażdżce samochodem nie budziła entuzjazmu.



Postanowiła narzucić sobie nowy porządek dnia. Każdego ranka będzie brała Julię na długi spacer i zadba, by codziennie z kimś porozmawiać - z Meriel, Glyn albo znajomymi z wioski. Zgłosi się też na ochotnika do zawożenia starszych pań do szpitala Radcliffe w Oksfordzie w dni, kiedy mąż nie będzie potrzebował auta. Nauczy się przygotowywać nowe potrawy, by wzbogacić repertuar dań na obiadach wydawanych dla przyjaciół. Pod koniec marca zamierzali wydać bankiet z okazji wydania „Odgłosów zimy”.

Rebecca przejrzała zawartość wszystkich szafek i kredensów w Mili House, oddała niepotrzebne ubrania i książki instytucjom dobroczynnym, włożyła nieużywane od lat rzeczy do pudeł i wyniosła je na strych. Znalazła tam pękaty plik listów i pocztówek. Przeglądając je, miała świadomość, że szuka dowodu - jakiegoś listu miłosnego, pocztówki z serduszkami i pocałunkami dla „kochanego Mila”. Kto mógłby coś takiego napisać? Z pewnością nie Grace King. Rebecca już teraz była pewna, że Milo powiedział prawdę na temat tej dziewczyny. Listy, w większości pisane przed wieloma laty, najczęściej były do niej adresowane. Przebiegała wzrokiem rozwlekłe opisy rozmaitych wydarzeń, przysłane przez szkolne koleżanki, z którymi już dawno straciła kontakt, zaproszenia na przyjęcia, wesela i chrzciny. Przechowywała to wszystko z powodów sentymentalnych. Zastanawiała się, czy sprawy ułożyłoby się inaczej, gdyby mieli dziecko. Zapewne tak. Musiałaby się nim zająć i nie skupiłaby całej swojej miłości wyłącznie na Milu. Pozostawało jednak pytanie, czy byłoby im wtedy lepiej. Jej istniejące jedynie w wyobraźni dziecko, Archie lub Oscar, z sympatyczną, wesołą buzią, niezależne, lecz doskonale wyczuwające jej nastroje, mogłoby być przez Mila traktowane jak rywal.

Postanowiła narzucić sobie nowy porządek dnia. Każdego ranka będzie brała Julię na długi spacer i zadba, by codziennie z kimś porozmawiać - z Meriel, Glyn albo znajomymi z wioski. Zgłosi się też na ochotnika do zawożenia starszych pań do szpitala Radcliffe w Oksfordzie w dni, kiedy mąż nie będzie potrzebował auta. Nauczy się przygotowywać nowe potrawy, by wzbogacić repertuar dań na obiadach wydawanych dla przyjaciół. Pod koniec marca zamierzali wydać bankiet z okazji wydania „Odgłosów zimy”.

Rebecca przejrzała zawartość wszystkich szafek i kredensów w Mili House, oddała niepotrzebne ubrania i książki instytucjom dobroczynnym, włożyła nieużywane od lat rzeczy do pudeł i wyniosła je na strych. Znalazła tam pękaty plik listów i pocztówek. Przeglądając je, miała świadomość, że szuka dowodu - jakiegoś listu miłosnego, pocztówki z serduszkami i pocałunkami dla „kochanego Mila”. Kto mógłby coś takiego napisać? Z pewnością nie Grace King. Rebecca już teraz była pewna, że Milo powiedział prawdę na temat tej dziewczyny. Listy, w większości pisane przed wieloma laty, najczęściej były do niej adresowane. Przebiegała wzrokiem rozwlekłe opisy rozmaitych wydarzeń, przysłane przez szkolne koleżanki, z którymi już dawno straciła kontakt, zaproszenia na przyjęcia, wesela i chrzciny. Przechowywała to wszystko z powodów sentymentalnych. Zastanawiała się, czy sprawy ułożyłoby się inaczej, gdyby mieli dziecko. Zapewne tak. Musiałaby się nim zająć i nie skupiłaby całej swojej miłości wyłącznie na Milu. Pozostawało jednak pytanie, czy byłoby im wtedy lepiej. Jej istniejące jedynie w wyobraźni dziecko, Archie lub Oscar, z sympatyczną, wesołą buzią, niezależne, lecz doskonale wyczuwające jej nastroje, mogłoby być przez Mila traktowane jak rywal.

Postanowiła narzucić sobie nowy porządek dnia. Każdego ranka będzie brała Julię na długi spacer i zadba, by codziennie z kimś porozmawiać - z Meriel, Glyn albo znajomymi z wioski. Zgłosi się też na ochotnika do zawożenia starszych pań do szpitala Radcliffe w Oksfordzie w dni, kiedy mąż nie będzie potrzebował auta. Nauczy się przygotowywać nowe potrawy, by wzbogacić repertuar dań na obiadach wydawanych dla przyjaciół. Pod koniec marca zamierzali wydać bankiet z okazji wydania „Odgłosów zimy”.

Rebecca przejrzała zawartość wszystkich szafek i kredensów w Mili House, oddała niepotrzebne ubrania i książki instytucjom dobroczynnym, włożyła nieużywane od lat rzeczy do pudeł i wyniosła je na strych. Znalazła tam pękaty plik listów i pocztówek. Przeglądając je, miała świadomość, że szuka dowodu - jakiegoś listu miłosnego, pocztówki z serduszkami i pocałunkami dla „kochanego Mila”. Kto mógłby coś takiego napisać? Z pewnością nie Grace King. Rebecca już teraz była pewna, że Milo powiedział prawdę na temat tej dziewczyny. Listy, w większości pisane przed wieloma laty, najczęściej były do niej adresowane. Przebiegała wzrokiem rozwlekłe opisy rozmaitych wydarzeń, przysłane przez szkolne koleżanki, z którymi już dawno straciła kontakt, zaproszenia na przyjęcia, wesela i chrzciny. Przechowywała to wszystko z powodów sentymentalnych. Zastanawiała się, czy sprawy ułożyłoby się inaczej, gdyby mieli dziecko. Zapewne tak. Musiałaby się nim zająć i nie skupiłaby całej swojej miłości wyłącznie na Milu. Pozostawało jednak pytanie, czy byłoby im wtedy lepiej. Jej istniejące jedynie w wyobraźni dziecko, Archie lub Oscar, z sympatyczną, wesołą buzią, niezależne, lecz doskonale wyczuwające jej nastroje, mogłoby być przez Mila traktowane jak rywal.

Postanowiła narzucić sobie nowy porządek dnia. Każdego ranka będzie brała Julię na długi spacer i zadba, by codziennie z kimś porozmawiać - z Meriel, Glyn albo znajomymi z wioski. Zgłosi się też na ochotnika do zawożenia starszych pań do szpitala Radcliffe w Oksfordzie w dni, kiedy mąż nie będzie potrzebował auta. Nauczy się przygotowywać nowe potrawy, by wzbogacić repertuar dań na obiadach wydawanych dla przyjaciół. Pod koniec marca zamierzali wydać bankiet z okazji wydania „Odgłosów zimy”.

Rebecca przejrzała zawartość wszystkich szafek i kredensów w Mili House, oddała niepotrzebne ubrania i książki instytucjom dobroczynnym, włożyła nieużywane od lat rzeczy do pudeł i wyniosła je na strych. Znalazła tam pękaty plik listów i pocztówek. Przeglądając je, miała świadomość, że szuka dowodu - jakiegoś listu miłosnego, pocztówki z serduszkami i pocałunkami dla „kochanego Mila”. Kto mógłby coś takiego napisać? Z pewnością nie Grace King. Rebecca już teraz była pewna, że Milo powiedział prawdę na temat tej dziewczyny. Listy, w większości pisane przed wieloma laty, najczęściej były do niej adresowane. Przebiegała wzrokiem rozwlekłe opisy rozmaitych wydarzeń, przysłane przez szkolne koleżanki, z którymi już dawno straciła kontakt, zaproszenia na przyjęcia, wesela i chrzciny. Przechowywała to wszystko z powodów sentymentalnych. Zastanawiała się, czy sprawy ułożyłoby się inaczej, gdyby mieli dziecko. Zapewne tak. Musiałaby się nim zająć i nie skupiłaby całej swojej miłości wyłącznie na Milu. Pozostawało jednak pytanie, czy byłoby im wtedy lepiej. Jej istniejące jedynie w wyobraźni dziecko, Archie lub Oscar, z sympatyczną, wesołą buzią, niezależne, lecz doskonale wyczuwające jej nastroje, mogłoby być przez Mila traktowane jak rywal.

Wyjęła sztalugi i ołówek. Szkicując wazon z baziemi, zastanawiała się nad różnymi możliwościami. Powiedzmy, że jej mąż zadurzył się w jakiejś dziewczynie, mieszkającej w Oksfordzie, tak jak Annette Lyle. Mieliby doskonałą okazję, żeby spotykać się na popołudniowych schadzках, czy też wieczorem spędzać razem godzinę, w radosnym nastroju po udanym wykładzie. Zapewne jednak Milo obawiałby się, że ktoś go zobaczy na randce, tak jak w końcu stało się to w przypadku panny Lyle. Romans wyszedł na jaw, gdy znajomy spotkał ich w barze hotelowym na przedmieściach Oksfordu. W takim razie to nie Oksford, tylko Londyn. W takiej sytuacji kochanka Mila pisywałaby do niego listy do gabinetu na uniwersytecie i to raczej on by do niej telefonował... wtedy, gdy zostawał sam w domu, albo z budki telefonicznej w wiosce. Doprawdy, nie było to trudne.

Jest teraz bardziej nerwowy niż dotąd, myślała Rebecca. Podskakuje na dźwięk telefonu albo kiedy listonosz puka do drzwi. Codziennie wieczorem wyprowadza psa na długi spacer, mimo że wcześniej w złą pogodę zostawał w domu. Nie sprawia wrażenia szczęśliwego. Gdyby kochał się w jakiejś dziewczynie, chyba byłby radośniejszy?

Któregoś wieczoru śledziła go, opatulona w płaszcz, w kapeluszu. Na ulicach nie paliły się lampy, a przez cienką mgłę widziała jedynie skaczące białe kółko latarki męża. Doszedłszy do wioski, Milo minął pustą budkę telefoniczną, nawet na nią nie patrząc. Rebecca poczuła się głupio i wstydząc się swojego zachowania, wróciła do domu.

Tessa nie spodziewała się, że powrót do pracy okaże się tak trudny. Najpierw problemem była figura – młoda mama nie mogła się pozbyć

dotychczasowych pięciu centymetrów w talii. Potem przekonała się, że niechęć okazywana jej w czasie ciąży, nadal się utrzymuje. W dużych domach towarowych nie chcieli jej zatrudnić, gdyż podobno znaleziono już modelki na sezon wiosenny. Nalegała, rozpaczliwie potrzebując pieniędzy dla Angela, dla siebie i Freddie. Obdzwoniła wszystkich znajomych, z notesem w ręku, prosząc o wyświadczenie przysługi. W końcu, gdy Angelo miał siedem tygodni, dostała pracę - przez dwa dni miała uczestniczyć w sesji zdjęciowej, prezentując kapelusze dla „Vogue'a”.

Zatrudniła dziewczynę z agencji do opieki nad małym w ciągu dnia. Wieczorem przygotowała całe mnóstwo czystych pieluszek, koszulek, prześcieradeł i ręczników, a także wyparzone butelki i smoczki. Wstała o wpół do szóstej rano, wykapała się, nakarmiła i ubrała Angela, potem włożyła przygotowane wcześniej ubranie, uczesała się i zrobiła makijaż. Nie wyszła z domu, dopóki nie wyjaśniła opiekunce, która kosztowała ją majątek, gdzie co się znajduje. Potem pocałowała synka, sięgnęła po torbę i wybiegła. W windzie przeraziła się, że dziewczyna, choć sprawiała wrażenie miłej i rozsądnej, może zapomnieć podgrzać butelkę z mlekiem. A jeśli będzie sobie siedzieć i przeglądać czasopisma, podczas gdy maluszek będzie zanosił się płaczem? A jeśli się okaże, że podała fałszywe dane, a teraz porwie dziecko i Tessa nigdy już go nie zobaczy?

Jakoś oboje przeżyli jednak te dwa dni. Wtedy Tessie zależało głównie na tym, by jakoś przetrwać. Nie zdawała sobie przedtem sprawy, jak trudno jest się poruszać po Londynie z dzieckiem. Taksówki były drogie, a ona starała się oszczędzać; głęboki wózek niełatwo było wstawić do autobusu czy metra. Stopniowo uczyła się pokonywać różne trudności. Czasem, kiedy dziecko dobrze spało, a jej udało się spokojnie coś zjeść, pospać, wyjść z

domu i zobaczyć się z przyjaciółmi, uznawała, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Kiedy jednak nie miała pracy, a Angelo płakał przez całą noc i nikt się do niej nie odezwał, chodziła z tłustymi włosami i szlochała przed zaśnięciem jak dziecko.

Nauczyła się ani słowem nie wspominać o synku w pracy. Musiała być piękną, elektryzującą Tessą Nicolson, niezmienioną, tak jakby przeżycia związane z ciążą i porodem dały się łatwo wymazać z pamięci niczym minione wakacje albo ból zęba. Kiedy fotograf życzył sobie, żeby pracowała do późna, mówiła, że musi złapać ostatni pociąg do portu promowego albo że ma umówione spotkanie. Wymyślała cokolwiek, byle nie powiedzieć: „Muszę wracać do domu, do mojego dziecka, bo jestem tak zmęczona, że nie mogę trzeźwo myśleć, i jeśli zostanę tu jeszcze chwilę, zasnę na stojąco”.

Traktowała teraz wszystko inaczej. Starła się rozsądnie rozplanować wydatki, co przychodziło jej tym łatwiej, że nie miała czasu na chodzenie po sklepach; i utrzymać porządek w mieszkaniu, szczególnie w dniach, kiedy nie przychodziła służąca, bo bała się, że Angelo złapie jakieś zarazki. Wykorzystywała każdą wolną chwilę. Nauczyła się szybko wykonywać poranne obowiązki w dniach pracy. Z synkiem na ręku sięgała po torebkę, klucze, szminkę czy notes. Zręcznie manewrowała wózkiem, wsiadając do windy i z niej wysiadając, i sprawnie wkładała wiklinowy koszyk Angela do mg. Angelo uwielbiał jazdę samochodem. W pierwszych tygodniach życia, gdy nie mógł zasnąć, późno w nocy znosiła go do auta i jeździła ciemnymi, pustymi ulicami tak dugo, aż malca zmorzył sen. Uspokajała się, kiedy płacz synka przechodził w ciche kwilenie, a potem zapadała cisza. Pod koniec lutego, podczas krótkich wakacji w połowie semestru, przejechała całą drogę

do szkoły Freddie w Oksfordzie z Angelem śpiącym w swym koszyku na tylnym siedzeniu. Czuła się wtedy tak dumna, jakby zdobyła Mount Everest.

Wiele rzeczy sprawiało jej ból. Nie znosiła, kiedy znajomi, widząc ją z wózkiem mówili: „O, a myśleliśmy, że oddałaś dziecko do adopcji”, albo gdy patrzyli na Angela takim wzrokiem, jakby nie miał prawa żyć lub był trędowaty, a w dodatku to on, nie ona, ponosił winę za obecną sytuację. Chociaż Tessa nauczyła się przyjmować te zniewagi z kamienną twarzą, w samotności wylewała potem gorzkie łzy.

Najbardziej jednak niepokoił ją Milo. Kiedy po raz pierwszy zobaczył synka, miał w oczach zachwyty. Ogarnęło ją wówczas wielkie wzruszenie. Po pewnym czasie doszła jednak do wniosku, że Milo był jedynie oszołomiony. Sądziła, że chociaż oficjalnie nie może uznać syna, będzie darzył go wielką miłością. Wyobrażała sobie jedyny w swym rodzaju związek: skoro Milo nie może być „takim zwyczajnym” ojcem dla Angela, z pewnością wynagrodzi mu to w inny, równie cudowny sposób.

Tak podniecające w pierwszych miesiącach elementy romansu - aura tajemnicy, nieprzewidywalność, wspólnie spędzane, kradzione chwile - teraz przestały mieć dla niej znaczenie. Macierzyństwo umocniło ją i sprawiło, że nie była już tak wspaniałomyślna i skłonna do wybaczenia. Czy to możliwe, by Milo chciał rozluźnić ich znajomość? Nie mogła w to uwierzyć, a jednak nie potrafiła zapomnieć o coraz częściej odwoływanych spotkaniach i szybko kończonych przez niego rozmowach telefonicznych. Niepokojąc się tymi objawami zmniejszonego zainteresowania z jego strony, czuła się jeszcze bardziej zmartwiona, jako że łamała ustalone przez siebie zasady.



Zasady miłości! Okazała się bardzo naiwna, wierząc, że jej serce nie podlega odwiecznym prawom!

## **Rozdział 5**

Impreza się udała - powiedziała Rebecca. - Szkoda, że nie mogłaś przyjść.

W niedzielny marcowy poranek siostry jechały do Abingdon na lunch z matką. Poprzedniego wieczoru Rycroftowie wydali w Mili House przyjęcie z okazji ukazania się „Odgłosów zimy”.

- Nie przepadam za przyjęciami - stwierdziła Meriel. - Nie lubię tak długo stać. Nie wiem, kto wpadł na pomysł, że dobrze jest posilać się na stojąco, manewrując talerzem i sztućcami.

Była to stara śpiewka Meriel, niezmiernie irytująca Rebecę. Bankiety u Rycroftów miały ustaloną renomę i ludzie bili się o zaproszenia. Czy wymagała zbyt wiele, oczekując, że jedyna siostra nie będzie tak jawnie okazywać jej lekceważenia?

- Świetnie się bawiliśmy - powiedziała sztywno Rebecca. - Ostatni goście wyszli po pierwszej w nocy.

- Lubię być w łóżku o dziesiątej.

Nietaktowne wypowiedzi Meriel i lęk, niezmiernie ogarniający Rebecę przed wizytą u matki, sprawiły, że mocno zacisnęła usta, by nie stracić panowania nad sobą. Była zmęczona. Żałowała, że nie mogła pospać godzinę dłużej. Głośno zmieniała biegi i skupiła się na prowadzeniu samochodu.

- Tak czy owak - odezwała się po chwili Meriel

- na przyjęciach zawsze głuchnę. Nie słyszę, co ludzie mówią.  
Zadzwoń do Mila i mu pogratuluj.

Rebecca uznała, że siostra chce się z nią pojednać. Meriel prawie nigdy nie dzwoniła do Mila.

- Na pewno bardzo się ucieszy - zapewniła, a po chwili dodała: -  
Ostatnio chodzi podenerwowany. Jakaś kobieta zamieściła w „Timesie”  
niepochlebny recenzję jego wierszy.

„Chcąc jak najłagodniej określić poezję pana Rycrofta

- napisała recenzentka - powiem tylko, że powinien skoncentrować się  
na pisaniu powieści”. Ten fragment wyraźnie ubódł Mila. Nawet przyjęcie  
nie poprawiło mu humoru. Upił się niemal do nieprzytomności, co nigdy mu  
się nie zdarzało, i Charlie Mason musiał go wciągać na piętro do sypialni.

- O, Boże - powiedziała Meriel. - Ale przecież napisał te wiersze  
głównie dla przyjemności?

- Bardzo nad nimi pracował - wyjaśniła Rebecca, nieco urażona.

- Trudno jest odnosić wielkie sukcesy w dwóch dziedzinach. Należy się  
cieszyć, że przynajmniej w jednej jest się doskonałym.

- To prawda. - Rebecca zwolniła przed skrzyżowaniem, rozejrzała się w  
obie strony, po czym kontynuowała jazdę.

- Jak się miewa doktor Hughes?

Meriel posmutniała.

- Deborah stara się go namówić na przeprowadzkę do Kornwalii.
- Kornwalii?
- Tak. Ze względu na jej zdrowie. Deborah zawsze uwielbiała Kornwalię.
- A co będzie z jego pracą?
- Ach, to okropne. Był lekarzem w Westdown przez tyle lat.
- To musi być straszne dla ciebie.
- Tak. - Meriel odwróciła wzrok i spojrzała w okno. - Jeśli wyjedzie, będę bardzo za nim tęskniła.
- A on chce wyjechać?
- Nie.

Biedna Meriel, pomyślała Rebecca. To okropne, że siostra tak bardzo przeżywa możliwość wyjazdu kogoś, kto nawet nie zdaje sobie sprawy z jej uczucia.

- Na twoim miejscu nie martwiłabym się tym aż tak bardzo - powiedziała pocieszycielskim tonem. - Myślę, że ta nudziara Deborah zmieni zdanie. Przecież już chyba wcześniej miewała takie pomysły.
- Owszem. Często. - Meriel westchnęła. - Ale teraz bardzo jej zależy na tej Kornwalii. - Niespodziewanie zapytała: - A ty, Becky? Jak ty się czujesz?
- Ja? Dobrze.
- Ostatnio sprawiasz wrażenie przygnębionej.

- Naprawdę? - Rebecca zmusiła się do śmiechu. - To chyba przez to przyjęcie. Miałam tyle roboty! Ale czuję się dobrze i wszystko układa się doskonale.

- Nie zawsze musi tak być.

- O co ci chodzi?

- Nie zawsze wszystko musi się układać doskonale - odpowiedziała Meriel. - Nie zawsze musi być cudownie.

Rebecce zaniepokoił wyraz współczucia, malujący się na twarzy siostry. Opuściła wzrok. To przykre, że jej przygnębienie jest aż tak widoczne.

- Czuję się bardzo dobrze - oznajmiła stanowczym tonem. - Po prostu nie lubię tej pory roku, zresztą dobrze o tym wiesz. - Szybko zmieniła temat. - Co zamierzasz kupić mamie na urodziny?

- Sole do kąpieli i talk. Wiem, że to nic szczególnego, ale nie mam lepszego pomysłu. A ty?

- Myślałam o rękawiczkach, ale chyba dałam jej już rękawiczki w zeszłym roku. Więc może pantofle.

- Chciałam kupić pudełko dobrych czekoladek, ale mama mówi, że nie da rady ich pogryźć.

- Nawet tych z kremem truskawkowym...

- Przecież można je ssać.

Siostry zachichotały. Dojeżdżały już do przedmieść Abingdon.

W pewnej chwili Meriel wykrzyknęła:

- Och! Koniecznie muszę ci to powiedzieć! Cóż za szokująca wiadomość!

- Co się stało?

- Siostra Freddie Nicolson urodziła dziecko.

- Tak? - spytała bez krzty zainteresowania Rebecca, przyciskając klakson przed wyminięciem dwóch rowerzystów.

- Becky! Ona jest niezamężna.

- Och! To musi być dla niej trudne.

Rebecca poczuła rosnący niepokój. W tej chwili nie była jednak w stanie określić jego natury.

- Czyja siostra? - zapytała.

- Siostra Freddie Nicolson, Tessa. Jest modelką.

- Modelką?

- Jest bardzo znana. Freddie pokazała mi jej zdjęcie w „Vogue'u”.

- Freddie...

- Tak, Freddie Nicolson. Mówiłam ci o niej. Ma na imię Frederica, ale wszyscy mówimy na nią Freddie. To przemiła dziewczyna. Ma doskonałe świadectwo, a poza tym jest zastępcą kapitana pierwszej jedenastki. Serdecznie jej współczuję takiej sytuacji. Są pewne rzeczy, których nie da się zamieść pod dywan. Panna Nicolson nie pokazywała się w Westdown przez kilka miesięcy, a zawsze tak regularnie odwiedzała Freddie... Teraz już wiadomo dlaczego! Była w ciąży!

„Frederica, ale wszyscy mówimy na nią Freddie". Rebecca wszystko sobie przypominała. To było prawie rok temu, w Mili House, w dniu urodzin matki. Na trawniku pojawiły się już żonkile, a matka narzekała, że zasłony są drogie. „Dzięki Bogu, że mamy Freddie Nicolson", powiedziała wtedy Meriel. „W ostatnim meczu grała wyśmienicie". Milo uniósł wzrok i powtórzył: „Nicolson"? A ona, Rebecca, która tak dobrze go знаła, zobaczyła, że jest przerażony.

- To dziecko... - powiedziała. - Kiedy się urodziło?

- Dwa, może trzy miesiące temu. Nie jestem pewna. Panna Nicolson mi je pokazała. To słodki chłopczyk, ale byłam tak zaskoczona, że nie wiedziałam, co powiedzieć.

Po chwili Meriel dotknęła ramienia siostry.

- Rebecco? - zwróciła się do niej, zaniepokojona. - To był nasz skręt. Minęłaś nasz skręt. Rebecco...?

Zyskała więc pewność, że Milo ma romans z Tessą Nicolson. Dlatego był taki przerażony wtedy przy stole, gdy padło jej nazwisko. To tłumaczyło jego euforyczne nastroje przez całą wiosnę i lato, telefony przyjmowane w gabinecie, wyjazdy. Wszystko ułożyło się w spójną całość. Jeśli Tessa Nicolson pracowała jako modelka, musiała być młoda i piękna. Westdown School znajdowała się w odległości niecałych dziesięciu kilometrów od Mili House. Milo mógł spotkać pannę Nicolson podczas jednego ze swych spacerów. Być może złapała gumę, a Milo, rycerz w lśniącej zbroi, zmienił oponę w jej aucie. Może zatrzymała się, by zapytać o drogę, albo, jeśli należała do tych kobiet, które samotnie bywają w pubach, Milo mógł rozpocząć z nią rozmowę, wstąpiwszy na piwo.

Po chwili jednak Rebecce ogarnęły wątpliwości. Znow dała się ponieść wodzom fantazji. Jej wyobraźnia przekraczała granice absurdu. Meriel wspomniała jej o nieślubnym dziecku siostry swojej uczennicy, a ona, Rebecca, natychmiast zaczęła podejrzewać, że Milo jest jego ojcem. To nie było nawet absurdalne, tylko po prostu chore. Doprowadziła się do straszego stanu.

Poniedziałek rano: dzień pracy Mila w Oksfordzie. Nie mogła się doczekać, kiedy mąż wyjdzie z domu. Obudziła się o siódmej po źle przespanej nocy, przyniosła mu herbatę, po czym wzięła kąpiel i się ubrała. Gdy Milo wszedł do łazienki, pobięła na dół.

Światło zaglądało do holu przez witrażowe okno w drzwiach wejściowych i kładło się szafirowo-rubiniowymi pasmami na podłodze. Dom prezentował się wspaniale, jakby w oczekiwaniu na wydarzenia dnia. Rebecca uniosła roletę w gabinecie Mila, usiadła przy biurku, otworzyła szufladę i wyjęła notes z adresami. Przebiegając palcami po naciętych stronach, doszła do litery „N”. Nash, Neale, Nesbit... nie było nazwiska „Nicolson”. Przeszła do „T”. Tattersall, Taylor, Thorne... Nie było również imienia „Tessa”. Zamknęła oczy, zwiesiła głowę i odetchnęła.

Coś ją podkusiło, by przewrócić kartkę. W pewnej odległości od reszty nazwisk Milo napisał: „T”. Obok widniał numer: Highbury 259.

Korzystając z wewnętrznego telefonu, Rebecca zadzwoniła do centrali i poprosiła o połączenie z numerem w Highbury.

Zapadła cisza, potem usłyszała jakieś szumy na linii, a w końcu kobiecy głos oznajmił:

- Mieszkanie panny Nicolson. W czym mogę pomóc?

Rebecca rzuciła słuchawkę, jakby ją parzyła. Przycisnąwszy zwinięte w pięści dłonie do warg, spojrzała w okno. Nisko zawieszona zimowa słońce zmieniało rosę na trawie w migoczące gwiazdy. Był piękny dzień. Usłyszała, jak w głębi domu zamykają się drzwi i pani Hobbs mówi „dzień dobry”. Rozległo się brzęknięcie stawianego na kuchence czajnika, a potem odgłosy towarzyszące wyjmowaniu z szafy odkurzacza, wiadra i szczotki.

Wyszła z gabinetu i udała się na piętro. Milo wciąż był w łazience. Rozejrzała się po sypialni, zauważając najpierw parę pończoch wiszących na oparciu krzesła, potem buteleczkę perfum na toaletce, a wreszcie marynarkę męża na drzwiach szafy. Wszystko wydało jej się bardzo dziwne, jakby zobaczyła te przedmioty po raz pierwszy.

Usiadła na brzegu łóżka. Przeżyty wstrząs sprawił, że czuła się wypalona, pozbawiona sił.

Milo wrócił do pokoju. Z początku jakby jej nie zauważał. Nucąc jakąś melodię, wytarł włosy ręcznikiem, a potem podszedł do szafy i zaczął się ubierać. Dopiero teraz spostrzegł siedzącą na łóżku Rebeccę. Odwrócił się w jej stronę.

- O co chodzi?

- O Tessę Nicolson.

Zesztywniał.

-Co?

- Masz jej numer telefonu w swoim notesie.



- Spotkałem ją na jakimś przyjęciu w Londynie i to wszystko - powiedział szybko.

Przyjrzała mu się uważnie. Wyglądał nieco zabawnie w samych slipach, ze sterczącymi kępkami mokrych włosów na głowie.

- Nie wierzę ci - odparła.

Włożył spodnie.

- Błagam, Rebecca, nie kłóćmy się teraz.

- Chcę tylko wiedzieć, czy masz z nią romans. A jeśli tak, to czy jesteś ojcem jej dziecka.

Zaśmiał się niepewnie.

- Rebecca, na litość boską... - Podszedł i ujął jej bezwładne dłonie. - Oczywiście, że nie mam z nią romansu. Co też ci przyszło do głowy?

Odsunęła się gwałtownie.

- W takim razie sama do niej zadzwonię i o to spytam. - Wstała.

Milo niespodziewanie szybko zagroził jej drogę, stając w drzwiach.

- Rebecca - powiedział. - Proszę...

Miała wrażenie, że w tej chwili coś w niej nagle umarło; zdała sobie sprawę, że aż do teraz miała nadzieję, że się myli.

- Mam do niej zadzwonić, Milo? - spytała szeptem.

Długo nie odpowiadał, w końcu pokręcił głową.

Cofnęła się na drżących nogach, opadła na łóżko i zamknęła oczy. Jakiś głos - jej głos - zapytał:

-Jak długo...?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, wykrzyczała:

- Pytam, jak długo to trwa?

- Rok. Prawie rok.

- Nie wiesz tego?

- Pani Hobbs - syknął.

Słyszała włączanie odkurzacza i jego ogłuszający ryk. Pani Hobbs sprzątała schody.

- Poznałem ją w zeszłym roku w styczniu, ale wtedy... nic między nami nie było... dopiero później... - Głos mu się załamał.

- Styczeń. - Rebecca otarła spocone czoło dłonią. - Meriel - powiedziała. - Poznałeś ją przez Meriel.

-Nie.

- Ale Meriel ją zna... - Przerazona, zastanawiała się, czy jej siostra wie, że Milo jest kochankiem Tessy Nicolson? Czy to dlatego pozwoliła sobie na ten dziwny komentarz w samochodzie? „Nie zawsze wszystko musi się układać doskonale. Nie zawsze musi być cudownie”.

- Nie - odrzekł. - Poszedłem na spacer. Tessa jeździła na łyżwach po zamrzniętym stawie... tym przy szkole. To nie ma nic wspólnego z Meriel.

Tessa. Tak łatwo wypowiedział to imię. Oczy Rebekki zasły łzami. Ugodził ją prosto w serce. Drżącymi palcami wyjęła chusteczkę z szuflady stolika przy łóżku, wytarła oczy i nos.

- A dziecko? - spytała cicho.

Kiedy nie odpowiadał, zmusiła go, by na nią spojrział. Miał winę wypisaną na twarzy.

- To twoje? - wyszeptała.

Milo kiwnął głową i spuścił wzrok.

- Tak mi przykro.

Postąpił krok w jej stronę. Gdyby mu na to pozwoliła, dotknąłby jej ramienia.

- Wyjdź stąd - powiedziała spokojnie. - Chcę zostać sama.

- Rebecca, proszę...

- Wynoś się! - krzyknęła histerycznie. - Jedź sobie do swojego cholernego Oksfordu! Albo do Londynu, do niej, jeśli tego chcesz! Nic mnie to nie obchodzi!

Skuliła się na łóżku i zaniósła płaczem. Słyszała, jak mąż zamyka za sobą drzwi.

Poniedziałek wieczorem: dokuczał jej pulsujący ból głowy. Zażyła aspirynę i zrobiła sobie mocną kawę. Potem usiadła w tylnym pokoju; paliła papierosa i piła kawę.

Usłyszała, jak przed domem zatrzymuje się auto. Podskoczyła na dźwięk otwieranych drzwi. Milo otwierał je kolejno, dopóki jej nie znalazł.

- Sądziłam, że nie wrócisz - mruknęła Rebecca.

Usiadł na niskim stołku przy oknie.

- Nie wiedziałem, czy życzysz sobie mojego powrotu.

Wzruszyła ramionami.

- Powiedziałeś mi, że poznałeś ją rok temu w styczniu.

Zwiesił głowę.

-Tak.

- Przy szkole Meriel.

-Tak.

- A potem?

Długo milczał.

- Kilka miesięcy później wpadliśmy na siebie w Londynie - powiedział w końcu.

- Nie okłamuj mnie, Milo.

Głośno wypuścił powietrze.

- Zatelefonowałem do niej.

- I poszedłeś z nią do łóżka. - Wstała. - Co za zdzira! - Rebecca prychnęła pogardliwie. - Czy sypia z wszystkimi spotkanymi mężczyznami? Musiałeś ustawić się w kolejce, Milo?

Po tych słowach wyszła z pokoju, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Przez cały dzień nic nie jadła i zdała sobie sprawę, że jest bardzo głodna. Ukroiła dwie kromki chleba i włożyła między nie plaster szynki. Potem przeszła do salonu, włączyła radio na cały regulator, by odstraszyć Mila, i zjadła kanapkę.

Tej nocy spał w pokoju gościnnym. Kiedy obudziła się nad ranem, poczuła, że jej bojowy nastrój gdzieś się ulotnił. Nie miała siły płakać, leżała więc z otwartymi oczami, zastanawiając się, jak będzie wyglądało jej życie, kiedy mąż ją opuści. Bo teraz była już pewna, że od niej odejdzie. Dlaczego miałby z nią zostać, skoro mógł mieć dziewczynę tak piękną jak Tessa Nicolson?

Wiedziała, że bez niego jest nikim. Pomimo wad i niewierności Mila, wciąż go kochała. Już przy pierwszym spotkaniu czuła, że pragnie spędzić z nim resztę życia. Nikt nie potrafił jej tak rozbawić jak on. Przy nikim nie czuła się taka piękna, błyskotliwa i pożądana. Nawet teraz miała ochotę pójść do pokoju gościnnego i wsunąć się do łóżka, by wziął ją w ramiona i powiedział, że wszystko będzie dobrze, że wciąż ją kocha i zawsze będzie kochał.

Wtorek: nienawidziła Mila. Nie podobał jej się jego chód, sposób mówienia, słabość charakteru, wypisana na twarzy; nie cierpiała go za wszystko.

Pielęgnowała swój gniew aż do popołudnia, do wyjścia pani Hobbs. Z ponurym rozbawieniem pomyślała, że rozkład ich małżeństwa przebiega w rytmie godzin pracy gosposi.

- Chcę wiedzieć wszystko - powiedziała. - Nie próbuj się wykręcać. Czy jest piękna? Jak wygląda? Jest młoda?

Siedzieli przy stole, jedząc lunch, przygotowany przez panią Hobbs. Prawdę mówiąc, głównie zajmowali się przesuwaniem jedzenia po talerzach.

- Nie sądzę, żeby to w czymś mogło pomóc. - Westchnął ciężko.

- Nie zadaję tych pytań, żeby ci pomóc, Milo. Dlaczego miałabym to robić? Wprost przeciwnie, chcę, żebyś cierpiał. - Odłożyła sztućce. - Ile ona ma lat? To chyba proste pytanie. Na pewno znasz odpowiedź.

- Dwadzieścia dwa.

- Mój Boże! Niedługo zaczniesz uwodzić uczennice. - Zapaliła papierosa. - Jak ona wygląda?

Machnął ręką.

- Nie wiem...

- Ależ wiesz, Milo, przecież z nią sypiasz. A może nie patrzysz wtedy na jej twarz?

Zaczerwienił się.

- Czy naprawdę musisz być taka wulgarna?

- Dziwisz mi się? Jest blondynką, brunetką, a może ma rude włosy... musiałeś to przecież zauważyć.

- Pomiedzy blondynką a szatynką. Ma włosy barwy miodu.

- Barwy miodu - powtórzyła, ironizując. - Cóż za piękne, poetyckie określenie. A jakie ma oczy?

- Zielone - mruknął. - Zielonkawo-orzechowe.

- Jest piękna?

Zaległa cisza.

- Tak. Bardzo - przyznał beznamiętnym tonem po dłuższej chwili. - Nie wiem, po co to robisz. Dlaczego chcesz wiedzieć.

- Nie chcę - odpowiedziała łamiącym się głosem. - Ale muszę to wiedzieć.

Potem zabrała talerze, zniosła do kuchni i zsunęła jedzenie do śmieci. „Barwy miodu. Zielonoorzechowe”. Gotowane marchewki ześliznęły się na podłogę. Rebecca cisnęła talerzami o posadzkę, patrząc, jak rozpryskują się na kawałki.

Środa rano: wzięła psa na długi spacer. Poszła w stronę wzgórz, nie chcąc spotkać znajomych. Jej buty ślizgały się w błocie, gdy wspinała się na smagane wiatrem zbocza. Przypomniała sobie, jak chodziła tędy z Milem tuż po kupnie Mili House, jak ją wyprzedzał i, dotarwszy na wierzchołek, machał rękami w triumfalnym geście. Pewnego razu zobaczył na mapie nazwę „Herne Hill” i udali się na poszukiwanie tego miejsca. Wiedziała, że

lubił odkrywać przeszłość rozmaitych zakątków, zapisaną głęboko pod trawami i polnymi kwiatami.

Teraz szła bez żadnej mapy, ledwie zauważając wzniesienia. Wioski w dolinach zdawały się unosić nad ziemią, nierzeczywiste, pozbawione ciężaru. Pomyślała, że to ona, a nie Meriel jest godna współczucia. Biedna Meriel, której narzeczony zginął na wojnie, nie знаła smaku fizycznej miłości i była beznadziejnie zakochana, jak uczennica, w szkolnym lekarzu, ale przynajmniej żyła w prawdzie. To Rebecca, głupia Rebecca, wmawiała sobie, że los jej sprzyja, i chełpiła się małżeństwem opartym na kłamstwie.

Zrobiło jej się zimno i zeszła do głównej drogi. Przystanąwszy na poboczu, zapaliła papierosa, osłaniając płomyk dłonią. Dziecko, pomyślała. Milo nigdy nie chciał mieć z nią dziecka. Łzy nabiegły jej do oczu. Milo miał syna, a ona nie. Dziecko jej wyobraźni, Archie lub Oscar, nigdy nie będzie istniało naprawdę. Miała wrażenie, że z żalu pęknie jej serce.

Jakiś samochód, zielony humber, zatrzymał się obok niej. Drzwi po stronie kierowcy otworzyły się i jakiś mężczyzna zapytał:

- Przepraszam, czy dojadę tędy do Oksfordu?

Rebecca wypuściła dym.

- Nie, skrzyć pan w niewłaściwą drogę.

- Te wiejskie drogi wyglądają identycznie. A mogłaby pani wskazać mi właściwą?

- Oczywiście. - Wyjaśniła mu, jak powinien jechać.



- Wydaje mi się to strasznie skomplikowane - powiedział. - A nie zmierza pani przypadkiem w tym samym kierunku?

- Mieszkam w Little Morton. Kilka kilometrów stąd.

- Mogę panią podwieźć.

- Bardzo dziękuję, ale jest jeszcze pies...

- Im nas więcej, tym weselej. Kocham psy.

Pochylił się i otworzył drzwi pasażera. Rebecca wyrzuciła papierosa i wsiadła do samochodu. Spanielka wskoczyła jej na kolana.

- Jak się wabi?

- Julia.

- Ładnie. - Włączył silnik. - Nazywam się Edward Robinson. Przyjaciele mówią na mnie Ned.

Miał szczupłą, przystojną twarz, czarne włosy, zaczesane do tyłu, brązowe oczy i wąskie usta. Jego ręce były pokryte czarnymi, sprężystymi włoskami. Gdyby dała mu odpowiednie sygnały, może zaprosiłby ją na obiad, zaproponował łóżko. Zastanawiała się, czy byłaby to odpowiednia zemsta. Czy Milo cierpiałby potem tak jak ona?

Czuła się jednak zmęczona, przemarznięta i nie miała ochoty na prowadzenie interesującej rozmowy, a cóż dopiero mówić o uwodzeniu.

- Rycroft, pani Rycroft - przedstawiła się. - Jeśli skreśli pan na tym skrzyżowaniu, dojedziemy do mojego domu. Stamtąd bez trudu trafi pan do Oksfordu.

- O. - Uśmiechnął się z widocznym żalem. - Dziękuję.

Po niedługim czasie zatrzymał samochód przed Mili

House.

- No i udało się bezpiecznie dotrzeć do domu - powiedział.

Rebecca podziękowała mu i przystanąwszy na poboczu, odprowadziła wzrokiem odjeżdżającego humbera. Potem ruszyła za dom i weszła od tyłu do kuchni. Odpięła Julii smycz i wytarła ubłocone łapy starym ręcznikiem. Na kuchence bulgotał gulasz, a na poręczy leżały schludnie poskładane ściereczki do naczyń. Pani Hobbs już nie było; Rebecca dopiero teraz zdała sobie sprawę, że od czasu jej wyjścia na spacer minęło wiele godzin.

Sprawdziła, co się dzieje w domu. Drzwi do gabinetu były otwarte. Zobaczyła Mila w jadalni. Stał przy drzwiach balkonowych.

- Domyślam się - powiedziała - że chcesz mnie zostawić i ożenić się z nią.

Odwrócił się do niej.

-Nie.

- Milo, przecież masz z nią dziecko.

- Ona nie chce za mnie wyjść.

- Trudno mi w to uwierzyć.

Sprawa miała wrażenie tak samo zmęczonego i rozbitego jak ona. Wykonał nieokreślony ruch ręką.

- To prawda.
- Planowałeś to dziecko?

Szeroko otworzył oczy, zdumiony.

- Oczywiście, że nie! Rebecca, to był błąd... okropny błąd!
- Naprawdę?
- Jak mogłaś przypuszczać, że chciałem mieć dziecko?
- Nie mam na myśli ciebie, tylko ją. Jesteś pewien, że nie zaszła w ciążę, żeby zmusić cię do małżeństwa?

- Jestem. Nie rozumiesz... - Usiadł na kanapie. Na stoliku stała szklaneczka, najprawdopodobniej z whisky. Milo pociągnął łyk. - Tessa nie ma zamiaru wyjść za mąż za mnie ani za nikogo innego. Już na początku wyraźnie dała to do zrozumienia. Jest bardzo śmiała i niezależna. Uwielbia wyzwania.

- Ma wielu kochanków?

Zacisnął powieki.

- Nie wiem. - Po chwili dodał: - Tak.

- Chyba niewłaściwie to interpretujesz, Milo - powiedziała Rebecca cierpkim tonem. - Myślę, że żaden z jej kochanków nie chce się z nią ożenić, bo wie, jaką jest kobietą. Żaden przyzwoity, szanujący się mężczyzna nie lubi używanych towarów. Zaszła w ciążę, chcąc cię usidlić, zmusić do ożenku.

Uniósł wzrok.

- Nie, to nie tak. Mówiłem ci już, że Tessa nie chce za mnie wyjść.

Jego zboląły wzrok sprawił, iż się cofnęła, czując, że traci opanowanie.

- Kochasz ją? - spytała szeptem.

Tym razem milczenie trwało wyjątkowo długo.

- Nie wiem - odparł w końcu.

Czwartek: zostali zaproszeni na lunch do znajomego wykładowcy uniwersyteckiego do Merton College. Okna wykładanej drewnianymi panelami sali wychodziły na porośniętą trawą dziedziniec. Pokój pachniał pszczelim woskiem i starymi książkami. Żałuję, że nie byłam lepszą uczennicą, pomyślała Rebecca. Mogłam zostać sawantką. Gdybym miała więcej wiadomości z różnych dziedzin, być może nie przejmowałabym się tak bardzo tym, co mnie trapi. Żałuję, że nie zostałam zakonnicą i nie zamieszkałam w klasztorze. Chciałabym być młoda i tak piękna, aby moje zdjęcie mogło zdobić okładkę „Vogue'a”.

- Kim ona była dla ciebie?! - krzyknęła przenikliwie. Wrócili już do domu. Rebecca wypła za dużo porto podczas lunchu w Merton College i głowa znów jej pulsowała bólem. - Kolejnym z twoich podbojów? A może twoją mużą? Czy te wszystkie dziewczyny są twoim natchnieniem? Opisujesz je w książkach, Milo? Te twoje łzawe, mdlejące bohaterki... czy te dziwki są ich pierwowzorami? Dostarczają ci podniet, żebyś mógł płodzić te swoje ckliwe historie?

Stali w holu. Milo zdjął szal i powiesił go na kołku. Teraz podszedł i oparł ręce o ścianę, zamykając Rebecce między nimi.

- Nie - odpowiedział jadowitym tonem. - Powiem ci, kim są. Są moim wytchnieniem. Pozwalają mi uciec od ciebie, Rebecca. Mam ci powiedzieć, dlaczego potrzebuję tych chwil wytchnienia? Bo trudno mi z tobą wytrzymać. Twoja zazdrość, awantury, sceny, które urządzasz, twoje zrządzenie i wieczne narzekanie odpycha mnie od ciebie. Nie wiesz, że do zniszczenia małżeństwa potrzeba dwojga? Zmieniłaś się, nie jesteś już tą kobietą, z którą się ożeniłem. Dla ciebie wszystko musi być idealne: dom, ogród, ja. Cóż, nie jestem idealny. Przyznaję, postąpiłem źle. Ale nie myśl sobie przypadkiem, że sama jesteś idealna!

- Ty łajdaku! - krzyknęła i uderzyła go w twarz. - Ty wstrętny łajdaku!  
- Szarpnęła jego rękę i przebiegła obok niego przez drzwi balkonowe do ogrodu, przemknęła przez taras, a potem przez trawnik, za cedr, ku rzece, poruszającej dawniej koło młyńskie, wytyczającej granice ich ogrodu.

Przed oczami latały jej kolorowe plamki. Miała wrażenie, że woda jest upstrzona migotliwymi złotawymi, różowymi i fioletowymi cętkami. „Dla ciebie wszystko musi być idealne”. Czy Milo miał rację? Meriel powiedziała jej coś podobnego. Czyżby stała się męczącą perfekcjonistką, odstraszącą męża absurdalnymi wymaganiami?

Usłyszała za sobą czyjeś kroki. Odwróciwszy się, zobaczyła idącego do niej przez trawnik Mila. Lewy policzek miał zaczerwieniony od uderzenia.

- Przepraszam, że cię uderzyłam - powiedziała niemal szeptem.

- To moja wina - odpowiedział. - To ja ponoszę winę za wszystko. Obiecuję, że już się z nią nie spotkam.

Zamknęła oczy, usiłując zdusić tańczące światła, jednak nie znikaly, jakby uwięzione pod jej powiekami.

- A dziecko? - spytała.

Pokręcił głową. Na jego twarzy pojawił się wyraz opuszczenia i smutku.

Rebecca zdała sobie sprawę, że nie wie, jak nazywa się to dziecko. Tak jest lepiej, pomyślała. Niech ten paskudny bękart pozostanie dla niej bezimienny.

Jej migrena trwała dwa dni. Chociaż nie zdołali w tym czasie zawrzeć rozejmu, sprawa utkwiała na ten czas w martwym punkcie. Milo przynosił żonie wodę i aspirynę, zaciągał zasłony, dbał, by w domu panowała cisza. Kiedy Rebecca poczuła się lepiej, zrobił herbatę i tosta.

Usiadł na skraju łóżka. Rebecca, wsparta na poduszkach, odrywała kawałeczki grzanki i starała się je przełknąć.

- Nie chciałem tego dziecka - powiedział. - Byłem przerażony, kiedy Tessa oznajmiła mi, że jest w ciąży. Nie wiedziałem, co robić. Ona myśli, że powinienem je kochać, ale nie mogę, nie potrafię. Widzę, iż oczekuje ode mnie tego, że je pokocham, i czuje się rozczarowana moim zachowaniem. Uważa, że sprawiam jej zawód. - Przycisnął dłonie do twarzy. - Oczywiście w przyszłości będę musiał płacić za szkołę chłopca. Nie mogę postąpić inaczej. Nie proszę cię, żebyś mi wybaczyła, Rebecco, nie mam prawa cię o to prosić. Ale błagam... nie złość się na mnie. Nie potrafię tego znieść.

Wyciągnął ku niej rękę i delikatnie dotknął jej dłoni palcami. Nie cofnęła ręki. Domyślała się już teraz, jak to było. Ta kobieta, ta modliszka, Tessa Nicolson, wykorzystała słabość Mila. Rozrzuciła przynętę, a Milo dał

się złapać. Przystojny, sławny, czarujący, z pewnością był cennym trofeum w jej kolekcji. „Nie chciałem tego dziecka. Ona myśli, że powinienem je kochać, ale nie mogę, nie potrafię”. Po raz pierwszy od tygodnia poczuła, jak ogarnia ją triumf.

W poniedziałek rano Rebecca była umówiona na przymiarce w Chez Zelig w Oksfordzie. Mając jeszcze zawroty głowy po migrenie, pozwoliła, by Milo zawiózł ją do miasta. Milo szedł do pracy, a ona zamierzała wstąpić do krawcowej i zrobić zakupy. Potem, jak zaproponował, zamierzali razem pójść na lunch. Postanowił zamówić stół w jej ulubionej restauracji. Musiała przyznać, że bardzo się starał.

Gdy dojeżdżali do Oksfordu, zaczął kapać deszcz i w miarę upływających godzin padał coraz bardziej. Rynsztokami płynęły brązowe potoki, niosące niedopałki papierosów i papierki od cukierków. Rebecca czuła ulgę, wykonując proste, zwyczajne czynności. Jej życie kolejny raz zdawało się wracać do względnej normalności. Obejrzała rozmaite materiały w Chez Zelig, pochodziła po sklepach, wypła kawe. W kiosku z gazetami, przebiegając wzrokiem tytuły czasopism, zatrzymała się na „Vogue'u”. Czyżby to była ona? Nie, dziewczyna z okładki miała ciemne włosy i niebieskie oczy.

Za dwadzieścia dwunasta ruszyła przez St Michael's Street na spotkanie z Milem. Musiała się przeciskać przez tłum przechodniów, nad którym unosiły się parasole przypominające czarne grzyby. Mijając kolejkę przed budką sprzedawcy gazet, zobaczyła Mila, stojącego na rogu, przy skrzyżowaniu z Cornmarket Street.

Rozmawiał z jakąś dziewczyną. Rebecca znieruchomiała. Gdy tamta odwróciła się z zamiarem odejścia, Rebecca rozpoznała jasne włosy i bladą cerę Grace King. Nie pocałowali się na do widzenia, powtarzała sobie w myślach, nawet jej nie dotknął. Panna King przeszła przez ulicę i ruszyła przed siebie Ship Street. Milo nie odprowadził jej wzrokiem.

Nawet jeśli nie zależało mu na tej dziewczynie, wkrótce będzie inna. Nie Tessa Nicolson, Annette Lyle czy Grace King, tylko ktoś nowy. Rebecca nigdy nie mogła czuć się bezpieczna, nie zaznała spokoju. Czuła, jak wzbiera w niej potężny, niszczycielski gniew.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku, z którego przed chwilą przyszła. Weszła do budki telefonicznej, odstawiła parasol. Uniosła słuchawkę i poprosiła o połączenie z Highbury 259.

Usłyszała terkotanie, trzaski, a potem głos:

- Tessa Nicolson, słucham.

Gdzieś w tle płakało dziecko.

- Wiem, że zna pani mojego męża, Mila Rycrofta - odezwała się Rebecca. - Mam nadzieję, że zdążył już pani powiedzieć, że więcej się z panią nie spotka. Ale może tego nie zrobił. Zawsze był tchórzem.

Zapadła cisza, po czym Tessa zapytała:

- Pani Rycroft?

- Dzwonię do pani, bo pomyślałam, że powinna pani wiedzieć, iż znalazł już sobie kogoś innego... małą pusz-czalską z Oksfordu.

- Nie wierzę pani - odrzekła Tessa Nicolson.



- Jest go pani taka pewna? Ta dziewczyna nazywa się Grace King. Mieszka przy Woodstock Road. Jeśli pani mi nie wierzy, proszę ją o to zapytać. - Rebecca roześmiała się z satysfakcją. - Musi pani wiedzieć, panno Nicolson, że Milo jest jednym z tych mężczyzn, którzy zawsze muszą mieć jakąś panienkę na boku. Taka już jego natura.

Tessa odłożyła słuchawkę. Dzwonek telefonu obudził Angela, który był przeziębiony. Wyjęła go z koszyka i przytuliła do siebie, czując, jak maleńka niczym u ptaszka klatka piersiowa unosi się i opada w rytm szybko bijącego serduszka. Jej serce biło niemal równie szybko, lecz znacznie mocniej.

Usiadła na kanapie. Trzęsła się i było jej zimno. Przeżyła szok. Rebecca Rycroft wiedziała. Ciekawe, od jak dawna? Tessa wytężyła pamięć. Ostatni raz widziała się z Milem prawie miesiąc temu. Sporo czasu - tydzień, może dziesięć dni? - minęło też od jego ostatniego listu i telefonu. Co się stało? Kiedy żona Mila odkryła prawdę? Dlaczego on nic o tym nie powiedział?

Angelo przestał płakać, więc Tessa ułożyła go w koszyczku. Telefon na stoliku w holu wydał jej się podobny do czarnej ropuchy. Był poniedziałek, dzień pracy Mila w Oksfordzie. Tessa podała telefonistce oksfordzki numer. Rozległy się charakterystyczne sygnały.

„Mam nadzieję, że zdążył już pani powiedzieć, że więcej się z panią nie spotka. Ale może tego nie zrobił. Zawsze był tchórzem". Czy teraz siedział przy biurku, bojąc się odebrać telefon, czekał, aż przestanie dzwonić? Może obiecał Rebecce, że nie zatelefonuje już do Tessy? Czyżby potulnie, posłusznie, wrócił do żony i odgrywał rolę dobrego męża, tak jakby ich romans nigdy się nie zdarzył?

Po kilkunastu dzwonekch Tessa podziękowała telefonistce i odłożyła słuchawkę.

Podeszła do okna i zapaliła papierosa. Deszcz spływał strużkami po szybie i widziała za oknem jedynie rozmazane szarobrazowe kształty. Niespodziewanie zatęskniła do włoskiej wiosny, zieleni i błękitu, do słonecznego światła mieniącego się radośnie jak szampan. Istniało tak wiele sposobów na zakończenie romansu. Kłótnia, list, milczenie. Większość ludzi uznałaby zapewne, że Tessa nie ma prawa czuć się zraniona. Oderwała wzrok od okna, mocno przycisnęła zwinięte w pięść palce do ust i popatrzyła na śpiącego synka.

Tak więc żona Mila wiedziała już o romansie. Co jeszcze powiedziała? Że Milo znalazł już sobie inną. Inną kochankę, inną... jak ujęła to pani Rycroft? „Jakaś panienkę na boku”. Kłamała, chcąc ją zranić, czy może mówiła prawdę?

Tessa nie była pewna. Posmutniała, zdawszy sobie sprawę, że mu nie ufa. „Znalazł już sobie kogoś innego... małą puszczałką z Oksfordu. Ta dziewczyna nazywa się Grace King. Mieszka przy Woodstock Road”. Czy to znaczyło, że po prostu nawinęła mu się pod rękę?

Milu Rycroft, mną możesz się znudzić, jeśli już koniecznie musisz, ale nie wolno ci przestać się interesować swoim synem. Wzbierająca w niej złość kazała Tessie sięgnąć po pelerynę, parasol, klucze, buteleczki i pieluszki. Musi poznać prawdę, już, natychmiast! Jak śmiał się przed nią ukrywać! Zabrakło mu przyzwoitości i odwagi, by się przyznać? Nie zamierzała biernie czekać na telefon, zawieszona na swoim końcu linii jak ryba na haku. Zawsze bez trudu dochodziła do siebie po zakończonym

romansie, tym razem jednak było inaczej. Pewnego dnia Angelo zapyta o swego ojca. Co ona mu wtedy powie? Że ojciec tak mało się nim interesował, miał dla niego tak niewiele uczuć, że nie minęły trzy miesiące, a odwrócił się od niego?

Tessa wzięła koszyk z dzieckiem i wyszła z mieszkania. Zjechała windą na parter, wyszedłszy z budynku, osłoniła synka parasolem i pobiegła do swego mg. Wsunęła koszyk na siedzenie pasażera, włączyła silnik i ruszyła na południowy zachód, ku drodze do Harrow. Angelo spał smacznie. Prowadząc samochód, uspokajała się powoli. Ruchy kierownicą, przenoszenie stopy z pedału gazu na hamulec, rytmiczny stukot wycieraczek, odgarniających deszcz, wprawiły ją niemal w hipnotyczny trans. Zawsze lubiła podróże. Potrzebowała ruchu, celu.

W Harrow zatrzymała się na stacji benzynowej, by kupić paliwo i papierosy. Czekać na przerwę w sznurze samochodów, poczuła nagle ochotę, by zawrócić do domu. Ten wyjazd był pozbawiony sensu, skoro i tak utraciła już Mila. Wiedziała jednak, że rezygnacja tylko odsunie w czasie to, co nieuchronne. Woląca od razu stawić czoło problemowi. Udała się więc w dalszą drogę. Przechodnie, opatuleni w peleryny i ukryci pod parasolami, kulili się na przejściach dla pieszych i przystankach autobusowych. Mijała przedmieścia, to zatrzymując się w ulicznych korkach, to ruszając. Przejeżdżała wzdłuż szeregów takich samych ceglanych czerwonych domów, z czarnym austinem albo morrisem na podjeździe, i ociekającymi wodą żywopłotami z wawrzynu i ligustru, wyznaczającymi granice frontowych ogródków. Nie jestem stworzona do życia w tym kraju, pomyślała. Kiedy Freddie skończy dwadzieścia jeden lat, wrócę do Włoch.

Ruch uliczny stopniowo malał. Tessa od czasu do czasu popatrywała na boki na pola i zagajniki. W Rickmansworth skręciła na południe, kierując się ku drodze, mającej poprowadzić ją przez Beaconsfield i wzgórza Chiltern do Oksfordu. Angelo zaczął się kręcić w koszyku. Na przedmieściach High Wycombe zatrzymała się przy kawiarni i zamówiła dla siebie herbatę, a potem poprosiła o dzbanek wody do podgrzania butelki z mlekiem. Szesnastoletnia na oko kelnerka z ondulowanymi lokami, wysuwającymi się spod brzydkiego czepka, z podziwem przyglądała się malcowi podczas karmienia.

- Jest taki śliczny i kochany Ile ma miesięcy? Kiedy wyjdę za mąż, będę miała czterech synów. Nie chcę córek. Moja mama mówi, że z dziewczynkami jest więcej kłopotu. - Poglaskała chłopca po policzku. - Twój tata musi być z ciebie bardzo dumny.

Angelo zasnął, opróżniwszy butelkę do połowy. Tessa włożyła go do koszyka i zamieszała herbatę. Przypomniała sobie, jak Milo całował ją w dniu, kiedy mu powiedziała, że jest w ciąży. To wspomnienie było teraz jak odłamek lodu. Doskonale pamiętała ów okropny lunch, podczas którego zrobiło jej się niedobrze na widok jedzenia, i przerażenie w oczach Mila. Potem, gdy odprowadził Tessę do studia fotograficznego, przyciągnął ją do siebie, wsunął ręce pod jej płaszcz i objął ją w pasie. Przywarli do siebie tak mocno, jakby chcieli się zrosnąć, połączyć na zawsze. Ciało wysyła jednoznaczne sygnały; wiedziała, że wtedy ją kochał.

Zostawiła trzy pensy dla kelnerki, wzięła koszyk i wyszła z kawiarni. W samochodzie przez chwilę siedziała nieruchomo, czując ogarniające ją

zmęczenie. Nie chciała teraz być sama. Żałowała, że nie ma przy niej Freddie, Raya albo Maksa.

Pojechała dalej, przez wzgórza Chiltern. Minęła ją jakaś ciężarówka. Spod potężnych opon trysnęły fontanny brudnej wody, zalewając przednią szybę mg, i przez chwilę Tessa nie widziała drogi. Angelo zaczął kwilić. „Cii”, powiedziała, „już niedługo”. Gdy wjeżdżali na wzgórze, ciężarówka zwolniła i auto zbliżyło się do niej na niewielką odległość. Dojechali do skrzyżowania. Ciężarówka stanęła, więc Tessa także musiała się zatrzymać. Angelo zaczął płakać. Ciężarówka ruszyła. Tessa trzymała się z tyłu, wypatrując prostego odcinka drogi, na którym będzie mogła wyprzedzić zawalidrogę. Za zasłoną deszczu zobaczyła jakieś niebiesko-pomarańczowe barwy, układające się w reklamę herbaty Lyons, kołyszącą się na wietrze. Rowerzysta w żółtej pelerynie zjeżdżał ze wzgórza w ich stronę; światło pojedynczej lampki rozmazywało się, zwielokrotniało. Jak daleko jeszcze? Angelo zacisnął dłonie w pięści i głośno płakał. „Już dojeżdżamy, kochanie”, mruknęła Tessa. „Zaraz będziemy na miejscu, obiecuję”. Serce mocno waliło jej w piersi, wyciągnęła rękę i pogłaskała synka po buzi, chcąc go uspokoić. Deszcz bębnił o cienki dach auta. Ciężarówka zwolniła, by wziąć zakręt. Tessa miała ochotę krzyknąć ze złości jak Angelo. Za zakrętem z ulgą zobaczyła, że rozciąga się przed nią pusta droga. Mocno wcisnęła pedał gazu i wjechała na sąsiedni pas szosy.

Poprzez ścianę deszczu zobaczyła furmankę, wyjeżdżającą z pobliskiego pola. Zamierzała nacisnąć klakson, lecz przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy hałas nie spłoszy konia. Uznawszy, że ma wystarczająco dużo miejsca, by wrócić na swoją część drogi, Tessa zdecydowanym ruchem skrzyła kierownicę.

Samochód stracił przyczepność, koła zaczęły się ślizgać na mokrej nawierzchni. Chociaż starała się wyjść z poślizgu, mg ustawiło się w poprzek drogi, koła obracały się bezwładnie. Usłyszała swój własny krzyk. A potem wszystko nagle rozbiło się na kawałeczki - płacz dziecka, pisk hamulców, bębnienie deszczu, zbliżające się pobocze i żywopłot; zielonobrazowa ściana wypełniła przednią szybę.

Rów i żywopłot zahamowały poślizg. Impet uderzenia rzucił Tessę na kierownicę, potem z powrotem na siedzenie i znów do przodu.

Tessa czuła się tak, jakby wzniosła się nad nią wielka fala. Światło się rozproszyło i dojrzała błysk tłukącego się szkła.

Potem zapadła w ciemność i ziało. A później nastąpiła cisza.

Rozmowa z Tessą Nicolson zdjęła Rebecce wielki ciężar z ramion. Wyrównała rachunki. Teraz panna Nicolson będzie wiedziała, jak czuje się zdradzona kobieta.

Przez następne kilka dni ona i Milo traktowali się bardzo nieufnie i ostrożnie. Wcześniej sprawili sobie nawzajem zbyt wiele bólu, padło całe mnóstwo niepotrzebnych słów. Zachowywali się teraz jak rekonwalescenci, utykający z powodu otwartych, sączących się ran. Budząc się w nocy, była pewna, że go straci. Jej obawy powracały, ilekroć wychodził z domu. Myślała wtedy, że mąż już nie wróci.

W czwartek, późnym popołudniem, gdy Rebecca nakrywała do stołu, zadzwonił telefon.

Poszła odebrać.

- Halo, mówi Rebecca Rycroft.

- Witam, pani Rycroft - powiedział dziewczęcy głos. - Pani mnie nie zna. Nazywam się Frederica Nicolson.

Rebecca zeszywniała. Frederica Nicolson mówiła dalej:

- Znalazłam numer telefonu pana Rycrofta w książce adresowej mojej siostry. Dzwonię do wszystkich jej przyjaciół. Mam nadzieję, że pani nie będzie miała nic przeciwko temu, że pozwoliłam sobie zatelefonować, ale zdarzył się wypadek i pomyślałam, że powinnam wszystkich powiadomić.

- Wypadek?

- Moja siostra została ranna w wypadku samochodowym.

- Och. - Po chwili Rebecca dodała oficjalnym tonem: - Bardzo mi przykro z tego powodu.

- Wypadek zdarzył się trzy dni temu. Auto wpadło do rowu. Podobno droga była bardzo mokra i śliska.

- Trzy dni temu? - Rebecca starała się dokonać obliczeń, ale nie mogła się skupić.

- Tak. W poniedziałek po południu. Tessa jest w ciężkim stanie. Leży w szpitalu Radcliffe. Nikt oprócz mnie nie może jej odwiedzać.

Limit tych krótkich zdań jakby się wyczerpał i zapadła cisza. Tessa Nicolson - wypadek - szpital Radcliffe. Rebecca nie była zbyt oszołomiona, by to wszystko połączyć.

A potem głos po drugiej stronie słuchawki oznajmił:

- Dziecko zginęło. Angelo nie żyje. To dlatego dzwonię... na wypadek, gdyby pan Rycroft chciał przyjść na pogrzeb. Tessa nie będzie mogła uczestniczyć w pogrzebie, więc pomyślałam, że jej przyjaciele... - Głos znów się urwał.

- Dziecko nie żyje? - powtórzyła głucho Rebecca.

- Niestety, to prawda. Angelo wypadł z samochodu. Podobno zginął na miejscu.

Zapanowało milczenie. Rebecca słyszała tylko drżący oddech swojej rozmówczyni. W końcu siostra Tessy Nicolson powiedziała szybko:

- Przepraszam, ale muszę już kończyć. Zawiadomię państwa o terminie pogrzebu.

I w słuchawce zapanowała cisza.

Najgorszą rzeczą spośród wielu okropnych było spakowanie dziecięcych ubranek. Siedząc na podłodze w sypialni Tessy, Freddie składała małe sweterki i koszulki, czapeczki i buciki z włóczki i chowała je do walizki, którą dał jej Ray. zaproponował, że weźmie tę walizkę do domu, a potem, jeśli...

Jeśli... Jeśli Tessa wyzdrowieje. Jeśli zechce zobaczyć ubranka Angela. Jeśli kiedykolwiek będzie mogła na nie spojrzeć. Ray ofiarował się też, że może spakować ubranka, lecz Freddie mu podziękowała, mówiąc, że woli zrobić to sama. Chciała to ofiarować Angelowi, który zasypiał w jej ramionach, a pewnego razu wziął jej policzek za pierś i ssał go tak zawzięcie, że zostawił jej mały czerwony znak, przypominający pocałunek.



Złożyła ostatnią koszulkę i umieściła w walizce. Podciągnęła kolana pod brodę i wytarła kciukami łzy płynące z oczu, a potem zamknęła wieko.

Zasłony wokół łóżka Tessy były zaciągnięte, lecz spoza nich dochodził Freddie szmer rozmów gości odwiedzających innych pacjentów i szezęk wózka. Tessa miała złamaną nogę, ramię i obojczyk oraz trzy żebra, a gwałtowne uderzenie wyrzuciło ją przez przednią szybę, sprawiając, że przy upadku doznała wstrząsu mózgu. Pielęgniarki wycięły jej włosy z przodu głowy i obandażowały czoło, by zakryć ciętą ranę od szkła szyby. Wokół oczu Tessy utworzyły się sińce barwy krzemienia.

Przez pierwsze dwa dni po wypadku, gdy była nieprzytomna, Freddie siedziała przy jej łóżku, starając się wzbudzić w siostrze chęć do życia. „Nie możesz umrzeć, nie możesz mnie zostawić, nie pozwolę ci na to”, powtarzała. Kiedy kończyła się pora wizyt i pielęgniarka wsuwała głowę między zasłony, by powiedzieć, że już czas wyjść, Freddie miała ochotę na nią krzyczeć. Bała się, że Tessa odejdzie w nocy, jeśli jej przy niej nie będzie.

Trzeciego dnia ranna otworzyła oczy i na zmianę traciła i odyskiwała świadomość. Czasami pytała o Angela, a wtedy Freddie delikatnie ścisnęła jej rękę i mówiła: „Cii, śpij”. Wtedy Tessa zamykała oczy i najczęściej traciła przytomność. Freddie miała wrażenie, że siostra płynie łódką, ale, mimo wielu prób, nie udaje jej się zawinąć do portu.

Pewnego popołudnia, gdy Freddie przyszła do szpitala, pielęgniarka wzięła ją na bok i powiedziała, że Tessa została powiadomiona o śmierci dziecka. „Biedactwo”, dodała. Freddie nie wiedziała, czy pielęgniarka miała na myśli Tessę czy Angela. Tego popołudnia Tessa nie płakała i w ogóle nie

odezwała się ani słowem. W czasie następnej wizyty leżała nieruchomo, biała jak kreda, tylko sińce wokół jej oczu zmieniły barwę na szkarłatnożółtą. Zadawała pytania. Po każdej odpowiedzi Freddie zapadała długa cisza, gdy Tessa starała się wszystko zrozumieć. Czasami pytała o to samo po dwa razy.

Pogrzeb odbył się w kościele Christ Church w Highbury, dziewięć dni po wypadku. W gronie żałobników, zgromadzonych przed ceremonią na przykościelnym cmentarzu, były koleżanki Tessy, modelki w czarnych kostiumach i kapeluszach z woalką, właściciele delikatesów i lodziarni z włoskiej społeczności w Soho, muzycy, artyści i pisarze oraz elegancko ubrani przyjaciele Tessy z Mayfair i Bełgravii. Przyszło mnóstwo osób. Freddie witała się z nimi uściskami dłoni i dziękowała za przybycie. Wszystkich rozpoznawała: miała dobrą pamięć.

W pewnej chwili podeszła do niej wysoka, ciemnowłosa kobieta i przedstawiła się jako Rebecca Rycroft.

- Mój mąż nie mógł przyjść - powiedziała pani Rycroft. - Źle się czuje. Przeprasza za swą nieobecność i przekazuje serdeczne wyrazy współczucia. Pomyślałam, że przyjdę na pogrzeb... - zdawała się szukać odpowiednich słów - w jego imieniu. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu.

- To bardzo uprzejme z pani strony - powiedziała Freddie. - Dziękuję. Jestem pewna, że Tessa będzie wzruszona.

Skłamała: Tessa nie była wzruszona, bo na niczym jej już nie zależało. Leżała w szpitalnym łóżku, rzadko się odzywała, robiła, co jej kazano. Stała się niezbyt udaną kopia siebie sprzed wypadku. Wprawdzie

przypominała dawną Tessę wyglądem, jednak w głębi duszy była zupełnie inna.

Pani Rycroft spytała o Tessę, a Freddie powtórzyła formułkę wypowiedzianą tego ranka niezliczoną ilość razy.

- Lekarze mówią, że wraca do zdrowia.

- Powiedziała pani przez telefon, że siostra leży w szpitalu Radcliffe. Myślałam, że ona mieszka w Londynie.

- Wypadek zdarzył się na drodze do Oksfordu - wyjaśniła Freddie. - Radcliffe był najbliżej. Nie wiem, dlaczego Tessa jechała wtedy do Oksfordu. Przypuszczam, że chciała się ze mną zobaczyć, ale nic mi na ten temat nie mówiła, a poza tym prawie nigdy nie odwiedzała mnie w poniedziałkowe popołudnia. Ale taka jest właśnie Tessa. Często się na coś decyduje pod wpływem chwili.

- A sama tego nie pamięta?

- Nie. Uderzyła się w głowę. Zresztą to nie ma znaczenia, dlaczego tam się znalazła i może nawet to dobrze, że niczego nie pamięta. - Freddie wolała nie wyobrażać sobie siostry, roztrząsającej każdy szczegół ostatniej jazdy z Angelem.

Pani Rycroft sprawiała wrażenie oszołomionej. Zamykała i otwierała dłonie, jakby chciała uchwycić właściwe słowa. W końcu zapytała:

- Czy mogłabym w czymś pomóc?

- Dziękuję, ale nie ma takiej potrzeby. Po pogrzebie serdecznie zapraszam na lunch, zimny bufet, do mieszkania Tessy.

- Dziękuję. To bardzo miłe z pani strony, ale nie mogę przyjść. Bardzo mi przykro. - Pani Rycroft ściągnęła wargi. - Biedne dziecko. Serdecznie współczuję. - Po tych słowach odwróciła się i jej ciemny płaszcz utonął wśród licznych czarnych strojów.

Powoli wchodzili do kościoła: Max, Paddy Collison, Antonio, Julian Lawrence. Francuski kochanek Tessy, André, przyjechał poprzedniego dnia wieczorem koleją i promem z Paryża. Tylu mężczyzn, pomyślała Freddie. Który z nich był ojcem Angela?

Jeśli jesteś żonaty, przyrzekła sobie w duchu, ujmując ramię Raya w drodze do kościoła, powiem twojej żonie. Jeśli zależy ci na reputacji, zadbam o to, by legła w gruzach. Jeśli inni ludzie cię szanują, dopilnuję, by przestali. Zaślepią gniewem, potknęła się i byłaby upadła, gdyby nie pomocna dłoń Raya.

## **Rozdział 6**

Trzy miesiące później Rebecca odeszła od Miła. Pewnego czerwcowego dnia wczesnie rano, kiedy jeszcze spał, zadzwoniła do Westdown School, do siostry. Gdy spytała, czy może się u niej zatrzymać, Meriel, kochana Meriel, odrzekła:

- Tak, oczywiście. Mam czas od wpół do pierwszej do drugiej, więc najlepiej, jeśli wtedy przyjedziesz. Kieruj się od razu pod dom.

O dziesiątej Milo pojechał do Oksfordu taksówką, ponieważ Rebecca powiedziała mu, że potrzebuje auta, by zawieźć starszą sąsiadkę na wizytę do szpitala. Skoro zostawiła mu Mili House, czemuż u licha nie miałyby

sobie wziąć riley'a? Przez resztę poranka pakowała się i robiła w domu porządku, choć wydawało się to absurdalne, bo co ją obchodziło, czy w Mili House jest wszystko na swoim miejscu czy nie, skoro nie zamierzała już tu mieszkać? Napisała do Mili krótki liścik, który zostawiła na biurku w gabinecie, a potem przeszła się po ogrodzie, by uspokoić nerwy. Wiedziała, że to właśnie ogrodu będzie jej brakowało najbardziej. Później, gdy tylko pani Hobbs wyszła do domu, Rebecca włożyła walizki do bagażnika i odjechała. Zastanawiała się, czy poczuje żal, ale po drodze wałęsał się akurat pies sąsiadów i zanim go wyminęła, straciła Mili House z oczu. Nawet nie spojrzała za siebie.

Meriel mieszkała w białym domku, w niewielkiej odległości od głównego budynku szkoły. Meriel otworzyła drzwi i wzięła od Rebekki jedną z walizek. Gdy szły po schodach, Rebecca widziała przed sobą kołyszące się szerokie biodra siostry, opięte granatowym materiałem.

- Przygotowałam ci połówkę - odezwała się Meriel przez ramię. - Jest dość wygodna. Zawsze na niej śpię, kiedy jadę na obóz z moimi skautkami.

Po wejściu na piętro obie były zdyszane i zaczerwienione. Meriel zrobiła herbatę i zaproponowała kanapkę. Rebecca odmówiła.

- Przepraszam, ale muszę lecieć - powiedziała po pewnym czasie siostra. - Mam zajęcia wyrównawcze z matematyki. Same beznadziejne przypadki, nawet dodawać nie umieją. - Popatrzyła na Rebecce. - Dasz sobie radę? Mam dużo książek, może coś poczytasz albo przejdiesz się po okolicy?

- Poradzę sobie, dziękuję. Leć, leć.

- Udało mi się tak wszystko zorganizować, że kolację zjem dziś tutaj, nie z dziewczynkami. - Meriel niezręcznie objęła siostrę.

- Dziękuję - powtórzyła Rebecca. - Jestem ci bardzo wdzięczna.

Po wyjściu Meriel Rebecca obejrzała mieszkanie. Było niewielkie - salonik, sypialnia, łazienka i maleńki aneks kuchenny - lecz mimo to bardzo przyjemne, z widokiem na obsadzone kasztanowcami boiska. Na jednym z nich dziewczęta grały w hokeja na trawie. Rebecca, która w szkole lubiła tę grę, poczuła ukłucie tęsknoty za tamtymi beztruskimi czasami. Przypomniała sobie jednak, że wcale nie czuła się wtedy wolna od kłopotów - burzliwe szkolne przyjaźnie i zazdrości niekiedy bywały równie skomplikowane jak małżeństwo, a do tego zawsze musiała prowadzić podwójne życie, starannie ukrywając osobliwości i tajemnice swego domu i rodziców. Zapewne dlatego stała się taka skryta. Jednak nigdy dotąd nie miała tak okropnej tajemnicy, jak teraz.

Wyciągnęła książkę z biblioteczki i usiadła na kanapie, by poczytać. Ogarnęła ją jednak niespodziewana senność, być może spowodowana uczuciem ulgi po opuszczeniu Mili House. Odłożyła więc lekturę na bok, zwinęła się w kłębek i zasnęła.

O wpół do siódmej zjadły kolację - jajecznicę na grzankach i sałatkę owocową. Potem Meriel musiała pójść dopilnować cichej nauki i zajęć pozalekcyjnych. Wróciła do mieszkania o wpół do dziewiątej.

- Przełożona i dyżurne jakoś sobie poradzą - westchnęła, zmieniając buty na kraciaste bambosze. - Napiałabym się czegoś, a ty?

Zrobiła dwa drinki z dżinem i zaczęły rozmawiać o minionym dniu. W pewnej chwili Meriel, usadowiwszy się wygodnie w fotelu, popatrzyła wyczekująco na siostrę.

- No i...

- Odeszłam od Mila - oświadczyła Rebecca.

- No tak, mówiłaś. Chcesz o tym porozmawiać?

Pomyślała, że niekoniecznie. Nie miała jednak prawa

narzucać swojej obecności siostrze, nie tłumacząc się choćby słowem.

- Wiem, że nigdy go nie lubiłaś... - zaczęła.

- Nie ujęłabym tego w ten sposób. Milo jest inteligentny, dowcipny, ma dużo uroku i zawsze był dla mnie bardzo miły, chociaż wiem, że nie jestem typem kobiety, którą by się zainteresował.

Rebecca szybko wypila swój dżin.

- Co masz na myśli? - zapytała.

- Milo lubi ładne dziewczyny. Uważa, że na inne szkoda czasu. Zrób sobie jeszcze drinka.

-A ty?

- Poproszę. - Podała Rebecce szklanę.

Rebecca zmieszała dżin, wodę sodową, cukier i sok cytrynowy.

- Jesteś ładna, Meriel. Masz piękne oczy.

- Bzdury. Jestem pospolita aż do bólu. I bardzo dobrze. Już dawno się z tym pogodziłam. Zresztą kobiecie chyba łatwiej jest coś zrobić ze swoim życiem, jeśli nie rozprasza ją jej mężczyźni, małżeństwo i tak dalej.

Rebecca nie była pewna, czy życzy sobie kontynuować ten temat.

- Kłopot polega na tym, że Milo ma bzika na punkcie ładnych dziewczyn - powiedziała. Nieoczekiwanie dla niej samej zabrzmiało to gorzko.

Meriel nie ukrywała zaskoczenia.

- Ach! Nie wiedziałam. Tak mi przykro.

- Naprawdę? - Rebecca wbiła w nią podejrzliwy wzrok.

- Naprawdę. Zawsze myślałam, że Milo kocha cię do szaleństwa.

- Tak było. Zresztą on mówi, że nadal tak jest. Ale w innych kobietach też się zakochuje do szaleństwa. I mam już tego dość. - Po raz pierwszy tego dnia miała ochotę się rozplakać.

- To straszne. Boże, co za drań.

- Prawdę mówiąc, już mi na nim nie zależy. Po ostatnich wydarzeniach jeszcze przez jakiś czas myślałam, że go Kocham, ale nie. Było, minęło. Teraz nim gardzę.

-A nie myślałaś... Może powinniście porozmawiać...?

- Nie mogę nawet na niego patrzeć, a co dopiero rozmawiać. Ostatnie trzy miesiące były straszne. Czasami myślałam, że stracę zmysły.

-I co teraz zrobisz?



- Pewnie się rozwiodę. - Rebecca usiadła wygodnie na kanapie i łyknęła odrobinę dzinu. - Wcale mi nie zależy na uregulowaniu tej sytuacji, bo już nie zamierzam wychodzić za mąż, ale nie sędzę, żeby Milo długo pozostał wolny. - Parsknęła śmiechem. - To zabawne. Lubi być żonaty, chociaż kompletnie się nie nadaje do małżeństwa.

- Powiedziałaś mu, że odchodzisz?

Rebecca pokręciła głową.

- Zostawiłam list. Chciałam uniknąć sceny. Czy to słabość? Może. Byłam na to zbyt zmęczona.

Meriel położyła rękę na ramieniu siostry.

- Możesz tu zostać, jak długo zechcesz.

- Jesteś kochana, ale postanowiłam, że pojedę do Londynu. - Właściwie nie podjęła jeszcze takiej decyzji, ta myśl wpadła jej niespodziewanie do głowy, ale wydała się całkiem sensowna. - Kiedy byłam w college'u - ciągnęła - bardzo dobrze mi się mieszkało w stolicy. Zresztą miasto to zawsze jakaś odmiana. Jeszcze raz bardzo ci dziękuję, że przyjęłaś mnie pod swój dach. Musiałam trochę odetchnąć.

- Dasz sobie radę finansowo? Przepraszam, że tak obcesowo pytam, ale mam trochę oszczędności...

- Bardzo ci dziękuję, ale uważam, że to Milo powinien łożyć na moje utrzymanie. Jest mi to winien - powiedziała Rebecca, nie kryjąc rozgoryczenia. - Nie narzeka na brak pieniędzy. Przez ostatnie parę lat całkiem nieźle mu się powodziło.

- Rozwód...

- Wiem, wiem, mama dostanie szalu. - Rebecca dopiła dzin. - Będę musiała do niej pojechać i powiedzieć jej to sama.

- Ja bym zrobiła inaczej, lepiej do niej napisz. Wtedy do następnej wizyty zdąży się ze wszystkim oswoić.

- Rozwód bez wątpienia zajmie wysokie miejsce na liście naszych porażek. Pierwszy w rodzinie...

Zrobiły sobie po kolejnym drinku i zaczęły się szykować do snu. Kolejno poszły do łazienki. Meriel szybko zasnęła. Rebecca, leżąc na wąskim łóżku polowym o metr od siostry, słyszała, jak tamta cichutko pochrapuje. Sama, szukając wygodnej pozycji, uświadomiła sobie, że dzin, zamiast ją uspić, na co liczyła, odpędził senność.

Powróciły wszystkie myśli, których starała się uniknąć w ciągu dnia. Nie musiała się przejmować, że trafi w Westdown na Freddie Nicolson, gdyż Meriel już jakiś czas temu powiedziała jej, że Freddie rzuciła szkołę, by zaopiekować się siostrą. Poczucie krzywdy i żalu, spowodowane rozpadem małżeństwa, mieszało się u Rebekki z przerażeniem wywołanym tym, co zrobiła. Na pogrzebie Freddie powiedziała jej, że Tessa nie pamięta żadnych wydarzeń związanych z wypadkiem, bo uderzyła się w głowę. Nie przypominała sobie, po co jechała do Oksfordu. Tamtego dnia Rebecca pomyślała z ulgą, że w tej sytuacji nie grozi jej odium środowiska. Amnezja Tessy była dla niej wręcz korzystna. W miarę upływu tygodni Rebecca

- Bardzo ci dziękuję, ale uważam, że to Milo powinien łożyć na moje utrzymanie. Jest mi to winien - powiedziała Rebecca, nie kryjąc

rozgoryczenia. - Nie narzeka na brak pieniędzy. Przez ostatnie parę lat całkiem nieźle mu się powodziło.

- Rozwód...

- Wiem, wiem, mama dostanie szału. - Rebecca dopiła dzin. - Będę musiała do niej pojechać i powiedzieć jej to sama.

- Ja bym zrobiła inaczej, lepiej do niej napisz. Wtedy do następnej wizyty zdąży się ze wszystkim oswoić.

- Rozwód bez wątpienia zajmie wysokie miejsce na liście naszych porażek. Pierwszy w rodzinie...

Zrobiły sobie po kolejnym drinku i zaczęły się szykować do snu. Kolejno poszły do łazienki. Meriel szybko zasnęła. Rebecca, leżąc na wąskim łóżku polowym o metr od siostry, słyszała, jak tamta cichutko pochrapuje. Sama, szukając wygodnej pozycji, uświadomiła sobie, że dzin, zamiast ją uspić, na co liczyła, odpędził senność.

Powróciły wszystkie myśli, których starała się uniknąć w ciągu dnia. Nie musiała się przejmować, że trafi w Westdown na Freddie Nicolson, gdyż Meriel już jakiś czas temu powiedziała jej, że Freddie rzuciła szkołę, by zaopiekować się siostrą. Poczucie krzywdy i żalu, spowodowane rozpadem małżeństwa, mieszało się u Rebekki z przerażeniem wywołanym tym, co zrobiła. Na pogrzebie Freddie powiedziała jej, że Tessa nie pamięta żadnych wydarzeń związanych z wypadkiem, bo uderzyła się w głowę. Nie przypominała sobie, po co jechała do Oksfordu. Tamtego dnia Rebecca pomyślała z ulgą, że w tej sytuacji nie grozi jej odium środowiska. Amnezja Tessy była dla niej wręcz korzystna. W miarę upływu tygodni Rebecca

coraz bardziej zdawała sobie sprawę, że wpadła we własne sidła, z których nigdy już się nie uwolni.

Czy powinna była na pogrzebie wyjawić Frieddie prawdę? Może trzeba było jej powiedzieć: „Wiem, dlaczego pani siostra jechała do Oksfordu. To przeze mnie”. - Sama bowiem nieustannie o tym myślała: że jej telefon skłonił Tessę, by jechać do Oksfordu i porozmawiać z Milem. Nie miała odwagi wyznać tego Freddie Nicolson. Lecz gdyby nawet zdecydowała się to zrobić, czy postąpiłaby słusznie? Może tylko zrzuciłaby z siebie brzemię tajemnicy, co w żaden sposób nie umniejszyłoby rozpaczy sióstr Nicolson?

Nigdy nie powiedziała mężowi o swojej roli w zdarzeniach, które doprowadziły do wypadku Tessy. Tłumaczyła sobie, że nie wie na pewno, czy to rozmowa z nią skłoniła Tessę do wyjazdu z Londynu. Można było znaleźć kilkanaście innych powodów, dla których nieszczęsna dziewczyna pojawiła się tego deszczowego popołudnia na szosie do Oksfordu. Może zresztą nie jechała konkretnie do tego miasta. Było całkiem prawdopodobne, że śpieszyła do jakiegoś innego kochanka, mieszkającego w pobliżu. Zresztą czy Rebecca nie miała prawa czuć się usprawiedliwiona? Tessa Nicolson dopuściła się wyjątkowej podłości, idąc do łóżka z cudzym mężem. Rebecca przez tyle lat znosiła romanse Mila. Czyż nie powinna w końcu pomyśleć o sobie i zacząć się bronić? To nie jej wina, że na mokrej drodze samochód wpadł w poślizg.

Jednak z ponurą uporczywością powracały do jej świadomości myśli, prześladowające ją, odkąd usłyszała od Freddie Nicolson o wypadku. Obwiniała się o to, że chciała wyrządzić Tessie krzywdę. Że jej nienawidziła. Że ów telefon w tamto deszczowe popołudnie i wymyślona

historyjka o romansie Mila z inną kobietą były aktem zemsty i wielką niegodziwością.

Milo odmówił swego udziału w pogrzebie dziecka.

- Przecież to twój syn! - krzyczała Rebecca.

- Nie mogę. Po prostu nie mogę tam iść - powtarzał, kuląc się ze strachu przed jej gniewem. - Myśl sobie o mnie co chcesz, ale po prostu tego nie zniosę. - Przez następne tygodnie tkwił w Mili House, tłumacząc się chorobą. Odwołał wieczorne wykłady w Oksfordzie i wychodził z domu tylko po to, żeby pospacerować po wzgórzach.

W miarę upływu czasu jednak wróciła mu dawna energia. Gdy wydawca ze Stanów kupił prawa do trzech jego powieści, Milo otworzył szampana, by to uczcić. Zgodził się na cykl radiowych pogadank. Nigdy nie mówił o dziecku i ani słowem nie napomknął o Tessie.

Rebecca zapaliła latarkę, którą pożyczyła jej Meriel. Spojrzała na zegarek - dochodziła pierwsza. Dobrze już знаła takie noce. Szarpiące żołądek skurcze winy i żalu, osuwanie się w przerywany sen na krótko przed świtem i wyczerpanie następnego dnia. Londyn, pomyślała. Z przeszłością i tak już nic nie można zrobić, liczy się tylko przyszłość. Postanowiła zacząć od wynajęcia ładnego mieszkania. Tam zacznie nowe życie. Wysiłkiem woli próbowała przywołać sen i uspokoić puls.

Została u Meriel przez tydzień. Milo dzwonił parę razy, ale nie chciała z nim rozmawiać. Raz przyjechał doktor Hughes, żeby zbadać jedną z uczennic, która źle się poczuła. Rebecca taktownie wymyśliła sobie jakieś zajęcie, wymagające wyjścia z domu, kiedy doktor wpadł na herbatkę do

Meriel. To mieszkanie było za małe dla dwóch osób i Rebecca wyczuwała, że lada chwila zaczną się kłócić, a poza tym męczyło ją spanie na niewygodnym łóżku polowym.

Meriel poleciła jej w Londynie hotel, w którym sama się czasem zatrzymywała. Rebecca zadzwoniła tam i zarezerwowała sobie pokój. Robiła to po raz pierwszy, wcześniej zawsze takimi rzeczami zajmował się Milo.

Hotel nazywał się Wentworth i znajdował się przy Elgin Crescent w Notting Hill. Portier wniósł walizki do pokoju. Rebecca długo grzebała w portmonetce, szukając napiwku. Mężczyzna wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Nie była pewna - dała mu za dużo czy za mało.

W pokoju znajdowała się szafa, komoda, stolik nocny i umywalka. Rebecca spojrzała z przygnębieniem na pojedyncze łóżko. Przesunęła dłonią po półce nad kominkiem. Przynajmniej było czysto. Usiadła, zmęczona długą jazdą, i zsunęła buty. Ogarnął ją znajomy smutek, zwiastujący początek depresji. Musiała sobie ułożyć plan. Londyn oferował niezliczone rozrywki. Mogła pójść na zakupy, do jakiejś galerii, przespacerować się po parku... Jako studentka uwielbiała chodzić po londyńskich parkach.

Przyjrzała się swej twarzy w lustrze i po chwili wyszła z hotelu. W drodze do Kensington Gardens kupiła kanapkę i jabłko. Słoneczny, letni dzień przywrócił jej pewność, że dobrze zrobiła, przyjeżdżając do Londynu. Lunch zjadła na ławce w ogrodzie włoskim, a później udała się na Knightsbridge i przeszła dom towarowy Harveya Nicholasa, oglądając ubrania. Jak to cudownie, pomyślała, móc oglądać wystawy i nie przejmować się, że Milo się nudzi.

Po wyjściu ze sklepu, w dobrym nastroju z powodu udanej wyprawy, weszła do budki i wykręciła numer Toby'ego Meade'a.

- Taa? - zabrzmiało bardziej jak pomruk niż słowo.
- Toby, to ty?
- Nie. Harrison.
- Czy mogłabym porozmawiać z Tobym Meade'em?
- Nie.

Co za cham, pomyślała Rebecca. W tle słyszała jakieś głosy.

- Ale to mieszkanie Toby'ego? - zapytała.
- Toby wyszedł. Chyba do jakiejś galerii. - Harrison zaciągał z charakterystycznym północnym akcentem.
- Może mu pan coś przekazać?
- Pewnie tak. - Rozległ się szelest. - Jezus, gdzie jest ten cholerny ołówek... Dobra. Kto mówi?
- Rebecca Rycroft. - Zaczynała czuć złość. - Może pan, z łaski swojej, przekazać Toby'emu, że dzwoniła Rebecca? Proszę powiedzieć, że jestem w Londynie. - Uświadomiła sobie, że nie zna numeru do hotelu. - Mieszkam w hotelu Wentworth, na Elgin Crescent. Jakby mógł zadzwonić...
- Dobrze.
- To dziękuję.

- Przekażę Toby'emu. - Nieoczekiwanie dodał: - Nawiasem mówiąc, ma pani ładny głos.

- O! - powiedziała zaskoczona. Lecz on już odłożył słuchawkę.

Kelner przerwał jej samotny posiłek w hotelowej restauracji, informując, że jest do niej telefon. Poszła do recepcji, żeby odebrać. Dzwonił Toby Meade. Odbyli krótką rozmowę. Recepcjonistka, stojąca w odległości półtora metra dziewczyna o gniewnej minie, z gęstą grzywką i grubymi czarnymi brwiami, mocno ograniczała swobodę wypowiedzi.

- Jest u mnie trochę ludzi, takie małe spotkanko. Jesteś

wolna? Może wpadniesz na drinka? - rzucił na koniec Toby.

Rebecca przyjęła zaproszenie i rozłączyła się. Nie wróciła już do stolika i na wpół zjedzonej szarlotki. Pobiegła na górę do pokoju. Dziwnie się czuła, szykując się do wyjścia bez Mila. Dotąd całe życie towarzyskie prowadzili razem. Wprawdzie zdarzało się, że mąż bywał bez niej na londyńskich rautach, ale minęło piętnaście lat, odkąd ona pojawiła się na jakimś przyjęciu sama. Czy poczuje się strasznie bez niego? Toby jest moim serdecznym przyjacielem, na pewno wszystko będzie w porządku, zapewniała siebie w myślach. Przeczesła jeszcze raz włosy i powtórnie umalowała usta. Po kolejnym zerknięciu w lustro i stwierdzeniu, że naprawdę dobrze wygląda w zielonej jedwabnej bluzce, wyszła z pokoju.

Do kawalerki Toby'ego w Chelsea pojechała taksówką. Na górnych piętrach kamienicy paliły się światła. Nikt nie reagował na pukanie, więc ostrożnie nacisnęła na klamkę. Drzwi się otworzyły i weszła do środka. Toby mieszkał pod dziewiątką. Wstępując na schody, miała wrażenie, że



hałas - muzyka oraz zgiełk głosów i śmiechów - robi się potężniejszy z każdym jej krokiem. Musiała lawirować między ludźmi siedzącymi na stopniach.

Dziewiątka była wymalowana na płaskiej kości - chyba żuchwie, sądząc po zębach - zawieszona na haczyku przy drzwiach. Były otwarte i goście wylewali się na korytarz. Rozmowy i śmiechy to cichły, to narastały, zagłuszając dźwięk fortepianu.

Rebecca przeciskała się przez tłum, wypatrując Toby'ego. W pomieszczeniu z żarówkami owiniętymi bladofioletową bibułą liczni zgromadzeni goście siedzieli na kanapach i krzesłach. Pozostali skupili się wokół opartego na kozłach stołu zastawionego półmiskami z zakąskami. Od fortepianu dobiegała muzyka. Pianista miał długie, jasne, sięgające do kołnierzyka włosy i był w płaszczu.

Toby stał po drugiej stronie pokoju i rozmawiał z jakąś dziewczyną. Choć niska i drobna, była obdarzona obfitym biustem i miała bladą, piegowatą cerę. Długie, rude włosy opadały lokami na plecy. Na przyjęcie włożyła ludową bluzkę i długą, ciemną spódnicę, spod której widać było gołe stopy w sandałach.

- Cześć, Toby - powiedziała Rebecca. Przyjaciel się odwrócił.
- Becky, skarbie... - Objął ją serdecznie. - Jak leci?
- Wszystko dobrze, dziękuję.
- Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię widzę. - Obejrzał się przez ramię. - Co, za dużo bohemy, jak dla Mila?

- Nie jestem już z Milem. Przyjechałam do Londynu sama.

Rzucił jej zaciekawione spojrzenie, ale powiedział tylko:

- Bardzo dobrze, że przyjechałaś. Poznaj Artemis Taylor. - Dziewczyna w oryginalnej bluzce uśmiechnęła się. - Artemis, to moja przyjaciółka sprzed lat, Rebecca Rycroft. Byliśmy razem w college'u sztuk pięknych.

- A co pani robi? - zapytała dziewczyna.

Chwilę trwało, zanim Rebecca zrozumiała pytanie. Roześmiała się z zakłopotaniem.

- Teraz chyba nic. Od lat nie malowałam. A pani jest artystką?

- Rzeźbię. Teraz akurat w drewnie wyrzuconym przez fale. W ten weekend byliśmy w Aldborough. Znaleźliśmy na plaży wspaniałe kawałki.

- Wieźliśmy je z powrotem pociągiem - dodał Toby. - Reszta pasażerów chyba miała nas za wariatów.

Obejmował Artemis ręką za ramiona. Rebecca w nagłym przypiływie intuicji domyśliła się, że ci dwoje są kochankami. Ogarnęło ją rozczarowanie. Kiedyś, dawno temu, przed Milem, Toby myślał, że się w niej zakochał - ale oczywiście jego życie też nie stało w miejscu.

Zapytał, czego Rebecca się napije. Wybrała piwo, które podano jej w emaliowanym kubku. Przez pewien czas rozmawiali o pracy Toby'ego, potem jednak przybyła kolejna fala gości i Rebecca wysunęła się z kręgu uczestników przyjęcia. Kubek był pusty, poszła więc do stołu w poszukiwaniu następnego drinka. Na półmiskach leżały resztki czerwonej galaretki, pokruszone kawałki tortu i parę zeschniętych kanapek.

- To chyba pani Rebecca - odezwał się ktoś. - Odwróciła się i ujrzała pianistę.

- Harrison Grey - przedstawił się. - Rozmawialiśmy przez telefon.

Czyli to był ten niekulturalny facet, który odebrał i powiedział: „ma pani ładny głos”.

- Dobry wieczór, panie Grey - przywitała go chłodno.

- Dobry wieczór, panno Rycroft. - W jego oczach, jasnych i przejrzystych, błysnęła kpiąca iskierka. Twarz miał wymizerowaną, z zapadniętymi policzkami, do tego długi, kościsty nos i małe usta.

- Pani Rycroft - sprostowała.

- Och, przepraszam, pani Rycroft. - Mówił powoli, zabawnie przeciągając samogłoski. Miała wrażenie, że z niej kpi.

Co za nieznośny człowiek, pomyślała.

- Pan pozwoli...

- Chyba nie zostawi mnie tu pani samego?

- Przecież nie jest pan sam...

- Ale nie cierpię przyjęć. A pani, pani Rycroft? Wydaje mi się na przykład, że to przyjęcie nie jest w pani stylu.

- Dlaczego pan tak uważa? Nic pan o mnie nie wie.

- Nie wiem, ale mogę się domyślać. Ma pani taki piękny, wyrafinowany głos. Śpiewa pani?

- Niestety, tylko w kościele.
- Chodzi pani do kościoła?
- Czasami. Niezbyt często.

Syknął przez zęby.

- Jest pani zbyt piękna, żeby mogła być prawdziwa. Wolno mi spytać o wyznanie? Katoliczka, w ramach recepty na poczucie winy klasy średniej, czy anglikanka, bo podobają się pani słowa i muzyka?

- Anglikanka - oświadczyła ze złością. - A podobają mi się i słowa, i muzyka. To takie straszne?

- Myślę, że każda religia to opium dla mas, ale podyskutujemy o tym kiedy indziej. W swoim czasie lubiłem słuchać pieśni kościelnych. - Machnął przepaszająco dłonią. - Ostatnio źle sypiam. Zrobiłem się od tego nieprzyjemny.

Rebecca uśmiechnęła się współczująco.

- Po takiej nieprzespanej nocy wszystko człowieka drażni, prawda?
- A, czyli pani też zna ten ból.

Flirtował z nią w jakiś osobliwy, denerwujący sposób, niemniej jednak z pewnością był to flirt: kiedy Rebecca zdała sobie z tego sprawę, poprawił jej się humor.

- Co tam pani pije? - spytał.
- Piwo.

- Mam coś lepszego.

Wyjął z kieszeni płaszcza małą butelkę dżinu i nalał trochę do kubka.

- Obawiam się, że lodu i cytryny nie będzie. Za mało kulturalnie dla pani, pani Rycroft?

- Jakoś to zniosę, dziękuję. Skąd pan zna Toby'ego?

- Ooo, mamy gambit otwierający numer trzy na potrzeby przyjęcia koktajlowego - mruknął. - A co, przeskoczyliśmy pochodzenie i zawód?

- Z przyjemnością zadam te pytania, jeśli tak bardzo panu na tym zależy. Nie pochodzi pan z Londynu, prawda?

- Urodziłem się w Leeds, a pani?

- W Oxfordshire.

- A, czyli w jednym z naszych „domowych hrabstw”. Pracuję w firmie inżynierskiej. Z nazwy jestem kierownikiem, lecz tak naprawdę to przedstawicielem handlowym. Paskudna robota, ale na czynsz starcza. Poznałem Toby'ego w pubie. Grałem na pianinie, a on zamówił piosenkę. A pani, pani Rycroft? - Przybrał akcent z wyższych sfer. - Dawno poznała pani naszego gospodarza?

- W czasie studiów w akademii sztuk pięknych. Czyli osiemnaście lat temu.

Znała Toby'ego nieco dłużej, niż trwało jej małżeństwo z Milem. Teraz te wszystkie lata zdawały się kurczyć i znikać, jakby nie wydarzyło się w tym czasie nic znaczącego. Prysła mała bańka szczęścia. Rebecca poczuła, że zbiera się jej na płacz.

- A pani mąż... - kontynuował Harrison Grey. - Ten szczęściarz Rycroft. Jest tutaj?

-Nie.

- Nie powiem, żeby mi go brakowało.

- Mnie też go nie brakuje.

Uśmiechnął się, a potem stuknął z nią szklanką.

- No to na zdrowie.

- Skąd pan wiedział, że to ja? - zapytała. - Jak pan poznał, że to ze mną rozmawiał przez telefon?

- Nie było trudno. Niezbyt jest pani podobna do kobiet z cyganerii artystycznej.

Strój Artemis Taylor, jak zauważyła już wcześniej Rebecca, był o wiele bardziej typowy dla reszty gości płci żeńskiej niż jej własna tweedowa spódnica, jedwabna bluzka i buty na obcasie.

- Zresztą zapytałem Toby'ego, czy pani przyjdzie - dodał. - Wypatrywałem pani. Miałem wielkie nadzieje.

- W takim razie przepraszam, że pana rozczarowałam.

- „Rozczarowałam”?

- Nie podoba się panu mój wyrafinowany głos... i to, że chodzę do kościoła.

- Prawdę mówiąc, nie rozczarowałem się ani trochę. - Na jego twarzy pojawił się wilczy uśmiech. - Jest pani idealna.

W którymś momencie tego wieczoru zapalił się kawałek fioletowej bibułki i było wiele wrzasków, a także deptania nogami. Wszędzie śmierdziało dymem. Potem Rebecca wylądowała przy pianinie, śpiewając razem z Harrisonem

Greyem „I've Got You Under My Skin”. Później tańczyli. Harrison cały czas miał na sobie płaszcz. Był wysoki, patykowaty i nie tańczył zbyt dobrze, ale trzymał ją blisko siebie, a gdy melodia się skończyła, uniósł dłoń Rebekki i ucałował.

- Teraz muszę iść - oznajmił. - Cieszę się, że panią poznałem. Może kiedyś do pani zadzwonię.

Zapewne spodziewał się entuzjastycznych słów zachęty z jej strony, ale radość ze wspólnego tańca już mijała i Rebecca wykrztusiła tylko:

- Jeśli pan chce, to proszę...

Zaraz po wyjściu Harrisona goście zaczęli opuszczać mieszkanie. W końcu zostali we troje: Artemis, Toby i Rebecca. I wtedy zaczęła płakać. Wielkie, drżące łzy gromadziły się pod powiekami i wypływały na twarz jak z kipiącego rondla.

- Oj, Rebecco... - powiedział Toby. - Nie płacz, skarbie.

- Po chwili dodał: - Chodzi o Mila, prawda?

Rebecca nie mogła się uspokoić. Mgliście uświadamiała sobie, że panna Taylor taktownie wyszła, że Toby zrobił jej herbatę i podawał tabletki aspiryny. Udało jej się łyknąć odrobinę herbaty i zażyć tabletki.

- Opowiedz wujkowi Toby'emu - poprosił łagodnym tonem.

Tym razem nie zamierzała niczego ukrywać. Oczywiście nie wyznała mu wszystkiego. Przemilczała sprawę Tessy Nicolson, dziecka i rozmowy telefonicznej. Zapewne nigdy w życiu nikomu tego nie wyjawii. Powiedziała natomiast o niewierności Mila.

- Co za łajdak! - wykrzyknął Toby, a po chwili dodał:

- Lepiej ci będzie bez niego. - To ostatnie stwierdzenie z jakiegoś powodu wcale Rebekki nie pocieszyło.

Zgniotła chusteczkę Toby'ego w mokrą kulkę. Jej małżeństwo się skończyło i nie wiedziała, co ma teraz zrobić ze swoim życiem. Czowała, że jej życie bez Mila jest bez sensu. Nie miała pomysłu na zapewnienie sobie kolejnych dni. Nie znosiła samotności w tym paskudnym hotelu. Drażniło ją, że recepcjonistka dziwnie na nią patrzy, irytowało, że kelner dał jej najmniejszy stolik w najciemniejszym kącie sali, zorientowawszy się, że Rebecca jest kobietą samotną.

Próbowała zmusić się do opanowania. Przestała płakać.

- Chcesz wrócić do Mila? - spytał Toby.

- Nie. - Siedzieli obok siebie na sofie, wśród pozostałości po przyjęciu, szklanek, kieliszków i poczerńiałych strzępków bibułki. - Teraz widzę, że to się skończyło wiele lat temu - powiedziała ze smutkiem - ale byłam zbyt



głupia, żeby się zorientować w odpowiednim czasie. Po prostu nie wiem, co mam zrobić.

- Nie wydaje mi się, żebyś musiała cokolwiek robić, Becky - orzekł Toby. - Nie musisz przecież szukać pracy, prawda?

- Dzięki Bogu, nie. Milo zawsze był hojny. Przy wszystkich swoich przywarach nie skąpił mi pieniędzy. - Uprzymiła sobie, że mają wspólne konto bankowe i że taka sytuacja nie może trwać dłużej, jeśli zdecydują się na rozwód... jeszcze jedna przygnębiająca sprawa do załatwienia.

- To czemu nie chcesz po prostu żyć? Zaczekać, co ci przyniesie życie? Rozerwać się trochę? - Toby się uśmiechnął. - Ja tam nigdy niczego nie planuję. Zawsze tak się pałętałem od jednego dnia do drugiego. To wcale nie jest takie straszne.

- Ja chyba tak nie umiem.

- Spróbuj. Jak będziesz chciała wypłakać się komuś w rękaw, to zawsze masz mnie.

- Kochany Toby. Strasznie mi wstyd, że zrobiłam taką scenę.

Przytulił ją.

- No co ty! Od czego są przyjaciele?

- Spróbuję - powiedziała z determinacją Rebecca. - Zrobię, jak mówisz. Zobaczą, co przyniesie los. Kto wie, może nawet takie życie mi się spodoba.

Toby zrobił jej kolejną herbatę i zaproponował, że jeśli chce, może spać na kanapie. Po wypiciu ciepłego płynu skuliła się pod kocem i z wielką ulgą usnęła.

Następnego ranka głowa bolała ją od płaczu. W ponurej wspólnej łazience wytarła spod oczu rozmazany tusz, podziękowała Toby'emu i pojechała autobusem na Elgin Crescent. Wchodząc do hotelu we wczorajszym wieczorowym stroju, czuła się brudna i zaniedbana. Gdy odbierała klucz, recepcjonistka spojrzała na nią zaintrygowana. Rebecca wytrzymała spojrzenie i po chwili dziewczyna spuściła wzrok.

Ciasnawy pokój wydawał się dziś dziwnie przytulny. Wypiła parę szklanek wody, powiesiła na drzwiach kartkę „Nie przeszkadzać”, weszła do łóżka, naciągnęła na głowę puchową kołdrę i znów zasnęła.

Próbowała, naprawdę się starała. „Czemu nie chcesz po prostu żyć? Rozerwać się trochę”? Była w National Gallery, w Tate, na wieczornych recitalach w Wigmore Hall. Gdy tylko dopisywała pogoda, szła na spacer do któregoś z królewskich parków albo wzdłuż nabrzeża. Lubiała bulwary nad rzeką. Pewnego dnia wybrała się na zakupy i wróciła do hotelu z torbami pełnymi nowych strojów.

Dwa posiłki dziennie w hotelowej restauracji były dla Rebekki wymyślną torturą. Czy tylko sobie uroiła, że jest obiektem drwin kelnerów, a inni goście przyglądają jej się z niezdrowym zaciekawieniem? Nie była niczego pewna. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do przyjaciół, ale nie sięgnęła po słuchawkę. Znajomi przychodzili na przyjęcia do Mili House; Rebecca była dla nich po prostu częścią czarującej, budzącej zawiść pary. Pewnie nie pochwalaliby jej decyzji o odejściu od męża. Albo, co gorsza, litowaliby się nad nią.

Harrison Grey nie napisał ani nie zadzwonił. Jak się okazało, żywiła płonne nadzieje. Pewnie flirtował w ten sposób z każdą samotną kobietą,

jaką spotykał na swej drodze. „Ma pani piękny głos”... Podejrzewała, że to był jego - jak to nazwał? - gambit otwierający.

Przeniosła się do innego hotelu, na Ladbroke Grove. Nazywał się Cavendish i nie był tak pretensjonalny jak poprzedni. Ciasny pokoik - żeby przejść między walizkami a łóżkiem, trzeba było odwrócić się bokiem - bardzo jej odpowiadał, przede wszystkim z powodu absolutnej nijakości. W tym momencie życia pragnęła pozostać anonimowa, roztopić się w tle. Bar wypełniali komiwojażerowie i przedstawiciele handlowi różnych firm. Czasem, wieczorami, piła z nimi drinka. Nabrała wprawy w opowiadaniu o fikcyjnej rodzinie i wymyślaniu historyjek, tłumaczących jej samotny pobyt w stolicy. Potrafiła odsunąć wędrującą po kolanie rękę i taktownie odrzucić propozycję wypicia ostatniego drinka na górze, w pokoju.

Milo pisał do niej. Darła jego listy bez czytania. Któregoś dnia, wróciwszy do hotelu, zastała męża, czekającego przy recepcji. „Musimy porozmawiać”, powiedział, „to nie może dłużej tak trwać”. Zjedli więc okropny lunch u Lyonsa przy Marble Arch, odbyli jeszcze okropniejszy spacer po Hyde Parku, kłócąc się cichym, syczącym szeptem, żeby przechodnie nie mogli rozróżnić słów. „Nie mam pojęcia, dlaczego się na to zdecydowałaś”, mówił. „Co ci strzeliło do głowy, żeby zamieszkać w takim podłym hotelu, daleko od domu i przyjaciół. Wiem, że źle zrobiłem, wiem, że cierpiałaś z mojego powodu, mogę cię przeprosić jeszcze sto razy, jeśli to sprawi, że do mnie wrócisz. Postąpiłem podle, okazałem się potwornym głupcem. Obiecuję, że już nigdy nie spojrzę na żadną kobietę. Słyszysz? Nigdy”.

- Tylko że wiesz... - odparła. - Chodzi o to, że już cię nie Kocham. Nawet cię nie nienawidzę. W ogóle nic do ciebie nie czuję.

Po tych słowach twarz Mila jakby zapadła się do wewnątrz, w jednej chwili opuściła go energia. Szybko się rozstali; pojechał na dworzec.

Tego wieczoru Rebecca poszła do łóżka z przedstawicielem handlowym z Bostonu. Poznała go w hotelowym barze. Był od niej sporo młodszy, taki chudziutki chłopaczek. Oceniała go na dwadzieścia parę lat. Miał przystojną, miłą twarz, pięknie wykrojone wargi, łagodne, szaroniebieskie oczy i skórę tak bladą, że wydawała się zielonkawa. Rano, chyba zawstydzony, że znalazł się w łóżku z kobietą, nałożył płaszcz na gołe ciało, wciągnął pod pachę resztę rzeczy i poszedł się ubrać do łazienki na korytarzu. Nazywał się Len. Dał jej swój adres i poprosił, żeby Rebecca do niego napisała. Nigdy tego nie zrobiła.

Czuła, że spada, pogrąża się w głębinie, z trudem chwytając powietrze. Jeszcze chwila i może naprawdę utonąć.

Któregoś dnia nie wyszła nawet z pokoju. Zbudziła się wcześniej rano ze łzami w oczach. Nie miała sił się poruszyć, a cóż dopiero mówić o wyjściu do łazienki - słyszała na korytarzu człapanie innych gości. Kurczyła się na samą myśl o śniadaniu w hotelowej restauracji, gdzie mężczyźni unosili wzrok znad jajek na bekonie i się na nią gapili.

Następnego dnia rano rozpisała sobie w dzienniczku plan. Punkt pierwszy - śniadanie w pobliskiej kawiarni. Dzięki temu wyjdzie z hotelu i uniknie tortury podczas spożywania posiłku. Na obiad kupi sobie kanapkę i zje ją w parku, jeśli dopisze pogoda. Gdyby było zimno i deszczowo, pójdzie do Lyonsa. Umówi się do fryzjera i mani-kiurzystki. We wtorki

będzie chodzić do kina, a w piątki po południu - na koncerty. Kupi sobie szkicownik i zacznie znowu rysować, zamiast szwendać się bez celu. Zastanowi się nad radą Toby'ego, żeby zamiast płacić za hotel, wynająć sobie mieszkanie, choć całe to przedsięwzięcie nappełniało ją przerażeniem. Kurczowo uchwyciła się jednak tej myśli, gdyż perspektywa ponownego spędzenia w łóżku całego dnia także wzbudzała w niej lęk. Czuła, że musi podjąć decyzję, lecz nie wiedziała jaką.

Pewnego popołudnia, gdy wróciła do hotelu, czekał na nią list od Harrisona Greya. Harrison pytał, czy zjadłaby z nim kolację. Umówili się, że przyjdzie po nią do hotelu w piątek o ósmej.

- Dowiedziałem się od Toby'ego, że zmieniłaś hotel

- powiedział w drodze do metra. - Zastanawiałem się, czy o mnie nie zapomniałaś. Cholerna firma wysłała mnie na miesiąc do cholernego Birmingham. - Weszli na stację i kupili bilety. Na ruchomych schodach stanął za Rebeccą i szepnął jej do ucha: - Za każdym razem, kiedy jestem w Birmingham, mam wrażenie, że umarłem i trafiłem do piekła. Oni na pewno robią to specjalnie, żeby mnie ukarać.

- „Oni”? - zapytała. - Jacy „oni”? I czemu mieliby cię karać?

- „Oni” to dyrektorzy. Mają wątpliwości, czy oddałem całą duszę firmie Saxby and Clarke.

Uśmiechnęła się do niego.

- A oddałeś?

- Oczywiście, że nie.

Pociąg już stał na stacji. Podbiegli, by zdążyć. Nie było wolnych miejsc, więc stanęli przy drzwiach.

- Wolisz Londyn od Birmingham? - zapytała.
- Tak naprawdę to brzydzę się wszystkimi miastami.
- To gdzie chciałbyś mieszkać?

- Lubię sobie wyobrazać, że siedzę na słonecznej plaży... od czasu do czasu się kąpię albo idę spacerkiem do kawiarni coś zjeść. Mógłbym mieszkać na wsi. Zawsze przemawiała do mnie idea samowystarczalności. Wiejskie życie wydaje mi się prawdziwe i o wiele uczciwsze.

Hodowanie własnych warzyw w Mili House nie pomogło nam rozwinąć się duchowo, pomyślała Rebecca.

- W zeszłą niedzielę - powiedziała - zabrałam Toby'ego i Artemis nad morze, do Suffolk.

- „Zabrałaś”? Czy to znaczy, że masz samochód?
- Tak, Riley. Parkuję niedaleko hotelu, za rogiem.

Przesiedli się na stacji King's Cross, a potem wyszli

z metra na Piccadilly Circus. Zabłyśnęły światła i Rebecce poprawił się humor. Poczła przyływ energii. Miała wrażenie, że żyje w rytm szybkiego, wieczornego pulsu Londynu. Znaleźli stolik w restauracji przy wąskiej uliczce odchodzącej od Haymarket. Podano im pierwsze danie.

Dla niej krewetki w sosie Marie Rose, dla niego - smażone drobne śledzie.

- No dobrze. A pan Rycroft? Gdzie on jest? - zapytał niespodziewanie Harrison.

- Pewnie w Oksfordshire. W naszym domu - odpowiedziała spokojnie. Zapominam o Milu, buduję sobie nowe, ciekawe życie, pomyślała z dumą.

- A ty tutaj... w Londynie.

- Jak widać.

Machnął widelcem, na którym miał co najmniej sześć malutkich śledzików.

- A co takiego zrobił?

- Zdradzał mnie. - Wygięła wargi. - Był patologicznie niewierny. Milo zdradzałby nawet Gretę Garbo.

- Więc od niego odeszłaś. Dobrze zrobiłaś. Brakuje ci go?

- Ani trochę. - Stuknęli się kieliszkami. Spodziewała się dalszych pytań: o szczegóły zdrady

Mila, o jej plany na przyszłość. Harrison powiedział jednak:

- Żałuję, że zamówiłem te śledziki. Zawsze kusi mnie ich nazwa... brzmi tak smakowicie, ale same rybki mają w sobie coś obrzydliwego.

- Jak chcesz, możemy się zamienić.

- Możemy? Zechciałabyś?

- Czemu nie? - Wymienili się talerzami. - Zabawisz dłużej w Londynie czy musisz wracać do tego Birmingham?

- spytała.

-Jezu, mam nadzieję, że szybko tam nie wrócę.

- Uśmiechnął się, utkwivszy w niej blade oczy. - To byłoby straszne.

Lubił delikatnie drwić z jej sposobu mówienia - „wyrafinowany” - i pochodzenia - „klasa średnia do bólu”. Jego dziadek był górnikiem. Można się było domyślać, że Harrison miał trudne dzieciństwo i musiał się zmagać z przeciwnościami losu. Czasem Rebecca towarzyszyła mu do klubów i pubów, w których grał na pianinie. Wyznał, że chciał zostać muzykiem, ale miał pecha: przyplątało się nagłe zapalenie oskrzeli, gdy już-już miał dostać regularną audycję w radiu, a potem zawistny kolega pozbawił go kontraktu z zespołem swingowym.

Trochę było jej go żal. Sporo wiedziała o zawiedzionych nadziejach, przegapionych szansach. Harrison nie był wymagający i okazał się dobrym towarzyszem, jeśli nie liczyć jego skłonności do robienia sobie kpin z Rebekki. Podobały jej się jego leniwe, kocie ruchy, szczupłe dłonie, a także to, jak sznurował małe usta i mrużył jasne oczy w uśmiechu. Nigdy się nie denerwował, nie podnosił głosu. W weekendy jeździli na wycieczki jej samochodem, do Box Hill albo Whistable. Zauważyła, że choć rzekomo lubił wieś, nie chciało mu się chodzić - po krótkiej przechadzce zawsze lądowali w pubie.

Próbował uczyć ją śpiewu - oddechu, frazowania, formowania dźwięków. Przyznał, że Rebecca ma piękny, nieco schrypnięty głos, ale,



niestety, czasami trochę fałszuje. Pomyślała, że to bardzo dla niej typowe. Miała kilka wrodzonych, umiarkowanych talentów, które skutecznie zaprzepaściła. W pubie w Fitzrovii zaśpiewała „Brother Can You Spare a Dime”. Harrison prawą ręką wystukiwał melodię, by utrzymać Rebecę w tonacji. Po zakończonym występie słuchacze długo klaskali, co bardzo ją ucieszyło. Później tego wieczoru ona i Harrison pocałowali się po raz pierwszy.

Znów wyjechał, tym razem na dwa tygodnie. Podczas swej nieobecności nie pisał i nie dzwonił. Rebecca postanowiła, że nie będzie się tym przejmować. Musiała porzucić złe nawyki, pozbyć się nieznośnej zaborczości, która przyczyniła się do rozpadu jej małżeństwa.

W sierpniu do Londynu przyjechała na jeden dzień Meriel i zjadły razem kolację. Siostra przekazała jej najświeższe plotki. Opowiedziała o wyjeździe z przyjaciółką na biwak do Szkocji, o powrocie doktora Hughesa do Oksfordshire po dwóch tygodniach, spędzonych na południowym zachodzie. Na szczęście Deborah szybko się zorientowała, że jednak wcale nie chce mieszkać w Kornwalii. Potem Meriel wspomniała jeszcze, że mama dobrze się miewa. Rebecca, ogarnięta poczuciem winy, obiecała, że już niedługo się u niej pojawi. Pisywała do matki regularnie, ale od czasu rozstania z Milem nie dzwoniła do niej ani jej nie odwiedzała.

- Nic nie szkodzi, mamę zostaw mnie - powiedziała Meriel.
- Czuję się podle, zrzucając ten ciężar na twoje barki. Straszny ze mnie tchórz.
- Nie wyglądasz najlepiej - stwierdziła bez ogródek Meriel. - Jesteś okropnie chuda. Dobrze się czujesz?

- Doskonale - zapewniła ją Rebecca. Obiecała, że odwiedzi matkę i siostrę, po czym się pożegnały. Meriel pojechała metrem na dworzec Paddington, Rebecca ruszyła z powrotem do hotelu.

Harrison wrócił do Londynu. Poszli na variétés, a potem do łóżka, podochoceni butelką wina i wesołą muzyką. Harrison kochał się tak samo, jak całował: powoli, z wahaniem, jakby trochę bez przekonania. Jego namiętność jest jak wiosenny wietrzyk, pomyślała Rebecca, nie jak burza z piorunami u Mila. Z ulgą przekonała się, że przeżywa emocje, potrafi reagować, że nie jest kompletnie martwa w środku.

Zostali zaproszeni na kolację do znajomej Harrisona, pani Simone Campbell, mieszkającej w domu z czerwonej cegły w Stoke Newington. W domu panował potworny bałagan, wszędzie piętrzyły się sterty książek i ubrań, a dodatkowo pokoje zagracał nadmiar mebli. Simone Campbell była kobietą około pięćdziesiątki, o miłej, okrągłej twarzy i kręconych siwo-brązowych włosach. Niższa niż Rebecca, miała wydatny biust i biodra i parę fałdek powyżej talii. Tego dnia ubrała się w kwiecistą śliwkową sukienkę i bezkształtny czarny żakiet. Strój nie leżał na niej dobrze: tu coś się marszczyło, tam opinało.

Simone jest wdową, powiedział jej w czasie jazdy Harrison.

- Jej mąż zginął na wojnie - dodał. - W jakiejś bitwie. - Miała dwoje dzieci, syna i córkę.

Na kolację przyszły jeszcze dwie pary i dwie samotne kobiety.

- O, są lesbijki Simone - szepnął do niej Harrison, niespecjalnie sotto voce, zanim je przedstawiono.

Jedzenie było wyśmienite. Sycący gulasz z jagnięciny i tartę cytrynową podano w jadalni z widokiem na pięknie zarośnięty ogród na tyłach domu. Rozmowa przy stole szybko zeszła na politykę. Omawiano budzące niepokój tematy - bezkrwawe zajęcie Austrii przez nazistowskie Niemcy na początku roku; narastające napięcie z powodu niemieckich roszczeń wobec części terenów Czechosłowacji, Sudetenlandu. Rebecca była zorientowana w tych problemach. Wydarzenia w Europie często stawały się przedmiotem rozmów podczas kolacji w Mili

House. Bardzo współczuła Żydom ciężkiego losu - jakie to straszne, być pozbawionym domu, pracy i kraju! - ale miała wrażenie, że od reszty gości dzieli ją jakiś mur, ściana widoczna tylko dla niej. Pilnowała, żeby odezwać się od czasu do czasu, aby reszta nie uznała jej za dziwaczkę, i wypła parę kieliszków wina w nadziei, że to poprawi jej humor. Wyraźnie czuła się jednak nie na swoim miejscu. Miała wrażenie, że jakieś okrutne bóstwo dla zabawy wzięło ją w dwa palce i posadziło przy stole z nieznanymi w wybranym na chybił trafił domu.

Po kolacji Simone poprosiła Rebeccę o pomoc przy kawie. Kuchnia była jeszcze bardziej zabałaganiona niż reszta pomieszczeń. W zlewie piętrzyły się niepozmywane naczynia, na korkowej tablicy wisiały najprzeróżniejsze, nakładające się na siebie zdjęcia, notatki i zmięte, wydarte z magazynów przepisy.

Simone rozejrzała się z rozpaczą dookoła.

- Uwielbiam gotować, ale nie cierpię zmywania i sprzątania.
- Mogę w czymś pomóc?

- W żadnym wypadku. Nie zaprosiłam pani po to, żeby spędziła pani wieczór na zmywaniu.

- Chyba w ogóle mnie pani nie zapraszała, pani Campbell. Podejrzewam, że to sprawka Harrisona. Chętnie pomogę. Lubię się czuć potrzebna. - W tym sęk, pomyślała Rebecca, już nie jestem nikomu potrzebna; czy kogokolwiek by obeszło, gdybym rozwiała się jak siwy dym?

Odwróciła się i wbiła paznokcie w dłonie, chcąc powstrzymać łzy napływające do oczu. Zerknęła na korkową tablicę. Karteczki przypominały o sprawach w rodzaju: „zadzwoń do Dorothy - ciasteczka do klubu książki” albo „przesadzić rośliny”.

- Cieszę się, że pani przyszła - powiedziała Simone. - Jest pani ozdobą mojego przyjęcia, pani Rycroft. Imponują mi kobiety, którym udaje się dobrać buty do torebki.

Rebecca z trudem opanowała łzy.

- Ech tam, to drobiazg. Każdy to potrafi.

- O nie, nie ma pani racji. Trzeba się naprawdę postarać, żeby wyglądać tak elegancko i schludnie. Ja, kiedy idę do sklepu z ubraniami, kupuję pierwszą rzecz, która na mnie pasuje, tak mnie to męczy. Córka się ze mnie śmieje. - Simone napełniła czajnik i postawiła go na kuchence. - Mogę zapytać... pani jest wdową?

- W separacji.

- Na pewno jest pani ciężko. Ludzie uważają, że gorzej być wdową. Mimo wszystko jednak myślę, że gorsza udręka kryje się w świadomości, że

jeden z partnerów postanowił zakończyć małżeństwo albo po prostu miłość wygasła. - Simone uśmiechnęła się. - Proszę wybaczyć, że jestem taka wścibska. Lubi pani prace ogrodowe?

- Bardzo. - Rebecca poczuła ukłucie tęsknoty za ogrodem w Mili House. Pewnie już sypią się liście... niemal poczuła zapach dymu z ogniska.

- Mogę pokazać pani swój ogród?

- Z przyjemnością go obejrzę.

Wyszły na zewnątrz. Była połowa września, zapadał już zmierzch. Ogród Simone emanował aurą tajemniczości i spokoju, co osiągnięto dzięki starannemu rozplanowaniu drzew, trejaży i ścieżek. Porozmawiały o przycinaniu i sposobach na czarną plamistość.

- Chyba już pójdziemy do środka. Goście nie mogą się doczekać kawy - powiedziała w końcu pani Campbell.

W kuchni Rebecca ustawiła filiżanki i spodki na tacy.

- Poznała pani Harrisona niedawno, prawda? - spytała Simone.

- Parę miesięcy temu.

-Bardzo przyjemny człowiek, ale leniwy... zawsze myślę, że po prostu ma taką ospałą duszę. Na pewno sama to pani zauważyła. - Simone nalała wrzątku do dzbanka na kawę. Potem nabazgrała coś w notatniku, wydarła kartkę i wręczyła Rebecce. - Mój numer telefonu. Bardzo proszę mnie odwiedzić, jeśli znajdzie pani trochę czasu. Ogromnie lubię towarzystwo inteligentnych kobiet.

Pół godziny później Rebecca i Harrison pożegnali się z gospodynią i gośćmi. Rebecca była zmęczona. Za dużo wypła, a rozmowa z Simone Campbell przyprawiła ją o zdenerwowanie.

Jadąc boczną drogą do głównej szosy, nie zauważyła nieoświetlonego rowerzysty. Musiała mocno wcisnąć hamulec, żeby uniknąć wypadku. Rowerzysta zachwiał się tylko i pojechał dalej.

Patrzyła, jak trzęsą jej się ręce, ściskające mocno kierownicę. Omal kogoś nie zabiła, przemknęło jej przez myśl.

- Jestem strasznie zmęczona - powiedziała. - Nie mogę się skupić. Możesz poprowadzić?

-Nie umiem. - Harrison zrobił przerażoną minę. - Naprawdę. Nie prowadzę.

Rebecca wzięła głęboki oddech i ruszyła powoli. Aż do mieszkania Harrisona na Earl's Court jechali trzydziestką.

Najgorsze były wieczory. Na początku starała się je czymś wypełnić - zjeść kolację na mieście, odwiedzić Toby'ego i jego przyjaciół, poczytać książkę lub rozwiązać krzyżówkę w hotelowym salonie. Coraz częściej jednak po prostu zaszywała się w pokoju, zamawiała kanapkę i drinka, a potem jeszcze jednego na sen. Nie jestem stworzona do życia w pojedynkę, myślała często. Może powinna wrócić do Mila. Może każde małżeństwo, nawet nieudane, jest lepsze niż samotność.

Jedyną odskocznię stanowiły randki z Harrisonem. Szli gdzieś na kolację, a potem do jego mieszkania, gdzie kochał się z nią na swój powolny, leniwy sposób. Lubiła go i czuła się z nim bezpiecznie, gdyż był

pod każdym względem przeciwieństwem Mila. Nie miał jego energii, motywacji i ambicji... i dzięki Bogu, myślała.

Leżeli w łóżku, gdy Harrison wspomniał jej o wiejskim domku. Jego kolega, Gregory Armitage, ma taki domek w Derbyshire, powiedział. Daleko od świata, na wzgórzu, wokoło żywej duszy. Obrócił się na bok i popatrzył pytająco na Rebeccę. Greg chętnie udostępni mu ten domek. Mogliby posiedzieć tam parę tygodni. Czy pojechałaby z nim na wieś?

Oczywiście wyobraźni ujrzała śliczny mały domeczek na ukwieconej łące.

- O tak, bardzo chętnie - odpowiedziała.

Trzy dni później zabrała Harrisona spod domu. Załadował do bagażnika riley'a plecak, torbę z Harrodsa i podróży gramofon, po czym wyruszyli do Derbyshire.

Domek kolegi Harrisona znajdował się w Peak District, w połowie drogi między Sheffield i Manchesterem. Należało zjechać z szosy do Manchesteru w wąską, jednopasmową drogę, która szybko zwęziła się w trawiastą dróżkę obrośniętą głógiem, uginającym się pod ciężarem ciemnych, karmazynowych owoców. Z dróżki zrobiła się ścieżka i Harrison spochmurniał, gdy Rebecca powiedziała, że dalej nie może jechać. Na pewno gdzieś źle skręciła, upierał się. Rozłożyła mapę na kierownicy. Była pewna, że są tam, gdzie powinni być. Zostawią tu samochód i resztę drogi odbędą na piechotę.

Harrison, zrzędząc i utyskując, założył plecak i sięgnął po torbę od Harrodsa, Rebecca chwyciła walizkę i ruszyli ścieżką. Niebawem znaleźli się na łagodnie pochylonej łące. Rebecce poprawił się humor. Dzień był

piękny, po jednej stronie mieli dolinę ze skąpanymi w lawendowej mgiełce farmami i stodołami, po drugiej wznosiło się wzgórze. Słońce błyszczało na żdźbłach trawy.

Po półgodzinie, z kilkoma przystankami na odpoczynek dla Harrisona, dotarli na szczyt wzgórza. Był płaski, jakby ktoś odciął go nożem. Pomiędzy kępami ciemnozielonej, ostrej trawy wiły się ścieżki.

Rebecca wypatrzyła samotny domek pośrodku wrzosowiska.

- To na pewno tam - powiedziała.

Ruszyli przez wrzosowisko w tamtą stronę. Chociaż mały, dom był wzniesiony z solidnego kamienia, co przydawało mu majestatu. Rebecca postawiła walizkę na stopniu, czekając, aż przyczłapie Harrison, który miał klucz. Zadarła głowę ku wymyślnej tarczy herbowej wyrzeźbionej w granicie nad frontowymi drzwiami.

Harrison otworzył zamek i weszli do środka. Gdy z westchnieniem ulgi zsunął plecak na duży prostokątny stół, w powietrze wzbił się obłok kurzu.

Znajdowali się w kuchni. W ciemności majaczyły kształty mebli, pachniało stęchlizną.

- Ponuro tu trochę - zauważył Harrison.

Rebecca rozsunęła zasłony i przez chwilę szarpała się z zasuwką okna.

- Teraz lepiej, jak sądzisz?

Smuga blasku padła na kamienną podłogę. Wokół stołu stała grupka krzeseł, każde inne; przed czarnym żeliwnym kominkiem znajdował się fotel bujany, a pod ścianą naprzeciwko pianino. Obok okna był zlew, przy



nim kredens. Nie ma światła elektrycznego, spostrzegła Rebecca; szklane bańki lamp naftowych pokrywał kurz.

Harrison uniósł wieko pianina i zagrał parę akordów.

- Rozstrojone.
- Rozejrzymy się?

Poskarżył się, że ma obtarte stopy, ale nie przejęła się tym i poszła oglądać dom. W bawialni natychmiast rozsunęła zasłony i pootwierała okna. Meble były stare i zakurzone, a dywanik przed kominkiem brudny od węglowego pyłu. Kamienne stopnie zaprowadziły ją na najwyższe piętro domu. Rebecca wychyliła się przez okno. Wrzosowiska i wzgórza zdawały się migotać w słońcu, niebo było czyste jak kryształ. Wciągnęła w płuca chłodne, rześkie powietrze i po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuła, jak rozluźniają się jej splątane nerwy, napięte jak struna fortepianowa.

- Co mamy na obiad? - zawołała. Harrison zaproponował wcześniej, że weźmie prowiant.

- Masz jakieś plastry, Rebecco? Zrobiło mi się mnóstwo pęcherzy na nogach.

Zeszła do kuchni. Harrison siedział w bujanym fotelu. Zdjął buty i skarpetki. Otworzyła walizkę, wyjęła plastry, watę i środek dezynfekcyjny.

Skrzywił się, gdy smarowała nim bąble.

- Nie bądź dzieckiem - upomniała go. - A gdzie jedzenie?
- W torbie od Harrodsa. Pomyślałem, że zrobimy sobie małą ucztę.

W torbie ze sklepu były krakersy Bath Oliver, puszki karczochów, oliwek i sardynek, słoje brzoskwiń w syropie, tabliczka czekolady Cadbury's, dwie butelki wina i ćwiartka whisky. A gdzie herbata, cukier, mleko, chleb? pomyślała Rebecca, głośno jednak powiedziała:

- Poszukamy jakiegoś ładnego miejsca, żeby zjeść na zewnątrz. I trzeba porządnie posprzątać, zresztą grzechem byłoby nie skorzystać z tak pięknego słońca...

Dom otaczał ogród obrzeżony murkiem z kamieni ułożonych bez zaprawy. Rosły tam krzewy porzeczek i jabłoni o gałęziach powyginanych przez wiatr. W osłoniętym miejscu Rebecca zauważyła różę pnącą, obsypaną późnymi kwiatami.

Nie znalazła nigdzie obrusa, ale pamiętała, żeby zabrać serwetki do herbaty, rozłożyła je więc na trawie. Zjadłszy, Harrison położył się i zamknął oczy. Greg powiedział, że mogą zostać w domku przez trzy tygodnie. Wszystko wskazywało na to, że sam nie bywa tu zbyt często - może powinni zapytać, czy nie wynająłby go na rok? Doprowadziliby dom do porządku, zaczęli hodować warzywa, kupiliby świnkę.

Potem Harrison zasnął, Rebecca zaś weszła do środka, by posprzątać w kuchni i sporządzić listę zakupów. Cieszyła ją ta własna kuchnia. Miała już serdecznie dość hotelu. To właśnie były jej problemy: hotel i Londyn. Zanotowała na karteczce: „mleko, herbata, węgiel”.

I latarkę trzeba kupić, żeby w nocy nie człapać na dół ze świeczką, idąc do ubikacji na zewnątrz, pomyślała.

Usiadła w promieniach słońca, padających z okna, i pisała, od czasu do czasu przygryzając ołówek.

Pogoda utrzymała się przez cztery dni. Piątego dnia Rebecca obudziła się z bolącym gardłem. Zrobiła herbatę i połknęła parę tabletek aspiryny. Po śniadaniu zeszli przez wrzosowisko do auta i podjechali do najbliższej wioski. Wręczyła listę sprzedawcy w miejscowym sklepiku.

- Węgiel - jęknął Harrison, chyba nie spodziewa się, że będzie taszczył na górę cholerny worek węgla na plecach?

- A jeść chcesz? - zapytała. Mruknął coś o dostawie do domu, lecz Rebecca fuknęła tylko: - Nie bądź głupi, Harrison.

Na lunch wpadli do pubu, a potem zajechali jeszcze na farmę po mleko, jajka i kurczaka na obiad. Kłębiaste białe chmury przysłaniały słońce, tworzące blade cienie na kamiennym dziedzińcu. Pierwsze krople deszczu spadły, gdy nieśli zapasy przez wrzosowisko do domu. Rebecca dźwigała plecak, Harrison włókł się z tyłu z workiem węgla. Gardło bolało ją jeszcze bardziej, a postękiwania jej towarzysza mieszały się ze szmerem deszczu.

Rozpaliła ogień pod kuchnią. Harrison poszedł na górę odpocząć. Rebecca na nowo odkryła radość z rozpalania ognia: zgniatania gazety, starannego układania chrustu i węgla. Dobrze pamiętała uczucie triumfu w chwili, gdy zajmują się pierwsze drewniane drzazgi. Sprawiała kurczaka, obrała ziemniaki, oskrobała marchewkę, a potem wzięła kolejne tabletki aspiryny i usiadła w bujaku. Później zjedli pieczonego kurczaka, słuchając bębnienia deszczu o szyby i trzeszczenia ognia. Następnie Harrison grał na pianinie, a ona śpiewała - nie za długo, bo gardło dawało o sobie znać.

W nocy budziła się parę razy. Czuła ból przy przełykaniu, więc bardzo ostrożnie popijała wodę ze szklanki, słuchając deszczu. Rano obudzili się w szarobrazowym świetle. Ulewa przygasiła zieleń i złoto wrzosowiska, a niebo osiadło nad wzgórzami jak żeliwna pokrywa.

Lało przez cały dzień. Przed domem i na drózkach na wrzosowisku utworzyły się kałuże. Grali w remika, wista i jedli kurczaka na zimno. Rebecca czytała „Przeminęło z wiatrem”, siedząc w bujanym fotelu, bo gdy tylko się kładła, chwytął ją kaszel.

Następnego dnia skończył się węgiel, a Harrison na śniadanie dojadł resztki kurczaka.

- Będziesz musiał pojechać do sklepu - oświadczyła.

Wyjrzał przez okno.

- Leje.

- Naprawdę? Nie zauważyłam. - Ten sarkazm sporo ją kosztował; mówienie bolało.

- Jezu. No zobacz tylko.

- Źle się czuję. Chyba się z powrotem położę. Jakby ci się udało kupić trochę węgla, chleb i mleko, byłoby wspaniale.

Odwrócił się i wytrzeszczył na nią oczy.

- Przecież wiesz, że sam sobie nie poradzę.

- Harrison - jęknęła. - Jestem chora.

- To tylko przeziębienie. Musisz ze mną pojechać. Kto będzie prowadzić samochód?

- Naprawdę w ogóle nie umiesz prowadzić?

- Nie. Już ci to mówiłem. Próbowałem kiedyś, ale okazało się zbyt skomplikowane.

- Gdybym ci wytłumaczyła...

- Nie bądź niepoważna.

- Ja niepoważna? - Jej głos zabrzmiał jak skrzeczenie żaby. - Jak ty dożyłeś do trzydziestu dziewięciu lat, nie umiejąc prowadzić auta? Kto tu jest niepoważny?!

Kaszląc, ze złością zaczęła zapinać płaszcz przeciwdeszczowy i naciągać kalosze. Chwyliła torebkę, wcisnęła Harrisonowi plecak do ręki, włożyła kaptur i wyszła. Deszcz zmienił wrzosowisko i kępy trawy w bagno. Za plecami słyszała, jak Harrison, który zapomniał kaloszy, mamrocze przekleństwa, gdy woda nalewa mu się do butów.

Siedziała w aucie, kiedy kupował węgiel, naftę do lampy, kiełbaski i aspirynę. Cała była obolała - może to grypa? Chwilowa przerwa w deszczu podczas jazdy przez wzgórze doprowadziła do zawieszenia broni. Kiedy wrócili do domku, Rebecca uświadomiła sobie, że zapomnieli kupić gazetę. W całym domu nie było chyba ani kawałka papieru, więc Harrison wydarł parę pierwszych rozdziałów z „Przeminęło z wiatrem”, by użyć ich na podpałkę. Palimy książki, pomyślała Rebecca - co będzie dalej?

Następnego ranka obudziła się z kaszlem. Poduszka była mokra. Unosząc wzrok, zobaczyła tworzący się na suficie nad nią wodny stalaktyt. Duża kropla spadła na łóżko.

Zbudziła Harrisona.

- Dach przecieka. Musisz coś zrobić.
- Ale co?
- Trzeba naprawić dach. Pewnie jakaś dachówka się obluzowała.

Zamrugnął oczami.

- Jezus, Rebecca...
- Pod wygodką stoją jakieś drabiny. Musisz je przynieść i na to zerknąć.
- Mam wyjść na zewnątrz...
- A potem spojrzeć przez klapę na dach - powiedziała, nie kryjąc wściekłości. - Przez cholerną klapę, Harrison.

Zeszła na dół po szmatę i wiadro. Czowała się dziwnie, tak jakby ktoś wypchał jej głowę sianem. I jeszcze ten ból w klatce piersiowej. Kiedy wróciła do sypialni, Harrison ustawiał drabinę pod klapą.

- Na pewno zakręci mi się w głowie - mruknął pod nosem.
- Nie bądź taki delikatny.
- Mam lęk wysokości.

- Nie może nam się łać na głowę, jak śpimy. Umrzemy na zapalenie płuc.

- To chyba powinniśmy wrócić do Londynu.

- Do Londynu? - Wytrzeszczyła oczy.

- Powiem Gregowi, że pogoda się zepsuła.

- Nie chcę wracać do Londynu. Podoba mi się tutaj.

- Warunki są straszne - mruknął.

- A czego się spodziewałeś? - spytała z wyrzutem. - Wszelkich wygod? Po prostu napraw dach.

- Sama napraw - odparł i zszedł na dół.

Rebecca weszła na drabinę, zwolniła zasuwkę i uniosła klapę barkiem. Buchnął odór kurzu. Dach był łagodnie spadzisty; od razu zobaczyła, że w rogu pękła jedna z kamiennych dachówek. Wspiąwszy się na palce, wcisnęła pęknięte fragmenty z powrotem na miejsce. Ostrożnie zamknęła klapę i zeszła po drabinie. Z wysiłkiem przesunęła łóżko, by nie stało pod nieszczelnym miejscem. Dygotała na całym ciele. Długo leżała w łóżku, kaszląc i próbując się rozgrzać.

Gdy zeszła na parter, Harrison stał przy kuchni i popijał herbatę z kubka. Nalał także Rebecce.

- Przepraszam - powiedział. - Po prostu mam lęk wysokości.

- Nieważne. Już wszystko naprawiłam. - Usiadła w fotelu bujanym i otoczyła kubek dłońmi.

- Powinniśmy wracać do Londynu. Nie myślałem, że tak tu będzie.

- Nigdzie nie wracamy - oświadczyła, dobitnie akcentując słowa. - Harrison, obiecałeś mi trzy tygodnie. Przecież nie będzie łało w nieskończoność.

Opiekł chleb i ugotował jajka. Rebecca prawie nie tknęła swojej porcji, więc zjadł wszystko.

- Kończą nam się zapasy - powiedział po śniadaniu.

Czuła potworne zmęczenie.

- Tym razem musisz sam pojechać - powiedziała. - Nie dam rady prowadzić.

Usiadła przy kominku. Harrison opłukał naczynia, a potem włożył płaszcz i kapelusz, sięgnął po plecak i wyszedł, kierując się ku wrzosowisku. Patrzyła, jak jego sylwetka malała, w miarę gdy oddalał się od domu.

Wzięła parę tabletek aspiryny i wróciła do sypialni. Skuliła się w kłębek na suchej, tej zajmowanej przez Harrisona, stronie łóżka i zapadła w sen. Obudziła się rozdygotana i kaszląca. Zerknęła na zegarek. Było po trzeciej. Przespała pięć godzin.

Na cienki sweter włożyła drugi, rozpinany, i zeszła na dół. Harrisona nie było. Nigdzie też nie widziała jego płaszcza ani plecaka. Może Harrison zaszedł do pubu na lunch? Minęła kolejna godzina, potem dwie - czuła, a właściwie już wiedziała, że zostawił ją tutaj i pojechał sam do Londynu.



Pomyślała, że lepiej jej będzie bez niego. Po prostu tu zostanie. Po co miałyby wracać do Londynu, który nic lepszego jej nie oferował? Kolega Harrisona najwyraźniej niezmiernie rzadko korzystał z tego domku. Może trzeba by się dowiedzieć, czy dałoby się tu zostać na zimę?

Jej mąż wszedłby na drabinę i próbował naprawić dach. Harrison był mięczakiem bez kręgosłupa. Rebecca lubiła go przede wszystkim za to, że różnił się od Mila. Wydawał się też wrażliwy, bo nie wypytywał jej o przeszłość; zrozumiała już jednak, że po prostu nie był tym zainteresowany. Za wszelką cenę starał się unikać komplikacji i konfrontacji. Kłótnia z Harrisonem przypominała spór z mokrą szmatą. Rebecca myślała, że po Milu właśnie kogoś takiego jej trzeba. Okazało się, że bardzo się myliła.

Przyrzędziła sobie zaimprovizowaną kolację z resztek jedzenia, ale zaraz potem doszła do wniosku, że nie jest głodna. Przykryła kanapki talerzem i postawiła na parapecie, w chłodzie. Była zadowolona, że nie musi z nikim rozmawiać, gdy tak źle się czuje.

Wieczorem położyła się spać po trzech tabletkach aspiryny i resztkę whisky. Wcześniej rano zbudził ją kaszel. Teraz już nie czuła się dobrze sama. Była przekonana, że jest zepsuta do szpiku kości i niedobra dla ludzi. Harrison wiedział, co robi, porzucając ją tutaj. Cofnęła się myślą do ostatnich miesięcy. Przypomniała sobie tamtą rozmowę telefoniczną po wykryciu romansu Mila z Tessą Nicolson; ból, poczucie krzywdy, wściekłość i konsekwencje tej wściekłości. „Niestety, to prawda. Angelo wypadł z samochodu. Podobno zginął na miejscu”. Jej przerażenie było teraz równie obłądne i paraliżujące jak siedem miesięcy temu, w dniu, w którym

Freddie Nicolson zadzwoniła do Mili House. Rebecca czuła przygniatające ją ciężkie brzemie odpowiedzialności, aż trudno jej było oddychać.

Kolejne dwa dni przeleżała w łóżku. Nie widziała sensu wstawania. Nie było z kim porozmawiać, nie miała żadnego zajęcia. Teraz dopiero poczuła się samotna, zapagnęła czyjegokolwiek towarzystwa. Żałowała, że wyjeżdżając od Mili, nie zabrała psa - Julia byłaby jej podporą. Wysuszyła na piecu zamoczoną poduszkę, podparła się dwiema innymi oraz złożonym zakietem, starając się powstrzymać kaszel. Robiąc sobie w kuchni herbatę, zobaczyła w oddali dwoje ludzi, idących powoli przez wrzosowisko. Pewnie turyści, pomyślała, widząc duże i zapewne ciężkie plecaki. Deszcz tworzył barierę izolującą ją od wędrowców. Od ponad dwóch dni nie zamieniła z nikim słowa. Miała wrażenie, że głos jej zardzewiał.

W nocy Rebecce śniło się, że dziecko Tessy leży na dachu i płacze, a ona usiłuje je zdjąć. Stała na palcach na szczycie drabiny i wyciągała ramiona aż do bólu. Lecz cały czas nie mogła go dosięgnąć.

Obudziwszy się, gorzko zaszlochała. W jej uszach wciąż brzmiał płacz niemowlęcia. Podświadomie czuła, że dopadło ją załamanie nerwowe, więc choć nieustannie płakała i kaszłała, instynkt samozachowawczy zmusił ją do wstania z łóżka i włożenia cieplejszych rzeczy. Nogi miała słabe i chwiejne, a idąc na dół, musiała podpierać się rozpostartą dłonią o ścianę. W kuchni okazało się, że nie ma już wody, musiała więc wyjść na zewnątrz do ręcznej pompy i napełnić emaliowany dzbanek. Deszcz przestał padać, słońce było tak ostre, że aż zmrużyła powieki. Wróciwszy do domu, położyła ostatnie kawałki węgla na żarzącym się palenisku, wlała trochę wody do czajnika i

postawiła na blasze. Trzeba by pojechać do sklepu, pomyślała, i kupić butelkę syropu na kaszel.

Na zewnątrz było cieplej niż w domu. Rebecca wyciągnęła krzesło, żeby posiedzieć przed domem. Torfowisko mieniło się jak tafta. Kamienie, strumyczki i bajorka odbijały promienie słońca. Wszystko wokół sprawiało wrażenie świeżo umytego, czystego, wspaniale odnowionego. Pomyślała o biednym dziecku, które nigdy nie zobaczy tego piękna i rozplakała się. Co za potworna strata... Nigdy sobie nie wybaczy, że miała w tym wszystkim swój udział.

Po chwili uniosła wzrok. Otarłszy oczy, dostrzegła jakąś postać na wrzosowisku. Wędrowiec zmierzał wąską ścieżką ku domowi. Przez chwilę myślała, że to Harrison wrócił, by zobaczyć, jak ona się czuje, ale zauważyła, że wędrowiec jest od niego niższy i starszy.

Przystanął przy murku z kamieni i zdjął kaszkiet.

- Dzień dobry. Piękna pogoda, prawda? - Włosy miał siwe, twarz ogorzałą i pobrużdżoną. Niósł plecak.

- Rzeczywiście piękna - przytaknęła.

- Może poratowałaby mnie pani odrobiną wody?

- Oczywiście. - Rebecca weszła do kuchni i napełniła kubek. Podała go przybyszowi, a ten napił się łapczywie. - Długo pan szedł?

- Wiele dni - odrzekł z uśmiechem.

- W tym deszczu?

Kiwnął głową.

- Deszcz mi nie przeszkadza. - Miał niebieskie oczy; dookoła nich widać było siateczkę kurzych łapek. - Człowiek zmoknie, a potem wyschnie.

Miał zaraźliwy śmiech. Dopiero po chwili Rebecca zdała sobie sprawę, że śmieje się także.

- Chyba tak.

- Kiedy panią zobaczyłem - powiedział - wydawało mi się, że pani płacze.

- Takie tam drobne zmartwienie... - Odwróciła wzrok zażenowana, lecz po chwili, jakby wbrew sobie, wyznała: - Nie, to całkiem poważna sprawa. Ale nic się już nie poradzi.

Zobaczyła, że nieznajomy ma pusty kubek.

- Dać panu jeszcze wody? - zapytała. - A może filiżankę herbaty? Właśnie miałam zaparzyć.

- Jeśli to nie kłopot, z rozkoszą napiłbym się herbaty.

Otworzyła furtkę i wpuściła go do ogrodu, a potem

zrobiła herbatę i naląła do dwóch filiżanek, które postawiła na spodkach. Podając przybyszowi jedną z nich, zauważyła, że jego kurtka ma wystrzępione mankiety i jest wyświecona na łokciach. Mówił z tutejszym akcentem, pewnie pracował kiedyś w fabryce w Manchesterze albo w Sheffield. Przypuszczała, że mógł zostać zwolniony podczas kryzysu i teraz spędzał czas na wędrówkach.

Wystawiła dla niego krzesło. Usiadł.

- Ooo, jak dobrze - westchnął. Położył kostur i kaszkiet na trawie, rozluźnił sznurowadła.

Rebecca popijała herbatę małymi łydkami.

- A dokąd pan zmierza?

- Najprawdopodobniej do Bakewell. Ale może, jak dam radę, dojdę aż do Dovedale.

- To nie ma pan planów?

- Ostatnio idę tam, gdzie mnie nogi zaniosą. Plany nie zawsze udaje się zrealizować, nie sądzi pani?

- Mnie nic się nie udaje - powiedziała gorzko.

- A czemuż to, kochana?

- Nie wiem. Pewnie brak szczęścia.

- Moja matka ciągle powtarzała, że na szczęście trzeba sobie zapracować.

- W takim razie chyba zapracowałam sobie na brak szczęścia. - Niepodziewanie dla siebie samej zapytała:

- Jak pan myśli, czy jeśli na skutek naszych działań stanie się coś strasznego, to jest nasza wina, nawet gdy nie mieliśmy złych zamiarów?

Zastanowił się.

- Trudno powiedzieć.

- Pytam, bo czuję się winna.

- A jakie zamiary pani miała?

- Na pewno nie były złe. - Uczciwość kazała jej dodać: - Ale przyznaję, chciałam komuś zaszkodzić.

- I znów z jej oczu popłynęły łzy; twarz nieznanego i krajobraz rozmazały się nagle. - Szkoda, że nie mogę zmienić tego, co było - dodała cichym tonem.

- Chciałabym wytrzeć przeszłość do czysta i narysować na niej coś innego. Szkoda, że nie mam pojęcia, dokąd iść, co robić. - Zaśmiała się zakłopotana. - Przepraszam, nie mam pojęcia, czemu panu to opowiadam. Proszę mi wybaczyć.

- Może po prostu potrzebuje pani rozmowy. - Uśmiech miał niezwykle miły i łagodny.

- Może. - W ramach usprawiedliwienia Rebecca dodała: - Wie pan, nie za dobrze się ostatnio czułam.

- Nie wygląda pani na okaz zdrowia. A ten dom stoi na odludziu.

- Nie jest mój, tylko wypożyczony.

- Lubię być sam na wzgórzach, ale zawsze dobrze jest wrócić do rodziny i przyjaciół. Jeśli za dużo czasu spędzamy w samotności, człowiek zaczyna sobie różne rzeczy wyobrażać.

Kto to powiedział, on czy ona? Nie była pewna. Jego głos zdawał się odbijać echem w jej głowie. Na wrzosowiskach migotały światełka, odrealnione i jaskrawe.

Siedzieli przez chwilę, popijając herbatę.

- Dobrą herbatę pani zrobiła - powiedział, odstawivszy pustą filiżankę.  
- Dziękuję. Lepiej już sobie pójdę. Trzeba korzystać ze świeżego powietrza, póki jest ładna pogoda, prawda?

- A może przyda się panu coś do jedzenia? Dzisiaj wracam i tylko by się zmarnowało.

- Dziękuję, chętnie skorzystam. To bardzo miłe z pani strony.

Gdy zbierała kubki i talerzyki, odezwał się znowu:

- Wspomniała pani, że nie wie dokąd iść. Ja pani powiem. Najpierw do lekarza. Bardzo nieładnie pani kaszle. - Wstał. - A potem, może trzeba pomyśleć o wyjściu na zewnątrz.

Na zewnątrz? Przecież byli na zewnątrz. O czym on u licha mówił? Ale z tym lekarzem na pewno miał rację.

- Tak. Dziękuję - odrzekła uprzejmie. - Zaraz spakuję panu trochę herbatników i co tam jeszcze znajdę.

Weszła do kuchni, zawinęła mu w pergamin krakersy, ser i pozostałe resztki jedzenia. Zastanawiała się nad tym, co powiedział. „Zawsze dobrze wrócić do rodziny i przyjaciół”. Nie miała już jednak zbyt wielu przyjaciół, nie potrafiła się porozumieć z matką, a u Meriel nie było dla niej miejsca. Na dodatek własny mąż złamał jej serce. O mały włos znów by się rozplakała.

Wyszła z domu. Oślepiło ją słońce, musiała zamknąć oczy. Gdy je otworzyła, zobaczyła, że wędrowiec już sobie poszedł. Krzesło było puste, zniknął kostur i plecak.

Zdumiona Rebecca podbiegła do furtki i rozejrzała się dookoła. Ani śladu przybysza. Obeszła cały murek, okalający dom, wypatrując swego niedawnego gościa. Jak okiem sięgnąć, wszędzie dookoła rozciągało się płaskie wrzosowisko. Nie było na nim nikogo.

Może za długo pakowała jedzenie i mężczyzna znudził się czekaniem? Wróciła na ganek. I dopiero wtedy, spojrzawszy w stronę furtki, uświadomiła sobie, że w błocie pomiędzy furtką a domem nie widać jego śladów. Były tam jedynie jej odciski butów.

Weszła do kuchni i usiadła przy stole, próbując zrozumieć to niezwykle wydarzenie. Wędrowiec zatrzymał się przy jej domu, chwilę pogawędził, a potem rozpląnął się w powietrzu, nie zostawiając choćby śladu buta. Przywidział jej się ten człowiek? Czy była aż tak chora, że miała halucynacje?

Niemniej jednak to, co powiedział, zapadło jej w pamięć, a ponieważ nie przychodziło jej do głowy nic lepszego, postanowiła pójść za jego radą. Zaczęła się pakować. Składała ubrania i pakowała je do walizki. Najpierw trzeba pójść do lekarza, a potem... co ten dziwny przybysz jej radził zrobić? Wyjść na zewnątrz. To jakieś bzdury. Zapewne tylko jej się przyśnił.

Wspomniała tamten wieczór u Simone Campbell. Pani Campbell zaproponowała, żeby Rebecca kiedyś ją odwiedziła. „Bardzo lubię towarzystwo inteligentnych kobiet”. Karteczkę z jej numerem telefonu włożyła do torebki... jest tam jeszcze? Była, zgnieciona w rogu.

Uciekała od dawna, i oto osiągnęła punkt, w którym musiała się zatrzymać. Czuła się zbyt chora, by podołać długiemu spacerowi do



samochodu i o wiele dłuższej jeździe do Londynu, ale wiedziała, że musi spróbować.

Przeżyła już gorsze rzeczy. Przypomniała sobie pozbawione miłości dzieciństwo oraz małżeństwo z mężczyzną, który nigdy w równym stopniu nie odwzajemniał jej uczucia. Postanowiła, że zatrzyma się przy budce we wsi, zadzwoni do Simone i zapyta, czy pani Campbell nie przyjęłaby jej na dzień czy dwa. Jeśli odmówi, trzeba będzie znaleźć inne rozwiązanie... Jednak przypomniawszy sobie Simone, spacer po ogrodzie i błyskawicznie nawiązane tam porozumienie, doszła do wniosku, że znajdzie u niej przynajmniej tymczasowe schronienie.

Wychodząc z domu i wyruszając w długą podróż, pomyślała jeszcze raz: „wyjść na zewnątrz”? O co chodziło temu tajemniczemu wędrowcowi? Co za dziwna rada!

Niemniej jednak, gdy wlokła się krok za krokiem, przystając od czasu do czasu na odpoczynek, a po chwili ruszała dalej ku nieznanemu celowi, otoczona miodowym aromatem wrzosu, przyszło jej do głowy, że właśnie jest na zewnątrz.

## **Rozdział 7**

Tessa powoli dochodziła do zdrowia. Od początku obwiniała się o śmierć Angela. Gdyby była lepszą matką, gdyby była lepszym kierowcą... gdyby nie była tak bezmyślna i niedbała. Po wielogodzinnych napadach płaczu popadała w milczące odrętwienie, które przerażało Freddie bardziej od łez. W pierwszych miesiącach po wypadku Tessa często zwijała się w kłębek na łóżku, zamykała oczy i nie odzywała się do nikogo. Niegdyś tak

towarzyska i otwarta, teraz nie lubiła wychodzić z mieszkania. Jej nastroje zmieniały się gwałtownie z godziny na godzinę, z dnia na dzień.

Zawsze szczupła, teraz stała się wręcz niepokojąco chuda. Ścięła długie, jasne włosy i czesała się teraz na pazia, pod grzywką chcąc ukryć postrzępioną bliznę na czole. Choć fizycznie czuła się coraz lepiej, w jej charakterze zaszły nieodwracalne zmiany. Stała się cicha, zamknięta w sobie i nietowarzyska. Rzadko mówiła o Angelu lub o swoim życiu sprzed wypadku. Gdy znajomi przychodzili w odwiedziny, uśmiechała się, lecz w jej oczach widać było udręczenie i smutek.

Pod koniec wiosennego semestru Freddie rzuciła szkołę, rezygnując tym samym z marzeń o pójściu na uniwersytet. Na początku podejmowała się dorywczych zajęć wieczorem, dzięki czemu mogła spędzać dzień z siostrą. Przyjaciele organizowali dyżury, by dotrzymać Tessie towarzystwa, gdy Freddie pracowała. Wreszcie panna Fainlight, z którą Freddie od czasu opuszczenia szkoły sporadycznie korespondowała, skontaktowała ją z panną Parrish, mieszkającą w Endsleigh Gardens, w pobliżu Russell Square. Panna Parrish zatrudniła Freddie jako swoją asystentkę. Wydawała pismo „The Business Girl”, zawierające artykuły i praktyczne porady dla samotnych pracujących dziewcząt.

Rachunki za lekarzy już dawno pochłonęły resztę zasobów Tessy i trzeba było sprzedawać biżuterię. Liczył się każdy zarobiony przez Freddie pens. Pończochy należało cerować, buty nosić do szewca i chodzić pieszo, gdy tylko się dało, by oszczędzić na biletach. Jeszcze w czasie pobytu Tessy w szpitalu Freddie zrezygnowała z wynajmowanego mieszkania na Highbury, wiedząc, że nie mogą sobie pozwolić na czynsz, a także z obawy,

że wspomnienia związane z dawnym życiem mogą wytrącać Tessę z równowagi. Ray zaproponował im wtedy jedno ze swoich mieszkań - mogłyby tam mieszkać bezpłatnie - ale Freddie grzecznie odmówiła. Dadzą sobie radę, będą żyć na takim poziomie, na jaki je stać, pomyślała. Wiedziała, że sytuacja nie zmieni się szybko, więc trzeba zacząć się do niej przyzwyczajać. Tessa nie wróci do pracy modelki; możliwe nawet, że już nigdy nie będzie pracować. Po namyśle Freddie poprosiła Raya, by poszukał dla nich nowego mieszkania. Znalazł im lokum w South Kensington, na drugim piętrze dużej georgiańskiej kamienicy. Nowe mieszkanie okazało się o wiele mniejsze od tego na Highbury - tylko dwa pokoje i wspólna łazienka - było jednak czyste, słoneczne, z pięknym widokiem na park.

Pod koniec sierpnia Ray zabrał Tessę na wakacje do południowej Francji. Przysyłali kartki z krótkich przystanków w kolejnych miejscowościach. Im dalej na południe leżało przedstawione na widokówce miasto, tym więcej przebłysków dawnej Tessy dostrzegała Freddie w pocztówce. Lyon - pojawiła się odrobina humoru w opisie napotkanej pary Amerykanów; Marsylia - pocztówkę zdobiła karykatura eleganckiej Francuzki z miniaturowym pudełkiem w torebce. Na odwrocie widokówki z Nicei znalazł się kolejny rysunek, tym razem przedstawiający Raya, chrapiącego na plażowym leżaku, z twarzą przykrytą słomkowym kapeluszem.

Po raz pierwszy od sześciu miesięcy Freddie poczuła przypływ nadziei, mimo pogarszającej się sytuacji politycznej i kryzysu monachijskiego, z powodu którego Europa stanęła na krawędzi wojny. Siostra była najważniejsza i dobre wiadomości o jej zdrowiu dawały Freddie siłę, gdy w londyńskich parkach zaczęto przygotowywać okopy, a dachy wysokich

budynków obsiadły, jak wrony, baterie przeciwlotnicze. Pod koniec września jednak Neville Chamberlain przyleciał z Niemiec na lotnisko w Croydon, wymachując triumfalnie kawałkiem papieru, który, jak twierdził, gwarantował „pokój naszym czasom”.

Zaraz na początku listopada pierwsza jesienna mgła opadła na miasto łagodną szarością. Freddie wyszła z pracy, podjechała metrem na South Kensington, a pozostałą część drogi do domu przebyła pieszo, od czasu do czasu wyciągając rękę i dotykając poręczy lub ścian, jakby chciała się upewnić, że za tą gęstą zasłoną nadal istnieją budynki.

Właśnie wyjmowała klucze z torebki, gdy usłyszała z tyłu trzaśnięcie drzwi auta. Spojrzała za siebie i zobaczyła Raya, wyłaniającego się z mgły.

-Wróciłeś, Ray! Och! Co słychać? - Zmrużyła oczy. - A gdzie Tessa?

- We Włoszech.

- We Włoszech?

- Niestety, tak. Mogę wejść?

- Tak, oczywiście.

Weszli do środka. Idąc na górę, Freddie myślała: Włochy!

- Długo czekałeś? - zapytała Raya.

- Jakies pół godzinki. - Zadygotał. - Jest potwornie zimno.

W mieszkaniu postawiła na kuchence czajnik. Kiedy woda się gotowała, Freddie zagadnęła Raya:

- Czy Tessa postanowiła kogoś odwiedzić? Myślałam, że przyjedziecie razem. Jak stamtąd wróci? I kiedy?

- Zdaje mi się... - odparł, rozpinając płaszcz - że Tessa chce tam zostać.

- Ooo. - Niezgrabnie nalała herbaty, rozchlapując wodę na podłogę. Szybko wytarła ją chusteczką do nosa.

Wsypała Rayowi dwie łyżeczki cukru i podała mu filiżankę.

- Ray, nic nie rozumiem. Co się stało?

Wypił łyk herbaty.

- Spędziliśmy parę tygodni w Menton. Znalazłem przytulny hotel prawie nad samym morzem. Nie chodziliśmy do restauracji, niekiedy robiliśmy sobie wycieczki po okolicy. W ciepłe dni spędzaliśmy większość czasu na plaży, pływaliśmy i trochę spacerowaliśmy. Wydawało mi się, że z Tessą wszystko w porządku. Wyglądała dużo lepiej i nie była już taka roztrzęsiona. Możesz mi wierzyć, Freddie, tak było naprawdę. Wiesz, że zawsze uwielbiała słońce. Straszny ze mnie idiota. Łudziłem się, że po paru tygodniach na południu Francji wrócę z dawną Tessą. No, niby zawsze można mieć nadzieję, prawda? A potem któregoś dnia przy obiedzie zapytała nagle, jak daleko jest stąd do Włoch. Odpowiedziałem, że parę kilometrów na wschód. Pamiętam, że ucichła wtedy. Spytałem ją, czy coś jest nie tak, ale zapewniła mnie, że wszystko w porządku, jest tylko trochę zmęczona. Wróciliśmy do hotelu. Całe popołudnie przesiedziała w pokoju. Wieczorem, gdy spotkaliśmy się w barze, oznajmiła, że postanowiła wyjechać do Włoch. Myślałem, że chodzi jej o wypad na kilka dni, więc się

zgodziłem, powiedziałem, że zobaczą, czy uda nam się na trochę wyskoczyć za granicę. A ona na to, że chce tam znowu zamieszkać.

Freddie wytrzeszczyła na niego oczy.

- Och, Ray!

- Staralem się ją od tego odwieść. Powiedziała, że ona nie pasuje do Anglii. Przez jakiś czas myślała, że to kraj idealny dla niej, ale zrozumiała, że się myliła. Wyznała mi, że część ludzi, których miała za przyjaciół, przestała się do niej odzywać, kiedy zaszła w ciążę, a inni nie odezwali się jeszcze do niej po śmierci dziecka. Wiesz, jacy są ludzie. Nie potrafią sprostać sytuacji i w rezultacie wolą się wycofać. Kiedyś przecież miała przyjaciół, Freddie, prawdziwych przyjaciół. - Ray wydmuchał nos. - Próbowałem jej to wyperswadować. Upierała się, że musi wyjechać tam, gdzie nikt jej nie zna - i nikt nie wie o Angelu. Żeby zacząć od nowa. Zwróciłem uwagę na wszystkie trudności... z czego będzie żyć, gdzie będzie mieszkać i tak dalej. No i oczywiście ta włoska polityka

- Mussolini nie jest wielbicielem Anglii i słyszałem, że garstka naszych, która tam jeszcze została, ma spore kłopoty. Na koniec obiecała, że się zastanowi. Przymknęła, że nie zrobi niczego lekkomyślnego. A rano już jej nie było. Wstała o piątej i wyjechała z Menton pierwszym pociągiem. Zostawiła list. Jak chcesz, Freddie, możesz przeczytać.

Freddie zerknęła na list. Tessa dziękowała Rayowi za cierpliwość, czułość i hojność, a potem prosiła o wybaczenie. „Wiem, że dobrze robię. Od dłuższego czasu właściwie na niczym mi nie zależało - chciałam tylko móc cofnąć czas, ale teraz pragnę wrócić do domu". Na dole kartki dopisała jeszcze: „Powiedz Freddie, żeby się nie martwiła. Niedługo do niej napiszę".

Freddie złożyła list i oddała Rayowi.

- To nie twoja wina - powiedziała. - Znasz przecież Tessę. Robi, co chce i nikomu nie da się przekonać. Co było potem?

- Poszedłem na dworzec. Facet w kasie ją pamiętał.

- Uśmiechnął się smutno. - Cała Tessa, prawda? Wszyscy ją zapamiętują. Powiedział, że kupiła bilet do Genui, więc postanowiłem, że pojedę i poszukam jej tam, spróbuję przemówić jej do rozsądku.

- I pojechałeś? Znalazłeś ją, Ray?

- Nie. W ogóle nie dotarłem do tej cholерnej Genui.

- Ray sprawiał wrażenie złego na cały świat. - Włoski strażnik na granicy był tak chamski, że mało brakowało, a straciłbym panowanie nad sobą i mu przyłożył. Facet twierdził, że coś jest nie tak z moim paszportem, kompletna bzdura, wszystko było w porządku, tylko po prostu władza uderzyła mu do głowy. Więc wróciłem do Menton, do hotelu. Kossjerz okazał się przyzwoitym człowiekiem i obdzwonił dla mnie z pół tuzina hoteli w Genui. Nic. Mogła być gdziekolwiek. - Zmarszczył czoło. - Nie chciała, żebym ją znalazł. Przemyślałem to i jestem pewien, że sobie tego nie życzyła. Zamierzałem ją jeszcze raz poprosić, żeby za mnie wyszła. Co za głupek ze mnie!

Wkrótce potem Ray wyszedł. „Pragnę wrócić do domu”, napisała Tessa. Od jak dawna rozważała powrót do Włoch, zastanawiała się Freddie. Czy podjęła decyzję pod wpływem impulsu, czy też starannie sobie wszystko zaplanowała?

Tknęło ją nagłe podejrzenie. Poszła do sypialni i otworzyła szufladę, w której Tessa przechowywała biżuterię. Pod błyskotkami i sztuczną biżuterią leżała skórzana szkatułka, zawierająca granaty po matce. Freddie uniosła wieczko drżącymi palcami. Granaty były w środku, ciemnoczerwone, lśniące i tajemnicze. Oj, Tessa, pomyślała. Z całej biżuterii najbardziej kochała te granaty. Inne naszyjniki sprzedały, żeby mieć pieniądze na czynsz i lekarzy. Siostra nie zapomniaby zabrać tej pamiątki. Czyżby zostawiła je dla niej, jako coś w rodzaju nagrody pocieszenia? A może granaty były obietnicą, że Tessa któregoś dnia wróci?

Przygotowując sobie kolację, Freddie rozmyślała o liście siostry do Raya. „Pragnę wrócić do domu”, napisała. Ale gdzie był jej dom? Które z licznych miejsc, dających jej schronienie od chwili narodzin, mogła naprawdę nazwać domem?

Pod koniec listopada Rebecca wyjechała do Mayfield Farm. Rozłożyste budynki z czerwonej cegły, kryte czerwoną dachówką, stały na grzbiecie wzniesienia w High Weald, na południe od Londynu, osiem kilometrów od Hmbridge Wells. Farma należała do Davida i Carlotty Mickleborough. Wszystkie ściany domu zdobiły pejzaże pędzla Davida. Mieszkał w Hiszpanii, kiedy wybuchła wojna domowa i walczył w Międzynarodowych Brygadach. W 1937 roku został ranny, a wtedy razem z żoną oraz dwoma małymi synkami, Jamiem i Feliksem, wrócili do Anglii i kupili farmę.

David Mickleborough był przyjacielem Simone Campbell. Rebecca spędziła u niej ponad miesiąc, kurując się z zapalenia oskrzeli. Gdy znów poczuła się dobrze, doszła do wniosku, że czas znaleźć sobie jakieś miejsce na dłużej, a Simone podsunęła jej właśnie Mayfield Farm.



- Większość tych ludzi to artyści - powiedziała jej. - Pomagają w gospodarstwie, a w zamian mają tam pracownie. Każdy przy czymś grzebie... razem jedzą i pomagają sobie w razie potrzeby. Warunki są trochę spartańskie, ale okolica jest przepiękna i będziesz mogła tam odpocząć.

Rebecca pomyślała, że to nie brzmi zachęcająco, ale z grzeczności nic nie powiedziała. Zresztą nie miała wyboru.

- Spróbuję - zdecydowała. A potem, przerażona, że zabrzmiało to oschle, dodała: - Dziękuję, Simone. Bardzo miło z twojej strony.

Przed wyjazdem, w ramach podziękowania, zrobiła gruntowne porządki w domu Simone. W dniu wyjazdu, z rana, przyjaciółka popatrzyła na nią poważnie.

- Odtąd musisz bardziej uważać. Nie możesz pozwalać sobie na choroby i wiązać się z beznadziejnymi mężczyznami w typie Harrisona Greya. Rebecco, musisz mi to obiecać.

Obiecała nieśmiało. Zapewniła także Simone, że będzie do niej pisać i odwiedzać ją, gdy tylko zjawi się w Londynie. Potem załadowała swój dobytek do samochodu i opuściła stolicę. Jadąc, w miarę zbliżania się do celu coraz węższymi wiejskimi drogami, i obracając mapę na kolanach, nie czuła podniecenia ani nastroju radosnego oczekiwania, choć postanowiła, że postara się jak najlepiej wykorzystać szansę, którą otrzymała od losu. Choćby na tej farmie było naprawdę strasznie, zostanie tam co najmniej rok. Inaczej będzie sobą rozczarowana. Nie chciała przeżyć kolejnej klęski, potęgującej wystarczająco już dotkliwe poczucie winy i nieudolności.

Ku swemu zdziwieniu, spodobało jej się na farmie. Panowały tam istotnie spartańskie warunki - ściany sypialni były nieotynkowane, a podłogę tworzyły ułożone w jodełkę cegły. W łazience była tylko zimna woda; ciepłą podgrzewano w czajniku. Farma miała własny generator prądotwórczy, który od czasu do czasu się psuł, Carlotta gotowała na staroświeckiej żeliwnej kuchni, a prała w balii. To miejsce emanowało jednak atmosferą solidności i dawało poczucie zakorzenienia, co Rebecce bardzo odpowiadało. W jakiś sposób pragnęła teraz żyć jak najprościej, a to obejmowało także ciężką fizyczną pracę w gospodarstwie.

W Mayfield Farm mieszkało dziesięć osób. Oprócz czworga Mickleboroughów oraz Rebekki był jeszcze Noel Wainwright, podobnie jak David, pejzażysta, z żoną Olwen, tworzącą kolaże, oraz John Pollen i jego siostra, Romaine, oboje po pięćdziesiątce, spokojni i poważni, zawsze mówiący cicho. John był garncarzem; jego misy i talerze miały czerwonobrazowe, kremowe i jasnoszare barwy typowe dla krajobrazu Sussex. Romaine Pollen, utykająca po przebytej w dzieciństwie chorobie Heinego--Medina, robiła witraże, korzystając z pieca brata.

Rebecca, choć dość dobrze się ze wszystkimi rozumiała, wystrzegła się większej zażyłości. Bliższa znajomość prowadziłyby do zwierzeń, porównywania sytuacji życiowych, a tego chciała uniknąć. Rany nie zdążyły się jeszcze zasklepić, a wielu rzeczy po prostu się wstydziła. Zaczęła pracować na grządkach z warzywami, walczyć z niewielkim, smaganym wiatrem poletkiem z lepkiej gliny, pomagała też przy remoncie domu. Na nowo przydawały się dawne umiejętności, nabyte podczas odnawiania Mili House z mężem. Zdzierła łuszczącą się farbę, malowała drzwi i parapety. Któregoś dnia David pokazał jej, jak się muruje, spędziła więc rano,

kłęcząc na ziemi, mieszając zaprawę i układając cegły wzdłuż linii wyznaczonej przez napięty kawałek sznurka. Wieczorem, po kolacji, szła do pokoju i czytała lub pisała listy. Dziesiąty lokator farmy mieszkał w stodole, nieco oddalonej od reszty budynków. Connor Byrne był rzeźbiarzem i pochodził z Irlandii. Wysoki, barczysty, czarnowłosy, o niebieskich oczach i ogorzalej, pobrużdżonej twarzy, ubierał się w zapyłone, znoszone drelichy i flanelowe koszule. Mało się uśmiechał i jeszcze mniej mówił. Pierwszego dnia po przyjeździe Rebekki zerknął tylko na nią, kiwnął głową i wrócił do jedzenia. Zastanawiała się, czy ten mężczyzna nie lubi nowych osób na farmie. Wychodził ze stodoły tylko na posiłki i by pomóc Davidowi Mickleborough przy cięższych pracach. Potrafił milczeć przez całą kolację. Zauważała jednak ciepło w jego nieczęsto pojawiających się uśmiechach, a w oczach iskierek humoru.

Gdy mijala stodołę po drodze do warzywniaka, słyszała szcęk dłuta uderzającego o kamień. W Nowy Rok na farmę przyjechała ciężarówka z blokiem granitu przywiązany linami do otwartej przyczepy. Rebecca patrzyła, jak Connor i David mocują zaimprovizowane dźwignie i wielokrążki, by przenieść kamień do pracowni rzeźbiarza.

Któregoś ranka, przechodząc obok stodoły, zajrzała przez okno i dostrzegła w półmroku jakąś monumentalną twarz. Przystanęła, chcąc się jej przyjrzeć.

Ze środka rozległ się głos Connora.

- Chce pani zobaczyć?

Uchyliła lekko drzwi.

- Mogę?

- Proszę.

Weszła do stodoły. W wysoko sklepionym pomieszczeniu było bardzo zimno, niewiele cieplej niż na zewnątrz. Na nieheblowanych drewnianych ławach leżały narzędzia. Na kozłach spoczywał granitowy blok. Z góry spoglądała na nią szara, kamienna twarz o grubo ciosanych rysach. Rebecca miała wrażenie, że kamień ożył pod dłutem, że Connor pomaga tej dziwnej istocie wyjść z granitu.

- Kto to? - zapytała.

- Manannan mac Lir, bóg morza z wyspy Man. To on dał Cormacowi, królowi Irlandii, zaczarowany puchar i gałąź.

- Groźnie wygląda.

- Bóg powinien wyglądać groźnie, nie sądzi pani? Inaczej, cóż by z niego był za bóg? - Connor rzucił jej jeden ze swoich rzadkich uśmiechów, a potem znów chwycił młotek i dłuto. Wyrażna sugestia, że chce wrócić do pracy, pomyślała. Zostawiła go więc. Lecz odtąd prawie każdego dnia, idąc do warzywniaka, zatrzymywała się przy stodole, przynosiła Connorowi herbatę i patrzyła, jak z granitu wyłania się kamienny bóg. Connor stanowił przeciwieństwo Mila. Był ciemnowłosy, niechlujny i mrukliwy, podczas gdy jasnowłosy Milo, wymuskany i rozmowny, wydawał się wszystkim czarujący. Przy Connorze czuła się swobodnie i lubiła chwilę przy nim postać, patrząc, jak pracował. Miał coś wspólnego ze swoim kamiennym bogiem, łączyła ich potężna, milcząca obecność, która tak wiele dla niej znaczyła.

Do Londynu pojechała tylko raz, pod koniec lutego 1939 roku, żeby spotkać się z Milem w kancelarii prawnej. Robienie makijażu, wkładanie eleganckiej spódnicy i płaszcza było już dla niej czymś dziwnym. Teraz nosiła spodnie i bluzy, a włosy związywała z tyłu chustką. Malując usta szminką, wpatrzyła się w swoje odbicie w lustrze. Zmieniam się, pomyślała, ale jeszcze nie wiem w kogo. A może w co?

Milo zgodził się przyjąć na siebie winę za rozwód. Na spotkaniu przygotowano dokumenty i podjęto decyzje co do pieniędzy. Ta uprzejma rozmowa o majątku i alimentach oznacza oficjalny koniec ich małżeństwa. Na takiej myśli przyłapała się Rebecca. Milo od czasu do czasu zerkał na zegarek. Zastanawiała się, czy nie jest z kimś umówiony.

Po wyjściu z kancelarii zaczęli rozmawiać. Milo zgodził się przekazać jej połowę sumy ze sprzedaży domu Mili House - Rebecca czuła, że uważał się za hojnego. Powinna wyjechać z tej farmy, poradził jej, i znaleźć sobie jakieś przyzwoite mieszkanie. „Podoba mi się w Mayfield”, oznajmiła tym samym upartym tonem, którym zeszłego lata mówiła do Harrisona Greya w domu myśliwskim w Derbyshire. Milo wzruszył ramionami. Pozostały jeszcze książki, ubrania - co ma z nimi zrobić? „Prześlij mi przybory do malowania i szkicowniki”, poleciła. „Resztę możesz oddać na przechowanie”.

Potem się pożegnali i Rebecca pojechała z powrotem na farmę. W sypialni wyciągnęła się na łóżku i leniwie odtwarzała w pamięci wydarzenia dnia. Potem nadeszła pora karmienia kur, włożyła więc kalosze i płaszcz nieprzemakalny i wyszła. Czy była zła na Mila? Nienawidziła go czy może nadal kochała? Pomyślała o nieszczęsnym Mill House, zaniedbanym,

mającym lada chwila przejść w obce ręce, a także o swoich rzeczach. Poprosiła Mila, żeby gdzieś je przechował, bo gdyby miała je przed oczami, przypominałyby jej o mężu. A więc w jakiś sposób nadal go kochała, mimo tylu doznanych krzywd.

Tydzień później na farmę dostarczono paczkę ze szkicownikami i przyborami malarskimi. Rebecca wróciła do szkiców, głównie dlatego, że w Mayfield Farm wypadało się zajmować twórczością artystyczną - nawet dzieci Davida i Carlotty malowały i lepily garnki. Rysowała niemal wszystko: widok z okna sypialni, szachownice pól, żywopłoty i falujące wzgórza za nimi, chylące się na wietrze olchy o zmierzchu. Uwieczniła na papierze stertę książek, zegar i kłęb czekających na wypranie pończoch. Zauważyła, że pracując na grządkach z warzywami, rozmyśla, co narysuje wieczorem.

W połowie marca pojechała do TVinbridge Wells zwrócić książki do biblioteki. Wracając do auta, zobaczyła nagłówki na tablicach przed kioskiem. Kupiła gazetę i przeczytała ją w samochodzie. Niemieckie wojska zajęły resztę terenów Czechosłowacji. Układ monachijski, wymuszony na Hitlerze we wrześniu ubiegłego roku i mający stanowić gwarancję pokoju, legł w gruzach. W każdym razie przestał istnieć dla Czechosłowacji.

Pewnego słonecznego sobotniego popołudnia Freddie i Max usiedli na leżakach w St James's Park, by posłuchać orkiestry.

- Zawsze, kiedy piszę do Tessy - odezwała się Freddie - pytam, kiedy wróci.

Max odwinął papierek i wyjął lody.

- A ona co na to? - zapytał.

- Nic. W ogóle nie odpowiada na te pytania. Taki jest właśnie kłopot z listami. Można nie zwracać uwagi na to, co pisze druga osoba.

- Gdzie ona jest teraz? Dalej w Bolonii?

Freddie pokręciła głową.

- We Florencji. Myśli, żeby zostać tam przynajmniej do końca lata. Pracuje w sklepie z ubraniami.

- Zawsze była uparta. Jak nie będzie chciała wrócić do Anglii, to nie wróci. Powiedziałbym: dajmy jej spokój, niech sobie żyje, jak chce, ale...

- Ale co, Max?

- Od paru lat szlag mnie trafia, bo wszystkim Brytyjczykom się wydaje, że wojna zacznie się w dogodnym dla nich momencie. Choć wygląda na to, że wreszcie zaczynają się budzić. Pan Chamberlain chyba już wyzbył się złudzeń, że Hitler i Mussolini będą grzeczni, kiedy z nimi uprzejmie porozmawia. Obawiam się, że Tessie nie zostało już zbyt wiele czasu, jeśli chce wrócić do Anglii, zanim wybuchnie wojna.

Freddie poczuła przygnębienie.

- Tłumaczyłam jej to wszystko. Ostrzegałam, że we Włoszech może się zrobić niebezpiecznie, że nie może po prostu udawać, że nic się nie dzieje. Odpisała, że woli znaleźć się w niebezpieczeństwie we Włoszech, niż żyć bezpiecznie w Anglii, a zresztą, jeśli naprawdę wybuchnie wojna, pewnie lepiej będzie we Florencji niż w Londynie. Z uwagi na bomby. Może i ma rację.

- Kiedy Niemcy wypowiedzą nam wojnę, a Włochy staną po ich stronie, Tessa stanie się obywatelką wrogiego państwa. To mnie niepokoi.

Freddie popatrzyła nań uważnie.

- Max, ty też się tym przejmujesz?

Max podniósł aparat i skierował go na siedzące na trawie starsze małżeństwo. Kobieta miała słomkowy kapelusz, mężczyzna - zaimprovizowane nakrycie głowy z powiązanej supełkami chusteczki.

Pstryknęła migawka.

- Przychodzi mi to do głowy od czasu do czasu - wyznał. - Mój największy koszmar to wizja deportacji do Niemiec. Ciągłe o tym rozmawiamy, my, cudzoziemcy, przyjezdni, kiedy jesteśmy we własnym gronie. Czy jeśli będzie wojna, Brytyjczycy odeślą nas z powrotem do Niemiec?

- Jeśli spróbują, Max, przechowam cię w szafie.

- Dziękuję, Freddie. - Orkiestra zaczęła grać marsza Sousy. - Wolałbym coś mniej wojskowego - powiedział Max z marsową miną. - Najbardziej martwię się, że Tessie jest chyba wszystko jedno, czy przeżyje, czy zginie.

Freddie poczuła zimne ciarki, biegnące wzdłuż kręgosłupa, mimo że było ciepło.

- Nie wolno ci tak mówić. Mnie nie jest wszystko jedno. Jeśli Tessa nie będzie chciała wracać, to do niej pojedę i ją tu przywiozę.

- Naprawdę? - uśmiechnął się Max. - To miłe, ale w takim razie zbyt długo już nie zwlekaj.



Wycelowwał w nią obiektyw leiki i wyregulował wizjer.

- Masz lody na nosie. Nie, nie ścieraj, uroczo to wygląda.

„Jeśli Tessa nie będzie chciała wracać, to do niej pojedę i ją tu przywiozę”. Ta deklaracja Freddie, nie do końca spontaniczna, choć będąca ledwie niewyraźnym zarysem planu, przerodziła się teraz w mocne postanowienie. Tessa musi wrócić do kraju. Nie reaguje na pisemne błagania, więc ona, Freddie, musi pojechać do Florencji i nakłonić siostrę do powrotu.

Najpierw trzeba zdobyć wystarczające środki. Freddie zaczęła konsekwentnie odkładać pieniądze i przygotowała plan spłaty rat, który przedstawiła swojej chlebodawczy-ni, pannie Parrish. Jeśli panna Parrish będzie tak dobra i wypłaci jej część pensji z góry, Freddie odda pieniądze w taki oto sposób. „Czy masz świadomość, że to bardzo trudne przedsięwzięcie?”, zapytała panna Parrish. „Czy rozumiesz, że choć sami Włosi nie są do Brytyjczyków wrogo nastawieni, ich władze to co innego?”. „Będę ostrożna”, zapewniła ją Freddie, „nie boję się wojaży, jako dziecko dużo podróżowałam po Europie, a i potem byłam z siostrą parę razy za granicą, w czasie szkolnych wakacji”. Poświęcała wieczory na odświeżanie zardzewiałej znajomości włoskiego, studiowała rozkłady pociągów i statków. Panna Parrish rzuciła jej ostre spojrzenie. „Ja bym pojechała pociągiem”, stwierdziła. „Podróżuje się o wiele przyjemniej niż statkiem i nie robi się niedobrze”.

Dwudziestego drugiego maja, podczas wizyty w Berlinie, Mussolini zawarł sojusz z Hitlerem. Ów układ, nazwany paktem stalowym,

przewidywał wojskową współpracę Włoch i Niemiec oraz wzajemne wsparcie na wypadek wojny.

Nazajutrz Freddie jeszcze raz porozmawiała z panną Parrish. Chlebodawczyni zgodziła się dać jej tydzień wolnego. Tydzień... cztery dni na przejazdy, więc tylko trzy na przekonanie Tessy do powrotu. Freddie kupiła bilet w agencji Thomasa Cooka, spakowała walizkę i ostatniego dnia maja wyjechała z Anglii.

Z pociągu na prom, następnie rejs przez kanał, a potem kolejny pociąg z Dieppe do Paryża. Przez Paryż przejechała metrem i podjęła długą, nocną podróż przez samo serce Francji, później przez Alpy, do Turyngu, gdzie spięta ze zmęczenia i oczekiwania wysiadła z wagonu i kupiła kawę oraz owoce na peronowym straganie. Godzinę później znalazła się w wolniejszym pociągu, pokonującym z sapaniem równiny północnych Włoch, przez Bolonię do Florencji.

Dotarła tam późnym popołudniem. Dworzec Santa Maria Novella, olbrzymi, nowy budynek z cegły i szkła, był zatłoczony. Kiedy z niego wyszła, jaskrawe słońce zmusiło ją do zmrużenia oczu. Poczła nagły niepokój. Nie uprzedziła siostry, że postanowiła przyjechać do Florencji. Instykt jej to odradzał. Ale co będzie, jeśli Tessa już stąd wyjechała?

Jednak idąc przez plac w stronę rzeki, wyzbyła się obaw. Każdy krok uwalniał jakieś wspomnienie. Tę przewróciła się kiedyś na bruku i obtarła kolano, a mama owinęła skaleczenie chusteczką. Na tamtej wąskiej uliczce była piekarnia, gdzie sprzedawano croissanty z kremem budyniowym, które tak z Tessą uwielbiały. Kiedy dotarła nad brzeg Arno, oparła się łokciami o mur i popatrzyła na drugą stronę rzeki. Słońce już zachodziło; łagodne

wieczorne światło złociło terakotowe dachówki budynków, a rzekę zmieniało w pas jedwabiu - nawet powietrze wydawało się przyprószone złotem.

Jeszcze chwila i znajdzie się w towarzystwie tej jedynej osoby na świecie, która dzieliła z nią te wspomnienia i przeżycia; znała ją od urodzenia, była jej towarzyszką i opiekunką, śmiała się z tych samych rzeczy i rozumiała potrzebę cenzurowania przeszłości, nadawania jej kształtu atrakcyjnego dla obcych. W zeszłym roku role się odwróciły i to ona zaczęła opiekować się Tessą. Teraz też Freddie musiała wykazać inicjatywę.

Na południowym brzegu rzeki zerknęła na mapę, idąc przez plątaninę uliczek i zaułków. W nieprzeniknionych murach budynków tkwiły potężne odrzwia w żelaznych okuciach, zwieńczone kamiennymi łukami. Na ścianach nabazgrano hasła polityczne. Żelazne kraty strzegły zarośniętych pajęczynami okien na niższych piętrach. Nad wejściem wisiała kamienna tarcza herbowa, z niszy wyglądała figurka Matki Boskiej. Potężny pałac o fasadzie pokrytej misternymi czarno-srebrnymi malowidłami, patrzył na Freddie z góry z niemą wyniosłością; wieczorne słońce odbijało się kolorowymi iskierkami od fasetek kryształowego żyrandola w witrynie sklepu naprzeciwko.

Freddie skręciła z Via Maggio w uliczkę mającą zaledwie parę metrów szerokości. Wysokie mury kamienic zasłaniały tu ciepło i światło. Z drugiego końca ulicy ktoś szedł, zbliżała się ku niej jakaś czarna sylwetka. Freddie wyteżyła wzrok. Kobieta była wysoka i smukła, niosła torby z zakupami.

- Freddie? Freddie, to naprawdę ty? - zawołała Tessa, stawiając torby na bruk.

Mieszkanie Tessy znajdowało się nad antykwariatem. W mniejszym z dwóch pokoi stało pojedyncze łóżko i komoda. Okna wychodziły na ślepe podwórko, gdzie widać było śmietniki, puste butelki po winie i porzewiały trójkołowy rowerek. W większym pokoju, z oknami od frontu, znajdował się kominek, sofa, fotel i mały stolik. W kącie stał piecyk na naftę oraz kredensik, w którym Tessa trzymała jedzenie i nakrycia. Światło z okna, wychodzącego na zaułek, nadawało całemu pomieszczeniu barwę ochry.

Tessa przygotowywała obiad. Gotując, zadawała pytania. Czemu Freddie nie uprzedziła jej o przyjeździe? Czy jechała sama? Jak jechała? Trzecią klasą, siedząc na ławce przez całą noc?

- Oj, Freddie, biedactwo. Należę ci wina i zaraz się lepiej poczujesz. Jak się mają wszyscy? Co u Maksa, u Raya i Juliana?

W opowieści Freddie podróż przeistoczyła się z wyczerpującej, chwilami niewolnej od strachu wyprawy, w prawdziwą przygodę. Parę przystanków przejechanych paryskim metrem z Gare du Nord, gdzie gapił się na nią facet siedzący po drugiej stronie, który potem gonił ją po schodach, gdy wysiadła na Gare de Bercy, wydawało się teraz zabawnym, w żadnym razie nie niebezpiecznym epizodem. Przerwany nocny sen na siedząco, między grubym, chrapiącym rolnikiem a kobietą mamroczącą pod nosem słowa modlitwy i przesuającą w palcach paciorki różańca, z męczącego stał się komiczny. Na granicy przez pociąg przeszła włoska policja, żądając dokumentów. Freddie starała się wyglądać najmłodziej, jak tylko się dało, opowiadała Tessie, bez szminki, pudru, z wstążką we

włosach. Gdy strażnik wpatrywał się w jej paszport, udała, że zaraz się rozplacze, więc pogłaskał ją po głowie i przeszedł do kolejnego pasażera.

- Tessa... - zaczęła Freddie, a siostra musiała rozpoznać ten ton, bo od razu przeszła do sedna sprawy.

- Wiem, po co przyjechałaś. Chcesz, żebym wróciła z tobą do Anglii. Dziś nie będziemy o tym rozmawiać. Pogadamy jutro, kiedy już nie będziesz taka zmęczona.

Siedząc po kolacji na sofie, Freddie miała problem ze skupieniem uwagi, a powieki opadały jej ze zmęczenia. Wspomnienia z podróży przesuwwały się w jej świadomości jak foty z filmu, do niczego już nieprzydatne. Gdy Tessa otuliła ją kocem, zwinęła się w kłębek i zasnęła.

Miała trzy dni na przekonanie siostry, że musi wracać do domu.

Zjadły lunch, sałatkę z grzankami i talerz salami w małej trattorii nieopodal sklepu, w którym pracowała Tessa. Ścianę zdobił wyblakły fresk z chmurkami i cherubinkami. Przy stole obok schodów siedziało, śmiejąc się, kilku biznesmenów w granatowych, prążkowanych garniturach. Ich spojrzenia od czasu do czasu wędrowały na drugą stronę sali, ku Freddie i Tessie.

- Przepraszam, że tak po prostu zwiąlam - powiedziała Tessa - ale gdybym ci powiedziała, na pewno próbowałabyś mi to wyperswadować.

- Dobrze wiesz, czego możesz się po mnie spodziewać. - Freddie nadziała na widelec plasterk pomidora.

- Ale wyjaśnij mi, czy zaplanowałaś sobie to wszystko wcześniej.

- Nie do końca. Brałam jednak pod uwagę taką możliwość. A gdy dojechalśmy do Menton, byłam już pewna, czego chcę.

Tessa miała na sobie grafitową, bawełnianą sukienkę z białym kołnierzykiem i mankietami z piki. Tania, pomyślała Freddie. Dawna Tessa-modelka za nic w świecie by czegoś takiego nie włożyła. Ale nawet w tym skromnym stroju prezentowała się elegancko.

- Szkoda mi Raya - powiedziała Tessa. - Bardzo to przeżył?

- Strasznie. Ale teraz umawia się z kobietą, która pracuje w BBC Home Service. Ma niesamowicie wyrafinowaną wymowę. „Już za chwilę wysłuchacie państwo koncertu Wagnera i Brahmsa w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej BBC". Jak widzisz, siostrzyczko, nie jesteś niezastąpiona.

Tessa się uśmiechnęła.

- Nigdy tak nie myślałam.

- Specjalnie zostawiłaś te granaty, prawda?

- Zostawiłam je dla ciebie. Byłam pewna, że zatroszczysz się o nie lepiej niż ja. Jakoś nie umiem niczego upilnować. - Uśmiech zamarł jej na ustach. Popatrzyła w oczy Freddie. - Musiałam wyjechać. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

- Zastanawiałam się, czy Londyn nie za bardzo przypomina ci o Angelu. - Skoro padło imię synka Tessy, były skazane na rozwinięcie tematu.

- Angelo jest tutaj, w moim sercu. I zawsze będzie.

- Tessa przyłożyła dłoń do piersi. - Nie wyjechałam z Londynu z powodu Angela, tylko ze względu na jego ojca. Po śmierci Angela jego ojciec do mnie nie zadzwonił ani nie napisał, Freddie. Nie zniosłabym myśli, że mogę go jeszcze kiedyś spotkać, że skręcę za róg i natknę się na niego, i nie będziemy wiedzieli, co powiedzieć. Albo powie coś inteligentnego, taktownego i na nowo złamie mi serce. Chyba mnie rozumiesz, Freddie?

- Rozumiem, że to on nas rozdzielił. I nienawidzę go za to. Szkoda, że nie chcesz powiedzieć kto to.

- Po co? Żebyś wiedziała, kogo masz nienawidzić?

Tak, pomyślała Freddie, między innymi dlatego.

Powiedziała jednak:

- Chciałabym doprowadzić do tego, żeby zrozumiał, ile ci zadał bólu.

- Mówisz o zemście.

Czyżby rzeczywiście pragnęła zemsty?

- Ja bym to raczej nazwała sprawiedliwością - broniła się Freddie.

- Ale jaki to by miało sens?

- Gdyby nie on, wszystko potoczyłoby się inaczej. Nie znalazłabyś się tutaj.

- Freddie, zrozum, że tutaj jest mi po prostu lepiej. - Tessa pochyliła się i ujęła ją za rękę. - Nie powiedziałabym, że jestem szczęśliwa, ale na pewno jest mi lepiej. Czuję, że muszę zacząć od nowa i że w Londynie mi się to nie uda. W Londynie pozostałabym Tessą Nicolson, która niegdyś była

pięknością, albo Tessą Nicolson z nieślubnym dzieckiem. Albo biedną Tessą, cierpiącą po stracie synka.

Biznesmeni ryknęli śmiechem. Jeden z nich popatrzył na Freddie i uniósł kieliszek.

- Tutaj nikt nie wie o Angelu i o wypadku - ciągnęła spokojnym tonem Tessa. - Nikomu nie powiedziałam i być może nigdy nie powiem. Mam gdzie mieszkać, mam pracę, wiązę koniec z końcem, więc, kochana siostrzyczko, nie bądź na mnie zła.

- Nie jestem na ciebie zła. - Freddie odwróciła wzrok, bojąc się, że się rozplacze. - Po prostu tęsknię za tobą.

- Ja za tobą też. Cały czas. - Tessa uśmiechnęła się do siostry. - Możesz tu ze mną zostać. Zastanów się nad tym.

„Max mówił, że gdy wybuchnie wojna, staniesz się tutaj obywatelką wrogiego państwa”.

No właśnie. Taka rozmowa musi się odbyć u Tessy w domu. Spacerując po południu po mieście, gdy Tessa była w sklepie, Freddie wyczuwała na ulicach Florencji ostrożność i atmosferę przygnębienia. W południe, gdy słońce prażyło, odżywały wspomnienia, i można było odnieść wrażenie, że odwieczni rywale zastygli w czar-noniebieskich cieniach pod loggiami i w zaułkach, gotowi do walki.

- Mówię dobrze po włosku - powiedziała Tessa. - Bardzo łatwo mogę się podawać za Włoszkę.

-Ale paszport...



- Uda mi się, Freddie. Nie musisz się martwić.

- A jednak się martwię. Boję się, że nie zdajesz sobie sprawy, jak trudno może być, że nie rozumiesz... - Urwała, widząc minę siostry.

Tessa robiła poprawki w sukience ze sklepu, w którym pracowała. Przecięła szew i nawinęła odrobinę nici na szpulkę.

- Powiedz mi, Freddie, czy może mnie spotkać w przyszłości coś gorszego, niż to, co już się stało?

- Nie chodzi mi o...

- Ależ o to ci właśnie chodziło. Boisz się, że nie będę umiała zadbać o siebie. Że przyjechałam tu pod wpływem impulsu, że to kaprys, że dokładnie tego nie przemyślałam. Prawda?

- Nie. - Freddie rozłożyła dłonie, opuściła wzrok. Przypomniała sobie, co jej powiedział Max, gdy siedzieli w parku. - Boję się, że po prostu już ci na niczym nie zależy - powiedziała cicho, jakby ze strachem.

Tessa odłożyła igłę z nitką.

- Przez długi czas tak było, to prawda. Żałowałam, że nie zginęłam razem z Angelem.

- A teraz? - zapytała nieśmiało Freddie.

- Od czasu do czasu coś sprawia mi przyjemność. Siedzę na placu i czuję słońce na twarzy. Słucham rozmów ludzi na targu i przez chwilę cieszę się, że jestem z nimi. Prowadzę skromne życie, zupełnie nie takie, jak sobie kiedyś wyobrażałam, ale to mi odpowiada. Mam przyjaciół, którzy pomogą mi w razie potrzeby. Jeśli nie będę mogła tu zostać, przeniosę się na

wieś. Tyle jest tu dolin, wzgórz, można się w nich rozpląnąć, jeśli to będzie konieczne.

Freddie było za gorąco w ciasnym pokoiku: pot spływał jej po karku, paliły ją ramiona, spieczone podczas zbyt długiego spaceru na słońcu.

- Jeśli tu zostaniesz, cały czas będę się o ciebie martwiła. Kiedy wybuchnie wojna, będę się o ciebie bała. Codziennie - wyznała siostra.

- Naprawdę bardzo cię przepraszam - powiedziała cicho Tessa. - Przepraszam cię za to.

Pojechały autobusem do Fiesole. Szosa wiała się pod górę; bugenwille i oleandry porastały wysokie mury po obu stronach drogi. Za tymi obwarowaniami kryły się eleganckie wille bogaczy. Wsiadły z autobusu na głównym placu i przeszły przez miasteczko do Villa Millefiore, gdzie kiedyś mieszkały u pani Hamilton.

Drzwi willi były zamknięte, okna zasłonięte okiennicami. Po jednej stronie domu, wzdłuż ogrodu, biegła w dół wąska, stroma ścieżka, zarośnięta pokrzywami i powojami. Tessa szła pierwsza, odgarniając chwasty kijem.

Drzewa rosły tu rzadziej i czuło się żar słońca. Przecisnąwszy się przez dziurę w żelaznym ogrodzeniu, siostry weszły w gąszcz wawrzynów. Krzewy górowały nad obiema, ciemne, skórzaste liście tworzyły baldachim, upstrzony punkcikami światła. Zapach lauru mieszał się z wonią pylistej, suchej ziemi. Z gałęzi wzbijały się maleńkie ćmy, szare jak skrawki pajęczyn.

Tutaj, pośród tych wawrzynów, przypomniała sobie Freddie, Faustina Zanetti zakopła swoją lalkę, i choć potem długo szukały, nigdy już nie udało się jej znaleźć. Może dalej gdzieś tu leży, z zamkniętymi na wieki błękitnymi porcelanowymi oczyma, z żółtymi włosami poczerniałymi od ziemi? Za wawrzynami rosły ostrokrzewy. Ziemię zaścielały brązowe, falbaniaste liście, cierniste gałęzie wyciągały się, by chwycić rękaw lub spódnice.

Wyszły z zarośli i znalazły się w ogrodzie. Freddie zmrużyła oczy przed słońcem. Żwirowe ścieżki pozarastały chwastami i trawą. Oparłszy się łokciami o miniek biegnący wokół stawu, Freddie zajrzała w głęboką, ciemną toń. Pachniało zgnilizną, po mętnej, zielonej wodzie sunęły owady. Morski potwór, obrośnięty brunatnymi pasmami glonów, łypał na nie, porzucony na swojej wysepce.

- Uwielbiałam tu pływać - powiedziała Freddie. - Zakładaliśmy się, kto dłużej wstrzyma oddech. Pamiętasz?

- Guido. Guido zawsze wygrywał. - Tessa położyła się na plecach na murku, osłoniła oczy ciemnymi okularami i wystawiła twarz ku słońcu.

Freddie wspomniała tamto popołudnie: słońce, upał i pływający w stawie synowie Zanettich, Guido i Sandro; tnące wodę brązowe ramiona, ciemna głowa Guida, mokra, lśniąca.

Cisnęła kamyk do wody.

- Ciekawe, czy mamie odpowiadało mieszkanie tutaj. W końcu to nie był jej dom.

- Po Domenicu chyba już jej to nie przeszkadzało.

Następny kamyk. Chlupnięcie.

- Lubiłam Domenica - stwierdziła Freddie. - Był o wiele sympatyczniejszy od innych kochanków mamy.

- I od ojca też - dodała Tessa.

- Zbyt dobrze go nie pamiętam. Czasem czytał mi coś na dobranoc.

- Ja pamiętam, jak rzucił krzesłem w okno. Mama skaleczyła się w rękę, kiedy zbierała szkło. - Tessa leżała zwrócona twarzą do słońca, a kiedy odgarnęła włosy z czoła, Freddie dostrzegła postrzępioną bliznę. - Kiedy się kłócili, zawsze myślałam, że to moja wina, że nie byłam dość grzeczna.

- Mama wyznała mi kiedyś, że gdy pierwszy raz zobaczyła ojca, wyglądał jak pirat. - Freddie rzuciła do stawu kolejny kamyk. - Zapytałam ją wtedy, czemu wyszła za kogoś, kto wyglądał jak pirat.

- Przy pierwszym spotkaniu ojciec Angela wydał mi się interesujący, przy drugim - zabawny - powiedziała wolno, jakby z wysiłkiem, Tessa. - A po trzeciej randce się w nim zakochałam. - Dwa czarne krążki okularów zwróciły się ku Freddie. - Tego się nie wybiera. To po prostu się dzieje.

Freddie jej nie wierzyła. Podejrzewała, że aby się zakochać, trzeba przynajmniej po części tego chcieć, że to nie jest coś, co się ot, tak, przytrafia, jak potknięcie się o krawężnik - zresztą nawet i tego można przecież uniknąć, jeśli się tylko uważa.

„Możesz tu ze mną zostać. Zastanów się nad tym". Skoro Tessa nie chce wracać do Londynu, to Freddie zostanie tu z siostrą. Zamieszkają w dwóch pokojach nad antykwariatem, znajdzie sobie pracę w sklepie albo może w

biurze, kiedy już zaczniesz trochę płynniej mówić po włosku. Przyzwyczaj się do życia tutaj, a za jakiś czas jej skóra przestanie się czerwienić od słońca.

Niezależnie od tego, co podsuwała jej wyobraźnia, Freddie nie była jednak przekonana do tego pomysłu.

Ściany angielskich herbaciarni zostały pobazgrane ostrymi hasłami, a florenckie hotele, te wszystkie Edeny, Bristole i Britannie, otrzymały nowe nazwy. Włoskie. Większość angielskiej społeczności uciekła z miasta. Brytyjczycy nie byli tu już mile widziani, chwaleni i rozpieszczani jak dawniej. Niektórzy z nich mieszkali we Florencji od dziesięcioleci.

Freddie trudno było uzmysłwić sobie, jak bardzo zmieniło się to miasto, gdyż nie pamiętała go zbyt dobrze. W jej głowie pozostały oderwane, niemające ze sobą nic wspólnego obrazy. Była małą dziewczynką, gdy mieszkała tu z Tessą, mamą oraz panią Hamilton, i zauważała wtedy rzeczy typowe dla dziecka. I może w tym sęk. Już nie jest dzieckiem. Ma dom, przyjaciół, pracę, której będzie jej brakowało, jeśli zostanie z siostrą we Florencji. W przeciwieństwie do Tessy musiała czuć, że jest z czymś związana, nigdy nie lubiła fruwać po świecie i od dawna umiała przystosowywać się do ludzi i sytuacji. Nie zależało jej, by znajdować się w centrum uwagi i w ogóle nie rozumiała, dlaczego niektórzy ludzie za wszelką cenę pragną być tacy oryginalni, jedyni w swoim rodzaju. Współczuła natomiast tym, którzy byli inni wbrew swej woli - jak na przykład pewnej dziewczynie w Westdown, kulejącej po przebytej w dzieciństwie chorobie Heinego-Medina, albo niektórym z korespondentek panny Parrish, kobietom zepchniętym na margines społeczeństwa tylko dlatego, że osiągnęły dojrzałość, gdy wojna zabrała tak wielu mężczyzn -

kandydatów na narzeczonych i mężów. Po co jednak umyślnie pielęgnować różnice? Freddie nie widziała w tym sensu. Można zachować niezależność ducha i myśli, z pozoru będąc taką samą osobą jak wszyscy.

Mama była inna i cóż jej to dało? Tessa nie potrafiła się nie wyróżniać, miała to we krwi, i bardzo przez to cierpiała. Siostra pewnie zdoła zadomowić się w tym mieście. Zawsze była niespokojnym duchem, kosmopolitycznym, egzotycznym wędrownym ptakiem, w przeciwieństwie do Freddie. Jej blada skóra, w odróżnieniu od złotej cery Tessy, spiekała się na słońcu, a od upału bolała ją głowa.

Była Angielką, jakoś niepostrzeżenie stała się nią podczas nauki w szkole i pobytu w Londynie, i dlatego właśnie, cokolwiek by o tym myślała, z Tessą czy bez niej, na dobre czy na złe, wróci do domu. To właśnie stanowiło najważniejsze odkrycie Freddie podczas podróży do Florencji: że jej domem jest Anglia, tak jak domem

Tessy są Włochy - i że choćby stanęła na głowie, siostra i tak tu zostanie.

Przed wejście do budynku dworca Santa Maria Novella podjeżdżały samochody, wypływając umundurowanych oficjeli oraz biznesmenów w czarnych garniturach i kapeluszach. Mężczyźni o łukowatych nosach i cienkich wargach Medyceuszy stali, strzepując pyłki z marynarek, podczas gdy ich szoferzy i sekretarki zbierali bagaże. Tłumy cisnęły się przy kasach; byli tam żołnierze, uczniowie, zakonnice i matki pchające wózki z dziećmi po wypolerowanej posadzce z czarnego marmuru.

Ponieważ Freddie nigdy nie lubiła się spóźniać, dotarły na dworzec o wiele za wcześnie.

- Zmienię ci rezerwację na wagon sypialny - zaproponowała Tessa. - Nie możesz przecież siedzieć aż do samego Paryża.

- Nie, dziękuję - odparła Freddie. - Nie przeszkadza mi to. Miło z twojej strony, ale naprawdę nic mi nie będzie.

- Może jakieś czasopismo na drogę? Masz jakieś?

- Nie chcę. Mam książkę. Zresztą i tak byłoby po włosku. Niczego mi nie trzeba.

- Niczego. - Tessa uśmiechnęła się do niej. - Jak zawsze. Niczego.

- Ciebie mi potrzeba - powiedziała ostrożnie Freddie.

Tessa kiwnęła głową.

- Wiem, skarbie.

- Powinnaś już iść. - Freddie zerknęła na zegar. - Sklep...

- Do licha ze sklepem. Najwyżej się spóźnię.

- Nie, Tesso, idź już, proszę. - Freddie usiłowała się uśmiechnąć. - Bo się rozpłaczę.

Siostra szybko kiwnęła głową. Potem objęły się i mocno uściskały.

- Dasz sobie radę? - spytała Tessa.

- Przecież wiesz, że tak.

- Napisz do mnie, Freddie.

- Obiecuję. I ty też masz do mnie pisać. Często - dodała z naciskiem.

Tessa odeszła. Żołnierze i bogaci faceci ze swymi orszakami rozstąpili się przed nią. Freddie przez parę minut stała jak wryta, a potem nagły impuls, by widzieć siostrę tak długo, jak to tylko możliwe, kazał jej przepchnąć się przez tłum do wejścia i na plac przed dworcem. Tam zobaczyła siostrę, która oddalała się chodnikiem, a potem przeszła pośpiesznie przez ulicę. I taki obraz pozostał jej w pamięci na zawsze: Tessa w soczystozielonej sukience. Wreszcie siostra skręciła za róg i zniknęła.

Siostra szybko kiwnęła głową. Potem objęły się i mocno uściskały.

- Dasz sobie radę? - spytała Tessa.
- Przecież wiesz, że tak.
- Napisz do mnie, Freddie.
- Obiecuję. I ty też masz do mnie pisać. Często - dodała z naciskiem.

Tessa odeszła. Żołnierze i bogaci faceci ze swymi orszakami rozstąpili się przed nią. Freddie przez parę minut stała jak wryta, a potem nagły impuls, by widzieć siostrę tak długo, jak to tylko możliwe, kazał jej przepchnąć się przez tłum do wejścia i na plac przed dworcem. Tam zobaczyła siostrę, która oddalała się chodnikiem, a potem przeszła pośpiesznie przez ulicę. I taki obraz pozostał jej w pamięci na zawsze: Tessa w soczystozielonej sukience. Wreszcie siostra skręciła za róg i zniknęła.

## **Rozdział 8**

Freddie wydostała się z zamętu, czynionego przez auta - głównie taksówki - przed dworcem i znalazła sobie spokojniejsze miejsce. Postawiła walizkę, skrzyżowała ręce na piersi i wzięła głęboki oddech.



Wtem ktoś chwycił jej bagaż.

- Pomogę pani - powiedział.

Pobiegła za nieznajomym.

- Proszę to zostawić!

Obejrzał się szybko przez ramię.

- Skoro pani nalega... - Postawił walizkę na bruku. A potem, bez ostrzeżenia, przyciągnął Freddie do siebie i pocałował.

Błyskawicznie nadepnęła mu na nogę.

- Auu! - zawył. - Boli! Robię to dla Króla i Ojczyzny. Gdzie się podział pani patriotyzm?

Pocałował Freddie znów, mocno, namiętnie w same usta, obejmując ją ramieniem i przyciskając do siebie. Na chwilę zapomniała o bożym świecie. Gdy ją puścił, najpierw zaniemówiła wstrząśnięta, a potem otworzyła usta, aby wzywać pomocy.

- Proszę nie krzyczeć - powiedział cicho. - Nic złego pani nie zrobię, przysięgam, ale jest tam paru dżentelmenów, których staram się uniknąć. - Ponownie chwycił walizkę, a wolną ręką objął Freddie za ramiona, na siłę prowadząc ją w kierunku przeciwnym do dworca. - Szukają jednej osoby, a nie dwóch, przy odrobinie szczęścia nawet nie spojrzą na wychodzącą z dworca parę zakochanych, więc wymkniemy się niepostrzeżenie.

Ciągnął ją przez Piazza Adua.

- Nie chcę się oddalać od dworca! - wykrzyknęła gniewnie. - Zaraz mam pociąg!

- To nie jest dla mnie dobra okolica. Karabinierzy stoją - o tam... - kiwnął głową - a zaraz się tu od nich zaroi. Kłopot polega na tym, że krwawię jak zarzynana świnia i chyba zostawiam za sobą ślad. Więc musimy się stąd szybko wydostać, panno...

- Nicolson - odpowiedziała odruchowo.

- A ja jestem Jack Ransome.

- Nie obchodzi mnie to! Chcę zdążyć na pociąg!

- Szarpnęła za rączki walizki, ale nieznajomy trzymał ją mocno.

- Jak pani sobie życzy. Ale pomyślałem, że odrobina rozmowy uprzyjemni nam podróż.

Prowadził ją wzdłuż Via Fiume. Po obu stronach ulicy wznosiły się duże, solidne gmazyszka.

- Podróż?! - Freddie niemal krzyknęła. - Jaką niby podróż?

- Chcę, żeby wywiozła mnie pani z miasta. Jestem ranny, postrzelili mnie, rozumie pani?

- Na miłość boską! Nie mam czasu na takie zabawy!

- Ani ja. Ale spędzenie wojny we włoskim więzieniu też mi się nie uśmiecha. A to byłoby i tak nie najgorsze wyjście z sytuacji. - Zdjął rękę z jej barków i podciągnął nogawkę spodni. Kostkę miał ciemną od krwi. Freddie gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

- Nic takiego, rana jest płytka - powiedział. - Ale, jak mówiłem, zostawiam za sobą ślad.

Obejrzała się. Kropelki krwi znaczyły chodnik jak czerwony deszcz.

- No chodź.

- Nie.

Utkwił w niej wzrok. Oczy miał chłodnobłękitne, przejrzyste.

Wy tłumaczyła najspokojniej, jak umiała:

- Przykro mi, że ktoś pana zranił, ale nie wiem, w co pan jest zamieszany i nie mam najmniejszej ochoty się tego dowiedzieć. Jeśli zaraz nie wrócę na dworzec, ucieknie mi pociąg. Proszę oddać walizkę i mnie puścić.

- Nie mogę. Zresztą, już przepadło. Jak dopadnie nas OVRA, uznają panią za moją współniczkę, cokolwiek im powiemy.

Teraz się przeraziła. OVRA to faszystowska tajna włoska policja polityczna. Spojrzała do tyłu i dostrzegła u wlotu ulicy trzy ludzkie sylwetki. Szybko zerknęła na Jacka Ransome'a. Może to przestępca, a może wariat. A może ani jedno, ani drugie.

Ściągnęła jedwabną chustkę i mu podała.

- Proszę sobie przewiązać kostkę.

Owinął ranę chustką; Freddie widziała, jak się krzywił. Potem wziął dziewczynę pod rękę i ruszył i Via Nazionale. Utykał i co chwila opierał się na jej ramieniu. Freddie miała wrażenie, że słyszy z tyłu czyjeś kroki.

Skrećili w wąską uliczkę. Po obu stronach wznosiły się wysokie kamienne ściany z oknami o żelaznych kratkach.

Pachniało tu paloną kawą i rynsztokiem. Jack obejrzał się przez ramię; gdy Freddie zrobiła to samo, zobaczyła, że trzech mężczyźni wciąż za nimi idą. Echo ich kroków na bruku wydawało się wypełniać całą uliczkę.

- Do licha - mruknął jej porywacz. - Miałem nadzieję, że ich zgubimy. - Mocniej chwycił Freddie za rękę i puścili się pędem, lawirując między rowerzystami a ciężarówką, z której wyładowywano worki z piaskiem. Minęli dwóch zawzięcie dyskutujących księży.

Uliczka wychodziła na targ. Między straganami kursowali tam i z powrotem tragarze z koszami na głowach. Na stołach piętrzyły się przyzmy lśniących pomidorów i tłuste, kremowe bryły serów. Wielkie pęki ziół suszyły się w słońcu. Niscy, przysadziści mężczyźni zachwalali krzykiem swe towary; ubrane na czarno kobiety siedziały za stołami z haftowaną pościelą.

Jack Ransome posłał wdzięczny, przepaszający uśmiech jednej z przekupek, kobiecie w jutowym fartuchu, a potem odezwał się do niej po włosku. Kobieta kiwnięciem głowy dała znak, by weszli za stragan, odsunęła płócienne przykrycie i wskazała im miejsce pod stołem.

Handlowała rybami; tuż obok stała beczka z solonymi dorszami. Freddie wciągnęła w nozdrza charakterystyczny zapach.

- Co jej pan powiedział? - syknęła.

- Przemówiłem do jej uczuć. Zakochaliśmy się, a twój ojciec i wujowie nie chcą dopuścić do ślubu. Pst. - Przyłożył jej palec do ust.

Freddie dostrzegła trzy pary wyglansowanych czarnych butów i mankiety spodni w przejściu pomiędzy straganami. Serce zatrzepotało jej w piersi. Powinna krzyknąć i liczyć na to, że policja uwierzy w jej wyjaśnienia i pozwoli jej zdążyć na pociąg.

Nie odezwała się jednak. Czarne buty oddaliły się i zniknęły w tłumie. Freddie zamknęła oczy i powoli wypuściła powietrze.

- Powinniśmy już iść - szepnął cicho Jack.

Gdy wygramolili się spod stołu, podziękował przekupce, a potem oddalili się od placu, biegnąc jakimiś ulicami i zaułkami. Przepchnęli się przez tłum i czekali chwilę, aż sznur idących parami dzieci przejdzie przez jezdnię na ruchliwym skrzyżowaniu.

- Potrzebny nam samochód - powiedział Jack.

- Samochód? - Freddie spojrzała nań, nic nie rozumiejąc.

- Mówiłem ci już, że musisz mi pomóc wydostać się z miasta.

Cały czas niósł jej bagaż, a drugą ręką obejmował Freddie za ramiona. Powinna była uciec, póki miała okazję, przywołać tych policjantów na targowisku. Musisz mi pomóc wydostać się z tego miasta, pomyślała. A co potem?

- Panno Nicolson! - rzucił ostro. - Musimy się spieszyć.

Zauważyła, że przechodnie przyglądają im się z zaciekawieniem. Wyróżniali się z tłumy, na pewno rzucali się w oczy. Kuśtykanie Jacka, cudzoziemski krój ich ubrań, rozmowa po angielsku i nerwowe ruchy obojga wzbudzały zainteresowanie przechodniów. Wydało jej się, że słyszy kroki

prześladowców, lecz obejrzawszy się przez ramię, zrozumiała, że to tylko dudnienie jej serca.

Mijali zaparkowane auta.

- Nie, za bardzo charakterystyczny - powiedział Ransome na widok lśniącego mercedesa. - Zbyt dużo ludzi tu się kręci. To mi zajmie minutę lub dwie - orzekł po chwili, spoglądając na poobijaną furgonetkę, stojącą przed ciągiem sklepów.

„Dla Króla i Ojczyzny... postrzelili mnie... żandarmeria". Nonsens, a pewnie i stek kłamstw. Przystojna twarz i angielszczyzna z akcentem znamionującym przynależność do wyższych sfer to żadna gwarancja uczciwości. Ten mężczyzna mógł być kimkolwiek - oszustem, złodziejem, mordercą. Freddie pomyślała tęsknie o swoim pociągu i starannie zaplanowanej podróży, książkach, które miała przeczytać, listach do napisania.

Dotarli na Piazza San Marco, gęsto zastawionego na obwodzie samochodami. Jack uważnie się przyglądał każdemu po kolei. W rogu placu stał rdzewiejący czarny fiat. Jack rozejrzał się na boki, a potem szarpnął za klamkę - drzwi auta były zamknięte.

- Użyczy mi pani szpilki, panno Nicolson?

Z wściekłością wyjęła szpilkę z kapelusza.

- Dziękuję - powiedział. - Proszę się rozglądać, dobrze?

Było gorąco; Freddie przeszła na drugą stronę ulicy, by stanąć w cieniu. Zdjęła zakiet, ale przyłapała się na tym, że przyciska go do siebie jakby dla

osłony. Zrobiło jej się sucho w ustach, nerwy miała napięte jak postronki. Kątem oka dostrzegła jadące ulicą policyjne auto. Jack Ransome też je zauważył i jego dłoń natychmiast znieruchomiła na klamce fiata. Gdy policjanci pojechali dalej, znów kucnął przy zamku.

Mogła teraz odbiec, porzucić walizkę i uciec. Miała przecież torebkę z portmonetką, paszportem i bezużytecznym już biletem na pociąg. Ale w walizce oprócz ubrań i przyborów toaletowych znajdowały się także, ukryte pod podszewką, angielskie pieniądze na czarną godzinę. Zresztą, czy zdołałaby dobiec na dworzec? Jack Ransome zapewne bez trudu by ją dogonił i zatrzymał.

Wyraz jego twarzy i mocny zarys szczęki znamionowały determinację. Freddie wolałaby nie prowokować takiego człowieka. Skoro miał do czynienia z ludźmi noszącymi broń, to może i sam ją nosił?

Wysoki i szczupły Jack Ransome sprawiał wrażenie wysportowanego. Teraz nachylał się nad drzwiczkami wozu, z zaciśniętymi ustami, skupiony na swym zadaniu. Wilgotne ciemnoblonde włosy opadały na czoło. Był dobrze ubrany - na tym akurat Freddie doskonale się znała, Tessa ją nauczyła. Strój, który ten człowiek miał na sobie, choć przybrudzony i podarty, pochodził z pracowni drogiego krawca. Freddie pomyślała o pocałunku, lecz szybko ode-gnała to wspomnienie. Czy „Jack” mówił prawdę? Kim był? Co zamierzał z nią zrobić?

- Panno Nicolson! - zawołał półgłosem.

Przytrzymał drzwi od strony kierowcy. Freddie przeszła przez jezdnię. Oddał jej szpilkę i wpięła ją z powrotem w kapelusz.

- Zawiozę pana do Bolonii - powiedziała spokojnie. - Tam wsiądzie pan sobie w dowolny pociąg, a ja pojedę do domu.

- Żaden pociąg. Drogi są bezpieczniejsze. - Wskazał otwarte drzwi fiata.

Pokręciła głową.

- Nigdzie nie jadę, jeśli mi pan nie powie, dokąd zamierza się udać.

- Jeszcze się nie zdecydowałem. Na początek na północ. - Wbił w nią wzrok. - Pani się nie boi, prawda?

- Oczywiście, że nie - odparła ironicznym tonem.

- Świetnie. Nie wyglądała mi pani na trwożliwe dziew-czątko. Dlatego panią wybrałem.

- Wybrał mnie pan?

- Wiedziałem, że jest pani Angielką, przeczytałem nalepkę na walizce. Wydawała się pani opanowana, żadna tam histeryczka. Domyślam się, że umie pani prowadzić?

Zgromiła go spojrzeniem i siadła za kierownicą, a Jack umieścił walizkę na tylnym siedzeniu. Freddie pomajstrowała chwilę przy przyrządach, wcisnęła gaz, fiat szarpnął i ruszyli. Wpatrywała się uważnie przed siebie, skupiona na wymijaniu zaparkowanych aut i taczki wyładowanej bańkami na mleko. Od ponad roku nie jechała samochodem, a ciężkiego fiata prowadziło się zupełnie inaczej niż maleńkie mg Tessy.

Na skrzyżowaniu Jack Ransome kazał jej skręcić w lewo. Po kilku minutach zapytał:



- Nie umie pani zmieniać biegów?

Silnik wył.

- Nie za bardzo - przyznała.

- Ja zajmę się dźwignią, pani pedałami.

Chwycił dźwignię i dał znak Freddie. Wtedy mocno wcisnęła sprzęgło.

- Lepiej, żebyśmy nie spalili skrzyni - powiedział Jack.

Musiała przyznać, że dzielnie się trzymał. Zerknęła w dół: krew przesączała się przez jej chustkę na podłogę. Wolałaby, żeby jej tu nie umarł.

- Jak tylko znajdziemy jakieś ustronne miejsce - powiedziała - zatrzymamy się i spróbuję panu porządnie zabandażować tę nogę.

Otrzymała kolejne wskazówki. Kierowali się na północ, za miasto. Zauważywszy drogowskaz na Fiesole, Freddie z rozmarzeniem przypomniała sobie wycieczkę z Tessą zaledwie parę dni temu.

Niebawem zostawili za sobą domy i znaleźli się na otwartej przestrzeni. Freddie powoli przestawała się bać, chociaż nie było ku temu racjonalnych przesłanek. Nieznajomy mógł ją zamordować i zawlec jej ciało do lasu. Z daleka widziała dróżkę prowadzącą między drzewa. Skręciła w nią i podjechała kawałek, dopóki nie zyskała pewności, że auta nie widać z drogi. Dopiero wtedy stanęła. Wąską, trawiastą ścieżkę otaczały gęsto rosnące jodły.

Jack wygramolił się z samochodu, usiadł na progu i zaczął rozsznurowywać but. Freddie zauważyła, że bardzo zbladł. Gdyby teraz

zemdłał, może udałoby jej się wycofać samochód z powrotem na szosę. Albo pobiegnie do najbliższego skrzyżowania i kogoś zatrzyma... a potem pojedzie do domu.

Jej porywacz gwałtownie łapał powietrze. Oddychał z trudem. Była na niego zła, lecz niespodziewanie zrobiło jej się go żal. Wyjęła z auta walizkę i otworzyła ją na trawie.

- Mam aspirynę - powiedziała. - O tu, w torebce. Proszę sobie wziąć. Pomogę panu z tą skarpetką... oj, przepraszam, spróbuję tak, żeby nie bolało. Proszę mówić do mnie. Cokolwiek. Najlepiej o naszej obecnej sytuacji. Ja zaspokoję ciekawość, a pan nie będzie tak skupiony na bólu. Zresztą, jeśli mam już poświęcić własne ubranie, żeby obandażować panu nogę, to niech mi pan przynajmniej wyjaśni, o co w tym wszystkim chodzi.

- No dobrze. - Zmarszczył czoło. - Tylko nie wiem, od czego zacząć.

- Od tego, co zwykle... wiek, pochodzenie, miejsce urodzenia, rodzina, zawód. - Zsunęła mu skarpetkę. - Proszę też wyjaśnić, jak doszło do tego, że biega pan po Florencji z kulą w nodze.

Czoło miał zroszone potem. W łydce, tuż nad kostką, widać było głęboką, nierówną ranę. Freddie zastanawiała się, czy ma jakiś środek dezynfekcyjny. Pogrzebała w walizce, znalazła ręcznik i mały metalowe pudełeczko z maścią germolene.

- No dobrze - westchnął. - Dwadzieścia dwa lata. Urodzony w Norfolk. Rodzice, z tego co wiem, jeszcze żyją. Dwie siostry, brat... Marcię i Rose bardzo lubię, ale George jest nudny jak flaki z olejem. Zawód - w sumie nic konkretnego. Trochę podróżowałem. Bardzo lubię Włochy.

Freddie przycisnęła ręcznik do rany.

- Bardzo dobrze pan mówi po włosku.

- Dziękuję. Dość długo tu mieszkam.

- Jakbyśmy mieli jakąś wodę, mogłabym to oczyścić jak należy. Ale chociaż trochę to przetrę.

- Była pani skautką, panno Nicolson?

- Tak - przyznała niechętnie. - Proszę mówić dalej.

- No cóż, znałem parę osób w Foreign Office. I kilka lat temu usłyszałem, że w ministerstwie chętnie by się dowiedziano, co będzie się działo we Włoszech, kiedy wybuchnie wojna.

- „Kiedy”? - powtórzyła, unosząc głowę. - Nie „jeśli”?

- Obawiam się, że to już przesądzone.

Oj, Tesso, pomyślała Freddie.

- Poprosili mnie, żebym trochę nadstawiał uszu, patrzył, w którą stronę wieje wiatr. Więc to robiłem. I tak to się rozwijało. Tu zadałem parę pytań, tam z kimś porozmawiałem, by wysondować, czy Mussolini jest gotów do wojny, jaką opcję wybierze i w jakim kierunku to wszystko zmierza. Zbierałem informacje o uzbrojeniu, jeśli była po temu okazja...

Jej serce przyspieszyło gwałtownie.

- Pan jest szpiegiem.

- Wygląda na to, że tak. - Drgnął. - Auu!

Spojrzała nań karcącym wzrokiem.

- Niech pan tak się nie pieści i nie utrudnia mi pracy.

- Wielka Brytania nadskakiwała Włochom od lat. I nasi paskudnie się przeliczyli - rzucił ze złością.

- Czemu?

- Przez ostatnie parę lat powinniśmy starać się ze wszystkich sił, by zawrzeć układ ze Związkiem Sowieckim. Oczywiście nie zrobiliśmy tego, bo się boimy komunizmu. Rząd najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że większym zagrożeniem jest faszyzm. W końcu chyba to sobie uświadomili, ale mam przeczucie, że trochę za późno.

Max mówił dokładnie to samo. Freddie oczyściła ranę najlepiej, jak umiała. Przyjrzała się jej niepewnie.

- Powinien pan pójść do lekarza. Tam może być kula.

- Nie wydaje mi się. - Wyszczерzył zęby. - Poza tym, ufam pani umiejętnościom, panno Nicolson.

- Nie uczyli nas w skautkach, jak się zszywa rany postrzałowe.

Jack parsknął śmiechem.

- Nie? A szkoda.

- Nie wyjaśnił pan jeszcze...

- Na początku wszystko szło gładko. Przekazałem parę wiadomości, które udało mi się zebrać, a w kraju pogłaskano mnie po główce i wysłano z powrotem do Włoch. Tym razem musiałem jednak gdzieś się potknąć, bo

wczoraj wróciłem do mieszkania, a tam czekało na mnie paru zbirów. Udało mi się uciec, złapałem pierwszy pociąg, który odjeżdżał z Rzymu...

- Z Rzymu?

- Tak, mieszkam w Rzymie. Dojechałem tylko do Arezzo, ale z rana ktoś mnie podwiózł pod Florencję. Myślałem, że ich zgubiłem, niestety, czekali przed dworcem. Gonili mnie, a jednemu udało się trafić mnie w kostkę.

Kazała mu przycisnąć do rany tampon z kawałka ręcznika, a sama zaczęła drzeć na pasy bawełnianą spódnicę. Lubiła ją. Straciła już dwie rzeczy, spódnicę oraz chustkę, którą dała mu we Florencji. Tak usilnie starała się prowadzić rozsądne życie, a tymczasem los wplątywał ją w cudze nieszczęścia.

Gdy owijała pasami materiału tampon z ręcznika, Jack zapytał:

- A pani? -Ja?

- Miejsce urodzenia?

- Włochy.

Uniósł brwi.

- To dokąd jechała pani tym pociągiem?

- Docelowo do Anglii. Mieszkam tam od dwunastego roku życia.

- Rodzice?

Pokręciła głową.

- Oboje nie żyją. Mam siostrę we Florencji.
- Zawód?

Freddie związała zaimprovizowany bandaż.

- Pracuję u pewnej damy, panny Parrish. Przepisuję listy, prowadzę dokumentację i tym podobne rzeczy.

Okazało się, że jej życie niezmiernie łatwo daje się zamknąć w kilka zgrabnych zdań. Mizernie to wyglądało. Jack był potwornie blady. Czy jeśli zemdleje, będzie umiała go tu zostawić? Może umrzeć z upływu krwi albo, co gorsza, znajdzie go włoska policja. Freddie pomyślała, że z pewnością go nie zostawi na pastwę losu; byłoby to nieludzkie. Poza tym, jeśli mówił prawdę, pracował dla ich kraju. Co oznaczało, że chcąc nie chcąc, była na niego skazana, dopóki nie uda im się wydostać z Włoch. Ale jak mieli to zrobić?

Pakując swoje rzeczy z powrotem do walizki, powiedziała wolno, z namysłem:

- Mówił pan, że pociągi nie są bezpieczne. Ale kiedy będziemy przejeżdżać przez granicę samochodem, policja na pewno przyjrzy nam się uważnie. Mogą pana rozpoznać.

Uśmiechnął się do niej szeroko.

- Nie będziemy przejeżdżać samochodem przez granicę.
- To co zrobimy?
- Przepełniemy przez granicę - odpowiedział.

Jack Ransome miał na wybrzeżu liguryjskim jakąś zaprzyjaźnioną osobę, kilka kilometrów na południe od Rapallo. Był pewien, że znajdzie kogoś, kto przewiezie ich łodzią na drugą stronę, do Francji. Cały czas to robią, mówił, rybacy ciągle przemycają to i owo z kraju do kraju, więc czemu nie mieliby przetrzucić jakiegoś zabłąkanego Anglika i Angielki na pustą plażę gdzieś na Lazurowym Wybrzeżu?

Do przejechania mieli ponad sto pięćdziesiąt kilometrów. Jack mniej więcej znał drogę, bywał w północno--zachodnich Włoszech. Powiedział, że pojedą na zachód przez Pistoię i Montecatini Terme, a potem nadbrzeżną szosą do Rapallo - choć może byłoby lepiej, dodał po namyśle, trzymać się z dala od La Speccii i znajdującej się tam bazy marynarki. Zajmie to dzień czy dwa, ocenił. Jeśli dopisze im szczęście, może nawet uda się znaleźć jakiś nocleg.

Droga wiodła u podnóża Apeninów. Z dala widać było szczyty, nawet teraz, w połowie maja, pokryte śniegiem. Raz czy dwa, mijając chłopca pędzącego stado gęsi, albo ubraną na czarno kobietę, zatrzymywali się i pytali o kierunek. Freddie nabrała już wprawy w prowadzeniu auta, które łatwo połykało kolejne kilometry. Biegi zmieniała płynnie, a koła jechały dokładnie tam, gdzie chciała. Wszystko będzie dobrze, powtarzała sobie w myślach. Pojedzie do Rapallo. Jeśli Jack chce płynąć do Francji, to droga wolna, ale ona z pewnością nie zamierzała mu towarzyszyć. Nie będzie ryzykować życia i zdrowia na jakiejś łódce na Morzu Liguryjskim. Po prostu wsiądzie w pociąg do domu.

Zatrzymali się w Prato, żeby kupić chleb, ser, butelki wody i wina. Zjedli, siedząc na ławce pod miastem - to znaczy Freddie jadła, a Jack

przełknął parę łyków wina. Potem ruszyli dalej, objeżdżając bocznymi drogami Pistoię. Słońce stało wysoko na niebie, Jack w końcu zdrzemnął się, oparłszy głowę o szybę. Jego skóra przybrała szarawy odcień. Freddie myślała o jego postrzępionej ranie, o tym, że nie mógł jeść i jak szybko wypił wino.

Po południu, ujrzawszy drogowskazy do Montecatini, Freddie podjechała do miasta. Jack spał. Znalazła stację benzynową i kupiła paliwo. Zapytała, gdzie jest apteka. Zostawiwszy go śpiącego w samochodzie, przeszła na drugą stronę placu. Sprawdziła w kieszonkowym słowniku, jak po włosku jest „gaza” i „bandaże”, ale chyba źle to wymawiała, bo aptekarz, przysadzisty mężczyzna ze skwaszoną miną, wykrzywił usta, niczego nie rozumiejąc. Kiedy powtórzyła te słowa parę razy i pokazała owijanie ręki bandażem, uniósł się powoli i rzucił na ladę kilka paczuszek. Przypomniała sobie jeszcze o aspirynie, która na szczęście po włosku nazywała się prawie tak samo, oraz środka odkażającym. Wypatrzyła odpowiednią butelkę, jeszcze raz odegrała pantomimę i aptekarz nalał jej odrobinę do małej fiolki. Potem coś powiedział. Freddie wyłapała tylko słowo dottore. Zaśmiała się, kręcąc głową. Nie, nie, nie potrzeba lekarza.

Aptekarz podliczył rachunek. Freddie, szukając monet w portmonetce, czuła na sobie nieżyczliwe spojrzenie.

- InglesP. - zapytał nagle.

Położyła pieniądze na ladzie, zgarnęła zakupy i wyszła ze sklepu. Przechodząc przez plac do samochodu, obejrzała się. Stał w otwartych drzwiach i patrzył za nią. Potem splunął na bruk. Poszła dalej, starając się nie przyspieszać kroku.



Jack zamrugał powiekami i się obudził. Freddie wsiadła na miejsce kierowcy i zamknęła drzwi. Cała się trzęsła.

- Chyba popełniłam błąd - powiedziała.

Od razu stał się czujny.

- Co się stało?

- Poszłam do apteki, żeby kupić bandaż. Aptekarz chyba nabrał podejrzeń. Nie wiem, nie jestem pewna.

Dziwnie na mnie patrzył i pytał, czy jestem Angielką. Przepraszam.

- To nie pani wina. - Wyprostował się. - Pewnie to nic takiego, ale lepiej ruszajmy dalej. - Uśmiechnął się. - Wiedziemy z miasta, opatrę sobie kostkę i siądę za kierownicę. Przespałem się i czuję się znacznie lepiej.

Oddalili się o parę kilometrów od Montecatini i zjechali w polną drogę. Jack wysiadł z samochodu, żeby przemyć i obandażować stopę, Freddie została na miejscu kierowcy. Czowała się wyczerpana, to denerwujące zajście w aptecce naruszyło jej rezerwy sił. Każdy dźwięk: odległe ryknięcie silnika czy szczekanie psa, sprawiał, że podskakiwała.

Jack wrócił do samochodu.

- No, teraz dużo lepiej. Dziękuję pani za te środki z apteki. Proszę się przesunąć, poprowadzę.

Zamienili się miejscami, Ransome uruchomił fiata i ruszyli. Freddie zamknęła oczy i natychmiast zasnęła.

Przebudziwszy się, zamrugała powiekami.

- Która godzina? - zapytała.
- Koło siódmej.
- Gdzie jesteście?
- Niedaleko od wybrzeża.

Ta wiadomość dodała jej otuchy. Wyobraziła sobie, że znajdą mały hotelik i zostaną tam na noc. Marzyła o porządnej kolacji, kąpieli, odpoczynku w łóżku; o odrobinie normalności.

Jack zerknął na nią.

- Chyba jeszcze pani nie przeprosiłem, że pokrzyżowałem jej plany i zaciągnąłem aż tutaj.

- Cieszyłam się na miłą, spokojną podróż pociągiem do domu. Lubię jeździć pociągami. Można wtedy przemyśleć różne sprawy.

- Odwiedzała pani siostrę?

- Tak. - Popatrzyła w boczne okienko. Zaczynało się ściemniać, intensywny błękit popołudniowego nieba ustąpił brzoskwiniowo-lawendowemu zmierzchowi. Wydawało jej się, że już całe wieki nie widziała Tessy. Musiała powtarzać sobie w myślach, że przecież było to dziś rano. Westchnęła. - Przyjechałam do Włoch, żeby przekonać Tessę do powrotu do Anglii.

- Nie chce wracać?

Freddie pokręciła głową.

- Musiałam jednak spróbować. Co się stanie, jeśli wybuchnie wojna, co myślą na ten temat ci pańscy koledzy z ministerstwa?

Płynn timer zmienil bieg.

- Myślę, że Włochy zachowają neutralność.
- Oby mieli rację.
- Jeśli się nie mylą, pani siostra jest bezpieczna.

Była mu wdzieczna za te słowa, chociaż podejrzewała, że nie są do końca szczere i powiedział tak, by jej dodać otuchy.

- Niestety - dodał w zamyśleniu - ja przez jakiś czas nie będę mógł tu wrócić...

- I co pan zrobi? Pojedzie do Norfolk?

- Broń Boże, nie. Zanudziłbym się tam na śmierć. Najprawdopodobniej zgłoszę się do wojska. A to się mój brat zdziwi... uzna, że Jack wreszcie robi coś pożytecznego.

- Pan jest najstarszy?

- Trzeci z czwórki. Najpierw George, potem Marcia, ja i na końcu Rose.

- Mają rodziny?

- George i Marcia. Marcia ma dwóch synów, moich siostrzeńców. Przypuszczam, że George i Alexandra, jego żona, w końcu przestaną się kłócić i spłodzą potomka. Rose skończyła siedem lat, więc jeszcze ma czas na zamążpójście.

- Jak to miło mieć taką młodszą siostrę.
- O tak, kochana kruszyna. Ma bzika na punkcie psów i koni.
- A jak pana kostka?
- Dobrze.

Patrząc jednak, jak prowadzi, widziała, że się krzywi i zaciska zęby przy każdym naciśnięciu na gaz.

- Jestem głodna - powiedziała, chcąc mu pomóc. - Możemy gdzieś stanąć i coś zjeść?

- Spróbuję coś znaleźć.

Przejechał parę kilometrów, a potem, zauważywszy trawiaste zbocze upstrzone srebrzystymi brzoškami, skręcił z drogi i podjechał kawałek pod górę. Drzewa rzucały długie, wąskie cienie, nisko na niebie pojawił się księżyc, żółty i duży. Siedząc na oświetlonej reflektorami auta trawie, Freddie przełamała kawałek chleba na pół, a Jack pokroił scyzorykiem ser.

- Zerknę jeszcze raz na ten opatrunek - powiedział i poszedł pod górę, głębiej między drzewa. Freddie wstała, ziewnęła, przeciągnęła się i zaczęła zbierać resztki jedzenia. Było już prawie ciemno, miała wrażenie, że słyszy hukanie sowy, ale gdy tylko próbowała się w nie wsłuchać, ucichło w szmerze brzoż.

Wtem usłyszała inny dźwięk, basowy pomruk samochodu na drodze, którą przed chwilą jechali. Jakiś odruch, żeby nie zwracać na siebie uwagi, kazał jej podbiec do auta i wyłączyć silnik. Zgasły reflektory fiata. Warkot narastał. Freddie stała bez ruchu, gdy pojazd mijał ich, sunąc leżącą w dole

drogą. Był duży, czarny, w środku siedziało czterech mężczyzn. Wydało jej się - pewna nie była - że dwóch z nich jest w mundurach. Gdy samochód przejechał, obejrzała się i zobaczyła, że Jack wrócił z lasu.

- Myśli pan, że to nas szukali? - spytała.

- Nie wiem. Pewnie nie mieli z nami nic wspólnego. - Wsunął bandażę do kieszeni marynarki. - Ale odczekajmy pięć minut.

Wsiedli z powrotem do auta. To szpieg, myślała Freddie, a ja pomagam mu uciec przed policją. Jedziemy kradzionym samochodem przez obcy kraj. Zostałam w to wszystko wplątana, więc jeśli nas złapią, na pewno nie uniknę kary. Szpiegów się rozstrzeliwuje. Poczowała nagły skurcz w żołądku.

Czekali w milczeniu.

- Chyba powinniśmy trzymać się dalej od nadbrzeżnej szosy. Znajdę inną trasę - powiedział w końcu Jack. Freddie uruchomiła silnik i pojechali.

Tej nocy spali w samochodzie. Po kilku godzinach jazdy wąskimi drogami, wijącymi się pośród wzgórz i dolin, zaparkowali obok przepływającego pod szpalerem jodeł strumienia. Odpoczną tu parę godzin, powiedział Jack. Splótł ramiona, rozparł się na fotelu i zamknął oczy.

Freddie była bardzo zmęczona, ale myśli kłębiły jej się w głowie po tym długim, pełnym napięcia dniu. Przewijały jej się kolejne sceny, odcisnięte w pamięci jak wzory na tkaninie. Tessa w zielonej sukience, oddalająca się od dworca. Pocałunek, „robię to dla Króla i Ojczyzny”. Aptekarz w Montecatini i duży czarny wóz na nadbrzeżnej szosie.

Obudziła się o świcie po niespokojnej drzemce. Jack nadal spał. Patrząc na niego, złapała się na tym, że w myślach szkicuje jego profil: ładnie wykrojony podbródek, nos niemal prosty z nieznacznym garbkiem, kształtne usta i jasne włosy opadające na czoło. Musiała przyznać, że jest przystojny. Całowała się z nim, a teraz także, w pewnym sensie, z nim spała. Wstrząsnęło ją spostrzeżenie, że mimo wszystko nadal uważa go za atrakcyjnego mężczyznę. Miała nadzieję, że to chwilowe zaburzenie, wynikłe z niecodziennych okoliczności ich podróży. Poruszył się; Freddie pospiesznie złapała walizkę i wysunęła się z samochodu. Klękła przy strumieniu i zamoczyła kawałek materiału w lodowatej wodzie, żeby obmyć twarz.

Ruszyli dalej. W małej, zakurzonej wsi znaleźli sklep i kupili prowiant na drogę. Jack porozmawiał ze sklepikarzem i mężczyzna przyniósł im maleńkie, wyszczerbione filiżanki mocnej, gorącej kawy, która wydawała się rozchodzić po ciele jak prąd. Freddie, wspaniale ożywiona po kawie, poczuła się nieswojo. Te wioseczki na pogórzu Apeninów były tak odludne... Z pewnością niezmiernie rzadko przejeżdżał tędy ktoś obcy. Wyróżniali się na tle tej zamkniętej społeczności. Podejrzewała też, że ich niechlujny wygląd i brak atrybutów turysty czy wędrowca - aparatów, plecaków, mocnych butów - jeszcze bardziej zwraca na nich uwagę.

Ruszyli po raz kolejny. Tym razem Freddie prowadziła, a Jack pilotował. Nie mieli mapy, lecz niemal instynktownie wyczuwał, w którą stronę jechać. Ramiona Freddie zeszywniały od ściskania kierownicy, oczy piekły. Poruszali się teraz wolniej, drogi były kręte i węższe niż poprzedniego dnia, niektóre nawet nieutwardzone. Freddie zmuszała się do skupienia, ale od czasu do czasu ogarniała ją dziwna bezwolność. Powinna być już w Paryżu,

jechać metrem na Gare du Nord, by udać się pociągiem na prom i popłynąć do Anglii. Tymczasem miała przed sobą kolejny odcinek drogi niczym nieróżniący się od tego, który pokonała rano, podobne wysokie wzgórza, żyzne, zielone doliny.

Wczesnym popołudniem musieli znów skręcić ku wybrzeżu, by kupić gdzieś benzynę. Po długiej jeździe trafili w końcu do kowala. Kuźnia stała pomiędzy rozsianymi wzdłuż drogi małymi domkami. Na podwórzu, zasłanym starymi oponami i rdzewiejącymi narzędziami gospodarskimi, znajdowała się pompa do paliwa. W ciemnych czeluściach kamiennego budynku rozbłyskiwały pomarańczowe iskry i ogień.

Freddie wysiadła z samochodu, Jack poszedł zapytać o benzynę. Zauważyła, że coraz bardziej kuleje, szedł nierównym, sztywnym krokiem. Drzwi się otworzyły i z warsztatu wyszedł mężczyzna w roboczym kombinezonie. Jack odezwał się do niego, tamten coś odpowiedział, a potem się skrzywił, popatrzywszy na samochód. Freddie przeszła kawałek, by rozprostować nogi. Z jednego z domków wyjrzała jakaś dziewczynka. Przez chwilę gapiła się z paluszkami w buzi na nieznajomą, a potem pobiegła z powrotem do środka. Nic dziwnego, że się przestraszyła, na pewno wyglądam okropnie, pomyślała Freddie.

Już niedaleko, pocieszała się w duchu. Jack twierdził, że znajdują się kilka kilometrów od La Spezii. Jeśli im się poszczęści, wieczorem dojadą do Rapallo. A więc jeszcze tylko parę godzin i ten koszmar się skończy. Jack nadal rozmawiał z kowalem. Marszczył czoło, a właściciel warsztatu wymachiwał rękami. Podeszła bliżej, nadstawiając ucha, ale mówili za

szybko, żeby mogła coś zrozumieć, a w dodatku kowal miał gwarowy akcent.

W końcu odwiesił wąż paliwowy na pompę i wrócił do pracy.

Jack odwrócił się do Freddie.

- Podobno dzisiaj rano była tu policja.

- Policja? - Przeszedł ją dreszcz. - Czego szukali?

- Wygląda na to, że nas. Dopytywali się, czy widział czarnego fiata, czy nie pojawili się tu jacyś cudzoziemcy. - Zniżył głos. - Facet jest komunistą, więc nie przepada za włoskim rządem ani policją. Nie bój się, to było kilka godzin temu, pojechali dalej, wszystko będzie dobrze.

- Panie Ransome! Jak pan może tak spokojnie o tym mówić! - wykrzyknęła, ogarnięta furją. - Znają nasz samochód! Szukają nas!

Posłał jej pocieszający uśmiech.

- We Włoszech są setki czarnych fiatów. Będziemy uważać. To już niedaleko, naprawdę. Będzie dobrze, obiecuję.

- Dobrze? - przedrzeźniała go piskliwie. Opuściła wzrok. Sandały miała pozdzierane i brudne, sukienkę wygniecioną i była nieprzytomna z braku snu. - Nie widzę w tym nic dobrego.

- Panno Nicolson, przepraszam, że panią w to wpłatałem. - Teraz przynajmniej jego skrucha sprawiała wrażenie szczerzej. - Jeśli chce pani się odłączyć, doskonale to rozumiem i nie będę pani zatrzymywał.



- Nie wydaje mi się - wtrąciła z ironią w głosie - żeby stąd odchodził co godzinę jakiś autobus.

- Zapewne ma pani rację. Jak dobrze pójdzie, czeka panią jazda chłopskim wozem. Ale proszę posłuchać i tak się nie denerwować. Kowal zaproponował, że pokaże nam drogę omijającą La Spezie. W ten sposób unikniemy kłopotów.

- Skąd pan wie, że można mu ufać?

- Nie wiem. Ale nie mamy wyboru.

Wytrzeszczyła oczy, szybko odwróciła się na pięcie, wsiadła do auta, trzasnęła drzwiami i włączyła silnik. Kowal ruszył ciężarówką, Freddie wyjechała na drogę tuż za nim. Jechali w głąb lądu, między wzgórza. Chcę tylko dotrzeć do Rapallo, pomyślała, tam nareszcie go zostawię. Nie mogła się już tego doczekać.

Niespodziewanie doznała olśnienia i głośno jęknęła.

- Co się stało? - zapytał Jack. - Dobrze się pani czuje?

- Kowal powiedział, że policja wie o mnie?

- Obawiam się, że tak. Młoda Angielka... jasna cera, ciemne włosy i oczy. Wyglądała, jakby się spieszyła. To chyba dość trafny opis.

Znów się uśmiechał, ale nie chciała na niego patrzeć. Utkwiła wzrok w drodze wijącej się przed autem i pnącej coraz wyżej na wzgórza. Jeśli policja oprócz Jacka szuka także jej, oznacza to, że nie będzie mogła bezpiecznie przejechać przez granicę pociągiem. Nie miała wyboru:

popłynie do Francji jakimś paskudnym kutrem rybackim. Freddie z trudem powstrzymała ciężkie westchnienie.

Fiat podskakiwał i szarpał na wyboistej drodze.

- Za dużo gazu - powiedział Jack. Trzymał się mocno deski; widziała, jak zaciskał zęby, gdy autem trzęsło.

Jechali za ciężarówką kowala przez kilka kilometrów, wspinając się na gęsto zalesione pogórze. W pewnej chwili mężczyzna się zatrzymał, opisał im dalszą drogę, po czym zawrócił do domu. Gdy stracili go z oczu, okolica wydała im się jeszcze bardziej odludna i mieli wrażenie, że znaleźli się gdzieś na pustkowiu. Przez parę godzin niewiele mówili do siebie. Jack tylko od czasu do czasu pytał Freddie, czy nie chciałyby na chwilę wysiąść. Za każdym razem przecząco kręciła głową. Jechała tak szybko, jak pozwalała na to droga. Do pośpiechu zmuszała ją świadomość, że są poszukiwani. Często zerknęła we wsteczne lusterko, jednak na tych drogach rzadko pojawiał się jakiś pojazd. W pewnym momencie przejechali przez las ścieżką poraną głębokimi koleinami. Minęli wymalowane wozy i stojące w cieniu wielkich gałęzi konie. Kobieta z niemowlęciem na ręku, pochylająca się przy kociołku zawieszonym nad ogniskiem, odprowadziła wzrokiem podskakującego na wybojach fiata.

Wyjechali spod osłony drzew na otwarty teren. Wysoko na niebie krążył drapieżny ptak, szybując w powietrznych prądach. Przydrożne łąki były upstrzone kwiatami we wszystkich kolorach. Freddie zapomniała na chwilę o strachu, zachwycona roztaczającym się dokoła pięknem.

- Obawiam się załamania pogody - powiedział Ransome. Powiódłszy wzrokiem za jego spojrzeniem, zobaczyła, że na wschodzie, za szarymi szczytami gór kłębią się chmury.

Jechali dalej. Freddie odniosła wrażenie, że do znanego jej już doskonale zestawu grzechotań i skrzypnięć fiata doszły dziwne, zgrzytliwe jęki. Dogoniły ich chmury i w przednią szybę uderzyły krople deszczu wielkości drobnych monet. Zużyte wycieraczki nie nadążały z usuwaniem wody, Freddie wydawało się więc, że patrzy przez szarobrązową rozmazaną ścianę. Była już tak zmęczona, że nie miała siły się bać; wręcz zapomniała o strachu.

Wycie się nasiliło. Gdy zjeżdżali ze stromego wzniesienia, Freddie poczuła, że auto ściąga w bok.

- Stań - rzucił stanowczo Jack. - Hitaj, pod tymi drzewami.

Z trudem skręciła fiatem na pobocze i zahamowała. Jack wysiadł i pochylił się nad przednim lewym kołem.

- Przeklęty szmelc.

- Co się stało?

- Nakrętki się poluzowały. Pewnie od tych wybojów. Muszę je dokręcić, bo odpadnie nam koło.

Otworzył kufer, żeby poszukać narzędzi. Freddie wysiadła.

- Mogę jakoś pomóc?

- Nie bardzo. Trochę to potrwa, radzę rozprostować nogi.

Wyjęła z walizki płaszcz, włożyła go i naciągnęła kaptur. Deszcz przybrał na sile. Jedząc jabłko, zeszła ze wzgórza. Droga skręcała ku mglistoszarej dolinie. Freddie zastanawiała się, czy przy lepszej pogodzie widziałyby już morze w oddali. Bolały ją wszystkie mięśnie, ze zmęczenia, a także z powodu towarzyszącego jej od dłuższego czasu napięcia. Miała wrażenie, że ta podróż trwa już całe wieki. Gdy się obejrzała, zobaczyła Jacka przy fiacie. Miała nadzieję, że po naprawie szybko pokonają kilka ostatnich kilometrów i już niedługo będzie bezpieczna.

Doszedłszy do zakrętu, zobaczyła jakieś światła. Zatrzymała się, próbując przeniknąć wzrokiem zasłonę deszczu.

To były reflektory kilku samochodów, stojących w poprzek drogi. Siedzący w nich ludzie najwyraźniej na kogoś czekali. Serce zamarło jej w piersi.

Puściła się pędem w stronę auta. Jack zerwał się na nogi.

- Co się dzieje?

- Widziałam samochody, chyba policyjne. Stoją na drodze, zaraz za zakrętem!

- Cholera. - Sposepniał.

- Będziemy musieli zawrócić.

Pokręcił głową.

- To się nam, niestety, nie uda.

Freddie wybałuszyła oczy.

- Dlaczego?

- Zgubiliśmy nakrętkę, a druga jest tak zgięta, że nie mogę jej dokręcić. A koła zapasowego nie ma. Zresztą - dodał, wrzucając klucz do bagażnika - skoro jest jedna blokada, mogą być następne. Nie ma rady, musimy iść pieszo.

- Iść? - Przeraziła się nie na żarty.

- Do morza jest z piętnaście, szesnaście kilometrów. Podoła pani?

W milczeniu kiwnęła głową.

Spakowali resztki jedzenia do walizki Freddie, po czym wepchnęli biednego, wiernego fiata między drzewa. Niemal bezszelestnie stoczył się do płytkiego parowu. Ruszyli pieszo trawiastym zboczem, oddalając się od drogi. Jack niósł walizkę, Freddie szła obok niego.

Wędrówka była powolna i trudna. Teren pokrywały kępy gęstej trawy, co chwila napotykali też spadziste osuwiska z piargami. Każdy nieznaną dźwięk powodował, że Freddie podskakiwała ze strachu. „Nie mam czasu na takie zabawy”, powiedziała mu wczoraj, a jednak musiała szczerze przyznać, że ta niebezpieczna wyprawa miała swój urok. Mijane krajobrazy, blask księżyca na wzgórzach - na zawsze zapamięta te piękne widoki i atmosferę przygody.

Lecz teraz nie było już przyjemnie. Deszcz przemoczył jej cienki płaszcz, pończochy miała podarte, sandały nasiąknięte wodą. Przeraziły ją tamte samochody, stojące w poprzek drogi. To już nie była zabawa. Zawładnął ją strach. Tak niewiele brakowało, by wpadli na blokadę.

Gdyby nie obluzowało się koło, nie dostrzegliby w porę policyjnych aut. Zostawiali za sobą wyraźne ślady, widział ich aptekarz w Montecatini Terme, sklepikarz we wsi na wzgórzu, kowal i Cyganie w lesie. Nietrudno było wyciągnąć wniosek, że uciekinierzy zmierzają na wybrzeże. Policja będzie obserwować wszystkie drogi prowadzące nad morze. Może karabinierzy już przeszukują wzgórze. Mogą mieć psy - zdawało jej się, że słyszała jakiś skowyt, szczekanie, lecz kiedy odwróciła głowę, widziała za sobą tylko wzgórze.

Z grafitowego nieba lały się strugi wody. Rozpętała się gwałtowna nawałnica. Mijały godziny, a Freddie nieustrudzenie maszerowała naprzód, ze wzrokiem utkwionym w wysoką sylwetkę idącego przed nią Jacka. Powinna zaproponować, że sama poniesie walizkę, mając na uwadze jego zranioną nogę, ale nie była w stanie wykrzesać z siebie dodatkowych sił. Mogła mu powiedzieć, żeby zostawił walizkę - jej zawartość pewnie i tak już nadawała się do wyrzucenia, lecz była zbyt zmęczona, nawet by się odezwać. Od czasu do czasu Jack oglądał się przez ramię, posyłał jej krzepiący uśmiech i pytał, czy wszystko w porządku. W odpowiedzi jedynie kiwała głową. Zerknęła na zegarek, potykając się przy tym na nierównym gruncie, i stwierdziła, że jest prawie ósma. Szli od wielu godzin i powoli robiło się ciemno. Marsz w zapadającej ciemności wymagał wielkiego skupienia; nerwy miała napięte do granic wytrzymałości.

Doszli do strumienia. Jack przeszedł przez wodę.

- Nie jest głęboko - powiedział. - Da pani radę?

Freddie weszła do strumienia. Płynąca woda płynęła wprost po gładkich kamieniach i drobnym żwirze. Oglądając się za siebie, dostrzegła w połowie

zbocza błysk światła. Czy były to reflektory samochodu, czy latarka? Przerazona, przyśpieszyła, chcąc jak najszybciej przedostać się na drugą stronę.

Pośliznęła się na mokrym kamieniu i wpadła do lodowatej wody, boleśnie raniąc kolana. Krzyknęła.

- Panno Nicolson... - Jack wyciągnął do niej rękę.
- Idź sobie! - wrzasnęła. - Daj mi spokój!

Kłęczała w lodowatej wodzie, opierając się rękoma o dno dla zachowania równowagi. Poczawszy pod pachami jego dłonie, krzyknęła ponownie:

- Nie dotykaj mnie!

Nie zważając na protesty, wyciągnął ją na brzeg.

Zgięła się w pół, skryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem. Poczula na ramieniu rękę Jacka i usłyszała jego spokojny głos:

- Znam to miejsce. Byłem tu parę razy. Za polem jest chata pasterzy. Jeśli tam dojdziemy, będziemy mogli trochę się ogrzać. To niedaleko. Da pani radę?

Wydawało jej się, że nie jest w stanie się ruszyć, miała ochotę się poddać, a nawet umrzeć, teraz, tutaj, w tym miejscu. Przełknęła jednak łzy i kiwnęła głową.

Podał jej rękę, pomógł wstać i ścisnął ją mocno, gdy szli przez podmokłą łąkę, a potem przez pole. Bez przerwy coś mówił, o jakimś spędzonym tutaj lecie, o tym, że pomagał rolnikowi w pracy i wędrował po okolicznych

wzgórzach. Słuchała jednym uchem; dźwięk jego głosu przebijał się przez deszcz i pozwalał trochę zapomnieć o zmęczeniu.

- O, jest - powiedział. Freddie uniosła wzrok i zobaczyła w rogu sąsiedniego pola małą kamienną chatę.

Jack otworzył drzwi i weszli do środka. Wnętrze wypełniał charakterystyczny zapach owiec. Na zardzewiałych gwoździach wisiały kłęby brudnej wełny, klepisko było zasłane słomą. Pod ścianą leżało drewno.

Freddie usiadła w kącie i otoczyła rękami podciągnięte nogi. Trzęsła się tak gwałtownie, że uderzała podbródkiem w kolana. Przyglądała się, jak Jack rozpala ogień - najpierw ustawił parę polan w pryzmę, potem dołożył kilka gałązek, na koniec dodał nieco owczej wełny.

Szczęknięta zapalniczka, pojawił się płomyk ognia.

- Istny z pana Richard Hannay\*- powiedziała. Głos jej drżał.

- Naprawdę? - Uśmiechnął się do niej. - Proszę się zbliżyć, zaraz się rozpali.

Pokręciła głową. Nie mogła się ruszyć. Była wyczerpana do granic wytrzymałości.

Jack dorzucił jeszcze parę drewna do ognia. Obejrzał się przez ramię.

- Już jesteśmy prawie na miejscu. Przysięgam.

- Prawie gdzie? - Głos jej się załamał. - Prawie na miejscu, do którego wcale nie zamierzałam jechać? Nie na-widzę tego... chcę do domu... to wszystko pana wina... oni mogą mieć psy!



- Psy?

- Policja... - Freddie znów się rozplakała. - Nienawidzę tych wielkich psów!

- W deszczu psy na nic się im nie zdadzą - powiedział. - Nie wytropią nas.

Buchnął ogień. Jack usiadł przy niej i objął ją ramieniem.

- Proszę odejść - wykrztusiła. Zęby jej szczękały jak u postaci z kreskówek.

- Nie. Pani marznie i musi się ogrzać. Nie mam niecznych zamiarów. Naprawdę. Polarnicy na Antarktydzie też musieli się do siebie przytulać. To najlepszy sposób, żeby się ogrzać.

Tym razem nie zaprotestowała.

- To prawda z tymi psami? - spytała.

- Że nie mogą tropić w deszczu? Szczera prawda.

Przysunęła się do ognia. Nareszcie docierało do niej

ciepło. Z ulgą wyciągnęła dłonie ku palenisku. Było jej wstyd, że tak się rozkleiła.

- Przepraszam, że tak marudzę - mruknęła pod nosem.

- A ja uważam, że jest pani najmniej marudną dziewczyną, jaką w życiu widziałem.

Zacisnęła powieki.

- Nie cierpię... nie znoszę takiego zamieszania.

- O rany. - Roześmiał się. - W takim razie chyba się nie dogadamy.

Mam dar przyciągania kłopotów.

Przed oczyma przesunęły jej się wspomnienia z dziecięcych wycieczek, wielkich podróży po Europie, organizowanych przez ojca, w wagonach trzeciej klasy albo na buchających czarnym dymem parowcach.

- Kiedy byłam małą dziewczynką - powiedziała - ojciec zabierał nas w różne takie podróże. Był niespokojnym duchem, ciągle coś go gnało w którąś stronę świata. Wstawałyśmy rano, a on mówił, że gdzieś jedziemy. Pociągiem, statkiem albo wozem zaprzężonym w woły. Pamiętam taki wóz... Matka zawsze była strasznie zmęczona, a ojciec się złościł, bo nigdy nic nie układało się idealnie według jego planu. - Westchnęła. - Nie lubię przygód. Wręcz ich unikam.

- Rozumiem. - W jego głosie pobrzmiwała skrucha. - Przepraszam. Ale momentami było zabawnie, prawda?

- Zabawnie? - powtórzyła, wytrzeszczając oczy. - Może dla pana to wszystko jest zabawne, ale ja zupełnie inaczej rozumiem to słowo!

- Jutro będzie zupełnie inaczej, obiecuję.

- Ta łódź...

- Wszystko będzie dobrze.

- Nie będzie. - Pokręciła głową. - Wiem, że nie będzie, po prostu to czuję. Chcę tylko wrócić do domu.

- Panno Nicolson...

- Freddie. Mam na imię Freddie. Frederica.

- Freddie? Myślałem, że Anna albo Caroline, ale

Freddie brzmi dużo ładniej. Posłuchaj, Freddie. Deszcz może jest męczący, ale tym razem można powiedzieć, że nam sprzyja. Przy odrobinie szczęścia policja nie znajdzie samochodu. Uda nam się, zobaczysz.

- Cały czas to powtarzasz!

- A co, nie wierzysz mi?

- Nie, Jack. Ani trochę.

- Jesteś głodna?

Nie pamiętała, kiedy ostatnio coś jadła.

- Chyba tak.

Otworzył walizkę, wyciągnął resztki chleba, parę jabłek i butelkę wina.

- Proszę, jedz - zachęcił, przelamał chleb na pół i dał jej kawałek. -  
Ciepłej ci się zrobi. - Odkorkował wino.

- Tobie chyba to wszystko się podoba - powiedziała.

- Niektóre rzeczy tak - przyznał. - Nie nadaję się do pracy w biurze. Po jednym dniu z nudów chodziłbym po ścianach.

- A jak tam noga?

- Trochę boli. - Podciągnął mankiet spodni i popatrzył uważnie na bandaż. - Kiedyś wspinałem się trochę w Grecji. Spadłem i złamałem nogę

w kostce, a potem musiałem dokuśtykać na jednej nodze w jakieś cywilizowane miejsce. Więc zawsze może być gorzej.

- Twoja matka chyba szaleje z rozpacz.

- Oj, już dawno przestała. Proszę, częstuj się. - Podał jej flaszkę wina.

Freddie pociągnęła tęgi łyk. Cierpkie czerwone wino rzeczywiście ją rozgrzało. Ubranie zaczynało wysychać, przestała wreszcie drzeć jak osika. Zjadła chleb, wypła jeszcze trochę wina, położyła się na podłodze i zapatrzyła na migoczące płomienie.

- Nie będę spać - powiedziała. - Tylko trochę odpocznę. - Zamknęła oczy i natychmiast zapadła w sen.

W ciągu nocy zbudziła się tylko raz. Zobaczyła, że Jack śpi zwinięty tuż obok, trzymając ramię na jej barku, mocno w nią wtulony. Leżała nieruchomo, czując unoszenie się i opadanie jego klatki piersiowej oraz ciepło obejmującej ją ręki. Wspomniała pocałunek na dworcu kolejowym i owe dziwne chwile wczorajszego ranka, kiedy miała wrażenie, że ogarnia ją pożądanie. Szybko odegnała te niebezpieczne myśli. Wyciągnęła rękę, dorzuciła do ognia kolejne polano, ostrożnie, aby nie zbudzić Jacka, po czym zamknęła oczy i ponownie zasnęła.

Następnego dnia wstali wcześnie. Zjedli na śniadanie resztki prowiantu i wyruszyli w dalszą drogę. Teren był teraz znacznie przyjaźniejszy dla wędrowców; przeszli przez łagodnie pofałdowane łąki, a potem minęli gospodarstwo, stado gęsi i grające w piłkę dzieci.

Okolo południa znaleźli się w gęściej zabudowanej okolicy. Szli już nie po trawie, lecz brukowanymi drogami i ulicami. Wstąpili do kawiarni na

szybką kawę. W maleńkiej toalecie Freddie przyjrzała się w ułamku lustra swemu odbiciu - był to obraz nędzy i rozpacz - i spróbowała przyczesać włosy.

Na trasie ich marszu pojawiała się coraz więcej domów, sklepów, ulic. W górze rozpościerało się srebrzyste niebo. Jack wyciągnął rękę w stronę wolnej przestrzeni za domami. Tam, pokazał, jest morze. Freddie wciągnęła w płuca świeże, przesycone solą powietrze, usłyszała krzyki mew.

Weszli do baru. Jack zamówił dwie brandy i zapytał, czy może skorzystać z telefonu. Nastąpiła długa rozmowa po włosku. Freddie usiadła pod oknem i popijała drinka.

Jack wrócił do stolika.

- Moja znajoma przyjedzie po nas samochodem.

Pół godziny później spojrział w okno.

- O, jest Gabriella. Chodźmy.

Wyszli z baru. Przy krawężniku stał sportowy samochód. Wychyliła się z niego młoda kobieta. Na głowie miała jedwabny szal w grochy, na twarzy nieskazitelną makijaż.

- Jack? Okropnie wyglądasz.

- Dziękuję, Gaby. Doceniam komplement.

Posłała mu lodowate spojrzenie, ale szybko nadstawiła policzek do całusa.

- Gabriella d'Aurizia, Freddie Nicolson - dokonał prezentacji. - Freddie, poznaj Gabriellę.

- Jack, robię to dla twojej przyjaciółki, nie dla ciebie - rzuciła wyniośle Gabriella. - Szybko, wsiadajcie.

Freddie wsunęła się na wąskie tylne siedzenie lancii. Jack usiadł z przodu. Gabriella ruszyła. Freddie natychmiast zasnęła. Od czasu do czasu otwierała oczy, budzona wściekłą kłótnią na przednim siedzeniu albo wizgiem opon, gdy Gabriella wchodziła w ostre zakręty.

Dojechali do otoczonej ogrodem willi z białego kamienia, nieco oddalonej od nadbrzeżnej drogi. Gabriella poprowadziła ich kamiennymi schodami przez pięknie rzeźbione drzwi do marmurowego holu. Pokojówka wzięła od Freddie płaszcz, kamerdyner - walizkę. Kolejna służąca zaprowadziła Freddie szerokimi schodami na górę, do eleganckiego pokoju, utrzymanego w biało-złocistych barwach. Potem przygotowała jej kąpiel w przyległej łazience. Wanna była głęboka, woda bardzo gorąca, piana pachniała cudownie. Freddie moczyła się długo, z zamkniętymi oczami, z lubością rozgarniając pianę dłońmi. Po kąpeli osuszyła się ręcznikiem i włożyła zostawiony przez pokojówkę szlafrok. Starła parę z lustra. Twarz miała zaróżowioną z gorąca, mokre, ciemne włosy przylegały do głowy. Dlaczego na niektóre osoby, na przykład na Tessę, ma się ochotę patrzeć bez końca, a na inne nie? Czy Freddie też ma w sobie pewnego rodzaju siłę przyciągania? W każdym razie uroda nie poddawała się definicjom.

Wróciła do sypialni. Na łóżku leżały czarne luźne spodnie i miętowozielona jedwabna bluzka, zapewne należąca do Gabrielli. Ubrała się i zeszła na parter.

Skierowała się w stronę, skąd dobiegały podniesione głosy.

- Och, droga panna Nicolson - powitała ją Gabriella, przerywając potok inwektyw. Uśmiechnęła się. - Pewnie jest pani głodna. Zapraszam na lunch.

Jedli obiad na tarasie, wychodzącym na piękny ogród. Jack od czasu do czasu coś mówił, a Gabriella nie zmieniała kwitowała jego słowa grymasem pełnym ironii. Przyszedł kamerdyner i oznajmił, że przyjechał lekarz. Gabriella przeprosiła Freddie i razem z Jackiem przeszli do wnętrza.

Po pewnym czasie Gabrielle wróciła na taras.

- Jack jest potwornie głupi! - Prychnęła lekceważąco. - Oczywiście mi to powiedziałam. Przecież mogli go zabić! - Nalała Freddie kolejny kieliszek wina. - Lekarz opatrzył mi tę kostkę, ale co się poradzi na takiego uparciucha?

Freddie mruknęła potakująco.

Popołudnie spędziła w ogrodzie willi. Trudno jej było uwierzyć w to, że istnieją tak cudowne, spokojne miejsca. Po przeżyciach minionych dni ta cisza działała na nią kojąco. Przy kolacji Gabriella oznajmiła, że nazajutrz rano ktoś znajomy zabierze ich do Francji. Freddie spała tej nocy w białozłotej sypialni, z głową na puszystych poduszkach, przykryta jedwabną puchową kołdrą. Przez otwarte okno do wnętrza płynął szum morza.

Pokojówka zbudziła ją następnego dnia bardzo wcześnie, rozsuwając zasłony, by wpuścić szare światło świtu. Freddie zerknęła na zegarek. Była piąta.

Wypiła kawę, zjadła bułkę i owoce, przyniesione przez pokojówkę na tacy. Rzeczy Freddie, jak za sprawą dobrej wróżki, leżały w pokoju, wyprane i wyprasowane.

Umyła się, ubrała i zeszła na dół. Gabriella i Jack czekali już w holu. Jack był gotów do wyjścia, w ręku trzymał plecak. Gabriella włożyła kwiecistą jedwabną sukienkę, jedwabne pończochy i buty na wysokich obcasach.

Uśmiechnęła się do Freddie.

- Panno Nicolson, mam nadzieję, że dobrze pani spała.
- Bardzo dobrze, dziękuję.
- Musimy iść, Freddie - powiedział Jack. - Czeka na nas łódź, musimy zdążyć przed odpływem.

Gabriella zawiozła ich nadbrzeżną drogą do małej osady rybackiej. Domy stały na wzgórzach, otaczających port o kształcie podkowy. Łodzie podskakiwały na czarnej jak atrament wodzie, mieniającej się perłowymi odblaskami świtu.

Gabriella, stukając obcasami po kamieniach, poprowadziła ich do portu. Dwaj mężczyźni ładowali kosze na ryby do kutra nazywanego się „Rondine”. Gabriella ucisnęła Freddie, pocałowała ją w oba policzki i powiedziała, że ma nadzieję na kolejne spotkanie w bardziej sprzyjających okolicznościach. Jacka pożegnała o wiele dłuższym pocałunkiem, a potem, gdy wsiedli na łódź, długo im machała.



Rybacy polecieli im zostać w kabinie, póki nie wypłyną na pełne morze. Freddie usłyszała warkot silnika i krzyki mew. „Rondine”, wyjaśnił Jack, wysadzi ich w jakimś ustronnym miejscu na Lazurowym Wybrzeżu. Ktoś wyjdzie po Freddie na plażę i zawiezie ją na dworzec w Nicei, skąd będzie mogła pojechać pociągiem do Paryża.

- Nastąpiła mała zmiana - dodał po chwili. - Nie pojedę z tobą do Anglii. Wczoraj dzwoniłem w parę miejsc i musiałem zmienić plany. Dasz sobie radę?

- Oczywiście. Nie mogę się doczekać, kiedy znikniesz mi z oczu.

- Tak myślałem. - Popatrzył na nią zaintrygowany. - A co będziesz robić?

- Wrócę do domu, do pracy i przyjaciół. Będę prowadzić spokojne życie. Już się nie mogę tego doczekać.

- Niestety, najprawdopodobniej już niedługo twoje życie nie będzie wcale takie spokojne i stabilne.

Popatrzyła mu w oczy.

- Jack, lubię być pożyteczna. Jeśli będzie wojna, też sobie znajdę jakieś zajęcie.

- Tego jestem pewien. - Zerknął przez bulaj.

- Wyjdziemy na pokład? - Uśmiechnął się do niej.

- Oczywiście, gdybyśmy chcieli, możemy jeszcze wszystko zmienić.

- Jak to?

- Możemy uciec razem. Przeczekać wojnę w Ameryce Południowej.
- Jack, nie bądź głupi.

Wzruszył ramionami.

- Tak tylko sobie pomyślałem. Żebyś nie mogła powiedzieć, że niczego ci nie zaproponowałem.

Freddie włożyła kapelusz i sweter, wyszła z kabiny i usiadła na rufie. Jack postanowił pomóc rybakom.

Słońce weszło już wysoko, a wybrzeże Ligurii zmieniło się w wąską, szarą linię. Mewy, towarzyszące łodzi przy wypływaniu z portu, poleciały z powrotem w stronę brzegu. Freddie pomyślała o czekających na nią pokoikach w South Kensington. Zamknęła oczy, unosząc twarz do słońca.

Mijały godziny. Dookoła było tylko morze i niebo. Raz, w oddali, przesunęła się flotyła rybackich kutrów. Wyglądały jak czarne przecinki na błękitnej kartce. W południe zjedli prowiant, który dała im Gabriella. Czerwone wino uspiło Freddie. Spała mocno, gdy Jack nią potrząsnął.

- Freddie, dopłynęliśmy.

Otworzyła oczy i przesunęła wzrokiem dookoła. Fale biły o skały po obu stronach małej, piaszczystej zatoczki.

Rybacy opuścili żagle. „Rondine” sunęła w głąb zatoki na doczepnym silniku.

- Już jesteśmy we Francji? - spytała.
- Tak. Samochód czeka.

Słońce odbiło się od szyby auta stojącego na szczycie klifu.

- Podpłyną najbliżej, jak się da - powiedział Jack. - Jednak trzeba będzie przejść kawałek po wodzie. Ale, jeśli chcesz, mogę cię wziąć na barana.

Freddie zgromiła go spojrzeniem i zdjęła sandały. Parę minut później Jack wyskoczył za burtę.

- Proszę - powiedział i wyciągnął rękę do Freddie.

Rybacy podnieśli ją nad burtę łodzi. Morska woda była

chłodna i świeża. Freddie brodziła w niej z butami w ręku. Jack niósł walizkę. Dotarłszy na brzeg, pomachał ręką.

- Hej, Augustę, ęa va? - zawołał. Uniósłszy wzrok, zobaczyła mężczyznę, zbiegającego wąską ścieżką z klifu.

Jack odwrócił się do Freddie.

- Proszę. - Wcisnął jej w dłoń zwitek franków.

- Jack, nie mogę...

- To na pociąg i hotele. Nie widzę powodu, żebyś przeze mnie nie miała pieniędzy w podróży. Weź, proszę. - Zerknął na łódź. - Augustę się tobą zaopiekuje. I... dziękuję. To było...

- Mocne przeżycie - dokończyła sucho. - Mam nadzieję, że nigdy więcej mi się coś takiego nie przytrafi.

- Naprawdę? - uśmiechnął się. - Mnie się nawet podobało. Do widzenia, Freddie. Bon voyage.

Freddie wyciągnęła rękę na pożegnanie, jednak w tym samym momencie znalazła się w objęciach Jacka. Podszedł do nich Augustę, młody, drobny i śniady. Wywiązała się krótka, szybka rozmowa po francusku, Freddie i Augustę zostali sobie przedstawieni, a potem Jack ruszył z powrotem przez wodę ku łodzi.

Augustę wziął walizkę i poszli plażą. Piasek pod bosymi stopami był ciepły i jedwabisty. Po bezchmurnym niebie uganiały się mewy. U podnóża klifu Freddie się obejrzała. Jack dotarł już do „Rondine”. Uniósł rękę na pożegnanie, rozległ się warkot silnika i łódź zaczęła się oddalać od brzegu.

## **Rozdział 9**

Dwudziestego trzeciego sierpnia Niemcy i Rosja podpisały w Moskwie pakt. Oba państwa zobowiązywały się w nim pozostać neutralne, jeśli druga strona rozpocznie wojnę. Mieszkańcy Mayfield Farm po długiej dyskusji przy kolacji zgodzili się, że to zielone światło do ataku Hitlera na Polskę.

Państwo Mickleborough pojechali na weekend do Londynu odwiedzić przyjaciół. David Mickleborough zamierzał zgłosić się do wojska, jeśli jakaś formacja go przyjmie. John i Romaine Pollenowie wyjechali już do Ameryki. Powiedzieli, że są pacyfistami i nie mają ochoty angażować się w cudzą wojnę.

Rebecca przyrządziła na kolację kotlety jagnięce z warzywami. Odłożyła jedną porcję dla Connora Byrne'a i zaniósła mu do pracowni. Sama też zjadła, posprzątała, po czym usiadła przy kuchennym stole i zaczęła szkicować leżące na osączarce naczynia.

Do kuchni przyszedł Connor. Jego sfatygowane sztruksy i flanelowa koszula były przyprószone białym kamiennym pyłem. Nie mógł się wyprostować w tym niskim pomieszczeniu; zmywając naczynia, musiał pochylać głowę.

- Rebecca, wspaniale gotujesz. Dziękuję.

Zerknął jej przez ramię i przyjrzał się szkicowi.

- Podoba mi się - ocenił. - Ma w sobie siłę. Ale ty ciągle rysujesz tylko te garnki, talerze i szczotki.

- Owszem. Bo to teraz najważniejsze w moim życiu. Bogów i boginie zostawiam tobie.

Zaśmiał się tylko.

- A gdzie reszta?

Opowiedziała mu o wszystkim, po czym dodała:

- A Noel i Olwen poszli się napić do pubu.

- Aaa. Może i ja bym się napił. Wypijesz ze mną szklaneczkę?

- Tak, chętnie.

Connor wyszedł i wrócił parę minut później z napoczętą butelką whisky. Nalał im obojgu i stanąwszy w drzwiach, zapatrzył się na dolinę i wieczorne słońce.

- Nie mieści ci się to w głowie, prawda? - ni to stwierdził, ni zapytał.

Rebecca przypomniała sobie zdjęcia ze zniszczonej Guerniki.

- A co ty zrobisz, Connor?

Usiadł przy stole.

- Wrócę do Irlandii. Za parę dni, mam już bilet.

- Tak szybko?

- Irlandia nie weźmie udziału w wojnie. To młode państwo, jesteśmy na to zbyt biedni. A ja powinienem być blisko syna.

- Masz syna?

- Ma na imię Brendan. Skończył dziesięć lat. Mieszka z matką w Galway.

Ta niezwykła sytuacja - zbliżająca się wojna, nieobecność mieszkańców farmy, pozwoliła im się przebić przez niedostępne dotąd barykady milczenia, które wokół siebie powznosili.

- Nie wiedziałam.

- Nie ma się czym chwalić, że się zostawiło żonę i syna.

- Przepraszam, Connor. Na pewno jest ci ciężko.

- A ty, Rebecca? Masz dzieci?

Pokręciła głową.

- A chciałabyś?

- Mój mąż nie chciał mieć dzieci. - Zawstydzila się tej wymijającej odpowiedzi i dodała: - Wydawało mi się kiedyś, że i ja nie chcę. Ale teraz czasami żałuję. Opowiedz mi o swoim synu. O Brendanie.

Popatrzył na nią tym swoim pełnym uroku, powolnym uśmiechem.

- Mam zdjęcie. - Otworzył wytarty skórzany portfel, wyciągnął je i podał Rebecce.

Fotografia przedstawiała małego chłopca z burzą kręconych włosów. Trzymał za rękę stojącą obok kobietę.

- Podobny do ciebie - stwierdziła.

- Myślisz? Aoife też jest śniada.

- Tak ma na imię twoja żona? Jest bardzo ładna. - Oddała mu zdjęcie.

- Ano jest. - Włożył portfel z powrotem do kieszeni i pociągnął łyk whisky. - Nie powinienem był się żenić. Żadna kobieta nie chciałaby mieć mężczyzny, który przez cały dzień wali młotkiem w kamienne bryły. A kiedy nie wali, to o tym myśli. Wszystko mu jedno, gdzie mieszka, ile zarabia i co posiada, póki ma te swoje kamienie. Jeśli tylko mogłem pracować, nie przeszkadzała mi samotność.

Ale Aoife to nie wystarczało. Chciała, żebym znalazł sobie prawdziwą pracę. Jej zdaniem rzeźbienie to nie jest prawdziwa praca. Jakiś czas próbowałem robić wszystko tak, jak sobie życzyła, ale stwierdziłem, że zmieniam się w kogoś, kto wcale mi się nie podoba. Dlatego odszedłem. Lepiej im beze mnie. Nie rozwiodłem się jednak i nigdy się nie rozwiodę. Wiesz, Aoife jest katoliczką. Uważa, że małżeństwo zawiera się na całe życie.

- Pewnie tęsknisz za swoim synkiem.

- Tak, bardzo. I jeśli będzie wojna, powinienem być w pobliżu. Do żony już nie wrócę, ale przynajmniej będę obok. A ty, Rebecca, co z tobą? Zostaniesz tutaj?

- Mam nadzieję. - Connor rozmawiał z nią bardziej otwarcie niż kiedykolwiek, pragnęła to odwzajemnić i pozwolić sobie na szczerość. - Rozstałam się z mężem. Wystarczyłaby mi separacja, ale Milo chciał rozwodu. Może znalazł sobie kogoś innego. Nie wiem. Zostawiłam go właśnie dlatego, że ciągle był ktoś inny.

- Głupiec.

Zaskoczyło ją jego spojrzenie; poczuła, że się rumieni.

- Trochę tak - odpowiedziała. - Ale czarujący. W życiu nikogo takiego nie spotkałam. Milo umie cudownie cieszyć się życiem. Ale ja mu nie wystarczałam. Był zamożny, sławny, wszyscy go podziwiali, więc chyba po prostu poczuł, że wolno mu sięgać po wszystko, na co mu przyjdzie ochota.

Connor wyjął z kieszeni koszuli paczkę senior servi-ce'ów i poczęstował Rebecę. Przez chwilę palili i popijali whisky.

- Prawdę mówiąc, nie odeszłam od niego jedynie z powodu jego miłosnych przygód. Przestałam go kochać.

Connor odwrócił się do niej. Oczy miał ciemnoniebieskie, ze złocistymi plamkami. Nigdy wcześniej nie zauważyła tych punkcików.

- Myślę, że kochanki jednak się do tego przyczyniły - powiedział.

Whisky sprawiła, że Rebecca poczuła się swobodniej. Zaśmiała się krótko.



- To prawda, dobrze mnie do niego nie nastrajały. Najdziwniejsze jest to, że przestałam go kochać po czymś, co sama zrobiłam.

- Ile byłaś mężatką?

- Dziewiętnaście lat.

Gwizdnął.

- Szmata czasu.

- Na początku było dobrze. Bardzo kochałam Mila. Myślałam, że jest moim zbawieniem.

- Sami musimy się zbawiać, nie sądzisz?

- Chyba tak. Jeszcze próbuję.

Uśmiech zmarszczył mu kąciki ust.

- To dlatego tu jesteś, Rebecca? To ma być pokuta?

- Podoba mi się tutaj. Zobacz, jak tu pięknie. Pewien wiejski domek, w którym mieszkałam tamtej jesieni, o, to dopiero była pokuta.

- Było aż tak źle?

Oczyrna wyobraźni ujrzała mały, kamienny domek myśliwski.

- To było na zupełnym odludziu - powiedziała. - Na jakimś wrzosowisku w Derbyshire. Pojechałam tam z mężczyzną, Harrisonem Greyem. Okazał się strasznym niedołęgą. Z perspektywy czasu widzę, że chyba zależało mu na mnie tylko dlatego, że miałam samochód. - Wzruszyła ramionami. - Wykorzystaliśmy się nawzajem, taka jest prawda. Ja czułam

się samotna, a on nie umiał prowadzić. Taka właśnie była nasza przyjaźń. Poszedł sobie i nawet nie dał znaku życia. Zachorowałam wtedy na zapalenie oskrzeli. Udało mi się samej wrócić do Londynu, a kiedy wyzdrowiałam, moja dobra znajoma, Simone, powiedziała mi o tej farmie. Bardzo lubię Simone. Cieszę się, że mam w niej przyjaciółkę. Za czasów Mila nie przyjaźniłam się z kobietami. Teraz myślę, że po prostu się bałam, że będzie z nimi romansował.

Connor dolał jej whisky.

- Do tego akurat nigdy nie miałem skłonności. Nie latałem za spółniczkami. Popełniłem wiele innych grzechów, ale tego akurat nie. A twój dom? Nie mogłaś tam zostać?

- Nie zastanawiałam się nad tym, po prostu wyjechałam. Chyba czasami potrzebuję wykonać jakiś dramatyczny gest.

- Zawsze się zastanawiałem, jak to jest, że Anglicy wymyślają sobie takie kulturalne zdania, a w duchu gotują się z wściekłości.

- Ze mną tak właśnie było - przyznała cicho. Zerknęła na szklanke Connora. - Mało pijesz. Wszystko zostawiasz mnie.

- To dlatego, że kiedyś byłem złym człowiekiem. Stale trzymam butelkę w pokoju. Potrafię nie tykać jej całymi tygodniami, ale trzymam, żeby mi przypominała.

- O czym?

- O tym, co potrafi ze mną zrobić alkohol. Krzyczę, rozbijam się, klnę jak szewc. Byłem nieszczęśliwy, ale to żadne wytłumaczenie. - Zgasił

papierosa w popielniczce. - O to mi chodziło, kiedy powiedziałem, że Aoife jest lepiej beze mnie. Nigdy nie podniosłem ręki na nią ani na syna, przysięgam, ale czasami ogarniała mnie potworna furia. To mnie przerażało. Przestałem pić w dniu, kiedy wyjechałem z Irlandii. Tylko mi pomożesz, jak osuszysz tę flaszkę.

- Dobra whisky.

Z uśmiechem skinął głową.

- Najlepsza.

Zachodziło słońce; przez otwarte drzwi Rebecca widziała długie, szaroniebieskie cienie drzew.

- Kochałam nasz dom - wyznała. - Siedem kilometrów od Oksfordu, wspaniałe miejsce do życia. Kiedyś był tam młyn, poprzez ogród płynie rzeczka. Piękne widoki, takie angielskie w najlepszym stylu. Teraz myślę, że ten dom był moim dziełem sztuki. Ale kiedy to wszystko się stało, wydał mi się tak nierozdzielnie związany z naszym małżeństwem, że nie mogłam już na niego patrzeć. Sprzedaliśmy go w zeszłym miesiącu. Czasem za nim tęsknię, ale nie tak bardzo, jak myślałam.

- Jak tu przyjechałaś, od razu pomyślałem, że nie jesteś typową lokatorką Mayfield Farm.

- Dlaczego?

- Większość z nas nie ma grosza przy duszy.

Westchnęła.

- To prawda. Źle mi się nie powodzi. Milo oddał mi połowę sumy ze sprzedaży domu, więc mogłabym sobie kupić jakieś mieszkanie. Ale dokąd mam iść? Próbowałam zamieszkać w Londynie i czułam się tam okropnie. Z Milem bardzo często przyjmowaliśmy gości. On jest pisarzem i całe moje życie było dostosowane do etapów jego pisania. Długie spacerowanie, kiedy wymyślał fabułę, cisza i spokój, gdy był pochłonięty pracą, radość i świętowanie, jak skończył. Wszystko to przepadło, kiedy odeszłam. Czułam się, jakbym dryfowała na wodzie niczym korek.

Próbowałam mieszkać na wsi - to ten nieudany eksperyment z Harrisonem. Załamalam się... - Zmarszczyła czoło.

- Nigdy nikomu tego nie mówiłam. Zapalenie oskrzeli brzmi o wiele lepiej niż załamanie nerwowe. Zaczęłam się wtedy bać samotności.

- Kiedy tu przyjechałaś - powiedział - wyglądałaś, jakbyś miała sińce pod oczami.

- Naprawdę? Ledwie stałam na nogach. - Przełknęła łyk whisky. Uświadomiła sobie, że jest lekko pijana i nawet jej się to spodobało. Dodała cicho: - Mówię, jakby to wszystko było winą Mila, ale to nieprawda. Najgorsza rzecz stała się przeze mnie.

- Rebecca, nie musisz mi mówić, jeśli nie chcesz. Może to tylko whisky rozwiązała ci język i jutro będziesz tego żałować.

- Nie będę żałować.

Zaskoczyła samą siebie tym stwierdzeniem. Czuła jednak, że może zaufać Connorowi. Zadała mu pytanie, które już usłyszała wcześniej siwowłosa wędrowiec na wsi w Derbyshire.

- Jak myślisz, czy kiedy na skutek naszych działań stanie się coś strasznego, to jest nasza wina, nawet jeśli nie mieliśmy złych zamiarów?

- Nie wiem. - Connor powoli pokręcił głową. - Trudne pytanie. A ty jak myślisz?

- Odkąd tu przyjechałam, myślę o tym bardzo dużo i doszłam do wniosku, że część odpowiedzialności spoczywa jednak na mnie. - Rebecca wzięła głęboki oddech.

- Półtora roku temu odkryłam, że mój mąż ma romans. Już wcześniej miewał różne przygody i bardzo to przeżywałam, ale tym razem było gorzej, bo urodziło się dziecko, chłopczyk. Syn Mila. On sam powiedział mi, że nie chciał tego dziecka. Zapewniał, że nie chce ode mnie odchodzić. Pomyślałam, że może będę umiała mu wybaczyć... nie, nie myślałam tak. Wydawało mi się, że wygrałam. Ale byłam potwornie wściekła. Trudno mi opisać tamten dziki gniew.

- Ten gniew był jak zwierzę - podsunął. - Jak dzika bestia, co łapie cię za gardło.

- Tak. Coś w tym rodzaju. Więc któregoś dnia zadzwoniłam do niej, do tej dziewczyny, kochanki Mila. Powiedziałam jej, że on już nie jest nią zainteresowany. Że spotyka się z kimś innym.

- To była prawda?

- Nie. Słyszałam, że się zdenerwowała. Ucieszyło mnie to. - Rebecca umilkła i znów napiła się whisky. - Parę dni później dowiedziałam się o wypadku. Ta dziewczyna, Tessa, i jej synek, syn Mila, rozbili się

samochodem. Ona przeżyła, dziecko zginęło. Connor, to dziecko nie miało nawet trzech miesięcy.

- Boże drogi! - Connor aż sapnął.

- Wypadek zdarzył się na szosie do Oksfordu. Tessa jechała do Oksfordu, jestem tego pewna. Wszystko przeanalizowałam... wyruszyła bardzo niedługo po moim telefonie. Jechała porozmawiać z Milem, zapytać go, czy prawdą jest to, czego się dowiedziała. Jechała do Oksfordu z powodu tego, co jej powiedziałam.

- Jesteś pewna?

- Prawie pewna. Całkowitej pewności mieć nie można. To było dla mnie najtrudniejsze. Z początku powtarzałam sobie, że nie ja prowadziłam ten samochód, więc to nie moja wina. Miałam wszelkie powody, żeby tak postąpić. Milo był moim mężem, a ona urodziła jego dziecko, czyli uczyniła coś strasznego. Próbowałam się usprawiedliwiać.

Ale tak naprawdę, Connor, było inaczej. Zrobiłam to, bo jej nienawidziłam. Nienawidziłam nawet tego dziecka, niech mi Pan Bóg wybaczy.

Wyciągnął rękę przez stół i ujął dłoń Rebekki. Palce miał ciepłe i twarde, jego dotyk dodawał otuchy. Pomyślała, że Connor bardzo się różni od Milla, który zmagalby się głośno ze swoim dylematem moralnym, dzielił włos na czworo, a potem na szesnaścioro. Milczenie Connora mówiło znacznie więcej. Nagle uświadomiła sobie, jak bardzo jest nim zainteresowana, a jednocześnie poczuła, że nie czuje się jeszcze gotowa na żaden poważny związek.

Ścisnęła jego dłoń i uwolniła swoją.

- Nigdy nie powiedziałam mężowi o tym telefonie. Nie potrafiłam. Wstydziałam się. Pomyślałam, zaraz po tym wypadku, że jednak zostanę z Milem. Byłam mu potrzebna. A on stracił dziecko. Kiedy coś go gnębiło, zawsze przychodził do mnie po pociechę. Przez te parę miesięcy zachowywał się wzorowo, a jednak...

- Przestałaś go kochać.

- Tak. Nie poszedł na pogrzeb. Ja poszłam, a on nie. Mówił, że zbyt to przeżywa. Naprawdę opłakiwał dziecko i Tessę, wiem, że tak. Ale nie podobało mi się także tchórzostwo z jego strony. A potem... jakby przeszedł nad tym wszystkim do porządku. Milo nigdy nie miał poczucia winy. Czasem mu tego zazdrościłam. Zachowywał się tak, jakby tego wszystkiego, jego romansu i dziecka, nigdy nie było. Zaczęłam nim pogardzać. I oczywiście sobą, za to, co zrobiłam, i dlatego, że wcześniej się na nim nie poznałam. Moja tajemnica rozdzieliła nas jak ściana. Nic już przez nią nie widziałam. - Uśmiechnęła się gorzko. - Zabiłam nie tylko jego dziecko, ale i własną miłość do Mila.

- Nie zabiłaś tamtego dziecka - powiedział. - Zginęło w wypadku albo Pan Bóg je zabrał, jak sobie chcesz na to patrzeć. Pamiętaj, że człowiek ma ograniczoną wytrzymałość.

- Tak. Przekonałam się o tym. - Była już mocno pijana i cieszyła się z tego. Podsunęła Connorowi szklanekę, by wlał jej resztkę whisky.

- Nigdy nikomu o tym nie mówiłam.

- Ja na pewno nikomu nie powiem.

- Czyli mnie nie znieawidziłeś?

- Rebecca, nie mógłbym. - Uśmiechnął się łagodnie. - Jesteś dobra, to widać.

Pokręciła głową.

- Nie.

- Nawet dobrzy ludzie czasem robią złe rzeczy. Musisz się postarać wybaczyć to sobie.

- Nie mogę. - Odstawiła szklaneczkę. - Ale dziękuję, że mnie wysłuchałeś.

Uśmiechnął się znowu.

- Zawsze myślałem, że to najlepsza rzecz z całej mojej religii, że zawsze masz kogoś, komu możesz się zwierzyć.

- Jesteś wierzący?

- Do kościoła już nie chodzę.

- To nie to samo, Connor.

Złożył dłonie - były wielkie, o parę centymetrów dłuższe i szersze niż jej, z kamiennym pyłem wżartym w skórę.

- Jak wiesz, mam swoich własnych bogów.

- Manannan mac Lir, bóg morza... - Chwiejnym krokiem podeszła do kuchennego pieca, żeby zagotować wodę w czajniku. - Kiedy byłam w tym wiejskim domku, wydało mi się, że spotkałam anioła.



-Anioła? No, Rebecca... - Splótł ramiona i rozsiadł się w krześle. -  
Opowiadaj.

Wsypała kawę do imbryka, potem oparła się o kuchnię, czekając, aż woda zacznie wrzeć.

- Nie wyglądał jak anioł. Nie miał skrzydeł ani aureoli. Wyglądał jak wędrowiec. Pewnie właśnie był takim wędrowcem. Na tych wrzosowiskach często się widywało takich turystów. A ja byłam bardzo chora i od paru dni zupełnie sama - wtedy człowiek traci poczucie czasu i zaczyna sobie wyobrażać różne rzeczy. Ale tak przyjemnie się uśmiechał, pamiętam jak dziś. Po jego wizycie poczułam się lepiej. Wiedziałam, co mam robić, miałam plany na najbliższe dni.

- Rozmawiałaś z nim?

- Tak. Dał mi parę rad. Powiedział, że muszę pójść do lekarza, co było bardzo rozsądne, potem dodał, że powinnam wyjść na zewnątrz. Nie rozumiałam, co u licha ma na myśli, ale chyba coś takiego właśnie zrobiłam. Wyszłam na zewnątrz ze swego poprzedniego życia. - Zalała kawę wrzątkiem. - Nie mam pojęcia, dokąd zmierzam, może to wszystko się skończy jakąś katastrofą, ale przynajmniej próbuję. - Zamieszała w imbryku i dodała cicho: - Dziwna rzecz... jak odszedł, nie zostawił śladów. Mocno padało i w błocie powinny zostać ślady butów. Wtedy przyszło mi do głowy, że może to był anioł.

- Ciekawa myśl - powiedział Connor. - Anioł, unoszący się nad wrzosowiskiem.

- Prawda? Często o nim myślę. Kiedy napotykam jakąś trudność, próbuję sobie wyobrazić, co on by mi poradził. Wiem, że to głupie, ale tak robię. - Wyjęła dwa kubki i naląła kawy. Potem dodała: - Doszłam do wniosku, że jest mi pisane żyć z tym, co zrobiłam. A kiedy mam podły humor, myślę o nim. O moim aniele.

Dwa dni później Connor opuścił farmę. Niedokończona rzeźba, owinięta workami, miała zostać wysłana do Irlandii, jeśli okaże się to możliwe.

Zanim wyjechał, zastukał do drzwi pokoju Rebekki. Życzyli sobie nawzajem powodzenia, pożegnali się, a wychodząc, powiedział:

- Bardzo chciałbym lepiej cię poznać. Napiszesz do mnie?

- Tak, Connor, z wielką przyjemnością - odpowiedziała.

Ucałował ją w policzek i poszedł.

Brakowało jej go. Była zaskoczona, jak bardzo. Po jego wyjeździe na farmie czuło się pustkę. Milczący człowiek, a została po nim tak wymowna cisza.

Pierwszego września wojska Hitlera wmaszerowały do Polski. Tego samego dnia Luftwaffe zniszczyła polskie samoloty na lotniskach. Bomby posypały się na drogi, tory i miasta. Wielka Brytania i Francja, zobowiązane traktatem do przyścia z pomocą Polakom, dwa dni później wypowiedziały Niemcom wojnę.

Rebecca, siedząc w kuchni Mayfield Farm, usłyszała, jak Neville Chamberlain ogłasza swemu krajowi, że Wielka Brytania jest w stanie wojny z Niemcami. Gdy premier skończył, David Mickleborough wyłączył

radio. Olwen Wainwright rozplakała się, a jej brat, który walczył w pierwszej wojnie światowej, mruknął: „Cholera, to niedobrze”, po czym wstał i wyszedł. Na podwórku, w słońcu, dzieci Mickleboroughów biegały z rozpostartymi rękoma, bawiąc się w samoloty.

Rebecca poszła do pokoju i napisała list do Meriel. Potem pożyczyła rower i pojechała do Tunbridge Wells. Do budki telefonicznej stała kolejka; Rebecca, czekając, układała w myślach rozmowę, którą zamierzała przeprowadzić. Czego się bardziej bała - tej rozmowy czy wojny?

Nadeszła jej kolej. Weszła do budki, wybrała numer centrali i zrobiła to, co odwlekała od osiemnastu miesięcy - zadzwoniła do matki.

## **Rozdział 10**

Ostatnimi czasy nabrała ostrożności. Nazywała się teraz Tessa Bruno, ładne nazwisko i nierzucające się w oczy ani uszy. Była wdową z jakiejś nieznannej wioseczki w mało znanej dolinie. Dokumenty miała sfalszowane (co przeraziło Freddie), ale sprawdzały się dobrze.

Młodsza siostra dalej próbowała ją przekonać, żeby wróciła do domu. Do domu - Tessa już w tydzień, dzień, godzinę po przekroczeniu włoskiej granicy w październiku 1938 roku wiedziała, że jest z powrotem w domu. Czowała się, jakby ktoś zdjął jej z ramion wielki ciężar. Nawet powietrze, którym oddychała, było znajome i napawało otuchą.

Najpierw zatrzymała się u zaprzyjaźnionego projektanta mody, mieszkającego nad jeziorem Como. Pracowała kiedyś z Fabiem; on i jego przyjaciel, Jean-Claude, okazali się bardzo gościnni. Dom był elegancki,

ogród, schodzący do jeziora - przepiękny. Trochę spacerowała, czytała, dużo spała. Po pewnym czasie zdała sobie jednak sprawę, że Fabio wie - oczywiście, że tak, był znanym plotkarzem, a świat haute couture od zawsze żywił się sensacjami. Pojechała więc gdzie indziej, najpierw do Wenecji, gdzie przelotnie romansowała z pewnym dystyngowanym wdowcem. Jednak w tym mieście, pełnym mrocznych kanałów i wysepek, które zdawały się unosić na warstwie zimowej mgły, Tessa wpadła w dziwną melancholię. Opuszczała Wenecję przygnębiona i pozbawiona energii.

W ciągu następnych miesięcy miotała się chaotycznie pomiędzy różnymi spotkaniami i rozstaniem, kochankami i podróżami. Wydawało jej się wtedy, że to dobry sposób na zapomnienie o przeszłości. Później doszła jednak do wniosku, że próbowała się ukarać takim trybem życia.

Podrobione dokumenty załatwił jej inny kochanek, mężczyzna o podejrzanym reputacji, gwałtowny i nieprzewidywalny. Gdzieś pomiędzy Bolonią i Florencją stała się signorą Bruno, spokojną, przyzwoitą wdową. Znalazła sobie mieszkanie na Oltrarno oraz pracę w sklepie z ubraniami przy Via de' Tornabuoni. Nauczyła się utrzymywać ze skromnej pensyjki. Zaczęła nawet gotować, choć niezbyt dobrze jej to wychodziło.

Wróciwszy do Florencji, przypomniła sobie o Guidzie Zanettim. Był jej pierwszą miłością. Odkrywając na nowo miasto, w którym dorastali, stwierdziła, że wspomina także rozkosze i cierpienia pierwszego uczucia, charakterystyczną kolczastą słodycz. Rozpytując dyskretnie, dowiedziała się, że Domenico Zanetti zmarł, a Guido zarządza teraz rodzinnymi tkalniami jedwabiu. Mieszkał z żoną i dzieckiem w palazzo Zanettich przy Via Ricasoli. Miał prawie trzydzieści lat. Może przestał już być tak

królewsko przystojny. Czy utył w pasie, a kręcone czarne włosy się przerzedziły? Był żonaty, pewnie zrobił się wygodny i spoczął na laurach. Zapewne nie będą już mieli nic wspólnego ze sobą.

We wrześniu 1939 roku, po niemieckiej napaści na Polskę, Włochy, ku uldze Tessy, zachowały neutralność. Oby jej się udało dalej wieść spokojne życie, jakie dla siebie wybrała. Może wojna w sumie niewiele zmieni, myślała. Mijały miesiące. Unikała bliskich przyjaźni, wykorzystując swe rzekome wdowieństwo, aby odrzucać zaproszenia od koleżanek ze sklepu. W antykwariacie pod jej mieszkankiem pracował pewien mężczyzna, pogodny, pulchny, w okularach. Codziennie mówił jej dzień dobry. Czasem piła z nim kawę w wąskim, ciemnym wnętrzu pachnącym starymi gazetami i pajęczynami. „Zaprosiłbym cię na kolację”, powiedział któregoś wieczoru, zamykając sklep, „gdybym myślał, że jest choćby nikła szansa, że się zgodzisz. Ale nie ma, prawda”?

Nauczyła się nie robić pierwszego kroku. Jeśli nie idziesz z mężczyzną na kolację, to go nie całujesz. Jeśli nie zapraszasz go na swoje urodziny, nie łądujesz z nim w łóżku. Jeśli ciągle uważasz, nie zakochasz się w nieodpowiednim facecie i nie będziesz cierpieć. Z perspektywy czasu zaczęła uważać, że większość jej kochanków stanowili właśnie tacy „nieodpowiedni” mężczyźni.

Podczas ciężkiej zimy na przełomie roku trzydziestego dziewiątego i czterdziestego, często czuła się bardzo samotna. Najgorsze były niedziele, z ich wymuszoną beczynnością oraz wystrojonymi, szczęśliwymi rodzinami, spacerującymi po ulicach. Nie wiadomo, co ze sobą zrobić w taki dzień - oczywiście można szyć, czytać, pracować, iść na spacer, ale największym

problemem staje się niedopuszczenie do siebie smutku. A ten zdawał się na nią napierać jak ściany ciasnego pokoiku.

Przyszła pewna niedziela, potwornie zimna, z niebem jak bryła szarego kamienia. Tessa poszła na dworzec kolejowy sprawdzić rozkład jazdy. Pomyślała, że wróci do Anglii - zatęskniła za Freddie. Albo pojedzie do Paryża, zawsze uwielbiała Paryż.

Następnego dnia jednak wiatr rozwiął chmury i w wodach Arno załśnił błękit nieba. Tessa, która zawsze kierowała się intuicją, poczuła, że jest na swoim miejscu, mimo samotności i niebezpieczeństw. Czy przed czymś ucieka? Zapewne tak. A może nie chce spojrzeć prawdzie w oczy, jak twierdziła Freddie? Nie, raczej nie. We Florencji można niemal dotknąć historii, śladów dawnych miłości, krzywd, zazdrości i żalów, odcisniętych w kamieniach tych ulic, połyskujących w zaułkach. Wydarzyło się tu już tyle strasznych rzeczy, że to miasto nie będzie jej osądzać.

Szukała sensu życia i czekała, aż go odnajdzie.

Nadeszła wiosna, ciepłe powietrze podnosiło na duchu. Tessa domyślała się jednak, że Hitler nie zadowolony się Polską. W kwietniu wojska niemieckie wkroczyły do Danii, a potem do Norwegii, która poddała się pierwszego maja.

Uzbierała trochę pieniędzy i kupiła na pchlim targu stare radio, a właściciel antykwariatu, jak się okazało, radioamator, pomajstrował przy nim trochę i wreszcie z głośnika popłynęły wiadomości. W mieście panowało napięcie, Florencja wydawała się rozwibrowana jak zbyt mocno napięta struna skrzypiec. Dziewczyny w sklepie ciągle chichotały i piszczały z byle powodu albo płakały, pisząc listy do narzeczonych w wojsku.

Tessie udzielił się ogólny niepokój. Często spacerowała, dużo paliła, pisała listy do Freddie, do Londynu, błagając ją, żeby przeniosła się gdzieś na wieś - do Land's End albo John o'Groats, gdziekolwiek, byle dalej od stolicy, na którą zaraz spadną bomby.

Kilka dni po upadku Norwegii poszła do Ogrodów Boboli. Zobaczyła ich na głównej alei. Guido był z żoną i córeczką. Nie utył ani nie wyłysiał, od razu go poznała. Zastanawiała się, czy nie zawrócić i nie uciec, schować się za cyprysami. Coś jednak kazało jej iść dalej, zapewne ciekawość, potrzeba sprawdzenia samej siebie. Może jej nie pozna. Była teraz starsza i nie tak ładna - krótkie włosy, blizna na czole. Może o niej zapomniał.

Zbliżali się do niej; żona, szczupła, jasnowłosa, w białej spódnicy, zakiecie, truskawkowej bluzce i kapeluszu, śmiała się perliście. Dziewczynka w wózku miała lniane loczki. Ubrana była w białą sukienkę z falbankami. Minęli Tessę - Guido jej nie poznał - wszystko skończone. Oczywiście, że tak. Skończyło się dawno temu.

- Tessa?

Usłyszała głos, który niegdyś tak bardzo ją elektryzował. Odwróciła się.

- Tessa, to naprawdę ty! - Podszedł do niej.

- Cześć, Guido - powiedziała. - Jak leci?

- Świetnie - odparł. - A tobie? - W jego oczach malowało się zaskoczenie. I radość, pomyślała. - To nadzwyczajne znowu cię widzieć! Gdzie się zatrzymałaś?

Żona upomniała go łagodnie:

- Kochanie...

- Przepraszam. Maddaleno, to jest Tessa...

- Tessa Bruno. - Ujęła rękę Maddaleny Zanetti, okrytą białą koronkową rękawiczką. - Miło mi panią poznać, signora.

- Mnie również, signora Bruno.

Tessa uśmiechnęła się do dziecka w wózku.

- Śliczną mają państwo córeczkę.

- Na imię jej Lucia - odezwała się Maddalena - ale mówimy na nią Luciella.

- Ile ma lat?

- Prawie trzy.

- Na pewno są z niej państwo bardzo dumni. - Po chwili Tessa wyjaśniła Maddaleni Zanetti: - Znamy się z Guidem z dzieciństwa. Bawiliśmy się razem.

- Odwiedzasz nasze miasto? - zapytał Guido. - Na długo przyjechałaś?

- Na stałe - odpowiedziała. - A teraz... - szybko zerknęła na zegarek - przepraszam bardzo, ale muszę już iść. Bardzo się cieszę, że państwa spotkałam. - Nastąpiły kolejne uściski dłoni. - Do widzenia, Guido, do widzenia, signora.

Oddaliła się alejką. Dawno temu, latem 1933 roku, czuła niemal telepatyczną więź z Guidem. Zerkała nań przez stół, a ukochany patrzył na nią, ciemny, przystojny, niepokojący. Wracała do domu po szkole i czuła



nagle ukłucie. Unosiła wtedy wzrok i dostrzegła Guida po drugiej stronie placu. Teraz miała wrażenie, że dwie rozżarzone igielki utkwily między jej łopatkami. Wbiła paznokcie w dłonie i przyspieszyła kroku.

Dwa dni po spotkaniu w Ogrodach Boboli czekał na ulicy pod mieszkaniem Tessy, kiedy wróciła z pracy.

- Guido - zdziwiła się. - Jak mnie znalazłeś?

- Popytałem trochę. Nie było trudno. Pracujesz u Ornelli, prawda? - Tak nazywała się właścicielka sklepu. - Znam wszystkich na Via de' Tornabuoni - dodał. - Aż dziw, że dotąd na siebie nie wpadliśmy.

Spojrzał w głąb zaułka. Nad nimi w nieruchomym powietrzu wisiały słabo naprężone sznury z praniem.

Mężczyzna w podartych drelichowych spodniach i wymazanym smarem podkoszulku majstrował przy motorze. Grupka dzieci bawiła się pomarańczowym pudłem, udając, że to samochód. Ciągnęły je po bruku i kłóciły się, kto ma wsiąść do „auta”.

- Nie rozumiem, Tesso - powiedział z lekkim wyrzutem - czemu do mnie nie zadzwoniłaś? Czemu nie powiedziałaś, że wracasz?

Westchnęła.

- Chodź na górę, Guido. Miałam trudny dzień, jestem zmęczona, chciałabym usiąść.

- Ale twój mąż...

- Nie jestem zamężna.

Otworzyła drzwi i wszedł za nią do budynku. Wpuściła go do pokoju, zaproponowała kieliszek wina.

-Nie, dziękuję. Teściowie przychodzą na kolację. Zresztą chcę jeszcze zobaczyć Luciellę, zanim niania położy ją spać. - Nie usiadł; podszedł do okna, wyrztał na ulicę. - Czyli nie jesteś mężatką. Wdową zatem?

- Nie.

Uniósł brwi.

- Rozwiedziona?

- Też nie. Nigdy nie wyszłam za mąż. - Tessa opowiedziała mu o „signorze Bruno” i nieznaney nikomu wiosce w zagubionej dolinie. - Pomyślałam, że tak będzie najlepiej - dodała. - Ciężko by mi było teraz we Florencji z angielskim nazwiskiem. Wszystko w porządku, Guido. Mam odpowiednie papiery.

Zmrużył oczy.

- Fałszywe?

-Tak.

- Tessa, co ty wyprawiasz?

- Potrzebowałam włoskiego nazwiska, żeby znaleźć pracę i mieszkanie. Do wszystkiego jest potrzebne. Niełatwo by mi było bez tych dokumentów.

- Zamierzasz tu zostać?

- Tak. Jestem bardzo ostrożna. Staram się nie rzucać w oczy i jak najmniej zwracać na siebie uwagę.

- Ty nie chcesz się rzucać w oczy? Ty?! - Szczerze się zdziwił, niemal zezłościł. - Tessa, nie opowiadaj bzdur.

- Guido, ja się bardzo zmieniłam. - Przybrała chłodny ton. - Nie jestem już taka jak dawniej. Może trzeba było cię okłamać, jak wszystkich.

- Nie rozumiesz, że narażasz się na wielkie niebezpieczeństwo? Podrobione papiery, w takich czasach? Jezus Maria, Tessa, to szaleństwo!

- Taką podjęłam decyzję. I w sumie to nie twoja sprawa. - Popatrzyła nań z przyganą. - Nasza przyjaźń skończyła się dawno temu.

Chwycił kapelusz.

- No tak. Przepraszam, że zawracałem ci głowę.

Otworzyła drzwi.

- Do widzenia, Guido - powiedziała. Kiedy zbiegał po schodach, odgłos jego kroków pobrzmiwał echem w jej głowie.

Złość ulotniła się, gdy tylko wyszedł. Tessę ogarnął smutek. Otworzyła szufladę w sypialni i przesunęła dłonią po znajdujących się w środku przedmiotach. Były tam zdjęcia, para buczków i królik zrobiony na drutach. Pamiątki po jej synku. Miała jeszcze inne rzeczy po Angelu, lecz przechowywał je Ray; na razie nie mogła na nie patrzeć.

Była na siebie zła, że nie pamiętała ostatnich dni z synkiem. Nie pamiętała nawet, kiedy ostatni raz trzymała go na rękach. Taka ważna część tak krótkiego życia przepadła, przykryła ją gęsta czerń. Lekarze w szpitalu mówili, że u pacjentów z urazem głowy często występuje amnezja. Pamięć o zdarzeniach sprzed wypadku może wrócić lub nie. Dni i tygodnie po

katastrofie, gdy najpierw była nieprzytomna, a potem oszołomiona po silnych środkach przeciwbólowych, też się zagubiły. Któryś lekarz zilustrował to takim porównaniem: czysty, drobny, suchy piasek z dala od brzegu to żywe wspomnienie odległej przeszłości; mokry piasek wchłaniany przez fale to wypadek i dni bezpośrednio przed nim i po nim.

Wypełniła niektóre luki, rozmawiając z przyjaciółmi. Nie pracowała w tamtym tygodniu, bo Angelo był przeziębiony. Ktoś organizował jakieś przyjęcie, ale nie poszła, bo dziecko źle się czuło i była zmęczona. W wieczór przed wypadkiem zadzwonił Max, niepokoił się jej przygnębieniem. Uznał, że za dużo siedzi sama, a przecież zawsze lubiła towarzystwo.

Wypadek zdarzył się na szosie do Oksfordu. Tessa podejrzewała, że chciała zobaczyć się z Milem. Raczej nie jechała do szkoły Freddie, bo nigdy nie odwiedzała jej w poniedziałek po południu, a zresztą siostra mówiła później, że jej się nie spodziewała. Freddie zapytała nawet dyrektorkę internatu, pannę Fainlight, i ta potwierdziła, że w ciągu paru dni przed wypadkiem nie było żadnego telefonu od Tessy. Oczywiście możliwe, że wybrała się do Westdown pod wpływem impulsu.

Czyli zostaje Milo. Mogła go zapytać, czy się z nim umawiała, ale nie zrobiła tego. Minęło wiele tygodni, zanim poczuła się na tyle dobrze, by pomyśleć o telefonie czy liście do kochanka, a on przez cały ten czas ani razu jej nie odwiedził ani do niej nie napisał. Nie odezwała się więc, bo jego milczenie powiedziało jej dobitniej niż cokolwiek, że już jej nie kocha. Zrozpaczona zdradą, oraz znacznie dotkliwszą stratą, Tessa wpadła w mroczną przepaść. Po jakimś czasie rozpacz ustąpiła miejsca złości. Potem zaś szybko pojawiły się rezygnacja i żal. Uświadomiła sobie bowiem, że

musi za wszelką cenę zapomnieć o przeszłości i spróbować poskładać w całość skrawki własnego życia.

Minęły trzy lata, a jej wciąż się wydawało, że słyszy echo własnego głosu, gdy mówiła Milowi Rycroftowi: „Miłość trwa tak długo, jak chce, przynajmniej ja tak uważam”. Jakież to naiwne i nihilistyczne. Dziś już rzadko o nim myślała. Została tylko nieufność i świadomość ogromu popełnionych błędów.

„Zmieniłam się, Guido. Nie jestem już taka jak dawniej”. Wyznała mu prawdę: nie była już osobą, za którą niegdyś się uważała. Pomyślała, że nazwisko „Tessa Bruno” pasuje do niej równie dobrze jak każde inne. Tessy Nicolson i tak już nie było.

Nazajutrz też na nią czekał, kiedy wróciła z pracy. Ciemny, doskonale skrojony garnitur, jedwabny krawat, wyglansowane, zrobione na miarę buty. Nie pasuje do tej uliczki z suszącym się praniem i bazgrołami na murach, pomyślała.

Na jej widok stanął na baczność.

- Przepraszam za to, co wczoraj powiedziałem - bąknął sztywno. - Martwiłem się o ciebie i dlatego tak wyszło.

Zawsze był dumny. Tessa wiedziała, że przeprosiny musiały go sporo kosztować.

- Ja chyba też za szorstko cię potraktowałam - przyznała.

- Wiele zmieniło, Tesso - powiedział półgłosem. - Florencja się zmieniła. Gdyby wykryto, że masz fałszywe papiery, policja uznałaby cię za szpiega.

- Będę ostrożna, Guido. Obiecuję.

Zerknął na wycinek błękitnego nieba między wysokimi ścianami budynków.

- Ładny wieczór. Może się przespacerujemy?

Poszli Via Romana.

- Mówiłem poważnie, Tesso. Tutaj nie jesteś bezpieczna. Za parę tygodni pewnie znajdziemy się w stanie wojny.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie.

- Naprawdę tak myślisz?

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Z całego serca liczę na to, że nie będzie tak źle - powiedział. - Ale są tacy, którzy prą do wojny, bo uważają, że to łatwa droga do chwały.

- Co o tym wszystkim sądzisz?

Wypuścił głośno oddech.

- Na razie trzymamy się z boku i zarabiamy na wojnie. Liczyłem, że cynizm i miałość naszego rządu pozwoli nam dalej cieszyć się taką sytuacją. Opowiedzenie się po stronie Osi to kompletne szaleństwo. Oblęd. To by nas zniszczyło.

Minęło ich kilku chłopców, biegnących za wózkiem, w którym jechał ich kolega. Pies wachał coś w zeschniętych liściach w rynsztoku.

- Powiedziałaś wczoraj, że nasza przyjaźń się skończyła. Jeśli tak, Tesso, to była twoja decyzja.

- Nie, to nieprawda. - Wspomniała pierwsze, straszne tygodnie w Anglii, szkołę, deszcz, rozstanie prawie ze wszystkim, co lubiła i ceniła. - Pisałam do ciebie, ale nigdy nie odpisałeś.

- W życiu nie dostałem od ciebie ani jednego listu.

Tessa stanęła jak wryta.

- Nie rozumiem.

- Ani jednego. A pisałem, nie wiem... kilkanaście razy.

Kłamał? Chyba nie.

- I ja do ciebie pisałam, Guido. Naprawdę.

Przypomniała sobie Westdown, nauczycielki stare panny i wymyślne reguły. Nie wolno jej było wrzucać listów do skrzynki, musiała je przekazywać dyżurnej.

- Aaa, to chyba szkoła wkroczyła do akcji. Może nie wolno było pisać do chłopców. Może nauczycielki czytały nasze listy. A potem je darły.

- W końcu zrezygnowałem. Pomyślałem, że o mnie zapomniałaś.

- Nie, Guido. Nigdy o tobie nie zapomniałam.

- Co za szkoda... - powiedział cicho. - Ale czemu wróciłaś do Florencji?

- Bo tu jest moje miejsce.

- Nie w Anglii?

- Nie. Przez chwilę tak mi się wydawało, ale się myliłam.

- Nie byłaś tam szczęśliwa?

- Z początku byłam. - Uśmiechnęła się. - Uwielbiałam Londyn. Podobało mi się to, że sama zarabiam na życie.

- A co robiłaś?

- Byłam modelką. Paradowałam przed bogatymi damami w ekskluzywnych domach towarowych. - Przybrała afektowaną pozę, a Guido się roześmiał.

- Dobrze ci szło?

- Tak, nawet bardzo. Mogłam się utrzymać i jeszcze płacić chesne Freddie. Byłam z tego dumna.

- A teraz pracujesz w sklepie z ciuchami... dlaczego, Tesso?

Spochmurniała.

- Bo coś się stało - odrzekła krótko.

- Ta blizna na czole - dlatego przestałaś być modelką?

Machinalnie uniosła rękę i przyglądała grzywkę.



- Miałam wypadek samochodowy.
- Byłaś poważnie ranna?

Kiwnęła głową.

- Biedna Tessa...

Zamilkła i przesunęła opuszkami palców po płatkach róż, pnących się po ścianie.

- Zrobiłam parę rzeczy, których się wstydzę.

Była mu wdzięczna, że powstrzymał się od dalszych pytań. Dało jej to czas na wzięcie oddechu i zmianę tematu.

- Ale tobie te lata posłużyły. Masz żonę. I śliczną córeczkę.
- Tak, to prawda, poszczęściło mi się.
- A jak poznałeś Maddalenę?
- Maddalena to jedynaczka z bogatej florenckiej rodziny - powiedział Guido.

Znali się od kołyski. Małżeństwo otrzymało błogosławieństwo obu rodów. Maddalena, piękna, elegancka i świetnie wychowana, była świetną gospodynią, wyprawiała wspaniałe przyjęcia i znakomicie opiekowała się Luciellą.

Trochę mdły opis, pomyślała Tessa. Brak w nim uczucia. Wyobraziła sobie, jak państwo Zanetti idą do kościoła w niedzielny poranek; Maddalena, pogodna, w skupieniu porządkująca myśli przed mszą, Guido,

lekko znudzony, niespokojny, wędrujący wzrokiem po wstępujących na schody wiernych.

Dotarli do starej bramy miejskiej.

- Było mi bardzo smutno, kiedy się dowiedziałam o śmierci twojego ojca, Guido - powiedziała Tessa. - Lubiłam go. Długo chorował?

- Dwa lata. Trudno było patrzeć na niego w takim stanie. Matka się nim opiekowała.

- A jak się czuje twoja mama?

- Dobrze. Mieszkają teraz z Faustyną w willi w Chianti. Mama zawsze wolała życie na wsi.

- Faustina... ile ona ma lat?

- Dwadzieścia jeden.

- Zameżna? Zaręczona?

- Ani jedno, ani drugie. - Rozłożył ręce. - Faustynie nie przeszkadza, że żyje na jakimś odludziu. Ja chyba bym się rozpił z rozpaczy.

Tessa przypomniała sobie Faustynę Zanetti. „Strasznie się rządzi”, skarżyła się Freddie, kiedy jako mała dziewczynka musiała się z nią bawić popołudniami.

- A Sandro? - zapytała.

- Pracuje w Bolonii. - Guido uśmiechnął się, ukazując białe zęby. - Buduje drogi i mosty. Tesso, a co u Freddie?

- Wszystko dobrze. Pracuje w biurze w Londynie. Bardzo mi jej brak.

Utkwił w niej oczy barwy gorzkiej czekolady.

- To wróć do Anglii - zasugerował łagodnie.

- Nie mogę, Guido, naprawdę nie mogę.

Przez chwilę szli w milczeniu.

- Patrząc w przeszłość, widzę, jaka to była dziwna sytuacja - powiedziała po pewnym czasie. - Moja mama przychodziła do domu twojej matki. Jadali razem, twój ojciec, jego żona i kochanka. Zastanawiałam się, czy twojej mamie to nie przeszkadzało. Chyba musiało.

- Może się nie zorientowała?

- Jakże mogła nie wiedzieć? Nawet myśmy to odkryli. Ty mi powiedziałeś, Guido, nie pamiętasz? Wróciłeś z uczelni i któregoś dnia wyjawileś, że moja matka i twój ojciec mają romans. Głupia byłam, że sama tego nie zauważyłam.

- Może trzeba to było zachować dla siebie. Byłaś jeszcze dzieckiem.

Miałam wystarczająco dużo lat, pomyślała. Wspominając dzieciństwo, dostrzegła wiele niepokojących rzeczy. Miała swobodę i łatwy kontakt ze sztuką i pięknem, a jednocześnie była zbyt blisko intymności, namiętności i zła w związkach dorosłych. Widziała miłość, tak naprawdę jej nie rozumiejąc, patrzyła, jak ojciec i matka ranią się nawzajem, i myślała, że to normalne. Teraz zdała sobie sprawę, że to wszystko ukształtowało jej charakter.

Dziesiątego maja wojska Hitlera weszły do Holandii, Belgii i północnej Francji. We Florencji członkowie faszystowskich grup rozlepiali na ścianach plakaty, domagając się, aby Duce wypowiedział wojnę Francji i Wielkiej Brytanii. W sklepie z ubraniami, w którym pracowała Tessa, mówiło się o kampanii zbrojnej, ale tylko wygranej, o bliskiej kapitulacji Francji i nieuniknionej klęsce Anglii.

Niektóre z fontann i posągów w mieście owinięto grubo filcem, inne przeniesiono do betonowego schronu w Ogrodach Boboli. Z kościołów i galerii pozdejmowano obrazy i wywieziono je do willi na wsi; boginie Botticellego szturchały łokciami kawalerów Caravaggia, jadąc po wyboistych wiejskich drogach do piwnic i lochów. Istna diaspora sztuki.

Paru ostatnich zamieszkałych we Florencji Anglików spakowało walizki i pospieszyło na ostatnie jadące ku granicy pociągi. Tessa napisała list do Freddie i zaniósła na dworzec. Tam poprosiła któregoś z uciekających rodaków o wysłanie go po przybyciu do Anglii. Gwizdnął parowóz, buchnął dym; patrzyła, jak pociąg rusza z peronu i znika jej z oczu.

Dziesiątego czerwca, gdy francuski opór się załamał, a Brytyjczycy zaczęli ewakuować swoje siły z portów na kanale La Manche, Mussolini przystąpił do walki po stronie Osi. Nie widać zbytniego entuzjazmu dla tej wojny, pomyślała Tessa, wracając do domu po pracy. Ulice i place były nieco cichsze niż zwykle, kawiarnie na wpół puste, upał i strach wisiały nad miastem jak kir.

W mieszkaniu usiadła przy oknie i wpatrywała się w sphywające na zaułek niebieskoczarne cienie wysokich kamienic. Nędzny koniec byle jakiego dziesięciolecia, pomyślała. Oportunizm Mussoliniego oraz

zachłanność i gwałtowność Hitlera wyrosły na pożywce niezdecydowania i wahań pozostałych mocarstw Zachodu. A wobec kogo ona powinna być lojalna, ze swym przybranym nazwiskiem i podrobionymi dokumentami? Z pewnością wobec ludzi, których kochała, i wszystkiego, co w głębi serca uważała za słuszne. Była teraz jednak obywatelem wrogiego państwa, zamieszkałym w kraju pozostającym w stanie wojny z Wielką Brytanią. Wypowiedzenie wojny przez Mussoliniego narażało ją na wielkie niebezpieczeństwo.

Zobaczyła nadchodzącego uliczką Guida. Obserwowała go przez chwilę, jego długi krok i zaciśnięte usta, potem zeszła do drzwi, by wpuścić go do kamienicy.

Guido milczał, dopóki nie znaleźli się w jej pokoju. Dopiero wtedy się odezwał.

- Jutro wyjeżdżam z Florencji - powiedział. - Jadę na kurs oficerski w Modenie.

Dłoń Tessy znieruchomiała podczas nalewania wina.

- Od dawna o tym wiesz?

- Od niedawna.

- Jak długo cię nie będzie?

- Nie wiem. - Zmarszczył brwi. - Zależy, gdzie mnie wyślą. Mussolini, zanim wykonał ruch, odczekał, aż sytuacja stanie się niekorzystna dla Francji. Sądzi, że Anglia sama też długo się nie utrzyma. Liczy na to, że

Brytyjczycy niedługo będą uzgadniać z Niemcami warunki kapitulacji... za miesiąc, najwyżej dwa.

Tessa pomyślała o wszystkich mężczyznach poznanych w Anglii - Rayu, Julianie, Maksie, Paddym. Czy uzgadnialiby warunki kapitulacji? Nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

Podawała gościowi kieliszek i usiadła.

- A ty, Guido? Co o tym sądzisz?

- Myślę, że do wojny włączą się Amerykanie. Na razie trzymają się z boku, ale to raczej nie potrwa długo. - Usiadł obok niej i zabębnił palcami w oparcie kanapy. - Wczoraj wieczorem pokłóciłem się z teściem. Od zawsze stał murem za Mussolinim. Przypomni mi, że w Ameryce jest wielu Włochów. Przecież nie będą walczyć ze swoimi rodakami! Tak mi powiedział. Odparłem, że Ameryka nie będzie współpracować z faszystowską Europą.

- I kto wygrał dyskusję?

- Nikt. Widziałem, że Maddalena się denerwuje. Nie cierpi, kiedy się kłóć z jej ojcem, więc zmieniłem temat. - Wbił w nią wzrok. - Tesso, musisz wyjechać z Florencji. Wcześniej czy później ktoś zacznie się dopytywać. Napisałem do matki.

Popatrzyła nań ze zdziwieniem.

- Nie rozumiem.

-Mówiłem ci, że moja matka i siostra mieszkają w naszej willi w Chianti. Matka mieszka tam od śmierci ojca i modernizuje nasze farmy,

które są w dzierzawie. Popularyzuje wśród contadini nowoczesną technikę rolniczą, założyła tam szkołę i szpital. Matka jest tam lubiana i szanowana, nikt nawet nie zauważy, jeśli pojawi się jeszcze jedna osoba. Faustina ma...

Przerwała mu.

- Guido, czy ty sugerujesz, że powinnam pojechać do twojej matki?

- Tak. Tam będzie bezpieczniej. - Wyjął kopertę z wewnętrznej kieszeni marynarki. - Faustina odpisała. To jej odpowiedź, przysłała rano. Przeczytaj, proszę.

Nie wzięła listu.

- Guido, wiem, że chcesz być miły, ale przecież nie mogę zamieszkać z twoją matką.

- Dlaczego?

- Przecież to niemożliwe, sam rozumiesz.

- W takim razie narażasz na niebezpieczeństwo nie tylko siebie, ale i mnie.

- Nie - odparła ostro. - To nieprawda. To, co robię, to moja decyzja, mój wybór. To nie twoja sprawa.

- Tesso, nie żyjesz w izolacji. Myślisz, że powiedziałem Maddaleni o tobie? O tym, że moja pierwsza ukochana wróciła do Florencji? Nie, oczywiście, że nie. Jeśli tu zostaniesz, będę się czuł zobowiązany cię odwiedzać, dbać o ciebie i twoje bezpieczeństwo. A jeśli wpadniesz w jakieś tarapaty, wątpię, czy będę mógł biernie się temu przyglądać.

- To niesprawiedliwe! - wykrzyknęła.

- Kochaliśmy się kiedyś. Nie zapominaj o tym!

- Umiem sama się zatroszczyć o siebie - rzuciła ze złością. - Od dawna to robię.

- Naprawdę, Tesso?

Jej ręka machinalnie powędrowała do blizny na czole. Wstała pośpiesznie i odsunęła się od niego. Splotła ręce na piersiach i popatrzyła w okno. Na ulicy osioł ciągnął wózek wyładowany pustymi butelkami. W bramie całowała się para kochanków, długie, czarne cienie oblepiały bruk.

Usłyszała, jak za Guidem zamknęły się drzwi. Zauważyła wtedy, że w pajęczynie w rogu ramy okiennej szamocze się motyl, próbując uwolnić drżące skrzydła. Ostrożnie wyplątała go z sieci i otworzyła okno, by mógł wyfrunąć. Leciał zrywami, nierówno, aż zaniepokoiła się, że uwalniając biedaka, uszkodziła mu skrzydła.

Rok temu powiedziała siostrze, że według niej Anglia nie będzie podczas wojny bezpieczniejsza od Florencji. Wyznała także, że musi uciec od bolesnych wspomnień. Jedno i drugie było prawdą. Lecz teraz po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, czy postąpiła słusznie, czy aby nie powinna była opuścić Włoch razem z resztą angielskich obywateli.

Po wypadku samochodowym, po wyjściu z najczarniejszej depresji, Tessa czuła w sobie tylko pustkę. Nie śmiała się, nie płakała. Nic nie mogło jej poruszyć. Cokolwiek zrobiła - czy kryła się przed światem, czy też gorączkowo oddawała się długiej serii przyjemności - w głębi jej duszy tkwiła szarość i nijakość. Bała się, że już nigdy nie zazna głębszych uczuć,



choć na pewno kochała Freddie. Przyjmowała to jako fakt. Logicznie rozumując, była też przekonana, że kochała niegdyś Maksa, Raya i innych bliskich przyjaciół. Nie czuła jednak tej miłości. Dopiero tu, we Włoszech, zaczęła odżywać na nowo.

Usiadła na kanapie i zapaliła papierosa. Guido odszedł, ale wyczuwała jego obecność. Przesunęła dłonią po oparciu sofy, której dotykał ręką. „Wątpię, czy będę mógł biernie się temu przyglądać”, powiedział. W tych słowach kryło się ostrzeżenie. Powinna wyjechać. Nie chciała zniszczyć życia jemu, Maddaleni ani Lucielli. Paru rzeczy zdążyła się wreszcie nauczyć.

Ale dokąd ma się udać i co będzie robić? Wzdrygnęła się na myśl, że znów musi zaczynać od nowa, zająć się szukaniem mieszkania i pracy.

Podniosła list od Faustiny Zanetti i go otworzyła. Siostra Guida była konkretna i rzeczowa, ale też z pewnością życzliwa. Odpisała, że w willi zawsze przyda się dodatkowa para rąk i Tessa jest mile widziana, jeśli się nie boi pracy fizycznej. Podczas wojny będzie brakować żywności, więc trzeba ciężko pracować na roli. Mogłaby także, jeśli by wolała, pomagać w szkole albo w szpitalu. W zamian otrzyma jedzenie i mieszkanie.

Wypowiedzenie wojny przez Włochy odmieniło wszystko. Guido miał rację - Tessa nie była już bezpieczna we Florencji. Musi się ukryć na wsi, jeśli nie chce ryzykować życia swojego i innych. A jednak, skoro miała wyjechać z Florencji do willi Zanettich, musiała zawiadomić o tym Freddie. Listy z pewnością były otwierane i czytane, a jak ostrzegał Guido, jeżeli wyjdzie na jaw jej prawdziwa narodowość, władze mogą ją oskarżyć o szpiegostwo. Musi być bardzo, bardzo ostrożna.

Dwanaście dni później armia włoska weszła na francuską Riwierę i zajęła Menton. Ten nocy Tessa napisała do Faustyny, przyjmując jej propozycję.

Freddie po raz drugi spotkała Jacka Ransome'a w Dorchester, w grudniu 1940 roku, podczas największej fali nalotów na Londyn.

Przy stoliku było ich pięcioro: ona i Angus Corstophine, Ray, Susan i Julian. Freddie włożyła granaty po matce; pięknie lśniły na tle czarnej, wieczorowej sukni. Przy narożnym stoliku po drugiej stronie siedziało liczne towarzystwo. Zachowywali się hałaśliwie, od czasu do czasu wybuchały śmiechy albo oklaski.

Susan opowiadała właśnie, że na schodach rozgłośni BBC spotkała Myrę Hess\*, gdy przy tamtym stoliku ktoś wrzasnął:

- Jack!

- Jezus, własnych myśli nie słyszę. Mogliby się trochę przyciszyć - mruknął Ray.

Freddie obejrzała się na idącego środkiem sali mężczyznę. Był to Jack Ransome. Wyglądał inaczej - ubrany w wojskowy mundur, sprawiał wrażenie schludniejszego, bardziej eleganckiego i zdrowszego niż osiemnaście miesięcy temu. Jack, pomyślała. Jack, który wciągnął ją w tę okropną ucieczkę przez góry. Jack. W Londynie.

Angus podążył za jej wzrokiem.

- Znasz go?

Myra Hess - słynna brytyjska pianistka.

- Jacka Ransome'a? Poznaliśmy się kiedyś. A ty go znasz?
- Jego starszy brat był ze mną w klasie.

Freddie odwróciła się z powrotem do Susan.

- A miała na sobie piękną suknię?
- Niestety, bluzkę i spódnicę.
- To radio, Freddie - wtrącił Julian. - Do radia nie trzeba się stroić.

Freddie się uśmiechnęła.

- Zawsze ją sobie wyobrażam w wieczorowej sukni, obojętne, co robi.
- Nawet przy zmywaniu.

Kelner podał kawę i ptifurki. Julian zapytał:

- Czy ktoś coś wie o Maksie?
- Powiedział, że może się spóźnić.

Po inwazji na Holandię, Belgię i Francję latem 1940 roku wszyscy obywatele wrogich państw, zamieszkali w Wielkiej Brytanii i uznani za zagrożenie dla państwa, zostali internowani. Był wśród nich Max. Gdy oddaliło się zagrożenie inwazją, panika opadła i internowanych zaczęto wypuszczać. Po wyjściu z obozu na wyspie Man Max zaczął pracować w Ministerstwie Informacji.

Siedzące przy narożnym stoliku towarzystwo znów ryknęło śmiechem. Freddie wstała i ucałowała Angusa w policzek.

- Zaraz wracam, skarbie. Przywitam się tylko z Jackiem.

Przeszła przez salę.

- Jack - powiedziała.

- Mój Boże! Freddie Nicolson! - Wstał i uśmiechnął się szeroko. - Jakże się cieszę. Wspaniale znów cię widzieć.

- Jak tam twoja kostka?

- Wyleczona, dzięki tobie. A ty? Pięknie wyglądasz.

- Chyba lepiej, niż kiedy ostatnio się widzieliśmy.

Jack przedstawił ją swoim znajomym.

- To jest panna Nicolson. - Potem wyrecytował listę nazwisk. - Jecie kolację, Freddie?

- Właściwie kończymy. Pewnie pójdziemy na tańce. Muszę już iść... może później się zobaczymy, Jack.

Wróciła do swojego stolika. Angus odłożył dla niej najładniejszą ptifurkę, przypominającą miniaturowego czekoladowego eklera.

Freddie pracowała teraz jako urzędniczka w Ministerstwie Wojny. W październiku polecono jej zabrać pakiet akt do sali na drugim piętrze. Zapukała do drzwi, a czyjś głos pozwolił jej wejść. Mężczyzna siedzący za biurkiem uniósł wzrok i powiedział: „dziękuję”, kiedy mu je wręczyła. Potem zapytał, jak się nazywa.

- Nicolson - odparła. - Panna Nicolson.

- Jestem Angus Corstophine - przedstawił się. - Czy nie umówiłaby się pani ze mną wieczorem na drinka? Proszę się nade mną zlitować, jestem

daleko od domu. Przrzekam, że będę bardzo grzeczny. Po prostu pani ma takie piękne oczy.

Spotkała się z nim po pracy w hotelu Claridge's, gdzie się zatrzymał. Po dwóch martini (Angus pił whisky) wyciągnął od niej obietnicę, że pójdzie z nim na obiad w przyszłym tygodniu, a potem wsadził ją do taksówki do domu. Jego pełne nazwisko brzmiało Angus James Macready Corstophine, major Angus James Macready Corstophine. Mieszkał w zamku położonym między Perth i Braemar, gdzie wychowało się wiele pokoleń rodu Corstophine. Wysoki, chudy, niebieskooki Angus był o dwanaście lat starszy od Freddie. Zawodowy żołnierz, stacjonował we Francji z Brytyjskimi Siłami Ekspedycyjnymi i został ewakuowany z Dunkierki jednym z ostatnich okrętów.

Od czasu do czasu odwiedzał Ministerstwo Wojny, większość czasu jednak spędzał w obozie szkoleniowym w Szkocji. Był rozważny i świetnie się z nim rozmawiało. Tańczyć nie lubił, ale zgadzał się iść na tańce dla niej, choć sam wolałby długi spacer albo popołudniowe łowienie ryb. Po wspólnym wieczorze zawsze przysyłał jej bukiety. Róże i storczyki musiały pochodzić z czyjejsz szklarni, domyślała się Freddie. Gdzie indziej znalazłby tak piękne kwiaty w zmarzniętym, udreńczonym Londynie zimą 1940 roku?

Po kolacji Ray i Susan opuścili lokal, gdyż Susan szła na wieczór do BBC. Freddie od czasu do czasu popatrywała na stolik Jacka. Zastanawiała się, czy któraś z tych ślicznych dziewczyn nie powie: „Nie tutaj, Jack, chodźmy gdzie indziej”, po czym znikną, jak to się robi w czasie wojny, a ona odłoży to spotkanie ad acta, razem z poprzednim, jako wydarzenia niespodziewane, przypadkowe i nieprzystające do codziennego życia.

Lecz potem, gdy orkiestra zagrała „Let There Be Love”, Jack podszedł do ich stolika. Porozmawiał chwilę z Angusem, gdy Freddie tańczyła z Julianem. Potem zapytał, czy nie przesiedliby się do nich. Zgodzili się.

Freddie wylądowała pomiędzy Angusem a kobietą, która nazywała się Marcelle Scott. Panna Scott miała na sobie seledynową wieczorową suknię, ozdobioną wokół dekoltu dżetami. Ciemnobrązowe włosy upięła w kok na karku. Miała piękne, podłużne, choć wąskie, rozbiegane zielone oczy. Krwista czerwień jej paznokci doskonale komponowała się z odcieniem szminki. Marcelle dużo paliła i bawiła się pierścionkami.

- Kiedyś byliśmy razem z Jackiem we Włoszech - powiedziała. - Szwendaliśmy się całymi godzinami, żeby obejrzeć jakieś kamienie, greckie, rzymskie czy coś takiego. Denzilowi to nie przeszkadzało, ale ja nie cierpię takich upałów.

- Denzil to pani mąż? - zapytała Freddie.

- Broń Boże, nie. - Panna Scott zerknęła na palce o szkarłatnych paznokciach, z licznymi pierścionkami. - To obrączka po matce. Nie jestem zaręczona ani zamężna. Teraz to nie ma sensu, prawda? Mężczyzn i tak cały czas nie będzie. - Zaciągnęła się papierosem. - Jeździliśmy po Europie w parę osób. Denny przeważnie prowadził.

- Gdzie państwo byli?

- Na południu Francji, w Szwajcarii, we Włoszech... Jack i Denny chcieli się jeszcze wybrać do Grecji, ale musiałam wracać do ojca.

- Zachorował?

- Biedak jest stary i dość schorowany. A pani dobrze zna Jacka, panno Nicolson?

- Raz wspólnie podróżowaliśmy. - Freddie pokrótce streściła okoliczności, w jakich zetknęła się z Jackiem: wizyta u siostry we Florencji, spotkanie podczas podróży powrotnej, pożegnanie we Francji - zabrzmiało to, pomyślała, jakby podzielili się w pociągu kanapkami z jajkiem i rzeżuchą. Pominęła wiele szczegółów, uznawszy, że nie ma ochoty dłużej pozostawać obiektem ciekawości swojej sąsiadki. - To było ponad rok temu i odtąd nie widziałam go na oczy - zakończyła.

- Jack bywa potwornie nieodpowiedzialny - stwierdziła panna Scott. - A rodzinę Ransome'ów pani zna?

- Nie. - Freddie przypomniała sobie rozmowę z Jackiem w czasie jazdy skradzionym fiatem. - Miałam wrażenie, że nie bardzo się lubią ze starszym bratem.

- Z George'em? Raczej nie. George jest sporo od niego starszy. Żartuje się, że père et mère Ransome'owie sypiają ze sobą raz na pięć lat, kiedy chcą mieć kolejne dziecko. A żona George'a, Alexandra, jest po prostu straszna. Miałyśmy debiut w tym samym roku. Raz podczas tańca odpruła jej się listwa przy spódnicy i dostała napadu złości. George'a owinęła sobie wokół palca. Ale niektórzy mężczyźni to lubią, prawda?

- Chyba tak. To zabawne, że tak się mówi tylko o kobietach, nieprawdaż? Nigdy się nie słyszy: „on owinął ją sobie wokół palca”.

- Może i nie. - Panna Scott przyjrzała się Freddie uważnie. - Jack często sprowadza do nas te swoje przybłędy, ale zazwyczaj długo nie pozostają w

towarzystwie. Jednak z panią to co innego. Całe lata nie widziałam Angusa. Spotykacie się?

Przybłądy, pomyślała Freddie, ale odpowiedziała spokojnie:

-Tak.

- Kocha go pani, panno Nicolson?

- Wydaje mi się - odparła chłodno Freddie - że to nie powinno pani obchodzić.

- Och, ma pani rację. Proszę wybaczyć, czasem nie panuję nad swoją ciekawością. - Panna Scott nie sprawiała wrażenia zakłopotanej. - Wie pani, mam taką teorię, że mężczyzna i kobieta nigdy nie kochają się po równo. On ją kocha albo ona jego, a często kobieta wiąże się z mężczyzną, który nie do końca jej odpowiada. Lecz jeśli on nalega, to jej pochlebia, a potem, jeśli nie udaje jej się znaleźć nikogo lepszego, zaczyna myśleć: „ach, może nie powinnam być taka wybredna”, i wtedy się zaręczają i biorą ślub. Albo nie biorą i w końcu on rezygnuje i zauważa dziewczynę, która kocha się w nim od lat. A ponieważ ma zranione ego, zaręcza się z nią i biorą ślub. - Panna Scott wyjęła z papierośnicy kolejnego papierosa i trzymając go w dwóch palcach, uśmiechnęła się tajemniczo. - Co pani sądzi o mojej teorii?

- Jest wiele racji w tym, co pani mówi. Ale zdarza się także miłość odwzajemniona. Albo z czasem taka się staje.

Panna Scott nachyliła się do mężczyzny po swojej drugiej stronie, który podał jej ogień. Potem znowu odwróciła się do Freddie.

- Powiedzieć pani, kto jest kto? - zapytała.



- Poproszę.

- Na końcu stołu, Ollie Piper i Jane Hedley. W przyszłym tygodniu biorą ślub. Ona ma śliczne włosy, prawda? Czasem żałuję, że nie jestem blondynką, ale chyba jestem nie dość ładna.

- To blondynki zawsze są ładne?

- Dla mnie tak. Chodziłam z Jane do szkoły. Ślub będzie nudny, ale wesele powinno być udane. Hedleyowie zawsze wydają świetne przyjęcia. Ten wysoki facet po drugiej stronie Jane to Monty Douglas. Miły, ale niezbyt rozgarnięty. Chów wsobny, jak mówi mój ojciec. A dalej Denzil Beckford. Jego rodzina ma najpiękniejszy dom w całej Kornwalii. Boski. Jeździliśmy tam latem. Ogród schodzi do samego morza. Betty Mulholland. Fajna dziewczyna, Monty kochał się w niej przez wiele lat. Myślę, że wciąż się kocha, chociaż twierdzi, że nie. Betty i Frances - ta ruda - to siostry. Obie idą do WAAF\*. Od dawna chciały to zrobić, ale rodzice ich nie puszczali. Teraz się boją, że wezmą je do fabryki, więc im pozwolili. Są zupełnie do siebie niepodobne, prawda? Choć w sumie ich matka przez lata miała romans z młodym Trevelyanem, więc nigdy nic nie wiadomo.

- A ta ładna dziewczyna w różowej sukni?

- Clare Stuart. Uważa pani, że jest ładna? Ja nie. Nie znoszę dziewczyn, które tak marszczą nos. Zawsze mi się wydaje, że trenują przed lustrem, żeby wyglądać atrakcyjnie.

Freddie parsknęła śmiechem.

- Nie za ostro, proszę pani?

- Może trochę tak, ale jestem pewna, że mam rację. Dobrze, kto dalej?  
Lewis...

- O mnie mówisz, Marcelle?

Podszedł do nich wysoki mężczyzna w mundurze porucznika marynarki. Położył dłoń na ramieniu Marcelle. Miał ciemne, kręcone włosy, prosty, wąski nos. Jego usta, tak samo jak orzechowe oczy, miały uniesione kąciaki. Freddie pomyślała, że nadaje mu to wygląd elfa.

- Właśnie cię obgaduję - powiedziała panna Scott. - Mówię wszystko o tobie panie Nicolson.

- Proszę nie wierzyć w ani jedno słowo. - Wyciągnął rękę do Freddie. - Jestem Lewis Coryton. Miło mi panią poznać.

Oczy panny Scott zabłyśły.

- Znam twoje najskrytsze tajemnice, Lewis.

- Nie mam żadnych - odparł spokojnie. - Nie ma nic do opowiadania.

Marcelle skrzywiła się z dezaprobatą.

- Jak będziesz taki nudny, to nie zatańczę z tobą.

- Marcelle, skarbie, obiecuję, że wcale nie będę nudny.

Panna Scott wstała, potargała Lewisowi włosy i dała mu całusa w policzek. Zanim poszli na parkiet, zwróciła się jeszcze do Freddie:

- Gdzie pani pracuje, panno Nicolson?

- W Ministerstwie Wojny.

- Ja w Ministerstwie Robót Publicznych. Musimy się kiedyś umówić na lunch. Napiszę do pani.

Orkiestra zagrała „Oh, Johnny”. Panna Scott i Lewis Coryton weszli na parkiet. Przy stoliku zrobiło się pusto. Angus siedział po drugiej stronie, pogrążony w rozmowie z jakimś mężczyzną w mundurze. Freddie kilka razy próbowała zwrócić na siebie uwagę, ale nie podniósł wzroku.

- Zatańczysz ze mną, Freddie? - zapytał ktoś. Odwróciła się i zobaczyła za sobą Jacka.

Uśmiechnęła się do niego.

- Tak, z przyjemnością.

Przecisnęli się między stolikami. Jack wypatrzył miejsce na zatłoczonym parkiecie.

- I co sądzisz o mojej kuzynce? - zaczął rozmowę.

- Twojej kuzynce? - Freddie wytrzeszczyła oczy. - Panna Scott to twoja kuzynka?

- Razem łaziliśmy po drzewach.

Nie mogła sobie wyobrazić, jak wymuskana panna Scott choćby zbliża się do drzewa.

- Powiedziała mi, że czasem sprowadzasz do towarzystwa swoje przybłądy. Miałam się domyślić, że ja także się do nich zaliczam. Dowiedziałam się też, że większość z nich nie pozostaje zbyt długo w waszym kręgu.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Nie powinnaś się przejmować tym, co mówi Marcelle.
- Czułam się, jakbym zdawała egzamin.
- Na pewno zdałaś. Marcelle czasami bywa trochę nieprzyjemna.

Ciągle zamartwia się o ojca.

- Powiedziała mi, że źle z nim.
- Nie czuł się dobrze od poprzedniej wojny. Matka nie żyje, a Marcelle nie ma rodzeństwa, więc wszystko jest na jej głowie.
- A zatem powinnam jej wybaczyć. Zresztą i tak jej wybaczyłam, bo mnie rozśmieszyła.

Gdy tańczyli, Freddie obrzuciła spojrzeniem salę. Max stał pod ścianą; pomachała do niego.

Utwór skończył się fanfarą na saksofon i bębny. Solista uklonił się, dziękując za oklaski. Gdy muzyka zagrała ponownie - tym razem była to wolna, sentymentalna piosenka - Jack wziął Freddie w ramiona.

- Czyli zmieniłeś zdanie - powiedziała. - Miałeś przesiedzieć wojnę w Ameryce Południowej.

Spojrzał na nią.

- Bez ciebie nie byłaby to atrakcja.
- Mimo wszystko podejrzewam, że dla ciebie „atrakcja” oznacza, że trzeba marznąć, być zmęczonym i przerażonym.

- Freddie, bądź szczerą - odparł kpiąco. - Podobała ci się nasza wędrówka.

- Może parę rzeczy. - Zbliżyła kciuk i palec wskazujący. - O, tyle.

- Co teraz robisz?

- Jestem sekretarką w Ministerstwie Wojny. A ty?

- Przez większość czasu siedzę w obozie wojskowym w Yorkshire.

- I z pewnością zupełnie ci to nie odpowiada. Nie możesz poprosić, żeby cię wysłali w jakieś paskudne i niebezpieczne miejsce? Wtedy byłbyś szczęśliwy.

Jack udał obrażonego.

- Obawiam się, że mylisz się co do mnie.

- Ja na przykład lubię eleganckie restauracje i komfortowe hotele. Nie przepadam za spaniem w samochodach i żywieniem się chlebem i serem.

- Nie wierzę ci. Myślę, że pod tą sztywną powłoką w głębi serca jesteś buntowniczką.

- Sztywną? - Rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

- Dystyngowaną... przyzwoitą...

- Robisz ze mnie ciotkę starą pannę!

- Jesteś o wiele ładniejsza od moich ciotek starych panien.

- Jack!

Zaśmiał się głośno.

Na parkiecie było tłoczno. Co chwila któryś z tancerzy wołał: „Cześć, Jack, miło cię widzieć!”, albo klepał go w przelocie po plecach, Jack zaś odmachiwał lub odpowiadał na powitanie. Freddie czuła się tak, jak wiele lat temu w Ritzu z Tessą - miała wrażenie, że znalazła się w najbardziej interesującej i podziwianej grupie w sali. Zobaczyła, że porucznik Coryton tańczy teraz z panną Stuart, a Marcelle zeszła z parkietu i rozmawia z Julianem i Maksem. Angus zakończył już naradę z wojskowym i stał samotnie z boku. Miał zwyczaj stukać stopą w podłogę, kiedy się nudził. Teraz stopa była w ruchu.

- Angus Corstophine to twój chłopak? - spytał Jack.

- Tak. Znacie się?

- Trochę. Rozmawialiśmy o Hiszpanii - odparł.

- Tam też byłeś?

-Tak.

- Co robiłeś?

- To i tamto.

Szpiegowaleś, pomyślała. Brytyjski port wojskowy Gibraltar znajdował się u wejścia na Morze Śródziemne, na południowym krańcu Hiszpanii. Hiszpania, wykrwawiona przez lata wojny domowej, na razie była neutralna. Wielkiej Brytanii bardzo zależało, aby taka pozostała.

- I jak było? - spytała.

- Ponuro. - Oczy zamglily mu sie na chwile. - Jakby wszystko pozbawiono duszy.

- Długo tam byłeś?

- Sześć miesięcy. Szczerze mówiąc, z ulgą wróciłem do Anglii. A teraz kolejny łut szczęścia... znów cię znalazłem.

- Założę się, że od naszego rozstania we Francji nawet o mnie nie pomyślałeś.

- O, nieprawda.

Było w jego spojrzeniu coś, co ją zaskoczyło.

- Panna Scott mnie przed tobą ostrzegała. Twierdziła, że nie można na tobie polegać - powiedziała Freddie żartobliwym tonem.

- Co za tupet! - mruknął Jack, choć nie sprawiał wrażenia zbitego z tropu.

- Tak naprawdę to dała mi do zrozumienia, że jesteś nieodpowiedzialnym arystokratą.

- O? - Przyciągnął ją do siebie.

- Arystokraci chyba często są nieodpowiedzialni.

- Taki nasz przywilej, nieprawdaż? - W jego głosie zabrzmiała nuta rozbawienia. - Natomiast klasa średnia ma tendencję do sztywniactwa.

- Strasznie denerwujący z ciebie facet. Zresztą ja nie jestem „klasa średnia”, jestem „interesująca bohema”.

- Ach, oczywiście, że tak, Freddie. Jak mogłem zapomnieć?
- Chociaż ta bohema za dobrze mi chyba nie wychodzi.
- Powiedziałbym, że całkiem łatwo się dostosowujesz. Sprostasz każdemu wyzwaniu.
- Kiedy byłam w szkole, koniecznie chciałam być taka jak siostra. Taka cudowna, olśniewająca. - Freddie pomyślała o mieszkaniu Tessy, zdjęciach w ramkach i kominku z czarno-białych kafli. Uśmiechnęła się. - Pełniłam funkcję jej posłańca.
- Posłańca?
- Nosiałam chłopcom jej listy - zaśmiała się. - Jedni okazywali się fajni, drudzy okropni. Tessa chyba nie uświadamiała sobie, że niektórzy są beznadziejni. Kiedyś ktoś próbował mnie pocałować, a ktoś inny zaprosił mnie na kolację, gdy Tessa nie mogła pójść.
- I poszłaś?
- Pewnie. - Łypnęła na niego. - Widzisz? Wcale nie jestem taka sztywna.
- I dobrze się bawiłaś?
- Na początku czułam się bardzo ważna. Ale potem on zaczął rozmawiać z kolegami i o mnie zapomniał, wróciłam więc do domu metrem, sama.
- Ile miałaś lat?
- Piętnaście. Żaden wyczyn. Lubię podróżować sama.



- No właśnie. A jak tam twoja siostra? Co u niej? Gdzie jest?

Freddie westchnęła.

- Została we Włoszech. Niestety. Dostałam list, przesłała mi przez jakiegoś znajomego ze Szwecji. Bardzo ogólnikowy, musiała się obawiać, że ktoś to przeczyta, ale napisała, że wyjeżdża do jakichś przyjaciół na wieś. Odpisałam, ale nie mam pojęcia, czy list do niej dotarł.

Taniec zakończyło tremolo na werblu. Zaklaskali.

- Dobrze cię znów widzieć. Daj jakoś znać, co u ciebie, Jack - poprosiła.

Obiecał jej, że się odezwie. Stanęła na palcach, by pocałować go w policzek.

- Masz tu bliznę - zauważyła i dotknęła jego brwi.

- Kiedyś wyskoczyłem z samolotu i wylądowałem na drzewie.

- Lekkomysłne z twojej strony.

- Prawda? - Uśmiechnął się, podziękował jej za taniec i odszedł.

- Uważaj na siebie, dobrze? - zawołała za nim.

Obejrzał się.

- Obiecuję.

Gdy wyszli z hotelu, mroźne powietrze szczypało ich w twarze, a gdzieś w oddali łupały bomby. Tam, gdzie łagodny blask przysłoniętych samochodowych reflektorów padał na zwisające z połamanych rynien sopele

i na odłamki zbitych szyb w oknach, lód i szkło skrzyły się jak świąteczne lampki, nadając zniszczonym budynkom myląco odświętny wygląd.

Po obu stronach drzwi frontowych domu na Knights-bridge stały dwa ozdobne drzewka w donicach, wystrzyżone w kule, każde zwieńczone kleksem śniegu, jak bożonarodzeniowy pudding bitą śmietaną.

Odwołanie alarmu zabrzmiało dokładnie w chwili, gdy Angus otwierał drzwi. W mieszkaniu wisiały olejne portrety otyłych jegomościów w perukach z lokami oraz mocno wydekoltowanych kobiet o filuternych spojrzeniach.

- Zaraz zapalę światło i może uda nam się zapomnieć, że się na nas gapią - powiedział Angus. - Trochę tu zimno, zaraz rozpalę ogień.

Freddie usiadła na śliwkowej aksamitnej sofie przy kominku. Materiał był w niektórych miejscach wytarty, co nadawało mu srebrzysty połysk. Angus ukląkł, trzasnął zapalką i przytknął płomyk do suchych gałązek.

- Pamiętam taką zimę w domu, że woda zamarzła w umywalkach. W Londynie nie bywa aż tak zimno. - Siadł obok niej. - Biedactwo, marzniesz. - Podobało jej się to jego „marzniesz”, z wibrującym „r”.

Nalał obojgu po szkockiej i usiedli objęci, patrząc na migoczące na dywanie odblaski płomieni.

- W Hogmanay zapalamy w zamku wszystkie lampy i wszystkie świece, a ogród obstawiamy pochodniami. Ludzie mówią, że łunę widać z odległości wielu kilometrów. Jest jedzenie, muzyka i tańce - powiedział.

- Myślałam, że nie cierpisz tańców.

- Lubię prawdziwe tańce. Szkockie. Góralskie. O północy na wieży bije dzwon, wtedy wszyscy piją coś mocniejszego i idą do sąsiadów. Żeby zanieść im Nowy Rok, rozumiesz.

- A ile masz do tych sąsiadów, Angus?

- Do najbliższego ze cztery kilometry.

- W śniegu?

- Zdarzało mi się chodzić przez zaspy po pas. W Szkocji tak się człowiek rozgrzewa, whisky i marszem. Chociaż są też inne sposoby.

Gdy rozmawiali, gładził ją po włosach i całował.

- Chciałbym, żebyś spędziła tam ze mną Nowy Rok. Myślisz, że by ci się to spodobało?

Przyklękła na sofie i go pocałowała.

- No nie wiem, Angus. Chyba byłoby mi tam za zimno.

- Wcale nie. Już ja bym się o to zatroszczył.

Wyjął jej z dłoni szklankę po whisky i odstawił na boczny stolik. Pocałował Freddie w ramię.

- Jest jak ptasie skrzydełko - powiedział. - I ten uroczy dołeczek, tutaj. - Potem ją objął i posadził sobie na kolanach. Rozsunął suwak z tyłu sukni, zdjął z ramion wąskie ramiączka halki i złożył jeszcze jeden pocałunek. - Tak, moja prześliczna - szepnął. - Jakbyś chciała, żebyśmy przestali, powiedziałaś, prawda?

Przypomniała jej się Marcelle Scott, pytająca: „Kocha go pani, panno Nicolson”? Oraz jej teoria, że miłość z definicji jest nierówna.

Powiedziała jednak:

- Nie chcę, żebyś przestawał, Angus. Nie przestawaj. - Po czym zamknęła oczy i delikatnie westchnęła, gdy jego dłoń wsunęła się pod jej spódnice.

W nocy obudziła się i poszła do kuchni napić się wody. Ostrożnie, aby nie wypuścić ani promyka światła, odsunęła ciężką kotarę - obowiązywało zaciemnienie - i spojrzała w okno. Padał śnieg, puchate płaty leciały z nieba, pokrywając ruiny i gruz.

Myśli kłębiły jej się w głowie. Co za wieczór - Angus, Jack i tańce. I jeszcze ta noc: nie żałowała utraty dziewictwa, raczej się cieszyła, że nareszcie jest dorosła w pełnym znaczeniu tego słowa. Angus się zabezpieczył - pamiętając Tessę, dopilnowała tego. Wyglądała przez okno na śnieg, wspominając dłoń Angusa, sunącą po jej brzuchu, uczucie, które ją ogarnęło, kiedy w nią wszedł, słowa, jakie mruczał jej do ucha, oraz unoszenie się i opadanie jego klatki piersiowej w miarowym oddechu, kiedy zasnęła mu w objęciach.

Marcelle Scott rzeczywiście napisała do niej, pytając, kiedy mogą się umówić na lunch. Freddie była zdziwiona; traktowała propozycję kuzynki Jacka jako jeden z tych pustych, zdawkowych gestów, które mają oznaczać życzliwość, ale nic nigdy za nimi nie idzie.

Spotkały się w małej kawiarni nieopodal stacji Charing Cross. Tuż obok spadła wcześniej bomba, odcinając drugi koniec kamienicy jak urwane w

połowie zdanie. Między kikutami ścian, tworzących niegdyś pokój, warstewka śniegu osiadła na stercie połamanych mebli, kółkach od dziecięcego wózka, na klawiaturze pianina.

W kawiarni spływała po szybach skroplona para. Marcelle Scott siedziała przy stoliku pod oknem. Miała na sobie czarny płaszcz z futrzanym kołnierzem i mały czarny kapelusik. Przed nią stała filiżanka herbaty.

- Jak miło znów panią widzieć, panno Nicolson - odezwała się na powitanie. - Możemy przejść na ty? Nie lubię takiej oficjalności, a pani? Odpowiada pani to miejsce? Często wpadam tu na lunch. Większość dziewczyn przynosi sobie kanapki i termosy do pracy, ale ja nie mogę tkwić w zamknięciu przez cały dzień.

Zamówiły przy kontuarze chleb i zupę. Wróciwszy do stolika, Marcelle powiedziała:

- Mam nadzieję, że nie sprawiłam ci kłopotu tym listem. Chciałam szybciej napisać, ale ojciec był chory i musiałam pojechać do domu.

- Przykro mi to słyszeć. Już mu lepiej?

- Tak, dziękuję. - Marcelle opuściła wzrok i zamieszała herbatę. - Właściwie powinnam wrócić i z nim zamieszkać. Byłby o wiele szczęśliwszy. Czy to samolubne z mojej strony, że tego nie robię?

- Nie wiem - odpowiedziała Freddie. - Trudno osądzić.

- Twoi rodzice nie żyją, prawda?

- Oboje umarli, kiedy byłam mała.
- Może i miałaś szczęście - Marcelle zagryzła wargę.
- Nie, nie wolno tak mówić. Przepraszam. Wybacz mi.

Do stolika podeszła kelnerka, przyniosła chleb. Marcelle westchnęła.

- Jak jestem w Wiltshire, wyobrażam sobie, że się kurczę... - zbliżyła do siebie kciuk i palec wskazujący, aż pozostało między nimi parę centymetrów - ...o tak. Czuję się... mała. Boję się, że gdybym tam zamieszkała na stałe, nic by ze mnie nie zostało. Wojna aż tak mi nie przeszkadza. Gdyby nie to poczucie winy, byłabym całkiem szczęśliwa. Co za bezsensowne uczucie. Staram się go pozbyć, ale mi się to nie udaje. - Zapaliła papierosa.

- Czy ci się podobali moi przyjaciele?
- Bardzo.
- Lewis oczywiście jest zakochany po uszy w Clare Stuart.
- Tej w różowej sukni? A, rozumiem.
- Kiedyś się w nim kochałam - wyznała Marcelle, gdy dostały zupę.
- W pułkowniku Corytonie? Atrakcyjny mężczyzna. Wciąż się w nim kochasz?
- Ależ skąd. Przyjaźnimy się, pisujemy do siebie. Często się zakochuję, taki mam zły nawyk. Ty mi wyglądasz na znacznie rozsądniejszą.
- Rozsądniejszą! - prychnęła Freddie. - Jak ponuro to brzmi. Jack nazwał mnie „sztywną”.

- Na Jacka nie należy zwracać uwagi, bywa bardzo niekulturalny.

Porozmawiały nieco o pracy, o wojnie i przyszła pora wracać do biura. Kiedy wkładały płaszcze, Marcelle powiedziała:

- Prawie w każdy piątek urządzam w domu kolację. Każdy przynosi coś do jedzenia. Nie przysłabyś? Oczywiście przyprowadź Angusa. I tego twojego przyjaciela, pana Fischera. - Naciągała rękawiczki. - Właśnie. Chciałabym, żebyś zapytała Makska Fischera, czy mógłby przyjść.

- Nie Juliana?

- Julian jest świetny, ale nie, mnie się bardziej podoba ten Max. Ma teraz kogoś?

- Nie, akurat nie.

- Ktoś mi mówił, że kocha się w twojej siostrze.

Zaciekawione spojrzenie Marcelle dawało do zrozumienia, że ten ktoś opowiedział jej o Tessie znacznie więcej.

- Kochał się, ale to się skończyło dawno, dawno temu - odparła spokojnie Freddie.

## **Rozdział 11**

Villa di Belcanto stała na szczycie wzgórza, na wsi na południe od Florencji. W piętnastym wieku do pierwotnej budowli z kanciastą wieżą dobudowano podłużną willę z wewnętrznym dziedzińcem i loggią. W dziewiętnastym wieku przodkowie Olivii Zanetti poczynili dalsze

udoskonalenia, wznieśli następne pawilony, założyli park w stylu angielskim i obsadzili aleję szpalerem kasztanowców. Od lat wystawiony na wiatr i słońce dom wypłowił do bladego różobrazu, przypominającego lody orzechowe. Niegdyś jaskrawo wymalowana tarcza herbowa nad potężną główną bramą - wpisany w ośmiokąt ponury gryf - wyblakła i zrobiła się szarozółta.

Po jednej stronie willi rozciągały się pola uprawne, winnice, gaje oliwne i plantacje kukurydzy. Wzgórza po drugiej stronie były gęsto zadrzewione; liczne wąwozy porastały skupiska dębów, kasztanowców i najrozmaitszych krzewów. Fattoria, największe i najważniejsze z należących do majątku gospodarstw, znajdowała się niedaleko od willi. Kilkanaście pozostałych, mniejszych, wydzierżawiono okolicznym wieśniakom. Koło fattorii stały stodoły, mleczarnia, warsztaty i pralnia oraz kilka domostw.

W gospodarstwie hodowano konie, świnie, krowy, kury, gęsi i króliki. W mleczarni robiono sery, w kuchennym ogrodzie rosły warzywa i owoce, były też tu ule, pełne pszczół. Na jesieni bito świnie, suszono i solono szynki, robiono kielbasy. W majątku Zanettich pracowało ponad pięćdziesiąt osób: kucharz, gospodyni, krawcowa i służba w samej willi, rządcą Stefano, mieszkający z żoną i dziećmi w fattorii, oraz dzierżawcy z rodzinami w dalszych gospodarstwach.

Wiosną strumienie przybierały od deszczów, a na polach zieleń się młode zboże. Potem dni się wydłużały, po lazurowym niebie sunęły wysoko kłębiaste chmury. W połowie lata złociły się kłosa, a winogrona były małe, twarde i zielone. Rolnicy niespokojnie obserwowali niebo, w obawie przed mogącym zniszczyć zbiory gradem czy nagłymi ulewami. Potem



przychodziły żniwa, a spichrze zapełniały się pszenicą. Płatki maków na miedzach usychały i opadały, a myszy z ogołoconych ściernisk chowały się w żywopłotach przed ostrym słońcem. W pełni lata upał niszczył roślinność, tak że w sierpniu każde zielone źdźbło trawy było wypalone do koloru workowego płótna, a wzgórza drżały za błękitnoszarą mgiełką.

We wrześniu nadchodziły deszcze, które zmywały pył z liści winorośli i oliwek, a także odświeżały powietrze. Pomidory, figi i brzoskwinie rozkładano do wysuszenia na dziedzińcu fattorii, dynie i melony dojrzewały na słońcu. Kolby kukurydzy rozwieszano między drzewami jak wielkie bursztynowe naszyjniki. Zbierano okrągłe winogrona, lśniące fioletem i zielenią. Między rzędami krzewów biegały dzieci, zrywając szkarłatne liście, które przeznaczano potem na paszę. Wiezorami świętowano, były tańce i jedzenie.

Na koniec, w listopadzie, zbierane były oliwki. Na pola wychodzili wtedy wszyscy mieszkańcy majątku, z wyjątkiem niemowląt i chorych. Owoce wrzucano do przywiązanych w pasie koszy. Zielonoszare liście drzew oliwnych drżały od chłodnego wiatru. Pierwszy zbiór, zwany dziewiczym, dawał najlepszą oliwę. Do drugiego tłoczenia szły opadnięte oliwki. Trzecie tłoczenie było przeznaczone na mydło, ze skórek i pestek zaś formowano bryły, służące potem jako opał i nawóz. Oliwę przechowywano w wielkich terakotowych słojach w chłodzie piwnic, z dala od wina, żeby jedno nie przechodziło zapachem drugiego.

Potem zjawiała się zima. Z gór na północy wiał tramontana, zimny, ostry wiatr, który zdawał się wnikać do willi przez grube kamienne mury. Śnieg pokrywał sękate kikuty winorośli i osiadał na dachu domu. W takie dni

Tessie aż trudno było sobie wyobrazić letni upał; nie mogła uwierzyć, że jeszcze niedawno szukała zacienionego, chłodnego miejsca, jak kryjąca się w szczelinie kamiennej ściany jaszczurka.

Olivia Zanetti miała teraz sześćdziesiąt parę lat. Wysoka, chuda, siwowłosa, z wielkim nosem, swoim wyglądem kojarzyła się Tessie z Ottoline Morrell\*, której przedstawiono ją kiedyś na wyścigach konnych w Ascot; lecz Ottoline Morrell pozbawioną wdzięku, stylu i pięknych strojów.

\* Lady Ottoline Violet Anne Morrell - brytyjska arystokratka, by-walczyni salonów i mecenas artystów.

Zarządzała majątkiem ze swojego gabinetu na parterze willi. Oprawne w skórę książki na półkach zawierały dane o zbiorach, porach siewu i żniw, warunkach pogodowych, wydatkach i dochodach, co do ostatniego lira. Co tydzień objeżdżała wszystkich dzierżawców, pokonując kamieniste, nierówne drogi zaprzęzoną w kuca dwukółką. Kiedy przychodziła pora świniobicia, wybierała z pastuchem zwierzęta na ubój. Gdy nadchodził czas zbioru oliwek, przywiązywała sobie w pasie kosz i własnoręcznie je zrywała. A kiedy chorował któryś z pracowników, posyłała po lekarza.

Była głęboko wierząca i każdego ranka chodziła na mszę. Wyznawała katolicyzm typu praktycznego, oparty na poczuciu odpowiedzialności i obowiązku. Troskliwa i hojna, w kontaktach z innymi ludźmi była surowa, rzadko udzielała pochwał, a przejawy czułości ograniczała do sporadycznego uszczypnięcia w policzek albo dotknięcia dłoni. Tessa podejrzewała, że właśnie wrodzona powściągliwość oraz chrześcijańska zasada spełniania dobrych uczynków kazała Olivii przyjąć jej zwiężłe tłumaczenia dotyczące przybranego nazwiska i podrobionych dokumentów -

signora Zanetti kiwnęła tylko głową i mruknęła: - Rozumiem. Bardzo dobrze.

Niedługo po przyłączeniu się Włoch do wojny Olivia kazała murarzowi i cieśli przegrodzić ścianami niektóre piwnice i strychy, żeby można było w tych kryjówkach schować jedzenie i kosztowności. Parę razy wybierała się do Florencji, by, wykorzystując dawne znajomości, wycofać decyzje o rekwizycji zboża albo uratować od poboru męża czy syna którejś z wieśniaczek. Codziennie pisała listy do Sandra, stacjonującego na wybrzeżu dalmatyńskim, oraz do Guida, do Afryki Północnej.

W domku nieopodal fattorii Olivia Zanetti otworzyła szkołę dla dzieci ze wsi. W sąsiednim urządzono szpitalik z czterema łózkami. Po przybyciu Tessy do willi Olivia zapytała, czy wszystko w porządku i co się dzieje z Fredericą. Zaraz potem przeszła do konkretów. Czym chciałaby się zająć? Może na przykład pomagać w szpitalu albo w szkole. Tessa wybrała szkołę, bo szpital był domeną Faustyny; nie zamierzała nikomu wchodzić w paradę.

Sypialnia Tessy znajdowała się na drugim piętrze willi, miała wysokie sklepienie i bielone ściany. Było w niej łóżko, krzesło, umywalnia i szafka; na każdym ze sprzętów wyrzeźbiono herb rodziny. Latem okiennice nie wpuszczały tu słońca, zimą grubo tkane jedwabne kotary chroniły ją przed chłodem. W nocy, gdy nie mogła spać, cichutko przekradała się na dół, na wewnętrzny dziedziniec. Otaczały go wysokie ściany willi, tworzące prostokąt. Wzdłuż nich biegły zadaszone loggie, dające osłonę przed słońcem i deszczem. W letnie noce ogród na dziedzińcu wydawał się zaczarowany. Pachniały słodko hoje i oleandry, a na krzewach cytrynowych

rosnących w terakotowych donicach wisały ciężkie i nabrzmiałe owoce, złociste w blasku księżyca. Niebo nad głową skrzyło się tysiącem gwiazd.

Tessa jadła śniadania, obiady i kolacje razem z Zanettimi. Dyskusje podczas posiłków z reguły obracały się wokół spraw praktycznych - pogody, plonów, trudności w zakupie tego czy tamtego - dopiero potem skręcały na poważniejsze tematy: politykę, religię czy filozofię. Signory Zanetti rozmawiały chłodno i inteligentnie, wnikliwie analizując każdą sprawę, póki nie były dokładnie widoczne wszystkie jej aspekty, jednak bez złośliwości czy wrogiego tonu. Nie trzaskały drzwiami, nie wstawały z hukiem od obiadu. Grzecznie pytano Tessę o zdanie, uprzejmie jej wysłuchiowano, a później rozkładano odpowiedź na czynniki pierwsze. Potem Olivia zwijała serwetkę, składała dłonie i odmawiała modlitwę, zanim wstały od stołu, by udać się z powrotem do pracy.

W szkole Tessa została pomocnicą signory Granelli. Uczyla najmłodsze dzieci. Rozdawała papier i kredki, pomagała pisać litery, myła maluchom ręce i buzie.

Faustina Zanetti miała wychudzoną twarz z ziemistą cerą. Przykłapnięte, cienkie brązowe włosy młodej kobiety opadały na inteligentne, szare oczy. Ponieważ szkoła i szpital znajdowały się blisko siebie, Tessa i siostra Guida często pod koniec dnia wracały razem do willi.

Któregoś dnia, gdy szły po południu kamienistą ścieżką, Faustina powiedziała:

- Kiedy skończy się wojna, zostanę lekarzem. Zamierzam studiować w Bolonii lub Parmie... albo w Paryżu czy Edynburgu, jeśli będzie trzeba. - Pociągnęła nosem. - Zawsze chciałam iść na studia, ale ojciec mi nie

pozwał. Nie uważał, żeby dziewczynie potrzebne było wykształcenie. „Dziewczyny są do wychodzenia za mąż”, powtarzał. - Wzruszyła ramionami. - Dziewczyny takie jak ty może i wychodzą za mąż, ale takie jak ja nie.

- Nigdy nie wyszłam za mąż - wyznała Tessa. - Nie chciałam.

Faustina wytrzeszczyła na nią oczy. Potem parsknęła śmiechem.

- Nie licząc nieszczęsnego signora Bruno.

- Nie licząc - przyznała Tessa z uśmiechem. - Nikt specjalnie po nim nie płakał.

- Chirurgia by mi odpowiadała. - Faustina stawiała długie, szybkie kroki. - Dottore Berardi pozwolił mi w zeszłym roku asystować przy wycinaniu wyrostka. Myślał, że zemdleję, ale nie zemdlałam.

Tessa przed przyjazdem do Villa di Belcanto myślała, że woli miasto niż wieś. Uważała, że domowe zajęcia są nudne, że potrzebne jej są zmiany i urozmaicenia. Miała trochę żal do Guida, że pisząc do matki, postawił ją przed faktem dokonanym - jednak teraz już rozumiała, że po wypowiedzeniu wojny we Florencji zrobiło się znacznie niebezpieczniej.

Tutaj na wsi niewielki był kontakt z wydarzeniami politycznymi. W pewnym sensie wojna toczyła się gdzieś daleko od zamkniętego, samowystarczalnego światka Villa di Belcanto. Pod pewnymi jednak względami miała wpływ na ich życie. Powoływano do wojska mężów, synów i ukochanych, w miastach zaczęło brakować jedzenia, a przede wszystkim paliwa. Wielkie wydarzenia wojenne skupiały przy radiu

słuchaczy, próbujących w skupieniu oddzielić fakty od propagandy. Każdy się o kogoś niepokoił.

Nad kominkiem w salonie willi stało zdjęcie Guida, Sandra i Faustiny, zrobione w ogrodzie rodzinnego florentyńskiego palazzo. Faustina stała nachmurzona, w białej sukience i słomkowym kapeluszu, Sandro miał poważną minę. Tylko Guido patrzył prosto w obiektyw, uśmiechnięty i beztroski, z rękoma w kieszeniach i rozpiętym kołnierzykiem koszuli.

Tessa nigdy nie była religijna i nawet nie miała pewności, czy w ogóle została ochrzczona, a jeśli tak, to w jakim obrzędku, niemniej jednak modliła się o bezpieczeństwo braci Zanettich. Modlitwa nigdy nie zaszkodzi, a nie wiadomo, czy nie pomoże.

W styczniu 1942 roku do najmłodszej klasy przyszła dziewczynka o imieniu Perlita. Jej matka, Emilia, pracowała w pralni. Pierwszego ranka dziewczynka stała nieruchomo w szatni, patrząc przez zasłonę czarnych włosów, jak inne dzieci zdejmują kurtki, szale i wieszają je na haczykach. Perlita miała na sobie płaszcz oraz zrobiony na drutach beret i rękawiczki. Nie próbowała się rozebrać, stała sztywno jak drewniana lalka, z przerażeniem w wielkich, ciemnych oczach.

Tessa delikatnie zdjęła jej płaszcz, a potem wzięła małą za rękę i zaprowadziła do klasy. Siedziała przy dziewczynce do końca dnia, podczas gdy signora Granelli zajmowała się resztą uczniów. Perlita nie odezwała się ani słowem. Gdy młodsze dzieci zaprowadzono do klasy starszych na lekcję śpiewu, Tessa trzymała Perlitę za rękę, a dziewczynka stała w milczeniu obok niej. Po południu najmłodsze dzieci dostały kartki z wyrysowanymi sylwetkami zwierząt, do pokolorowania i wycięcia. Tessa pomogła małej

wyciąć lwa, gdyż Perlita miała zbyt drobne, za słabe dłonie, by poradzić sobie z nożyczkami. Gdy odchodziła, by pomóc innym dzieciom, Perlita z niepokojem odprowadzała ją wzrokiem. A kiedy Tessa miała zajęte ręce, dziewczynka zazwyczaj trzymała się jej spódnicy. Signora Granelli nazwała ją jej „cieniem”.

Po tygodniu Perlita po raz pierwszy się odezwała. Tessa klasnęła w dłonie i ją przytuliła. Poczula większy triumf, niż kiedy jej zdjęcie dostało się na okładkę „Vogue'a”. Początkowo Perlita mówiła tylko do Tessy, a potem, nabrawszy nieco pewności siebie, zaczęła rozmawiać z signorą Granelli i koleżankami. Któregoś ranka, gdy dzieci wyszły na prostokątny trawnik służący za plac zabaw, dziewczynka odbiegła, by się przyłączyć do koleżanek i tylko dla pewności patrzyła od czasu do czasu na Tessę. Wiosną uczestniczyła już w zabawach ze śpiewami i tańcami. Nie stała się jednak nazbyt rozmowna - zawsze starannie odmierzała słowa.

W kwietniu signora Granelli zrezygnowała z pracy w szkole i wyjechała do Pistoii, by opiekować się bratem, który został ranny w Afryce Północnej, i Tessa przejęła jej obowiązki. Perlita każdego dnia po lekcjach pomagała zbierać woskowe kredki i wkładać je do starej puszeki po herbatnikach, w której były przechowywane. „Skończyłyśmy już?”, pytała ją Tessa, a dziewczynka uroczyście kiwała głową, wsuwała rękę w dłoń swojej opiekunki i wychodziły z klasy.

Rebecca otworzyła kluczem drzwi domu matki w Abingdon. Pyłki kurzu wirowały w promieniach słońca, wpadającego przez półkoliste okienko nad drzwiami. Powietrze w środku było stęchłe i martwe. Na posadzce w sieni

walały się listy. Rebecca postawiła kuferek matki obok stojaka na parasole, zebrała pocztę i położyła na stole w holu.

Wróciła do samochodu.

- Mamo, jesteśmy w domu - powiedziała, siląc się na pogodny ton.

Zaczął jej to wchodzić w nawyk, odkąd matka się rozchorowała. Podejrzewała, że matkę też to denerwuje, pani Fainlight bowiem westchnęła ciężko, gdy Rebecca pomagała jej wsiąść.

Zdrowie matki pogarszało się przez całą wiosnę, aż pod koniec maja konieczna była operacja - usunięcie macicy. Meriel nie mogła wziąć urlopu w trakcie roku szkolnego, tak więc opieka nad matką spadła na Rebecę.

Szły powoli ścieżką, pani Fainlight opierała się na ramieniu córki. W holu pociągnęła nosem.

- O Boże! Myślałam, Rebecco, że wywietrzysz tutaj! - wykrzyknęła.

- Mamo, nie było czasu. Przyjechałam prosto do szpitala.

- To niedorzeczne, że trzymali cię w tym miejscu do ostatniej chwili.

Pani Fainlight zawsze nazywała Mayfield Farm „tym miejscem”. Rebecca zastanowiła się, czy nie powinna wyjaśnić matce, że została na farmie do dzisiejszego ranka, bo była potrzebna, przecież wytwarzają tam żywność, której kraj tak potrzebował w czasie wojny. Po namyśle zrezygnowała jednak.

- Ty będziesz odpoczywać, mamo, a ja tu trochę posprzątam. Zaraz będzie błyszczeć - stwierdziła energicznie.



Matka ściągała rękawiczki.

- W tym domu trzeba zrobić dużo więcej, niż tylko trochę posprzątać. Pani Roberts nie dorasta do pięt pani Gibson. Nie masz pojęcia, jak ciężko mi tu było.

Gospodyni, pani Gibson, która pracowała u pani Fainlight od czasów, gdy Rebecca i Meriel były dziećmi, zmarła pod koniec 1941 roku. Rebecce nie udało się znaleźć nowej pomocy domowej na stałe, po części dlatego, że proponowana pensja nie mogła się równać z tym, co kobieta mogła teraz zarobić w fabryce, a po części, podejrzewała Rebecca, dlatego że potencjalne kandydatki odstraszało niesympatyczne zachowanie matki w czasie rozmowy. Wreszcie zatrudniły panią Roberts, która miała przychodzić na trzy godziny, by sprzątać i prać. Dom jednak wyglądał byle jak, pomyślała Rebecca, pomagając matce wejść po schodach. A listy na podłodze mogły świadczyć o tym, że pani Roberts od jakiegoś czasu w ogóle tu nie zaglądała. Trzeba będzie się z nią rozmówić.

Otworzyła okno w sypialni, by wpuścić trochę świeżego powietrza. Gdy rozpakowywała walizkę, matka siedziała w różowym, aksamitnym fotelu. Sprawiała wrażenie tak zabiedzzonej i zmęczonej, że Rebecce ogarnęła litość. Potem nastąpił skomplikowany proces przebierania matki w koszulę nocną. Starsza pani była pruderyjna iście po edwardiańsku, więc ubranie musiało zostać zdjęte, a koszula włożona tak, by Rebecca nie dostrzegła ani skrawka nagiego ciała. Wreszcie się udało i ulokowała matkę w łóżku. Pani Fainlight była zbyt wyczerpana, by się sprzeczać czy skarżyć.

- Przywiozłam parę jajek z farmy - powiedziała. - Ugotować ci jedno, mamo?

Pani Fainlight kiwnęła głową.

Rebecca zeszła na dół do kuchni. Ugotowała jajko, położyła je z kromką chleba i kawałkiem masła na tacy, dla ozdoby ustawiła wazonik z paroma różnymi pączkami i zaniósła to matce na górę. Wróciwszy po kwadransie z filiżanką herbaty, zobaczyła, że jedzenie zniknęło, a matka głęboko śpi.

Zeszła do kuchni, wypła herbatę i zabrała się do sprzątania. Gdy tak zamiatała, czyściła i myła, ogarnęło ją znajome poczucie winy z powodu stosunków z matką. Wydawało się rozsądne, że Meriel odwiedzała mamę, póki ta była w domu opieki, a potem zastępuje ją Rebecca, ale może rozsądek nie jest idealnym doradcą, gdy chodzi o poważną operację własnej matki. Niemniej, David i Carlotta nie mogli robić na farmie wszystkiego, zwłaszcza, że Carlotta była w ciąży, a do pomocy mieli teraz tylko jedną dziewczynę ze wsi, bo druga zachorowała na różyczkę. Pobyt Rebekki w Mayfield Farm nie był teraz rozrywką, lecz koniecznością.

W głębi serca wiedziała jednak, że nie ucieszyła się na myśl o przyjeździe tutaj. Problemem były nie tylko trudne relacje z matką, ale także nuda, która zawsze towarzyszyła pobytom w Abingdon. Podczas małżeństwa z Milem rzadko spędzała u matki więcej niż kilka godzin naraz. W Hatherden czas stał w miejscu. Hatherden - tak nazywał się dom matki, bezdusznie, bez wyobraźni, po wiktoriańsku. W przeszłości nawet te parę godzin wydawało się straszne.

Ale to minęło dawno temu. Jeśli nawet ostatnie kilka lat niewiele ją nauczyło, z pewnością uodporniła się na niewygody. Rebecca czuła się teraz dużo silniejsza. Przyzwyczała się do pracy na dworze w zimnie i słońcu, przywykła także do samotności. Perspektywa spędzenia z matką sześciu

tygodni była jednak, delikatnie mówiąc, mało zachęcająca. Będzie tęsknić za farmą. Ale nie buntowała się już przeciw zrządzzeniom losu.

Wojna przyniosła wiele zmian. Z pierwotnych mieszkańców w Mayfield pozostali tylko państwo Mickleborough i Rebecca. David Mickleborough, którego nie przyjęto do wojska ze względu na stan zdrowia, włożył teraz całą energię w zarządzanie farmą. Musieli ją prowadzić skutecznie, inaczej zostałyby im odebrana. Urzędnicy z miejscowej Wojskowej Komisji Rolniczej odwiedzali ich regularnie, kontrolując, czy każdy skrawek ziemi uprawnej jest należycie wykorzystany.

Rebecca nadal starała się znaleźć czas na rysowanie. Stało się to nawykiem, czymś, czego codziennie potrzebowała. Jeśli tego nie robiła, czuła, że coś jest nie tak.

Przypominała sobie Connora, który delikatnie pokpiwał z tematów jej szkiców: „Ciągle tylko te garnki i talerze, Rebecca”? - i tak było, gdy czuła się zbyt zmęczona, by pomyśleć o czymś innym.

Niemal dwa lata temu, pod koniec lata 1940 roku, farma Mayfield znalazła się w centrum wojennej nawałnicy. Na niebie nad hrabstwami Kent i Sussex toczyła się bitwa o Anglię. W pamięci Rebekki utkwił szczególnie jeden obraz: palący się samolot, który spadł korkociągiem w kępę brzoź na grzbiecie wzgórza. Pobieгла z Davidem przez dolinę do płonącego wraku, z widłami w dłoni, bo myślała, że się do czegoś przydadzą. Na próżno: w pobliżu zagajnika natrafili na poskręcane metalowe części rozbitego samolotu. Pilot, dwudziestoletni chłopak, zginął. Spalił się w kabinie.

Była to scena, którą odtąd niemal obsesyjnie rysowała i malowała na wiele różnych sposobów. Czasem kompozycja skupiała się na niej i

Davidzie, biegnących przez dolinę, z samolotem zredukowanym do szarego, rozmazanego detalu w rogu. W innej wersji czarna krata drzew strzelała pod kipiące czerwienią niebo. To namalowała w oleju. Choć jeszcze niezbyt swobodnie się czuła w tej technice, musiała użyć farb, by osiągnąć potrzebną siłę i pełnię koloru. Napisała Connorowi, że wciąż próbuje znaleźć właściwy sposób przedstawienia tej sceny, on zaś odpisał, że może niezupełnie o to chodzi - może raczej w swych pracach chce pokazać, że wciąż trzeba mówić o śmierci dwudziestoletniego lotnika w zagajniku na High Weald.

Regularnie pisała do Connora Byrne'a do Irlandii. Był czas, kiedy czuła się z tym niepewnie, zastanawiała się, czy jej listy go nie nudzą, lecz w miarę jak mijały miesiące i lata, wyzbyła się tych obaw. Wydawał się czekać na jej listy tak jak ona na wiadomości od niego. Odkryła, że z Connorem, któremu powierzyła swoje najskrytsze tajemnice, potrafi być szczerą jak z nikim innym, nawet z siostrą. Była to korespondencja z kimś, kogo, co dziwne, poznała lepiej pod jego nieobecność. Stopniowo pozbywała się dystansu. Łączyło ich to, że w przeszłości oboje skrzywdzili innych i sami zostali skrzywdzeni.

Skończyła sprzątać kuchnię i właśnie miała iść do salonu, gdy zadzwonił dzwonek. Sąsiadka matki, pani Ridley. Rebecca zaprosiła ją do środka i poszła na górę. Matka siedziała na łóżku.

- Czy dobrze mi się wydawało, że słyszałam dzwonek?
- To pani Ridley, sąsiadka - wyjaśniła Rebecca.
- Zajrzała, żeby zapytać, jak się czujesz. Czeka na dole.

Pani Fainlight sprawiała wrażenie zmieszanej.

- Muszę iść do łazienki.

- Jeśli wolisz, mam, mogę poprosić, żeby przyszła później.

- Nie, nie. - Pani Fainlight spojrzała z ciężkim wyrzutem na Rebecę. - Mam nadzieję, że nie otworzyłaś jej w takim ubraniu. Wyglądasz jak robotnik rolny!

- Bo jestem robotnikiem rolnym. Pracuję na farmie.

- Matka jednak wyglądała na autentycznie wzburzoną, więc Rebecca, ubrana w sztruksowe spodnie do kolan i flanelową koszulę, dodała: - Sprzątałam przecież. Na pewno pani Ridley nie ma mi za złe mojego stroju.

- A kiedyś tak ładnie się ubierałaś! Taka ładna była z ciebie dziewczyna! Obcy ludzie zatrzymywali mnie na ulicy i mówili, jaka jesteś śliczna! Odkąd tam mieszkasz, strasznie się zapuściłaś. W twoim wieku i tak już trudno o to będzie, ale z takim wyglądem nigdy nie znajdziesz sobie mężczyzny!

- Nie potrzeba mi kolejnego mężczyzny. - Rebecca z trudem tłumiała gniew. - Jeden wystarczył.

- Zawsze mówiłam, że jest nie dość dobry dla ciebie - mruknęła z dezaprobatą pani Fainlight.

- Chodzi ci o Mila? W takim razie miałaś rację. Pomóc ci w łazience?

Gdy pani Ridley rozmawiała z matką, Rebecca skorzystała z okazji, by wyjść na zakupy. Był słoneczny dzień wczesnego lata, jej ulubionej pory roku. Nad płotami rozrastał się powojnik. W miarę jak zbliżała się do centrum miasteczka, jej irytacja topniała. Lekarz w domu opieki powiedział

jej, że u matki wykryto niewielki guz. Chirurg miał nadzieję, że usunięcie macicy powstrzyma chorobę, ale... Zdanie pozostało niedokończone. Pani Fainlight zdawała się wierzyć, że całkowicie wyzdrowieje. Rebecce przyszło do głowy, że matka nie chce jej niepokoić. Zresztą nigdy nie lubiła się rozwodzić nad trudnymi sprawami, równie dobrze więc mogło tak być i teraz. Cokolwiek się kryło za niechęcią do mówienia o własnej chorobie, Rebecca czuła, że powinna to uszanować. Kolejna pozycja, pomyślała, na liście tematów, których nigdy nie poruszy z matką.

Wróciwszy do domu, pożegnała panią Ridley i rozpakowała zakupy. Matka zawsze trzymała książeczkę z kartkami żywnościowymi w torebce. Otwierając granatową torbę, Rebecca wdychała zapach pudru i wody kolońskiej, od dzieciństwa kojarzący jej się z mamą. Gdy była mała, możliwość obejrzenia zawartości torebki była wielkim zaszczytem - mogła wyjąć szminkę, puder, portmonetkę, notesik i ołówek ze złotym frędzelkiem. Torebka matki stanowiła dla niej skarbnicę kobiecych tajemnic.

Wyglądało jednak, że w dzisiejszych czasach kobietom zaczyna brakować aury tajemniczości. Matka była obolała i nie miała już macicy, a Rebecca chodziła w spodniach i miała na rękach odciski. Zasuwała zamek kieszonki na książeczkę z kartkami i zatrzasnęła torebkę.

Pani Fainlight z wolna dochodziła do siebie po operacji. Po pierwszych kilku dniach uparła się, żeby po śniadaniu ubierać się i schodzić na dół. Po południu, jeśli było ładnie, drzemała w ogrodowym fotelu albo szły razem na krótki spacer do skrzynki pocztowej na końcu ulicy.

W miarę jak matka odzyskiwała siły, powracał też jej krytycyzm. Dostrzegała już niedociągnięcia w gotowaniu i sprzątaniu Rebekki. Córka

zachowywała się zbyt hałaśliwie, w domu było zbyt głośno, a jej ciężkie kroki budziły panią Fainlight ze snu. Te odwieczne skargi trwały, odkąd Rebecca jako nastolatka wystrzeliła w górę, tak że o ponad dziesięć centymetrów przerosła matkę i Meriel, i zaczęła nosić o trzy numery większe buty. W wieku piętnastu - szesnastu lat postrzegала się jako słoniowate, ociążale stworzenie, podczas gdy pragnęła być filigranowa. Dopiero odkrycie, że chłopcy podziwiają jej wzrost i kompletnie ich nie obchodzi, jaki numer buta nosi, poprawiło nieco jej samoocenę.

Pani Fainlight lubiła jeść kolację przy stole, nie w łóżku, choć o tej porze dnia była już zmęczona i okropnie zrzędliva. Rebecca starała się, układała sobie włosy, stroiła się, nakrywała stół w jadalni obrusem i serwetkami. Przygnębiało ją, że kolejne dania mijają bez żadnej rozmowy, nie licząc próśb o sól i pytań, czy jedzenie smakuje, na które matka nieodmiennie odpowiadała urażonym potaknięciem. Szczęk sztućców, skrzypnięcie krzesła brzmiały w tej ciszy nienaturalnie głośno. Takie posiłki musiały być przykre i dla matki, bo po paru pierwszych wieczorach pozwoliła włączyć radio. Nawet niekończące się ponure wieści - szczególnie przygnębiające było zdobycie Tobruku przez wojska Osi w trzecim tygodniu czerwca - wydawały się lepsze, zdaniem Rebekki, niż brzęk szklanek i tykanie stojącego zegara.

Przez pierwszy tydzień lekarz przychodził codziennie, potem co drugi dzień. Parafia wyznaczyła dyżury i odwiedzający przychodzili prawie każdego popołudnia. W ich obecności pani Fainlight łagodniała i trochę wyzbywała się zgryźliwości.

Właśnie wizyta którejś z parafianek wywołała kłótnię - nie, nie kłótnię, pomyślała potem Rebecca, lecz wybuch nagromadzonej i długo tłumionej złości. Gość, pani Macdonald, poważna, dwudziestoparoletnia kobieta z wystającymi zębami, przyprowadziła z sobą synka, Petera. Był ślicznym chłopcem, miał czternaście miesięcy i dopiero co nauczył się chodzić, dreptał więc niepewnie po ogrodzie, pokazując palcem to na kwiaty, to na kota sąsiadów i wykrzykując w zachwycie nic nieznaczące sylaby.

Po wyjściu gości pani Fainlight zasnęła w fotelu na werandzie. Zbudziwszy się po godzinie, zbesztła Rebeccę, że pozwoliła jej tak długo spać.

- Pomyślałam, mamó, że przyda ci się odpoczynek.

- Dobrze wiesz, że jak za długo drzemię po południu, to potem w nocy nie mogę zasnąć. I zostawiłaś mleko na stole w ogrodzie, widzę stąd. Doprawdy, Rebecco, ja nie śpię na pieniądzech i skończą nam się kartki.

Rebecca poszła do ogrodu po tacę. Wróciwszy do domu, nastawiła czajnik i zrobiła herbatę. Przyniosła matce filiżankę. Pani Fainlight spojrzała na nią podejrzliwie.

- Mam nadzieję, że nie wlałaś tego mleka z ogrodu.

- Oczywiście, że nie, mamó. Wzięłam zimne, prosto ze spiżarni.

Sama wypła herbatę w kuchni. Inne matki i córki usiadłyby razem, pomyślała, pogawędziły o tym i owym. Poczwała ukłucie zawiści wobec takich rodzin i falę rozgoryczenia z powodu własnej sytuacji. Stwierdziła, że musi być w niej coś, co irytuje matkę. Miały przed sobą trzy godziny do kolacji.



Wzięła głęboki oddech i wróciła na werandę.

- Mamo, może zagrałybyśmy w karty?
- Rebecca, przecież wiesz, że nie pochwalam gier karcianych.
- Tylko dla zabawy. Nie proponowałam, żebyśmy przepuściły oszczędności całego życia.

Powiedziała to w żartach, ale zabrzmiało ironicznie. Matka wyduła usta.

- Doskonale wiem, że kiedy byłaś żoną Milla, grywałaś na pieniądze.
- Na sześciopensówki.
- Przynajmniej jest z tego jakaś korzyść. Przestałaś uprawiać hazard.

Rebecca zamarła.

- To znaczy... korzyść z rozwodu?
- Tak. - Pani Fainlight poruszyła się nerwowo w fotelu. - W kościele o tym nie wspominałam. Pomyślałam, że lepiej to przemilczeć.
- Mamo, ty się mnie wstydzisz?
- Nie ma potrzeby, żeby ktokolwiek wiedział i kropka.
- W porządku, obiecuję, że nie wyjawię żadnych wstydlivych szczegółów tym starym jędzom od świętego Andrzeja.
- Rebecca, nie musisz być taka nieprzyjemna.
- Nie jestem. Stwierdzam fakt.

Zapadła pełna napięcia cisza. W końcu pani Fainlight, siedząca dotąd sztywno w fotelu, wybuchnęła:

-Gdyby chociaż było dziecko! Taki kochany mały chłopczyk! To by chociaż coś zostało!

Rebecca wpadła w furję.

- Dziecko?! Chcesz wiedzieć, czemu nie mieliśmy dziecka? To ci powiem! Nie mieliśmy, bo ja nie mogę mieć dzieci! - Podniosła głos. - Przez tyle lat małżeństwa prawie w ogóle się nie zabezpieczaliśmy...

- Rebecca!

- ..i nic z tego nie było! Milo ma teraz dziecko, mamó, wiedziałaś o tym?

Pani Fainlight zrobiła przerażoną minę.

- Nie - szepnęła.

- A ma! Ożenił się po raz drugi półtora roku temu. Nie powiedziałam ci, bo wiedziałam, że będziesz triumfować. Ożenił się z Amerykanką, wykłada na amerykańskiej uczelni i mają małą córeczkę, Helen. Więc jeśli nie mieliśmy dziecka, to moja wina, a nie Mila. Tylko moja!

Wybiegła z werandy. Zdjęła kurtkę z wieszaka i wyszła z domu, przywołując całą siłę woli, aby nie trzasnąć drzwiami.

Za ogrodem, na tyłach Hatherden rozciągały się pola uprawne. Gdy Rebecca szła ich skrajem, pszenica rozmazywała jej się w oczach od napływających łez. Trzęsły jej się ręce, gdy wycierała nos chusteczką.

O powtórny małżeństwie Mila dowiedziała się z listu od niego. Milo poinformował ją, że zeni się z Moną Greer, którą poznał w Bostonie, gdzie teraz gościnnie wykładał. Rebecca podejrzewała, że Mona była jego studentką.

O dziecku powiedział jej Robert Thoday, wydawca Mila. Wpadła na niego w Hatchards, któregoś dnia w Londynie, gdy odwiedzała Simone Campbell. „Milo i Mona”, oznajmił Roger, „mają córeczkę, Helen”. „Pomyślałem, że wolałabyś nie dowiadywać się o tym z obwoluty na książce”, dodał. „Chociaż w tych czasach potwornie trudno cokolwiek wydać, a ostatnie dwie książki Mila, niestety, niezbyt dobrze się sprzedały”.

Dziecko. Córeczka. Helen Rycroft. Rebecca powiedziała sobie, że nic jej to nie obchodzi, nie ma już nic wspólnego z Milem. Typowe dla niego, pomyślała, uciec do Ameryki, kiedy w kraju żyje się tak trudno z powodu wojny.

Teraz, potykając się na miedzy, rozważała, czy istotnie jest jej wszystko jedno. Milo miał prestiżową posadę na amerykańskim uniwersytecie, nową żonę i córeczkę. Zastąpiła mu dziecko, które zginęło. Podczas gdy Rebecca dalej się miotła, on budował nowe życie. Ona nie miała nic.

Przeszła przez mały zagajnik i ruszyła ścieżką między wysokimi żywopłotami, obrośniętymi wiciokrzewem i dziką różą. Od tygodnia nie padało, głębokie koleiny na błotnistej ścieżce zdążyły stwardnieć. Szła więc dalej, a uraza i litość nad samą sobą opadały z każdym krokiem. Uświadomiła sobie, że i ona wiele osiągnęła. Miała swoją pracę i sztukę, pochłaniającą ją coraz bardziej. Kochała siostrę i przyjaciół. Miała

korrespondencję z Connorem, którą niezmiernie ceniła. Nie wiedziała, co przyniesie przyszłość, ale w tych czasach mało kto to wiedział.

A co do matki... Możliwe, że widziała u Mila wady, na które Rebecca była ślepa. Możliwe także, że jej kąśliwe uwagi miały u podłoża troskę - że pod zrzędlivością i krytycyzmem kryła się miłość. Rebecca zerknęła na zegarek. Było piętnaście po szóstej. Co by teraz powiedział jej anioł? Spróbowała wyobrazić sobie jego twarz, łagodny, delikatny uśmiech. Na pewno polecilby jej wrócić do domu i przygotować kolację. I dodałby, że musi dalej się starać, choć działają sobie z matką na nerwy.

Powoli, nie spiesząc się, wróciła ścieżką, przemaszerowała przez las i miedzą wzdłuż pola, a potem weszła do ogrodu.

Pani Fainlight siedziała w kuchni, przy zlewie, przepasana fartuchem. Obierała ziemniaki. Uniosła wzrok na córkę.

- Pomyślałam, że przynajmniej w tym ci pomogę.

Rebecca zorientowała się, że to wyciągnięcie ręki na zgodę.

- To bardzo miłe z twojej strony, mamó - powiedziała - ale nie wolno ci się męczyć.

Zdjęła kurtkę, powiesiła ją na haczyku. Potem obtoczyła w panierce makrelę i pokroiła młodą kapustę. Przez chwilę pracowały razem.

- Strasznie gumiate te ziemniaki, ostatnio przestały mi smakować warzywa od pana Wrighta - stwierdziła matka.

- Zastanawiałam się, czy nie zrobić tu małej grządki z warzywami. Na skraju ogrodu, przy komórce, jest dużo miejsca, a jak wrócę do Mayfield, to może Meriel wpadnie tu czasem i powyrywa chwasty - powiedziała Rebecca.

Później, gdy pani Fainlight poszła spać, Rebecca siadła przy kuchennym stole i zaczęła rysować polne kwiaty, które zebrała po drodze do domu. Wypiła sherry, wzięła aspirynę i poczuła się dużo lepiej. Słychać było tylko szmer ołówka na papierze oraz muzykę z radia, gdzieś daleko, sączącą się wśród letniego zmierzchu przez ciche ogrody i otwarte kuchenne drzwi.

Max mieszkał nad sklepem spożywczym przy Frith Street. Na podeście klatki schodowej jakiś chłopiec bawił się kolejką; klęczał na podłodze, z nabożnym skupieniem popychał pociąg i wydawał sapiące odgłosy.

Freddie zapukała do drzwi.

- To ja! Wiem, że tam jesteś! - Odpowiedziała jej cisza, więc zastukała dużo głośniejsze. - Max! Otwórz!

Usłyszała zgrzyt zasuw. Dzieciak zabrał pociąg i zbiegł na dół.

Otworzyły się drzwi. Max miał gniewną minę.

- Przychodzisz mnie sprawdzić?
- Przychodzę zobaczyć, co u ciebie.
- Wszystko, jak widzisz, tip-top.

Chciał zamknąć drzwi, lecz Freddie wsunęła w nie stopę. Przez szparę dostrzegła jego pokój, porozrzucane na podłodze papiery i ubrania, puste butelki na stole.

- No tak - rzuciła ze złością. - Ładny mi tip-top. Strasznie wyglądasz, Max.

- Idź sobie, Freddie. Idź trząść się nad kimś innym.

- Max.

-Idź.

-Nie.

Zmrużył oczy.

- Rozumiem, że to jakiś miłosierny uczynek.

- Ray powiedział, że rozstaliście się z Marcelle.

- Doskonale wiesz, że się nie rozstaliśmy. Marcelle mnie rzuciła. - Wykrzywił wargi i utkwiał w Freddie oczy, przekrwione, pełne pogardy dla świata. - Czasem przypominasz mi Tessę. Tak samo nie umiesz zmierzyć się z rzeczywistością.

Po namyśle skinęła głową.

- Niech ci będzie. Skoro tak uważasz...

Odwróciła się z zamiarem odejścia, gdy usłyszała za sobą westchnienie. Obejrzała się szybko.

- Wybacz, Freddie, świnia ze mnie. Nie wiem, czemu w ogóle zawracasz sobie mną głowę. Wejdź, proszę. Zrobię kawę.

W pokoju śmierdziało starym popiołem z papierosów i alkoholem. Gdy Max nalewał wody do czajnika i szukał czystych kubków, Freddie wyjrzała

na ulicę przez zaparowaną szybę. Z grafitowego nieba lały się stalowe strugi deszczu. Był późny wieczór, cienie wkradały się do zabitych deskami sklepów, rozlewały pod obłożonymi workami kamienicami. Ta wojna, blitzkrieg, niosła ze sobą aurę ekscytacji i ożywienia, która utrzymywała się w mieście mimo strachu i niewygód. Odkąd Luftwaffe przeniosło się na rozległe równiny Rosji, naloty na Londyn były o wiele radsze i mniej dotkliwe, pozostało jednak znużenie, smutek i reglamentacja żywności.

- Co się stało? - zapytała.

Max wzruszył ramionami.

- Nic takiego. Pokłóciliśmy się. Nie pamiętam szczegółów. Musiało być jakoś tak: najpierw ja powiedziałem albo zrobiłem coś, co ją zezłościło i urządziła o to scenę, a wtedy stwierdziłem, że jest rozpuszczonym bachorem. Więc kazała mi się wynosić. Mniej więcej coś w tym stylu

- Max uśmiechnął się krzywo. - Jestem niepoważny, pozwalam, żeby dziewczyna dwa razy ode mnie młodsza robiła ze mnie głupca.

- Wiek chyba nie ma znaczenia.

- Ale doświadczenie powinno mieć. Rozum zawsze mi mówił, że z Marcelle nie ma szans na nic trwałego. Wiem, że dla niej zawsze byłem kimś drugim w kolejności. Jestem za stary, za brzydki i za bardzo cudzoziemski. - Machnął ręką, nie dając Freddie dojść do słowa. - Niestety, taka jest prawda.

Widziała, jak trzęsie mu się ręka, gdy sypał łyżką kawę do kubków.

- Oj, Max. Ile ty wypiełeś?

- Za dużo. Ale nie dosyć. Taką mam słabość. Każdy ma jakąś, prawda, Freddie? Nawet ty. Mleka?

- Poproszę.

Otworzył butelkę, powąchał i skrzywił się.

- Nie szkodzi - powiedziała. - Może być czarna.

Podał jej kubek, a potem zajrzał pod poduszkę i przesunął dłonią po kieszeniach marynarki.

- Gdzie moje papierosy? Nie masz czasem jednego, Freddie? Nie? To może naprawdę nie masz żadnych słabości. - Znalazł wygniecioną paczkę i wydobyl z niej papierosa. - Nie wiem, czego chce Marcelle - powiedział cicho. - Ona sama chyba też nie wie. Jest piękną, interesującą, ale kompletnie niezrównoważoną dziewczyną, która lubi doprowadzać do kłótni. To zresztą nie pierwszy raz, gdy się rozstaliśmy. - Rozpoczął kolejne poszukiwania, tym razem zapalek, rozrzucił papiery i ubrania, robiąc w pokoju jeszcze większy bałagan. - Klóci się, żeby odsunąć niepokój o ojca. Tak, oczywiście. A może też dlatego, że lubi poczucie władzy, które jej daje takie ujadanie.

Niedawno zrobiłem jej parę zdjęć. Była w płaszczu z futrzanym kołnierzem. Wyglądała jak Królowa Śniegu. Teraz chyba mam w sercu okruch lodu.

- Biedny Max.



- O nie, wcale. - Trzasnął zapalką. - Freddie, nie zasługuję na twoje współczucie. Wiem to wszystko i dalej jej pragnę, choć łamie mi serce. Jak mówiłem. Jestem bez sensu.

- Pomóc ci trochę tu posprzątać?

- W żadnym wypadku. Siądź. Porozmawiaj ze mną. Jest tyle rzeczy, o których powinienem myśleć, zamiast o głupiej, samolubnej dziewczynie.

Freddie opróżniła jeden kwadrat kanapy i usiadła.

- To chyba tak nie działa.

- Mam w Niemczech wielu przyjaciół i rodzinę. Nie mam pojęcia, co się z nimi stało. Nie wiem, czy żyją, czy zginęli. Czasem mam ochotę za nimi płakać. Prawda jest jednak taka, że moje myśli krążą wokół niej. - Popatrzył na nią uważnie. - Przepraszam, że tak powiedziałem o Tessie. Zgorzkniały staruch ze mnie. Wiesz, że bardzo ją kochałem. Pewnie nie masz od niej żadnych wieści?

Freddie westchnęła.

- Przyszedł list w czterdziestym, potem jeszcze jeden, strasznie wymięty, sześć miesięcy później. Oba przesłane przez jej znajomego ze Szwecji. W żadnym zbytnio się nie rozpisała. Dała tylko znać, że jest cała i zdrowa i bezpieczna. Nie wymieniała żadnych nazwisk, zapewne nie chciała, żeby ktoś wpadł przez nią w tarapaty. A od tamtego czasu nic. Boję się o nią. - Jak zawsze, ilekroć myślała o Tessie, ogarniało ją dojmujące poczucie utraty, połączone z lękiem. - Ale wiem, Max, o co ci chodzi. Złoszczę się, kiedy nie ma miejsc w autobusie albo jak skończy mi się szampon, a nie można go dostać w sklepach. Ale tak naprawdę zależy mi

tylko na jednym: dowiedzieć się, że z Tessą wszystko w porządku. - Upiła łyk kawy. Napój miał gorzki smak cykorii. - Właściwie to przyszłam się pożegnać.

- Wyjeżdżasz?

-Wysyłają mnie do Birmingham. Będę się szkolić na mechanika, nauczą mnie, jak się robi samoloty.

- Boże święty. - Uniósł brwi. - To już nie będziesz przekładać papierów w Ministerstwie Wojny?

- Już dawno miałam tego powyżej uszu. A niestety jestem niewykwalifikowaną, dyspozycyjną kobietą, więc można mnie posłać gdziekolwiek. Trochę smutne jest to zasufladkowanie, prawda?

- I bardzo mylące. - Przyjrzał jej się oczyma koloru delikatnego brązu. - Jak myślisz, spodoba ci się ta produkcja samolotów, Freddie?

- Mam nadzieję. Ale bardzo załuję, że muszę zostawić przyjaciół. - Uśmiechnęła się do niego. - Nawet tych, co często mają zły humor. Staram się przed wyjazdem ze wszystkimi pożegnać.

Wyjął kolejnego papierosa i postukał nim o paczkę.

- Będziesz się widzieć z Marcelle?

- Tak, raczej tak.

- Przekażesz jej wiadomość ode mnie?

- Max...

- Proszę, Freddie, ona nie odbiera ode mnie telefonów.

Serdecznie mu współczuła. Miał wychudzoną, ostrą twarz, sine cienie pod oczami, a jego czarne włosy, posiwiałe na skroniach, prosiły się o fryzjera. Wygląda, pomyślała Freddie, jak zmęczona i bardzo obdarta wrona.

- Jak chcesz, to oczywiście przekażę, ale czy nie lepiej byłoby zaczekać, aż Marcelle sama się odezwie?

- To znaczy, mam udawać niedostępnego?

- Niech się trochę pomartwi. Może bardziej cię doceni? Czemu nie poczekaasz, aż cię przeprosi?

- Ona nie przeprosi. W życiu. Wiem o tym. - Sprawiał wrażenie nie tylko rozpaczliwie smutnego, ale i głęboko zawstydzonego. - Wiem, że kocham ją bardziej niż ona mnie. Będę ganiać za nią jak wierny piesek, aż zacznie mną pogardzać.

Nie mogła się powstrzymać, żeby nie wtrącić:

- Ale czy warto gonić za taką miłością?

- Jeśli tylko taką dają, to tak.

Freddie wyszła kwadrans później z liścikiem Maksa w kieszeni. Pojechała metrem do South Kensington, a stamtąd pieszo udała się na Cheyne Walk w Chelsea. W pobliżu domu Marcelle Scott poczuła zapach zgnilizny od rzeki. Drzwi frontowe były zabite dwiema deskami, Freddie zbiegła więc schodkami do sutereny i zapukała do okna kuchni.

Marcelle ją wpuściła. Miała na sobie czarną sukienkę koktajlową, a na szyi jodełkowy naszyjnik, pasujący kolorystycznie do zieleni oczu.

- Witaj, Freddie - powiedziała i nadstawiła policzek do całusa.

Kuchnia była wielka i zimna. Betty Mulholland, w bladoniebieskiej halce, stała przy zlewie i kręciła sobie włosy, smarując je wodą z cukrem, żeby utrwalić loki.

- Lewis śpi na górze - zakomunikowała Marcelle.

Freddie przypomniała go sobie z tamtego wieczoru

w Dorchester; miał ciemne włosy i twarz elfa.

- Staramy się być bardzo cicho - szepnęła Betty. - Biedny Lewis oka nie zmrużył przez całe tygodnie.

Pływa w konwojach przez Atlantyk. Straszne rzeczy tam przechodzi.

Freddie wyjaśniła, że wysyłają ją do Anglii Środkowej. Betty powiedziała, że to okropne, że ona sama jedzie do Plymouth, setki kilometrów od Frances, która jest w bazie lotniczej na wschodzie Anglii. Potem poszła na górę się ubrać.

Marcelle sprzątała naczynia. Freddie wyciągnęła z kieszeni list od Maksa.

- Max mi to dał.

- Widziałaś się z nim?

- Tak, przed chwilą. - Czekala, że Marcelle o niego zapyta. Gdy tego nie zrobiła, Freddie dodała: - Źle z nim.

Marcelle wstawiła do kredensu wazę i zamknęła drzwiczki. Potem rozcięła kopertę. Przesunęła wzrokiem po liście, rzuciła go na kuchenny stół i wróciła do układania naczyń.

- Odezwiesz się do niego? - zapytała Freddie.
- Nie wiem. Może.
- Tęskni za tobą.
- W sumie nie chce mi się o tym gadać.
- Ale ja bym chciała o tym porozmawiać.
- Freddie, to nie twoja sprawa - odparła łagodnie Marcelle.
- Niestety, także i moja. Max to mój przyjaciel.
- No tak, zapomniałam. Max Fischer, wielki przyjaciel obu sióstr Nicolson. - W jej głosie zabrzmiała drwina.

Max nieszczęśliwie kochał się w Tessie przez wiele lat, lecz Freddie nigdy nie widziała go tak zrozpaczonego jak teraz. Tessa jednak nigdy nie była dla niego niemiła.

Marcelle wycierała noże ściereczką. Włosy spadały jej gładkimi lokami na ramiona, paznokcie miała, jak zawsze, pomalowane na szkarłatny kolor. Freddie zachodziła w głowę, gdzie Marcelle w czasie wojny kupuje ten lakier - może zrobiła sobie zapas, zgromadziła tuziny jaskrawoczerwonych buteleczek, mających wystarczyć do zawarcia pokoju?

- Jeśli on cię nie obchodzi, to może należałoby mu to powiedzieć, raz a dobrze?

Marcelle odwróciła się i spojrzała na Freddie.

- Ależ ja bardzo lubię Maksa. - Policzki jej się zaróżowiły.

- „Lubię” to raczej za mało. On cię kocha. Nie rozumiesz, że ludzie wtedy cierpią, potwornie cierpią?

Drzwi kuchni otworzyły się. W korytarzu stał Lewis Coryton w czerwonym jedwabnym szlafroku, zapewne należącym do Marcelle. Zamrugał półprzymkniętymi.

- Marzę o filiżance herbaty - powiedział.

- Zrobię ci, skarbie. - Marcelle napełniła wodą czajnik.

Lewis zmarszczył brwi, wpatrując się we Freddie.

- Pamiętam... Freddie... jak? Freddie Nicolson.

- Cześć, Lewis. - Podała mu rękę.

- Byłaś w Dorchester - powiedział. - Miałaś długą czarną suknię i fioletowy naszyjnik, jak ze śliwek.

- Cóż za słoniowa pamięć, Lewis - rzuciła zjadliwie Marcelle.

Freddie zrobiło się miło, że ją zapamiętał. Sama uznała go wtedy za przystojnego mężczyznę. Nadal dobrze wyglądał, nawet rozczochrany i w groteskowym, czerwonym szlafroku.

Betty wbiegła z powrotem do pokoju.

- Kolczyki! Widziałaś moje kolczyki?

- Na parapecie - odparła Marcelle.

Betty wpięła w uszy diamenty.

- Freddie, idziesz z nami? Będzie Denny. I Clare, prawda, Lewis? A co z tymi chłopakami z RAF-u, których poznałyśmy w pociągu?

- Mówili, że przyjdą. - Marcelle naląła wrzątku do im-bryka.

- A Jack? - dopytywała się Betty.

- Raczej nie.

- Pończochy - mruknęła Betty. - Muszę znaleźć jakieś porządne pończochy! - I znów popędziła na górę.

Marcelle naląła herbatę do filiżanki i podała ją Lewisowi.

- Chyba pójde się wykąpać - oznajmił Lewis. - Miło cię znowu widzieć, Freddie. Będiesz wieczorem, prawda?

Powiedziała coś wymijająco. Kiedy poszedł, zapytała Marcelle:

- Widziałaś się z Jackiem?

- Z moim kuzynem? Tak, oczywiście. - Uniosła brwi. - To ty go znasz? Zapomniałam. - Naląła herbatę do filiżanek.

- Był w Londynie?

- Tak, przez kilka tygodni. Bawiliśmy się do szaleństwa. Aż miałam dość tych przyjęć i innych rzeczy. Mam nadzieję, że zakocha się we Frances. Jego jasne włosy, jej rude - śliczne by mieli dzieci, nie sądzisz? - Wyjęła z torebki szminkę i puder. - Pójdiesz dzisiaj z nami? Na pewno znalazłybyśmy tu coś, co by na ciebie pasowało.

- Nie, dziękuję. Szczerze mówiąc, jestem bardzo zmęczona. Chyba się wcześniej położę.

Zaraz potem wyszła. Nadal padał deszcz, więc naciągnęła kaptur na głowę i włożyła ręce do kieszeni.

Po raz pierwszy nie mogła się doczekać wyjazdu z Londynu. Od tamtego wieczoru w Dorchester funkcjonowała na peryferiach kręgów towarzyskich Jacka i Marcelle. Teraz, idąc w deszczu, poczuła do niej silną antypatię. Choć wiedziała, że Max w dużej mierze sam jest sobie winien, nie podobała jej się lekkomyślność Marcelle. Ta kobieta miała w sobie jakąś pustkę uczuciową, być może dlatego tak łatwo przychodziło jej ranienie ludzi. Zresztą, czy Jack, jej kuzyn, nie był taki sam? W 1939 roku była mu potrzebna, ale zostawił ją, gdy już jej nie potrzebował. Może nie powinna czuć się urażona, że był w Londynie i się z nią nie skontaktował, choć obiecał, w głębi duszy czuła się jednak urażona. Wspomnienie ucieczki z Florencji do Francji było dla niej wciąż żywe, podczas gdy Jack najprawdopodobniej o wszystkim zapomniał natychmiast po ich rozstaniu. Na płynącej do Francji łodzi zaproponował: „Możemy uciec razem”. Co by się stało, gdyby powiedziała „tak”? Czy mieszkaliby teraz w Buenos Aires lub Valparaiso, on zarabiałby na życie czymś podejrzanym i nagannym, a ona z gardenią za uchem popijałaby koktajle na plaży? A może odszedłby po miesiącu albo dwóch, uwalniając się od wszystkiego, co choćby odrobinę pachniało stabilizacją?

Czy ona jednak była inna? Przykra to była myśl. Związek z Angusem skończył się trzy miesiące po tym, gdy zostali kochankami. Odrzuciła jego oświadczyzny. Kochała go, ale nie aż tak, by się z nim związać na całe życie. Od tego czasu, choć miewała chłopaków - żołnierza, spotkanego na potańcówce, kanadyjskiego lotnika, z którym zaczęła rozmawiać któregoś



dnia w autobusie - te znajomości nigdy nie trwały długo. Żołnierza wysłano do Devonu, a bombowiec lotnika zestrzelono nad Niemcami.

Najdłużej trwał związek z amerykańskim dziennikarzem, który przyjechał do Londynu, żeby napisać o wpływie wojny na tutejsze życie. W końcu to on zerwał. „Fajna z ciebie dziewczyna, Freddie”, powiedział pod koniec wieczoru, „i piękna, ale czuję się, jakbym mówił do ciebie przez szklaną ścianę. Jesteś Angielką. Nic cię nie rusza. Mam wrażenie, że na coś czekasz, tyle że nie wiadomo na co. Na pewno nie na mnie. Otoczyłaś się murem i nie pozwalasz, żeby cokolwiek się przez niego przebiło”.

Tessa uważała, że małżeństwa trzeba się wystrzegać za wszelką cenę. Ale czy ona, Freddie, obserwując życie siostry, nie doszła aby do wniosku, że to miłości trzeba się wystrzegać, a nie małżeństwa? Czy też po prostu, jak jej powiedział ten Amerykanin, jeszcze czekała? Na co? Żeby znów się zobaczyć z Tessą? Całe to czekanie i pielęgnowanie nadziei wyczerpywało ją emocjonalnie.

Przeszkadzało jej, że Max powiedział „kochałem”, a nie „kocham”, tak jakby Tessa istniała już wyłącznie w przeszłości. Denerwowało ją, że Ray, niegdyś tak w niej zakochany, teraz w zasadzie o niej nie wspominał. Drażniło ją, że po trzech latach rozłąki jej wspomnienia o Tessie też wyblakły, tak że gdy próbowała ją sobie wyobrazić, coraz częściej przywoływała na pamięć obrazy ze zdjęć i czasopism. Tak jakby Tessa skamieniała uchwycona w tym konkretnym momencie życia, odcięta od przyszłości.

Kiedyż wreszcie wyjadę z tego Londynu, pomyślała. Chciała zacząć od nowa, poznać nowych ludzi, zająć się nowymi sprawami. Odrzuciła kaptur nieprzemakalnego płaszcza i ruszyła po schodach do metra.

## **Rozdział 12**

Maddalena Zanetti odpoczywała na kanapie w salotto, salonie willi. Olivia siedziała obok niej, a Faustina zajęła fotel. Guido spacerował po pokoju tam i z powrotem z córeczką na ramionach. Za każdym razem, kiedy przechodził pod żyrandolem, Luciella wyciągała rączkę i próbowała dotknąć kryształowych ozdób; wówczas Guido pomrukiwał ostrzegawczo, a dziewczynka piszczała z radości.

- Za bardzo ją zmęczysz, mój drogi - powiedziała Maddalena. - Nie zje kolacji.

Guido postawił zanoszącą się śmiechem córeczkę na podłodze. Tessa usiadła na dywaniku obok Lucielli. Dziewczynka pokazywała jej swój serwis dla lalek - malutkie filiżanki, spodeczki i talerzyki z porcelany, malowane w kwiatki, podczas gdy z tyłu toczyła się rozmowa. Pomiędzy Guidem a jego żoną wyczuwa się napięcie, myślała Tessa, brak im jedności. On lubi zbijać jej argumenty, a ona milczy. Taka sama atmosfera panowała poprzedniego dnia podczas rodzinnego obiadu krótko po przyjeździe Guida i Maddaleny do willi. Maddalena powiedziała, że rodzice mają się dobrze, ale sytuacja w miastach jest trudna, bo brakuje żywności. Miała nadzieję, że wkrótce będzie lepiej. Guido prychnął pogardliwie, a Olivia, łagodząc sytuację, oświadczyła, że przygotuje im prowiant do zabrania do Florencji.

Guido był ranny w Afryce Północnej i w połowie roku został odesłany do Włoch. Olivia i Faustina odwiedzały go najpierw w szpitalu wojskowym, a później we Florencji. Teraz miał dwa tygodnie urlopu przed powrotem do służby.

- Jak cudownie, że możesz z nami tu być, synu - powiedziała Olivia.

- Myślę, że Guido nie może się doczekać wyjazdu. Chyba woli być bohaterem - wtrąciła Faustina, drażniąc się z nim.

- Jakim bohaterem?! - odpowiedział ostro, patrząc gniewnie na siostrę.

- Po prostu nie chowam się gdzieś na tyłach, jak tchórz.

Faustina owinęła kosmyk cienkich włosów wokół palca.

- Nigdy nie lubiłeś się nudzić, Guido.

- Zawsze wybrałbym raczej niebezpieczeństwo niż nudę.

- A my musimy to znosić, wiesz? - Faustina podniosła się, żeby wziąć z talerza herbatnik. - Zwłaszcza kobiety. Większość rzeczy, które muszą robić kobiety, jest bardzo nudna.

- Dla mnie nie jest to kwestia nudy, tylko honoru.

- Guido, nie teraz - powiedziała cicho Maddalena.

Guido podniósł srebrną łyżeczkę, po czym ją odłożył.

- Wolałbym wrócić do Afryki. - W jego głosie dało się wyczuć napięcie. - Ale Maddalena nie chce, żebym wracał.

- Czy to takie dziwne? - Oczy jego żony zapłonęły nagle. - Dlaczego miałabym chcieć, żeby cię wysłali na front? Żeby cię zabili, Guido? Jaką korzyść przyniosłoby to Lucielli czy mnie?

- Nie znoszę manipulacji. Nie cierpię tego.

- Guido - powiedziała łagodnie Tessa.

Maddalena wstała.

- Co jest dla ciebie ważniejsze? Twoja żona i dziecko czy twój honor?

- Jesteś niesprawiedliwa - odparł lodowatym tonem Guido. - Wiesz o tym.

- Wybacz, Olivio. - Głos Maddaleny zadrżał. - Luciella musi zjeść kolację. A mnie boli głowa. - Wzięła dziecko w ramiona i wyszła z salonu.

- Ten upał... - Olivia westchnęła.

Zapanowało długie milczenie.

- Przepraszam, mamó - powiedział w końcu Guido. Podniósł się i opuścił pokój.

Pierwszy tydzień września dobiegał końca; od miesiąca nie padał deszcz. Zakurzone białe drogi wiły się wśród wzgórz pokrytych wyblakłą suchą trawą, a słońce ponad nimi było jak płaski, blady dysk na metalicznym błękicie nieba. Zastony w willi zwisały bezwładnie w wilgotnym powietrzu, a światło słoneczne wciskało się do wnętrza pomiędzy listewkami żaluzji i układało w oślepiające pasy na podłodze.

Coś jest na rzeczy, pomyślała Tessa tego wieczoru. Maddalena, z twarzą zagniewaną, bladą, zapakowała dziecko, niańkę oraz walizki do samochodu i odjechała do wiejskiego domu swoich rodziców w pobliżu

Imprunety. Guido nawet nie wyszedł na dziedziniec, żeby je pożegnać.

Później, po kolacji, we czworo słuchali radia. Podano wiadomość o klęsce wojsk Osi w Afryce Północnej, w Alam Halfa. To tymczasowe komplikacje, oświadczył spiker. Kiedy Olivia wyłączyła radio, wszyscy siedzieli w bezwietrznym upale, nie znajdując zbyt wielu tematów do rozmowy.

Tessa nie mogła spać tej nocy. Nad ranem włożyła spodnie i bluzkę bez rękawów i zeszła na dół. W kuchni naląła sobie szklankę wody, po czym podstawiła złożone ręce pod kran, ochlapała wodą twarz i przeciągnęła mokrymi dłońmi po włosach. Wyszła z kuchni i spacerowała po pokojach oraz korytarzach. Pod bosymi stopami czuła chłód marmurowych posadzek. Światło dochodzące z dziedzińca wywabiło ją z domu.

Guido siedział na kamiennej ławce pomiędzy terakotowymi donicami. Wokół lampy oliwnej, stojącej pod łukami balkonu, krążyły włochate, rudawe ćmy. Tessa miękko wypowiedziała jego imię.

Odwrócił się do niej.

- Tessa - powiedział. - Ty też nie możesz spać?

- Jest za gorąco. - Odstawiła szklankę i usiadła obok niego. - Kiedy jest taka pogoda, zawsze mam wrażenie, że coś się stanie.

- Będzie burza. Spójrz.

Wpatrując się w kwadrat nocnego nieba nad nimi, zauważyła, że gwiazdy są teraz zasłonięte chmurami.

- Wyszedłem na spacer - powiedział Guido. - Musiałem ochłonać.

- Jak twoja noga?

- Dobrze. Cały czas trochę boli, ale lekarze mówią, że chodzenie najbardziej mi pomoże. - Podwinął prawą nogawkę spodni. Jego łydka pokryta była mozaiką sinych i czerwonych blizn, z nierówną i grudkowatą tkanką w miejscach szwów.

Tessa pamiętała, jak Guido pływał w basenie Villa Millefiore. Bardzo lubiła obserwować harmonijne ruchy jego idealnie umięśnionych rąk i nóg i krople wody, spływające po jego śniadej skórze, gdy wychodził na brzeg.

- Biedny Guido - powiedziała.

- Miałem szczęście. Nie straciłem nogi.

- Musiało cię boleć.

- Jak wszyscy diabli, potem dali mi morfinę. - Roześmiał się nagle. - Ale z nas para... oboje poharatani.

Wyciągnął rękę, odsunął grzywkę i przeciągnął kciukiem po bliźnie na czole Tessy. Musiała przygryźć wargę, by nie drgnąć.

- Jesteś piękna jak zawsze - powiedział cicho. - Wierz mi, to prawda.

Pokręciła głową i opuściła wzrok.

- Tesso, co ciebie jeszcze bolało, oprócz głowy?

- Noga, ramię... obojczyk.

- I tu też, jak sądzę. - Guido zwinął dłoń w pięść i przyłożył ją do piersi w okolicy serca.

- Jak mogłeś pozwolić, żeby Maddalena wyjechała sama? Powinieneś być pojechać z nią.

- Być może.

- Nie być może, tylko na pewno. Martwi się o ciebie. Czy możesz ją za to winić?

- Tesso, trzymaj się z dala od tego, czego nie rozumiesz. - Wyglądał na zagniewanego.

- Rozumiem, że Maddalena cię kocha i dba o ciebie.

Guido podniósł się i odszedł kilka kroków dalej. Zapatrzył się w niebo.

- Chmury gęstnieją. - Poczowała, że stara się opanować irytację. - Nie tęsknisz za deszczem?

Wiatr targał liście oleandrów i drzew cytrynowych. Tessa odrzuciła włosy do tyłu, gdy chłodne podmuchy owiewały jej nagie ramiona i twarz.

- Nigdy nie mam dość słońca - powiedziała. - Zbyt długo mieszkałam w Anglii.

Guido wyjął z kieszeni papierośnicę i zaproponował Tessie papierosa. Usłyszała pstryknięcie zapalniczki i zobaczyła w ciemności błysk płomienia. Wiatr przybierał na sile i wirujące liście z szelestem opadały na dziedziniec.

Usiadł z powrotem obok niej.

- To nie była moja pierwsza kłótnia z Maddaleną. Prawdę mówiąc - roześmiał się sztucznie - zaczyna nam to wchodzić w zwyczaj.

- To dlatego, że tak długo byliście z dala od siebie. I dlatego, że było z tobą tak źle. To musiało być dla niej przerażające, a strach może wzbudzać w ludziach gniew.

Guido spoglądał zamyślonym wzrokiem na dziedziniec.

- Zawsze kłócimy się o to samo. Ojciec Maddaleny jest bardzo bogaty. Nigdy nie musiał pracować na swoje utrzymanie. To jeden z tych, którzy zawsze znajdują odpowiednich ludzi i zawsze mówią to, co trzeba. Gardzę nim.

- Musiałeś wiedzieć, jaki jest, gdy żeniłeś się z Maddaleną.

- Tak, tak. - Wykonał niecierpliwy gest dłonią. - Nie myślałem wtedy, że to ma znaczenie... Nie sądziłem, że to będzie miało znaczenie dla nas.

- Ale teraz ma?

- Jedno jego słowo i zostałbym wysłany gdzieś pod Alpy, gdzie moim najniebezpieczniejszym zajęciem byłoby uganianie się za paroma chłopami uchylającymi się od płacenia podatków.

- Tego chciałaby Maddalena?

- Tak. Ale ja się nie zgadzam, Tesso. Nie mógłbym spojrzeć sobie w oczy. Honor... - Guido uśmiechnął się krzywo. - Dziś po południu zachowałem się jak żaloszny dureń. Ludzie, którzy rozpętali tę wojnę i którzy ją prowadzą, nie mają ani krzty honoru. Bóg jeden wie, co się stanie, jeżeli poniesiemy kolejną klęskę na pustyni. Niemcy nie mogą tam posyłać oddziałów w nieskończoność. Ich siły już są nadwreżone, bo walczą na



zbyt wielu frontach jednocześnie, a teraz potrzebują jak najwięcej żołnierzy w Rosji. - Zamilkł na chwilę. - Przed zmianą pogody zawsze najpierw przychodzi zimny wiatr. Czuję, że się pogorszy. Brytyjczycy wiedzą, że Amerykanie czekają w pogotowiu. Wszyscy ci ludzie, samoloty, czołgi, karabiny. Co będzie, jeśli alianci zdobędą Afrykę Północną?

Tessa wyobraziła sobie mapę Morza Śródziemnego, wyspy rozciągające się jak paciorki naszyjnika pomiędzy Afryką Północną a obcasem włoskiego buta.

- Myślisz, że dojdą aż tutaj?

-Tak.

- A co sądzi Maddalena?

- Nigdy nie obchodziła jej polityka. Mnie zresztą też, kiedy byłem młodszy. Ale teraz nie mogę się oprzeć wrażeniu, że deklarowanie braku zainteresowania polityką to poza. - Uśmiechnął się cierpko. - Pokłóciłem się z żoną o wojnę, w którą nigdy nie wierzyłem. Nie dziwię się, że Maddalena jest na mnie wściekła. Ale widzisz, moi ludzie nadal są tam, na pustyni. Stawiają czoło trudnościom, jakich mój teść i jemu podobni nie potrafią sobie nawet wyobrazić. Muszę wrócić, jestem im to winien. - Strząsnął popiół na bruk. - Kiedy Maddalena pakowała się przed wyjazdem, znowu się kłóciliśmy. Powiedziała mi - urwał, kręcąc głową.

- Co ci powiedziała, Guido?

Podniósł z kamieni dziedzińca liść i zgniół go w dłoni.

- Powiedziała, że skoro nie zostałam we Włoszech dla niej, to mógłbym pomyśleć o Lucielli.

- Och, Guido.

- Odpowiedziałem jej, że to, co robię, jest właśnie dla niej i dla Lucielli. Jakim ojcem, jakim mężem byłbym, gdybym zaprzeczył wszystkiemu, w co wierzę? Gdybym odrzucił lojalność i zaufanie? - Czekał, aż Tessa zacznie mówić, ona jednak milczała, powiedział więc z goryczą: - Jesteś kobietą. Oczywiście trzymasz stronę Maddaleny.

- Tak. Ale tobie też współczuję, Guido. - Zmarszczyła brwi. - Kiedyś myślałam, że żyję zgodnie ze swoimi zasadami. Byłam z nich nawet dumna. Miałam dość nietypowe zasady, ale to bez znaczenia.

- A teraz?

- Moje zasady o mały włos mnie nie zniszczyły. Nie wiem, czy jeszcze mi zależy na takich sprawach.

- Nie sądzę, żebyś tak bardzo się zmieniła, Tesso. Jesteś cichsza... i smutniejsza. Ale prawie taka sama.

Zgasła papierosa w doniczkę.

- Może powinnam była wrócić do Anglii.

- Chyba jednak powinnaś tu zostać.

- Może. - Wzruszyła ramionami. - Teraz lepiej rozumiem co to lojalność, chociaż zajęło mi to sporo czasu.

Kiedyś myślałam, że gdy romans wygasa, trzeba iść dalej. Że nie warto się przywiązywać. Tego nauczyło mnie dzieciństwo i tego się trzymałam za każdym razem. Wydawało mi się, że pozostaję wierna sobie i swoim zasadom.

- A potem? - Gdy nie odpowiadała, dodał: - Jest przecież jakieś „potem”, prawda, Tesso?

- W końcu spotkałam kogoś, od kogo nie umiałam odejść. - Podkurczyła kolana i oplotła je rękami. - Był inteligentny, przystojny i czarujący. I żonaty. Znałam wielu inteligentnych, przystojnych i czarujących mężczyzn, a niektórzy z nich byli żonaci. Mówiłam sobie, że to żaden problem, bo nie miałam zamiaru odbierać ich żonom. - Spojrzała na niebo. - Jak bardzo oszukujemy samych siebie, kiedy jesteśmy zakochani. Może to się stało przez ten księżyc i mróz. Czasami te ciche angielskie pejzaże mają swój urok.

- I co było dalej?

- Nic dobrego - odrzekła ze smutkiem w głosie.

Nagła błyskawica oświetliła dziedziniec liliowym blaskiem.

- Mam nadzieję, że będzie lało - powiedział Guido, podnosząc głowę. - Przydałaby się porządna burza.

- Stefano będzie się martwił o winogrona, jeśli spadnie grad.

- A więc stajesz się wieśniaczką, Tesso. No, no, nigdy bym nie pomyślał. - W jego głosie pobrzmiwała delikatna kpina. - Westchnął. - Kto wie, dlaczego się zakochujemy? Każdy powód jest dobry, księżyc i mróz

też. Wiem, co musisz sobie myśleć - Maddalena i ja znaleźliśmy się od dzieciństwa, bogata rodzina. Pewnie wydaje ci się, że pobraliśmy się ze względów dynastycznych, żeby zadowolić naszych bliskich.

- Nie, Guido - odparła spokojnie. - Znam cię. Ożeniłbyś się tylko z miłości.

Z oddali dobiegł grzmot, jakby ktoś przesuwał meble w pustym pokoju. Pomiędzy Tessą a Guidem narastało napięcie - poczucie straty, świadomość tego, co mogło się kiedyś stać.

- Gdyby Mussolini został obalony - ciągnął Guido - odbiłoby się to na rodzinie Maddaleny. Są lojalnymi obywatelami. Mówisz, że rozumiesz co to lojalność, Tesso, więc powiedz mi, co mam zrobić. Zostać tu z rodziną, żeby ją chronić w razie pogorszenia sytuacji, czy wrócić do moich ludzi na pustynię?

Patrzyła na jego profil, wyostrzony przez nocne cienie.

- Nie umiem ci odpowiedzieć, Guido. Niestety, ty sam musisz podjąć decyzję.

Rozległ się kolejny grzmot, tym razem głośniejszy, a zaraz po nim mignęła błyskawica.

- Kiedy przyjechała Freddie - powiedziała Tessa - pojechaliśmy do Villa Millefiore. Ogród jest bardzo zarośnięty, ale nadal jest tam pięknie.

Spojrzał na nią rozbawiony.

- Pamiętam to popołudnie, kiedy kazałaś mi wskoczyć w ubraniu do basenu.

- Zawsze byłeś taki próżny, Guido. Nie mogłam sobie odmówić.
- Wtedy pierwszy raz się całowaliśmy.

Ich ubrania, mokre od wody, zapach krzewów laurowych, światło słoneczne rozszczepiające się w romby nad głowami obojga. Upał taki jak dziś i jego ciało, przywierające do niej w uścisku. Tessa poczuła intensywny przyływ tęsknoty za przeszłością, za czasami beztroski.

- Żałuję, że nie pojechałem za tobą do Londynu. Powinienem był to zrobić, znaleźć jakiś sposób - wyznał Guido.

- Nie udałoby się nam. - Powiedziała to bez żalu, jedynie stwierdzając fakt.

- Mogliśmy sprawić, że by się udało.

Co by się stało, gdyby wyciągnęła rękę i go dotknęła? Nie zrobiła tego.

- Guido, byłam córką kochanki twojego ojca. Jakim sposobem miało nam się udać? Nie. Ty i ja żyliśmy w dwóch różnych światach. - Błyskawica przecięła niebo, a pierwsza kropla deszczu zostawiła ciemny ślad na kamiennym chodniku. - A poza tym - dodała - nie pasowaliśmy do siebie.

- Jak możesz tak mówić?

- To prawda. Za bardzo lubimy robić wszystko po swojemu. Skoro kłócisz się z Maddaleną, to jak bardzo kłóciłbyś się ze mną?

- Nigdy przedtem nie byłaś cyniczna, Tesso.

- Nie chcę być cyniczna. Ale znam siebie i wiem, że nie jestem stworzona do małżeństwa, nigdy nie byłam.

- Skąd wiesz, jeśli nigdy nie spróbowałaś?

- Za bardzo lubię swoją wolność. Nigdy nie umiałam iść na kompromis, to dla mnie za trudne. W małżeństwie trzeba umieć znaleźć złoty środek. Obie strony muszą tego chcieć, inaczej się nie udaje.

Drobne krople deszczu zaczęły bębnić o kamienie. Tessa spojrzała w górę, głęboko wdychając świeże powietrze pachnące cytrynami. Deszcz zmywał upał i kurz.

- A mnie by się nie udało - powiedziała cicho. - Nie wiem za wiele, ale tego jestem pewna.

- W takim razie, co chcesz zrobić ze swoim życiem, Tesso? Wojna nie będzie trwać wiecznie. Co wtedy?

- Nie warto o tym myśleć.

- Matka mówi, że uczysz w szkole.

- Tak. Uwielbiam to.

- Więc spędzisz życie zajmując się dziećmi innych kobiet i nigdy nie mając własnego?

Rośliny w doniczkach kołysały się gwałtownie w podmuchach wiatru.

- Tessa?

Deszcz stawał się coraz mocniejszy, zimne krople uderzały ją w twarz.

- Powiedziałam, że nigdy nie wyszłam za mąż, Guido. Nie mówiłam, że nigdy nie miałam dziecka.

Odgłosy nadchodzącej burzy zagłuszyły jego kroki, kiedy szedł do niej przez dziedziniec.

- Nie rozumiem, Tesso.

- To zupełnie możliwe: mieć dziecko bez wychodzenia za mąż. - Jej głos brzmiał chłodno i obojętnie, niemal szyderczo; zauważyła zdziwienie w oczach swego towarzysza. - Nic o mnie nie wiesz, Guido. Tłumaczyłam ci, że się zmieniłam. Wszelkie twoje przypuszczenia na mój temat są błędne. Wszystkie twoje wspomnienia nie znaczą teraz nic, absolutnie nic.

Odeszła, aby schronić się pod balkonem. Po chwili się obejrzała.

- Wiem jedno - powiedziała dobitnie. - Jedno musisz zrobić. Dbaj o swoją córkę. Chroń ją, Guido. Nie pozwól, żeby stało jej się coś złego. Nic innego tak naprawdę się w życiu nie liczy.

Wyjeżdżając z Mayfield Farm do Kornwalii na początek wojny, Pollenowie zostawili piec zbudowany przez Johna i trochę barwnego szkła, którego Romaine używała do wyrobu witraży. Szkło, w postaci mniejszych i większych kawałków, zostało poukładane kolorami w starych puszkach po kostkach rosółowych. W jego przezroczystości było coś zachęcającego i Rebecca czasami zaglądała do pokoju z piecem. Wyjmowała jakieś szkiełko z jednej z puszek i zanosila do okna, by zobaczyć przefiltrowane przez nie światło.

Pewnego dnia spróbowała ułożyć kilka fragmentów, żeby powstał obrazek. Przysiadła na ławie, na której John Pollen robił swoje garnki; chciała stworzyć układankę i starała się nie pokaleczyć przy tym palców. Wieczorem udała się do pracowni, by poszukać ołowiu, którego Romaine

Pollen używała do łączenia kawałków szkła. Znalazła tylko trochę resztek - widocznie Romaine zużyła cały zapas ołowiu przed wyjazdem z Mayfield albo też zabrała ze sobą, bo pewnie był drogi. Rebecca pomyślała, że mogłaby dokończyć szklany obrazek bez ołowiu, korzystając z pieca Johna Pollena. Pewnej nocy rozpałała więc ogień, a następnego dnia, gdy szkło ostygło, wyjęła swoją pracę. Kawałki się połączyły, kolory zlały ze sobą.

Jesień była ciężka. Farma znajdowała się w nieosłoniętym miejscu, atakowanym przez wiatry i deszcze. Gwałtowne wichury znad wzgórz Weald, od strony kanału La Manche, zamieniały gliniastą glebę w lepkie błoto. Mimo to trzeba było przygotować ziemię i na nowo posiać warzywa. Przed wyjściem z domu w najgorszą pogodę Rebecca owijała się w płaszcze i swetry, wkładała szalik, rękawiczki i czapkę, a na nogi dwie pary skarpet i stare buty turystyczne. Nauczyła się strzelać ze śrutówki

Davida do wron, które wydziobywały nasiona, i do królików - na potrawkę. Na początku listopada świętowała z farmerami i dziewczętami ze wsi zwycięstwo aliantów w Afryce Północnej, pod El-Alamejn, wznosząc toasty domowym cydrem.

Przez całą zimę Rebecca eksperymentowała z topieniem szkła. Czasami kawałki się nie połączyły, innym razem zlewały się ze sobą, ale pękały podczas studzenia. Otwierając drzwiczki pieca po zakończeniu wypalania i wyjmując gotową pracę, zawsze czuła wielkie podniecenie. Odkryła, że szkło jest bardzo ciepłym tworzywem. Nieudane elementy można było przetopić i wykorzystać ponownie. Największa nawet porażka mogła stać się zaczątkiem nowego pomysłu, wskazać nowy kierunek.



Rebecca i Meriel na zmianę spędzały weekendy z matką w Abingdon. Jej dom zawsze wydawał się Rebecce zimny i niewygodny. Czuła w nim chłód, co rzadko zdarzało się jej na farmie. Miała wrażenie, że przez stulecia ziąb doskonale, bezboleśnie wkomponował się w Mayfield. W porównaniu z farmą Hatherden, ze swoimi praktycznymi i sfatygowanymi sprzętami, kupionymi ze względu na solidność i niską cenę, prezentowało się surowo, wręcz ascetycznie. Pamiętała, że to był jeden z powodów, dla których Milo od razu jej się spodobał - dbałość o swój wygląd i otoczenie uważał za rzecz naturalną. Stanowiło to dla niej objawienie, wejście do innego świata, w którym przyjemność nie uchodziła za grzech.

A jednak w czasie tej ponurej, czwartej wojennej zimy jej nawyki z dzieciństwa - oszczędzanie każdego grosza, zadowalanie się byle czym - odżyły na nowo. Okazało się, że łatwo wrócić do starych obyczajów, dokładnie zjadać wszystkie okruchy chleba i wyskrobywać palcem resztki białka ze skorupki, żeby nic się nie zmarnowało. Kiedy czasem myślała o osiemnastu latach swojego małżeństwa z Milem, okres ten wydawał się Rebecce krótki. Była to ważna część jej życia, kolorowa i atrakcyjna, pełna namiętności i cierpienia - ale tylko część. Przyszłość nie musi być nudna i bezbarwna, jak się tego wcześniej obawiała.

„Czytanie o Twojej wycieczce do Burren sprawiło mi wielką radość”, pisała do Connora Byrne'a. „I jak to dobrze, że Brendan pojechał z Tobą. Jakież to musi być dzikie i cudowne miejsce! Gdy wojna się skończy, powinnam tam kiedyś pojechać. Wyobrażam sobie Burren zaludnione przez starych bogów, pierwotne istoty z kamieni, wiatru i morza. Widzę Was obu, jak wędrujecie wzdłuż brzegu, szukając muszli i kawałków szkła wygładzonych przez morze”.

Connor dołączył do listu fotografię siebie i Brendana w Burren. Brendan był ładnym chłopcem, ale to postać jego ojca przyciągała zawsze wzrok Rebekki. Connor uśmiechał się na zdjęciu. Stał w płaszczu i szaliku, gęste ciemne włosy rozwiewał mu wiatr, a w tle morze rozbijało się o skały.

Zimowe słońce prześwietlało szkło, które tego ranka Rebecca wyjęła z pieca. Nieregularne trójkąty o barwie zieleni, brązów i złota sprowadziły dolinę, lasy i wzgórza Weald do czystej formy. Mozaika uchwyciła i zatrzymała w sobie światło.

Mogłabym zmatowić ją piaskiem, jak szkiełka wyrzucone przez morze, pomyślała w przyływie nagłego podniecenia. I gdyby udało się uzyskać efekt płynności, przypominałaby wodę. I chciałabym stworzyć kształty i formy tak żywe, jak te, które wychodziły spod dłuta Connora.

- Niestety jest zrobiony z buraków - powiedziała Meriel. Postawiła formę z ciastem na stole kuchennym swojej matki. - Pudding z buraków, trochę to dziwne, ale w przepisie zapewniano, że jest bardzo smaczny.

Trwały ferie wielkanocne i większość uczennic szkoły Westdown wyjechała na cztery tygodnie do domu. I chociaż to Rebecca spędzała weekend w Hatherden, Meriel zadzwoniła rano z pytaniem, czy może wpaść na lunch.

Jadły w głębi domu, w pokoju z widokiem na ogród. Pomieszczenie miało duże okna skierowane na południe, było więc najcieplejsze w Hatherden. Kiedy Rebecca podała pieczeń rzymską z marchewką, Meriel opowiedziała im o niedawnej wizycie u swojej przyjaciółki w Cleethorpes.

- Monica była strasznie zdenerwowana, bo któraś z dziewcząt z Ochotniczej Służby Kobiet zachowała się wobec niej nieuprzejmie. - Później nastąpiła długa, zawiła opowieść. Meriel przedstawiła harmonogram pracy kierowców ciężarówki Ochotniczej Służby Kobiet, napomknęła, że Monica nie wywiązuje się ze swoich obowiązków, a jej kot zachorował i trzeba było długo czekać w kolejce u weterynarza. Podkreślała też, jak nieładnie jest obgadywać kogoś za jego plecami, co miały w zwyczaju czynić jej koleżanki.

Przy deserze rozmowa się nie kleiła. Pani Fainlight sprawiała wrażenie zmęczonej, a Meriel zamilkła - Rebecca nie wiedziała, czy przyczyną był osobliwy smak buraczanego puddingu, czy też myśli siostry rozpraszało coś innego. Stawiała na tę drugą możliwość.

Po posiłku pani Fainlight udała się na drzemkę do sypialni, a Meriel pomogła Rebecce sprzątnąć ze stołu. Rebecca napełniła zlew wodą i zaczęła zmywać.

Siostra grzebała w torebce, szukając papierosów i zapalek.

- Chciałam z tobą porozmawiać - odezwała się nagle. - Stało się coś straszego.

- Co?

- Deborah. - Meriel wyglądała tak, jakby nie mogła nic więcej powiedzieć. Wcisnęła papierosa do ust i zapaliła zapalną.

Rebecca zeskrobywała zaschniętą płamę sosu z półmiska.

- Żona doktora Hughesa?

Meriel kiwnęła głową.

- Nie żyje.

- Nie żyje? - Rebecca wytrzeszczyła oczy.

- Tak. Dowiedziałam się wczoraj po południu. Milly Fawkes mnie powiadomiła. - Millicent Fawkes była kierowniczką jednego z internatów. - Wygląda na to, że Deborah odwiedzała kuzynkę w Worthing, zaczął się nalot i bomba trafiła w dom.

- Och, Meriel, to okropne.

- Deborah i jej kuzynka zginęły od razu. Pamiętam, jak doktor Hughes mówił, że za nic w świecie nie zeszlaby do schronu, przypuszczam więc, że ta kuzynka nie chciała zostawić jej samej.

Rebecca nastawiła wodę na herbatę.

- Biedny doktor Hughes.

- Bardzo mi go żal. Byli małżeństwem przez dwadzieścia lat. - Meriel wytarła szklanki i wstawiła je do kredensu. - Wiem, że nie powinno się mówić źle o zmarłych, ale nie miał z nią łatwego życia.

- Zdaje się, że była dość schorowana, prawda?

Meriel przytaknęła.

- Dlatego pojechała do Worthing, dobrze jej robiło morskie powietrze.

- Rozmawiałaś z doktorem?

- Dzwoniłam do niego wczoraj wieczorem, ale czekał na telefon od matki Deborah, mogłam więc tylko przekazać mu kondolencje.

- Jak on się czuje?

- Biedak jest w szoku. Czy sądzisz - Meriel w skupieniu zaciągnęła się dymem - że powinnam zaproponować mu pomoc przy pakowaniu jej rzeczy? To takie straszne, kiedy mężczyzna musi robić to sam, a Deborah nie miała sióstr. Jej matka jest już stara i słaba. Nie chciałabym się oczywiście wtrącać, a poza tym może ktoś inny zechce pomóc, ale...

- Myślę, że to byłoby bardzo miłe z twojej strony - powiedziała zdecydowanie Rebecca.

- Spotkałam Deborah tylko kilka razy i muszę przyznać, że jej nie polubiłam, ale nie mogę przestać myśleć, jaka to paskudna śmierć, tyle kilometrów od domu i akurat na wakacjach. Nie chciałam nic mówić przy mamie, ale jestem taka zdenerwowana. Szczerze mówiąc, jest mi smutno, bo jemu jest smutno. Deborah była trudną osobą, wymagała ciągłej uwagi, nie żał mi jej, tylko jego. - Meriel spojrzała na Rebeccę. - Sądzisz, że to podłe z mojej strony?

- Absolutnie nie. - Pociuszająco poklepała siostrę po ramieniu. - Myślę, że to zupełnie zrozumiałe.

Pociąg zatrzymał się ze zgrzytem pomiędzy Rugby i Coventry. W przedziale oprócz Freddie było dwóch pasażerów: żołnierz, który spał, oraz mężczyzna w marynarce w pepitkę i filcowym kapeluszu. Kiedy weszła do pociągu w Euston, jechały tam jeszcze dwie panie w średnim wieku - dlatego się dosiadła. W szkole Westdown panna Fainlight powtarzała

uczennicom, żeby zawsze wybierały przedział, w którym są kobiety, i Freddie zapamiętała tę cenną radę. Jednak obie panie wysiadły w Rugby. Mężczyzna w marynarce w pepitkę właśnie wyciągnął w jej stronę pogniecioną papierową torebkę.

- Panienska się poczęstuje cukiereczkiem.
- Nie, dziękuje - odpowiedziała.
- Ech, te młode damy, zawsze się martwią o figurę.
- Freddie przeczuwała, co będzie dalej, i się nie pomyliła.
- Przepraszam za śmiałość, ale akurat panienska nie musi się o to martwić.

Zapewne powinnam uśmiechnąć się kokieteryjnie i podziękować, pomyślała. Spojrzała jednak tylko przez okno na wezbraną po deszczu brunatną rzekę, wijącą się pośród pól i kęp trzciny. Nie mogła się doczekać, kiedy pociąg znów ruszy.

- Dokąd panienska zmierza?
- Do Birmingham.
- Proszę, proszę, to tak samo jak ja. Nie mówi pani jak birminghamka, że się tak wyrażę. Papierosika? - Wyciągnął paczkę papierosów w stronę Freddie, jednocześnie niby przypadkowo dotykając jej kolana.

W torbie na półce bagażowej miała książkę. Zastanawiała się, czy jej nie wyjąć i nie schować się za nią, ale nie chciała wstawać - podejrzewała, że facet będzie próbował zajrzeć jej pod spódnicę.

- Nie, dziękuję - odrzekła.
- Lubi pani chodzić do kina?
- Czasami. Z moim chłopakiem.
- Założę się, że taka dziewczyna jak pani ma dużo chłopaków.
- Owszem - ucieła.

Pociąg szarpnął, po czym ruszył i włókł się przez chwilę po torach, a potem zatrzymał się znowu.

- Przepraszam - powiedziała Freddie i wyszła z przedziału.

Jakiś czas spacerowała po korytarzu. Jeśli nie będzie jej dość długo w przedziale, to może facet w marynarce w pepitkę zdąży zasnąć, tak jak ten żołnierz, zanim ona wróci. Czowała się zmęczona i sama też miała ochotę na drzemkę. Stłumiła ziewnięcie, przechodząc przez ruchomy, gumowo-stalowy pomost pomiędzy wagonami.

Coś sprawiło, że zajrzała przez okno do przedziału; zobaczyła śpiącego w kącie żołnierza w mundurze marynarki. Był to Lewis Coryton.

Otworzyła drzwi. Jechał sam w przedziale. Pomyślała, że może jej nie pozna, ale otworzył oczy i posłał jej niespieszny, senny uśmiech.

- Dobry Boże! Freddie Nicolson.
- Cześć, Lewis. - Weszła do przedziału.

Wstał i podał jej rękę.

- Strasznie się cieszę, że znowu cię widzę - powiedziała Freddie.

- Ja też się cieszę. Cholernie nudna podróż. Zaczynam się zastanawiać, czy ten gruchot w ogóle jeszcze ruszy. Dopiero co wsiadłaś?

- Nie, wsiadłam w Euston, ale musiałam uciekać, bo facet z mojego przedziału ciągle proponuje mi papierosy i słodycze. Papierosiki i cukiereczki, jak mówi.

- Powinnaś usiąść tu ze mną.

- Bardzo chętnie. Pójdę po torbę.

Lewis zaproponował, że będzie jej towarzyszył. Przeszli korytarzem do wagonu Freddie. Kiedy stała w otwartych drzwiach, mężczyzna w marynarce w pepitkę posłał jej urażone spojrzenie. Lewis zdjął torbę z półki. W drodze powrotnej popatrzyli na siebie i zaczęli się śmiać.

- To był głaskacz kolan - powiedziała Freddie, kiedy Lewis zamknął drzwi przedziału. - Podejrzewam, że także podszcypywacz pośladków.

Lewis podał jej srebrną piersiówkę.

- Co to?

- Rum. Co innego mógłby mieć marynarz? Napij się, to cię rozgrzeje.

Freddie upiła łyk, rozkoszując się uczuciem ciepła w przełyku.

- Co u ciebie słyhać, Lewis? Jesteś na urlopie?

- Właśnie wracam na okręt. Miałem dwa tygodnie urlopu, było fantastycznie.

- A jak tam Clare?



Zmarszczył brwi.

- Zerwaliśmy ze sobą parę miesięcy temu.

- Przykro mi.

Lewis pociągnął łyk z piersiówki.

- Z początku nie mogłem się pozbierać, ale teraz jest już dobrze. Jej rodzice i tak nigdy mnie nie akceptowali. Clare ma coś z sercem, wiesz, i oni bardzo jej pilnują.

- Coś z sercem?

- Szmer w sercu. Często mdleje. Jest ich jedyną córką, martwią się o jej zdrowie. Rzecz jasna, chcą dla niej jak najlepiej, a to wykluczało znajomość ze mną. - Upił jeszcze łyk rumu, po czym zakręcił piersiówkę i schował do kieszeni. - Spotyka się teraz z kimś innym, z facetem, z którym rodzice zawsze chcieli ją wyswatać.

- Och, Lewis.

- Pływanie całymi miesiącami po morzach i oceanach raczej mi nie pomogło. - Wzruszył ramionami. - Jak to mówią, w morzu jest pełno innych ryb.

- Na pewno wszystko u ciebie w porządku?

- Naprawdę, nic mi nie jest. A ty, Freddie? Gdzie się podziewałaś?

- Mieszkam w Birmingham.

- Podoba ci się?

- Tak. Znalazłam paru dobrych przyjaciół, jest tam co robić i szczerze mówiąc, miałam już dość Londynu. Teraz pracuję w fabryce.

- Naprawdę? - Jego orzechowe oczy rozbłysły. - Jak ci idzie?

- W porządku, jak sędzę. Jestem młodszym mechanikiem.

- Świetnie. Nie uważasz, że to... Hmm, zawsze myślałem, że taka praca jest zbyt ciężka dla dziewczyny.

- Jest ciężka - przyznała Freddie. - Na początku bardzo szybko się męczyłam, ale teraz już przywykłam. Panuje straszny hałas, radio gra na okrągło, „muzyka przy pracy”, ale trudno cokolwiek usłyszeć, kiedy pracują maszyny. A mój kombinezon błyszczy od metalowego pyłu. Popatrz - pokazała mu dłonie z ciemnymi obwódkami pod każdym paznokciem - ten pył wchodzi pod paznokcie. Nie mogę go usunąć, chociaż szorowałam ręce godzinami przed ślubem Raya.

- Ray Leavington znowu się ożenił?

- Tak, wczoraj. Skromna uroczystość, jak napisali w gazetach. Dlatego byłam w Londynie. Max twierdzi, że to triumf optymizmu nad realizmem.

- Fajnie było?

- Właściwie tak. Prawie jak za dawnych czasów.

- Tamtego wieczoru w Dorchester zastanawiałem się, czy coś się nie dzieje pomiędzy tobą a Jackiem.

- Ja i Jack? - Freddie roześmiała się. - Daj spokój, nie. Jack i ja zawsze w końcu się pokłócimy. Zresztą nie widziałam go od lat.

- Myślę, że jest za granicą. Ktoś mi mówił, że wykonuje jakieś poufne zadania.

Bez wątpienia znów znalazł sobie jakieś niebezpieczne zajęcie, pomyślała Freddie. Popatrzyła w zaparowane okno. Wiejski pejzaż był teraz rozmazaną mieszaniną zieleni i brązów.

- Chciałabym, żeby ten pociąg w końcu ruszył - powiedziała.

- Musisz gdzieś zdążyć?

- Nie, tylko rozumiesz: pranie, prasowanie, listy do napisania...

Lewis otworzył okno i wysunął głowę na zewnątrz.

- Nie widzę, żeby coś tam się działo. Jacyś faceci łażą dookoła i gadają. Ciekawe, czy to lokomotywa się zepsuła?

- Otóż to - powiedziała Freddie, rozdrażniona. - Wygląda na to, że na niczym nie można polegać.

- Obawiam się, że za dużo było oszczędności i napraw.

- Lubię działać zgodnie z planem. Lubię być zorganizowana.

- Czy w takim razie nie lubisz niespodzianek, Freddie?

- Nie lubię takich niespodzianek, przez które musisz siedzieć godzinami tam, gdzie diabeł mówi dobranoc. A ty? Jak jest na statku? Nadal pływasz po Atlantyku?

Potwierdził. Freddie wyczuła, że nie chciał o tym rozmawiać, i starała się znaleźć nowy temat, ale Lewis nagle powiedział:

- Teraz pływam na niszczycielu. Myślę, że to lepsze niż korweta, człowiek nie czuje się taki nieosłonięty. Ale czasem bywa koszmarne, chociaż nie w taki sposób, jak wszyscy to sobie wyobrażają. Mam na myśli to, że nie zawsze jest najgorzej, kiedy znajdziemy się pod ostrzałem, mimo że to może być straszne. Przynajmniej jednak coś wtedy robisz i nie masz za dużo czasu na myślenie. Dopiero w nocy, na wachcie, coś do mnie dociera. Mam wrażenie, jakbym był jedynym człowiekiem na świecie. Powoli szarzeje, a wokół siebie, kilometr za kilometrem, widzę tylko puste, ciemne morze. To sprawia, że czuję się... jakoś beznadziejnie. Tak jakby nic innego nie istniało i nigdy nie miało istnieć.

- Och, Lewis - powiedziała Freddie łagodnie.

- Przepraszam - uśmiechnął się. - Opowiadam bzdury, prawda? Kiedy spotykałem się z Clare, starałem się myśleć o niej, kiedy dopadał mnie dołek. O czym do niej napiszę i takie rzeczy.

- Możesz pisać do mnie, jeśli chcesz. To nie to samo, wiem, ale może pomogłoby ci to oderwać się od rzeczywistości. A ja lubię pisać listy.

- Pisałabyś do mnie? Byłoby mi niesamowicie miło. Kochana Freddie. - Twarz mu się rozjaśniła, ale po chwili znów spochmurniał. - Boję się, że puszczają mi nerwy. Widujesz pewnie w pubach facetów z marynarki, którzy upijają się do nieprzytomności przed powrotem na swój statek. Nie chcę skończyć jak oni.

Freddie pomyślała o piersiówce z rumem i o tym, jak Lewis zamyka oczy, zanim odchyli głowę do tyłu, żeby przełknąć alkohol. Wyjęła z torebki notes i ołówek, napisała swój adres.

- Proszę. - Wydarła kartkę i mu podała. - Pisz do mnie, kiedy tylko będziesz miał ochotę. Możesz pisać, o czym chcesz, obojętnie, zawsze miło dostać list.

Lewis schował kartkę do kieszeni.

- Dużo ludzi do ciebie pisze?

- Max i Julian, oczywiście, i kilka dziewczyn, które poznałam, kiedy pracowałam w Londynie. - Przerwała na chwilę, a potem dodała: - Czasami pisuję też do mojej siostry Tessy, ale nie mam pojęcia, czy dostaje moje listy.

- Gdzie ona jest?

- We Włoszech. Z ostatnich listów dowiedziałam się, że mieszka u znajomych, w willi na południe od Florencji. - Freddie zmarszczyła brwi. - Czuję, że znowu zaczynam mieć nadzieję, a to jest jeszcze gorsze. Zaczynam myśleć, że być może któregoś dnia wojna się skończy. Przedtem prawie nie przychodziło mi to do głowy, bo zawsze wydawało się, że będzie trwała wiecznie.

- Jeżeli Ósma Armia zajmie Tunezję, a wszystko na to wskazuje, Rommel powinien się poddać. Wtedy cała Afryka Północna stanie się nasza i zaczniemy myśleć o Europie. Uważasz, że Włochy będą następne?

Freddie przeciągnęła ręką po zaparowanym oknie, rysując łukowaty kształt.

- Na to się zanosi, prawda? - Spojrzała na niego z uśmiechem. - Masz ochotę na ciasto, Lewis? Susan, żona Raya, dała mi parę kawałków weselnego tortu.

Zjedli ciasto, podczas gdy pociąg nadal stał, a niebo pociemniało do odcienia błękitu pruskiego. Lewis zaciągnął zasłony. Zaczęli rozważać, czy nie można by wyjść z pociągu i pospacerować wśród pól - ten pomysł podobał się obojgu.

- Ale jak tylko wysiadziemy - zauważył Lewis - ten żaloszny wehikuł zbudzi się do życia, możesz być pewna.

Później zastanawiali się, co będzie, jeśli będą zmuszeni siedzieć w przedziale przez całą noc. Lewis słyszał o pociągu, który tkwił na torach przez tydzień, unieruchomiony przez śnieżycę w Cumbrii. Rozmawiając z nim, obserwując jego przelotny, rozbawiony uśmiech i błysk w oczach, kiedy mówiła coś zabawnego, Freddie pomyślała nagle, że podróż nie jest już nudna i że nie przeszkadzałoby jej nawet, gdyby stali tak całe godziny w zapadającym zmroku.

W końcu jednak pociąg szarpnął z nienacka, jakby chwycił oddech, i ruszył znowu. Długi dzień i kołysanie sprawiły, że powieki Freddie opadły. Kiedy wtoczyli się na stację New Street, obudziła się i zobaczyła, że siedzi obok Lewisa, z głową na jego ramieniu.

- Wyglądało na to, że potrzebujesz poduszki.

- Dzięki. - Podniosła się, nadal zasnana. Gdy zapinała żakiet, Lewis zdjął jej torbę z półki.

Otworzył drzwi wagonu.

- Napiszę do ciebie - zapewniła go.

Uścisnęli sobie ręce. Freddie wyskoczyła na peron i odeszła. Kiedy podchodziła do bramki biletowej, usłyszała, że ktoś za nią biegnie. Obejrzała się i zobaczyła Lewisa, który przepychał się przez tłum w jej kierunku.

Poczuła nagły przypływ radości.

- Twój pociąg - powiedziała.

- Do diabła z pociągiem. Zrozumiałem, że chcę spędzić resztę wieczoru z tobą. Nie masz nic przeciwko temu, Freddie?

- Nic a nic. - Pokręciła głową.

- Dobrze. Miałem nadzieję, że tak powiesz.

Stali obok siebie na peronie. Lewis pogłaskał ją po ręce. Tłoki lokomotywy poruszyły się, z komina uniosła się chmura pary i pociąg odjechał.

Lewis patrzył, jak lokomotywa i wagony stają się ciemną smugą spowitą dymem.

- Na pewno będzie następny - powiedział ze śmiechem.

Freddie nalegała, żeby sprawdzić to w rozkładzie jazdy przed wyjściem ze stacji.

- Nie chcę, żebyś przez miesiąc obierał ziemniaki czy cokolwiek innego, co muszą robić marynarze, którzy nie wrócą na czas z przepustki.

Pociąg do Liverpoolu odjeżdżał za godzinę.

Lewis wziął ją pod rękę i wyszli ze stacji. Skierowali się do pobliskiego hotelu. Sala barowa, rozległa i wysoka, miała przybrudzone ściany pomalowane kiedyś na kolor kremowy. Mahoniowy bar był porysowany i poplamiony, a na pokrywie pianina stojącego przy ścianie widniały okrągłe ślady od mokrych szklanek. Żołnierze z narzeczonymi oraz biznesmeni ściskający aktówki stali pogrążeni w rozmowach; inni drzemali, oparci o walizki, albo pili i palili rozparci na krzesłach.

Lewis przyniósł im drinki do stolika.

- Czy ty zawsze robisz takie rzeczy? - zapytała Freddie.
- Masz na myśli pociąg? Chyba tak. Przepraszam, zapomniałem, że nie lubisz niespodzianek.
- Czasami nie lubię.
- Spotkanie z tobą w pociągu to najwspanialsza niespodzianka, jaka mi się przydarzyła od dłuższego czasu.
- Rozejrzył się wokół. - Trochę tu ponuro. Następnym razem zabiorę cię do jakiegoś wytworniejszego miejsca.
- Następnym razem? - powtórzyła.
- Będzie następny raz, prawda, Freddie?
- Mam nadzieję, że tak. - Usłyszała swoje słowa.
- Świetnie. - Poczęstował ją papierosem. - Niekiedy zupełnie nie mogę cię rozgryźć - powiedział.
- Co masz na myśli?



- Sądziłem, że jesteś taka jak inne, ale teraz nie jestem pewien.
- Jakie inne? Marcelle i jej przyjaciółki?

Kiwnął głową, zapalając papierosa.

- Trochę się pokłóciłyśmy z Marcelle - powiedziała.
- O co?

Wzruszyła ramionami.

- O różne rzeczy. Przyjaźniłyśmy się przez jakiś czas, ale teraz już nie. Kiedyś myślałam, że...

- Że co?

- Że umiem się dostosować do wszystkiego. Kiedy pierwszy raz przyjechałam do Anglii, do internatu, przez dwa tygodnie nie odezwałam się ani słowem. Patrzyłam tylko i słuchałam, aż w końcu się nauczyłam, co mam mówić. Ale chyba wyszłam z wprawy albo już mi na tym nie zależy. Jestem zmęczona, nie mam ochoty się wysilać, żeby powiedzieć to, co inni chcą usłyszeć.

Przyglądał jej się z zaciekawieniem.

- Nie urodziłaś się w Anglii?

- Nie, we Włoszech. Przyjechałam tu, kiedy miałam dwanaście lat. - Uśmiechnęła się lekko. - Przeżyłam lekki szok. Było mi strasznie zimno, a inne dziewczynki wydawały się takie... zwyczajne, jak sądzę, ale właśnie dlatego uważałam je za niezwykle. Miały rodziny z matką i ojcem,

mieszkały od urodzenia w jednym, tym samym domu, zamiast przenosić się z miejsca na miejsce.

- Dobry Boże.

- Co się stało?

Lewis powoli kręcił głową.

- Przez ostatnie parę godzin starałem się zachowywać najlepiej, jak potrafię, ubywałem swoje szkielety w szafie, a ty myślałaś pewnie, że jestem nudnym sztywniakiem.

Freddie się roześmiała.

- Nie, wcale nie. Masz jakieś szkielety?

- Jest parę. Mój wujek szmuglował broń do Irlandii, a jeden z moich przodków podobno uciekł ze statku w Szanghaju. Powinienem kiedyś pojechać i sprawdzić, czy nie kręcą się tam jacyś Corytonowie. Widzisz, Freddie, nie jestem towarem z górnej półki.

- Ja też nie. - Przyjemnie było odnaleźć podobieństwa z Lewisem.

- Czasem mi się wydaje - powiedział - że inne dziewczyny mają coś w rodzaju listy do odhaczania.

- Co masz na myśli?

- Takie jak Marcelle i jej koleżanki. Utytułowani rodzice - plus. Rozpadający się dwór w Wiltshire - plus. Portrety przodków - plus. Moja matka umarła, kiedy miałem dwa lata, ojciec zostawił ją rok wcześniej. Wychowały mnie trzy ciotki. Ciocia Florrie prowadziła pub w Bermondsey,

ciocia Lol była tancerką, a ciocia Kate nauczycielką - i do tego komunistką, a także pacyfistką. Krążyłem tak między ich domami - jechałem do cioci Florrie, kiedy ciocia Lol była na tournée i z powrotem do Kate, kiedy wujek Morton za często zaglądał do kieliszka.

- Którą najbardziej lubiłeś?

- Kate. U niej wszystko było na swoim miejscu. Nauczyła mnie czytać, chodziła ze mną do muzeów i galerii. Dopilnowała, żebym dostał stypendium. Bez niej byłbym nikim.

Freddie potrząsnęła głową.

- Nie mogę w to uwierzyć. Sprawiasz wrażenie niesamowicie energicznego człowieka, Lewis.

- Rzeczywiście, nie lubię tracić czasu. Tak czy owak, Kate umarła na zapalenie płuc, kiedy miałem szesnaście lat i byłem jeszcze w szkole. Powiedzieli mi o tym. Koszmar. Biedna stara ciocia Florrie umarła niedawno. Bomba zmiotła pub - ciocia była wtedy w schronie, ale później straciła energię, poddała się. A Lol wyjechała przed wojną do Ameryki. Czasem dostaję od niej listy.

- Lewis zgasił papierosa. - Zawsze się zastanawiam, ile jest nitok łączących ze sobą takich ludzi jak Marcelle i Jack. Oni mają chyba coś w rodzaju siatki asekuracyjnej.

- Przeszkadza ci to?

- Niespecjalnie. - Oparł się wygodnie, patrząc na nią.

- Zobaczmy, ile my mamy ze sobą wspólnego. Wymień trzy swoje ulubione filmy, Freddie.

Zmrużyła oczy.

- „Casablanca”... „Gaslight”, cudownie przerażający... aha, i „Now, Voyager”. Zabrakło mi chusteczek.

- Nie „Przeminęło z wiatrem”? Kobiety zawsze wymieniają „Przeminęło z wiatrem”.

- Scarlett jest zbyt narwana. Gdyby była moją przyjaciółką, strasznie by mnie męczyła.

- Teraz piosenki.

- To nie fair, teraz twoja kolej, Lewis. No dobrze, niech będzie. „Jealousy” - lubię tanga. I „Apple Blossom Time”.

Ckliwe, wiem, ale uwielbiam to. I jeszcze „As Time Goes By”.

- Dlatego że to z „Casablanki”?

- Właśnie. - Spojrzała w stronę pianina. - Szkoda, że nikt nie gra.

- Umiesz grać na pianinie?

- Raczej nie. A ty?

Lewis pokręcił przecząco głową.

- Ale ciocia Lol nauczyła mnie śpiewać. - Zaczął nucić, najpierw cicho, a potem głośniej, melodię „As Time Goes By”. Początkowo ludzie spoglądali na niego i rozmawiali dalej, ale po pewnym czasie jedna z

żołnierskich narzeczonych dołączyła się delikatnym sopranem do głębokiego barytonu Lewisa. Freddie patrzyła i słuchała, rozbawiona, lecz także odrobinę zawstydzona. Po chwili już większość obecnych w barze śpiewała razem z nimi. Freddie także przyłączyła się do chóru. Gdy Lewis wstał, kierując do niej słowa piosenki, zrozumiała, że właśnie się w nim zakochała, a rozsądek i ostrożność przestały się liczyć.

Kiedy śpiew umilkł, w barze rozbrzmiały oklaski. Lewis uklonił się, a Freddie odwróciła wzrok. Serce biło jej mocno, kręciło jej się w głowie, jakby brakowało powietrza.

Wstała z wysiłkiem.

- Musimy iść.

Wrócili na dworzec. Przed wejściem Lewis próbował wcisnąć jej banknot dziesięcioszylingowy.

- Proszę, weź taksówkę.

Freddie odmówiła, wyjaśniając, że może pojechać autobusem.

- Weź to, Freddie. To moja wina, że jeszcze nie jesteś w domu. Jeżeli nie weźmiesz, będę nalegał, żeby cię odprowadzić, a wtedy na pewno przyjdzie mi obierać ziemniaki. - Po chwili dodał: - To był wspaniały wieczór. Dziękuję.

I kiedy tak stali, jak skała opływana z obu stron przez strumień nocnych pasażerów, pocałował ją nagle. Jego usta były chłodne, a dłonie delikatnie dotykały jej pleców; znowu ogarnęło ją rozkoszne uczucie zapadania się w otchłań.

## Rozdział 13

### Pierwsza szóstka uciekinierów ze zbombardowanej

Genui przyjechała wiosną. Były to dzieci w wieku od czterech do jedenastu lat. Zawszone, w podartych, brudnych łachmanach, miały skórę pokrytą krostami i czyrakami. Tessa i Faustina wykąpały dzieciaki, znalazły dla nich czyste ubrania, opatrzyły skaleczenia i rany. Ogoliły główki najbardziej zawszonym, a zmatowiałe włosy pozostałych wyczesaly gęstym grzebieniem. Później dzieci dostały chleb i mleko. Po posiłku zostały umieszczone w obszernym pokoju willi, przerobionym na sypialnię. Pierwszej nocy płakały przed zaśnięciem.

W trzy tygodnie później przyjechała następna dziesiątka i dwie matki z niemowlętami. Wśród dzieci był mniej więcej sześciolatek chłopczyk o imieniu Tommaso. Jego włosy jakby się poruszały - roilo się w nich od wszy. Tommaso jadł niczym dzikie zwierzątko, wpychał sobie jedzenie do ust obiema rękami, rozglądając się przy tym ukradkiem na boki, jakby się bał, że ktoś odbierze mu kolację. Rany na jego buzi nie mogły się zagoić, bo wciąż rozdrapywał strupy. Nie mówił; Tessa pamiętała Perlitę i jej tydzień milczenia, ale Tommaso nie był do niej podobny. Nie płakał jak inne dzieci, a zamiast uśmiechu wyszczerzał zęby w grymasie. Jedynym dźwiękiem, jaki wydawał, był dziwny skowyt. W szkole nie brał udziału w lekcjach razem z innymi dziećmi, tylko skubał strup nad brwią, od czasu do czasu żałośnie zawodząc. Kiedy ktoś podchodził do niego zbyt blisko, Tommaso próbował go ugryźć w nagłym, szybkim ataku, jak jaszczurka chwytająca muchę językiem.

Lina, młoda nauczycielka, która eskortowała dzieci z Neapolu do Villa di Belcanto, powiedziała, że Tommaso nie powinien przebywać w klasie, zanim się nie przyzwyczai, ponieważ jego obecność denerwuje innych uczniów. Tessa, choć niechętnie, zmuszona była się zgodzić. Od tej pory Tommaso spędzał większość czasu w pralni pod czujnym okiem pracujących tam matek i babć. Lubił, jak zabierały go do ogrodu w wiklinowym koszu na kółkach, w którym przewożono pranie do rozwieszenia. Czasem, kiedy wózek jechał szybciej, Tommaso wydawał osobliwe, nosowe odgłosy, przypominające śmiech, jeszcze bardziej niepokojące niż wycie. Najgorsze, jak powiedziała Tessa do Faustiny pewnego wieczoru, że nie wiedziały, jaki był Tommaso przed nalotami. Czy wychowywali go kochający rodzice, czy może był bity? Jego rodzina przypuszczalnie zginęła podczas nalotu, bo znaleziono go wędrującego samotnie zrujnowanymi ulicami Neapolu. Nawet imię malca nie było prawdziwe - nadały mu je siostry miłosierdzia, które przygarnęły go i nakarmiły przed wysłaniem razem z Liną i innymi dziećmi na względnie bezpieczną prowincję.

W pogodne wieczory Tessa często zabierała chłopca na przejażdżkę w wiklinowym koszu. Pchała go po trawie, a Tommaso śmiał się tym swoim niepokojącym śmiechem, ona zaś opowiadała mu o wszystkim, co widzieli. Jeżeli coś go przestraszyło - szczekanie psa albo jakiś hałas - uciekał z kosza i chował się w bukszpanowym żywopłocie. Zrobił sobie coś w rodzaju gniazda z suchych liści oraz gałązek i przynosił tam różne rzeczy - zardzewiałą puszkę pełną deszczówki, postrzępiony kawałek starego koca, skórkę chleba. Pewnego wieczoru odmówił wyjścia ze swego ukrycia, zaniepokojony warkotem wojskowej ciężarówki dochodzącym z pobliskiej

szosy. Tessa siedziała na trawie obok żywopłotu aż do zmroku, a kiedy malec zasnął, wzięła go na ręce i zaniósła do domu.

Doktor Berardi powiedział Tessie, że chłopiec jest imbecylem i powinien zostać umieszczony w domu opieki. Tessa odpowiedziała doktorowi, że to nie Tommaso, tylko on jest imbecylem.

- Gdyby zabrano wszystko, co było panu bliskie, gdyby grzebał pan w gruzach w poszukiwaniu jedzenia, gdyby musiał pan spać samotnie pod gołym niebem przez wiele nocy - też chciałby pan schować się w jakiejś małej dziurze, gdzie czułby się pan bezpieczny. I prawdopodobnie też pochłaniałby pan kolację najszybciej jak to możliwe, bo bałby się pan, że inni zabiorą jedzenie - powiedziała.

Tessa nie potrafiła zrezygnować z Tommasa, musiała tylko znaleźć właściwą drogę, by do niego dotrzeć.

Tego lata, po zwycięstwie w Afryce Północnej, alianci skierowali się w stronę Włoch, wykorzystując wyspy Pantelleria oraz Sycylia jako bazy lotnicze i most przez Morze Śródziemne. Na Sycylii nadal toczyły się zaciekle walki, kiedy radio podało wiadomość o upadku Mussoliniego, obalonego po spotkaniu Wielkiej Rady Faszystowskiej. Marszałek Badoglio, bohater pierwszej wojny światowej, powołał rząd; rozwiązano faszystowską milicję i wprowadzono stan wyjątkowy.

W majątku Belcanto pochowano słoje oliwek i szynki w kryjówkach, zbudowanych wcześniej w piwnicach i na strychach. Zapasy ukryto też w specjalnie wykopanych jamach. W najbardziej oddalonych budynkach gospodarskich ulokowano odzież i obuwie. Bardzo trudno było kupić ubranie i nici - czasami Olivii i Faustynie udawało się znaleźć kilka



używanych rzeczy na targu we Florencji - ale buty były praktycznie nie do zdobycia. Kobiety robiły pieluszki dla niemowląt ze starych prześcieradeł i ręczników, a z zasłon szyły koszule i sukienki dla dzieci.

Okazało się, że nie można już kupić wełny na swetry, więc przędły same. Niektóre, starsze, miały jeszcze małe kołowrotki albo wrzeciona i przędły na nich nieustannie, wędrując od gospodarstwa do gospodarstwa. Jedna z nich, staruszka o półtorej głowy niższa od Tessy, z twarzą pomarszczoną jak skorupka migdała, nauczyła ją prząść. Tessa odkryła coś hipnotycznego w wirującej szpulce i puszystej, grudkowatej owczej wełnie, zwijanej w nić.

Od czasu do czasu nad willą przelatywały alianckie samoloty. Niektóre dzieci z zachwytem spoglądały w górę, ale Tommaso chował się ze skowytem w żywopłocie. Z dala słychać było stłumione wybuchy bomb, lecz żadna z nich nie spadła na majątek Belcanto.

Po powrocie z Florencji pewnego upalnego letniego wieczoru Faustina odsunęła z twarzy kosmyki cienkich włosów i opadła na fotel. Dół jej sukienki był biały od kurzu.

- To wszystko robi się takie męczące - powiedziała.

- Skąd mamy wiedzieć, żyjąc tutaj, co jest prawdą, a co kłamstwem? Skąd mamy wiedzieć, co naprawdę się dzieje?

Tessa naląła zimnego białego wina do dwóch kieliszków i podała jeden Faustynie.

- Jak było we Florencji?

- Niedobrze. Wygląda na to, że wszystko się może zdarzyć. Parę dni temu doszło do zamieszek. Maddalena nie wychodzi z domu, jeśli nie musi.

- Co u niej słyhać?

- Czuje się dobrze, Luciella też. Ale jest zmartwiona. Jej ojciec się ukrywa. Ucieszyła się, że przywiozłam jedzenie.

- Faustina pogrzebała w kieszeni i wydobyla pognieciony kawałek papieru, który wręczyła Tessie. - Alianckie samoloty zrzucają to na miasta.

Tessa odczytała na głos tytuł ulotki: „Niemcy precz

- albo ogień i żelazo”.

- Gdyby to było takie proste, pożegnać jedną armię i przywitać nową! - Faustina prychnęła pogardliwie. - Och, te włosy! - Poirytowana, znowu odsunęła opadające kosmyki z oczu. - Obetnę je i koniec - powiedziała gniewnie, po czym wyszperała w torebce nożyczki do paznokci.

- Faustino, tak nie można.

- Naprawdę? To patrz. Mam długie włosy tylko dlatego, że zdaniem matki to odpowiednia fryzura dla niezamężnych dziewcząt. Tak staroświeckie, że aż śmieszne. Powinnam była to zrobić dawno temu. - Zaczęła odcinać włosy nożyczkami.

- Jeżeli naprawdę chcesz mieć krótkie włosy, to pozwól, że ja to zrobię - zaproponowała Tessa, wyciągając rękę po nożyczki. - Ale nie tym.

- Co to za różnica? Najlepiej, jak je zgołę, tak jak robimy z dziećmi, kiedy złapią wszy.

Tessa przyniosła grzebień i swoje krawieckie nożyczki o długich ostrzach. Idąc przez długie, chłodne korytarze willi do pokoju, myślała o ulotce, którą pokazała jej Faustina. „Niemcy precz - albo ogień i żelazo”. Bombardowania Turynu, Genui i wielu innych włoskich miast były aż nadto jaskrawym przykładem tego, co można zdziałać ogniem i żelazem.

Kazała Faustynie usiąść na stołku i rozczesała jej włosy.

- Możesz je ściąć tak krótko, jak chcesz - powiedziała tamta.
- Obetnę je tak, żebyś ładnie wyglądała. Opowiedz mi, co jeszcze usłyszałaś we Florencji.
- Dużo pogłosek, że doszło do zamachu stanu, że komuniści mordują faszystów w tym czy innym mieście, że Hitler popełnił samobójstwo. O, to akurat byłoby dobre.

Faustina potrząsnęła głową.

- Nie ruszaj się, bo będziesz miała włosy krótsze z jednej strony - upomniała ją Tessa.
- Nie szkodzi.
- Oczywiście, że szkodzi. Kiedy skończę, będziesz wyglądała prześlicznie. Nieładnie ci z włosami zebranymi do tyłu, masz za wysokie czoło.
- To dlatego, że jestem taka bystra - zażartowała Faustina. - Ale z ciebie optymistka, Tesso. Nie sądzę, że inne uczesanie może coś zmienić.

Tessa zręcznie operowała grzebieniem i nożyczkami.

- Masz jeszcze jakieś wieści?

- Poszłam do szpitala po ligninę i bandaże. Słyszałam tam, jak ludzie mówili, że alianci mają wylądować na wybrzeżu Toskanii. Absolutna bzdura, to jasne. Dlaczego mieliby płynąć aż do Toskanii, skoro wystarczy tylko przepłynąć Cieśninę Mesyńską? A Guido...

- Guido? - Nożyczki Tessy znieruchomiały.

Kiedy rana na nodze się zagoiła, Guido nie wrócił do Afryki Północnej; stacjonował w szkole wojskowej w Bolonii.

- Maddalena dostała od niego list, pozwoliła mi go przeczytać.

- Co u niego słychać? Jak się miewa?

- Pisał, że dobrze. Ma już dość, ale znasz go, nigdy nie potrafił usiedzieć spokojnie. - Faustina przesunęła palcami po włosach, wstała i spojrzała w lustro. - Och... Tesso, dziękuję ci!

Krótkie, puszyste włosy okalały jej twarz, łagodząc ostre rysy.

- Fryzura na chłopczycę jest teraz bardzo modna - powiedziała Tessa.

Faustina odwróciła się do niej. Jej uśmiech zbladł.

- We Florencji mówią, że Badoglio zwlekał zbyt długo i powinien był dogadać się z aliantami parę tygodni temu. Pytają, co zamierza uczynić rząd, kiedy alianci wylądują na półwyspie, czy będzie ogłoszony rozejm, a jeśli tak, to co wtedy zrobią Niemcy. W szpitalu rozmawiałam z jednym z chirurgów. Powiedział mi, że oddziały niemieckie wkraczają do Włoch od północy. Wiesz, co to znaczy, prawda? Szykują się do walki o każdy centymetr włoskiej ziemi.

Nie było gazet, nie działała poczta. Część linii telefonicznych została odcięta. Podróżowanie pociągiem stało się praktycznie niemożliwe, a w poprzek dróg ustawiono barykady.

Po upadku Sycylii pod koniec sierpnia oddziały alianckie wylądowały w Reggio, u wybrzeży Kalabrii. Pięć dni później, po południu ósmego sierpnia, ogłoszono zawieszenie broni. Tej nocy we wszystkich domach i gospodarstwach majątku Belcanto radośnie świętowano, pijąc i śpiewając przy ogniskach.

Zakopali zapasy benzyny w sadzie i pozdejmowali opony ze starej, wielkiej alfy, którą niegdyś jeździł ojciec Olivii. Nic to nie dało - w kilka dni po ogłoszeniu kapitulacji oddziały niemieckie weszły do willi i zarekwirowały auto. Kapitan był uprzejmy, lecz nieugięty - nie szkodzi, że nie ma opon, znajdą się jakieś inne. Następnego dnia dwaj żołnierze przywieźli opony, benzynę i zabrali samochód.

Nadzieja osłabła. BBC i radio szwajcarskie podawały niewesołe wiadomości. Wczesną jesienią, przy pięknej pogodzie, kolumny niemieckich czołgów i wozów opancerzonych sunęły po wiejskich drogach na południe, ku przyczółkom alianckim pod Neapolem. Nie posyła się wojsk tam, gdzie nie planuje się walki.

Dziesiątego września armia niemiecka wkroczyła do Rzymu. Okupacja została przyjęta bez sprzeciwu. Niemcy zajęli inne miasta w północnych i środkowych Włoszech, a dwunastego września Mussolini został uwolniony po brawurowej akcji niemieckich spadochroniarzy. Trzy dni później ogłosił powrót do władzy i powołał faszystowski rząd w Salo nad jeziorem Garda.

Na cichych drogach majątku Belcanto pojawili się obcy ludzie. Pukali do willi i gospodarstw, prosząc o jedzenie, odzież i miejsce do spania. Włoscy żołnierze, na wieść o zawieszeniu broni, a po późniejszym nakazie stawienia się w niemieckiej kwaterze głównej, niszczyli mundury i wszelkimi możliwymi sposobami starali się wrócić do swych domów. Wśród nich znaleźli się także aliancy jeńcy, zbiegli z obozów w obawie przed wywiezieniem do Niemiec i zmierzający w stronę linii alianckich na południu. W lasach roiło się od uciekinierów. Od czasu do czasu czyjś mąż lub syn, przebywający dotąd we Francji albo Jugosławii, zjawiał się w którymś z gospodarstw. Angielski więzień w znoszonym chłopskim ubraniu przekopywał ogród albo wybierał kamienie z pola w zamian za żywność i nocleg. Rozchodziły się plotki o brytyjskich jeńcach zastrzelonych podczas prób ucieczki czy o włoskich żołnierzach, którzy nie zdążyli na czas wyjść z baraków - zostali za karę załadowani do ciężarówek i wywiezieni na północ do nieznanych miejsc.

Nikt w willi nie wiedział nic o losie Guida i Sandra.

Pewnego ranka do drzwi szpitala zapukał australijski jeńiec. Nazywał się Sam Robbins, miał wysoką gorączkę. Rozszarpał sobie bok drutem kolczastym, kiedy przechodził przez zasieki otaczające obóz. Faustina oczyściła i zabandażowała ranę, a potem przygotowały dla niego łóżko na najwyższym piętrze willi.

Obywatele włoscy byli zobowiązani powiadomić o jeńcach najbliższy posterunek niemiecki w ciągu dwudziestu czterech godzin. Ci, którzy tego nie zrobili, stawali przed sądem wojennym. Pewnego razu, gdy Sam

gorączkował i czuł się bardzo źle, Tessa pomagała signore Zanetti prześcielić jego łóżko. Usłyszała, jak Sam pyta Ołivię:

- Dlaczego pani to robi? Dlaczego? Przecież mogą was zabić.

Olivia wygładziła szeroki, haftowany brzeg poduszki.

- Robię to dla czyjegoś syna - powiedziała. - Robię to, bo modłę się, żeby jakaś inna matka pomogła mojemu.

Szedł jednym z traktów przecinających szosę wiodącą w kierunku willi. Był wysoki i smukły, opalony na czerwono, a z nosa schodziła mu skóra. Miał na sobie połatany, znoszony płaszcz, wysokie buty i wystrzępione spodnie. Mógł być dezerterskim lub zbiegłym więźniem... albo faszystowskim szpiegiem.

Nagle się zatrzymał.

- Witaj, Tesso.

Zamarła. Jasnowłosego uśmiechniętego mężczyznę szedł w jej stronę, wyciągając rękę.

- Desmond Fitzgerald - powiedział. - Kolega Paddy'ego, pamiętasz?

Desmond Fitzgerald... kolega Paddy'ego...

- Mirabelle! - wykrzyknęła Tessa. Zakryła usta dłonią. - Ile to już lat... Julian o mało nie pobił się z Maksem...

- Straciłem fortunę na jakąś jędzę. - W głosie Desmonda brzmiała nostalgia. - Potem poszedłem na urodziny chłopaka mojej siostry, jakiś

bałwan przewrócił piramidę z kieliszków do szampana i szkło rozcięło mi stopę. Utykałem przez parę tygodni. To był doprawdy cudowny wieczór.

Tessa objęła go i serdecznie uścisnęła.

- Cudownie cię widzieć. Co ty tu w ogóle robisz, Desmond?
- Uciekam. - Sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie. - A ty?
- Mieszkam tutaj - odpowiedziała.

Zapytała, czy nie miałby ochoty na śniadanie. Przyjął zaproszenie z wdzięcznością - był wygłodzony, nie jadł od dwudziestu czterech godzin. Ruszyli w stronę domu, a Desmond opowiedział Tessie swoją historię. Służył jako porucznik w pułku kawalerii i dostał się do niewoli w Tobruku ponad rok temu. Po przewiezieniu do Włoch wylądował w obozie jenieckim gdzieś między Bolonią a Florencją.

- Nie najgorsze miejsce - stwierdził filozoficznie.
- Niektórzy strażnicy byli porządni, ale jedzenie paskudne, chociaż nie aż tak jak w szkole.

Dzień po ogłoszeniu zawieszenia broni strażnicy ostrzegli jeńców, że obóz mają przejąć Niemcy.

- Zrobiliśmy więc dziurę w zasiekach i nawialiśmy
- zakończył Desmond. - Żaden z nas nie miał ochoty przesiedzieć reszty wojny w Rzeszy.

Niektórzy uciekinierzy z ich grupy następnego dnia zostali schwytani, ale on z kolegą wciąż szli na południe, próbując się dostać do linii



alianckich. Kiedy schodzili ze stromego zbocza, towarzysz Desmonda skręcił nogę w kostce, a chociaż starał się iść dalej, używając kija jako kuli, ostatecznie się rozstali, a chory ukrył się na farmie.

Desmond został sam. Miał trochę szczęścia, bo cały poranek przedrzemał na wozie z sianem, toczącym się po polnych drogach. Głównie jednak szedł, wybierając raczej ścieżki niż szosy i śpiąc w stodołach lub wiejskich domach, gdzie oferowano mu jedzenie, wino i nocleg. Na niektórych farmach pracował po kilka dni, a przed odejściem gospodarze zawsze polecali mu bezpieczną trasę i schronienie na następną noc. „Stary taki-a-taki jest podłym dziadem i pewnie poczęstuje cię swoim najpodszybszym winem, ale jego żona wspaniale gotuje. Trzymaj się z dala od tego czy tamtego gospodarstwa, bo właściciele mają kumpli wśród fascisti”. Parę razy udało mu się uciec - poprzedniego dnia wskoczył do rzeki tuż przed nadejściem kolumny niemieckich żołnierzy.

- Na prowincji jest ich pełno - powiedział. - Są niemal wszędzie.

Tessa od czasu do czasu spoglądała na niego, nie mogąc uwierzyć, że Desmond Fitzgerald idzie obok niej. Stanowił mały fragment jej dawnego, londyńskiego życia, które teraz, po tych kilku latach pobytu we Włoszech, stawało się coraz bardziej odległe.

Desmond chyba czuł to samo. Uśmiechnął się i wolno pokręcił głową.

- Ciągle nie mogę uwierzyć. Tessa Nicolson w tych cholernych Włoszech. Od jak dawna tu jesteś?

Powiedziała mu. Dochodzili już do willi. Tessa zauważyła, że Desmond spochmurniał.

- Co się stało? - zapytała.
- To pewnie nie słyszałaś o biednym Paddym.

Serce jej zamarło. Pokręciła przecząco głową.

- Został zestrzelony w bitwie o Anglię. We wrześniu czterdziestego roku. Trafili jego samolot i spadł do morza.

- Desmond zdrapywał łuszczącą się skórę z grzbietu nosa.

- Przykro mi. Nienawidzę przynosić takich kiepskich wiadomości. Na szczęście chyba szybko to poszło.

Och, Paddy, pomyślała. Przypomniała sobie, jak zabrał ją swoim samolotem do Paryża i jak krzyczała z radości, kiedy podskakiwali na pasie lotniska, lądując w Le Bourget. Pamiętała ambicję Paddy'ego, jego radość życia i porywczosć. Przypomniała sobie teraz proszony obiad, który zepsuł, gdy po pijanemu robił sobie żarty z gości, oraz bójkę w pubie. Jego wesołe okrzyki, gdy jechał z dużą szybkością po pustej szosie, i nieoczekiwaną delikatność, kiedy się kochali.

Tak właśnie jest z uciezkami. Człowiek traci kontakt. Co się stało z jej innymi angielskimi przyjaciółmi? Chociaż rozum podpowiadał Tessie, że ich życie musiało ulec zmianie, wołała ich sobie wyobrazać takich jak dawniej, nietkniętych upływem czasu. Siedziała zamknięta w swoim świecie i o niczym nie wiedziała. Wszystko mogło się zdarzyć.

W kuchni naszykowała Desmondowi jedzenie. Kiedy parzyła kawę, zapytała go o pozostałych - Raya, Maksa, Juliana i oczywiście Freddie. Nie

potrafił jednak niczego o nich powiedzieć. Obracali się w innych kręgach, ich drogi rzadko się przecinały.

Mieli jednak kilkoro wspólnych znajomych. Ktoś poległ pod Dunkierką, pewna modelka zginęła razem z małą córeczką podczas bombardowania Londynu. Sam Londyn też się zmienił, chociaż nadal można się tam było dobrze bawić.

Potem rozmawiali o wojnie.

- Boję się, że przed nami jeszcze długa i ciężka droga. Idzie zima, będzie jeszcze trudniej - powiedział Desmond.

Miał zamiar wyruszyć nazajutrz rano. Musi się pośpieszyć, jeśli chce dotrzeć do linii aliantów. Im dłużej to trwa, tym więcej wrogich oddziałów znajdzie się na południu, a wtedy trudno będzie się przedostać.

- Nie mogę znieść myśli o powrocie do obozu jenieckiego - dodał. - Od kiedy uciekłem, jest mi ciężko, ale nie masz pojęcia, jak cudownie znowu być wolnym. Przez ostatnie tygodnie ludzie okazywali mi ogromną życzliwość. Mój włoski jest strasznie kiepski, oni nie rozumieją angielskiego, a po większości gospodarstw widać, że ludziom się nie przelewa. Nie znali mnie ani trochę, a mimo to wpuszczali do domów, karmili i ukrywali. Niewiarygodne. - Desmond pokręcił głową. - Po prostu niewiarygodne.

Wyruszył następnego dnia o świcie. Jesienne powietrze było chłodniejsze; drzewa na wzgórzach połyskiwały miedzią i złotem. Tessa ucałowała go i życzyła mu powodzenia. Kiedy dotarł na skraj lasu, odwrócił się i pomachał jej na pożegnanie. Potem zniknął wśród drzew.

Tydzień później ktoś przyniósł do willi list. Na kawałku papieru nagryzmołono parę zdań i adres majątku. List został wyrzucony z okna pociągu, a później przechodził z rąk do rąk, aż po długiej i trudnej podróży trafił w końcu z północnych Włoch do Toskanii.

To była wiadomość od Sandra. Po odmowie wstąpienia do faszystowskiej armii został uwięziony. List napisał w pociągu, wiozącym go w nieznanym kierunku. Czuje się dobrze i przesyła ucałowania dla wszystkich.

Nadszedł kolejny list, tym razem od Maddaleny. Towarzysz Guida z wojska odwiedził ją we Florencji. Powiedział, że po zawieszeniu broni Guido opuścił baraki w Bolonii. Nikt nie wiedział, dokąd się udał i nikt go od tamtej pory nie widział ani nie miał od niego żadnych wieści. Maddalena zamierzała wyjechać z córeczką na północ i zatrzymać się u ciotki w Rimini. Bała się zostać we Florencji bez ojca i Guida. Pisała, że potrzebuje towarzystwa. Jest zmęczona samotnością.

Pociąg Lewisa był spóźniony o ponad dwie godziny. Dwaj mali chłopcy siedzący obok Freddie w poczekalni kopali się nawzajem, wydając za każdym razem dzikie wrzaski. Ich matka zwróciła się do Freddie:

- Jeżeli ten cholerny pociąg wkrótce nie przyjedzie, w końcu ich uduszę. Gilbert! Brian! Przestańcie! - Uderzyła obu chłopców po nogach. - Chcecie, żebym powiedziała tacie, że byliście niegrzeczni? Naprawdę chcecie?

Z megafonów rozległ się niewyraźny bełkot i Freddie wyszła na zewnątrz, by posłuchać. Gdy tylko zobaczyła Lewisa w tłumie przechodzącym przez bramkę biletową, pobiegła ku niemu. Wyczuła jego

zniecierpliwienie, gdy rzucił okiem na zegarek i machnął biletem przed nosem kontrolera.

- Przepraszam! - wykrzyknął na jej widok. - Przepraszam, że musiałaś tak długo czekać, Freddie. Diabelne pociągi!

- Nie szkodzi.

Pocałowali się. Potem jakiś żołnierz potrącił Freddie, uderzając ją w plecy niedbale zwisającym plecakiem. Lewis warknął na niego; żołnierz wymamrotał przeprosiny.

- Nic ci nie jest, Freddie?

- W porządku.

- Głupi bałwan.

- Naprawdę wszystko w porządku. Och, jak dobrze cię znowu widzieć!

- Wyglądasz tak pięknie.

- Jesteś bardzo szarmancki, Lewis. Skończyła mi się szminka i nie mogłam znaleźć ani jednej pary całych pończoch.

- Nie znoszę, kiedy dziewczyna ma twarz wypacykowaną szminką i pudrem.

Ten komentarz ją zirytował. Mężczyźni mówili tak, mając na myśli, że nie lubią, kiedy dziewczyny używają zbyt dużo szminki i pudru. Jeżeli po prostu wyglądały ładnie, żadnemu to nie przeszkadzało.

- Niewiele już zostało z poranka - powiedział, patrząc na zegarek.

Wyszli z dworca w zacinający deszcz, chłoszczący chodniki. Lewis był niepokieszony.

- Co za ohydna pogoda.

- Nie mamy na to wpływu, Lewis.

- Leje deszcz, a nie warto iść do galerii albo muzeum, bo i tak nic tam nie ma.

Freddie zaczynała czuć się niezręcznie. Nie tak wyobrażała sobie ich ponowne spotkanie. Czy zainteresowanie Lewisa nią było jedynie grą jej wyobraźni? Może tylko wymyśliła je sobie z powodu samotności i nudy?

Postanowiła od razu stawić temu czoło.

- Jesteś mną rozczarowany?

Odwrócił się do niej. Deszcz kapał z daszka jego czapki.

- Rozczarowany? Jak mógłbym?

- Ludzie nie zawsze okazują się tacy jak we wspomnieniach.

- Freddie, ty jesteś lepsza niż w moich wspomnieniach. Dlaczego tak mówisz? Czy ty tak o mnie myślisz?

-Nie, oczywiście że nie. Po prostu nie wyglądasz na szczególnie zadowolonego.

- Przepraszam - jęknął Lewis. - Przepraszam, że narzekam. Ta cholerna podróż trwała w nieskończoność, nie było wolnych miejsc, a ja tak chciałem w końcu być z tobą. - Wziął ją w ramiona i przytulił. - Jakże mógłbym czuć się teraz rozczarowany? Jesteś idealna. Pragnąłem, żeby ten dzień też okazał

się idealny. Freddie, odliczałem godziny. Chciałem, żeby pociąg przyjechał na czas, żeby niebo było niebieskie i czyste - nie żądałem chyba zbyt wiele.

Freddie pocałowała go w zmarznięty policzek.

- Nie winię cię za pogodę, Lewis.

Znaleźli kawiarnię na Euston Road. Zamówili kawę i Lewis zapytał Freddie o jej pracę. W ubiegłym miesiącu przeniesiono ją do fabryki w Slough, produkującej śmigła.

- Może być - odpowiedziała. Po chwili jednak dodała: - Brakuje mi moich koleżanek z Birmingham. Jednocześnie dobrze się mieszka w pensjonacie. Niektóre dziewczyny narzekają na pokoje, ale ja bardzo się cieszę, że nie muszę już tkwić w hotelu dla pracowników. To wielka ulga znowu mieć własny pokój.

- Jacy tam są ludzie?

- W porządku. - Wzruszyła ramionami.

- Och, chyba nie. - Kąciki ust Lewisa uniosły się w uśmiechu. - Coś jest nie tak, prawda?

- To zbyt nudne...

- Nie znudzisz mnie.

- Znudzę. Mężczyźni nie znoszą słuchać historii o babskich kłótniach. Nie rozumieją ich i uważają je za głupie.

- Jest mi obojętne, o czym mówisz. Cudownie jest po prostu słyszeć twój głos.

- Dobrze. Ale jeśli będziesz miał dosyć, powiedz mi. Jest u nas dziewczyna, której nikt nie lubi, nazywa się Shirley. Pracujemy w sześć w tym samym warsztacie. Kiedy idziemy do kina, nikt nigdy nie zaprasza Shirley.

- A co jest z nią nie tak?

- Po prostu jest dziwna. Chodzi o to, że gdyby się szarogęsiła albo była nieuprzejma, to pewnie ja też bym ją ignorowała. Ale nie w tym rzecz. Nigdy nie mówi tego, co trzeba, ma okropne ubrania i fatalną fryzurę. Inne dziewczyny nie chcą mieć z nią do czynienia i nienawidzę ich za to.

- To znaczy, że porozumiały się przeciwko niej? Podziwiam cię, Freddie. Przestrzegasz swoich zasad.

- Tak? - mruknęła. - Zastanawiam się, czyby ich nie odrzucić. Przez to wszystko to ja muszę siedzieć z Shirley na przerwie... i uwierz mi, Lewis, ta dziewczyna potrafi być naprawdę męcząca.

Wybuchnął śmiechem.

- Był taki chłopak na moim pierwszym statku. Nic mu nie wychodziło, a nasz porucznik lubił się znęcać i zamieniał jego życie w piekło. Żał mi było faceta, ale, mój Boże, sam się w to pakował. - Wyrżał przez okno. - Chyba trochę mniej pada. Wyjdziemy?

Złapali autobus na Oxford Street. U Selfridge'a Freddie szukała w dziale pasmanteryjnym guzików do płaszcza, ale żadne nie pasowały. Potem Lewis powiedział, że chce jej coś kupić. Odpowiedziała, że nie trzeba i o mały włos nie doszło do sprzeczki. W końcu zgodziła się na coś niewielkiego. Wiedziała, że to nieuprzejmie z jej strony, ale chociaż przeszli przez różne



działy, nie znaleźli nic ładnego, co znowu zirytowało Lewisa. Aby go udobruchać, zaproponowała, żeby poszli na lunch.

W restauracji spotkali znajomych Lewisa - oficera marynarki z Dartmouth z żoną, ładną kobietą o kręconych, brązowych włosach, spodziewającą się dziecka. Usiedli przy jednym stoliku, bo sala była zatłoczona. Rozmowa toczyła się głównie wokół marynarki wojennej i Freddie wróciła myślami do swojego przypadkowego spotkania z Lewisem w pociągu, trzy miesiące wcześniej. Lewis okazywał wtedy pewien rodzaj wrażliwości, co sprawiło, że spodobał jej się jeszcze bardziej. Teraz, kiedy widziała go w towarzystwie, zachowywał się tak jak inni pewni siebie młodzi mężczyźni, z którymi umawiała się przez ostatnie lata. Był przystojny, owszem, ale za bardzo chciał imponować, brylować, grać pierwsze skrzypce. Wyczuła, że on także nie może się skupić na rozmowie; co chwila przebiegał spojrzeniem po lokalu, a kiedy napotkał wzrok

Freddie, posłał jej swój przyjazny, krzepiący uśmiech. Może lepiej czuliby się tylko we dwoje, a może po prostu byli zbyt zmęczeni. Z przerażeniem pomyślała, jak mało o nim wie i jak wiele oczekiwań i nadziei pokładała w dzisiejszym dniu.

Po lunchu pożegnali się ze znajomymi Lewisa.

- Przepraszam za to - powiedział.
- Nie szkodzi.
- To miłe, że tak mówisz. - Pokręcił głową. - Chryste, to było trudne.
- Dlaczego?

- Kiedy poznałem Trevora w Dartmouth, był zaręczony z jakąś dziewczyną. A potem, parę lat temu, Clare powiedziała mi, że oświadczył się innej.

- Dwie narzeczone?

- A teraz żona. Nie mam pojęcia, czy Sally wie o innych. Cały czas się bałem, żeby czegoś nie palnąć.

Deszcz wciąż padał, więc poszli do kina na Leicester Square. Podczas filmu Lewis wziął za rękę Freddie, splatając jej palce ze swoimi. Siedząc obok niego w ciemności, przypomniała sobie, co ją w nim pociągało - pewna solidność, wrażenie, że pod maską pozornej beztroski jest konkretny i poważny. Pamiętała, jak obudziła się w pociągu z głową opartą o jego ramię. Było to niezwykle przyjemne i kojące zarazem. Spojrzała na niego, próbując dojrzeć w świetle padającym z ekranu, co w jego wyglądzie wydawało jej się tak atrakcyjne. Nie był przystojny jak Clark Gable, ale w jego rysach dostrzegała coś szelmowskiego, zmiennego; często się uśmiechał i miał wesoły błysk w oczach. Tak, to musiało być chyba to.

Wolała przy nim milczeć, niż rozmawiać. Była zmęczona i spięta, czuła się tak od dłuższego czasu. Wykańczały ją długie godziny spędzane w pracy i ciągłe problemy oraz ograniczenia, z którymi borykała się podczas wojny ludność cywilna. Freddie wiedziała, że kiedy jest zmęczona, staje się nieprzyjemna - nazbyt krytyczna i pochopna w ocenach. Sztywna, a nawet gorzej - sztywna i nadąsana.

Kiedy wyszli z kina, było już ciemno. Szli blisko siebie przez Charing Cross Road, a kiedy znowu się rozpadało, wstąpili do antykwariatu.

Lewis przerzucał kieszonkowe wydania kryminałów, a Freddie rozglądała się po półkach. Jej uwagę przyciągnęło nazwisko na grzbiecie jednej z książek, więc ją wyjęła. Obrazek na okładce niewątpliwie przedstawiał włoski pejzaż z czarno-zielonymi cyprysami na tle kobaltowego nieba. Tytuł książki brzmiał: „Dalekie, ciemne wzgórza”, a jej autor nazywał się Milo Rycroft.

Przez chwilę szukała w pamięci jego nazwiska. Później przypomniała sobie. Milo Rycroft był przyjacielem Tessy. Zapisała jego numer telefonu w notesie z adresami. Nie pojawił się na pogrzebie Angela, reprezentowała go żona. „Pomyślałam, że przyjdę... w jego imieniu” - tak to określiła. Jak ona się nazywała? Rebecca... tak. Rebecca Rycroft.

- Znalazłaś coś? - zapytał Lewis.

Freddie pokazała mu książkę.

- Moja siostra go знаła. - Obróciła książkę w dłoniach. - Milo Rycroft - powiedziała, po części do siebie. - O nim nie pomyślałam.

- O co ci chodzi?

Spojrzała mu w oczy, wysuwając podbródek.

- Marcelle pewnie opowiadała ci o Tessie?

- Coś tam wspominała. Mówiła, że twoja siostra urodziła dziecko, które niedługo potem umarło. Czemu pytasz? Sądzisz, że mam coś przeciwko temu?

- A masz?

- Nie, oczywiście że nie. - Sprawiał wrażenie urażonego. - Akceptacja czy też jej brak nie ma tu nic do rzeczy.

- Przepraszam. - Było jej wstyd, że zaczęła pochopnie wyciągać wnioski. - Wybacz mi, Lewis.

- Wyjątkowo okropna rzecz, jaka może się człowiekowi przydarzyć, o to mi chodziło.

Nieoczekiwanie łzy napłynęły jej do oczu i musiała zamrużyć, żeby się nie rozplakać. Poczowała, że Lewis gładzi ją po włosach; jego wargi musnęły jej usta.

Potem wyjął jej z rąk książkę, odwrócił ją i przebiegł wzrokiem po krótkim streszczeniu na skrzydełku obwoluty.

- Akcja toczy się w Toskanii - powiedział. - Tam mieszka twoja siostra, prawda?

- Tak. - Znowu była bliska płaczu. - Cały czas się o nią martwię. Ciągle o niej myślę, chociaż staram się zająć innymi sprawami.

- Jeżeli jest rozsądna... jeśli będzie siedziała cicho...

- Tessa nigdy nie była rozsądna. I obawiam się, że nigdy w życiu nawet przez myśl jej nie przeszło, żeby siedzieć cicho.

- Mówisz, jakbyś była na nią zła.

- Po prostu uciekła! - wybuchnęła Freddie. - Zostawiła mnie!

Lewis patrzył na nią uważnie.

- Biedna Freddie - powiedział i znowu ją pocałował. - Już wiem, co ci kupić. Wiem, gdzie będziemy mogli naprawdę porozmawiać.

Poszli na przystanek autobusowy.

- Nie jestem pewien, czy to miejsce ci się spodoba - powiedział. - Nie mam nawet pojęcia, czy jeszcze istnieje.

Kiedy byłem w szkole w Winchester i kończył się semestr, ciocia Kate wychodziła po mnie na stację, a potem zabierała mnie tam na lunch. To śmieszne miejsce.

Autobus zawiózł ich do Bloomsbury, niedaleko British Museum. Herbaciarnia znajdowała się w suterenie wysokiego domu, który podobnie jak większość budynków w Londynie wyglądał na zaniedbany. Drewniane podpory podtrzymywały frontowy ganek, kamienne schody wiodące w dół były popękane.

W salce ustawiono sześć stolików. Freddie zajęła miejsce, a Lewis skierował się ku ladzie. Ściany zastawione były półkami pełnymi książek. W środku znajdował się czarny emaliowany piecyk z wygiętą metalową rurą, a na ladzie stał rosyjski samowar. Wyposażenie lokalu zdradzało oznaki daleko posuniętego zniszczenia - skórzane obicia krzeseł były podarte, grzbiety wielu książek trzymały się na słowo honoru, a przez szpary wokół okien przeciekał deszcz.

Za kontuarem urzędowała starsza kobieta, ubrana w kilka dziurawych swetrów; siwe włosy miała upięte w niechlujny kok.

Lewis zamówił herbatę i przyniósł do stolika.

- Sonia jest komunistką - oznajmił, ruchem głowy wskazując kobietę w swetrach. - Jest zachwycona, że Wujek Joe jest teraz po tej samej stronie co my. Ciocia Kate i Sonia bardzo się przyjaźniły.

Rozejrzał się dookoła.

- Kiedy byłem dzieckiem, uważałem, że śmiesznie tu pachnie.

- Palonym drewnem i popiołem z papierosów.

- I parą, i wilgotną wełną. Co o tym myślisz? Podoba ci się tutaj?

Sięgnęła przez stół i ujęła rękę Lewisa.

- Bardzo mi się podoba. Mogłabym siedzieć godzinami, jest tu tak cudownie i ciepło.

- Cieszę się. Ile miałaś lat, kiedy zmarło dziecko twojej siostry?

- Osiemnaście.

- Więc sama byłaś jeszcze dzieckiem. To musiało być dla ciebie bardzo ciężkie przeżycie, stracić w ten sposób siostrzeńca.

Freddie uzmysłowiła sobie, że nikt jeszcze nigdy tak do niej nie powiedział. Lewis rozumiał, że ona również doznała straty.

- To było okropne - przyznała. - Najgorsze, że musiałam zająć się pogrzebem. Nie wiedziałam, czy robię wszystko tak jak trzeba, czy może Tessa wolałaby coś innego. Mam nadzieję, że już nigdy w życiu nie będę musiała zajmować się czymś tak strasznym.

Freddie od dłuższego czasu nie myślała o mężczyznach, z którymi wiązała się Tessa. Teraz jednak zastanowiła się nad wydarzeniami z

przeszłości. Nie przypominała sobie, żeby Milo Rycroft pojawiał się wśród tłumów gości odwiedzających mieszkanie Tessy, czy też w towarzystwie, z którym spotykała się na kolacjach w Ritzu lub Mirabelle. To odkrycie okazało się intrygujące. „Mówisz, jakbyś była na nią zła”, zauważył Lewis i miał rację. Była zła na Tessę za to, że ją opuściła i że nie zdradziła jej nazwiska ojca dziecka. Czuła się, jakby siostra potraktowała ją jak uczennicę, jak kogoś niegodnego zaufania. Tessa wyznała jej, że kocha ojca Angela. Freddie podejrzewała, że ta miłość pozostawiła po sobie zgliszcza. Spowodowała nawet, że oddaliły się od siebie.

- Przepraszam, jeśli dziś nie jestem w formie. Nie sypiam dobrze - powiedział nagle Lewis. Roześmiał się.

- Nikt nie śpi dobrze na statku - za dużo hałasu i ciągle przerywanie snu. Ale zazwyczaj udawało mi się złapać trzy, cztery godziny snu. Teraz nie mogę. Leżę i rozmyślam

O różnych rzeczach. Staram się myśleć o tobie, Freddie, ale czasami nawet to mi nie wychodzi. Przychodzą mi do głowy strzępy wspomnień - impreza w Dorchester, a potem, pamiętasz, tamto krótkie spotkanie w domu Marcelle.

I jeszcze ten wieczór w pociągu. Mam wrażenie, że nie jesteś przywiązana do żadnego konkretnego miejsca, że tak naprawdę nikogo nie potrzebujesz. Boję się, że mi się wymkniesz. A tego bym nie zniósł.

Mocno zacisnął jej dłonie w swoich. Freddie potrząsnęła głową.

- Nie mam zamiaru ci się wyślizgiwać, Lewis.

- Nie? - Uśmiechnął się blado. - To świetnie. Bo widzisz, Freddie, zakochałem się w tobie.

Od czasu do czasu Tessie wydawało się, że coś sobie przypomina. Jej wspomnienia jednak były jak puch dmuchawca, niesiony prądem powietrza, który wywołuje się, poruszając dłońmi, gdy chce się złapać fragment szarej kuli.

Te niby-wspomnienia pojawiały się z samego rana. Tessa otwierała oczy i wpatrywała się w błądy kwadrat zasłony, przez który przebijało światło dnia. Oczami wyobraźni widziała przed sobą długą, prostą szosę, szarą od deszczu. Coś zbliżało się z boku jezdni - flaga albo znak w kolorze niebieskim i pomarańczowym. Później obraz się rozmywał, a ona zamykała oczy i próbowała znów osiągnąć stan, sprzyjający powracaniu obrazów z przeszłości. Angelo się przeziębił, mówiła sobie. Nie mogła pracować i była brzydka pogoda. Trudno w taki deszcz wytrzymać w mieszkaniu z niemowlęciem, które płakało, bo nie mogło jeść. Max przyszedł ją odwiedzić, ale nie potrafiła sobie przypomnieć tej wizyty, pamiętała tylko, że później jej o tym powiedział.

Było to tak, jakby dostrzegała coś kątem oka. Jakiś błysk, odbłask, po którym z wolna formował się obraz. Tessa doszła do wniosku, że nie powinna się zastanawiać nad tym zbyt intensywnie, bo wspomnienie zniknie bezpowrotnie.

Zimą, kiedy śnieg pokrył ziemię grubą warstwą, codziennie po zapadnięciu zmroku Tessa schodziła do doliny. Miała na sobie futro po matce i kalosze, w rękach niosła dwa duże kosze. Krótko przycięte,



poskręcane pnie winorośli przebijały się przez gładką powierzchnię śniegu jak rzędy czarnych znaków, kropek czekających na połączenie kreską.

Dotarłszy do lasu, szła kawałek między drzewami i czekała. Wkrótce pokazywało się przytłumione światelko i rozlegał się chrzęst kroków. Potem któryś z mężczyzn - Desmond, Roy albo Chris - wychodził z ciemności. Wszyscy wyglądali jak zbóje, byli nieogoleni i mieli zmierzwione włosy, a ich ubranie składało się z warstw łachmanów i wszystkiego, co mogło dać trochę ciepła. Tessa podawała im jedzenie z koszyków, rozmawiali przez chwilę, po czym tamci z powrotem znikali w lesie, a ona wracała do willi.

Wojna toczyła się wszędzie, ale Tessa przypuszczała, że ta we Włoszech jest bardziej skomplikowana niż gdzie indziej. Wojna światowa i wojna domowa toczyły się w tym kraju jednocześnie. Oddziały alianckie usiłowały utrzymać przyczółek w Anzio, jednocześnie podejmując ostre walki, aby sforsować zaciekle bronioną linię Gustawa na południe od Rzymu. W lasach i górach powstawały grupy partyzantów, nieobliczalna zbieranina złożona z włoskich dezertersów i patriotów oraz jeńców alianckich, którzy od czasu do czasu chcieli postrzelać na chybił trafił do faszystowskiej milicji, wysadzić most albo urządzić zasadzkę na niemiecki konwój. Represje wobec partyzantów i ich rodzin były okrutne, a egzekucje wykonywano błyskawicznie.

Na zalesionych terenach majątku Belcanto ukrywało się ponad stu ludzi. Tessa знаła wielu z nich z nazwiska. Pochodzili z różnych krajów - Anglii, Kanady, Australii, Nowej Zelandii, Indii, Francji. Niektórzy, tak jak Desmond Fitzgerald, przynajmniej raz próbowali dotrzeć do linii aliantów,

musieli jednak zrezygnować. Desmond wrócił do Toskanii w połowie grudnia - został schwyty, ale znowu udało mu się uciec.

Na południe od Rzymu toczyły się zaciekle walki i coraz więcej uchodźców kierowało się na północ. Ich domy, miasta i wsie zostały zmiecione z powierzchni ziemi. Mężczyźni, kobiety i dzieci, głodni i wychudzeni, wśród nich wielu rannych i chorych, wszyscy umęczeni wyczerpaniem oraz niedostatkiem, przychodzili do gospodarstw i willi w poszukiwaniu żywności i schronienia. Signora Zanetti nigdy nie zamknęła przed nimi drzwi. Jednak zapasy zaczynały się kurczyć i Olivia obawiała się, jak wyznała Faustynie i Tessie, że będzie musiała wybierać pomiędzy karmieniem mieszkańców majątku a pomaganiem uchodźcom.

Do szpitala zgłaszali się jeńcy wojenni, dezercerzy i partyzanci. Rano rozlegało się ciche pukanie do drzwi albo Faustina, zajrzawszy do małego ogrodu za budynkiem, znajdowała tam rannego, chowającego się w cieniu kasztanowca. Opatrywały rannych i chorych, a potem starały się znaleźć im bezpieczne miejsce na czas rekonwalescencji. Pod koniec maja samoloty rozrzuciły ostrzegawcze ulotki, głoszące, że wszyscy udzielający pomocy lub schronienia partyzantom zostaną rozstrzelani. Domy, w których ukrywają się buntownicy, będą burzone.

Pewnego popołudnia Tessa szła do willi, wracając z jednego z gospodarstw. Jej trasa wiodła ścieżką wzdłuż pola. Kiedy zbliżała się do bramy, usłyszała trzaskanie drzwi samochodu i chrzęst butów na żwirze. Zatrzymała się w miejscu zasłoniętym wysokim żywopłotem. Ostrożnie postąpiła kilka kroków tam, gdzie mogła coś zobaczyć spomiędzy gałęzi. Dwa niemieckie opancerzone auta stały przed wejściem do willi; sześciu

żołnierzy szło przez frontowy dziedziniec. Jeden został przy pojazdach. Tessa widziała, jak zdjął furazerkę i, znudzony, podrapał się po głowie, po czym obrócił się i z podniesioną bronią stanął twarzą do żywopłotu.

Cofnęła się ostrożnie. W pobliżu biegła dróżka, prowadząca do doliny. Kiedy Tessa w pośpiechu oddalała się od żywopłotu, wydawało jej się, że czuje na sobie spojrzenie żołnierza. Dreszcz przebiegł jej po plecach.

Nie usłyszała jednak żadnych krzyków ani strzałów. Obejrzała się i zobaczyła, że ścieżka jest pusta. Szybko schowała się w kasztanowym zagajniku. Przypuszczała, że niemieccy żołnierze przeszukują willę. Być może do uszu władz dotarły pogłoski, że rodzina Zanettich sprzyja partyzantom albo że w Villa di Belcanto udziela się schronienia zbiegłym jeńcom. Wystarczyła jedna informacja, wydobyta za pomocą łapówki lub groźby. Dzięki Bogu, akurat teraz w willi nie było żadnych uciekinierów. Ale część ubrań wiszących w szafie Tessy miała angielskie metki, a za obluzowanym kaflem kominka schowany był jej notes z adresami zawierający angielskie nazwiska i list od Freddie, który dostała na początku 1941 roku. Jeśli ktokolwiek trochę poszpera, może odkryć, kim ona naprawdę jest. Wszyscy wiedzieli o ludziach zabranych z domów, oskarżonych o zdradę lub szpiegostwo i uwięzionych lub rozstrzelanych.

Nad jej głową, pomiędzy zielonymi liśćmi kasztanowców, przebłyskiwało szafirowe niebo. Słońce miejscami przebijało się przez korony drzew i tworzyło świetliste plamy na ziemi. Jeszcze nie tak dawno Tessie było obojętne, czy przeżyje. Teraz jednak odkryła w sobie niezwykłą chęć życia, potrzebę wolności, przetrwania tej wojny.

Dopiero po zmierzchu uznała, że może bezpiecznie wrócić do willi. Faustina czekała na nią na dziedzińcu. Powiedziała Tessie, że Niemcy ścigają trzech zbiegłych więźniów. Przeszukiwali wszystkie domy i gospodarstwa w okolicy.

W pokoju Tessa sprawdziła, czy notes leży w kryjówce. Był tam. Odetchnęła z ulgą i usiadła na brzegu łóżka. Nogi jej drżały; przycisnęła dłoń do ust.

Pomyślała o Guidzie. Czy został wzięty do niewoli? Jeśli tak, to dostałyby przecież wiadomość przez Czerwony Krzyż. A może ukrywał się w górach jak wielu innych włoskich żołnierzy? Przypomniała sobie tamtą wieczorną rozmowę na dziedzińcu późnym latem, żarliwość Guida, jego wiarę w lojalność i zasady. Teraz były to niebezpieczne ideały. Bardzo wielu ludzi traciło z ich powodu życie.

Oby żył, pomyślała, oby był bezpieczny. Proszę, oby jeszcze żył.

Zbliżał się front. Trzeba było się czymś zająć, chociaż roboty i tak nigdy nie brakowało. Dnie i noce przerywał warkot bombowców przelatujących nisko nad ziemią. Wzgórza i doliny zdawały się drgać od eksplozji. Myśliwce ostrzeliwały z karabinów maszynowych drogi, mosty i przejeżdżające samochody. Ze zburzonych domów lub płonących samolotów unosiły się w niebo kłęby dymu. Czasami na ziemię sływała srebrna kula spadochronu.

Gdy samoloty pojawiały się w pobliżu willi, zaganiano dzieci do piwnicy. W Belcanto było ich teraz dwadzieścioro, w tym sześciotygodniowa Cara, której matka umarła przy porodzie. Cara miała

zwyczaj zasypiać podczas karmienia. Tessa musiała ją budzić i łaskotać w stópki, żeby jadła dalej.

Kiedy spadały bomby, niektóre dzieci płakały i krzyczały, ale inne, przyzwyczajone do huków, kontynuowały zabawę, z rzadka spoglądając na niebo. Tessa pilnowała, żeby wziąć Tommasa za rączkę, gdy tylko rozlegał się niski pomruk bombowców. Nie chciała, żeby chłopiec pobiegł do swojej kryjówki w bukszpanowym żywopłocie.

W piwnicy Tessa starała się odwrócić uwagę maluchów, opowiadając im bajkę lub śpiewając z nimi. W kącie chłodnego pomieszczenia o kamiennych ścianach, oświetlonego płomykami świec, zalegały cienie, a jedyne okienko chroniła krata. Pewnego dnia, kiedy Tessa czytała dzieciom, poczuła, że ktoś kładzie jej głowę na kolanach. Spojrzała w dół i zobaczyła Tommasa. To jakiś cud, pomyślała, gładząc jego kędzierzawe włosy.

Piątego czerwca, dzień po zajęciu Rzymu przez aliantów.

To Faustina go znalazła, chociaż w pierwszej chwili go nie rozpoznała. Był zmierzch. Nietoperze unosiły się nad dachami w niespokojnym locie. Faustina właśnie miała wracać do domu, kiedy usłyszała pukanie do drzwi szpitala. Otworzywszy, usłyszała tupot uciekających stóp. Dwaj mężczyźni zniknęli za zakrętem drogi. Potem dojrzała trzeciego, skulonego na zakurzonym poboczu naprzeciwko budynku. Podchodząc doń, usłyszała płytki, rżący oddech.

- Już dobrze - powiedziała łagodnie. - Jesteś bezpieczny. Staraj się oddychać powoli, o tak, wdech i wydech, powoli, tak jest dobrze.

Potem odgarnęła mu z twarzy potargane czarne włosy i nagle sama wzięła głęboki wdech.

- Guido! - wykrzyknęła. - Och, Guido.

Zanieśli go do szpitala i rozcięli ubranie. Guido został postrzelony w bark, ale Faustina podejrzewała, że brat cierpi również na zapalenie płuc.

Rządca Stefano pojechał po doktora Berardiego. W oczekiwaniu na lekarza Faustina odwinęła prowizoryczny bandaż z rany Guida, mówiąc do niego jednocześnie:

- Cały ty, Guido. Zniknąłeś, nie powiedziawszy nikomu ani słowa. Mama się martwiła, ale ja wiedziałam, że w końcu się pojawisz. Oczywiście musiałeś zrobić dramatyczne wejście, i to akurat wtedy, kiedy miałam usiąść do kolacji. - Cień uśmiechu przemknął po napiętej twarzy rannego.

Lekarz wyjął kulę z jego ramienia i zaszył ranę. Potwierdził też przypuszczenia Faustiny co do zapalenia płuc. Dottore poprosił Faustinę i Olivię na bok. Jeżeli Guido przeżyje, powiedział, będzie potrzebował troskliwej opieki przez wiele tygodni. Spokój i odpoczynek są nieodzowne, aby wrócił do sił.

Pierwszej nocy czuwały przy nim w szpitalu. Wczesnym rankiem następnego dnia zawinęły go w koce, a Stefano z którymś z pracowników ostrożnie przenieśli rannego na wóz. Olivia pożegnała się z synem, a potem rządca wywiózł Faustinę, Tessę i Guida daleko od willi.

Poprzedniego wieczoru we trzy opracowały plan. Postanowiły ukryć Guida w gospodarstwie położonym na obrzeżach majątku. One same miały pełnić dwu-, trzydniowe dyżury przy rannym. Niewielki kamienny domek -

dwie izby oraz składzik na drewno oraz narzędzia - stał pusty od lat, ale był w dobrym stanie. Z jednej strony otaczał go las, z drugiej rozpościerała się szeroka dolina. Mało kto tamtędy przechodził. W razie konieczności las mógł zapewnić schronienie i kryjówkę.

Wóz zjechał z głównego traktu na trawiastą drogę, która niecały kilometr dalej zwężała się w ścieżkę. Guido leżał bez ruchu na wozie. Co jakiś czas Faustina kazała Stefanowi się zatrzymać, aby sprawdzić, jak się czuje ranny. Potem znów ruszali dalej, coraz wyżej i wyżej. Łąki usiane były kwiatami, powietrze stało się chłodniejsze. Wzgórze w oddali porastał gęsty, ciemnozielony las.

Wkrótce nawet ścieżka się skończyła i nic już nie wskazywało im kierunku.

Codziennie, od wczesnego poranka Tessa słyszała ptaki śpiewające w drzewach. Kiedy myła trawionego gorączką Guida i wycierała mu z czoła krople potu, głowę wypełniało jej ptasie ćwierkanie, szum drzew i szybkie, nierówne, oddechy rannego. Tessa chwyciła go za rękę i liczyła: wdech-raz-dwa-trzy, wydech-raz-dwa-trzy, dopóki jego oddech się nie uspokoił.

Kiedy gorączka ustąpiła, Guido spróbował się dowiedzieć, gdzie się znajduje. Zamrugał powiekami.

- Tessa? To ty? - Zamknął oczy, zanim zdążyła mu odpowiedzieć. Tessa pamiętała, jak czuła się w szpitalu po wypadku - nic nie było jasne, niczego nie rozumiała. Kości policzkowe Guida wyraźnie rysowały się pod skórą, bardzo wychudł. Na opalonym ciele widać było stare blizny. Oklepując mu plecy zgodnie ze wskazówkami Faustyny, czuła, jak jego klatka piersiowa unosi się i opada. Kiedy kaszał, przytrzymała mu kubek przy ustach, żeby

mógł wypić łyk wody. Był to inny rodzaj intymności, inny rodzaj znajomości - i Tessa uważała to za dar.

Sypiała na podłodze obok łóżka Guida. Trudno było właściwie nazwać to spaniem, skoro co chwila się budziła; kiedy zaczynał się przewracać z boku na bok lub jęczeć, kładła mu na czoło zimny okład i mówiła doń, dopóki się nie uspokoił. Pewnej nocy jego stan zdawał się pogarszać - oddychał płytko, a skóra stała się lepka od potu. Kiedy gorączka wzrosła, Tessa zanurzyła go w letniej wodzie. Pielęgnowała Guida z uporem i zaciekłością, nie dopuszczając do siebie myśli o klęsce. Nie zamierzała pozwolić mu umrzeć, nie zgodziłaby się, by odszedł. Przed nadejściem świtu temperatura spadła i ranny spokojnie zasnął.

Tessa czuła się nieswojo, zostawiając Guida z Faustyną lub Olivią. Gdy wracała do willi, życie w domu wydawało jej się mniej realne niż w tej opuszczonej wiejskiej chacie.

Któregoś dnia zobaczyła przez okno domku pasterza z owcami, które wyglądały jak chmurki dymu na zielonej trawie w dolinie. Kiedy indziej znów zauważyła dwie postaci wędrujące przez wzgórze; czarne sylwetki wyglądały niczym lalki wycięte z papieru. Oszacowała odległość pomiędzy domem a ścianą drzew i zastanowiła się, czy będzie miała dość siły, żeby podtrzymać Guida w drodze do lasu, by mogli się ukryć w gęstwinie. Dwie postaci poszły jednak dalej i zniknęły za szczytem wzgórza. Kiedy Tessa zyskała pewność, że nie wrócą, odeszła od okna i znowu usiadła przy łóżku.

Wielkie wydarzenia wojenne - upadek Rzymu i lądowanie aliantów w Normandii, wydawały się jej bardzo odległe. Zamiast tego, czuwając nocą



przy Guidzie, Tessa myślała o miłości, o tym, jak uczucie umiera albo też trwa pomimo oddalenia i nieporozumień. Miłość potrafi nadać wszystkiemu blask, tak jak księżyc i mróz tamtego wieczoru, gdy po raz pierwszy zobaczyła Mila; kiedy zaś czar pryska, czasami trudno przypomnieć sobie, dlaczego w ogóle tego kogoś się pokochało. W ostatnich latach, wspominając Mila, pamiętała tylko jego próżność, egoizm i zachłanność.

Niekiedy jednak miłość trwa, chociaż w miarę upływu czasu ulega przeobrażeniu. Tessa miała siedemnaście lat, kiedy zakochała się w Guidzie Zanettim. Wtedy uwielbiała go za to, że najszybciej pływał, skakał w ubraniu do basenu i patrzył na nią w taki sposób, że niemal omdlewała.

Siedząc teraz przy jego łóżku, zrozumiała, że nadal go kocha, mimo że czas i doświadczenie bardzo ją zmieniły. Dziś kochała go za zdecydowanie i odwagę, a także za jego bezradność. To zabawne, pomyślała, że uczucie może odżyć z powodu jednego pytającego spojrzenia.

- Tessa?

Stała przy oknie. Odwróciła się z uśmiechem.

- Witaj, Guido. Jak się czujesz?

- Lepiej.

Sprawiał wrażenie, jak gdyby nie rozumiał, co się stało, więc wyjaśniła:

- Byłeś ranny. Olivia, Faustina i ja opiekowałyśmy się tobą.

Spróbował się podnieść. Podeszła, żeby mu pomóc. Podparła plecy Guida poduszkami. Usiadła na brzegu łóżka i przyłożyła mu dłoń do czoła. Było chłodniejsze.

- Jak długo tu jestem?

- Tydzień.

Spojrzał na nią zaskoczony.

-Nie pamiętam...

- Dwóch kolegów przyniosło cię do szpitala.

Zmarszczył brwi.

- Dostałem?

- Tak, w bark. Rana dobrze się goi. - Nie chciała go męczyć rozmową. -  
Może spróbowałbyś coś zjeść?

- Dobrze.

Tessa podgrzała trochę zupy na piecyku naftowym, a potem karmiła Guida łyżką, po trochu.

Po kilku łykach pokręcił głową.

- Chryste... karmisz mnie jak niemowlę!

- Za dzień czy dwa będziesz mógł jeść sam, zobaczysz. - Odłożyła talerz i łyżkę. - Musisz tylko być cierpliwy.

Uśmiechnął się, a w kącikach jego oczu pokazały się zmarszczki.

- Wiesz, że cierpliwość nigdy nie była moją mocną stroną. - Nagle ścisnął ją za rękę. - Luciella... Maddalena... Co z nimi?

- Obie mają się dobrze, Guido. W zeszłym tygodniu Olivia dostała list od Maddaleny. Wszystko u nich w porządku.

- Dzięki Bogu. - Odetchnął z ulgą, zamykając oczy.

- Mieszkają teraz w Rimini.

- Rimini? - Jego powieki uniosły się błyskawicznie.

- Maddalena zabrała Luciellę do swojej ciotki. Myślała, że tam będzie bezpieczniej. Nie wolno ci się martwić. Jak tylko wydobrzejesz, możesz do nich napisać.

- Czy była na mnie bardzo zła?

- Nie wiem, Guido, ale jestem pewna, że Maddalena za tobą tęskni.

Zniżył głos.

- Opuszczając koszary, wiedziałem, że także ją porzucam.

Tessa uniosła talerz z zupą.

- Spróbuj zjeść jeszcze trochę. Im więcej będziesz jadł, tym szybciej odzyskasz siły.

Powiedziała mu o liście wyrzuconym przez Sandra z pociągu.

- Wiemy więc, że żyje - podsumowała.

- To znaczy, wiemy, że wtedy żył. - Guido wydawał się poirytowany. - Sandro nie był stworzony na żołnierza.

-A ty?

Próbował wzruszyć ramionami, ale skrzywił się z bólu.

- Na początku nie miałem zbyt wiele przeciwko temu. Potem mi obrzydło. Widzisz, lubię, jak wszystko jest jasne i proste, a wojna to przez większość czasu cholerny bałagan.

- Cii... - upomniała go łagodnie. - Staraj się o tym nie myśleć.

Guido spojrział w stronę okna.

- Kiedy byliśmy mali - powiedział już spokojnym tonem - bawiłem się w tych lasach razem z Sandrem. Kiedyś się zgubiliśmy. Moja babcia musiała wysłać ludzi na poszukiwania. Znaleźli nas dopiero po północy. Potem podrośliśmy i nauczyliśmy się każdego drzewa i ścieżki na pamięć, żeby móc po ciemku znaleźć drogę.

Położył się i zamknął oczy. Tessa wiedziała, że mogłaby narysować z pamięci zarys jego policzków i podbródka. Nakryła dłoń Guida swoją i obserwowała, jak jego klatka piersiowa wznosi się i opada.

- Kiedy opuściłem koszary - opowiadał Guido - z początku wmawiałem sobie, że to rozsądne. Chciałem ukryć się na wzgórzach i poczekać, aż sytuacja się wyklaruje. Ale w głębi serca wiedziałem, że im dłużej będę czekał, tym trudniej mi będzie dotrzeć na południe. Ostatecznie zostałem tam, gdzie byłem. Zacząłem spotykać takich jak ja, dezertków i rezerwistów unikających powołania do wojska. W końcu zebrali się nas kilkudziesięciu. W zimie doskwierał nam chłód. Zrobiliśmy sobie kryjówki, ale musieliśmy uważać z paleniem ognia, żeby nikt nie zauważył dymu, poza tym trudno było o suchy opał.

Uśmiechnął się do Tessy.

- Gdy padał śnieg, wyobrażałem sobie, że jestem tutaj, w Belcanto, jest lato i leżę sobie na trawie w słońcu, tak jak teraz. A potem, dzięki Bogu, w końcu nadeszła wiosna. Mieliśmy szczęście, bo udało nam się zdobyć skład amunicji, gdzie były materiały wybuchowe i broń. Dynamit przydał się do wysadzenia torów kolejowych, żeby zatrzymać pociągi z wojskiem. Po jakimś czasie przekonaliśmy się, że działanie w małych grupach jest o wiele skuteczniejsze. Zrobiliśmy zasadzkę na samochód ze sztabu, przewracaliśmy słupy linii telefonicznych. Nauczyliśmy się grzebać ciała tych, których zabiliśmy - represje zdarzały się rzadziej, jeśli nie odnaleziono zwłok. Ale potem zachorowałem. Miałem kaszel, który nie przechodził. Wszyscy byliśmy wykończeni i głodni. Nie chciałem być ciężarem dla innych. Stałem się zagrożeniem dla siebie i dla nich.

- A potem? Co się z tobą dalej działo, Guido?

- Ktoś zaproponował, żeby wysadzić most. Sprzeciwiałem się, bo ten most był dobrze strzeżony i nie mieliśmy dość broni, ale w końcu postanowiliśmy to zrobić. Wszystko źle się ułożyło. Tamci mieli dużą przewagę liczebną, nie było szans. Zostałem postrzelony w bark, kilku innych zabito, a resztę wzięto do niewoli, co oznaczało właściwie wyrok śmierci. Po tym zdarzeniu nie byliśmy już bezpieczni w górach, więc się rozdzieliliśmy. Paru znajomych pomogło mi się dostać na południe. Bez nich nigdy bym tu nie dotarł.

Guido milczał bardzo długo i Tessa pomyślała, że zasnął. Ale w końcu się odezwał:

- Mówiłem ci, że marzyłem, żeby się tu znaleźć. Miałem też inne marzenia. Przypominałem sobie tamtą noc, kiedy siedzieliśmy razem na

dziedzińcu willi i nadchodziła burza. Próbowałem sobie wyobrazić ciebie, dokładnie przypomnieć, jak wyglądałaś i co mówiłaś. Tylko że zawsze dodawałem inne zakończenie. W moich marzeniach nie odchodziłaś ode mnie, Tesso. Zostawałaś ze mną pod balkonem i obejmowaliśmy się, patrząc na deszcz.

Położyła się obok niego na łóżku. Jej serce dostosowało swój rytm do uderzeń jego serca. Zamknęła oczy, a miarowy oddech Guida stał się dla niej całym światem.

Faustina powiedziała, że płuca Guida są już czyste, a rana barku dobrze się zrasta. Guido mierzył stopień powrotu do sił odległością, którą mógł pokonać. Na początek dwa okrążenia wokół domu. Potem musiał wejść do środka i położyć się, bo serce mu waliło, a skronie zalewał pot. Następnego dnia skierował się do lasu i przeszedł kawałek ścieżką wijącą się wśród drzew.

Czasami samoloty krążyły i nurkowały po niebie, a oni słyszeli z domu wybuchy bomb i widzieli słupy dymu unoszące się w błękitnozielonej dali. Lubili leżeć w lesie na polanie pocętkowanej cieniami gałęzi. Spędzali tam całe godziny, obejmując się i całując. Tessa zapomniała już, ile różnych odcieni mogą mieć pocałunki: łagodne, czułe, ulotne i lekkie jak puszek do pudru omiatający skórę, i nienasycone, takie, które sprawiały, że cała płonęła.

Całowali się jak nastolatki, myślała. Nastolatki, które po części boją się zrobić krok dalej. I którym się wydaje, że mają jeszcze mnóstwo czasu.

W głębi lasu gałęzie i liście tworzyły zielony baldachim z przeblaskującymi skrawkami nieba. Na ziemi gęszcz gałęzi i krzewów tworzył barykady.

Guido znał dróżki wiodące przez las, zielone tunele pośród liści, krzaków i podszycia. Wiedział, że nieco dalej teren wznosi się stromą skarżą. Wziął Tessę za rękę i poprowadził ścieżką w górę. Pocałowali się na skarpie, w brzozowym zagajniku.

W drodze powrotnej do domu usłyszeli jakieś głosy. Dłoń Guida zacisnęła się na jej nadgarstku. Stanęli jak wryci.

Trzej mężczyźni w niemieckich mundurach schodzili ze wzgórza w kierunku domu. Guido położył palec na ustach.

- Nie ruszaj się - wyszeptał bezgłośnie.

Tessa żałowała, że ma różową bluzkę. Ostry róż Schiaparelli. Nie był to kolor, który widuje się w lasach. Co będzie, jeśli któryś z Niemców spojrzy w tę stronę i zobaczy jaskrawą plamę?

Żołnierze weszli do domu. Tessa usłyszała okrzyk radości. Jeden z mężczyzn stanął na progu z butelką wina w jednej ręce i bochenkiem chleba w drugiej. Usiadł i zaczął jeść. Był młody, jasnowłosy, mundur miał zniszczony i brudny. Pozostali wyszli także, obładowani łupami, po czym wszyscy trzej usadowili się na trawie przed domem. Tessa czuła zapach dymu z ich papierosów. Od długiego stania w bezruchu bolały ją mięśnie.

W końcu podnieśli się i zeszli ze wzgórza. Usłyszała, jak Guido odetchnął. Po kilkunastu minutach oboje wrócili do domu.

Kosze i słoiki były opróżnione, wokół leżały porzucane ubrania i pościel. Guido i Tessa stali twarzami do siebie, ze splecionymi palcami. Jego wargi błędziły po jej ustach i brwiach. Rozpiął jej bluzkę i przesunął dłońmi po ciepłej skórze.

Ponad dziesięć lat minęło od czasu, kiedy po raz pierwszy kochali się w ogrodzie Villa Millefiore. Ich uczucie trwało tak długo, lecz Tessa pomyślała teraz, że nie zna Guida prawie wcale. Uczyła się go od nowa, odkrywając tajemnice jego ciała, smak skóry i ciepło dłoni. Uczyła się, co to znaczy być w idealnej harmonii z mężczyzną, zamykać oczy i wiedzieć, że razem tworzą jedność.

Później zaczęła mówić:

- Chcę opowiedzieć ci o moim synu. Nazywał się Angelo, Angelo Frederick Nicolson. Zawsze myślałam, że to bardzo długie nazwisko jak na takie maleństwo. Zginął w wypadku samochodowym. To była moja wina. Ja prowadziłam auto. Czułam się tak, jakbym straciła część siebie. W ogóle nie pamiętam dnia wypadku. Ludzie mówili mi potem, że była zła pogoda, a samochód wpadł w poślizg. Ciągle się boję, że tego dnia wsiałam za kierownicę dla kaprysu, znudzona deszczem i tkwieniem w mieszkaniu. Nie mogę znieść myśli, że Angelo zginął z tak błędnego powodu. On zginął, a ja żyję. Tyle razy żałowałam, że nie zginęłam razem z nim.

Pocałował ją w czubek głowy.

- A teraz żałujesz, Tesso?
- Teraz nie. Już nie - odpowiedziała.



- Ja żałuję, że nie pojechałem za tobą do Anglii. Nie mogę sobie darować, że pozwoliłem ci wyjechać, że byłem zbyt dumny, żeby za tobą podążyć. Myślisz, że klóciłibyśmy się? Nie jestem tego pewien. Sądzę, że byłaby to jedna wielka przygoda. Wierzę, że nigdy byśmy się sobą nie znudzili.

Tessa położyła głowę na jego ramieniu. Oddech Guida uspokajał się, aż się zorientowała, że zasnął. Płótno i rurki polowego łóżka uwierały ją w plecy. Zobaczyła na podłodze ich zrzucone w pośpiechu ubrania - różową plamę bluzki, sandał kopnięty do drzwi. Wsłuchiwała się w śpiew ptaków i szum wiatru w liściach.

Następnego ranka Guido opuścił domek. Powiedział, że skieruje się na południe, w stronę linii alianckich. Jeśli po drodze trafi na partyzantów, przyłączy się do nich.

Tessa odprowadziła go przez las do skarpy. Potem się pożegnali i Guido poszedł dalej sam. Miłość trwa tak długo, jak chce, pomyślała, patrząc, jak wspinał się po stromym zboczu. Obejrzał się i pomachał jej na pożegnanie.

Kiedy nie mogła go już dostrzec, mocno zacisnęła powieki.

- Bądź bezpieczny, Guido - wyszeptała - i ostrożny. A kiedy to wszystko się skończy, wróć do swojej żony i córki i bądź szczęśliwy!

## **Rozdział 14**

Dworzec Charing Cross był wypełniony ludźmi. Kolejki do kas biletowych wychodziły poza budynek i ustawiały się na ulicy. Rebecca poszła pieszo do Embankment, by zaoszczędzić sobie przesiadek. Stacja metra także była zatłoczona. Na peronie linii District panował taki ścisk, że

udało jej się wsiąść dopiero do trzeciego pociągu. Spojrzała na zegarek: za piętnaście druga. Godziny odwiedzin w domu opieki, w którym przebywała od dwóch tygodni jej matka, wydawały się wyjątkowo źle pomyślane - od trzeciej do czwartej po południu w weekendy i pół godziny wieczorem. Nie mogła zostać do wieczora, bo trudno byłoby jej potem zdążyć na pociąg. Poza tym potrzebowano jej na farmie. Kiedy ostatnio rozmawiała przez telefon z siostrą, Meriel powiedziała jej, że mama jest nafaszerowana środkami przeciwbólowymi i prawie nie wie, co się wokół niej dzieje.

W ostatnim czasie nastąpiły ważne wydarzenia, ale choroba matki przyćmiła Rebecce sprawy świata. Poczowała ulgę i radość na wieść o lądowaniu aliantów w Normandii, jednak te wiadomości docierały do niej jakby z oddali.

Dwa tygodnie wcześniej pani Fainlight przewróciła się w domu i trafiła do szpitala. Zdjęcia rentgenowskie ujawniły guzy w żebrach i lewym biodrze. Kość biodrowa pękła i nie mogła już podtrzymywać ciężaru ciała. Po dwóch tygodniach matka została przewieziona z miejscowego szpitala do domu opieki w Kensington, gdzie - jak powiedział lekarz - miała pozostać do czasu, aż jej stan się ustabilizuje. „Co dalej?”, zapytała go Rebecca. Wyglądał na rozdrażnionego jej obcesowością; złożył dłonie, tak że czubki palców się stykały. Muszą zrozumieć, że matka jest w stanie terminalnym. Ma nadzieję, że uda się złagodzić ból, ale nie można zatrzymać rozwoju raka. Jeżeli pani Fainlight zechce wrócić do domu, nie będzie już mogła mieszkać sama. Trzeba wszystko zaplanować. Po wyjściu z domu opieki obydwie wycierały łzy. Rebecca przypomniała sobie później, że płakały po kolei: Meriel w drodze na przystanek autobusowy, a ona w autobusie. Zrozumiały, że mają teraz tylko siebie na świecie.

Było jeszcze wcześniej. Rebecca zatrzymała się na herbatę w małej kawiarni niedaleko Holland Park. Panował tam zaduch od dymu z papierosów, a herbata smakowała jak pomyje, ale ją wypła. Przy sąsiednim stoliku siedziała kobieta o zmęczonej twarzy. Poprawiała makijaż, wykonując na policzkach i czole mocne okrężne ruchy szarawym puszką, i co chwila energicznie szorowała nim prawie pustą puderniczkę. Puderniczka wróciła do torebki, a na jej miejsce pojawiło się pudełeczko z różem, które także wyglądało na puste. Potem przysła kolej na tusz do rzęs i ogryzek szminki. Rebecca musiała chwycić ołówek, żeby naszkicować tę sytuację - wcieranie pudru, zaciśnięcie, a potem rozluźnienie warg i spojrzenie w lusterko z podniesionymi brwiami. Dokończywszy dzieła, kobieta wstała i wygładziła sukienkę na biodrach. Potem wysła z kawiarni, chwiejąc się na wysokich obcasach.

Rebecca miała jeszcze pół godziny i znała tę okolicę z czasów pobytu w Londynie po separacji z Milem, postanowiła więc pójść na spacer. Przesła obok kawiarni, w której czasem jadła śniadania, kiedy nie mogła zdobyć się na zejście do hotelowej jadalni, i małą pasmanterię, gdzie kupowała pończochy i guziki. Nie miała wtedy żadnego celu i łatwo ją było zranić. Było jej siebie żal.

Szła dalej. Londyn był ponury i zrujnowany. Niewiele budynków uniknęło wojennych zniszczeń, z części pozostały tylko zewnętrzne mury. Bomby powybiły szerokie dziury między domami, tworząc płaskie puste przestrzenie albo leje wypełnione gruzem, potłuczonymi ceglami, kawałkami desek i odłamkami kamieni. Na gruzach rosły wysokie, zielone chwasty. W ruinach bawiły się dzieci; miały na sobie brudne ubrania, zbyt małe albo zbyt duże, sweterki dziewczynek były dziurawe, chłopcy nosili

wytarte albo połatane spodenki. Dzieci krzychały, popychały się i wyśmiewały z siebie nawzajem, kiedy tak biegały wśród ruin. Jeden z chłopców, na oko ośmioletni, siusiał do kałuży, a na jego chudej, szczurowatej twarzy malował się wyraz skupienia i zadowolenia zarazem.

Rebecca zdała sobie sprawę, że zablądziła. Znane jej ulice zniknęły, a budynki stanowiące niegdyś punkty orientacyjne stały się nierozpoznawalne. Dzieci zauważyły jej wahanie. Jeden z chłopców, który stał na kupie gruzu, i dziewczynka pchająca szkielet niemowlęcego wózka przyglądali jej się badawczym wzrokiem. Coś wpadło do kałuży, kiedy Rebecca przechodziła obok - to dziecko rzuciło w nią kamieniem. Chłopiec pochylił się i podniósł kawałek cegły. Dziewczynka zadarła spódniczkę i szła obok Rebekki, kręcąc przesadnie pupą i ściągając usta. Inne dzieci ryczały ze śmiechu. Potem cegła uderzyła Rebeccę w plecy. Krzyknęła na chłopca, żeby się odczepił. Dzieci wyły, piszczały i śmigwały wokół niej jak stado zdziczałych kotów.

W końcu rozpoznała okolicę. Znajdowała się tylko o parę minut drogi od domu opieki. Starła błoto z płaszczu i przyspieszyła kroku. Pani Fainlight siedziała podparta poduszkami, w swojej najlepszej nocnej koszuli, mała i jakby skurczona od choroby. Rebecca miała się dowiedzieć, czy matka chce wrócić do domu, czy zostać w domu opieki. Trudno jednak było skierować rozmowę na ten temat. Pani Fainlight okazała się tego dnia niezwykle rozmowna, wręcz podekscytowana. Czy Rebecca czytała gazety? Wojna na pewno wkrótce się skończy. Rebecca musiała przewertować gazetę i znaleźć odpowiedni artykuł, a potem przeczytać go na głos. „No i?”, zapytała matka, patrząc na nią wyczekująco. „Masz rację, mamó”, powiedziała Rebecca. „Brzmi wspaniale”. Następnie pani Fainlight opowiedziała długą historię o jednej z pielęgniarek, która pochodziła ze Shrewsbury, gdzie ona sama

mieszkała jako dziewczynka. Nie dokończyła jednak opowiadania, ponieważ nagle zamknęła oczy i zasnęła. Kilka minut później do pokoju zajrzała pielęgniarka. „Zmęczyła ją pani” - orzekła. Potem zrobiła się czwarta, więc Rebecca ucałowała matkę i wyszła.

Zastanawiała się, czy nie spróbować jeszcze raz porozmawiać z którymś z lekarzy, ale zrezygnowała z tego pomysłu, wiedząc, że to i tak nic nie da. Decyzja należała teraz do niej i Meriel; w poniedziałek zacznie dzwonić do agencji opiekunek. Jeżeli matka zechce wrócić do domu, spełnią jej życzenie. Będzie się opiekować matką w trakcie semestru, a Meriel zmieni ją podczas wakacji szkolnych.

Poczuła ulgę, wychodząc z domu opieki pachnącego pastą do podłogi i środkami dezynfekcyjnymi. Nie chciała jeszcze wsiadać do dusznego, zatłoczonego metra, więc ruszyła przed siebie pieszo. Poczuła przyływ znajomego poczucia winy, przemieszanego teraz ze smutkiem. W jej relacjach z matką zawsze najważniejsza była intensywna potrzeba zadowolenia mamy, połączona ze świadomością, że ta nieodmiennie jest nią rozczarowana.

Przeszła kawałek przez Kensington Road i skręciła w Gloucester Road. Tutaj ulica wyglądała jak zawsze, nie wywoływała poczucia zagrożenia, towarzyszącego poprzedniemu spacerowi po gruzowisku. Na błękitnym niebie świeciło słońce, w ogrodach kwitły róże. Na Gloucester Road ludzie wchodzili do sklepów i wychodzili, a przed sklepem z mięsem stała kolejka. Platynowa blondynka wychylała się z okna na trzecim piętrze, wołając do kogoś, kto stał na chodniku. Trochę dalej dwie młode dziewczyny wyszły z domu stojącego w bocznej uliczce. Wyglądały na jakieś czternaście -

piętnaście lat. Jedna z nich ubrana była w niebieską sukienkę i machała koszykiem na zakupy, druga miała sukienkę w zielone paski.

Nagle rozległ się dziwny dźwięk. Ni to dudnienie, ni to buczenie, które po chwili przeszło w świst. Ludzie podnieśli głowy. Zapadła cisza, a potem, tuż przed silną eksplozją, Rebecca zobaczyła na niebie ciemny kształt.

Siła wybuchu rzuciła nią o mur. Ujrzała błysk światła, deszcz gruzu, jakąś postać lecącą w powietrzu. Była ogłuszona. Zdawało jej się, że ogląda film w zwolnionym tempie. Zobaczyła samochód, jakby zassany do góry przez gigantyczny odkurzacz razem z rowerem, wózkiem dziecięcym i znakiem drogowym, oraz dziwnie wygięte ciało platynowej blondynki, którą wybuch wyciągnął z okna i rzucił na jezdnię.

Odzyskała słuch. Ludzie krzyczeli, słyhać było wycie syren i dźwięk spadających na ziemię kawałków cegieł, drewna i szkła. Po dłuższej chwili Rebecca wstała. Upewniła się, że nie jest ranna. Zobaczyła, że epicentrum wybuchu znajduje się pomiędzy boczną uliczką a Gloucester Road. Przypomniała sobie dwie dziewczynki w kolorowych sukienkach, niebieskiej i pasiastej. Przeszła kilka kroków. Nie była pewna, czy różowoczerwone skrawki na chodniku pochodzą ze sklepu mięsnego, czy też są fragmentami ludzkich ciał. Zebrało jej się na wymioty. Później ostrożnie przeszła na drugą stronę ulicy, gdzie zobaczyła kawałek biało-zielonego materiału.

Dziewczynka w zielonej sukience nie żyła. Rebecca nie widziała żadnych śladów dziewczynki w niebieskiej sukience. Zaczęła grzebać rękami w kupie gruzu i kamieni. W powietrze wlatywał biały pył, odłamki cegieł kaleczyły jej dłonie. Klęczała w kurzu, wyciągała kawałki drewna i

odrzucała je na bok, napierała całym ciężarem na złożone z kilku cegieł fragmenty muru, żeby je odsunąć. Kopała w pośpiechu, bojąc się, że dziewczynka się udusi, zanim ona zdąży się do niej dostać. Słyszała, że nadjechały wozy policyjne i strażacy z ciężkim sprzętem, nie rozglądała się jednak, skupiając całą siłę i uwagę na swoim zadaniu.

W końcu ukazał się kawałek materiału, pokryty pyłem. Rebecca zaczęła kopać jeszcze gorliwiej, wybierała pył i gruz i odsuwała rozbite szkło kawałkiem deski. Natrafiła na gładką, białą nogę dziewczynki.

Jakiś głos powiedział:

- Już dobrze, kochana, teraz my się tym zajmiemy - ale nie przestawała kopać. Czuła narastające zmęczenie, ręce nie pracowały już sprawnie i chciało jej się płakać z frustracji.

Jakiś mężczyzna ukucnął obok i położył jej rękę na ramieniu.

- Świetnie się spisłaś, ale teraz pozwól nam to zrobić. Szybciej ją wyjmujemy. - Potem pomógł jej się podnieść.

Koniecznie chciała zostać, żeby zobaczyć, jak strażacy wyciągają dziewczynkę z gruzowiska. Ktoś okrył Rebeccę kocem, ktoś inny wcisnął jej w dłoń filiżankę herbaty. Zęby jej dzwoniły o krawędź.

Kiedy uwolnili dziewczynkę spod zwałów gruzu, Rebecca zobaczyła, że tamta jest prawie naga, siła wybuchu podarła jej sukienkę w strzępy. Jej ciało, pokryte pyłem, wydawało się jednak nietknięte.

Jeden ze strażaków przyłożył palce do szyi dziewczynki.

- Żyje? - zapytała Rebecca.

Strażak kiwnął głową.

- Jeszcze tak. Zna ją pani?

Rebecca zaprzeczyła. Kiedy dwie kobiety położyły ranną na noszach i przeniosły do karetki, Rebecca odeszła, potykając się na gruzie, omijając rozwalone ściany i wraki pojazdów. W końcu znalazła się na Cromwell Road i skierowała na stację metra South Kensington. Nadal miała na ramieniu torebkę, zdjęła ją więc i odliczyła pieniądze na bilet. Czuła się teraz dziwnie spokojna; była zaskoczona, kiedy kasjer w okienku zapytał ją, czy dobrze się czuje. Skinęła głową, mówiąc: „Tak, dziękuję, wszystko w najlepszym porządku”, jednak kiedy wysiadła na stacji Embankment, przez chwilę nie pamiętała, dokąd ma iść. Stała na chodniku, rozglądając się wokół, a jej myśli rozpryskiwały się jak potłuczone szkło wśród gruzów.

Jakimś cudem na dworcu Charing Cross czekał pociąg do Tunbridge Wells. Rebecca znalazła wolny przedział. Naprzeciwko niej usiadła kobieta mniej więcej w tym samym wieku. Miała na sobie szarą spódnicę i żakiet oraz szary kapelusz ozdobiony sztucznymi wiśniami. Popatrzyła uważnie na Rebecę.

- Dobrze się pani czuje, kochana? - zapytała.

- Świetnie, dziękuję - odparła zirytowana Rebecca. Nagle poczuła się bardzo zmęczona.

- Jest pani trochę zakurzona - powiedziała tamta. Rebecca spojrzała na siebie. Była cała pokryta białym

pyłem, tak jak dziewczynka w gruzach.



- Nie wiedziałam. Był wybuch. Bomba...

- Proszę. - Kobieta podała jej chusteczkę i lusterko. Rebecca popatrzyła w lusterko. Wyglądam fatalnie,

pomyślała. Jej włosy i twarz były niemal zupełnie białe; jedyny widoczny akcent stanowiły zielone oczy.

- Boże - powiedziała zawstydzona. - Wyglądam jak straszidło!

Próbowała usunąć pył chusteczką, ale za bardzo trzęsły jej się ręce. Kobieta w kapeluszu wzięła więc od niej chusteczkę i sama wytarła jej twarz. Rebecce przypomniało się, jak w czasach dzieciństwa matka miała zwyczaj wycierać buzię jej i Meriel, plując na chusteczkę i szorując nią zabrudzenia. Kobieta w kapeluszu z wisienkami nie pluła.

Pociąg toczył się przez zielone wiejskie tereny hrabstwa Kent. Rebecca zamknęła oczy i zapadła w półsen. Przez głowę przelatywały jej wyraźne, jasne obrazy: chłopiec sikający do kałuży, matka opowiadająca z ożywieniem o pielęgniarce z Shrewsbury, kobieta nakładająca makijaż w kawiarni. I z jakiegoś niepojętego powodu przypomniła sobie tamten wyjazd z Milem do Londynu, kiedy kupiła sobie dwa kostiumy - brązowy tweedowy i czerwony.

Pomyślała o dziewczynce w niebieskiej sukience. Uwolnienie jej wydawało się wtedy takie ważne. Dlaczego? pytała samą siebie. Myślałaś, że w ten sposób spłacisz dług? Że coś naprawisz? Jedno ocalone życie za jedno stracone? A może to desperackie przekopywanie gruzów było aktem pokuty?

Nie, pomyślała. To nie było to. Po prostu chciała, żeby ta dziewczynka żyła.

Po upadku Rzymu siły Wehrmachtu uciekały na północ, ścigane przez Piątą i Ósmą Armię aliantów. Villa di Belcanto znalazła się w samym środku pola bitwy. Zarekwirowała ją jednostka niemieckiej piechoty i ulokowała stanowiska karabinów maszynowych w stodołach i za murami. Kapitan, człowiek cywilizowany, starał się dopilnować, żeby jego ludzie nie napastowali kobiet z willi.

Budynek, w którym kiedyś mieściła się szkoła, był teraz używany jako skład amunicji i opału.

Tessa i Faustina przeniosły dziecięce łóżeczka, ubrania

i zabawki do stajen. Wieczorem spakowały swoje rzeczy do małych walizek. Tessa włożyła do swojej kilka ubrań i parę butów, notes z adresami, kostkę mydła, ręcznik, szczotkę i trochę spinek do włosów. Co jeszcze? Otworzyła szufladę toaletki, popatrzyła na jej zawartość i spojrzała w lustro. Twarz miała opaloną i usianą piegami. Od przyjazdu do Włoch nie obcinała włosów; słońce nadało im lniany odcień. Nosiła je zwinięte w węzeł z tyłu głowy.

Własnoręcznie uszyta sukienka z niebieskiej bawełny była spłowiała i przetarta na szwach. Nie mogła sobie przypomnieć, skąd się wzięło tyle zadrapań na jej ramionach. W kącikach oczu dostrzegła zmarszczki. Dwadzieścia osiem lat i zmarszczki wokół oczu, pomyślała. Mama zawsze mówiła, że włoskie słońce źle działa na cerę Angielek. Trudno się dziwić, że stacjonujący w willi żołnierze właściwie nie zwracali na nią uwagi. Ręka Tessy chwilę błędziła w szufladzie. Wyjęła z niej małe nożyczki, pęsetkę i

szminkę w kolorze makowej czerwieni. Potem zatrzasnęła walizkę i zeszła na dół.

Dwa dni wcześniej na dziedziniec fattońi spadła bomba. Siła wybuchu zniszczyła ścianę frontową jednego z budynków, odsłaniając pomieszczenia w środku, i wybiła wszystkie szyby w sąsiednich domach. Pęknięcia pojawiły się również na fasadzie willi. Villa di Belcanto, którą pamiętała Tessa - ostoja spokoju i chłodu, wdzięku i elegancji, ucieczka od zewnętrznego świata - już nie istniała. Na podłogach leżało potłuczone szkło. Ulewa zmoczyła zasłony uszyte z kosztownego jedwabiu Zanettich; zwisały teraz byle jak, spłowiałe i poznaczone białymi zaciekami od wody. Żołnierze powynosili krzesła, koce i porcelanę do swoich kwater w ogrodzie i budynkach gospodarczych oraz do salonu, który służył im jako kantyna. Drzemali na kanapach albo plądrowali dom w poszukiwaniu żywności i wina. Na dywanie leżała rozrzucona talia kart. Ciśnięte do kominka papiery dymiły i czerniały w płomieniach.

Na zewnątrz, pod drzewami, stały wojskowe ciężarówki zamaskowane gałęziami. Żołnierze, z powodu upału rozebrani do pasa lub w rozpiętych mundurach, wylegiwali się w cieniu, spali albo palili papierosy. Ktoś przyniósł z willi gramofon i w gorącym powietrzu rozbrzmiewał kwartet Mozarta. Muzykę przerywały dalekie odgłosy kanonady.

Od czasu do czasu łoskot przybierał na sile i żołnierze biegli na stanowiska ogniowe. Potem znowu rozlegał się ogłuszający hałas, fala dźwięków i wibracji. Nieopodal, w dolinie, przelatywały po niebie jaskrawe, rozżarzone plamy pocisków.

W stajni Tessa zapakowała jeszcze jedną walizkę, tym razem z bielizną i skarpetkami dla dzieci. Znalazła swetry i płaszcze przeciwdeszczowe, poskładała ubranka oraz pieluchy dla niemowląt i włożyła je do wózka. Kiedy się upewniła, że dzieci śpią, poszła do kuchni.

Faustina pakowała ser i kielbasę i wkładała do koszy. Tessa zaczęła jej pomagać. Rozmawiały o tym i owym - o upale, podróży Tessy do Maroka wiele lat temu, o dziewczynie, którą obie pamiętały z obiadów u pani Hamilton, i okropnym jedzeniu, jakie wówczas podawano. Ani słowa o wojnie.

O jedenastej Tessa się położyła. Leżąc na wąskim polowym łóżku, zastanawiała się, czy uda im się zdobyć dość mleka dla niemowląt i jak sobie poradzą młodsze dzieci, a także Olivia, która nie czuła się dobrze, jeśli będzie trzeba długo wędrować na piechotę.

Ale dokąd i kiedy mają iść, martwiła się. W ciągu dnia rozmawiała z niemieckim kapitanem. Poradził jej zabrać dzieci z willi, która znajdowała się na szczycie wzgórza, co czyniło ją celem militarnym.

Tessa nie umiała podjąć decyzji. Czy życie dzieci nie będzie zagrożone, jeżeli opuszczą względnie bezpieczną willę? Jednocześnie, ile jeszcze czasu zostało, zanim dom znajdzie się na linii frontu? Jeśli odejdą - dokąd mają iść, jaką wybrać drogę, skoro wzgórza nie stanowiły schronienia, a drogi były zaminowane i ostrzeliwane z karabinów maszynowych?

Zadecyduję jutro, powiedziała do siebie. Teraz musi się przespać. Zastanawiała się, gdzie jest Guido i co teraz robi. Poczwała nagłą dojmującą tęsknotę za jego głosem, uśmiechem i ciepłymi ramionami. Ich miłość nie trafiła w swój czas, pomyślała, nigdy nie mieli przed sobą przyszłości.

Guido mówił, że żałuje, iż nie pojechał za nią do Anglii, Tessa jednak nie żałowała. Miejsce Guida było we Florencji. Nie potrafiłby odnaleźć szczęścia gdzie indziej. Nie był włóczęgą, wędrowcem takim jak ona.

Zamknęła oczy i próbowała zmusić się do zaśnięcia.

Wczesnym rankiem zapadła cisza. Tessa spojrzała na zegarek. Był kwadrans po piątej.

Wyszła z domu. Część ogrodu na tyłach domu nie ucierpiała podczas walk. Na wąskich grządkach rosła lawenda, na pergolach piętrzyły się róże. Stojąc na żwirowej ścieżce, miała widok na dolinę. Pociski padały teraz bliżej - jeden trafił w gaj oliwny na zboczu wzgórza, rozszczepiając pokręcone, szare pnie drzew. Cyprysy rosnące wzdłuż drogi przypominały czarne płomienie. Krople rosy na trawie połyskiwały w świetle poranka jak klejnoty. Tessa pomyślała, że wszystko wokół wydaje się świeże i czyste.

Tuż przed przebudzeniem miała sen. Spoglądała na dolinę, przeszukując zakamarki pamięci. Usłyszała echo czyjś głosu. „Znalazł sobie kogoś innego... małą puszczałką z Oksfordu”. Głos dobiegał jakby z sąsiedniego pokoju.

Kto to mówił? Oczywiście, żona Mila. Tessa przypomniała sobie, dlaczego jechała do Oksfordu. Jechała, żeby porozmawiać z Milem, gdyż bała się, że go straciła. Padał ulewny deszcz, przeziębiony Angelo płakał, a ona była zmęczona i zdenerwowana. Pamiętała krople spływające po przedniej szybie i reklamę kołyszącą się na wietrze, rowerzystę w żółtym sztormiaku - lampka przy jego rowerze błyszczała jak jedyne oko cyklopa. I ciężarówkę, która gramoliła się pod górę.

Ze stanowisk ogniowych znowu rozległa się kanonada, przerywając ciszę; Tessa odwróciła się na pięcie i poszła z powrotem do stajni.

Tego samego ranka opuścili willę. Pocisk uderzył w taras, po którym wcześniej spacerowała Tessa, a niemiecki kapitan rozkazał przenieść opał i amunicję do piwnicy. Nie było więc już w domu żadnego, choćby odrobinę bezpieczniejszego miejsca. Olivia rozmawiała z kapitanem, który mówił, żeby zabrała dzieci.

- Nie jesteście tu bezpieczne - powiedział, przesuwał dłoń po nieogolonym podbródku. - Każdy musi teraz sam dbać o siebie.

Długi, nieregularny sznur kobiet i dzieci wyruszył więc do Greve w Chianti. Dzieci miały na głowach kapelusze i niosły w rękach swetry, a kobiety - Tessa, Olivia, Faustina, Emilia, matka Perlity i Maria, które pracowały w pralni - dźwigały walizki i kosze. Niewysoka, silna Emilia pchała wyładowany wózek po nierównym terenie.

Szły wzdłuż pola, obok drogi. Dzika róża tworzyła splecione żywopłoty, w trawie rosły maki. Kobiety kierowały się w górę, gdzie rowy i zagłębienia porośnięte gęstymi zaroślami i krzakami mogły zapewnić im schronienie. W tych dniach samoloty bezustannie ostrzeliwały drogi. Tessa obejrzała się i zobaczyła zwłoki leżące na poboczu.

Dobrze, nie będzie się już oglądać. Nie będzie myśleć o niczym, tylko o tym, by iść naprzód i zapewnić bezpieczeństwo dzieciom.

Przeszły przez pola i zaczęły się wspinać na wzgórze. Tessa co chwila patrzyła na dzieci, przeliczała je o sprawdzała, czy żadne nie zostało w tyle. Zatrzymały się na odpoczynek w młodym brzozowym zagajniku. Było

południe, słońce stało wysoko na niebie. Niektóre dzieci biegały między drzewami, inne położyły się w cieniu, ssąc kciuki. Tessa dopilnowała, żeby każde wypilo trochę wody i zjadło kawałek chleba z kiełbasą. Bladej ze zmęczenia Olivii nalala dodatkową porcję wody. Niemowlęta spały w wózku. Dotąd sytuacja nie wyglądała najgorzej. Faustina, która doskonale orientowała się w terenie, popatrzyła na mapę i sprawdziła kompas.

- Jeszcze sześć kilometrów - szepnęła do Tessy. Lepiej, żeby dotarły do Greve przed zapadnięciem zmroku. Trzeba iść dalej.

Tessa zebrała dzieci, policzyła je jeszcze raz i sprawdziła, czy nie pogubiły swetrów. Na razie było jeszcze ciepło, ale wieczorem pogoda może się zmienić. Dwoje dzieci się rozplakało, więc wzięła je za ręce i zaczęła śpiewać. Po chwili śpiewali wszyscy, nawet Faustina, która nie potrafiła zanucić ani jednej prawidłowej nuty. Potem rozległ się ryk nurkującego samolotu, więc pobiegli do płytkiego rowu. Kule odbijały się od ziemi. Tessa pokaleczyła sobie kolana o kamienie, usta miała pełne pyłu.

Samolot wzbił się w niebo i zniknął. Wydostały się z rowu i od tej pory szły w milczeniu. Wkrótce ścieżka stała się jeszcze węższa i wiła się wśród sosen. Kobiety zatrzymały się, żeby się naradzić. Nie dadzą rady przejechać wózkiem po stromej dróżce. Emilia zaproponowała, że przeprowadzi wózek jedną ze ścieżek położonych niżej. Perlita musi zostać z Tessą wyżej, tam jest bezpieczniej. Olivia postanowiła iść z Emilią. Górskie ścieżki były dla niej za strome.

Olivia i Faustina rozmawiały cicho przez chwilę. Później matka i córka objęły się i Olivia ruszyła w dół razem z pchającą wózek Emilią. Faustina miała łzy w oczach. Wzięła na ręce najmniejsze z dzieci i zaczęła się

wspinać wąską ścieżką. Dziewczynki trzymały się za ręce, a chłopcy kopali świerkowe szyszki. Faustina energicznie kroczyła przodem, prowadząc grupę.

Pod sosnami było chłodniej. Dróżkę pokrywały igły. Dzieci odżyły nieco w cieniu. Może warto by zatrzymać się tu, w chłodzie, na odpoczynek - ale nagle Tessa zauważyła z boku jakiś ruch w lesie. Między sosnami przedzierali się żołnierze. W cieniu nie potrafiła rozpoznać koloru mundurów. Ponagliła dzieci i przeliczyła jeszcze raz, myśląc się, bo zaczęła się bać. Poczła gwałtowną, przemożną chęć powrotu do domu, ale nie mogła sobie uświadomić, gdzie on jest.

Szły prosto w pałace słońce. Ścieżka wznosiła się ku górze; po skałach śmigaly jaszczurki. Wydawało się, że samoloty odleciały gdzie indziej. Drzewa przerzedziły się i Tessa spojrziała za siebie. Pociski padały teraz regularnie w dolinie poniżej. Dym buchał w powietrze.

Faustina usiadła na zwałonym pniu z mapą rozłożoną na kolanach. Mokre od potu włosy przylepiły jej się do czoła. Tessa dała wszystkim wodę i owoce. Dochodziła trzecia po południu, powietrze było gęste od upału. Kilkoro dzieci zasnęło, używając swetrów jako poduszek. Tessa zakleiła pęcherz na stopie plastrem i wytrząsnęła kamyk z buta. Jedna z dziewczynek rysowała patykami na piasku, inna kołysała lalkę. Tommaso położył się na plecach, ze zgiętymi kolanami, i patrzył ciemnymi oczami w niebo.

- Nie powinienes patrzeć na słońce, to niedobrze dla oczu - powiedziała do niego łagodnie Tessa i zsunęła mu kapelusz na oczy. Jednak po chwili Tommaso zdjął go i dalej gapił się w niebo.



Usiadła obok Faustyny. Ta uśmiechnęła się i ścisnęła jej rękę, ale nie odezwała się słowem. Perlita podeszła na czworakach do Tessy i chwyciła ją za spódnice. Tessa pogłaskała dziecko po głowie i zamknęła oczy. Przypomniała sobie swój sen i cichy, spokojny ogród o poranku tego samego dnia. Więc tak to się stało, pomyślała. Pamiętała, jak trudno jej było zajmować się Angelem zupełnie samej, jak bardzo jej wizja macierzyństwa różniła się od rzeczywistości. Była taka młoda, nic nie wiedziała i nie miała żadnego wsparcia. Jechała do Oksfordu z powodu telefonu Rebekki Rycroft, miłości do Mila i obawy, że go straci. To wcale nie błahe przyczyny. Miłość nigdy nie jest błahostką, teraz to czuła, wiedziała. Miała pewność przynajmniej odnośnie do tego jednego.

- Greve jest mniej więcej trzy kilometry stąd - powiedziała Faustina, wstając i otrzepując ubranie.

Należało się pospieszyć. Tessa policzyła dzieci - osiem-naścioro, zgadza się. Chwyciła najmniejsze z nich za ręce; Perlita marudziła i wlokła się o kilka kroków za wszystkimi. Faustina wzięła na plecy małego chłopczyka i ruszyła po zboczu. Nie można było teraz myśleć o czym innym niż stawianie kolejnych kroków. Nie było Guida, nie było Angela. Była tylko ta chwila, upał i ścieżka.

Sześć samolotów nadleciało z tyłu. Ich ogłuszający ryk odbijał się od wzgórza. Kobiety pobiegły do płytkiego wykrotu, zaganiając do niego dzieci, wołając, aby kucnęły.

Jeden, dwa, trzy - Tessa liczyła znowu. Gdzie Perlita? Podniosła głowę i ujrzała dziewczynkę stojącą kawałek wyżej na ścieżce, skamieniałą z

przerażenia. Tessa wybiegła z rowu i chwyciła małą na ręce. Samoloty oddalały się, ale po niebie przeleciało łukiem jaskrawe światło.

Znalazły się z powrotem w rowie. Perlita była bezpieczna. Tessa spojrzała na swoją sukienkę. Na niebieskim materiale na wysokości talii pojawiła się czerwona plama. Dotknęła jej zaskoczona. Kiedy odwróciła dłoń, dostrzegła na niej krew.

Ogarnęło ją wielkie zmęczenie i zrobiło jej się zimno. Usiadła na ziemi. Faustina podeszła i uklękła obok niej. Dotknęła czerwonej plamy i coś powiedziała, ale Tessa jej nie usłyszała. Chciała wyjaśnić Faustynie, że prawdopodobnie jest ranna i musi odpocząć, zanim znowu ruszą w drogę, ale nie mogła wydobyć z siebie słowa.

Nie czuła bólu. Było jej tylko tak strasznie zimno. Położyła się w rowie. Jej wzrok skupił się na chwilę na czubkach drzew i błękanie nieba. A potem zapadła ciemność, wymazując wszystko.

## **Rozdział 15**

List od Faustyny Zanetti dotarł do Freddie na początku września. Faustina powiadomiła ją o śmierci siostry. Tessa zginęła, przeprowadzając grupę dzieci z willi Zanettich do Greve. Została trafiona odłamkiem pocisku w tętnicę. Umarła prawie natychmiast. Nie cierpiała. Kończąc list, Faustina wyraziła głęboki żal i zapewniała Freddie o swoim nieprzemijającym podziwieniu dla Tessy. „Była bohaterką”, napisała. „Była silna, lojalna i odważna. Zawsze będziemy o niej pamiętali i za nią tęsknili”.

Freddie usiadła na łóżku w swoim pokoju w pensjonacie i przeczytała list Faustyny. Później próbowała przeczytać go jeszcze raz, ale nie udało jej się dojść do końca, bo zaczęła płakać.

Napisała do Raya, Maksa i Juliana oraz do kilkorga innych przyjaciół Tessy, chociaż teraz było ich jakby mniej. Zatelefonował do niej Julian, przebywający w Londynie na zwolnieniu lekarskim po tym, gdy został ranny podczas bombardowania Niemiec. Powiedział, że dla uczczenia pamięci Tessy zamierzają w kilkanaście osób zorganizować któregoś wieczoru spotkanie w Ritzu, który Tessa bardzo lubiła. Freddie odpowiedziała, że jest zajęta. Nie kłamała. Pracowała w fabryce przez sześć dni w tygodniu, od ósmej rano do szóstej wieczorem. Kiedy było więcej pracy, zostawała godzinę dłużej. W wolne dni głównie spała, a raczej kiedyś lubiła spać. Teraz wszystkie jej dni i noce były zmarnowane.

Nikom w pracy nie powiedziała o Tessie. Niewielka grupa jej koleżanek odeszła z fabryki jakiś czas temu - jedna urodziła dziecko, druga opiekowała się bratem, który został ranny w Normandii, trzecia została przeniesiona gdzie indziej. Freddie nie próbowała nawiązać nowych przyjaźni. W fabryce starała się nie myśleć o niczym. Unikała rozmów podczas przerw i cieszyła się, że w jej warsztacie jest zbyt głośno, żeby rozmawiać. Czowała gorycz, myśląc o wszystkich tych miesiącach i latach, kiedy miała nadzieję, że znów zobaczy siostrę. Rozgniewało ją wspomnienie euforii w początkach sierpnia, gdy alianci wyzwolili Florencję. Tessa już wtedy nie żyła, a ona o tym nie wiedziała i nadal się łudziła - wszystko nadaremno.

Napisała o śmierci Tessy do Lewisa, nie dostała jednak odpowiedzi. Jego listy często przychodziły z opóźnieniem - mijały tygodnie, a potem nagle dostawała sześć naraz. Jednak po tym wszystkim zastanawiała się, czy nie straciła także i jego. Wydawało jej się zupełnie prawdopodobne, że jego statek został trafiony torpedą i zatonął. Albo może uznał, że ta przerywana, ulotna przygoda nie jest warta zachodu.

Pewnego dnia rozplakała się w fabrycznym warsztacie. Nie mogła się uspokoić; w końcu wezwano lekarza, który odesłał ją do domu i zabronił przychodzić do pracy przez najbliższe dwa tygodnie. Po powrocie do pensjonatu nadal szlochała, wycierając nos, dopóki nie skończyły się chusteczki. Gospodyni przynosiła jej filiżanki herbaty. Rano przyjechała Susan, żona Raya, spakowała jej walizkę i zabrała Freddie do ich mieszkania na Piccadilly.

Freddie zawsze uważała Susan za płytką i powierzchowną, tymczasem przyjaciółka okazała się bardzo serdeczna i taktowna, aż Freddie zawstydziała się swej pochopnej oceny. Ray był we Francji i Susan spędzała dużo czasu, słuchając BBC, a poza tym nie znała Tessy, co - jak przypuszczała Freddie - oszczędziło jej rozmów typu „a pamiętasz, jak...”, których sobie nie życzyła. Tak wielu ludzi uważało, że znało Tessę. Tylu myślało, że była ich własnością. Próbowali dzielić z Freddie żal i wspomnienia. Susan zapytała, czy chce rozmawiać o siostrze. Freddie odpowiedziała, że nie, przeprasza, ale nie chce. Odtąd ich rozmowy dotyczyły BBC albo rodziny i zainteresowań Susan.

W ciągu dnia, kiedy Susan była w pracy, Freddie wychodziła z domu. Nie miała żadnego konkretnego celu, tylko po prostu sobie wędrowała.

Dobrze się czuła w atmosferze wyczerpania i rezygnacji, panującej teraz w Londynie. Bomby raketowe VI i V2 przynosiły powtórkę tragedii nalotów, a w dodatku teraz, po czterech latach, mało kto miał jeszcze jakieś zapasy. Czasami Freddie zastanawiała się, co zrobiłaby, gdyby nad jej głową przeleciała bomba - pobiegłaby do schronu czy też nie. Nic takiego jednak się nie stało, więc nigdy się nie dowiedziała.

- Telefon - powiedziała Susan. - Do ciebie.

Freddie wzięła słuchawkę. Głos po drugiej stronie zapytał:

- Freddie?

- Lewis? To ty?

- Szukałem cię wszędzie. Długo trwało, zanim cię znalazłem.

- Pisałam wiele razy. Przepraszam.

- Nie jestem na ciebie zły, po prostu się martwiłem.

- Dobrze cię słyszę - powiedziała nie na temat. - Jesteś w Liverpoolu?

- Jestem w Londynie. Przyjechałem najszybciej jak się dało. Zatrzymałem się u Marcelle. Zjedzmy razem obiad.

- Nie jestem głodna. - Wiedziała, że to zabrzmiało szorstko, dodała więc: - Przepraszam, Lewis, ale naprawdę nie jestem głodna.

- No cóż, a ja umieram z głodu. Zamówiłem stolik w Quaglino na ósmą. Włóż sukienkę i wskakuj do taksówki. Będę na ciebie czekał.

W Quaglino kelner zaprowadził Freddie do narożnego stolika. Lewis wstał i ją pocałował.

- Freddie - odezwał się i objął ją mocno. - Serdecznie ci współczuję.  
Tak mi przykro z powodu twojej siostry.

- Dziękuję - odrzekła automatycznie i usiadła.

Zbliżył się kelner, aby przyjąć zamówienie. Kiedy już

odszedł, Lewis powiedział:

- Musi ci być ciężko z tym wszystkim. Marcelle mówiła, że nie jest z tobą najlepiej.

- Marcelle? - Spojrzała na niego lekko zaskoczona.

- Wieści szybko się rozchodzą.

- Nie jestem chora, tylko wyczerpana fizycznie i psychicznie. Nie wiem, czemu był to dla mnie taki szok, przecież martwiłam się o Tessę całe lata, ale trudno mi się po tym pozbierać.

- To musiał być szok - potwierdził łagodnie Lewis. - Czekalaś na nią tak długo. Byłaś taka wytrwała.

- Kiedy byłam młodsza - Freddie przesuwiała palcem po wzorkach na obrusie - po śmierci dziecka Tessy próbowałam się dowiedzieć, kto był jego ojcem. Winiłam go za wszystko, co spotkało Tessę.

- I znalazłaś go?

- Nie. Patrząc teraz wstecz, zastanawiam się, co chciałam wtedy osiągnąć. Jakby to stanowiło jakąś różnicę. Jakbym to ja mogła spowodować jakąś różnicę. Tessa zawsze robiła to, co chciała. Nigdy nikogo nie słuchała.

Lewis wziął ją za rękę.

- Pragnę ci pomóc, Freddie.

- Nie możesz mi pomóc.

Kelner przyniósł zupę. Kiedy odszedł, dodała zdecydowanym tonem:

- Jak mógłbyś mi pomóc? Nie możesz zwrócić mi Tessy.

- Wiem. Nie to miałem na myśli. - Zmarszczył brwi i znowu ujrzała w jego oczach ten wyraz bezbronności. Odwróciła wzrok. Lewis dotknął czulej struny w jej sercu. Nie chciała się poddawać łzawemu nastrojowi. Wycierpiała ostatnio tak wiele.

- Próbuję ci wytłumaczyć, że nie musisz czuć się samotna. Pozwól mi zaopiekować się tobą, Freddie.

- Nie potrzebuję, żeby ktokolwiek się mną opiekował.

- Nie, oczywiście, że nie.

Siedzieli w milczeniu. Freddie żałowała swojej niedawnej szorstkości; nie lubiła u siebie tej cechy.

- Kocham cię, Lewis - powiedziała cicho. - Ale w tej chwili nie czuję tego. Nic nie czuję.

- To minie, Freddie, uwierz mi. Trochę to potrwa, ale w końcu minie.

- Wszyscy tak mówią.

- Więc może wszyscy mają rację.

Freddie spojrzała w swój talerz.

- Obawiam się, że nic we mnie nie zostało. Nie miałbyś ze mnie żadnego pożytku.

- Nie chcę mieć z ciebie pożytku, chcę po prostu być z tobą. Wyjdź za mnie, Freddie.

Serce jej zamarło.

-Lewis...

Ścisnął jej rękę.

- To zabawne, zawsze wątpiłem, czy uda mi się przetrwać wojnę w jednym kawałku, a jednak jestem w szoku za każdym razem, kiedy się dowiaduję, że komuś innemu coś się stało.

- Ale teraz wszystko jest w porządku, prawda?

- Och, tak, wszystko dobrze - powiedział, ale sprawiał wrażenie zakłopotanego. - Tylko wydaje mi się, że ciągle czekam.

- Na co?

- Na swoją kolejkę. - Roześmiał się zawstydzony. - Jestem chory ze strachu, kiedy jesteśmy na morzu i gdy czekamy na wyjście w morze. Podejrzewam, że po prostu czekam, aż to wszystko się skończy.

Freddie ścisnęła jego rękę jak koło ratunkowe.

- Chodzi o to - ciągnął - że ostatnich pięć lat życia spędziłem na czekaniu. Nienawidzę tego. Latami czekałem na Clare, ale na ciebie, Freddie, nie będę czekał w nieskończoność. Mam już tego powyżej uszu. Jeśli nie masz ochoty mnie poślubić, powiedz mi od razu. Ale najpierw to



przemyśl. Zamierzasz wyjść z tej wojny z niczym? Ja nie. Wiem, czego pragnę. Chcę mieć dom, rodzinę i przyszłość. Nie uważasz, że mogłabyś chcieć tego samego? Myślę, że w głębi duszy właśnie tego sobie życzysz. Masz tak samo jak ja dość wszystkiego, co ci się przytrafia. Wiesz chyba, że są takie chwile, kiedy trzeba chwycić życie za kark i potrząsnąć. - Odesłał kelnera, który sprzątnął ich talerze, a potem z płonącymi oczami pochylił się ku niej przez stół. - Myślę, że chcesz tego samego co ja, Freddie. Jeżeli się nie mylę, to powiedz mi to, na Boga. Możemy razem zacząć nowe życie. Czuję to, bo cię kocham. Kocham cię, pragnę, chcę być z tobą na zawsze. Więc jaka jest twoja odpowiedź? Wyjdiesz za mnie?

Freddie była zmęczona samotnością. Trzymała Lewisa za rękę i nie chciała już go puścić.

- Tak, Lewis - powiedziała.

## **Rozdział 16**

Wzięli ślub w lutym 1945 roku w kościele w Slough.

Lewis prezentował się wspaniale w swoim mundurze marynarki, a Freddie wystąpiła w fioletowym płaszczku i kremowej sukience do kolan. Jej suknia ślubna była przerobioną kreacją wieczorową, a płaszcz należał przed wojną do Tessy. Freddie bardzo się podobał jego żywy kolor. Żałując, że jest jeszcze za wcześnie na fiołki, ścisnęła w dłoni bukietik przebiśniegów. Na weselne śniadanie zaproszono trzydzieści osób: marynarzy - przyjaciół Lewisa, Susan Leavington (Ray wciąż pozostawał w

czynnej służbie w Europie), Juliana, Maksa, Douglasów (Monty i Betty pobrali się zeszłej jesieni) i przyjaciółki Freddie z Birmingham. Przyszła też Marcelle Scott. Lewisowi bardzo zależało na jej obecności - to właśnie Marcelle spajała towarzystwo w Dorchester w grudniu 1940 roku. Podkreślał, że gdyby nie Marcelle, zapewne nigdy by się nie spotkali.

O trzeciej po południu, podczas śnieżycy, wyjechali na miesiąc miodowy. Przyjaciół dał Lewisowi klucze do swego domu w Surrey. Freddie wyobrażała sobie, że będzie to bungalow albo bliźniak, i zdziwiła się na widok okazałego dworu otoczonego parkiem, należącym do posiadłości. W pokojach było zimno i wilgotno, lecz mimo zaniedbania dom urzekł swym pięknem. Freddie wpatrywała się zafascynowana w rzeźbione balustrady przy kręconych schodach, wodziła palcem po drewnianych ozdobach paneli. Lewis rozpałił ogień w bibliotece. Położyli się na dywaniku przed kominkiem i czytali sobie na głos fragmenty książek, które zdejmowali z półek na chybił trafił; nudne kazania z epoki wiktoriańskiej i porady na temat prowadzenia domu. Zaśmiewali się do rozpuku jak dzieci, zapominając o wcześniejszym napięciu. W nocy kochali się w łóżu z baldachimem, w sypialni o ścianach obitych jedwabiem w kolorze akwamaryny. Lewis był czułym, namiętnym kochankiem. Potem Freddie zasnęła w jego ramionach.

Czy tego dnia byli szczęśliwi? Myślała, że tak, chociaż później przypomniała sobie, jak Lewis narzekał na zbyt krótką, czterdziestoośmiogodzinną przepustkę i uważał, że bufet zaoferowany przez hotel był zbyt skromny. Nie chciał, by Freddie nadal pracowała i pokłócili się o to przed jego powrotem na okręt. Próbowwała mu wyjaśnić, że samotne przesiadywanie w jakimś pensjonacie w Portsmouth albo w Devonport

będzie dla niej gorsze niż praca w fabryce, ale pozostał nieprzejednany, podejrzewając, że jej potrzeba samodzielności wynika z braku zaufania do niego.

Pani Fainlight zmarła trzy tygodnie po Dniu Zwycięstwa. Przez ostatni rok Rebecca i Meriel opiekowały się chorą w domu. W nocy pomagała im pielęgniarka. Po śmierci matki czekała je przygnębiająca konieczność zadecydowania o losie rzeczy znajdujących się w Hatherden. Żadna z sióstr nie miała miejsca na duże, ciężkie meble, które rodzice sprawili sobie po ślubie. W końcu Meriel wybrała dla siebie serwis do herbaty, kilka obrazów i krzesło z ozdobną poduszką haftowaną przez mamę. Rebecca długo przemierzała pokoje, starając się dokonać wyboru. Prawdę mówiąc, nie miała ochoty zabierać czegokolwiek. Wszystkie przedmioty zgromadzone w tym domu zdawały się obciążone emocjami, których nie chciała przeżywać ponownie: otępiającą nudą, stagnacją ambicji życiowych i kompletnym brakiem radości. Po namyśle wybrała kilka narzędzi ogrodniczych oraz kilkanaście ulubionych książek, czytanych w dzieciństwie. Narzędzia były bardzo dobrej jakości. W ciągu ostatnich lat życia pani Fainlight, matka i córka podzielały zainteresowanie ogrodem. Siostry oddały meble na potrzeby Ochotniczej Służby Kobiet, a dom został sprzedany.

Śmierć matki i koniec wojny pozostawiły Rebecce w stanie dużego niepokoju. Postanowiła nie wracać do Mayfield Farm. Chociaż spędziła tam siedem lat, zawsze traktowała to miejsce jako tymczasową przystań. Czowała, że musi obrać inny kierunek, znaleźć nowy cel w życiu. Zaczęła szukać dla siebie domu, lecz po wojnie rynek nieruchomości przeżywał kryzys i musiała uzbroić się w cierpliwość. Czekala ponad rok.

Jesienią 1946 roku pośrednik handlu nieruchomościami przesłał jej plik informacji na temat domku pomiędzy Andover a Hungerford. Wziąwszy klucze od agenta, Rebecca pojechała samochodem na północny zachód wąskimi, krętymi drogami Hampshire. Podobały jej się widoczne za oknami malownicze krajobrazy z lasami i kredowymi wzgórzami.

Niestety, sam domek, zbudowany z cegły w latach dwudziestych, prezentował się nieciekawie. Niewielki, kwadratowy i przysadzisty, był niemal wyzywająco pozbawiony uroku. Jedynie warsztat przy domu sprawił, że Rebecca zdecydowała się dokładnie obejrzeć całość. Zbudowany z czerwonej cegły, podobnie jak dom, lecz pokryty blachą falistą, przed wojną służył za kuźnię.

Gdy otworzyła drzwi, ze środka wyleciał szpak. Wewnątrz było ciemno; należało wziąć latarkę. Oczy Rebekki powoli przyzwyczajały się do mroku. Zobaczyła wiadro z blachy ocynkowanej, zardzewiałe narzędzia i bronę, przypominającą szkielet prehistorycznego stwora. Kamienna posadzka była szara od popiołu w miejscu, gdzie dawniej stało kowadło. Nieco dalej piętrzyły się sterty przesiąkniętych wilgocią gazet i butwiejącej słomy, a przez dziury w dachu jaśniały skrawki nieba. Odgarnąwszy pajęczynę, Rebecca przetarła brudne okno rękawiczką. Do wnętrza przedostało się więcej światła. W tym momencie postanowiła, że przeznaczy to pomieszczenie na pracownię szkła artystycznego. Tylna ściana będzie przeszkłona. Na kamiennej posadzce stanie piec do wypalania, a całą szerokość bocznej ściany zajmie stół warsztatowy.

W czasie wojny nieruchomość została zarekwirowana na potrzeby RAF-u i w domu pozostały różne przedmioty z tego okresu, takie jak wisząca na

kołku maska gazowa czy lornetka w skórzanym futerale. Budynek składał się z kuchni, salonu, jadalni i dwóch sypialni. Na szczęście była tu także toaleta, lecz nie pomyślano o pomieszczeniu na łazienkę. Za domem znajdował się ogród, zarośnięty od dawna niekoszoną trawą, gąszczem jeżyn i pokrzyw. Dalej rósł bukowy las. Rebecce spodobało się to, że nie ma między nimi wyraźnej granicy.

Nieruchomość kosztowała pięćset dwadzieścia funtów. Z pieniędzy uzyskanych za dom matki Rebecce przypadło około trzystu pięćdziesięciu funtów. Miała też na koncie sporą sumę otrzymaną po sprzedaży Mili House. W ciągu lat spędzonych w Mayfield Farm wydawała bardzo niewiele i pracowała w zamian za wikt i mieszkanie. Mogła pozwolić sobie teraz na kupno domu. W następny weekend przebiła inne oferty na aukcji. Po załatwieniu wszystkich papierkowych formalności poleciła, by przewieziono jej rzeczy z Mili House, przechowywane w magazynie, do nowego domu. Ujrawszy ponownie wszystkie krzesła, stoły i kanapy, kupione w czasach małżeństwa z Milem, pomyślała, że jest skazana na to, by straszyły ją upiory przeszłości. Nigdy nie można całkowicie uciec od wspomnień z minionych etapów życia. Mimo wszystko lubiła swoje serwisy i sztuce oraz akcesoria kuchenne, garnki dobrej jakości, naczynia ze szkła i porcelany, a poza tym nie będzie już musiała płacić za ich składowanie.

W pogodne wieczory patrzyła z okna kuchni na zające, skaczące po trawie. Czasami z gałęzi sfrunęła sójka, trzepocząc niebiesko-czarnymi skrzydełkami. Listonosz i mieszkańcy wioski zawsze nazywali budynek kuźnią - i tak już pozostało. Urządziła dom, a następnie zajęła się warsztatem. Wyniosła i spaliła śmieci, a bronę wywlokła w głębokie trawy. W takim otoczeniu zardzewiałe narzędzie nabrało charakteru rzeźby. W

załomach ścian i dachu znajdowały się liczne ptasie gniazda, były też szczury. Pożyczyła od farmera strzelbę i zlikwidowała gryzonie, po czym zaczęła jeździć po okolicy w poszukiwaniu blachy do naprawy dachu. Po wojnie brakowało materiałów budowlanych; brakowało zresztą wszystkiego, nie wyłączając żywności. Rebecca założyła więc grządkę warzywną i zbierała jeżyny z krzewów. Znalazła cieślę, który wykonał ramę okienną na całą długość i wysokość tylnej ściany budynku, oraz bystrego chłopaka ze wsi, by pomógł jej postawić piec. Potem urządziła warsztat i zabrała się do pracy.

Po zwolnieniu z marynarki Lewis, wraz z tysiącami innych zdemobilizowanych żołnierzy, szukał pracy. Zatrudnił go przyjaciel, prowadzący warsztat samochodowy w Bristolu, ale po trzech miesiącach zastoju w branży, wobec mniejszych przydziałów benzyny i braku materiałów do produkcji nowych samochodów, Lewis zwolnił się z pracy. Wyjaśnił Freddie, że nie zamierza markować roboty ani siedzieć z założonymi rękami tylko dlatego, że jego przyjaciel, człowiek o złotym sercu, chce mu pomóc.

Gdy wrócili do Londynu, ich życie nabrało tempa. Trafiały się coraz to nowe rozrywki. Byli na przyjęciu wydanym przez Leavingtonów z okazji chrzcin ich syna, spędzili kilka wesołych, hałaśliwych wieczorów z przyjaciółmi z marynarki. Freddie zaproponowała, by także urządzili kolację - wypadło się zrewanżować za kilka zaproszeń - Lewis jednak rozejrzał się tylko po ich skromnym mieszkanku i orzekł, że powinni zaczekać do czasu, gdy będzie im się lepiej powodzić. Freddie chciała powiedzieć, że ludzie nie zwracają uwagi na to, czy porcelanowe naczynia pochodzą z tego samego kompletu i nie przeszkadza im ścisk przy stole, zauważyła jednak, że na

twarży męża pojawił się dobrze jej znany wyraz rozgoryczenia, rozdrażnienia i smutku.

Wreszcie Lewis znalazł pracę komiwojażera i zaczął jeździć po kraju, sprzedając książki kucharskie. Był w tym doskonały. Przystojny i wygadany, bez trudu oczarowywał gospodynie domowe, otwierające mu drzwi. Mówił Freddie, że porządna, współczesna książka kucharska jest bardzo potrzebna, bo wszystkie kobiety, które były w wojsku albo pracowały w fabrykach, wróciły teraz do domów i nie miały pojęcia o gotowaniu. W miarę upływu miesięcy jego entuzjazm przygasł jednak. Długie okresy nieobecności w domu, noclegi w ponurych pensjonatach, nieregularne posiłki, niska płaca i brak życia towarzyskiego na odpowiednim poziomie - wszystko to bardzo go drażniło. Potem przyszedł nowy kierownik sprzedaży. Lewis ubiegał się o to stanowisko, ale otrzymał je przyjaciel szefa. Nowy kierownik był głupcem i gonił ich z miejsca na miejsce, skarżył się Lewis, nie kryjąc złości. Jednego dnia musiał być w Exeter, drugiego w Hull. Wkrótce potem złożył wypowiedzenie.

Przenieśli się do Southampton. Któregoś wieczoru w pubie Lewis spotkał byłego wojskowego, Barneya Goslinga. Barney był niemal zupełnie łysy. Kilkanaście kępek siwych włosów na różowej skórze przywodziło na myśl upierzenie młodej gąski. Był właścicielem magazynu „Boating and Fishing World”. Polubił Lewisa i zaproponował mu pracę w redakcji. Lewis miał pomagać w prowadzeniu biura, pisać artykuły, robić zdjęcia. Barney nie zatrudniał nikogo do rozprowadzania pisma, Lewis podjął się więc także tego zadania. W końcu znalazł pracę, która przypadła mu do gustu. Magazyn o niezbyt imponującym kilkutyśięcznym nakładzie sprzedawał się słabo, Lewis jednak był pewny, że to tylko chwilowe kłopoty. Myślał o tym, by

przeznaczyć pieniądze z odprawy na wpłatę zaliczki na dom w Southampton. Znaleźli się teraz w nowym kręgu towarzyskim przyjaciół Barneya, składającym się głównie z zapalonych myśliwych, wędkarzy i rybaków. Tessa nazwałaby ich „amatorami łowów”. Byli to właściciele ziemscy, którzy lubili rozrywki na świeżym powietrzu i mieli sforę psów oraz kilka koni. Freddie zauważyła, że w ich towarzystwie Lewis bardzo cenzuruje wiadomości na temat swego pochodzenia. Wspominał o przyjaciółach z Winchester, ale nigdy nie napomknął o swoich trzech ciotkach. Zawsze w pubie stawiał pierwszą kolejkę drinków czy też przynosił jakiś prezent dla gospodyni przyjęcia. Freddie bardzo się podobała jego hojność, martwiła się jednak o pieniądze. Ilekroć starała się porozmawiać o tym z mężem, zbywał temat machnięciem ręki. Zapewniał ją, że nad wszystkim czuwa i wszystko będzie dobrze. Dodawał przy tym, że nareszcie obracają się w odpowiednim towarzystwie.

Sześć miesięcy po ich przeprowadzce do Southampton Barney, który nigdy nie wylewał za kołnierz, pewnego wieczoru upił się tak, że ze łzami w oczach wyznał Lewisowi, iż magazyn przynosi ogromne straty, jest workiem bez dna, i w związku z tym Lewis musi odejść z pracy. Pożegnali się uściskiem dłoni. Po upływie dwóch tygodni Lewis rozpoczął pracę w biurze ubezpieczeniowym. Otrzymywał tam pobory o połowę mniejsze niż u Barneya. Kiedy podczas weekendów szli nad morze i spacerowali po kamienistej plaży, Freddie słuchała smutnych wynurzeń męża. Czuł się jak w pułapce. Nie mógł wytrzymać na biurowej posadzce, zmuszony do siedzenia przez cały dzień w jednym miejscu. Stale te same czynności nudziły go, nie musiał zbytnio angażować w swoją pracę intelektu ani energii i błądził myślami gdzieś daleko. „A nie są to dobre myśli, Freddie”,



mówił. „Rzuć tę pracę”, odparła, ujmując jego twarz w dłonie i patrząc mu prosto w oczy. „Wymyślimy coś innego”.

W gazecie ukazał się artykuł na temat oficerów, podejmujących pracę w szkołach. Lewis nie mógł uwierzyć, że sam na to nie wpadł. Szkoła podstawowa w Leicestershire szukała nauczyciela matematyki i fizyki, napisał więc podanie o pracę i został przyjęty.

W tym okresie, jeżdżąc po kraju w poszukiwaniu lepszej posady, mieszkali w ciemnych, wilgotnych domach, pozbawionych elektryczności. Szkoła w Leicester oferowała nie tylko pracę, ale i mieszkanie. Pakując skromny dobytek, Freddie poczuła przyływ optymizmu. Miała nadzieję, że wreszcie ich los odmieni się na lepsze. Wyobrażała sobie przytulne gniazdko i malowniczą, pełną zieleni okolicę. Miała nadzieję, że Lewisowi spodoba się praca nauczyciela i że zapał oraz serce, jakie do tej pory wkładał w znacznie mniej tego warte zajęcia, rozpalą płomień entuzjazmu wśród uczniów. Zapewne znajdzie się też tam jakaś praca dla niej; będzie pomagać kierownicze internatu albo w kwesturze. Jej również trudno było się przyzwyczaić do nowych warunków, okropnie się nudziła i wymyślała sobie rozmaite prace w domu, by wypełnić dni, wlokące się w nieskończoność. Po kilku latach spędzonych w biurach i fabrykach nie radziła sobie z samotnością. Nie znosiła też kłótni, które wybuchały, ilekroć rozmawiała z Lewisem na temat podjęcia pracy. Jego zimny gniew ją przerażał, gdyż, prawdę mówiąc, nie znała dotychczas tej strony jego natury. W tych dniach wszelkie dyskusje łatwo przeradzały się w sprzeczki. „Nie nudziłabyś się”, powtarzał jej, „gdybyś miała dziecko”. Odpowiadała wtedy, że nie jest gotowa na macierzyństwo. „W takim razie kiedy będziesz gotowa?”, pytał.

Niedługo, odpowiadała. Nie chodziło o to, że w ogóle nie chciała mieć dziecka. Wiedziała jednak, przypominając sobie

Tesę i Angela, że dziecko wymaga ładu i porządku, podczas gdy ona i Lewis nieustannie się przemieszczali.

Przyszedł więc czas na szkołę. W otoczonej mgłą dolinie, położonej nieopodal Market Harborough, stało kilka niczym się niewyróżniających, rozrzuconych budynków. Nie zamieszkali w przytulnym gniazdku, tak jak wyobrażała to sobie Freddie. Zaoferowano im zimne, ciasne pomieszczenie na strychu jednego z domów. Po przyjeździe Lewis dowiedział się, że ma uczyć nie tylko matematyki i fizyki, ale również gry w rugby i wychowania fizycznego. Dodano mu też kilka godzin religii.

Wytrzymał dwa semestry. Coś nieokreślonego zatruwało atmosferę w szkole. Dyrektor i jego zastępca, weterani pierwszej wojny światowej, nie znosili małych chłopców. Za to nauczyciel francuskiego lubił ich aż za bardzo i miał zwyczaj zapraszać ulubieńców na herbatę do swego gabinetu. Przesuwał dłonią po ich jasnoblonde kędziorach albo gładził uda. Inni nauczyciele byli cyniczni, pili albo mieli zszarpane nerwy. Szkoła mogła istnieć dzięki niewygórowanym opłatom za naukę oraz dlatego, że ojcowie uczniów, wojskowi albo biznesmeni pracujący za granicą, byli przeważnie kolegami ze szkolnej ławy. Uważali, że skoro sami musieli cierpieć, to ich synowie również mogą się trochę pomęczyć. Tak przynajmniej odbierała ich postawę Freddie.

Lewis zupełnie nie pasował do tego towarzystwa. Przystąpił do pracy z wielkim zapałem. Zorganizował turniej rugby, a wieczorami czytał Biblię, przygotowując się do lekcji religii. Szara, ponura atmosfera tego miejsca z

czasem jednak odcisnęła na nim swe piętno. Zaczął pić, źle sypiał. Przestał się zwierzać Freddie ze swych problemów. Kiedy próbowała z nim rozmawiać, odwarkiwał jej niegrzecznie. Chociaż nie płakał jak biedny Barney, czuła, że szkoła pomału wysysa z niego wszystkie soki.

Ich życie toczyło się według schematu z dnia ślubu, pełnego rozczarowań i zawiedzionych nadziei. Jednak z nich dwojga to Freddie potrafiła dostosować swoje oczekiwania do życiowych realiów. Lewis uważał, że wszystkie te lata spędzone na przemierzaniu lodowatego Atlantyku tam i z powrotem, pełne napięcia i grozy, uprawniały go do czegoś lepszego niż ciąg nisko płatnych, przygnębiających zajęć. Świadomość, że tysiące mężczyzn, którzy walczyli na wojnie, po jej zakończeniu znalazło się w podobnie trudnej sytuacji, nie przynosiła mu pociechy. Freddie nie obwiniała Lewisa o rozgoryczenie i zdenerwowanie, uważając, że każdy na jego miejscu czułby się tak samo, było jej jednak przykro, że nie potrafi go pocieszyć, a te wszystkie kłopoty oddalają go od niej. Wciąż kochała męża, pamiętając Lewisa śpiewającego dla niej w pubie, Lewisa kochającego się z nią w dniu ślubu w pokoju w kolorze akwamaryny, czasami jednak zadawała sobie pytanie, czy ten wiecznie rozdrażniony, pielęgnujący urazy Lewis odwzajemnia jej uczucie.

W jednym z londyńskich muzeów znajdowały się naszyjniki mające ponad dwa tysiące lat. Niebieskie paciorki leżały obok szklanych ryb, żab i pulchnej nagiej kobiety z nakrapianymi skrzydłami. Była tam szklana misa w kolorowe paski podobne do prążków w kamieniach oraz włoski talerz ozdobiony kwadracikami i kreskami jak mieszanka cukierków z lukrecją. Wszędzie stały butelki, wazy i wazon-y Lalique, przezroczyste jak lód, z dnem zdobionym motywami dmuchawca.

Wiosną 1947 roku Rebecca pojechała na wschodnie wybrzeże Szkocji, by wziąć udział w warsztatach grupy twórców, zajmujących się szkłem artystycznym. Uczyła się technik wytopu szkła w piecach, jego formowania, odlewania, polerowania i piaskowania. John i Romaine Pollen wrócili ze Stanów i zamieszkali w Kornwalii, w St Ives, niedaleko Wainwrightów, tak więc latem Rebecca wybrała się do nich w odwiedziny. Wraz z Romaine spacerowały ścieżkami na klifach, a w dole fale rozbijały się o skały, rozbryzując białą pianę. John Pollen nauczył ją technik wytwarzania form ceramicznych, Romaine zaś poleciła jej londyńską galerię, w której wystawiała swoje prace.

„Ty ciągle rysujesz tylko te garnki i talerze, Rebecca”, powiedział kiedyś Connor Byrne i w pewien sposób jego słowa wciąż były aktualne. Lubiła korzystać z najprostszycch źródeł inspiracji, by stworzyć coś naprawdę pięknego. Miała niewielkie metalowe patelnie, na których smażyła naleśniki w czasach słynnych przyjęć w Mili House. Teraz służyły jej jako formy do szklanych talerzy. Kupiła tafle szkła okiennego od handlarza materiałami budowlanymi i umieściła między ich warstwami pasma miedzianego drutu, by pierzaste liście przebijały się przez zielonkawą, falistą powierzchnię.

„Próbowałam umieścić suszone liście pomiędzy warstwami przezroczystego szkła”, napisała do Connora. „W procesie wypalania liście spłonęły i zostało po nich jedynie coś, co wygląda jak duch liścia”.

Po wojnie Connor został w Irlandii. Aoife źle się czuła, miał też kłopoty z Brendanem, który otrzymał ostrzeżenie od policji.

„To nic poważnego”, pisał Connor, „ale pamiętam siebie w jego wieku i wiem, jak bardzo można się zagubić, jeśli popadnie się w nieodpowiednie

towarzystwo". Nie mógł się doczekać spotkania z Rebeccą i żałował, że tak długo się nie widzieli.

Pewnego ranka, gdy pracowała w warsztacie, przyszedł list. Otworzyła kopertę i natychmiast poznała pismo Meriel. Siostra zawiadamiła ją, że zaręczyła się z doktorem Hughesem i wkrótce zamierzają się pobrać.

Freddie i Lewis mieszkali w Lymington w Hampshire, na południowym wybrzeżu, po zachodniej stronie cieśniny Solent. Dawny kolega z marynarki, Jerry Colvin, otworzył tutaj warsztat szkutniczy. Mewy nurkowały, kwiliły, a przybrzeżne równiny błotne lśniły jak lukier. Jerry budował łodzie jeszcze przed wojną i był kapitanem pierwszej korwety, na której pływał Lewis. Jerry twierdził, że szkutnictwo to doskonały interes. Gdy tylko kraj ponownie zaczął stawać na nogi, wszyscy chcieli mieć małe jolki albo jachty, by popływać w weekendy. Freddie lubiła Jerry'ego. Był spokojny i uczynny, choć jednocześnie odrobinę szorstki; czubki palców miał czerwone od otarć i obgryzione paznokcie.

Lewis powiedział jej, że oto nadarza mu się wymarzona okazja. Lubił konkretne zadania i nie bał się pobrudzić rąk, podejmując się trudnych fizycznych prac. Zamierzali podzielić się z Jerryem pracą przy sprzedaży. Jerry miał doskonałe kontakty. Postanowili, że Jerry zajmie się pracą papierkową, a jego cieśla, Walter, nauczy Lewisa rzemiosła. Warsztat szkutniczy mieścił się na nabrzeżu, niedaleko słynnych łaźni, w barakach z poczerńałego drewna. Pochylnia znajdowała się w większym; drugi został przeznaczony na biuro.

Kupili dom. Freddie martwiła się o zobowiązania finansowe, Lewis jednak nalegał. Twierdził, że każdy człowiek, chcący coś osiągnąć w życiu,

kupuje dom, by nie tracić pieniędzy na wynajem. Wierzył, że nareszcie osiągną stabilizację i należny im status społeczny. Przypomniał jej, że odłożył pieniądze z odprawy po zdemobilizowaniu na wkład własny potrzebny przy kupnie domu.

Wolno stojący, niewielki dom miał czerwony dach i znajdował się na południowych obrzeżach Lymington. Z okien na piętrze widać było morze. Freddie lubiła patrzeć, jak zmieniał się w zależności od słońca i wiatru. Jednego dnia lśniło jak lazurowy jedwab, a innego toczyło potężne, wzburzone fale o białych grzywach. Pomyślała, że to dobre miejsce na osiedlenie się i rozpoczęcie nowego życia.

Cieszyła się, gdy Lewis wracał do domu z warsztatu, pogwizdując wesoło, a czasami, zamknąwszy za sobą drzwi, brał ją na ręce i niósł na piętro do sypialni. Często odwiedzała go w południe w pracy. W pogodne dni siadali wtedy na zewnątrz, tak by mieć widok na cieśninę, i jedli kanapki, przyniesione przez Freddie. Jeśli padało, chowali się w hangarze, pachnącym solą i smołą. Kiedy Jerry był w mieście, a Walter miał wolny dzień, kochali się tam, w panującym wokół mroku, słysząc pluskanie wody o pochylnię. Lewis w niczym nie przypominał tego rozdrażnionego, obcego jej mężczyzny, jakim do niedawna był, i Freddie znów się w nim zakochała.

Nalegał, by Freddie znalazła sobie dziewczynę do pomocy w domu, a w sobotnie wieczory wychodzili na kolacje albo na przyjęcia. Towarzysko usposobiony, czarujący Lewis nawiązał znajomości w środowisku bankierów, prawników i biznesmenów. Jego nowi przyjaciele przychodzili ze swymi żonami do małego domku z czerwonym dachem na kolacje i koktajle. Freddie nie znajdowała wspólnego języka z tymi kobietami, lecz

bardzo się starała. Chwaliła ich stroje i uczesania, pytała grzecznie o rodzinę. Tamte przeważnie rozmawiały o dzieciach i ogrodach. Freddie nigdy dotąd nie miała ogródka i nie wiedziała, jak się nim zajmować. Dobrze знаła tylko ogród willi Millefiore w Fiesole, ale nie wierzyła, by udało jej się odtworzyć jego dekadencją elegancję na kwadratowym splechietku ziemi w Hampshire.

Po mniej więcej sześciu miesiącach Lewis przestał jednak pogwizdywać, wracając z pracy do domu, i nie życzył sobie, by Freddie odwiedzała go w warsztacie. Pracował coraz dłużej, również w weekendy. Freddie otrzymywała coraz mniej pieniędzy na prowadzenie gospodarstwa. Lewis bardzo ją za to przeproszał. Jakaś transakcja, na którą Jerry bardzo liczył, nie doszła do skutku, ale z pewnością wkrótce wszystko wróci do normy. Freddie zrezygnowała ze swojej pomocnicy. Jakoś dawali sobie radę, zaczynała jednak czuć, że grunt usuwa im się spod nóg.

Ubierając się do ślubu, Meriel rozdarła paznokciem pończochę.

- O, Boże! - zawołała. - Moja jedyna porządna para!
- Dam ci swoją - zaproponowała Rebecca.
- Nie, nie. Włożę te fildekosowe.
- Nonsens. - Rebecca zdjęła pończochę i podała siostrze. - Weź.

Siedziały w mieszkaniu Meriel w Westdown School. Meriel miała na sobie chabrowy żakiet i spódnice, białą bluzkę oraz kapelusz. Po zmianie pończochy spojrzała w lustro i wygładziła spódnice.

-Jak sądzisz...

Rebecca otworzyła puderniczkę i upudrowała nos.

-Co?

- Uważasz, że dobrze robię? Czy wychodzenie za mąż w wieku pięćdziesięciu jeden lat nie jest śmieszne?

- Wcale nie. Myślę, że to cudowne. - Rebecca uściskała siostrę. - Tak pięknie wyglądasz...

- Och, nie opowiadaj bzdur. - Meriel zamyśliła się na chwilę. - A nie uważasz, że popełniam nielojalność wobec Davida?

David Rutherford był narzeczonym Meriel. Zginął w bitwie nad Sommą.

- Myślę, że David chciałby, żebyś była szczęśliwa.

Meriel rozprowadziła szminkę na ustach.

- Żałuję, że nie ma tu z nami mamy.

Rebecca zatrzasnęła puderniczkę.

- Tak. Chociaż na moim weselu zachowywała się okropnie. Pamiętasz?

- Narzekała na jedzenie i była bardzo nieuprzejma w stosunku do Mila. A jak ty się czujesz? Nie przeszkadza ci to całe zamieszanie? Ciężko się napracowałam.

Rebecca zorganizowała przyjęcie, które miało się odbyć w domu doktora Hughesa, zamówiła jedzenie i zrobiła tort weselny dla Meriel. Czuła jednak, że siostrze nie o to chodzi. Meriel chciała wiedzieć, czy Rebecce nie jest przykro, że siostra wychodzi za mąż, podczas gdy jej małżeństwo z Milem



zakończyło się rozwodem. Czy aby nie ma pretensji do losu z powodu tak nieoczekiwanego obrotu spraw.

- Naprawdę jestem po prostu szczęśliwa i nie czuję nic więcej.

Rozległ się sygnał klaksonu. Rebecca wyjrzała przez okno.

- To nasza taksówka. - Popatrzyła na Meriel. - Jesteś gotowa?

Siedząc w samochodzie obok siostry, Rebecca popatrzyła na swoje ręce. Były zgrubiałe i zeszpecone drobnymi skaleczeniami. Powinna była znaleźć czas na manikiur, pomyślała. Marzyła, by zapalić papierosa. Czowała się nieswojo w spódnicy i żakiecie. Ostatnio chodziła niemal wyłącznie w sztruksowych spodniach i flanelowych koszulach. Na ślub siostry postanowiła włożyć kostium w kolorze wiśniowym, kupiony u Selfridge'a jeszcze przed wojną. Od tego czasu schudła i musiała zwęzić spódnicę w pasie oraz zrobić zaszewki w żakiecie. Wełniany kostium był trochę za ciepły na pogodny sierpniowy dzień i Rebecca czuła znajome gorąco rozchodzące się po całym ciele. Miała ochotę zedrzeć z siebie to krępujące ruchy, niewygodne ubranie.

Położyła bukiet Meriel na siedzeniu pomiędzy nimi.

- Mogę otworzyć okno?

Meriel również wydawała się zmęczona duchotą.

- Oczywiście. Czuję się jak gorący pudding.

Rebecca opuściła szybę i wysunęła głowę, by poczuć na twarzy ożywczy powiew. Doskonale rozumiała obawy Meriel. Podejrzewała, że wynikają one z niepewności co do roli kobiety na tym etapie życia. O dwa lata

młodsza Rebecca, która weszła w okres menopauzy i była po rozwodzie, obawiała się prób zatrzymania za wszelką cenę resztek młodości. Artykuły i zdjęcia w żurnalach, a także stroje na wystawach sklepów podkreślały piękno młodości i zarazem dawały do zrozumienia, że w wieku czterdziestu czy pięćdziesięciu lat kobieta nie musi już nadążać za wymogami mody. Nie może się też łudzić, że stanie się obiektem zainteresowania płci przeciwnej. Powinna zapomnieć o rozkoszach cielesnych. Ta myśl wprawiła ją w przygnębienie, chociaż już jakiś czas temu pogodziła się z faktem, że najprawdopodobniej resztę życia spędzi w pojedynkę. Connor wciąż przebywał w Irlandii. Uczucia, którymi go darzyła, wydawały jej się teraz śmiesznymi fantazjami samotnej kobiety, wyolbrzymiającej rzeczywisty obraz znajomości.

Nie mieli już wermutu, a Lewis uparł się, że koniecznie muszą go podać. Freddie miała wrażenie, że kilka dni temu butelka była jeszcze w połowie pełna, ale widocznie się pomyliła.

Zajrzała do portmonetki. Szyling i trzy pensy. Butelka wermutu kosztowała około siedmiu szylingów. Otworzyła torebkę i znalazła na dnie pensa oraz pół pensa. Następnie sprawdziła kieszenie płaszcza i misę z mosiądzu na stoliku w holu, do której Lewis czasami wrzucał drobne monety. Kieszenie i misa były puste.

Otworzyła szufladę kuchenną. Odkładała do niej pieniądze dla mleczarza i piekarza. Nawet gdyby wyjęła teraz cztery sześciopensówki, wciąż brakowałoby trzech szylingów. Na stole stały już przygotowane kanapki, a umyte, wysuszone i wypolerowane kieliszki czekały na ociekaczu. Freddie przez chwilę ssła paznokieć, zastanawiając się, co robić. Potem przeszła do

salonu i przesunęła dłonią wzdłuż kanapy, w nadziei, że jakieś monety mogły wpaść pomiędzy poduchy, lecz wyciągnęła jedynie opakowanie od cukierka i ołówek. Drobne pieniądze od dawna już nie poniewierały się po ich domu; teraz starannie liczyli każdego pensa.

Mogła pójść do warsztatu i spytać, czy Lewis ma jakieś pieniądze, woląла jednak tego nie robić. Ostatnio bardzo nie lubił, gdy przeszkadzano mu w pracy. Poza tym w warsztacie mogli być Jerry i Walter, a w żadnym razie nie chciała upokarzać męża pytaniem o pieniądze w obecności kolegów z pracy. Brała też pod uwagę możliwość, że nie miał ani pensa. Zastanawiała się, czy rzeczywiście muszą mieć wermut, trudno jednak sobie wyobrazić przyjęcie koktajlowe bez tego trunku.

Weszła na piętro do sypialni i usiadła na łóżku. Monety wypadły jej z ręki na kołdrę. Popatrzyła na oprawioną w ramki fotografię ślubną, stojącą na toalecie. Lewis w mundurze marynarki, ona w fioletowym płaszczyku. Uczesała się i starannie umalowała usta szminką, zebrała monety i zeszła na parter.

Na zewnątrz silny wiatr zrywał liście z drzew. Słone błota na obrzeżach cieśniny były przesiąknięte wodą niezależnie od pogody. Morze i ląd zlewały się ze sobą w zatoczkach, u ujścia rzeki i na brzegach porośniętych trzcina. W porze odpływu rzeka zmieniała się w wąski kanał wijący się pomiędzy błotnymi równinami. Freddie bardzo lubiła dom, lecz tutejszy krajobraz wydawał jej się obcy. Morze żarłocznie wdzierało się w ląd, a porywisty wiatr zdawał się jakby ze stali.

Była pora odpływu. Morze mieniło się różnymi barwami, chmury rzucały cienie na bagna. Łąd sprawiał wrażenie czegoś nietrwałego, przemijającego, gotowego w każdej chwili rozpląnąć się w nicość.

Tego wieczoru nawet nie próbowała nawiązać rozmowy z przyjaciółmi Lewisa. Częstowała gości kanapkami, gdy mąż nalewał drinki, i przez cały czas myślała, że to przyjęcie jest szopką, odgrywaną, by pokazać innym, że prowadzą dostatnie, interesujące życie, podczas gdy musiała szukać drobnych monet pomiędzy poduchami kanapy. Żony rozmawiały o kłopotach ze służbą. Freddie włożyła brudne talerze do zlewu i zapatrzyła się w okno na atramentowe chmury gnane wiatrem po opalizującym niebie.

Okolo wpół do dziewiątej goście zaczęli wychodzić. Wypowiedziano liczne formuły pożegnalne, połączone ze wstępnymi zaproszeniami na kolacje i drinka; potem rozległ się szmer odjeżdżających samochodów. Lewis zamknął drzwi, Freddie zaniósła tacę do salonu. Pomyślała, że powinna teraz powiedzieć, że przyjęcie było bardzo udane, mimo że miała na ten temat inne zdanie. Nie odezwała się jednak i w milczeniu zaczęła ustawiać kieliszki na tacy.

Lewis nalał sobie drinka.

- Powinnaś się bardziej postarać.

Popatrzyła na niego ostro.

- Bardzo się starałam. Przez cały dzień sprzątałam i gotowałam.

- Nie to miałem na myśli. - Zatoczył szeroki łuk ręką. Ten ruch świadczył, że Lewis za dużo już wypił. - Chodzi mi o to, że prawie w ogóle się nie odezwałaś.

- Byłam zmęczona.

- Zmęczona? Na litość boską, Freddie, wszyscy jesteśmy zmęczeni.

Pracuję siedem dni w tygodniu.

Usiłowała opanować rosnące poirytowanie. Usiadła.

- Martwię się, Lewis.

- Naprawdę? A niby o co?

- Głównie o pieniądze.

- Pieniądze! - Roześmiał się. - Nie masz powodu się o nie martwić.

- Nie miałam za co kupić butelki wermutu. Musiałam powiedzieć Ronniemu w pubie, że resztę pieniędzy przyniosę jutro.

- Raczej pod koniec miesiąca. Albo pod koniec roku. Zaniepokoiło ją jego dziwne spojrzenie. Nie potrafiła

wyczytać z jego oczu, czy jest zły, czy się z niej śmieje. Pomyślała, że żartował.

- To nie jest śmieszne.

- Owszem, nie jest. - Podniósł butelkę whisky.

- Napijesz się?

- Nie, dziękuję.

- Po prostu musisz bardzo rozsądnie prowadzić dom - oznajmił.

Rozsądnie prowadzić dom! Przez całe życie starannie planowała wydatki. Doświadczenia matki i Tessy nauczyły ją wielkiej ostrożności.

- Nie dajesz mi odpowiedniej sumy, Lewis. To, co od ciebie dostaję, nie wystarcza na prowadzenie domu, jeśli chcesz wydawać przyjęcia.

Niespodziewanie kucnął obok niej, opierając dłoń na poręczy fotela.

- Nie mam więcej pieniędzy, Freddie - powiedział, patrząc jej w oczy. - Nie mogę ci więcej dawać. Rozumiesz?

Zszokowana, powiedziała szybko: -Chodziło mi jedynie o pięć, dziesięć szylingów... tylko tyle.

- Przepraszam, ale nie mam nawet pięciu szylingów.

- Odsunął się od niej. - Warsztat plajtuje.

Teraz to ona musiała się napić. Nalała whisky do szklaneczki, wypła łyk i popatrzyła na męża.

- Chyba żartujesz - powiedziała. - Po prostu macie gorszy okres w pracy. Niedługo Jerry znów będzie miał więcej zleceń.

- Nie widziałem Jerry'ego od trzech tygodni.

Freddie popatrzyła na niego zdumiona.

- Jak to?

- Właśnie tak. Ostatnio był w warsztacie trzy tygodnie temu.

- Gdzie teraz jest?

- Nie mam pojęcia.

- Przecież musisz wiedzieć.

- Naprawdę nie wiem. Nie widziałem go. Nie napisał ani słowa, nie zadzwonił.

- Przecież ma tu dom...

- Nie ma go w domu. Dom jest zamknięty, zasłony zaciągnięte. - Lewis napełnił szklaneczkę i położył się na kanapie. Podłożył sobie poduszkę pod głowę, postawił szklankę na piersi i zamknął oczy. - Jerry dał nogę - powiedział wolno. - Albo popełnił samobójstwo i leży martwy w sypialni.

- Nie drwij sobie - skarciła go ostro.

- Nie żartuję. Myślałem już o tym, żeby się tam włamać. - Otworzył oczy i popatrzył na zegarek. - Może nawet jeszcze dzisiaj.

- Lewis!

- Nawet jeśli nie wykitował, muszę się dostać do ksiąg rachunkowych. Jerry pewnie je zabrał z biura do domu.

- Trzy tygodnie... - szepnęła w osłupieniu. - Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Nie chciałem cię martwić. Wiem, jak cierpisz z powodu naszych kłopotów finansowych, jak ich nienawidzisz.

To była prawda. Te same doświadczenia, które nauczyły ją oszczędności, sprawiły, że panicznie obawiała się długów. Poczwała pałący wstyd. Czyżby była aż tak surowa w swoich sądach i tak bardzo bała się życia w ubóstwie, że nie potrafiła okazać mężowi współczucia,

doprowadziła do tego, że bał się jej zwierzyć z kłopotów? A może po prostu był na to zbyt dumny?

- Mimo wszystko powinnam o tym wiedzieć - upierała się.

Wzruszył ramionami.

- Miałem nadzieję, że lada chwila coś się trafi. To dlatego tak mi zależało na dzisiejszym przyjęciu. Tim Renwick już od kilku miesięcy przymierzał się do kupna jachtu. Cholerny kutwa, właśnie mi powiedział, że się rozmyślił.

Freddie przysiadła na brzegu kanapy i popatrzyła na męża. Miał usta wygięte w podkówkę i mętne oczy.

- Pozwól sobie pomóc, Lewis. - Westchnęła.

Ujął jej dłoń i pocałował.

- Wystarczy, że będziesz się uśmiechać. To dla mnie najlepsza pomoc, kochanie.

- Miałam na myśli to, że mogłabym poszukać pracy.

Puścił jej rękę.

- Nie zaczynaj znowu! - rzucił ze złością.

- Musimy myśleć rozsądnie. Mogłabym pracować w niepełnym wymiarze godzin.

- Nie, Freddie.

- Lewis, ja chcę pracować. Ja to lubię.



- Powiedz mi, co na przykład mogłabyś robić?

Wzruszyła ramionami.

-Wszystko. Nie jestem wybredna... Poszukam pracy w sklepie, w biurze, przy sprzątanii...

- Sprzątanii! - wykrzyknął. - Moja żona miałaby zostać sprzątaczką?! - Zmrużył oczy. - Co by sobie ludzie pomyśleli?

- Nie obchodzi mnie to. Nie możemy wybrzydzać, potrzebujemy pieniędzy. Sam przed chwilą to przyznałeś.

Zerwał się na nogi.

- To małe miasto - powiedział lodowatym tonem.

- Nigdy więcej nie zostaniemy nigdzie zaproszeni, jeśli ludzie pomyślą, że kazałem ci sprzątać dla zarobku.

- W takim razie mogę wam pomagać w warsztacie. Skoro Jerry nie przychodzi do pracy, ktoś musi prowadzić rachunki. Pracowałam w biurze i znam się na tym. Dzięki temu będziesz miał więcej czasu na zdobywanie zamówień.

- Nie. - Lewis dopił whisky i usiadł. - Ty wciąż czegoś nie rozumiesz. Nie prosiłem cię o rękę po to, żebyś wysługiwała się mnie albo komuś innemu. To jest mój azyl! - Uderzył pięścią w otwartą dłoń. - To! Nasz dom, w którym zrzucam z siebie wszystkie brudy tego świata. Nasz dom i ty!

Przestraszona Freddie powiedziała szeptem:

- Przecież bardzo rzadko tu bywasz, Lewis. Cały czas pracujesz. A kiedy już jesteś, prawie się do mnie nie odzywasz.

- Gadasz bzdury.

- Chodzi mi o to, że nie rozmawiamy tak, jak powinniśmy. Nie wspomniałeś mi o Jerrym... Ukrywasz przede mną tak ważne wiadomości. Nie powinieneś tego robić.

- Powiedziałem ci już, że nie chciałem cię martwić.

- Odstawił pustą szklaneczkę na stół. - Poradzę sobie, ale sam, tak jak uznaję za stosowne i w swoim czasie.

Przeszedł do holu i włożył płaszcz.

- Gdzie idziesz? - spytała.

- Do domu Jerry'ego. Może znajdę tam jakiś ślad, żeby móc się domyślić, gdzie się podziewa ten sukinsyn.

Lewis wyszedł. Padał deszcz i droga była mokra.

- Lewis! - zawołała, lecz zdążył już zamknąć za sobą drzwi. Wróciła do salonu, nalała sobie kolejną porcję whisky i szybko wypila, mimo że zrobiło jej się niedobrze.

Kiedy obudziła się rano, nie leżał obok. Musiał wrócić w nocy, ponieważ kołdra po jego stronie łóżka była pognieciona, a na wieszaku wisiał garnitur z przyjęcia. Lewis był bardzo schludny. Pozostało mu to po służbie w marynarce.

Freddie usiadła na łóżku. Bolała ją głowa. Musiała zasnąć natychmiast po wypiciu whisky - wciąż miała na sobie zegarek, bransoletkę i naszyjnik i czuła gorycz w ustach. Popatrzyła na zegarek. Było wcześnie, za dziesięć szósta. Przeszła do łazienki i spryskała twarz zimną wodą. Przypomniała sobie wczorajszą kłótnię, słowa wypowiedziane w złości. Powinna była uprzedzić Lewisa przed ślubem, że nie znosi kłótni i unika ich jak ognia.

Włożyła szlafrok i zeszła na parter. Było zimno, tak jakby jesień nagle doszła do wniosku, że czas zmienić się w zimę. Lewis gdzieś wyszedł. Była tego pewna, jeszcze zanim zajrzała do wszystkich pomieszczeń. Zawsze wiedziała, kiedy mąż jest w domu, podobnie jak w przypadku Tessy. Miało to związek z ich otwartością i temperamentem, którym szczerze obdarzali wszystkich dookoła, w przeciwieństwie do Freddie, zamkniętej w sobie i cichej.

Zaparzyła herbatę i wypila ją na stojąco, oparta o zlew. Stosy brudnych naczyń z przyjęcia piętrzyły się wszędzie. Pomyślała, że warto by je umyć, jednak nie czuła się na siłach. „Warsztat plajtuje. Jerry dał nogę”. Lewis często popadał w ponure nastroje i miał skłonność do widzenia wszystkiego w czarnych barwach. Z pewnością sytuacja nie jest aż tak zła, jak się tego obawiał. Pracował przez wiele godzin, nie szczędząc sił i energii, nic więc dziwnego, że aż tak bardzo się niepokoił. Czuł się też zdradzony - uważał Jerry'ego za przyjaciela.

Freddie pokroiła chleb, zrobiła kanapki i zawinęła je w pergamin, po czym wróciła do sypialni, by się ubrać. Potem wyszła z domu. Wiatr ustał, a słońce odbijało się w spokojnym, błyszczącym morzu. Widząc nad sobą czyste, błękitne niebo, poczuła przyływ sił. Pomyślała, że z pewnością

jakoś sobie poradzą, a ich sytuacja materialna wkrótce się poprawi. Wciąż się kochali i to było najważniejsze. Brakowało im tylko odrobiny szczęścia. Wolą nie pamiętać, że te płonne nadzieje żywiła nieustannie przez trzy i pół roku trwania ich małżeństwa.

Pojechała rowerem do warsztatu. Była pora przyływu i fale leniwie uderzały w drewniane wsporniki mola. Mewy przysiadły na szarej powierzchni morza, kutry rybackie, terkoczące silnikami, kołysały się w wąskim kanale. Na drewnianym słupie czarny kot wylizywał łapy.

Freddie oparła rower o ścianę i weszła do biura. Lewis siedział za biurkiem, na którym piętrzyły się sterty papierów. Uniósł wzrok.

- Przyniosłam ci kanapki - powiedziała, kładąc je na blacie. - Nie wiedziałam, czy zjadłeś śniadanie.

- Dzięki. - Był blady i wymizerowany. Wstał, wziął ją w ramiona i mocno przytulił. - Och, Freddie - wyszeptał. Pogładził ją po włosach. Poczula znajomy zapach jego skóry, zmieszany z wonią soli i smoły.

- Nie mam papierosów - powiedział. - A ty?

- Też nie mam. Jeśli chcesz, pojedę na stację i kupię w automacie.

- Nieważne. - Cofnął się o krok i popatrzył na nią uważnie. - Przepraszam, Freddie. Wybacz, że wczoraj wieczorem byłem taki podły. Nie powinienem złościć się na ciebie. To nie twoja wina, to ja jestem odpowiedzialny za nasze kłopoty.

Delikatnie pogładziła go po twarzy.

- Ja też cię przepraszam. Wiem, że bardzo się starasz, Lewis. Nie możesz się obwiniać o wszystko. Po prostu brak ci szczęścia.

Uśmiechnął się kwaśno.

- Zrobię kawę. Napijesz się?

- Chętnie.

Postawił czajnik na kuchence.

- Byłeś w domu Jerry'ego?

- Tak. - Ponownie się uśmiechnął. - Dokonałem sprawnego, klasycznego włamania.

- Znalazłeś coś?

- Księgi. Ale nie było śladu Jerry'ego. Żadnego trupa w wannie, dzięki Bogu. Nie znalazłem niczego, co mogłoby mnie naprowadzić na trop.

- A nie pomyślałeś, że może on próbuje...

- Co?

- Ożywić interes? Podróżuje, spotyka się z klientami i zapomniał cię powiadomić.

- To możliwe.

Stał zwrócony do niej tyłem i wsypywał kawę rozpuszczalną do kubków. Ułożenie jego ramion mówiło Freddie, że uważa jej hipotezę za nieprawdopodobną.

- Może zachorował - podpowiedziała, rozpaczliwie szukając wyjaśnienia.

Lewis podszedł do biurka.

- Znalazłem u niego w domu to. - Podał jej plik kopert. - Jerry nie ma dużej rodziny, ma tylko siostrę w Londynie. To są jej listy do niego. Przeczytałem je. Wiem, że nie powinno się tego robić, ale chciałem się dowiedzieć, co się dzieje.

- I dowiedziałeś się czegoś?

Pokręcił głową.

- Niczego istotnego. Ale znalazłem numer jej telefonu i pomyślałem, że do niej zadzwonię.

- Mogę to zrobić, jeśli chcesz. - Widząc, że mąż zamierza zaprotestować, dodała szybko: - Pomyślałam, że może czułaby się swobodniej, rozmawiając z kobietą.

Zastanowił się nad jej słowami.

- Chyba masz rację.

Woda się zagotowała, Lewis zrobił kawę. Freddie usiadła na krześle z płótna żaglowego.

- Powiedziałeś, że interes plajtuje, Lewis. Naprawdę jest aż tak źle?

- Nie. - Roześmiał się. - Jakoś z tego wybrniemy. Wczoraj w nocy... to było pijackie gadanie.

- Może Tim mimo wszystko zdecyduje się na kupno łodzi.

- Niewykluczone.

Sprawiał wrażenie wyczerpanego, chorego.

- Może skończ już na dzisiaj i trochę odpocznij? Widzę, że jesteś zmęczony. Jest taki piękny ranek, chodźmy gdzieś i zapomnijmy o kłopotach.

- Nie mogę. Muszę jakoś to wszystko rozgryźć. - Machnął ręką w stronę ksiąg, stosów rachunków i pokwitowań na biurku. - Boję się tego, co tam znajduje. Jerry zostawił straszny bałagan. Jak tylko się z tym uporam, pojedziemy do Londynu na weekend, spotkamy się z przyjaciółmi. Obiecuję, Freddie.

- Przynajmniej zjedz kanapki.

- Dobrze. Dziękuję.

Obserwowała go przy pracy. W drewnianym budynku było zimno. Była zadowolona, że włożyła płaszcz i rękawiczki. Powiodła wzrokiem po półkach za biurkiem, segregatorach i teczkach na dokumenty, księgach rachunkowych. Ostre białe światło znad cieśniny migotało w wąskich szczelinach pomiędzy deskami, z których zrobione były ściany.

W pewnej chwili Lewis uniósł wzrok znad biurka.

- Dlaczego to wszystko musi być takie trudne, Freddie? - Sprawiał wrażenie zrozpaczonego. - Choć raz mogłoby mi się coś udać. Przecież próbuję. Czasami myślę, że zostałem przeżuty, wypluty i rzucony na pastwę losu przez ten cholerny kraj. Chryste, gdybym miał dokąd uciec, zrobiłbym to bez chwili wahania.

Podeszła do niego, wsunęła mu palce we włosy i po-masowała kciukami napięte mięśnie karku. Lewis wtulił twarz w jej ramię i westchnął.

- Nie chcę ci sprawić zawodu.
- Nie sprawiasz mi zawodu, kochanie. Przestań o tym myśleć.
- Czuję się jak ostatnia oferma. Nie wiem, co zrobię, jeśli ten warsztat upadnie.
- Nawet jeśli tak się stanie, zaczniemy wszystko od nowa. Robiliśmy to już nieraz i zrobimy ponownie.

Popatrzył na nią i najwyraźniej zamierzał coś powiedzieć, lecz po chwili się rozmyślił.

- Jest bardzo źle? - spytała łagodnym tonem Freddie. -Możesz powiedzieć mi prawdę. Poczujesz się lepiej, jeśli będę o tym wiedziała.

Dźgnął palcem księgę zamówień.

- Nie mamy zamówień. Jeśli w ciągu kilku dni to się nie zmieni, będę musiał powiadomić Waltera, że nie mam dla niego pracy. Do tej pory zlecałem mu niewielkie naprawy.

- Może znajdziesz więcej takich prac, żeby jakoś przetrwać.
- Świetny pomysł. - Zmusił się do uśmiechu.
- Są jakieś długi? - W napięciu czekała na odpowiedź.

Lewis potarł podbródek.

- Tak, w banku.



- Ile jesteście winni bankowi?
- Jakieś pięćdziesiąt funciaków.

Pocałowała go.

- Pięćdziesiąt funtów to nie tak znów wiele - uznała, chociaż nie miała pojęcia, jak mogliby to spłacić. - Damy sobie radę, jestem tego pewna.

Wyraźnie poweselał. Posadził ją sobie na kolanach. Gdy się całowali, Freddie poczuła, że się odprężył.

- Zapewne robię z igły widły - rzekł. - Już wiem, co zrobimy. Zbuduję dla nas łódź i opłyniemy świat. Odwiedzimy wszystkie miejsca, o których marzyliśmy. Co o tym sądzisz, Freddie?

Po pewnym czasie wyszła z warsztatu i podjechała rowerem do budki telefonicznej w porcie.

Wybrała numer centrali. Siostra Jerry'ego, pani Davidson, mieszkała w Bayswater. Freddie poprosiła telefonistkę, by połączyła ją z numerem podanym w liście.

Rozległo się kilka sygnałów, po czym słuchawkę odebrał jakiś mężczyzna. Freddie zapytała, czy mogłaby porozmawiać z panią Davidson.

- A kto mówi?

-Nazywam się Frederica Coryton. Dzwonię z Lymington.

Po chwili milczenia mężczyzna zapytał:

- Z warsztatu?

- Tak. Chciałabym porozmawiać z panią Davidson w ważnej sprawie.  
To pilne.

- Zaraz ją poproszę. Proszę się nie rozłączać.

Freddie słyszała w tle piskliwe dziecięce głosiki i rozmowę dorosłych.  
Nie potrafiła rozróżnić słów.

Po dłuższym czasie ktoś podniósł słuchawkę.

- Mrs Davidson, słucham.

- Mówi Mrs Coryton. Dzwonię z...

- Wiem, z warsztatu. - Pani Davidson wypowiedziała te słowa rzeczowym tonem. - W czym mogę pomóc, pani Coryton?

- Miałam nadzieję, że uda mi się porozmawiać z pani bratem, Jerryem.

- Nie ma go tutaj.

- A czy nie wie pani, gdzie brat obecnie przebywa?

- Niestety, nie. Od dłuższego czasu nie miałam od niego wiadomości.

- A może pani wie, jak mogłabym się z nim skontaktować?

- Niestety, nie wiem. Przykro mi. Proszę mi wybaczyć, ale mam gości na lunchu.

Freddie podziękowała pani Davidson i odłożyła słuchawkę. Radosny nastrój, który ogarnął ją tego ranka, gdzieś się ulotnił. Wychodząc z budki, cała się trzęsła. Wsiadła na rower. Pani Davidson recytowała swoje kwestie jednym tchem, jakby wcześniej je przygotowała. Nie wykazała żadnego

zainteresowania losem brata. Freddie doszła do wniosku, że ta kobieta kłamała.

Była szósta wieczorem. Kończył się dżdżysty dzień, pokrywający Londyn smutnymi odcieniami szarości. Idąc Jermyn Street, Rebecca zauważyła mężczyznę w płaszczu, wychodzącego z hotelu Cavendish. Miał odkrytą głowę. Poznała go po charakterystycznym sprężystym chodzie.

- Milo! - zawołała.

Odwrócił się.

- Boże, Rebecca, co za niezwykle spotkanie! - Zmierzył ją badawczym spojrzeniem; pomyślała, że patrzył, czy bardzo się zestarzała.

- Co za niespodzianka. - Pocałowała go w policzek.

- Co ty robisz w Londynie, Milo?

- Sprawy wydawnicze... spotkanie z Rogerem. A ty?

- Jestem tu od kilku dni z wizytą u przyjaciółki.

- Zatrzymała się u Simone.

- To świetnie. Muszę przyznać, że wyglądasz doskonale.

- Ty też. - Chociaż przybrałaś na wadze, pomyślała.

Milo popatrzył na zegarek.

- Masz czas? Pójdziemy na drinka, Rebecca?

- Chętnie. Dziękuję.

Weszli do hotelu. Rebecca przeprosiła Mila i poszła do toalety. Spojrzawszy w lustro, przeczesła palcami włosy, poprawiła szminkę na ustach i lekko się przypudrowała. Potem przeszła do baru.

Milo zamówił dla niej dzin z cytryną, a dla siebie whisky z wodą sodową. Stuknęli się szklaneczkami, wznosząc toast.

- Kiedyś myślałem, że mieszanie whisky z czymś innym niż czysta woda jest okropnie prostackie. W Ameryce nauczyłem się pić whisky z wodą sodową.

- Nie masz amerykańskiego akcentu, mimo że mieszkasz tam już od dłuższego czasu.

- Ludzie lubią angielski akcent, więc się go trzymam. - Opadł na oparcie krzesła i popatrzył na Rebecę.

- Staram się obliczyć, ile lat upłynęło od naszego ostatniego spotkania.

- To było chyba u prawnika, jeszcze przed wojną. Okropna wizyta. A ja zachowywałam się bardzo brzydko wobec ciebie.

- Myślę, że na to zasłużyłem.

W jasnych światłach baru Rebecca zauważyła rzednące włosy Mila i worki pod oczami. Jej złoty chłopiec, Milo Rycroft, w którym zakochała się na balu Klubu Artystów w Chelsea, łysiał.

- Jak się czują Mona i Helen? - spytała.

- Dziękuję, doskonale. Obie kwitną. Podobnie jak młodsze dziecko.

- Milo! - Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Kiedy się urodziło?

- Laura ma dziewięć miesięcy.

- Laura... piękne imię.

- Została ochrzczona jako Laurabeth. Mona wybrała imię. - Milo wyjął portfel, znalazł zdjęcie i podał Rebecce.

Popatrzyła na fotografię. Starsza dziewczynka, Helen, stała obok matki; malutka Laurabeth siedziała na kolanach Mony. Obie dziewczynki były bardzo ładne i miały gęste, ciemne włosy, tak jak ich matka. Monie również nie brakowało urody, jednak Rebecca dostrzegła w jej twarzy pewną surowość. Mogło to oznaczać, że Mona radzi sobie z Milem znacznie lepiej, niż dawniej udawało się to Rebecce.

- Są urocze - powiedziała, oddając mu zdjęcie.

- Nie są do mnie podobne. W każdym razie nie potrafię się dopatrzeć jakiegokolwiek podobieństwa, chociaż Helen pochłania książki, jedną za drugą. Lubi chować się z książką. Mona nie jest zachwycona tym, że Helen tak dużo czyta; uważa, że od tego psuje się wzrok.

- Musisz być z nich bardzo dumny.

- Tak. - Schował fotografię do portfela. - Ale, prawdę mówiąc, nie czuję się stworzony do roli ojca. Jestem zanadto samolubny.

- Proszę, co za samokrytyka - powiedziała z przekąsem.

Wzruszył ramionami.

- Wiem, że jestem egoistą. To żadne odkrycie. Gdybym nie był samolubny, nie mógłbym pisać. Potrzebuję ciszy i spokoju oraz kogoś, kto będzie mi gotował jedzenie i prasował koszule. Kogoś, kto nie czuje się urażony, kiedy idę na długi, samotny spacer. W innym wypadku nie potrafiłbym wykonywać swojego zawodu. Muszę mieć klimat sprzyjający tworzeniu, taki, w którym pisanie przychodzi mi bez wysiłku.

- Potrzebujesz ciszy - podsunęła. - Nie chodzi tylko o brak dźwięków, lecz o spokój ducha.

- Tak. - Popatrzył na nią, zaskoczony. - Trafnie to ujęłaś. Nie potrafię pisać przy dzwoniących telefonach i gadających dzieciach. Mona bardzo się stara, by mi nie przeszkadzały, ale i tak wiem, czuję, że są gdzieś w pobliżu...

- A nie możesz pisać na uniwersytecie?

- Próbuję - powiedział lekko rozdrażnionym tonem - ale studenci często mi przerywają.

- Och, Milo. - Mimowolnie uśmiechnęła się. - Wciąż masz swoje Menady?

- Mam wrażenie, że traktują mnie teraz jak ojca - przyznał ze smutkiem. - Oczekują, że będę wysłuchiwał ich problemów... strasznych problemów, Rebecco, takich jak kłopoty z chłopakami albo kłótnie z koleżankami z akademika. Mógłbym napisać książkę na ten temat, ale zanudziłbym się przy tym na śmierć. Szczerze mówiąc, czuję ulgę, będąc w Londynie. Przez trzy tygodnie mogę myśleć wyłącznie o sobie. Przyznaję też, że bardzo chciałem znów zobaczyć Anglię.

- Stęskniłeś się za nami?

- Bardziej, niżbym przypuszczał. Chociaż w Londynie przeżyłem szok. Minęły już trzy lata od zakończenia wojny, a wciąż jest tu okropny bałagan. Z trudem rozpoznaję niektóre miejsca - powiedział zde gustowany.

- Nie mamy pieniędzy, Milo - wyjaśniła spokojnym tonem. - I jesteśmy wyczerpani. Mamy za sobą trudne lata. Nadal ciężko się tu żyje.

- Rozumiem. Nie miałem na myśli... - Urwał, a po chwili powiedział: - Przywykłem do amerykańskiego sposobu myślenia, przeświadczenia, że wszystko da się zrobić. I ciągle wydaje mi się, że gdyby to było w Ameryce, wszystko wyglądałoby lepiej.

Rebecca pomyślała o samolocie, spadającym korkociągiem w pobliżu Mayfield Farm, i o dziewczynce, którą starała się wyciągnąć z gruzów; obsypana przez biały pył, wyglądała jak marmurowy posąg.

Zmieniła temat.

- A więc zawodowo dobrze ci się powodzi?

- Doskonale.

Zapanowało między nimi milczenie. Rebecca zerknęła na zegar nad barem. Było dwadzieścia po szóstej. O siódmej miała kolację u Simone.

Gdy zbierała się do wyjścia, Milo niespodziewanie wyznał:

- Prawdę mówiąc, od pięciu lat nie wydałem żadnej książki. Owszem, ukazały się jakieś eseje, recenzje, kilka nowel, ale nic naprawdę się liczącego. Nie napisałem żadnej powieści.

Powiedział to głosem człowieka pokonanego, zmęczonego.

- Pozwól, że postawię ci drinka - zaproponowała.

- Tylko wodę sodową. - Uniósł dłoń, by przywołać kelnera. - Małe kłopoty z wątrobą - wyjaśnił. - Mona nie pozwala mi pić. Sama w ogóle nie pije. Przed ślubem czasem coś wypijała, ale po urodzeniu dzieci nie bierze do ust alkoholu. Mówi, że to zły przykład. Nie trzymamy w domu alkoholu.

- Przykro mi, że masz kłopoty ze zdrowiem, Milo.

- Spędziłem dwa tygodnie w szpitalu. - Spochmurniał. - Nigdy wcześniej nie chorowałem. To był dla mnie wstrząs. Powinienem schudnąć. Mona bardzo dba o moją dietę. - Wyjął z kieszeni paczkę papierosów. - Nie toleruje też mojego palenia. Ale wciąż palę na uczelni.

Podsunał paczkę Rebecce. Wzięła papierosa.

- Dziękuję.

Zapalił jej i sobie.

- Często zastanawiam się, czy to właśnie dlatego nie mogę teraz pisać.

- Dlatego, że musisz rzucić picie i palenie?

Uśmiechnął się.

- To też. Ale chodziło mi o to. - Rozejrzał się dookoła. - Może byłbym w stanie pisać, gdybym wrócił do Anglii.

- A Mona by się na to zgodziła?



- Nigdy w życiu. Cała jej rodzina mieszka w Bostonie. Rodzice, bracia i siostry.

- Och, Milo.

- Wiem. - Westchnął. - Nie umiem pisać o Ameryce, bo jeszcze jej w pełni nie rozumiem, i nie mogę pisać o Anglii, bo się zmieniła i już jej nie znam.

- W takim razie pisz o czymś innym. Na przykład o rodzinach.

- Myślę, że...

- Wiem, że zawsze starałeś się unikać życia rodzinnego, ale chyba ostatnio to ci się nie udaje - powiedziała cierpkim tonem. - Albo pisz o miłości, Milo. Musiałeś dowiedzieć się czegoś o miłości.

Przez dłuższą chwilę milczał, wydychając dym przez nos.

- Mógłbym pisać o żalu - stwierdził w końcu.

Ja również, pomyślała Rebecca, ale się nie odezwała.

Milo zapatrzył się w szklankę.

- Czasami myślę o Tessie - powiedział. - Nie potrafię sobie dokładnie przypomnieć, jak wyglądała. Mówię sobie w myślach: blond włosy, wysoka, szczupła, cudowny uśmiech. Ale jej nie widzę.

- Czy Tessa była miłością twojego życia, Milo? - Udało jej się zadać to pytanie tonem pozbawionym gorzkości.

- Nie wiem. Chyba słabo się na tym znam. - Popatrzył na nią. - Nie mogę sobie darować, że ją skrzywdziłem. I żałuję, że ty przeze mnie

cierpiałaś. Nie potrafiłem wtedy zrozumieć, co jest naprawdę ważne. Człowiek zmienia coś, z czego jest niezadowolony, a potem się okazuje, że nie była to zmiana na lepsze. Bardzo przeżyłem to, co się stało z Tessą i dzieckiem. Czasami myślę, że to ja ponoszę winę za tamten wypadek.

W tej chwili mogłaby bez trudu mu wyznać, co naprawdę wtedy się wydarzyło. „Zadzwoiłam do Tessy Nicolson i powiedziałam jej, że spotykasz się z inną. Właśnie dlatego tamtego popołudnia znalazła się na drodze do Oksfordu. To wszystko stało się z powodu mojego telefonu”. Czy to wyznanie przyniosłoby jej ulgę?

Otwierała już usta, gdy ktoś zawołał:

- Milo Rycroft! A niech mnie, Milo Rycroft!

Obejrzawszy się przez ramię, Rebecca zobaczyła wysokiego, siwowłosego mężczyznę, który zbliżał się do nich, szczerząc zęby w uśmiechu.

Twarz Mila zmieniła się nie do poznania. W jednej chwili opuścił go smutek oraz poczucie przegranej i Rebecca ujrzała przed sobą dawnego Mila: przemądrzałego, rozbrykanego jak Tygrysek z „Kubusia Puchatka”, dumnego ze swej bystrości i uroku sławnego pisarza Mila Rycrofta.

- Godfrey! - zawołał, wyciągając rękę. - Rebecco, z pewnością pamiętasz Godfreya Warburtona. Co u ciebie, Godfrey?

- Dobrze, doskonale, staruszk. A ty? Wciąż zachwycasz jankesów swoją erudycją?

- U mnie wszystko w porządku - powiedział skromnie Milo. Zauważył, że Rebecca wkłada płaszcz. - Już idziesz, Rebecco? - zapytał. - Myślałem, że zjemy razem kolację.

- Niestety, nie mogę, jestem umówiona. Ale bardzo się cieszę, że mogłam z tobą porozmawiać, Milo. Proszę, pozdrów ode mnie Monę.

Podsunęła mu policzek do pocałunku i uściśnęła dłoń Godfreya Warburtona.

Już na ulicy, oddalając się od hotelu, zdała sobie sprawę, że Milo nie zapytał, co się dzieje w jej życiu. Kiedyś przeżyłaby gorzkie rozczarowanie; teraz była wręcz rozbawiona. Dobrze mu życzyła, jednak miała poczucie, że cudem uszła cało.

Przypomniały jej się słowa pieśni: „Już cię nie strwożą pożogi słońca ni zimy ostre podmuchy...”. I końcowy dwuwiersz: „Jasna dziewica, kominiarz czarny, wszystko się w popiół obróci marny”<sup>\*</sup>.

<sup>\*</sup> W. Szekspir „Cymbelin”, przeł. Leon Ulrich.

## **Rozdział 17**

Freddie pracowała teraz sześć godzin w tygodniu u pani Mayer. Renate - pani Mayer wołała, żeby Freddie zwracała się do niej po imieniu - mieszkała w okolicy wrzosowisk Beaulieu. Dojazd rowerem zajmował sporo czasu, jednak miało to dobre strony. Lewis ani jego znajomi nie znali pani Mayer. Freddie powiedziała mężowi, że pani Mayer jest jej przyjaciółką, że piją razem kawę i rozmawiają, co było prawdą. Nie przyznała się jednak, że dwa razy w tygodniu rano myje podłogi w domu Renate, sprząta łazienki i kuchnię oraz przygotowuje lunch. Nie powiedziała mu także, że te dziesięć

szylingów, które co tydzień płaci jej pani Mayer, pozwala mu jeść obiady. Lewis nie wypytywał, skąd brała pieniądze na jedzenie. Nie miał pojęcia o cenach żywności, nigdy nie gotował i bezboleśnie prześliznął się ze szkoły z internatem przez uniwersytet do Marynarki Wojennej, a potem się ożenił.

Renate Mayer dobiegała osiemdziesiątki i była wdową. Jej mąż był wykładowcą akademickim, profesorem chemii. Nie mieli dzieci. Przed wojną, zanim Renate podupadła na zdrowiu, dużo podróżowali razem. Dom pani Mayer miał lekką konstrukcję i nowoczesny wystrój, był przestronny, z ogromnymi oknami i balkonem przy największej sypialni z tyłu domu. W pokojach nie było zasłon ani dywanów, jedynie kremowe i szare rolety. Na drewnianych i wykładanych kafelkami podłogach leżały małe dywaniki o rzucających się w oczy wzorach, tkane z ciemnoczerwonych, brązowych i szarych nici. Obok kominków i na schodach stały ogromne bulwiaste wazony w kolorze grafitowym, ozdobione wrytymi geometrycznymi wzorami, i talerze w kolorach ziemi, z lekko opalizującą glazurą. Renate powiedziała Freddie, że wazony i talerze wykonał Bernard Leach. Freddie odkurzała je dwa razy w tygodniu.

Na ścianach wisiały fotografie i obrazy - abstrakcyjne malowidło olejne w barwach turkusa z licznymi odcieniami zieleni, podkreślonej pomarańczowymi plamami, oraz czarno-biały akt, eksponujący kobiece krągłości dzięki wykorzystaniu gry światłocieni. Kobieta została uwieczniona z odwróconą twarzą. Freddie wspomniała, że zna Maksa Fischera. Okazało się, że Renate poznała go kiedyś w galerii, gdy podziwiała jego prace. Potem zostali przyjaciółmi.

Pani Mayer cierpiała na zaawansowany reumatyzm. Czasami, gdy Freddie przychodziła o dziewiątej rano, Renate dopiero bardzo powoli podnosiła się z łóżka. W gorsze dni ubranie się zajmowało jej godzinę. Nie chciała pomocy, wolała radzić sobie sama. Z trudem wsuwając spuchniętą dłoń w rękaw albo zapinając guziki, chętnie rozmawiała z Freddie.

Tej zimy deszcz wyjątkowo często siekł w panoramiczne okno z tyłu domu Renate Mayer. Słabo widoczne poczerńiałe wysokie drzewa w ogrodzie pochylały wierzchołki, targane wiatrem. Był to jeden z gorszych dni staruszki. Siedziała skulona w fotelu, z zaciśniętymi dłońmi złożonymi na kolanach. Jej wzrok co pewien czas wędrował ku oknu, jakby miało się pojawić stamtąd jakieś zagrożenie. Freddie pracowała w milczeniu, wyczuwając, że Renate jest zbyt zmęczona, by rozmawiać. Ścierała kurz z waz, wodząc ściereczką po gładkich krągłościach. Lubiła ten dom. Panował w nim cudowny spokój, a światło, przestrzeń i proste, piękne przedmioty dawały atmosferę wyciszenia. We własnym domu ciągle miała poczucie, że stąpa po szorstkiej, cienkiej linie, z której w każdej chwili mogła spaść, a spokój był kruchy jak porcelana.

Lewis nie miał żadnych wiadomości od Jerry'ego Colvina. Nie otrzymał listu, nie doczekał się telefonu, a dom Jerry'ego stał pusty i zamknięty na głucho. Mąż powiedział jej, że stara się wszystko uporządkować. Muszą tylko uzbroić się w cierpliwość i poczekać na nowe zlecenia. Zaniepokojona Freddie zdała sobie sprawę, że już mu nie ufa. Było jej wstyd, że ma przed nim sekrety.

W drugą sobotę nowego roku Lewis pracował, a Freddie zrobiła pranie i poszła po zakupy. Wymieniła książki w bibliotece i napisała kilka listów.

Mąż wrócił do domu o czwartej po południu. Wypili razem herbatę, a potem, jako że byli zaproszeni na kolację, Freddie wyprasowała mu koszulę i zacerowała pończochy. Lewis naprawił w tym czasie lampę elektryczną, która przygasała. Wychodząc do składziku po śrubokręt, zauważył listy Freddie na stoliku w holu i zaproponował, że je wyśle. Zwróciła mu uwagę, że jest już ciemno, listy mogą poczekać. Zapewnił ją, że to dla niego żaden kłopot, a poza tym wieczór jest pogodny, a on chętnie zaczerpnie świeżego powietrza.

Tego wieczoru wybierali się na przyjęcie do Renwicków. Tim Renwick był prawnikiem, a jego żona, Dianę, udzielała się w towarzystwie charytatywnym. Renwickowie mieli duży georgiański dom w centrum Lymington. Na kolację zostały zaproszone jeszcze dwie inne pary - przyjaciele Tima z uniwersytetu z żonami. Jedna z nich była w ciąży. Dianę podała pieczeń wieprzową. Gdy jeden z gości zapytał, gdzie udało jej się zdobyć takie wspaniałe mięso, lekko postukała palcem w nos i się roześmiała.

Freddie zauważyła, że Lewis pije więcej niż zazwyczaj, choć jego norma była bardzo wyśrubowana. Mówił dużo i głośno, a jego anegdoty często nie miały puenty. Jednak wszyscy mężczyźni tego popijali, a ich żony, z wyjątkiem Freddie i ciężarnej uczestniczki przyjęcia, również nie stroniły od alkoholu. Pomyślała, że powinna się napić. Może wtedy nabierze ochoty na rozmowę i Lewis nie będzie jej później robił wyrzutów, że się nie starała. Szybko wychyliła kieliszek wina i niedługo potem poczuła miłe odprężenie. Bez trudu włączyła się do rozmowy, trochę poplirtowała z mężczyznami, a nawet udało jej się rozweselić ich żony.

Wyszli od Renwicków po północy. W drodze do domu Lewis objął ją ramieniem w pasie i pocałował.

- Wszystko było w porządku? - zapytała.
- Byłaś wspaniała. Cudowna. Dziękuję, kochanie.

Była pełnia księżyca i skręciwszy za róg, zobaczyli

samochód zaparkowany tuż przed ich domem. Po chwili zorientowali się, że to wóz policyjny.

- Chryste, co się tu dzieje? - mruknął pod nosem Lewis. Przyspieszył kroku, a po chwili pobiegł pędem.

Freddie miała buty na wysokich obcasach i nie mogła dotrzymać mu kroku. Zbliżywszy się do domu, zobaczyła, że kierowca wysiadł z samochodu i mówi coś do Lewisa. Wyobraźnia natychmiast podsunęła jej rozmaite koszarne scenariusze - zapewne ciało Jerry'ego Colvina zostało znalezione w jednej z niezliczonych, zarośniętych trzcinami zatoczek...

Lewis odwrócił się i popatrzył na nią błędnym wzrokiem.

- Chodzi o warsztat - powiedział. - Wybuchł pożar i wszystko spłonęło.

Z warsztatu skutniczego nie zostało nic. W ciągu minionych dwóch tygodni nie padał deszcz i drewniane baraki spaliły się doszczętnie w ciągu kilku godzin. Gdyby wyjrzeli z okien domu Renwicków, zapewne zobaczyliby czerwoną łunę nad cieśniną.

Następnego ranka Freddie poszła z Lewisem na nabrzeże. Z pobladałą twarzą patrzył w osłupieniu na nierozpoznawalne, zwęglone przedmioty sterczące ze zgliszcz. W powietrzu unosił się gryzący zapach spalenizny, a

przy każdym kroku spod warstwy popiołów ukazywały się smużki dymu. Przywodziło to Freddie na myśl widok zbombardowanego Londynu. Szerniałe kawałki papieru dryfowały na brązowych wodach cieśniny. Kilku chłopców, stojących na brzegu, rzucało kamyczkami w nadpalone resztki dokumentów.

Policjanci i strażacy przesłuchali Lewisa. Przeprowadzono liczne rozmowy przez telefon, wysłano listy do ubezpieczycieli, wypełniono wiele formularzy. W domu odwiedził ich rzeczoznawca z firmy asekuracyjnej, niski, chudy człowiek o nazwisku Simpson. On i Lewis spędzili cały ranek w salonie. Przygotowując w kuchni lunch, Freddie wyteżęła słuch. Kiedy drzwi salonu się otworzyły, podskoczyła przerażona.

Pan Simpson chciał z nią porozmawiać. Lewis spytał, czy Freddie nie ma nic przeciwko temu.

- Oczywiście, że nie - odpowiedziała, chociaż z niewiadomego powodu serce uderzyło jej mocniej. Pan Simpson odchrząknął i zajrzał do notatek.

- Pan Coryton powiedział, że w sobotę wrócił do domu około czwartej po południu. - Intonacja głosu pana Simpsona zmieniła to stwierdzenie w pytanie.

- Tak - odpowiedziała.

- Może zechciałaby pani przypomnieć sobie, co wydarzyło się potem tego dnia?

Freddie wymieniła kilka prozaicznych czynności domowych, opowiedziała o picciu herbaty, prasowaniu, naprawianiu uszkodzonej lampy i o tym, że za dwadzieścia ósma wyszli na przyjęcie do państwa Renwicków.



Rozległo się kolejne chrząknięcie.

-1 pani mąż przez cały ten czas był z panią, pani Coryton?

- Jak długo to jeszcze potrwa? - wtrącił gniewnie Lewis. - Nie widzi pan, że moja żona źle znosi przesłuchanie?

- Nie ma powodów do obaw - odezwała się pośpiesznie Freddie. - Lewis wyszedł do składziku po śrubokręt, potrzebny do naprawy lampy, a poza tym byliśmy razem przez cały czas.

Pan Simpson podziękował jej, a potem Lewis odprowadził go do drzwi. Freddie wróciła do kuchni, pokroiła ziemniaki, włożyła je do garnka i wtedy przypomniała sobie coś jeszcze.

Lewis wszedł do kuchni.

- Listy - powiedziała, patrząc na niego. - Mówiłeś mu o listach?

- Jakich listach? - Uniósł pokrywkę i zajrzał do garnka.

- O moich listach. Poszedłeś wrzucić je do skrzynki.

- Nie martw się. Powiedziałem tej gnidzie wszystko, co trzeba. - Objął ją w pasie i pocałował w szyję. - Co, szefowo, chciałeś mnie przyłapać na kłamstwie? - zażartował.

- I powiedziałeś mu... - Urwała.

- O czym, Freddie?

- O tym, że mieliście problemy finansowe.

- Oczywiście, że nie. - W jednej chwili spoważniał i puścił Freddie. - To by było proszenie się o kłopoty. Wszystkie księgi rachunkowe spłonęły. Nie widzę potrzeby komplikowania sobie życia.

- Ale jeśli to odkryją... będzie źle.

- W takim razie miejmy nadzieję, że niczego nie odkryją. - Wyjął szklankę z szafki. - Kochanie, a może tak wyjechalibyśmy gdzieś na weekend, żeby trochę odetchnąć od tego wszystkiego? Już tyle miesięcy nie byliśmy w Londynie.

Patrzyła, jak wyjmował butelkę whisky spod zlewu i ją otworzył.

- Myślę, że powinieneś ich o tym wszystkim poinformować.

Odwrócił się; w jego oczach błysnął gniew.

- Zamknij się, Freddie. Nie wiesz, o czym mówisz.

Cofnęła się o krok, jak po ciosie. Czy kochał ją jeszcze

choć trochę, skoro ośmielał się odzywać do niej w ten sposób?

Zapadła cisza. Lewis opanowywał się z trudem.

- Wszystko będzie dobrze, rozumiesz? - powiedział w końcu. Nalał sobie whisky do szklaneczki na wysokość trzech centymetrów. - Będzie dobrze.

Niespodziewanie się roześmiał.

- Zadawali mi mnóstwo pytań o Jerry'ego. Wytłumaczyłem im, że zwiął. Na pewno myślą, że to on podpalił warsztat. To niedorzeczne... wyobrażasz sobie naszego Jerry'ego w takiej akcji? Pewnie ktoś nieostrożny

zaproszył ogień od niedopałka papierosa. A te drewniane budynki płoną jak sucha słoma.

Następnego dnia wsiedli w pociąg do Londynu. Zatrzymali się w hotelu West End - zapłacą za wszystko pieniędzmi z odszkodowania, zapewniał ją Lewis. Gdy znaleźli się w pokoju, Lewis wręczył napiwek bagażowemu, a kiedy zostali sami, ściągnął krawat i rozpiął koszulę pod szyją. Później głęboko westchnął, rzucił się na łóżko i zasnął.

Freddie umyła twarz i ręce; pomalowała usta szminką. Potem wyszła z pokoju i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Wybrała się do Green Parku. Było chłodno i wilgotno; dzień nie należał do najprzyjemniejszych, lecz nie zwracała uwagi na pogodę. Musiała wszystko przemyśleć, a nie potrafiła się skupić w obecności męża. Chciała się uspokoić, przestać się bać. Po krótkim spacerze usiadła na ławce. Lewis mówił prawdę, wmawiała sobie. Powiedział rzeczoznawcy ubezpieczeniowemu, że poszedł wrzucić listy, przecież zapewniał ją o tym. Postąpił rozsądnie, nie wspominając o kłopotach finansowych firmy. Jak sam słusznie zauważył, po co komplikować sobie życie?

Mimo wszystko wciąż czuła niepokój. Nie chodziło jej tylko o pożar ani nawet o ton, jakim Lewis powiedział do niej: „Zamknij się, Freddie. Nie wiesz, o czym mówisz”. Martwiło ją przede wszystkim to, że nie widziała przed sobą przyszłości. Ona i Lewis już tyle razy zaczynali od nowa, a potem przeżywali kolejne gorzkie rozczarowanie, że w końcu odbiło się to wszystko na ich małżeństwie. Lewis nie interesował się jej sprawami i przestała mu się zwierzać. Każde z nich prowadziło własne życie w jednym domu. Mieli inne marzenia i priorytety, a teraz zaczynała się obawiać, że

różnią się także w kwestiach moralności. Czuła bolesny ucisk pod żebrami, jakby serce kurczyło jej się ze strachu. Była też bardzo zmęczona zmuszaniem się, by widzieć wszystko w jasnych barwach, udawać, że wszystko jest w porządku.

Wróciła do hotelu. Nie zastawszy Lewisa w pokoju, zeszła na parter i rozejrzała się dookoła. W końcu wypatrzyła męża w barze.

Gdy weszła do sali, wstał. Był wyraźnie rozdrażniony.

- Gdzie się podziewałaś? - spytał.
- Poszłam na spacer.
- Coś długi ten twój spacer. Powinnaś była mnie uprzedzić, Freddie.
- Spałam.
- Mogłaś zostawić wiadomość.
- Sądziłam, że nie ma takiej potrzeby. Chciałam po prostu mieć trochę czasu dla siebie.
- Napijesz się? - spytał chłodnym tonem.
- Nie, dziękuję. Pójdę się wykąpać.
- Zadzwoń do Marcelle.
- Tak?
- Powiedziała, że dziś wieczorem spodziewa się gości. Prosiła, żebyśmy przyszli.
- Wolałabym tam nie iść.

- Przyjąłem zaproszenie. - Po chwili dodał zdecydowanym tonem: - Wpadniemy na drinka. Myślałem, że możesz się zdobyć na ten wysiłek.

Zauważyła, że inni ludzie w barze im się przyglądają i chociaż była zmęczona, szybko powiedziała:

- Dobrze, skoro musimy...

Wróciła do pokoju i prędko weszła do wanny. Miała sine palce; nie czuła, jak zimno jest na dworze. Gdy leżała w wodzie z solami kąpielowymi, niepokój zdawał się przyplýwać i odpływać jak fale. Czy kiedykolwiek wcześniej czuła się tak samotna? Może po wypadku Tessy, pomyślała, kiedy siostra walczyła o życie. Wtedy była to jednak samotność innego rodzaju. Mimo długich okresów rozłąki, pomimo tajemnic Tessy, zawsze były sobie bliskie. Tymczasem ona i Lewis nie potrafili się do siebie dostroić. Nie wiedziała nawet, co do niej teraz czuł. A czy ona wciąż go kochała? Musiała go kochać, skoro nadal mógł ją zranić. Leżąc z zamkniętymi oczami w ciepłej, pachnącej wodzie, miała ochotę zasnąć, by choć na chwilę przestać myśleć o tym, co ją dręczyło. Woda jednak wystygła i w końcu Freddie wyszła na dywanik przy wannie, owinęła się ręcznikiem i wróciła do sypialni.

Poczuła coś w rodzaju buntu, gdy zajrzała do szafy i obrzuciła wzrokiem ubrania na wieszakach. Przywiozła ze sobą do Londynu swoją ulubioną suknię, jedwabną w czarno-białe pasy, marszczoną w talii i sięgającą do połowy łydek. Kupiła ją wiosną, gdy mieli pieniądze, a raczej, kiedy jej się wydawało, że je mieli - najprawdopodobniej było to jeszcze jedno złudzenie. Przyłożyła naszyjnik Wakehamów do sukni, podziwiając szkarłatną barwę granatów.

Gdy siedziała przy toaletce, robiąc makijaż, do pokoju wszedł Lewis. Wyjął czystą koszulę, znalazł spinki.

- Nie uważasz, że zanadto się wystroiłaś? - spytał, spojrzawszy na Freddie.

- O co ci chodzi?

- O ten naszyjnik.

Freddie przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze i doszła do wniosku, że Lewis ma rację. Okazało, ciemne granaty stanowiły osobliwe połączenie wiktoriańskiej pretensjonalności i ponurego nastroju. Marcelle zapewne będzie miała na szyi sznur pereł.

- Nie - odpowiedziała. - Wcale nie mam takiego wrażenia.

W taksówce, wiozącej ich do Chelsea, prawie się do siebie nie odzywali. Dom bardzo się zmienił od czasu, gdy Freddie była tu po raz ostatni. Nie nosił już śladów zniszczeń wojennych. Marcelle miała na sobie jasnozieloną sukienkę, naszyjnik z pereł i kolczyki. Powitała ich okrzykami radości i pocałunkami. Ubrana na czarno kelnerka przyniosła drinki.

- Patrz, Lewis, jest tu Betty Douglas - powiedziała Freddie, lecz kiedy odwróciła się do męża, nie było go przy niej. Przechadzał się pomiędzy grupkami gości, witając starych przyjaciół, nawiązując nowe znajomości. Uśmiechał się, roztaczał swój urok. Niedawny zły humor rozwiął się bez śladu.

Odgłosy rozmów i śmiech rozchodziły się echem po wysokim pomieszczeniu. Freddie bywała tu na przyjęciach, w czasach gdy przyjaźniła

się z Marcelle. W pewnej chwili została otoczona przez grupkę gości. Byli tam Alan Lockyear, farmer z północy Anglii, Pamela, właścicielka sklepu z sukniami, i jej narzeczony, Gus Morris. Poznała też George'a i Alexandrę, lecz nie dosłyszała ich nazwisk w panującym hałasie. George był wysoki, czerwony na twarzy, łysiał i mógł gadać w nieskończoność, o ile ktoś nie skierował rozmowy na inny temat. Alexandra miała szczupłą sylwetkę i urodziwą twarz o bladej cerze usianej piegami. Jej kasztanowe włosy upięte były z tyłu w kok. Wodziła po pokoju znudzonym wzrokiem, z chmurną miną.

Alan, Pamela i Gus przeszli do innej grupki, lecz George wciąż opowiadał Freddie, jakie ulepszenia zamierza wprowadzić w swoim domu w Norfolk. To musiał być duży dom - George wspomniał o sali balowej i stajniach. Jego monotony głos działał hipnotyzująco; Freddie czuła, jak jej uwaga stopniowo słabnie.

- Największy problem mam z gzymsami i sztukateriami sufitowymi. W dzisiejszych czasach trudno znaleźć porządnych rzemieślników. Poza tym zastanawiamy się, czy zaczynać prace już teraz, czy też poczekać do urodzin Rose. Marcia powtarza mi, że sala balowa będzie potrzebna na przyjęcie z okazji dwudziestych pierwszych urodzin.

- George - przerwała mu poirytowanym tonem Alexandra. - Rose nie chce wyprawiać urodzin. Powiedziała mi to.

- Jestem pewien, że chce, kochanie. Ale nie odchodźmy od tematu.

Rose, pomyślała Freddie, nagle odzyskując zainteresowanie. Rose, Marcia, George i Alexandra. I dom w Norfolk!

- Czy ma pan brata, Jacka? - spytała.

George pochylił głowę i uniósł brwi.

- Tak. Powinien gdzieś tutaj być, Zna go pani?

Jack tu był! Potwierdziła, że go zna. Nagle bardzo zapagnęła go zobaczyć. Lewis rozmawiał z Denzilem Beckfordem. W pewnej chwili mignęła jej jasna czupryna.

Przeprosiwszy George'a i Alexandrę, zaczęła torować sobie drogę w tłumie.

- Witaj, Jack - powiedziała, przystając obok niego.

Odwrócił się do niej.

- Freddie! - Uśmiechnął się szeroko.

Doskonale pamiętała ten uśmiech z cieniem pewności siebie. I te niebieskie oczy, i zdradzający próżność właściciela doskonale skrojony garnitur, i włoski jedwabny krawat. Patrzyła na Jacka, napawając się jego widokiem, starając się dostrzec, co w nim się zmieniło, a co pozostało takie samo.

- Cudownie się składa - powiedział. - Co u ciebie słyhać, Freddie? Wyglądasz wspaniale. Może tym razem uda mi się przekonać cię, żebyś ze mną uciekła?

Przerazona Freddie poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Zamrugowała gwałtownie, niezdolna wykrztusić słowa.



- Boże! - Jack przeczesał włosy palcami. - Tak mi przykro, Freddie. Przyniosę ci drinka.

Do czasu, gdy wrócił, zdążyła się opanować.

- Jestem nietaktownym idiotą. Nie powinienem przy tobie wspominać Włoch. Na pewno pomyślałaś o siostrze. Proszę, napij się.

Wypiła łyk dzinu. Uważa, że płakałam z powodu Tessy, pomyślała z ulgą. To nie wspomnienie siostry przyprawiło ją jednak o łzy, tylko odkrycie, że jej przeszłość i niezwykła podróż z Jackiem Ransome'em we Włoszech wydała się teraz taka bezpieczna i nieskomplikowana w porównaniu z małżeńskim labiryntem.

- Marcelle powiedziała mi o Tessie - rzekł. - Serdecznie ci współczuję, Freddie.

Marcelle Scott, pomyślała, źródło wszystkich plotek. Była jednak wzruszona, że Jack pamiętał imię jej siostry.

- Dziękuję, Jack. - Szybko zmieniła temat. - Rozmawiałam z twoim bratem, George'em. Opowiedział mi wszystko o gzymsach i sztukateriach sufitowych.

Jack głośno się roześmiał.

- To wystarczy, by zapłakać z nudów. - Przyjrzał się jej uważnie. - Dobrze się czujesz?

- Tak, naprawdę. Jestem tylko trochę zmęczona.

- W takim razie poszukajmy jakiegoś spokojniejszego miejsca.

Poprowadził ją do niewielkiego salonu z tyłu domu. W stojącym tam fotelu spał otyły mężczyzna z fioletowym nosem, w rozpiętej kamizelce. Na oko dwunastoletnia dziewczynka leżała na dywaniku i czytała książkę.

- Cześć, Peggy - powiedział Jack. Dziewczynka uśmiechnęła się do niego i powróciła do lektury.

Usiedli przy oknie.

- Lewis jest tutaj? - spytał Jack.
- Tak. Widziałam, jak rozmawiał z Dennym.
- Gdzie mieszkacie?
- Na południowym wybrzeżu, w Lymington.
- Podoba ci się tam?

Dokonała kolejnego odkrycia. Nie chciała wracać do Lymington. Bała się powrotu.

- Bardzo - skłamała. - Miło jest nareszcie mieć własny dom i mieszkać tak blisko morza.

- A co porabia Lewis?
- Miał warsztat szkutniczy.

Jack uniósł brwi.

- „Miał”?
- Dziesięć dni temu wybuchł tam pożar.

- Są duże straty?
- Wszystko się spaliło. Biuro, warsztat, wszystko.
- Boże, to okropne. Biedny Lewis, to musiał być dla niego straszny cios.

-Tak.

- Spodziewam się, że warsztat był ubezpieczony?
- Tak. - Przypomniała sobie wizytę pana Simpsona i wyjaśnienie Lewisa, że ludzie z towarzystwa ubezpieczeniowego podejrzewają Jerry'ego Colvina. Czy to możliwe? Czy Jerry mógł podpalić warsztat?

Uśmiechnęła się z trudem.

- A ty, Jack? Co porabiasz? Podejrzewam, że obecnie nie ma wielkiego zapotrzebowania na twój talent.

- Tu cię zaskoczę. Rządzący zawsze lubią wiedzieć, co robią inne rządy, zwłaszcza te zaprzyjaźnione. Po wojnie pracowałem w służbie dyplomatycznej. A potem nagle odechciało mi się tego wszystkiego. Miałem wrażenie, że jestem... oślizły. Tyle oszustw, kłamstw. To wszystko było konieczne podczas wojny, ale teraz trudniej się rozgrzeszyć. Zauważałem u siebie niepokojące objawy. Patrzyłem na ludzi, zastanawiając się, jacy są naprawdę, co kryje się pod maskami, które pokazują światu. Złożyłem rezygnację i wróciłem do Włoch.

- Do Rzymu?

- Tak. Mieszkałem tam podczas wojny i chciałem się upewnić, że ludzie, którzy mi wtedy pomagali, jakoś sobie radzą. O, i napisałem książkę.

- Książkę?

- Nie bądź taka zaskoczona, potrafię sklecić parę zdań. Powiedziałbym, że jest to pamiętnik z podróży, gdyby to nie brzmiało tak okropnie pompatycznie.

- Boże, Jack, jestem pod wrażeniem. Ożeniłeś się? Masz dzieci?

- Niestety, nie.

- Nie udało ci się namówić Gabrielli na małżeństwo?

- Gaby jest bardzo rozsądna. Tak czy owak, czekałem na ciebie, Freddie. Kiedy się dowiedziałem, że wyszłaś za Lewisa Corytona, omal nie oszalałem z rozpaczy.

Rozmawiali o rodzinie Jacka, jego mieszkaniu w Rzymie, o wspólnych przyjaciółach. W pewnej chwili mężczyzna w kamizelce głośno zachrapał, usiadł i zapytał:

- Która godzina? Mam się zobaczyć z teściami.

- Powiedziawszy to, wstał i wyszedł.

Freddie spojrzała na zegarek. Było wpół do dziewiątej.

- Pójdę poszukać Lewisa - powiedziała. - Bardzo się cieszę, że mogłam z tobą porozmawiać, Jack. Miło było znów cię spotkać.

Pocałowała go w policzek i wróciła do salonu. Tłum się przersedził, zostało jedynie kilkanaście osób i nie było wśród nich Lewisa. Zaczęła go szukać w pokojach na parterze, po czym zeszła do suterenu. W kuchni

starsza kobieta z zakasanyimi rękawami myła kieliszki. Freddie postanowiła zajrzeć do łazienki na parterze, lecz nikogo tam nie było.

Poczuła nieprzyjemny ucisk w żołądku na myśl o tym, że Lewis wyszedł, nic jej nie mówiąc. Wciąż miała nadzieję, że się myli, że nie mógł jej czegoś takiego zrobić i zaraz go znajdzie. Zapewne będzie wtedy patrzył na zegarek, myśląc już o następnym przyjęciu. Nie pokazał się jednak. Freddie stała na środku salonu, niezdecydowana, kurczowo zaciskając palce na naszyjniku z granatów.

- Freddie?

Uniosła wzrok. Obok niej stał Jack.

- Gdzie jest Lewis? - zapytał.

- Nie mam pojęcia. - Roześmiała się. Czyżby Lewis był na nią zły o to, że tak długo rozmawiała z Jackiem?

- Chyba już wyszedł.

- Wyszedł?

- Tak. - Nie wiedziała, co mogłaby jeszcze dodać. Nie miała już siły udawać.

- Gdzie się zatrzymaliście w Londynie?

Podawała mu nazwę hotelu.

- Myślisz, że mógł tam wrócić?

- Nie sędzę. Znasz Lewisa, lubi bawić się do rana. - Ostatnio jednak coraz częściej dochodziła do wniosku, że w ogóle nie zna swojego męża. - Rozmawiał z Denny. Pewnie razem gdzieś poszli.

- Denny miał się spotkać ze znajomymi w Criterionie. Pojedziemy tam?

- Nie musisz ze mną jechać, Jack. Wezmę taksówkę i wrócę do hotelu.

Patrzył na nią tak, że wprawiał ją w zakłopotanie. Odniosła wrażenie, że jego wzrok przenika ją na wskroś i Jack widzi, jak życie wymyka jej się spod kontroli.

- Chciałbym zobaczyć się z Lewisem - powiedział z prostotą. - Nie widziałem go całe lata.

Gdy wyszli na ulicę, zatrzymał taksówkę. W drodze do Piccadilly Freddie siedziała upokorzona, przeżywając swoje upokorzenie. Jack opowiadał coś o tym i owym, więc co pewien czas rzucała: „tak”, „nie” albo „o, Boże”, myśląc o tym, że Lewis ją zostawił i że przestała być dla niego ważna.

W restauracji Criterion, mieniącej się złotem, z mozaikami i drapowanymi aksamitnymi zasłonami, Jack zapytał kierownika sali o stolik pana Beckforda. Zaprowadzono ich na środek sali. Przy jednym ze stolików siedział Lewis w towarzystwie Denzila Beckforda. Freddie wpatrywała się w męża, osłupiała, rozdarta między gniewem, poczuciem żalu i odruchem, by podejść i załagodzić sytuację.

- Cześć, Freddie - powiedział Lewis, jakby nie wydarzyło się nic niezwykłego, a po chwili dodał: - Kogo ja widzę?! Jack Ransome!

Przyniesiono dodatkowe krzesła i nakrycia dla nowych gości. Freddie z uwagą przyglądała się mężowi. Był w pogodnym nastroju, a chwilami nawet wybuchał gromkim śmiechem. Czowała, jak z wolna opuszcza ją napięcie. Jej zadowolenie ostatnio zależało od humoru Lewisa. Od czasu wizyty rzeczoznawcy była jak nakręcona sprężyna. Właściwie zaczęło się to jeszcze wcześniej, po pożarze warsztatu albo wtedy, gdy Lewis powiedział jej, że firma plajtuje, a Jerry przepadł niczym kamień w wodę.

Wypiła kilka drinków, wymieniła parę zdań z siedzącymi przy stoliku i jej nastrój znacznie się poprawił. W jakiś cudowny sposób, niepostrzeżenie, wieczór stał się jednym z tych, które wspomina się po latach, mówiąc: „Pamiętasz, jak...?”. Pocieszała się, że wszystko się ułoży. Powinna zaufać Lewisowi i przestać sobie wyobrażać same najgorsze rzeczy. Nie ma powodów do obaw. Kiedy dostaną pieniądze z ubezpieczenia, będą mogli sprzedać dom w Lymington i przenieść się do Londynu. Lewis zawsze czuł się tu najlepiej.

Wyszli z restauracji ostatni. Dochodziła północ. W szatni Lewis pomógł Freddie włożyć płaszcz.

- Zaprosiłem Jacka, żeby przyjechał do nas na trochę. Wyobraź, sobie, że się zgodził. Będzie fajnie, prawda, Freddie?

Pocałowała go.

- Tak, myślę, że będziemy się dobrze bawić.

Wrócili do Lymington. Wystawili dom na sprzedaż, a Lewis napisał wiele listów do przyjaciół i znajomych z Londynu, pytając o pracę.

Kilka dni po ich powrocie przyjechał z wizytą Jack. Chodzili we troje na spacerów wzdłuż cieśniny i po wrzosowisku Beaulieu. Pewnego dnia pojechali samochodem Jacka do Bournemouth i przechadzali się nadbrzeżną promenadą, jedząc lody w rożkach. Zanościło się na burzę - na horyzoncie pojawiły się ciemnografitowe chmury. Wyżej na niebie unosiły się jaśniejsze, szare. Coraz potężniejsze fale rozbijały się o brzeg. Wieczorem Freddie ugotowała kolację, potem grali w karty, a w końcu mężczyźni poszli do pubu. W obecności Jacka atmosfera w domu stała się lżejsza.

Przyszedł list z towarzystwa ubezpieczeniowego. Lewis rozerwał kopertę.

- To czek? - spytała Freddie.

- Cholera, nie. - Przebiegając wzrokiem pismo, pochmurniał. - Chcę, żebyś przyjechał do ich biura w Southampton.

- Dlaczego, Lewis? - Z trudem odzyskany spokój natychmiast ją opuścił i stare lęki powróciły.

- To nic ważnego. Na miłość boską, Freddie, nie patrz na mnie tym swoim spojrzeniem umierającego łabędzia. Na pewno chodzi tylko o wypełnienie kolejnych nudnych formularzy.

- Kiedy zamierzasz tam pojechać, Lewis?

To był głos Jacka. Podniosła wzrok. Jack stał w drzwiach kuchni.

- Myślę, że jeszcze dzisiaj. - Lewis popatrzył na zegarek. - Chcę mieć to z głowy.

- Pozwól, że podwiozę cię do Southampton.



- Nie ma takiej potrzeby, pojedę pociągiem. - Wsunął list do kieszeni. -  
Zostań tu i dotrzyмай towarzystwa Freddie. To zajmie najwyżej parę godzin.

Lewis wyszedł z domu pół godziny później. Jack odwiózł go na stację. Freddie sprzątała po śniadaniu; uporczywie wpatrując się we własne dłonie, zalewała pieniącą się wodą miski i talerze.

Po powrocie Jack zaproponował, by pojechali na Hurst Beach. Freddie uwielbiała kamieniste plaże zimą, jeśli nie było zbyt mroźno. Włożyła budrysówkę i otuliła się szalem. Musiała koniecznie wyjść z domu.

Pojechali na zachód. Jack zaparkował samochód przy plaży. Postanowili dojść aż do zamku obronnego na odległym krańcu mierzei. Buty zapadały im się w grubą warstwę kamyków. Był pogodny ranek, jakby zima postanowiła zrobić sobie urlop na jeden dzień, i morze przypominało łagodnie falującą płachtę z szarozielonego jedwabiu. Na plaży dostrzegli zaledwie kilka osób: mężczyznę spacerującego z psem, jakąś parę zbierającą muszelki. Za wodami cieśniny widzieli zarys wyspy Wight. Freddie powiedziała Jackowi, że kiedy była tu z Lewisem, wyspa tonęła we mgle.

- Lewis przeżywa trudne chwile po tym, co stało się z warsztatem.
- Tak.
- Powiedział mi, że sprzedajecie dom.
- Chce wrócić do Londynu i tam coś znaleźć.
- A ty, Freddie? Odpowiada ci to?
- Myślę, że tak.

Usłyszała szum morskiej wody, która wdarła się pomiędzy kamyki i zabrała część z nich, gdy fala się cofnęła, a potem głos Jacka:

- Czego się boisz, Freddie? - zapytał.

Popatrzyła na niego z pozorną bez troską.

- Niczego się nie boję.

Wzruszył ramionami.

- W takim razie dlaczego jesteś taka spięta? Chodzi o pieniądze?

- To aż tak bardzo widać?

- Nie jesteś jedyna. George musiał sprzedać część rodzinnych sreber.

- Lewis i ja nie mamy rodowych sreber. - Zmusiła się do śmiechu. - Mam wprawdzie naszyjnik z granatów, ale biżuteria z epoki wiktoriańskiej jest teraz tak niemodna, że nie sądzę, by udało się go sprzedać za znaczną sumę.

- Pomyślała o wezwaniu męża do biura towarzystwa ubezpieczeniowego. O co mogli go pytać? Co im powiedział?

Kontynuowali spacer; kamyki chrzęściły im pod stopami. Wędrówka po takim podłożu wymagała wysiłku, szli więc powoli i po półgodzinie mieli wrażenie, że dystans, dzielący ich od starego zamku, wcale się nie zmniejszył. Przysiedli na butwiejącym drewnianym falochronie.

- Niewielu z nas umie znaleźć sobie miejsce po wojnie.

Popatrzyła na niego zaskoczona.

- Mówisz także o sobie, Jack?

- Potrafię przedstawiać wszystko w jasnych barwach. Lata pracy w służbie dyplomatycznej, kilka książek, epizod dziennikarski... Łatwo można zapomnieć o tym, jak bardzo człowiek się zagubił.

- Nie mogę sobie ciebie wyobrazić jako kogoś zagubionego. Zawsze masz odpowiedź na wszystko.

- Naprawdę? W takim razie muszę być nieznośny. Nic dziwnego, że cię irytowałem.

- Nie irytowałaś...

- Powiedziałaś, że jestem nieodpowiedzialny.

- Uśmiechał się. - A gdy się spotkaliśmy, nastąpiłaś mi na nogę.

Bo właśnie wtedy ją pocałował. Freddie wołała mu tego nie przypominać. To było zbyt niebezpieczne teraz, gdy siedzieli obok siebie na falochronie tak blisko, że co chwila się dotykali.

Opowiedział jej o swoim życiu we Włoszech podczas wojny. Współpracował z grupami partyzantów, ukrywających się w lasach i w górach. Dostarczał sprzęt i ubrania, uczył ich posługiwać się bronią. Raz został ranny, dwa razy go złapano i dwa razy uciekł, a poza tym cudem nie został zastrzelony jako szpieg. Nigdy nie zapomni dramatycznych zdarzeń i przeżyć, jak choćby widoku wioski, w której w odwecie za ukrywanie partyzantów dokonano rzezi kobiet i dzieci - ciała leżały na ulicach. Był też jednak świadkiem wydarzeń przywracających wiarę w ludzi. Chwalił

szczodrość Włochów, którzy dzielili się z nim wszystkim, choć mieli tak niewiele.

Zapytał ją o Tessę. Powiedziała, że przez większą część wojny Tessa mieszkała w willi Olivii Zanetti w Chianti. Ze uczyła tam najpierw miejscowe dzieci, a potem także dzieci uchodźców, w szkole na terenie posiadłości Zanettich. Że była powszechnie szanowana oraz podziwiana i zginęła, eskortując grupę dzieci w bezpieczne miejsce. Willa, w której mieszkała Tessa, została doszczętnie zburzona w czasie wojny, ale Faustina Zanetti, jej matka i dwaj bracia, Guido i Sandro, przeżyli. Sandro spędził ostatnie lata wojny w obozie jenieckim, Guido był wolny, ukrywał się aż do wkroczenia wojsk alianckich do Toskanii.

- Byłaś tam potem? - spytał.

- We Włoszech? Nie.

- Dlaczego?

- Przede wszystkim dlatego, że nas na to nie stać. - Postanowiła niczego nie ukrywać. - A poza tym, nie wiem, czy potrafiłabym stawić temu czoło.

- To mogłoby ci pomóc - odrzekł łagodnym tonem. - Pomyśl o tym. W moim mieszkaniu w Rzymie jest pokój gościnny.

- Naprawdę, Jack?

- Oczywiście Lewis także jest tam mile widziany.

- To oczywiste. - Spróbowała wyobrazić sobie pobyt w Rzymie z Lewisem, wspólne zwiedzanie miejsc dotąd jej tylko znanych. Wydawało się to jednak niemożliwe.

- Co się dzieje między tobą a Lewisem? - spytał Jack niespodziewanie.
- Nic. - Zapatrzyła się na morze. - Nic się nie dzieje.
- Freddie, słyszałem, w jaki sposób odzywał się do ciebie dzisiaj rano.

A u Marcelle... wyszedł bez ciebie z przyjęcia.

Machnęła ręką.

- Lewis niepokoi się o przyszłość po tym wszystkim, co się stało w warsztacie.

- Ma jakieś szczególne powody do obaw?

- Och, nie. Denerwuje się tylko, że to tak długo trwa, że musi wypełniać coraz to nowe formularze.

- Przyjechałem tutaj, bo się o ciebie martwię. Chciałem się przekonać, że wszystko jest w porządku.

Popatrzyła na kamyki, które, gdy fala się cofnęła, błyszczały w słońcu jak klejnoty.

- Jak widzisz, miewam się dobrze.

- To nieprawda, Freddie. Jest w tobie coś, co zawsze podziwiałem. Imponowała mi twoja odwaga, zdecydowanie i stanowczość w trudnych sytuacjach. To wszystko zniknęło, a przynajmniej starannie to teraz ukrywasz.

- Opowiadasz bzdury. - Zmusiła się, by mówić spokojnym tonem. - Lewis i ja doskonale sobie radzimy. A poza tym to nie twoja sprawa.

Jack podniósł garść kamyków i stanął przy brzegu. Patrzyła, jak wiatr unosił jego jasne włosy; podziwiała jego zręczne ruchy, gdy puszczał kaczki na wodzie. Coś się w niej załamało. Wstała i podeszła do niego.

- Czasami czuję się tu okropnie samotna! - Długo tłumione słowa same popłynęły z jej ust. - Czasem nienawidzę tego miejsca! Wszyscy mówią, że kochają morze i że mamy szczęście, że tu mieszkamy, ale ja jakoś tego nie widzę, Jack!

Upuścił pozostałe kamyki, mocno ją przytulił i pogładził po włosach. W jego silnych ramionach po raz pierwszy od dłuższego czasu poczuła się bezpiecznie.

- Droga Freddie... - powiedział. Miała wrażenie, że dotknął ustami czubka jej głowy - to chyba niemożliwe? Popatrzyła więc na niego pytająco i nagle, niespodziewanie zaczęli się całować, gwałtownie i namiętnie. Jack objął ją w pasie i przycisnął do siebie z całej siły. Fale to zbliżały się do nich, to oddalały.

Freddie cofnęła się pierwsza.

-Jack, nie możemy... - powiedziała i odwróciła się, chcąc odejść, lecz chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Znow złączyli się w pocałunku, tym razem delikatnym i czułym. W końcu położyła głowę na ramieniu Jacka i zamknęła oczy.

- Posłuchaj, Freddie - zwrócił się do niej łagodnym tonem. - Nieraz byłem o krok od tego, żeby ci to powiedzieć, ale zawsze tchórzyłem, więc wyjawię ci to dzisiaj. Zdaję sobie sprawę, że wybrałem fatalną porę na wyznanie, wiem, że jesteś mężatką i że w ogóle nie powinienem się

odzywać, ale tym razem naprawdę muszę. Kocham cię. Myślę, że pokochałem cię już w chwili, kiedy zobaczyłem cię przed dworcem Santa Maria Novella. A ta cała gadanina o tym, że wybrałem cię, bo jesteś Angielką, i że sprawiałaś wrażenie rozsądnej - to stek bzdur. Od początku było coś... nie wiem, jak to nazwać... sympatia, fascynacja... miłość.

- Jack - powiedziała szeptem. - Proszę... Nie możesz... Nie wolno ci tego mówić.

Chwycił ją za ramiona i popatrzył jej prosto w oczy.

- Nie wyznałbym ci tego, gdybym był przekonany, że jesteś szczęśliwa. Ale obserwowałem cię przez kilka ostatnich dni i widzę, że tak nie jest. Jesteś szczęśliwa, Freddie?

- Jack, błagam. - Uniosła dłoń, by go uciszyć, i pokręciła głową. - Nie chcę o tym mówić. Dzisiaj po prostu cieszymy się ładną pogodą. - Była zmęczona, bliska łez, a jednak po raz pierwszy od dłuższego czasu ogarnęło ją radosne ożywienie.

Ruszyli w stronę zamku. Co jakiś czas Freddie zatrzymywała się, by zebrać muszelki albo zdjąć buty i wytrząsnąć z nich małe kamyczki. W pewnej chwili, pod wpływem impulsu, podbiegła do morza i zaczęła brodzić w lodowatej wodzie. Siedząc na plaży i patrząc na Jacka, zastanawiała się nad tym, co się wydarzyło. Powiedział jej, że ją kocha. Dlaczego te słowa wprowadziły ją w taką radość? Czyżby odwzajemniła to uczucie? Czy to możliwe? Przypomniała sobie, jak się poczuła, gdy po raz pierwszy ją pocałował wtedy przed dworcem we Florencji. Pamiętała, jak się obudziła obok niego w samochodzie podczas ich ucieczki, i pragnęła go. Wspomniała ich rozstanie we Francji i taniec w Dorchester rok później. Mogłaby

powtórzyć wszystkie słowa, które do niej powiedział, opisać każde dotknięcie. Te wspomnienia zostały na zawsze wyryte w jej pamięci jakby diamentem w szkłe. „Kiedy się dowiedziałem, że wyszłaś za Lewisa Corytona, omal nie oszalałem z rozpaczy”. A w Dorchester powiedziała mu: „Założę się, że od naszego rozstania we Francji nawet o mnie nie pomyślałaś”, a on spojrzał na nią zaskakująco głębokim, poważnym wzrokiem i odparł: „O, nieprawda”.

W drodze do samochodu i podczas podróży powrotnej do Lymington prawie ze sobą nie rozmawiali. W pewnej chwili Jack ścisnął ją za rękę. Uznała to za przejaw troski.

Zaparkował przed domem. Freddie zobaczyła Lewisa, który wyszedł im naprzeciw.

- Jutro wyjadę - powiedział Jack. - Nie powinienem już tu dłużej zostawać. Będę za tobą tęsknił, Freddie.

Lewis wrócił z Southampton w dobrym humorze. W towarzystwie ubezpieczeniowym kazano mu sprawdzić i podpisać listę przedmiotów utraconych w pożarze. Zadano mu też kilka pytań na temat Jerry'ego. Miał nadzieję, że czek nadejdzie w ciągu tygodnia.

W kolejnych dniach Freddie starała się nie myśleć o Jacku. Było jej wstyd, że się z nim całowała. Przecież jest mężatką i kocha Lewisa.

Zapanowało między nimi niewypowiedziane zawieszenie broni. Po bładoniebieskim zimowym niebie płynęły lekkie chmurki, a Lewis mówił o przyszłości. Chciał, by jak najszybciej wyjechali z Lymington. To miejsce wiązało się dla niego ze złymi wspomnieniami. „Czuję się tak, jakbym



ciągle czekał na to, co się wydarzy", wyznał jej tego wieczoru, kiedy przyjęła jego oświadczyzny. Znow na to czekali. Marzyli, by złe czasy wreszcie minęły, by odzyskali spokój.

Przyszedł kolejny list z towarzystwa ubezpieczeniowego. Lewis rozciął kopertę, wyjął czek i odetchnął z ulgą. Teraz będą mogli rozpocząć nowe życie, stwierdził. Triumfalnie pomachał czekiem. To właśnie zapowiedź lepszego jutra.

Następnego dnia oznajmił Freddie, że jedzie do Londynu na rekonesans. Została w Lymington. Tego ranka miała iść do Renate, a w weekend spodziewali się wizyty małżeństwa zainteresowanego kupnem domu, więc zamierzała gruntownie go wysprzątać.

Została u Renate na lunchu, a w drodze powrotnej zrobiła w mieście zakupy. Gdy wróciła do domu, było już ciemno i padał deszcz. Wytarła mokre włosy w ręcznik i wyszła z łazienki. Właśnie schodziła na parter, gdy ktoś zapukał do drzwi.

Otworzywszy, ujrzała przed sobą mężczyznę około czterdziestki, w płaszczu przeciwdeszczowym w kolorze khaki i filcowym kapeluszu. Twarz nieznajomego zdobił cienki czarny wąsik. Przed domem stał zaparkowany na chodniku duży czarny samochód.

Domyśliła się, że nieznajomy chce spytać o drogę.

- W czym mogę pomóc? - spytała.
- Pani Coryton?

A więc nie chodziło o wskazanie kierunku.

- Tak.

- Czy pani mąż jest w domu?

- Niestety, nie. Powinien wrócić jutro wieczorem. Czy chciałby pan zostawić wiadomość, panie...

- Kite, Frank Kite. Mogę wejść?

Było w nim coś, co wzbudziło jej niepokój.

-Prawdę mówiąc, nie jest to najlepsza pora... - powiedziała.

Frank Ki te popatrzył na ulicę.

- Sądzę, że wolałaby pani nie prowadzić tej rozmowy na progu. Sąsiedzi mogliby coś usłyszeć. - Dłużej zatrzymał na niej wzrok. Miał wodniste, szarobrazowe oczy. - Pani mężulek jest bardzo niegrzecznym chłopcem, pani Coryton.

Freddie wpuściła go do domu. Serce zaczęło jej walić jak młotem.

Frank Kite wszedł do holu, zamknął za sobą drzwi i strzepnął krople deszczu z płaszcza.

- Dobrze jest móc się schronić przed deszczem - powiedział. - Chętnie napiłbym się herbaty, pani Coryton.

Machinalnie przeszła do kuchni i postawiła czajnik na gazie. Ręce jej drżały, gdy wyjmowała z szafki filiżankę i spodek. Porcelana zadźwięczała cicho. „Pani mężulek jest bardzo niegrzecznym chłopcem”. Spojrzała w okno. Miała ochotę wymknąć się tylnym wyjściem i spacerować tak długo, aż znów poczuje się bezpieczna.

Odwróciła się, słysząc jego głos. Frank Kite stał w drzwiach kuchni.

- Miło tu sobie państwo mieszkacie - ocenił.

Postawiła herbatę na stoliku. Ujął filiżankę i wypił

dwa duże łyki, jakby nie zdawał sobie sprawy, że może poparzyć gardło.

- Wystawili państwo dom na sprzedaż? Widziałem tablicę.

Nie odezwała się. Zaciśnęła wargi i obserwowała go uważnie jak bezpańskiego psa.

Przełknął kolejny łyk herbaty.

- Proszę przekazać wiadomość Lewisowi - powiedział. - Niech nie zapomina o pieniądzach, które jest winien Frankowi. Boję się, że chce stąd zwać. To byłoby bardzo nierozsądne z jego strony. Jeśli tak zrobi, zadbam, żeby ubezpieczyciele się dowiedzieli, że to on podpalił warsztat.

Serce gwałtownie zatrzepotało jej w piersi.

- To nieprawda. To był wypadek.

- Niech pani nie będzie naiwna, pani Coryton. Lewis jest bardzo zadłużony, a warsztat plajtował.

- Nie wierzę panu. '

- Naprawdę? - Poklepał ją po policzku. - Radzę uwierzyć, słoneczko, bo to najprawdziwsza prawda.

- Jerry... - wyszeptała.

- Biedny Jerry trafił do domu wariatów w St Albans. Jest tam od trzech miesięcy. Przeszedł załamanie nerwowe. - Odstawił filiżankę. - Lubie dziewczyny, które robią dobrą herbatę - powiedział.

Zapiął płaszcz przeciwdeszczowy i wyszedł z domu.

Siedząc w chłodnym salonie, przy wygasłym kominku, Freddie starała się odtworzyć w pamięci wydarzenia tamtego wieczoru, kiedy wybuchł pożar. Zepsuta lampa, listy. W drodze do Renwicków minęli dwie skrzynki pocztowe, dlaczego więc Lewis nalegał, by wysłać jej listy godzinę wcześniej? Jak długo nie było go w domu? Dziesięć minut... kwadrans... dłużej? Nie potrafiła sobie przypomnieć. Kąpała się, układała włosy. Sprawny mężczyzna, taki jak Lewis, mógł dobiec do warsztatu i wrócić w ciągu dwudziestu minut. Mógł też wziąć jej rower i dojechać tam w ciągu pięciu minut. Miałby mnóstwo czasu, by przyłożyć płonąca zapalną do czegoś łatwopalnego. Od tamtego czasu niepokoiło ją wiele spraw, o których wolała nie myśleć. Wciąż jednak krążyły wokół niej jak ćmy, przyprawiając ją o strach i zdenerwowanie. Teraz wszystkie obawy powróciły z zdwojoną siłą.

Znalazła latarkę, włożyła płaszcz i wyszła z domu. Udała się na nabrzeże, do miejsca, w którym niegdyś stał warsztat szkutniczy. Na pochylni leżały zwęglone deski, a w miejscu dawnego biura utworzyły się czarne kałuże. Była już teraz pewna, iż Lewis nie powiedział rzeczoznawcy o tym, że wychodził z domu, by wysłać list. Wiedziała, że ją okłamał. Jeśli Frank Kite, tak jak groził, opowie o wszystkim w towarzystwie ubezpieczeniowym, czy będzie umiała skłamać, by chronić męża?

Powiodła światłem latarki po cieśninie, po słonych błotach. Czuła się uwięziona w tym krajobrazie, lękała się jego nietrwałości. Przyływy i odpływy zmieniały wygląd mokradeł dwa razy dziennie, w pewnej chwili całkowicie pochłaniając nawet kępy drzew. Wiatr kołysał pierzastymi wierzchołkami trzcin. Ogarnięta strachem i obrzydzeniem, Freddie odwróciła się i szybko pomaszerowała do domu.

O siódmej usłyszała zgrzyt klucza w zamku.

- Freddie, gdzie jesteś? - zawołał Lewis. - Wróciłem! freddie?

Weszła do holu.

- O, jesteś - powiedział. - Chodź. - Pocałował ją, a po chwili pociągnął nosem. - Czyżbym czuł zapach obiadu? Umieram z głodu!

- Był tu Frank Kite. Chciał się z tobą spotkać - powiedziała.

Lewis odwrócił wzrok. Wolno powiesił płaszcz i kapelusz na kołku.

- Był tutaj? - spytał z niedowierzaniem.

- Tak.

- Kiedy?

- Dziś po południu.

Odwrócił się w jej stronę.

- Nie powinien tu przychodzić! - krzyknął ze złością.

- Prosił, żebym przekazała ci wiadomość.

Jego spojrzenie nagle stało się czujne.

- Wiadomość?

- Mówił, że jesteś mu winien pieniądze, Lewis - oznajmiła, obserwując go uważnie. - I powiedział mi też, że to ty podpaliłeś warsztat.

Minął ją, wszedł do saloniku i nalał sobie drinka.

- To oszust, Freddie.

- Podpaliłeś warsztat?

Zaśmiał się nerwowo.

- Oczywiście, że nie.

- Ale jesteś mu winien pieniądze.

Zwilżył wargi językiem.

- Tak.

- Ile?

Wypił łyk whisky.

- Około pięciuset funtów.

- Pięćset funtów! - Czując mdłości, usiadła na kanapie. - Powiedziałeś, że to oszust. Dlaczego pożyczałeś pieniądze od oszusta?

- A jak myślisz, dlaczego? - Usiadł obok niej. - Bo bank nie chciał mi udzielić pożyczki. Musielibyśmy zwinąć interes już pół roku temu, gdybym nie znalazł gotówki. Co mogłem zrobić? Myślisz, że pożyczałbym pieniądze od takiego typu jak Frank, gdybym miał inne wyjście?

- Powinieneś był mi powiedzieć...

- Po co? Żebyś wiedziała, że nic się nie układa? Żebym musiał patrzeć na twoją twarz z wypisanym na niej współczuciem: „Och, biedny Lewis, znów mu się nie udało”?

- Czy to ty podpaliłeś warsztat, Lewis? - spytała, nie kryjąc złości.

- Przestań, Freddie. Daj mi odetchnąć. - Wyjął z kieszeni paczkę Senior Service, wytrząsnął papierosa i wsunął między wargi.

- Powiedz mi prawdę. - Zacisnęła dłonie w pięści.

- Chcę wiedzieć wszystko. Musimy sobie ufać.

- Ufać? - Popatrzył na nią z ukosa. - Ufasz mi, Freddie? Naprawdę darzysz mnie zaufaniem? Odpowiedz, tylko szczerze!

Nie była w stanie wymówić słowa.

- Tak właśnie myślałem - powiedział z goryczą.

- Czy powiedziałaś rzeczoznawcy, że wychodziłeś wtedy z domu?  
Lewis?

Zapalił papierosa i powoli pokręcił głową.

- O, Boże. - Przyłożyła dłonie do ust.

- Gdybym to zrobił, nie wypłaciliby odszkodowania.

- Niespodziewanie opuściła go złość. W jego głosie pobrzmiwało znużenie. - Bardzo węszyli. Bank powiadomił ich, że wziąłem pięćdziesiąt

funtów pożyczki, a nie mogłem opowiadać o fikcyjnych łódkach, które niby to budowaliśmy, bo bez trudu by to sprawdzili.

- Okłamałeś mnie - szepnęła ledwie dosłyszalnie.

- Tak. Bardzo cię przepraszam. Nie powinienem był tego robić. Nie wiedziałem, co począć. Bałem się, że wszystko przepadnie. - Zaciągnął się dymem. - Ten interes... dom... Nie chciałem tego stracić, a już zupełnie nie wyobrażałem sobie, że mógłbym stracić ciebie. Nie potrafiłbym tego znieść.

Pomyślała o Jacku Ransomie i poczuła zimne ciarki, biegnące po kręgosłupie.

- Lewis...

-Wiem, że od pewnego czasu pomału cię tracę...

- Uśmiechnął się blado.

- To nieprawda, Lewis.

- Dobrze wiesz, że mam rację - powiedział cicho.

- Widzę to w twoich oczach, Freddie. Żałuję, że tak to się ułożyło, że musiałem o wszystko walczyć, udawać, że nic złego się nie dzieje.

- Nie musiałeś niczego udawać przede mną.

- Tak uważasz? Nie mogłem znieść myśli, że cię rozczarowałem, miałem już serdecznie dość tych wszystkich nieudanych pomysłów. Bałem się, że jeśli dowiesz się prawdy, odejdziesz ode mnie. Naprawdę, Freddie, wciąż się tego panicznie boję. Wydaje mi się, że po tej rozmowie wstaniesz i wyjdiesz z domu.



- Nie zrobię tego - wykrztusiła przez zaciśnięte gardło.

- Obiecuję, Lewis, że nic takiego się nie stanie.

- Stracimy dom, Freddie.

- Dom?!

- Kite pożyczył mi pieniądze na bardzo wysoki procent. Dług zdążył się już podwoić. Spłata pochłonie pieniądze z ubezpieczenia i ze sprzedaży domu. - Był szary na twarzy, wyczerpany.

- Chcę, żebyś powiedział mi prawdę, Lewis. Muszę wiedzieć, co się wydarzyło w warsztacie.

- Nie mogę, Freddie. - Przesunął dłonią po twarzy.

- Posłuchaj. - Chwyliła jego ręce w swoje i mocno ścisnęła. - Zaczniemy od nowa. I tym razem wszystko nam się uda. Jestem tego pewna. Ale musisz wyznać mi prawdę.

Po dłuższej chwili powiedział:

- Nie miałem pojęcia, że sytuacja jest aż tak zła, dopóki nie zabrałem ksiąg z domu Jerry'ego. Zdawałem sobie sprawę, że jeśli nie znajdę jakiegoś sposobu na zdobycie pieniędzy, stracimy dom. Przyszło mi do głowy, żeby podpalić baraki, tak jak mnie o to podejrzewasz. Ale uznałem, że nie mogę tego zrobić, bo to przestępstwo. Jednak po pewnym czasie zastanowiłem się jeszcze raz. Doszedłem do wniosku, że nie skrzywdzę nikogo oprócz tych cholernych oszustów z ubezpieczenia. Ten typ, który tu był, Simpson... Spytałem go, co robił w czasie wojny. Okazało się, że siedział spokojnie w domu i wypełniał jakieś formularze, ot, co. Dlaczego takim ludziom dobrze

się powodzi, podczas gdy tacy jak ja ciągle dostają po tyłku? Tak bardzo się starałem, Freddie. Przestrzegałem zasad, grałem uczciwie i zaprowadziło mnie to donikąd. Więc w końcu to zrobiłem. Wszystko przygotowałem w ciągu dnia i wystarczyło już tylko przyłożyć zapaloną zapalną, kiedy wybiegłem z domu przed wyjściem do Renwicków. Musiałem mieć alibi i znajdować się odpowiednio daleko od portu, kiedy te budy płonęły. - Lewis się uśmiechnął. - Nie wiedziałem, że jestem zdolny do czegoś takiego. Ale, prawdę mówiąc, nie było to tak trudne jak zadania, które musiałem wykonywać w przeszłości. Wyławianie kumpli z morza, kiedy oblani ropą naftową płonęli żywcem... to dopiero było straszne.

Był wczesny ranek. Freddie leżała w łóżku, rozmyślając. Miała inny charakter niż Tessa. Wiedziała o tym, kiedy całowała się na plaży z Jackiem Ransome'em, i była tego pewna teraz. Już dawno doszła do wniosku, że kochanek Tessy, ojciec Angela, z pewnością był żonaty. „Czasami miłość przychodzi nie wiadomo skąd”, powiedziała Tessa, kiedy rozmawiały w ogrodzie Villa Millefiore. Freddie przekonała się, że to prawda. Miłość, z całą swą radością i siłą, przyszła do niej tydzień temu na Hurst Beach. Freddie doskonale rozumiała teraz, co siostra miała na myśli. Bardzo się jednak różniły. Tessa poszła za swą miłością, oddała temu uczuciu serce i duszę, a jej romans zakończył się tragedią. Freddie nie mogła postąpić tak jak ona. Nie wiedziała już, co jest lepsze, a co gorsze - wiara siostry w to, że miłość jest najważniejsza, czy też jej własne przekonanie, że musi pozostać wierna małżeństwu, obarczonemu bólem i kłamstwami. Nie miała jednak wyboru. Nie wyobrażała sobie sekretnych schadzki i spotkań w hotelach. Nie zamierzała prowadzić podwójnego życia. Znała się zbyt dobrze,

wiedziała, na co ją stać. Musiała więc zrezygnować z tego, za czym najbardziej tęskniła.

Budka telefoniczna znajdowała się przy końcu ulicy. Freddie poprosiła telefonistkę, by połączyła ją z londyńskim numerem Jacka Ransome'a. Czekając, miała nadzieję, że może go nie będzie, chciała przełożyć tę rozmowę na później.

- Proszę mówić - odezwała się telefonistka i po chwili Freddie usłyszała głos Jacka.

- Halo?

- Cześć, Jack.

- Freddie, miło cię słyszeć. Jak się miewasz?

- Dobrze. A ty?

- Wspaniale.

W jego głosie kryło się jednak jakieś pytanie. Zmusiła się do opanowania i powiedziała:

- Proszę cię, żebyś więcej nie przyjeżdżał, Jack... żebyś nas nie odwiedzał.

Zapadła cisza.

-Jeśli jesteś zła z powodu tego, co się wydarzyło... - odezwał się po dłuższej chwili.

- Nie mam do ciebie żalu, ale to się nie może powtórzyć. To nie jest najłatwiejszy okres w moim życiu i czułam się bardzo samotna, tylko tyle. To nie było nic ważnego.

- Dla mnie znaczyło bardzo wiele.

Wyobraziła sobie, jak tam, po drugiej stronie, zdezorientowany Jack zaczyna czuć ból. Odezwała się zdecydowanym tonem.

- Przepraszam, jeśli stworzyłam niewłaściwe wrażenie. To był błąd, nic więcej.

- Błąd?

- Tak.

- Posłuchaj... - Oczami wyobraźni widziała, jak zmarszczył czoło. - Dużo o tym myślałem. Karcilem się w duchu za to, że okazałem się draniem, który całuje żonę przyjaciela, a potem doszedłem do wniosku, że zasługujesz na coś więcej niż nieudane małżeństwo.

- Lewis i ja jesteśmy dobraną parą.

- Nie wierzę ci.

- Musisz mi uwierzyć. - Niespodziewanie poczuła przyływ złości. - Co ty o nas wiesz? Co wiesz o mnie? Pojawiasz się w moim życiu od przypadku do przypadku, kiedy przyjdzie ci na to ochota, mącisz wodę i wyjeżdżasz. Prawie cię nie znam, Jack. Nigdy nie byłam u ciebie w domu, o ile masz dom; nie poznałam twoich bliskich. Staralam się obliczyć, ile czasu spędziliśmy razem, i wyszedł mi tydzień. Naprawdę myślisz, że zdradzę Lewisa dla kogoś, kogo znam tydzień?

- Powiem ci, co myślę, Freddie - odrzekł cichym, spokojnym tonem. - W ten sposób niczego sobie nie wyjaśnisz. Układanie równań matematycznych nie da odpowiedzi na to, czy kogoś kochasz. Już po godzinie można zyskać pewność, że chce się z kimś być. A można też znać kogoś dziesięć lat, a potem, pewnego dnia, przekonać się, że już po wszystkim, że uczucie wygasło.

- To są romantyczne bzdury, Jack. Dobrze o tym wiesz - rzuciła ostro. - Niech ci się przypadkiem nie wydaje, że masz prawo wkraczać w nasze życie i niszczyć to, co Lewis i ja budowaliśmy przez lata.

Usłyszała, jak gwałtownie zaczerpnął tchu.

- Nie mam najmniejszego zamiaru tego robić - odparł lodowatym tonem. - Przykro mi, że tak to odebrałaś.

- Niestety, właśnie tak.

- Chciałbym ci zadać jeszcze jedno pytanie, Freddie. Czy kochasz Lewisa?

Spojrzała w okno budki, na błota i mokradła.

- Tak - odrzekła cicho, a po chwili, już bardziej zdecydowanym tonem, dodała: - Tak. Bardzo.

- Jeśli więc naprawdę sobie tego życzysz, zapewniam cię, że nie będę już zawracał ci głowy. Do widzenia, Freddie. - To powiedziawszy, odłożył słuchawkę.

## Rozdział 18

W oknach galerii w Pimlico widać było światła.

Rebecca przystanąła na chwilę, wzięła głęboki oddech i weszła do środka. Salę wypełniał tłum gości i nie mogła dostrzec Connora Byrne'a. Poczwała w żołądku skurcz. Być może po tak długim okresie rozłąki nie uda jej się go rozpoznać. A może to on jej nie pozna - zmieniła się przez ostatnie dziewięć lat, bardzo się postarzała.

Torując sobie drogę, zobaczyła rzeźbę o spiralnej formie, przypominającą ślimaka albo morską muszlę, a za nią wysoki ciemny kamień z otworem w kształcie jaja.

Na środku sali znajdował się ponury, monumentalny szary posąg z granitu. Wydał jej się znajomy.

Odezwał się ktoś stojący tuż obok:

- Mannannan mac Lir, bóg morza z wyspy Man. Pomyślałem, że może zechcesz znów się z nim spotkać, Rebecca.

Odwróciła się. Connor miał na sobie ciemny garnitur, koszulę i krawat. Kręcone włosy, przyprószone siwizną, były schludnie uczesane z przedziałkiem na boku.

- Och, Connor - powiedziała, czując, że opuszcza ją napięcie. - Tak się cieszę, że znów cię widzę. W dodatku prezentujesz się bardzo przystojnie.

Oczy mu rozblęły.

- Czuję się jak indyk. Trudno mi oddychać.

- Wyglądasz bardzo elegancko.

- Ach, Rebecco, zawsze byłaś taka życzliwa i uprzejma. - Chwycił jej dłoń i serdecznie uściskał. - Bardzo się cieszę, że przyszałaś.

- Za nic w świecie nie przepuściłabym takiej okazji.

Podszedł do nich wysoki, jasnowłosy mężczyzna.

Connor przedstawił Rebecce swojego agenta, Adriana Caldera. Przez chwilę rozmawiali w trójkę, po czym Adrian poprowadził go w stronę innych gości.

Rebecca znalazła spokojne miejsce przy ścianie. Patrzyła, jak Connor ściska dłoń i rozmawia z ludźmi przybyłymi na wernisaż. Miał w sobie coś, co zawsze ją przyciągało i budziło zaufanie. Powiedziała Connorowi o swoim aniele, chociaż nigdy nie rozmawiała na ten temat z nikim innym. Teraz przypomniała sobie spotkanie z Milem i chęć opowiedzenia mu o tamtej rozmowie z Tessą Nicolson, o rozmowie, która zmieniła życie tak wielu ludzi, rozsypała je niczym kawałki potłuczonego szkła. Była potem głęboko wdzięczna Godfreyowi Warburtonowi, temu potwornemu nudziarzowi, że swym nadejściem jej to uniemożliwił. Wyznanie nie wywarłoby na Milu większego wrażenia, spłynęłoby po nim jak woda po kaczce. Rebecca czuła jednak, że musi znaleźć sposób, by wyjawić swą tajemnicę. Prawda miała bowiem moc wyzwalającą.

- Pozwoli pani, że się przedstawię - usłyszała czyjś głos. - Michael Lyndhurst. Doktor Michael Lyndhurst.

- Rebecca Rycroft. - Podała mu rękę.

Był wysoki, przystojny, miał około pięćdziesięciu lat i wyglądał dystygowanie.

- Interesuje się pani rzeźbą, hmm... - popatrzył na jej lewą rękę - pani Rycroft?

- Tak, bardzo. Znam Connora od lat.

- Czy pani mąż jest tutaj? - Udał, że się rozgląda.

Już dawno odkryła, że najlepiej nie ukrywać niczego-

- Jestem rozwiedziona - powiedziała.

Niektórzy mężczyźni dostrzegali w tym dla siebie szansę. Doktor Lyndhurst najwyraźniej należał do tej kategorii. Uśmiechnął się.

- Pozwoli pani, że przyniosę jej drinka - zaproponował.

Gdy wrócił, przez chwilę rozmawiali o wystawie, a następnie poruszyli temat ulubionych książek i najciekawszych przedstawień teatralnych. Był elokwentny i odczytany, jednak trudno jej się było skupić. Co chwila szukała wzrokiem Connora, przypominając sobie jego uśmiech i sposób poruszania się.

Okolo ósmej tłum zaczął się przersedzać. Rebecca przeprosiła doktora Lyndhursta i poszła pożegnać się z Connorem. Potem odebrała płaszcz i wyszła z galerii.

Na chodniku czekał na nią doktor Lyndhurst.

- Pomyślałem, że zaproszę panią na kolację, pani Rycroft.

- To bardzo miło z pana strony - powiedziała - ale dziękuję.



- Jeśli jest pani zajęta, możemy to przełożyć na jutrzejszy wieczór.
- Przykro mi, ale to niemożliwe.

Spochmurniał.

- Nie próbowałbym, gdybym wiedział, że tak się pani zachowa.

Drzwi otworzyły się i z galerii wyszedł Connor. Doktor Lyndhurst się oddalił.

Connor odprowadził go wzrokiem.

- Naprzykrzał ci się?

- Tylko trochę. - Rebecca westchnęła. - Należy do tych mężczyzn, którzy uważają, że jeśli zadadzą sobie trud, by porozmawiać z kobietą w moim wieku, zyskują tym samym prawo do pójścia z nią do łóżka.

- Jeśli chcesz, dam mu w dziób.

- Nie jest tego wart. - Uśmiechnęła się do Connora. - A ty nie powinienesz aby jeszcze rozmawiać z mężczyznami tego świata?

- Pewnie powinienem, ale wolę zabrać cię na kolację, o ile mi pozwolisz.

- Z wielką chęcią.

Udali się do włoskiej restauracji w Soho. Usiedli przy jednym z okrągłych stolików w suterenie. Panował tam półmrok, w rogu grało trio jazzowe.

Rebecca zapytała Connora o rodzinę. Odrzekł, że Aoife i Brendan czują się dobrze. Brendan zamierzał jesienią zacząć studia na uniwersytecie w Dublinie.

- Chce studiować historię - opowiadał Connor. - To bystry chłopak. Jestem z niego bardzo dumny.

- Jesteś dla niego dobrym ojcem, Connor.

- Nieprawda. Dobry ojciec powinien zostać z jego matką. - Zapalił dla nich papierosy. - Aoife podjęła pracę na pół etatu w sklepie tekstylnym. Powiedziałem jej, że nie musi pracować i że zawsze będę się opiekował nią i Brendanem.

- Może po prostu chciała pójść do pracy. Będzie jej brakowało Brendana. Pewnie dlatego znalazła sobie to zajęcie.

Connor pokręcił głową.

- Aoife ma tradycyjne poglądy. Uważa, że mężczyzna powinien utrzymywać rodzinę, a kobieta zajmować się domem i dziećmi.

- Ale wasza obecna sytuacja nie mieści się w tym schemacie - odparła Rebecca łagodnym tonem. - Być może twoja żona się z tym pogodziła.

Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

- Powiedziała mi, że codziennie się modli, żebym do niej wrócił. Ona nigdy nie zaakceptuje naszego rozstania, Rebecca. I bardzo źle się czuje z tego powodu.

- Och, Connor.

- Zastanawiałem się, czy nie poszła do pracy po to, żebym poczuł się winny. Ale potem zawstydziłem się tych myśli.

- A czujesz się winny?

- Czasami tak. Więc jeśli praca pomaga w czymś tej biedaczce, to powinienem się z tego cieszyć.

- Być może taka jest cena wolności. Nikt z nas nie może mieć wszystkiego, czego pragnie.

Kiwnął głową.

- Powinienem tu wcześniej przyjechać, ale martwiłem się o Aoife. Powiedz mi, co u ciebie słysząc, Rebecca. Opowiedz o siostrze i mężu. I o swojej pracy.

Spełniła jego prośbę. Gdy zjedli kolację, Connor zamówił dla nich brandy. Sączyli alkohol, słuchając muzyki.

- Bardzo podobała mi się twoja wystawa, Connor - powiedziała Rebecca. - Trudno byłoby mi zdecydować, która z prac najbardziej przypadła mi do gustu. Zawsze będę miała słabość do twojego boga morza. Pamiętam, jak razem z Davidem Mickleborough ciągnęliście ten blok granitu do pracowni. Nie zapomnę, jak spojrzałam w okno szopy i zobaczyłam to mocne i surowe oblicze. Poprosiłeś, żebym weszła i go poznała. Wtedy po raz pierwszy porozmawialiśmy jak ludzie.

- Onieśmielałaś mnie, Rebecca. Byłaś dzika, szalona.

- Szalona? - Roześmiała się. - Och, Connor, nie! Byłam bardzo ułudzona. Tweedowe kostiumy, klasyczne komplety bliźniaki, pomoc

domowa i eleganckie przyjęcia - w tym nie ma ani krzty szaleństwa. Nie umiałam czuć się swobodnie. Ale myślę, że w końcu się nauczyłam.

Pokręcił głową.

- Nie, nie, zawsze było w tobie coś dzikiego. Widziałem cię kiedyś w Mayfield na polu. Była potworna wichura, lał deszcz, a ty, niczym niezrażona, z uporem wbijałaś łopatę w ziemię.

- Zapewne sobie wyobrażałam, że to Milo.

Connor roześmiał się.

- Z tymi swoimi rozwichrzonymi czarnymi włosami, jasną cerą i błyszczącymi zielonymi oczami wyglądałaś jak bogini.

Wyciągnęła ku niemu rękę przez stół i ścisnęła jego dłoń.

- Zawsze lubiłam pracę na powietrzu. W Mili House często spędzałam całe dni w domu, co doprowadzało mnie do szaleństwa.

- Wciąż o nim myślisz?

- O Milu? Prawie w ogóle o nim nie myślę. Mówiłam ci, że spotkałam go niedawno w Londynie? Ma dwie córki. Nazywają się Helen i Laurabeth. - Rebecca zmarszczyła nos. - To pewnie Mona nazwała dziecko Laurabeth. Milo nigdy nie lubił wymyślnych imion. Wciąż trudno jest mi myśleć o nim jako o dobrym mężu i ojcu.

- Jesteś złośliwa, Rebecco. - Ujął jej dłoń i pogładził kciukiem wewnątrz. Poczwała ciepło jego palców, a także odciski i blizny na ręku. Miała podobne.

- W Irlandii setki razy próbowałem cię narysować i nigdy mi to nie wychodziło. Zapomniałem, jak wygląda linia twoich brwi i te dołeczki w kącikach ust. Będę ci się musiał teraz długo i uważnie przyglądać, żeby wszystko dokładnie zapamiętać.

Miała wrażenie, że w jej życiu zachodzi jakaś tajemnicza zmiana, o której nie śmiała nawet wcześniej marzyć.

- Naprawdę, Connor?

- Wiesz, że podziwiam twoją urodę.

- Och, Connor. - W jej oczach pojawiły się łzy. - Jestem stara i zmęczona życiem. Może kiedyś byłam piękna, ale to już minęło.

Potrząsnął głową.

- Byłaś piękna wtedy i jesteś piękna teraz. A za dziesięć i dwadzieścia lat również będziesz piękna. Jestem tego pewny. Gdybym zapisywał wszystko, co chciałem ci powiedzieć przez te lata rozłąki, moje listy miałyby długość mili. Kocham cię, Rebecca, i chcę, żebyś przy mnie była, kiedy rano otworzę oczy. A jeśli obudzę się w nocy, pragnę widzieć przy sobie twoją twarz. Jestem zmęczony samotnością i tym, że mieszkam tak daleko od ciebie. Chcę być przy tobie stale. Nie wiem, jak nam się ułoży. Żyliśmy w związkach małżeńskich, ja mam syna i swoje kamienie, a ty swoje szkło, ale jestem pewny, że chcę być z tobą. Czy byłaby szansa, że ty też mogłabyś tego zapragnąć?

- Tak - odpowiedziała, a serce radośnie podskoczyło jej w piersi. - Tak, Connor.

Freddie i Lewis wyjechali z Lymington latem 1949 roku. Znaleźli się chętni na ich dom, a Lewis znalazł pracę w instytucie lotnictwa w Croydon. Przez te ostatnie miesiące w Lymington Freddie podskakiwała, słysząc pukanie do drzwi albo dzwonek telefonu, bojąc się, że to policja czy też urzędnik z towarzystwa ubezpieczeniowego, Frank Kite... Wciąż straszyły ją cienie przeszłości.

Wynajęli małe mieszkanie w St John's Wood. Freddie znalazła pracę w galerii sztuki przy Cork Street. Właścicielem był Caspar de Courcy, który nosił aksamitne marynarki smokingowe i muszki w grochy. Pan de Courcy był skąpy - jego przyjaciel, mieszkający razem z nim nad galerią, wygadał się pewnego dnia do Freddie, że dostała pensję o połowę mniejszą niż jej poprzednik. Pan de Courcy miał wątpliwości, czy przyjąć Freddie do pracy (twierdził, że bardziej ufa mężczyznom), dopóki nie napomknęła, że jest córką Geralda Nicolsona. Oczy jej szefa rozbliły: „Czy może ma pani jakieś jego dzieło?”. Odpowiedziała, że, niestety, nie. Matka sprzedała obrazy, by mieć pieniądze na edukację i ubrania córek, a chociaż Tessa w czasach, gdy pracowała jako modelka, mogła sobie pozwolić na wykupienie części prac ojca, nigdy tego nie zrobiła. Zapewne zbyt dobrze pamiętała ostry język i wybuchowy temperament ojca, by kolekcjonować po nim pamiątki.

Mimo wszystko pan de Courcy przyjął ją do pracy. Freddie dowiedziała się, że obrazy ojca znacznie zyskały na wartości przez te wszystkie lata, jakie upłynęły od jego śmierci. Pan de Courcy lubił się czasem nią chwalić.

Kilka razy Freddie słyszała, jak mówił potencjalnemu klientowi: „Tak, to córka Geralda Nicolsona, bardzo bystra dziewczyna”.

Wiedziała, że Lewis nie akceptuje jej pracy w galerii, postawiła jednak na swoim. Praca i mieszkanie w Londynie były teraz dla niej najważniejsze. Chciała za wszelką cenę znowu poczuć, że panuje nad swoim życiem, a to oznaczało konieczność posiadania własnych pieniędzy. Z wielką ulgą pożegnała szare przestrzenie pełne błota i mokradła. Cieszyła ją normalność życia w Londynie, znajome ulice i budynki, sklepy, urzędy i ludzie, zapewniający jej niezbędną rozrywkę. Ona i Lewis nie mieli wspólnych tematów, a w dodatku coraz częściej musieli uważać na słowa.

Lewis był przygnębiony. Rzadko wychodzili na przyjęcia albo do kawiarni czy restauracji. Najczęściej spędzali wieczory, czytając książki albo spacerując w pobliskim parku. Czasami Freddie, budząc się w nocy, słyszała, jak mąż krąży po mieszkaniu przy cicho grającym radiu. Oddał Frankowi Kite'owi dług dzięki pieniądzom z ubezpieczenia i sprzedaży domu. Pozostał jednak jakiś osad, coś bezpowrotnie zatruło im życie, a dźwięk dzwonka do drzwi późnym wieczorem niezmiennie wprawiał Freddie w przerażenie. Dobrze znała charakterystyczny zimny dreszcz biegnący wzdłuż kręgosłupa i uczucie, że ziemia usuwa się jej spod nóg.

Początek lat pięćdziesiątych przyniósł im jednak nadzieję. Lewis otrzymał awans w pracy i nareszcie mógł uznać, że osiągnął wymarzony sukces. Przenieśli się do większego mieszkania i zaczęli się spotykać ze starymi przyjaciółmi. Lewis wydawał się bardziej zadowolony z życia i coraz częściej przypominał sobie z dawnych lat.

Chociaż Freddie chodziła z nim na przyjęcia i do restauracji, wołała towarzystwo swoich przyjaciół, Juliana, Maksa i Leavingtonow, dawnych

znajomych Tessy. Julian ożenił się i miał synka; drugie dziecko Raya i Susan, dziewczynka, urodziło się w lipcu 1950 roku.

Tego lata Max zorganizował retrospektywną wystawę swoich prac w galerii w Soho. Znalazło się tam wiele fotografii Tessy, jego muzy. Roześmiana Tessa stała przy sadzawce Serpentine, prezentowała wieczorowe suknie od Diora; było też zdjęcie Tessy z zebłą, zdobiące niegdyś mieszkanie w Highbury, oraz fotografia, której Freddie nigdy nie widziała. Max uwiecznił Tessę tuż przed jej wyjazdem do Włoch. Tessa siedziała na łóżku w spodniach i dżersejowej koszulce z krótkimi rękawami, obejmując rękami zgięte kolana. Nie miała makijażu, a zaczesane do tyłu włosy odsłoniły bliznę na czole. Mimo to jak dawniej emanowała swym kruchym pięknem. Podpis pod fotografią głosił: „Tessa Nicolson 1916-1944”.

Pewnego ranka, gdy Freddie siedziała w kantorku za galerią pana de Courcy'ego, wypisując rachunek, rozległ się dźwięk dzwonka u drzwi. Przeszła do sklepu. Klientem okazał się wysoki, jasnowłosy mężczyzna. Freddie zamarto serce. Po chwili mężczyzna zwrócił się w jej stronę. Nie był to Jack.

Przedstawił się jako Desmond Fitzgerald. Powiedział, że spotkał Tessę we Włoszech. Postanowili się spotkać, gdy Freddie skończy pracę.

Desmond Fitzgerald zaprosił ją na drinka do Savoya. Wyjaśnił, że już od dawna chciał z nią porozmawiać, dopiero teraz jednak udało mu się ją znaleźć. Opowiedział o swej znajomości z Tessą od chwili, gdy spotkali się w restauracji Mirabelle przed wojną, do dnia, w którym Faustina Zanetti powiadomiła go o śmierci Tessy.



- To straszne - westchnął. Miał w oczach łzy.
- Potworne.

Potem wytarł nos i powiedział Freddie, że wraz z innymi jeńcami wojennymi - Anglikami i aliantami - przez prawie rok ukrywał się w lasach na terenach majątku Zanettich, a Tessa zimą dostarczała im żywność.

- Musieliśmy się zmieniać, czekając na nią co noc
- mówił - bo inaczej wszyscy wybiegliby jej naprzeciw, chcąc choć przez chwilę na nią popatrzeć. To była cudowna kobieta, Freddie, i powinnaś być z niej bardzo dumna.

Po kolacji się rozstali. Desmond uściskał dłoń Freddie i obiecali sobie, że będą utrzymywać kontakt. Jadąc do domu taksówką, opłaconą przez Fitzgeralda, Freddie przypomniała sobie, jak po śmierci matki rozmawiały o niej z Tessą, by w ten sposób niejako ją wskrzesić. Rozmowa o Tessie z Desmondem Fitzgeraldem, poznanie szczegółów jej życia we Włoszech sprawiło, że teraz siostra wydała się Freddie bardzo bliska.

Któregoś dnia ona i Lewis jedli kolację z Marcelle Scott i jej przyjaciółmi, kiedy ktoś zapytał o Jacka.

- Jack wrócił do Włoch - powiedziała Marcelle.
- Wyjechał już całe wieki temu.
- A czy czasami tu bywa? - nieoczekiwanie dla siebie samej spytała Freddie.
- Nie - ucięła Marcelle, nie kryjąc dezaprobaty. - Jestem na niego zła. Zazwyczaj nie znikał stąd na tak długo.

Któregoś dnia w październiku 1950 roku Freddie wróciła z pracy i kroїła cebulę oraz marchewkę na gulasz. Usłyszała zgrzyt klucza w zamku - to Lewis wrócił do domu.

Wszedł do kuchni.

- Freddie, musimy porozmawiać.

- Za chwilę. - Zgarnęła pokrojoną cebulę do rondla. - Daj mi pięć minut, aż postawię wszystko na gazie.

Zakręcił kurek.

- Proszę, Freddie, teraz.

Wytarła dłonie w fartuch i weszła za Lewisem do salonu.

- Usiądź - powiedział. Wyjął butelkę dzinu i dwie szklaneczki.

- Nie mam ochoty na drinka - odmówiła.

- Marcelle i ja zakochaliśmy się w sobie.

Patrzyła, jak Lewis nalewa dzin, kroi cytrynę. Jego słowa były szokujące i niezrozumiałe. Nie docierały do niej.

Pokręciła głową.

- Nie rozumiem.

- Marcelle i ja się kochamy - powtórzył spokojnym tonem - i chcemy się pobrać.

- Nie możecie się pobrać. Wzięłaś ślub ze mną.

- Chciałbym się rozwieść, Freddie.

Postawił szklaneczkę na stoliku. Freddie wpatrywała się w nią przez chwilę, po czym energicznym ruchem zmiotła ją ze stołu tak, że roztrzaskała się o podłogę.

- Jesteś moim mężem!

- Tego nie można nazwać małżeństwem. - Usiadł obok

niej na kanapie. - To już od lat nie jest żadne małżeństwo! Nie ufasz mi ani mnie nie potrzebujesz. Jest mi przykro, jeśli sprawiam ci ból, ale dobrze wiesz, że to prawda. Zmieniłaś się, Freddie. Nie jesteś już dziewczyną, którą poślubiłem. Nie pragniesz tego, o czym dawniej marzyliśmy oboje. Oczywiście wiem, że to moja wina. Przyznaję się do tego. Chodzi mi jednak o to, że kiedy jestem z tobą, czuję, że masz do mnie żal. Widzę, że cały czas pamiętasz wszystko, co zrobiłem. Rozumiem, że nie chcesz traktować mnie protekcjonalnie, Freddie, ale nic nie możesz na to poradzić. Z Marcelle jest inaczej. Ona nie zna mojej przeszłości, a nawet gdyby znała, nie krytykowałaby mnie.

Freddie wstała, mając wrażenie, że jej mięśnie są sztywne jak po zdobyciu stromej góry, i poszła do kuchni. Wyjęła szczotkę i śmietniczkę z szafki, a potem wróciła do salonu. Uklękła, by zmieść kawałki szkła z podłogi.

- Więc chcesz mi powiedzieć, że ode mnie odchodzisz?

- Tak. Wyprowadzę się jeszcze dzisiaj. Tak będzie lepiej.

Popatrzyła na niego spod zmrużonych powiek.

- Dla kogo lepiej, Lewis?
- Dla nas obojga.
- Ty i Marcelle... - spytała jadowitym tonem - jak długo to trwa?

Sprawiał wrażenie zawstydzonego.

- Od początku roku.

Dziesięć miesięcy, pomyślała. Dziesięć miesięcy! Trzymała w ręku odłamek szkła; nagle ścisnęła go mocno. Krew zaczęła kapać ze zwiniętej dłoni. Lewis podszedł do Freddie, chcąc jej pomóc, lecz wstała, minęła go i wpadła do łazienki. Zamknąwszy za sobą drzwi, zawięła rękę w fartuch i przycisnęła materiał do rany, by bolało.

Rebecca myślała o tym od czasu rozmowy z Meriel w dniu ślubu siostry. Zaczęła tworzyć figurki ze szkła. Miała ich teraz siedem. Wszystkie przedstawiały kobiety, takie, jakie są w rzeczywistości: stare, młode, grube, chude, ciężarne, bezpłodne, przeciętne, urodziwe. W każdym razie z pewnością nie były to wyidealizowane postacie, istniejące jedynie w wyobraźni artysty.

W swoich pracach wykorzystywała różne techniki. Pierwsza figurka była odlewem modelu z gliny. Kobieta o szerokich policzkach i pełnych wargach, z zamkniętymi oczami, wystawiała twarz do słońca. Jej długie włosy opadały w drobnych loczkach na ramiona jak u postaci z malowideł w egipskich grobowcach. Rebecca nazwała tę figurkę Izyda. Następna kobieta miała szerokie biodra oraz zmarszczki wokół oczu i ust. Rebecca użyła barwnego szkła w różnych odcieniach koloru turkusowego, szmaragdowego

i brązu. Ta figurka otrzymała imię Elizabeth. Rebecca myślała o nazwaniu postaci ciężarnej kobiety Mona, ale po namyśle nadała jej imię Gaja.

Tworzyła szklane rzeźby już od roku. Connor pomagał jej robić formy. Nocami śniła, że jej siedem kobiet wędruje przez wzgórza Oxfordshire, w okolicach Mili House. Silne i dumne, miały w oczach gwiazdy, a blask księżycy rozjaśniał ich przezroczyste twarze.

Ostatnia praca okazała się najtrudniejsza do wykonania. Miała przedstawiać popiersie kobiety, a nie całą postać. Rebecca wyrzeźbiła głowę z wosku, po czym pokryła ją mieszanką gipsu i krzemionki. Kiedy gips stwardniał, roztopiła wosk parą z czajnika. W rezultacie powstała forma, którą wypełniła kawałkami szkła.

Czekał ją najtrudniejszy etap. Pierwsze trzy próby okazały się nieudane. Szkło pękało w piecu albo nie udawało jej się uzyskać pożądanego efektu. Za czwartym razem częściowo wypełniła formę szkłem, po czym pokryła je warstwą pokruszonej gliny mniej więcej w połowie głowy, i dopiero potem uzupełniła całość szkłem.

Wyjawszy schłodzoną i utwardzoną pracę z pieca, z trudem powściągała emocje, usuwając gipsową formę. Spod skorupy wyłoniło się szkło, przezroczyste i pełne światła. Wtedy, jak najostrożniej, palcami i miękkim pędzelkiem, usunęła pokruszoną glinę i przekonała się, że osiągnęła zamierzony efekt - głowa była jakby rozszczepiona na dwoje.

Freddie wyprowadziła się z St John's Wood i znalazła sobie mieszkanie w South Kensington. Przeszła przez bolesne procedury rozwodu, negocjacje, ugody. Nie chciała niczego od Lewisa. Pragnęła tylko poczuć się wolna.

Nic takiego jednak się nie stało. Nie można wymazać sześciu lat małżeństwa za pomocą kawałka papieru. Wciąż czuła pogardę do Lewisa i nienawidziła Marcelle Scott. Przez wiele miesięcy stanowiło to jej obsesję. Pracując w galerii i jadąc autobusem do domu, układała w myślach scenariusze starcia z Marcelle. W jej wyobrazeniach miażdżące słowa potępienia same płynęły jej z ust, a Marcelle kuliła się ze strachu, błagając o przebaczenie.

Potem, któregoś dnia, obudziła się rano i poczuła, że cała złość znikła. Czuła się jedynie bardzo zmęczona. Mycie zębów, ubieranie się, a potem praca - te proste czynności przychodziły jej z wielkim trudem. Dużo płakała, a wieczorami, po powrocie z galerii, nie chciało jej się gotować, więc zalewała tylko mlekiem płatki zbożowe albo robiła sobie grzankę. Uczucie wyczerpania trwało kilka miesięcy. Doktor przepisywał jej tabletki, zawierające żelazo. Twierdził, że uczucie ciągłego zmęczenia jest reakcją organizmu na traumatyczne przeżycia związane z rozwodem, Freddie doszła jednak do wniosku, że do obecnego stanu doprowadziła ją także śmierć Tessy, trudne lata małżeństwa z Lewisem, pożar w warsztacie szkutniczym. Te wszystkie tragiczne wydarzenia nałożyły się ciężkim brzemieniem jedno na drugie.

Latem 1951 roku pojechała do Francji z Rayem, Susan i ich dziećmi. Te wakacje okazały się punktem zwrotnym w jej życiu. Ray wynajmował willę w Prowansji; Freddie pomagała Susan przy dzieciakach, chodziła na spacerzy i czytała książki. Często nie robiła nic, tylko leżała w cieniu, z głową osłoniętą słomkowym kapeluszem, nasmarowana kremem do opalania, rozmyślając, śpiąc i odpoczywając.

Często myślała o Jacku. Tuż po rozwodzie była zbyt obolała, by rozważać możliwość nawiązania kontaktu. Nie chciała znów narażać się na ból. Kiedy w końcu zaczęła wychodzić z depresji, doszła do wniosku, że zbyt długo czekała. Minęły ponad dwa lata od pocałunku na plaży i od czasu, gdy powiedziała Jackowi, że go nie kocha. Nie zostawiła mu miejsca na żadne wątpliwości. Jack z pewnością o niej zapomniał i znalazł sobie kogoś, a przede wszystkim być może w ogóle nie mówił serio. Niezmiernie rzadko był poważny.

Dostała list od Faustiny, z którą utrzymywała kontakt po wojnie. Faustina wyszła za mąż i mieszkała w Paryżu. Była lekarzem pediatrą. Zawiadamiała o śmierci Olivii Zanetti. „Po wojnie mama nigdy już nie doszła do siebie. Wojenne przeżycia odcisnęły się piętnem na jej zdrowiu”. Miała też jednak i dobre wiadomości - jej szwagierka, Maddalena, niedawno urodziła synka. Guido wybrał dla niego imię - miał się nazywać Domenico, po ich ojcu.

Freddie pomału dochodziła do siebie. Po powrocie do Londynu spędzała soboty w galeriach sztuki i sklepach z antykami. Lubiła też szukać rozmaitych skarbów na pchlim targu przy Petticoat Lane. Czasami ktoś zapraszał ją na randkę, lecz żadna z tych znajomości nie trwała długo. Wszyscy adoratorzy wydawali jej się zbyt młodzi, niedoświadczeni, nieopierzeni. Tamten amerykański dziennikarz miał rację, myślała. Nic nie mogło jej poruszyć, otoczyła się murem. Była bardzo angielska. Poznani mężczyźni nie budzili w niej głębokich emocji, jakie po raz pierwszy poczuła w obecności Lewisa, a potem Jacka.

Jack, pomyślała. Boże, jak bardzo za nim tęskniła.

W którąś sobotę przystanęła przed wystawą galerii sztuki przy Lisie Street. Jej uwagę przyciągnęła szklana głowa kobiety o afrykańskich rysach i ciasno splecionych włosach. Nie mogła oderwać wzroku od kobiecej twarzy, ukazującej siłę i dumę, a zarazem delikatność i wrażliwość.

Freddie weszła do galerii. Wzdłuż jednej ze ścian ustawiono inne szklane figurki. Młody mężczyzna w garniturze w prążki zapytał:

- Zna pani prace Rebekki Rycroft?

Rebecca Rycroft. Freddie знаła to nazwisko. Rebecca Rycroft była żoną Mila Rycrofta, przyjaciela Tessy, pisarza. Rebecca Rycroft przyszła na pogrzeb Angela.

- Nie - odpowiedziała.

- Są łakomym kąskiem dla kolekcjonerów. Zwłaszcza Amerykanie szaleją na ich punkcie.

- To wspaniale - odpowiedziała uprzejmie Freddie.

Przechodziła od jednej szklanej rzeźby do drugiej.

Siedem postaci kobiecych różniło się wielkością i stylem. Niektóre były wykonane z barwionego szkła, inne z przezroczystego, z wszystkich jednak emanowała moc i siła.

Popatrzyła na tytuły prac: „Izyda”, „Elizabeth”, „Gaja”, „Rachel”. Freddie zorientowała się, że artystka nadała swoim figurkom symboliczne imiona.

Nie dotyczyło to jednak ostatniego dzieła. Freddie spojrzała na cokół, na którym umieszczona była siódma rzeźba, kobiece popiersie. Szkło było



lekko matowe, niebieskawe jak lód. Twarz byłaby idealnie piękna, gdyby nie głębokie rysy, które rozchodziły się z jednego punktu po szkłe, rozdzierając ją niemal na dwie części.

Freddie przeczytała tytuł na tabliczce: „Tessa”, i serce zamarło jej w piersi.

Wystarczyło, że wyraziła chęć złożenia zamówienia, by mężczyzna w prążkowanym garniturze dał jej telefon Rebekki Rycroft. Idąc w stronę budki telefonicznej na końcu ulicy, przypomniła sobie rozmowę z panią Rycroft po wypadku Tessy.

Przed budką stała kolejka. Czekaając, Freddie starała się uporządkować fakty. Milo Rycroft, Rebecca Rycroft, szklana rzeźba „Tessa” z pęknięciem biegnącym przez głowę.

Nadeszła jej kolej. Weszła do budki i wybrała numer centrali.

Rebecca Rycroft mieszkała w Hampshire, w sporej odległości od najbliższej stacji kolejowej, Freddie pożyczyła więc dużego, starego alvisa od Maksa. Za Weyhill droga stopniowo się zwężała, ledwo mieściło się na niej auto. Wysokie żywopłoty z leszczyny i trzmieliny, gęsto usiane owocami, stanowiły szczelną zasłonę po obu stronach. Co pewien czas promienie słońca znikwały w gęstwinie liści.

Musiała zapytać w pubie o drogę do domu Rebekki Rycroft. Znajdował się przy kolejnej wąskiej drodze, wysadzonej bukami. Kuźnia, jak nazywano dom, była zbudowana z czerwonej cegły. Tuż obok stał parterowy budynek z dachem z blachy falistej. Freddie zaparkowała i wysiadła z

samochodu. Miała zamiar zapukać do drzwi, gdy z niskiego budynku wyszła kobieta, wycierająca ręce w ściereczkę.

Rebecca Rycroft ubrana była w spodnie z jasnoszarej bawełny i białą płócienną koszulę. Czarne włosy miała zaczesane do tyłu i przykryte zieloną chustką. Zwracała uwagę jej opalona twarz i szerokie, pełne wargi. Najbardziej niezwykle były jednak oczy o barwie żywej, głębokiej zieleni.

- Pani Coryton. - Wyciągnęła rękę do Freddie. - Jak minęła podróż? Zapewne jest pani zmęczona. Jazda po tych wąskich wiejskich drózkach wymaga dużej uwagi.

Z pracowni wyjrzał wysoki mężczyzna o kręconych, siwiejących włosach.

- Przyjechała pani Coryton, Connor - powiedziała Rebecca Rycroft. - Pozwoli pani, że jej przedstawię Connora Byrne'a.

Freddie uścisnęła dłoń Connora Byrne'a. Connor pocałował panią Rycroft w policzek i wrócił do długiego, niskiego budynku.

- Chyba najlepiej będzie, jeśli porozmawiamy w salonie - uznała pani Rycroft.

Wchodząc za rzeźbiarką do domu, Freddie zaczęła mówić:

- Pani mąż, Milo...

- Milo i ja rozwiedliśmy się wiele lat temu. Milo mieszka teraz w Ameryce... powtórnie się ożenił i ma dwie córki. Connor i ja żyjemy jak mąż i żona. Connor jest rzeźbiarzem, pracujemy tu razem. Nie możemy się pobrać, bo Connor ma w Irlandii żonę katoliczkę, która nie chce słyszeć o

rozwodzie. Zresztą nie wiem, czy chciałabym ponownie wyjść za mąż. Bardzo kocham Connora, ale uważam, że jeden mąż w zupełności mi wystarczył.

Poprowadziła Freddie do salonu w przedniej części domu. Jeden z foteli obito kwiecistą tkaniną, drugi był wyściełany materiałem w paski. Ścianę zajmowały półki z książkami. Na niskiej komodzie znajdowały się liczne przedmioty ze szkła: misy, talerze i figurki.

- Proszę usiąść, pani Coryton. - Freddie wybrała fotel z motywami kwiatowymi. - Napije się pani herbaty?

- Pani Rycroft...

- Proszę mi mówić po imieniu. Rebecca.

Freddie nie wystąpiła z podobną propozycją. Pani Rycroft wyszła z pokoju. Przedmioty, zgromadzone na komodzie, przyciągały wzrok Freddie podobnie jak rzeźby w galerii. Delikatnie dotknęła palcem szklanej powierzchni, czując wypukłość faktury.

- Szkło jest bardzo przyjemne w dotyku, prawda?

- Rebecca postawiła tacę z zastawą do herbaty na stoliku. - Oczywiście nie mogę rzeźbić w szkłe tak jak Connor w kamieniu, ale jednocześnie kamienia nie da się stopić, podgrzać i odlać w formie.

Podawała filiżankę herbaty Freddie.

- Ale nie przyjechała tu pani, żeby rozmawiać o szkłe. Chce pani porozmawiać ze mną o swojej siostrze, Tessie.

- Tak. - Freddie popatrzyła Rebecce prosto w oczy.

- Chodzi mi o pani pracę w galerii, zatytułowaną „Tessa”. Czy ta rzeźba przedstawia moją siostrę?

- Nigdy nie widziałam pani siostry, ale Milo mówił mi, że była bardzo piękna. Miał rację. Znalazłam jej zdjęcia w bibliotece, w czasopiśmie i książkach. Poszłam też na wystawę fotografii.

- Max - powiedziała Freddie. - To były zdjęcia robione przez Maksa.

- Tak, Maksa Fischera. Teraz już rozumiem, dlaczego była tak fotogeniczna. Z jej twarzy biła taka otwartość, a zarazem kruchość... i tajemniczość. Myślę, że piękno zawsze kryje w sobie jakąś tajemnicę. Nie potrafimy zrozumieć, co konkretnie tak nas w nim pociąga. - Popatrzyła na Freddie. - Było mi bardzo smutno, kiedy dowiedziałam się, że nie żyje.

- Naprawdę? - zdziwiła się Freddie. - Podejrzewałamby raczej, że pani jej nienawidziła.

Rebecca przyjęła te słowa ze spokojem.

- Tak było... przez pewien czas - przyznała. - Moja rzeźba po części jest przesłaniem. Pomyślałam, że kiedy pani ją zobaczy, zadecyduje pani, czy chce się dowiedzieć, jak to było. Ludzie nie zawsze chcą poznać prawdę. Często przed nią uciekają, chowają głowę w piasek. Szczere wyznanie może wyzwolić opowiadającego, ale załamać słuchacza. Sądziłam więc, że pani sama musi podjąć decyzję. I mam wrażenie, że pani ją podjęła. Inaczej nie byłoby pani tutaj.

- Myślę, że pani mąż, Milo, był ojcem dziecka Tessy.

- Tak, to prawda.

- Wiedziała pani o tym?

- Tak. Od dawna.

- Rozumie więc pani - powiedziała lekko drżącym głosem Freddie - że zrobił wiele złego.

- Owszem. Podobnie jak ja.

- Pani?

- Obawiam się, że tak. Chciałaby pani, żebym opowiedziała, co się stało?

Zapadła cisza. Po dłuższej chwili Freddie w milczeniu skinęła głową.

- Bardzo kochałam Milla. - Rebecca usiadła na pasiastym fotelu. - I zawsze się bałam, że nie odwzajemnia mojego uczucia w równym stopniu. Kiedy się dowiedziałam, że ma romans z pani siostrą, wpadłam we wściekłość. Nie potrafię tego inaczej określić. Wprawdzie wcześniej też miał romanse, ale ten był poważniejszy, z powodu dziecka. Zatelefonowałam więc do pani siostry i oświadczyłam jej, że Milo spotyka się z inną. Że już jej nie kocha i nie obchodzi go ani ona, ani dziecko. - Rebecca popatrzyła na Freddie. - Była zdruzgotana. To dlatego pojechała tamtego popołudnia do Oksfordu. Chciała zobaczyć się z Mikiem i zapytać, czy mówiłam prawdę.

- Jest pani tego pewna? - spytała szeptem Freddie.

- Nie mogę mieć absolutnej pewności, ale sądzę, że tak właśnie było.

- I wiedziała pani o tym... wtedy?

- Tak. Rozmawiając z panią na pogrzebie dziecka, miałam nadzieję, że usłyszę, iż pani siostra znalazła się na drodze do Oksfordu z jakiegoś innego powodu. Ale niczego takiego nie usłyszałam.

- Ale pani mi nie powiedziała!

- Nie. - Rebecca zmarszczyła brwi. - Wtedy po prostu czułam ulgę. Myślałam, że mam to już za sobą, że w pewien sposób wszystko ujdzie mi na sucho. A później doszłam do wniosku, że nie warto o tym mówić, bo i tak nie wyniknie z tego nic dobrego. Dziecko zmarło, a pani siostra przeżyła. Cokolwiek bym zrobiła, nie zmieniłoby to niczego.

„Myślałam, że mam to już za sobą”. Freddie przypomniała sobie długie, straszne miesiące po wypadku Tessy. Pamiętała smutek i ból siostry.

- I żyła pani dalej, tak jakby nic się nie wydarzyło? - zapytała.

- Nie. Odeszłam od Mila i starałam się ułożyć sobie życie na nowo, ale nic mi nie wychodziło. W końcu zupełnie się rozsypałam i musiałam wszystko zacząć od zera.

- To Tessa się rozsypała, załamała, nie pani! - Freddie nie potrafiła dłużej opanować gniewu. - A czym zawiniło to biedne dziecko?

- Oczywiście, ma pani rację. - Rebecce nawet nie drgnęła powieka.

A jednak ta kobieta również wycierpiała swoje. Freddie przypomniała sobie, co czuła w stosunku do Marcelle Scott po odejściu Lewisa. Jak pławiła się w nienawiści, rozmyślając o całej tej sytuacji dniami i nocami. Czyż ona też się nie rozsypała po nieszczęśliwym zakończeniu swojego

małżeństwa? Czy aby na pewno nie skorzystałaby z okazji, by zadać Marcelle ból?

- Przepraszam - powiedziała sztywno. - Nie powinnam podnosić głosu.  
- Wypiła łyk herbaty. - Powiedziała pani, że musiała zacząć wszystko od zera. Jak się to pani udało?

- Przede wszystkim spotkałam anioła.

- Anioła?

- Tak. Może pani pomyśleć, że oszalałam. Pewnie i tak było. Oczywiście ten anioł nie miał żadnych skrzydeł ani aureoli... tylko kaszkiet i plecak. Ale wtedy pomyślałam, że przydarzyło mi się coś niezwykłego. Jestem o tym przekonana również dzisiaj. W każdym razie ów anioł powiedział, żebym wyszła na zewnątrz. Taką właśnie dał mi radę. A ja się do niej zastosowałam. Otworzyłam się na życie. Wyszłam do świata.

Ostatnio Freddie czuła podobną potrzebę. Nakładając rano makijaż czy spiesząc schodami do metra, marzyła, by przekroczyć granice swego życia. Najczęściej odsuwała te zdradzieckie myśli, lecz od czasu do czasu nieśmiało za nimi podążała.

- Co pani wtedy zrobiła? Dokąd pojechała?

- Zamieszkałam na farmie w Sussex. To tam poznałam Connora. Spędziłam w tym miejscu prawie całą wojnę, dopóki moja matka nie zachorowała. Z początku było mi bardzo ciężko. Wcześniej prowadziłam bardzo wygodne, dostatnie życie. Kiedy je teraz wspominam, wydaje mi się, że było wręcz puste. To dziwne, jak łatwo wybieramy nieodpowiednią dla nas ścieżkę życia. Nie jestem pewna, czy dobrze jest postępować tak, jak

nam dyktuje serce. Myślę, że powinniśmy również kierować się rozumem i nie bać się pracy. Poznałam jej smak na farmie, a potem zajęłam się sztuką artystycznym. Poczułam się wtedy tak, jakbym odnalazła brakujący kawałek życia. Oto moja opowieść. Gdybym mogła zmienić przeszłość, chętnie bym to zrobiła. Ale nie mam takiej możliwości i choćbym przez resztę życia powtarzała pani, jak bardzo żałuję tego, co się stało, niczego już nie mogę zmienić. Niektóre wydarzenia są jak pęknięcia w szkłe. Biegają dalej i nie mogą się zatrzymać. W końcu dochodzimy do wniosku, że musimy zaakceptować przeszłość i iść naprzód.

Freddie zapatrzyła się w okno. Myślała o straszliwych konsekwencjach telefonu Rebekki. O wypadku, śmierci Angela, szpecącej bliźnie Tessy. Gdyby Angelo żył, Tessa nie wróciłaby do Włoch. A gdyby nie wróciła do Włoch, nie umarłaby tam w czasie wojny. Rebecca Rycroft, Milo

Rycroft - ci ludzie zasłużyli na to, by inni poznali prawdę. Dlaczego mieliby się cieszyć doskonałą reputacją?

Gdyby jednak Tessa nie wyjechała do Włoch, kto zajmowałby się tam tymi dziećmi? Kto zanosiłby żywność i ubranie jeńcom alianckim, takim jak Jack, w środku tokańskiej zimy? Kto prowadziłby dzieci w bezpieczne miejsce? „Była bohaterką”, napisała Faustina. „Była silna, lojalna i odważna. Zawsze będziemy o niej pamiętać i za nią tęsknili”. A Desmond Fitzgerald powiedział: „To była cudowna kobieta, Freddie, i powinnaś być z niej bardzo dumna”.

Gdyby Tessa nie pojechała do Włoch, życie wielu ludzi byłoby uboższe. A ona, Freddie, nigdy nie spotkałaby Jacka Ransome'a. Nie poznałaby



smaku miłości, chociaż potem pozwoliła, by szczęście wymknęło jej się z rąk.

Czuła, że Rebecca czeka na jej słowa. Skoro wystawiła szklaną rzeźbę „Tessa”, pragnąc przekazać Freddie wiadomość, czego mogła teraz oczekiwać w zamian? Zapewne przebaczenia. Niestety, Freddie miała kłopoty z przebaczeniem. Ta cecha zniechęciła do niej Lewisa. Zrzucił jej sztywność i protekcyjnalne traktowanie. „Wiem, że nie chcesz traktować mnie protekcyjnalnie, Freddie, ale nic nie możesz na to poradzić”.

Przebacząc, Freddie przekroczyłaby linię graniczną. Mogłaby potem „wyjść na zewnątrz”.

Wstała, sięgnęła po torebkę i rękawiczki.

- Pójdę już - powiedziała. - Dziękuję, że pani mi o tym opowiedziała, Rebecca. To nie było łatwe. - Popatrzyła na panią Rycroft. - Tessa nigdy nie chciała nikogo skrzywdzić, ale, niestety, czasami to robiła.

- Szklana rzeźba siostry należy oczywiście do pani. O ile chce ją pani mieć.

- Dziękuję.

Rebecca odprowadziła Freddie do drzwi. Freddie podała jej dłoń, po czym wyszła na zewnątrz, na światło słoneczne i odwróciła się do rzeźbiarki.

- Nie wolno pani obwiniać się o to, Rebecca. Na świecie zdarzają się różne rzeczy, za które nikt nie ponosi winy. A poza tym Tessa zawsze była okropnym kierowcą.

Potem nastąpiły dwa istotne wydarzenia.

Miesiąc po rozmowie z Rebeccą Rycroft zmarła Renate Mayer, zostawiając Freddie w spadku kolekcję wyrobów garncarskich Bernarda Leacha i tysiąc funtów. Kilka tygodni później pan de Courcy zagroził Freddie obniżeniem pensji po tym, gdy wróciła z lunchu o trzy minuty później, złożyła więc wypowiedzenie.

Wyroby ceramiczne zostały przetransportowane do Londynu przez firmę Pickfords. Stały teraz w salonie Freddie, ciesząc wzrok harmonią kształtów i barwami ziemi, przypominając o znaczeniu piękna.

Max przyszedł, by je obejrzeć. Powiedziała mu o pieniądzach przekazanych jej w spadku przez Renate Mayer.

- Co zamierzasz z nimi zrobić? - zapytał.

- Pojadę do Włoch - odpowiedziała.

- Naprawdę? - W jego oczach rozbłysło ożywienie. - No to świetnie, Freddie!

Przed wyjazdem z Londynu poszła do księgarni Hatchards po książki Jacka Ransome'a. Przeczytała je w ciągu długiej podróży kolejnymi pociągami z Londynu do Florencji. Pierwsza książka opisywała przeżycia Jacka we Włoszech przed wojną i w czasie działań wojennych. Druga mówiła o życiu w powojennych Włoszech i o rejsie po Morzu Śródziemnym.

Pierwszego dnia pobytu we Florencji Freddie spacerowała po mieście, przypominając sobie uliczki i place. Drugiego dnia chodziła po sklepach,

kupiła pocztówki i skórzaną torbę. Rano jadała śniadania w niewielkiej kawiarence przy Piazza del Duomo, a potem wracała do tej samej kafejki na kawę o jedenastej. Czasami szła do galerii sztuki albo do muzeum, lecz najczęściej po prostu błądziła po mieście bez celu i była z tego bardzo zadowolona.

Po tygodniu przestała cokolwiek planować. Coś się zmieniło. Opuściło ją napięcie, ta niszcząca siła napędowa, kierująca jej życiem. Freddie przyjęła to z ulgą. Wystarczało jej ciepło słońca i ludzka życzliwość. Cieszyła ją historia zapisana w murach miasta, zjawiskowe piękno widoczne niemal na każdym kroku. Znajome widoki uzmysławiały jej, że jest częścią tego miasta. Siedząc któregoś popołudnia na Piazza della Signoria, uświadomiła sobie, że właśnie tutaj poznali się jej rodzice. Matka powiedziała jej, że ojciec pracował przy sztalugach ustawionych w cieniu Palazzo Vecchio. Malował rzeźby zdobiące Loggia dei Lanzi. Podszedł do matki, która podróżowała wtedy po Włoszech w towarzystwie ciotki, i zaproponował, że namaluje jej portret. Ich miłość rozwijała się w milczeniu, ponieważ w czasie pracy nad portretem stale towarzyszyła im przyzwoitka. Jednakże spojrzenia i gesty wystarczyły do wyznania miłości i umówienia się na spotkanie. Gdy portret był gotowy, Gerald i Christina uciekli z Florencji, a trzy tygodnie później wzięli ślub w kościele anglikańskim w Rzymie.

Słońce przyjemnie pieściło jej skórę. Freddie lubiła godzinami przesiadywać na tarasie kawiarni, obserwując ludzi na placu. Co pewien czas unosiła wzrok ku katedrze zbudowanej z kolorowych kamieni, ułożonych w geometryczne wzory. Przypominała jej prążkowane cukierki. Czasami przez cały dzień leżała na wysuszonej trawie w Ogrodach Boboli,

czytając książkę, albo siedziała na ławce z książką w torebce i patrzyła na fontannę Okeanosa. Pojechała autobusem do Fiesole i odkryła, że ktoś kupił Villa Millefiore. Kruszejąca fontanna została otynkowana i pomalowana, a obok willi jakiś robotnik wsypywał piasek do betoniarki. Przypomniała sobie, jak wtedy, gdy przyjechały tu po raz pierwszy, by zamieszkać z panią Hamilton, ona i Tessa bały się skrzypiących podłóg i mroku panującego w domu. Pamiętała kąpiele w stawie i miękkie, ażurowe wodorosty muskające jej ręce i nogi. Czowała się wtedy cudownie wolna.

Potem, któregoś ranka, trzy tygodnie po przyjeździe do Florencji, obudziła się z bólem głowy. Odsunawszy kotary, zobaczyła, że niebo nad rozprażonym, dusznym miastem zasnuły ciężkie szare chmury. Nie była w stanie zjeść śniadania. Tego dnia brak celu drażnił ją i wywoływał zniechęcenie. Poczwała się nagle wyłączona z otaczającego ją świata. To miasto miało swoje ciemne strony. Na progach domów siedzieli żebracy z wyciągniętymi dłońmi, a historia obfitowała w okrucieństwa i przejawy fanatyzmu.

Niebo wypogodziło się, a słońce prażyło mocno, gdy Freddie szła do Galleria dell'Accademia. Wewnątrz liczni turyści tłoczyli się przed dziełami sztuki. Freddie uniosła głowę, patrząc na obrazy. Na jednym z nich ujrzała powykęcane sylwetki na krzyżu i krew płynącą z ran w białym, woskowym ciele Chrystusa. Potracił ją jakiś mężczyzna. Oszołomiona i przytłoczona scenami uwiecznionymi na płótnie, szybko wyszła na ulicę.

Udała się na Piazza di San Marco. Znalazła przytulną kawiarenkę, w której wypila szklankę wody i kawę.

Wiedziała, że to nie miasto sprawia jej zawód, tylko po prostu brakuje jej odwagi. Czyżby nieustannie podejmowała błędne decyzje? Po wypadku Tessy postanowiła unikać przygód i być może straciła szansę na miłość. Wydawało jej się, że wybiera bezpieczne życie, a okazało się, że były to jedynie złudzenia?

Odmawiała sobie piękna i miłości. Bała się ich mocy i nieuchronnych zmian. Musiała się teraz zastanowić, czy zamierza spędzić resztę życia, uciekając przed najmniejszym nawet ryzykiem?

Spróbuj. Podejmij ryzyko. Przeżyj przygodę.

Ból głowy ustępował. Wyszła z kawiarni i ruszyła przez plac do klasztoru Świętego Marka. W środku, wysoko sklepione sufity, solidne mury, przestronne pomieszczenia chroniły przed słonecznym żarem. W muzeum było niewielu zwiedzających. Freddie powoli przechodziła od jednego dzieła sztuki do drugiego. W pewnej chwili przystanęła. Na drewnianej malowanej szafce zobaczyła anioła, klęczącego przed Marią Panną. Ten anioł miał złociste włosy i różowawo-brązową szatę. Jego imponujące skrzydła mieniły się barwami żółcieni i kobaltowego błękitu, z pasmami czerni i czerwieni, oraz pojedynczym niebieskim oczkiem, jak u pawia. Anioł Rebekki Rycroft, w kaszkiecie i z plecakiem, był typowo angielskim aniołem. Ten anioł, z różnobarwnymi skrzydłami i złocistymi lokami, był bardzo włoski.

Po wyjściu z budynku udała się na pocztę. Zamówiła rozmowę międzynarodową, a po południu wróciła, by ją odbyć. Stojąc w budce, czekała, aż telefonistka połączy się z centralą międzynarodową, a potem z

centralą w Londynie. Londyński operator wybrał dla niej numer Lewisa i Marcelle w Chelsea. Telefon odebrała Marcelle.

Chłodnym tonem wymieniły zwyczajowe uprzejmości, a potem Freddie poprosiła ją o adres i telefon Jacka w Rzymie. Zaległa cisza, jakby Marcelle zastanawiała się nad możliwością odmowy. Po chwili jednak powiedziała: „Dobrze, oczywiście”, i podała oba.

Freddie podziękowała Marcelle i zakończyła rozmowę. Potem zamówiła drugą, do Rzymu.

Freddie siedziała na tarasie kawiarni.

Na placu kilku księży w czarnych sutannach zmierzało w stronę katedry. Młoda para przeciskała się przez tłum; dziewczyna opierała głowę o ramię chłopaka. Za uciekającym czerwonym balonikiem biegło dziecko, stadko gołębi wzbiło się w powietrze. Jakiś turysta skierował obiektyw aparatu fotograficznego w stronę Baptysterium, szczęknęła migawka.

Wtedy go zobaczyła. Był jeszcze daleko, wydawał się niepozorny w zestawieniu z monumentalną bryłą katedry. Miał na sobie jasną marynarkę i spodnie, ciemnoniebieską koszulę, a słońce błyszczało w jego jasnych włosach. Czy to na pewno on? Z początku Freddie nie była tego pewna. Wstała i wyciągnęła głowę, żeby lepiej widzieć. Tak, to on. Serce radośnie podskoczyło w jej piersi.

Jack zobaczył ją i uniósł dłoń w powitalnym geście.

Ruszyła mu na spotkanie.